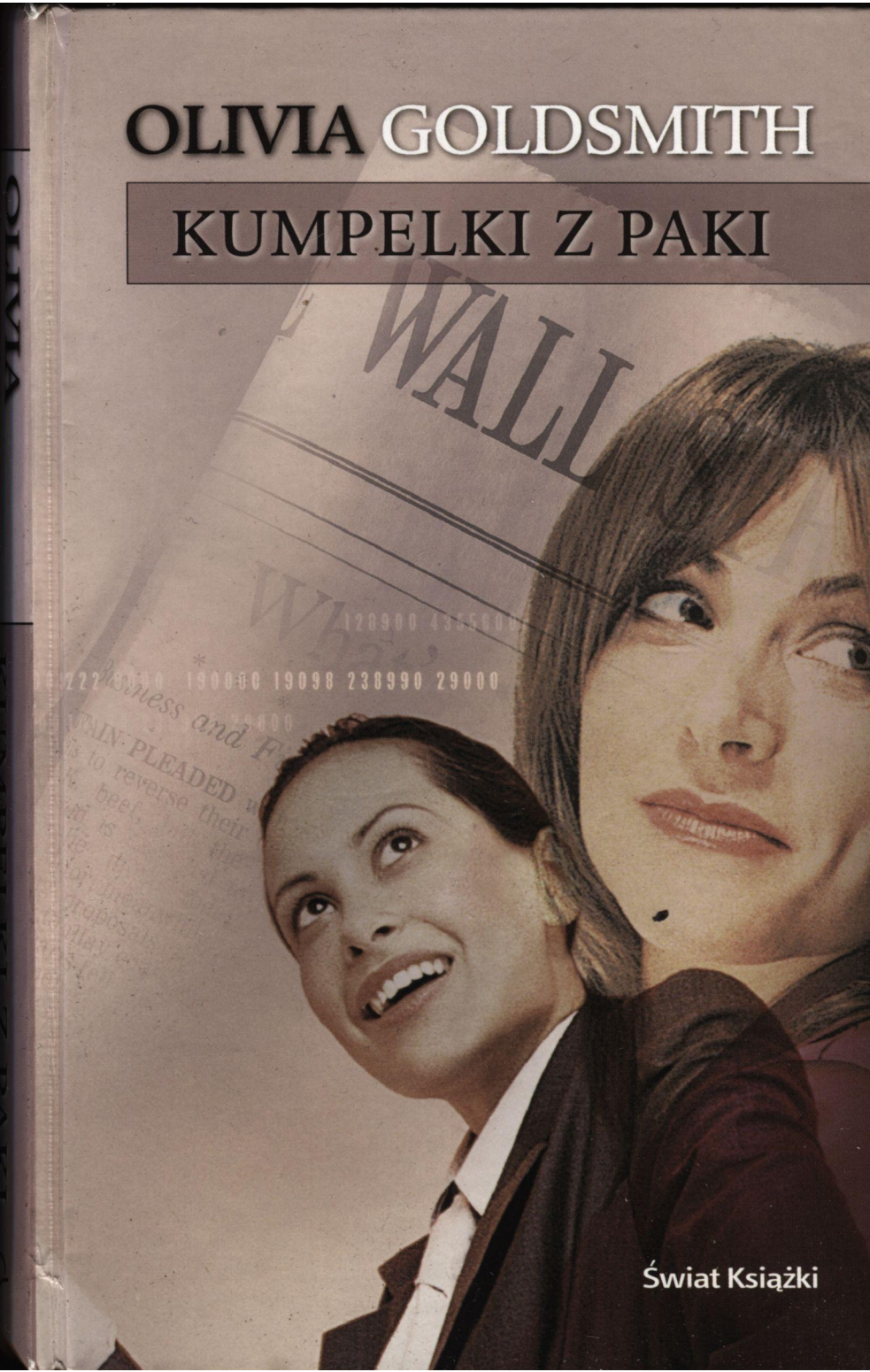


OLIVIA GOLDSMITH

KUMPELKI Z PAKI



Świat Książki

Mocną stroną Olivii Goldsmith zawsze były powieści o zemście pisane z dużą dozą poczucia humoru.

„The Washington Post”

Jej powieści są zabawne, seksowne, pasjonujące i bardzo mądre.

Nelson DeMille

Jennifer, inteligentna i piękna kobieta, która zrobiła karierę w świecie mężczyzn, finansistów z Wall Street, za namową narzeczonego godzi się wziąć na siebie odpowiedzialność, gdy Giełdowa Komisja Kontroli wszczyna dochodzenie przeciwko jej szefowi prowadzącemu podejrzanym interesy. Wszak naręczony, świetny prawnik, zapewnia ją, że to tylko kwestia kilku miesięcy, a on zrobi wszystko, by zapewnić jej w tym czasie doskonałe warunki w areszcie.

Tymczasem Jennifer ląduje w więzieniu z kilkuletnim wyrokiem, naręczony nie kwapi się z pomocą, a w środowisku, w którym się znalazła, rządzą zupełnie inne prawa, niż w jej dotychczasowym życiu. W więzieniu poznaje barwną gromadkę sprytnych kobiet: starszą grupy, Movitę, zwariowaną Cher, niepoprawną optymistkę Theresę i czarującą Suki. Gdy od Movity otrzyma pewną propozycję, nie zdoła się jej oprzeć. A efekty jej działania przejdą najśmielsze oczekiwania ...

Olivia Goldsmith jest autorką takich światowych bestsellerów, jak: *Zmowa pierwszych żon*, *Bestseller*, *Wydajemy mamę za męża*, *Spóźniona moda*, *Młode żony*, *Wielka mistyfikacja*, *Niedobry chłopiec*. Jej powieści są chętnie przenoszone na ekran. Mieszka w Nowym Jorku.

www.swiatksiazki.pl

ISBN 83-7311-608-7



9 788373 116085

Cena 44,90 zł

Nr 3734

OLIVIA GOLDSMITH

KUMPELKI Z PAKI

Z angielskiego przełożył
Andrzej Leszczyński

Część pierwsza

1

Jennifer Spencer

- Proszę wstać!

Jennifer Anne Spencer patrzyła, jak sędzina Marian Levitt wkracza na salę i po trzech stopniach wchodzi na podwyższenie za stołem prezydyjnym, dzierżąc w swych rękach jej los. Miała krótkie, proste siwe włosy i nawet luźno zwisająca obszerna czarna toga nie mogła zamaskować jej obfitych kształtów.

Jennifer stała obok swojego adwokata za stołem obrony i starała się spokojnie i z pewną siebie miną patrzeć na sędzinę. Dobrze wiedziała, że reporterzy bardzo chcieliby ją sfotografować w chwili ogłaszania wyroku, ale na szczęście zabroniono im wstępu na salę, za co Jennifer była wdzięczna.

Wielokrotnie zapewniano ją, że Levitt musi oceniać dowody z „ich punktu widzenia”, ale mimo to z trudem patrzyła spokojnie, jak sędzina przerzuca papiery. Była przekonana, że nie może zostać uznana za winną, a gdyby nawet tak się zdarzyło, powinna dostać wyrok w zawieszeniu, ewentualnie w formie jakichś prac na rzecz społeczeństwa.

Nie potrafiła jednak zapanować nad żołądkiem, który podchodził jej do gardła. Nie pomagała nawet świadomość, że na dobrą sprawę zgłosiła się na ochotnika, aby stanąć przed sądem. Dostrzegła tuż obok siebie jakiś ruch, lecz dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Tom, jej adwokat, po omacku szuka jej ręki. Zaciśnęła palce na jego dłoni, nie bacząc na to, że musi wyczuć ich drżenie. Miała tylko nadzieję, że sędzina niczego nie zauważy, że ten uścisk dłoni nie zwróci jej uwagi.

Zresztą i tak nie powinno to mieć już wpływu na wynik rozprawy.

Wydawało jej się, że Levitt w nieskończoność przegląda leżące przed nią dokumenty. Miała wąskie, półokrągłe okulary bez oprawki, które nosiła niemal na samym czubku długiego nosa.

Jennifer uległa namowom Donalda i Toma, żeby dobrowolnie stanąć przed sądem.

- Przepisy nie są jednoznaczne - oświadczył Tom. - Sędzia prawdopodobnie od razu dostrzeże niuanse.

Donald zaśmiał się w głos.

- Powiedzmy to sobie otwarcie. Cywile nas nie cierpią i z wielką przyjemnością wysuną tyle oskarżeń, ile tylko będzie można.

Jennifer pokiwała głową.

- Uważają nas za grube ryby - ciągnął Donald - przebiegłe spasiono kocury z Wall Street. Jeśli coś zarabiają na wyższe kursów, i tak przeklinają nas, że zarobiliśmy więcej. A kiedy tracą, nas obarczają winą. Z nimi się nie wygra. Żadnym sposobem nie zdobędziemy sympatii ławy przysięgłych, jeśli nie zasiądzie w niej co najmniej kilka osób z naszej branży, a przecież nikt z Wall Street nie ma czasu, żeby się w to bawić.

Wtedy wszyscy przyjęli tę uwagę ze śmiechem.

Ale teraz, na sali sądowej, Jennifer ani trochę nie było do śmiechu. Musiała sobie wmawiać, że rozprawa zakończy się po jej myśli. W końcu Donald i Tom już się o to zatroszczyli. Trzeba tylko przetrwać ten najgorszy moment, a później odebrać obiecaną nagrodę...

- Jennifer Spencer. Uznaję panią za winną zarzucanej defraudacji. Uznaję panią także za winną wszelkich zarzutów dotyczących działania na szkodę macierzystej firmy. Co się tyczy...

Jennifer niczego więcej nie słyszała, jej uszy wypełniło jak gdyby głośne buczenie. Słowo „winna”, które padło z ust sędziny Levitt, runęło na nią niczym grom od strony stołu przydialnego. Nie tak miało się to skończyć. Poczowała silną falę mdłości, aż musiała na chwilę zacisnąć powieki, gdyż sala zawirowała jej przed oczyma. Nagle zaczął jej przeszkadzać uścisk palców Toma na jej spoconej dłoni. Zapragnęła się od

niego uwolnić, żeby otrzeć rękę z lepkiego potu. Jak mogło do tego dojść?

Kiedy wreszcie odzyskała słuch, sędzina mówiła coś na temat wyroku. Jakiego wyroku? Nawet jeśli została uznana za winną, nie powinna przecież odbywać żadnej kary.

- ...od trzech do pięciu lat pobytu w zakładzie karnym Jenningsa dla kobiet. - Levitt zamilkła, zdjęła okulary i spojrzała na nią z góry. - Jest pani jeszcze bardzo młoda. Lepiej, żeby już teraz pani się nauczyła, że tego typu machinacje prowadzone w celu osiągnięcia nielegalnych zysków są niedopuszczalne i mogą doszczętnie zrujnować pani życie.

Jennifer nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Od tamtego pamiętnego dnia, kiedy w jej gabinecie w siedzibie renomowanej firmy Hudson, van Schaank & Michaels przy Wall Street zjawili się agenci federalni i zakuli ją w kajdanki, nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby spędzić choćby jeden dzień w celi więziennej. Co zrozumiale, była trochę zdenerwowana samym faktem aresztowania, ale w zasadzie tylko dlatego, że nigdy wcześniej nie miała żadnych kłopotów z prawem.

- To zwykłe działanie na pokaz - oznajmił jej szef, sam legendarny Donald Michaels, będący dla niej niekwestionowanym autorytetem. - Strzelają nad głowami tłumy, żeby trochę ostudzić rozpalone emocje. Możesz mi wierzyć, że szybko zostaniesz oczyszczona z wszelkich zarzutów. A gdyby nawet doszło do rozprawy sądowej, nikt nie udowodni ci winy. Zaufaj mi - dodał z pobłażliwym uśmiechem.

I Jennifer mu zaufała. W końcu nie była niczemu winna. Zgodziła się tylko osłaniać Donalda, żeby uwolnić go od podejrzeń i przyspieszyć zakończenie dochodzenia w sprawie pewnych podejrzanych interesów prowadzonych przez firmę. Gdyby SEC, giełdowa komisja bezpieczeństwa, dobrała się do Donalda, na pewno postawiłaby mu znacznie poważniejsze zarzuty.

- Pograżyliby mnie na dobre - powiedział w żartach. - Chyba wiesz, jak zawistni są ludzie, jak bardzo zazdroszczą nam sukcesów z ostatnich lat.

Tego nie musiał jej tłumaczyć. W czasie swojej kariery na Wall Street Donald Michaels nie tylko sam dorobił się majątku,

ale także kilkudziesięciu, może nawet stu klientów uczynił milionerami. Dwudziestoośmioletnia Jennifer również była już milionerką - obecnie jednak wyjątkową, gdyż musiała spędzić kilkadziesiąt minut za kratkami.

Skrzyżowała ręce na piersiach i mocno docisnęła dłońmi ramiona do ciała, żeby ukryć ich drżenie i powstrzymać przybie-
rające na siłę skurcze żołądka. Zastanawiała się, jak mogło do tego dojść. Jak Tom, jej adwokat, mógł dopuścić, żeby zapadł wyrok skazujący?

Thomas Philip Branston IV zaliczał się do najbystrzejszych, a zarazem najprzystojniejszych młodych prawników na Wall Street.

- W gruncie rzeczy nic nie ryzykujesz - zapewniał ją, powtarzając argumenty Michaela. - W ogóle w podobnych sprawach ryzyko jest niewielkie. Nawet gdybyś została skazana, co jest naprawdę niemożliwe, złożylibyśmy apelację, zanim jeszcze sędzia zdążyłby zamknąć posiedzenie. Donald ma gruby portfel i dobrych przyjaciół - dodał z uśmiechem.

Jennifer nawet przez chwilę nie wątpiła w jego zapewnienia. W końcu Tom był nie tylko absolwentem Harvardu i doktoran-
tem z Yale, nie tylko sprytnym, doskonałym adwokatem - był także jej ukochanym narzeczonym.

- Tylko pomyśl, Jen - rzekł przed kilkoma dniami. - Wszyscy będą twoimi dłużnikami. Zaskarbisz sobie wdzięczność Donalda, jak również wszystkich pracowników, poczynając od wspólników firmy, a kończąc na sekretarkach i sprzątaczkach. Ludzie będą ci zawdzięczać swoje majątki i miejsca pracy.

- Powinam chyba żałować, że mogę poświęcić firmie tylko jedno życie - zażartowała, kiedy razem z Tomem, Donaldem, Bobem, głównym księgowym spółki, oraz Lennym, jego zastępcą, układali plan postępowania. W swobodnej atmosferze, przy drinkach, omawiali treść oświadczenia, pod którym wszyscy mieli się podpisać i które następnie Tom miał przedstawić giełdowej komisji bezpieczeństwa. Żartowali z federalnych rozwścieczonych jej przyznaniem się do winy i zmuszonych do zakończenia tego polowania na czarownice, którego jedynym efektem będzie powrót Jennifer do pracy najdalej po tygodniu.

Wówczas ten plan wydawał jej się pozbawiony słabych

punktów. Zresztą uwielbiała dreszcz emocji związany z nadzwyczaj ryzykowną pracą. Podniecały ją te chwile, kiedy musiała przebijać propozycje konkurencji podczas dokonywania wykupu, czy też czekała na okazję, gdy jej wstępna oferta pojawi się na rynku i przyciągnie uwagę jakiegoś lekkomyślnego inwestora, by zacząć żyć własnym życiem. Praca była dla niej wszystkim. Ale najbardziej lubiła pieniądze, jakie jej przynosiła. Nie wyobrażała sobie, by mogła zrezygnować z pościeli Pratesi, jedwabnych dywanów Kirmana, ubrań od Armaniego, Prady, Gucciego czy Ferragamy, które trzymała starannie posegregowane w swojej biedermeierowskiej garderobie. Chociaż zajmowała niezbyt duże mieszkanie w osiedlu Tribeca, to jednak było ono bardzo ładne i znajdowało się w najlepszej dzielnicy Nowego Jorku (tuż za skrzyżowaniem mieszkał John Kennedy junior). A biorąc pod uwagę sowitą premię, jaką musiała dostać za dobrowolny udział w tej aferze, już wkrótce powinno być ją stać na zakup prawdziwej rezydencji.

- Tak mi przykro, Jennifer. To najwyraźniej pomyłka. Naprawdę. Sądziłem, że Levitt weźmie naszą stronę - odezwał się teraz Tom.

Popatrzyła na niego w milczeniu.

Podszedł do nich strażnik sądowy.

- Możemy już iść - powiedział.

- Słucham? - spytała zdziwiona, jakby zażartował. - Dokąd? Tom odwrócił głowę, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy.

- Do karetki - odparł mężczyzna - która odwiezie panią...

- Do więzienia?! - wyrzuciła z siebie mimowolnie podniesionym głosem. Po wstępnej rozprawie wpłaciła kaucję i wyszła wolna z sądu, zanim woźny zdążył powiadomić prasę i wskazać ją dziennikarzom. - To śmieszne! - krzyknęła z udawaną brawurą, ale strażnik patrzył na nią obojętnym wzrokiem. A gdy odpiął od pasa kajdanki, Jennifer poczuła się tak, jakby miała za chwilę zemdleć. - Nie... - jęknęła błagalnie.

- To z pewnością nie będzie konieczne... - zaczął Tom.

- Takie są przepisy - wtrącił ostro mężczyzna, dając do zrozumienia, że w tej sprawie nie życzy sobie żadnej dyskusji.

Strażnik zatrzasnął kajdanki na przegubach Jennifer, ale musiał jeszcze je poprawić raz i drugi, zacisnąć mocniej, gdyż zsuwały się z jej szczupłych dłoni.

- W porządku - oznajmił w końcu. - Idziemy. Samochód już czeka.

- Wyjdziemy razem - rzekł pospiesznie Tom. - W holu kłębi się tłum fotoreporterów i dziennikarzy. - Urwał na chwilę. - Możesz mi wierzyć, że to tylko chwilowe kłopoty. Wyciągnę cię najdalej jutro. Złożymy apelację albo wystąpimy o unieważnienie procesu. O nic się nie martw.

- Idziemy - powtórzył strażnik, biorąc ją delikatnie pod rękę.

- Czy możemy prosić jeszcze o parę sekund? - zapytał Tom.

Zdezorientowana Jennifer popatrzyła na niego, marszcząc brwi, ale Jane, asystentka Toma, błyskawicznie wyjęła z torebki grzebień oraz puderniczkę i zaczęła poprawiać jej makijaż, jakby szykowała ją do wystąpienia przed kamerą. Kiedy skończyła i strażnik pociągnął ją do wyjścia, Tom przysunął się z drugiej strony. Jennifer poczuła, jak wkłada jej coś do kieszeni.

- Zadzwoń do mnie - szepnął jej do ucha. - I bądź dzielna.

Został z tyłu. Podreptała za strażnikiem i nagle oślepiły ją błyski fleszy, zewsząd posypały się pytania.

- Teraz pani żałuje?! - wykrzyknęła jakaś kobieta.

- Co pani będzie robiła w więzieniu?! - padło z przeciwnej strony.

- Jenny! Spójrz na mnie! - huknął ktoś basem za jej plecami.

- Jenny! Jenny! Tutaj! - dolatywało z wielu miejsc równocześnie.

Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego na zdjęciach w gazetach podsądni zawsze wyglądają na winnych. Ona także musiała zwiesić głowę nisko na piersi, ponieważ błyskające raz za razem flesze całkowicie ją oślepiały. Nie wiadomo skąd wyrosło przed nimi kilku woźnych, którzy zaczęli im torować przejście w tłumie reporterów. Jennifer nie miała nawet pojęcia, czy Tom wciąż jest gdzieś w pobliżu. Dopiero gdy minęli ciężkie dwuskrzydłowe drzwi i wyszli z holu, uwolniwszy się od natrętnych przedstawicieli mediów, znów ujrzała go obok siebie.

Ale teraz w pełni do niej dotarło, że zamkną ją w więzieniu, i żołądek podszedł jej do gardła. Usiłowała stłumić strach, powtarzając w myślach, że przecież zawarła cichą umowę z kierownictwem spółki. Wierzyła, że skoro Tom natychmiast złoży

apelację, a sprawę poprowadzi sam Howard McBane, wspólnik Swithmore'a ze znanej kancelarii adwokackiej, rzeczywiście nie musi się niczego obawiać. Trzeba było tylko zaczekać, aż szum przycichnie, a wtedy Donald Michaels z pewnością stokrotnie jej wszystko wynagrodzi. Jeśli nawet wyprowadzono ją z siedziby firmy w kajdankach, po powrocie czekał ją pewny awans na stanowisko wspólnika.

Okres, jaki minął od aresztowania, poświęciła na ustalanie z Tomem zeznań i wybór ubrania, w którym powinna wystąpić przed sądem. Została oskarżona o defraudację funduszy inwestycyjnych, musiała się więc postarać, żeby jej wygląd maksymalnie budził zaufanie. Dlatego zrezygnowała z garsonki od Yamaguchiego i wybrała bardziej stonowany kostium od Armaniego, bo któż w takim stroju mógłby uchodzić za złodzieja. Z tych samych względów szpilki Manolo Blahnicka zastąpiła pantoflami Louboutina. Kiedy dołożyła do tego jeszcze klasyczną torebkę Gucciego, po ostatniej wizycie u fryzjera i kosmetyczki doszła do przekonania, że musi wyglądać nie tylko na zdolną i bogatą finansistkę, ale także całkiem niewinną.

Jednego tylko nie wzięła pod uwagę - tego, że rozprawę poprowadzi kobieta. Mimo licznych życiowych sukcesów do tej pory nie umiała sobie radzić w kontaktach z kobietami, zwłaszcza takimi grubymi i nieprzyjemnymi, zmuszonymi do skrywania swej kobiecości pod obszernymi ciemnymi strojami urzędowymi. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła sędzinę Levitt, poczuła się tak, jakby ujrzała ducha siostry Marii Małgorzaty z zakonnej szkoły świętego Bartłomieja. Aż musiała wtedy szukać pociechy u Toma.

Ale nawet błyskotliwy i przystojny adwokat w nienagannie dopasowanym garniturze nie potrafił ukryć zdumienia na widok tego odrażającego wcielenia Temidy. I wstępne przesłuchanie przed ławą przysięgłych zakończyło się klęską. Zarzuty postawione Jennifer uznano za uzasadnione i wyznaczono termin rozprawy, a zainteresowanie mediów okazało się tak wielkie, że sprawa natychmiast trafiła na czołówki ogólnokrajowych gazet. Donald ostrzegął, iż żądni sukcesu federalni za wszelką cenę usiłują znaleźć kozła ofiarnego. No i w końcu go

znaleźli. Sensacyjne pisma ilustrowane wałkowały temat przez kilka tygodni, stacje telewizyjne nadawały szczegółowe reportaże. Ale Jennifer nawet to by zniosła, gdyby sędzina Levitt zorientowała się, że wszystkie oskarżenia są mocno naciągane.

Teraz, czekając na przyjazd karetki, nie zdołała powstrzymać łez. Tom znów przysunął się blisko i zapewnił półgłosem:

- To zwykłe nieporozumienie, które wkrótce wyjaśnimy. Złożymy apelację. Staniesz przed innym sędzią. I nakłonimy Howarda McBane'a, żeby cię bronił. To prawdziwy geniusz rozpraw apelacyjnych, znają go wszyscy sędziowie w tym stanie. Wtedy na pewno twoja sprawa zostanie rozpatrzona bezstronnie.

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, powiedziała sobie w duchu, po czym powtórzyła, że publiczna hańba i szok spowodowany wyrokiem skazującym to i tak niewielka cena za awans do grona współników firmy, który przyniesie jej jeszcze większe bogactwo i spokojne życie u boku ukochanego Toma. Sama zgodziła się podjąć ryzyko i jeśli przeżywała teraz najgorsze chwile, to obiecana nagroda była pod każdym względem warta kilku dni wyrzeczeń.

- Zadzwonię - obiecał Tom. - Porozmawiam ze znajomymi i zrobię wszystko, żeby za kratkami traktowano cię z należnym szacunkiem.

Jennifer tylko pokiwała głową, walcząc z przemożnym łękiem, rozwścieczeniem i bezgranicznym poczuciem wstydu. Tak czy inaczej, miała zostać odstawiona do więzienia! Zaprzagnęła nagle, aby odwiedził ją tam Donald Michaels, który był przecież wszystkiemu winien. Ale i ta myśl błyskawicznie uleciała jej z głowy, gdy nie wiadomo skąd pod drzwiami podjechała karetka więzienna i wysiadło z niej dwóch uzbrojonych strażników.

Niższy trzymał tabliczkę, do której było przypiętych kilka dokumentów, już podpisanych i ostemplowanych. Wyższy otworzył drzwi prowadzące na dziedziniec. Nagle wokół karetki znów zaroilo się od fotoreporterów. Osłupiała Jennifer powiodła wzrokiem po ich twarzach, mając jeszcze cień nadziei, że dojrzy wśród nich Donalda. Nie było go tam, zobaczyła za to Lenny'ego Bensona. Stał trochę z tyłu, w osamotnieniu, z zatro-

skaną miną. Niepewnie pomachał jej ręką. W tej samej chwili strażnik nakazał jej wsiąść do samochodu.

- Chyba muszę już iść - szepnęła do Toma przez ściśnięte gardło. Do oczu znowu napłynęły jej łzy.

- Nic się nie martw. To drobnostka - odparł, ale wyraźnie pobladł. - Wszystko będzie w porządku, Jen. Uwierz mi.

- Wierzę. - Dopiero po jakimś czasie uderzyło ją, jak głupio to zabrzmiało w tej sytuacji.

- Idziemy - ponaglił strażnik.

Tom pocałował ją na pożegnanie, ale nie w usta, tylko w czoło, wskutek czego poczuła się jak ukarane niegrzeczne dziecko. Wciąż ufała Tomowi, choć do tej pory nie sprawdziło się żadne z jego zapewnień - że nie zostanie oskarżona, nie stanie przed sądem i nie zapadnie wyrok skazujący. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego niewyraźnie.

- Na pewno będziesz chciał się ożenić z byłą więźniarką? - zapytała, bohatercko siląc się na pogodę ducha.

Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, po czym ujął jej twarz w obie dłonie.

- Jesteś taka piękna - powiedział miękko stłumionym głosem, jaki słyszała wielokrotnie, gdy byli w łóżku. - Wiesz o tym? Niech ci się zdaje, że wyruszasz w nieprzyjemną podróż służbową. Zajmę się wszystkimi formalnościami. Złożymy apelację, wygramy rozprawę i ani się obejrzyysz, jak będziesz wolna. A kiedy zyskasz niewinność, wyrok i pobyt w więzieniu zostaną wymazane z twoich akt.

- Uwielbiam, kiedy mówisz prawniczym językiem - rzuciła odważnie, lecz nie zdołała pohamować zdradliwej łzy, która spłynęła jej po policzku.

- Idziemy! Musimy się trzymać harmonogramu - powtórzył ostro strażnik.

Tom spojrzął na jej dłoń, na pierścionek zaręczynowy, który nosiła na serdecznym palcu.

- Chyba będzie lepiej, jak zostawisz mi ten brylant. Dla bezpieczeństwa - wyjaśnił, uśmiechając się pobłaźliwie.

Jennifer oniemiała. Pierścionek bardzo jej się podobał. Gdy tylko Tom włożył go jej na palec, obiecała sobie w duchu, że nigdy go nie zdejmie. Jednakże... miał rację, głupota byłoby zabierać trzykaratowy brylant do więzienia. Starając się **odegnać**

od siebie nieprzyjemne skojarzenia, jak posłuszne dziecko szybko ściągnęła bezcenny dla niej klejnot i oddała Tomowi.

Odetchnęła głęboko, niemalże z ulgą, gdy zatrzęsnęły się za nią drzwi karetki. Spojrzała przez okno, mając nadzieję po raz ostatni ujrzeć swojego adwokata, ale zobaczyła tylko kłębiący się tłum fotoreporterów i stojącego za nimi samotnie zatroskanego Lenny'ego. Chcąc mu pomachać, uniosła dłoń z odcisniętym na palcu śladem po pierścionku zaręczynowym i pochwyciła jej odbicie w zakratowanej szybie. „Zakład karny Jenningsa bardziej przypomina ośrodek wypoczynkowy niż więzienie”, powtórzyła w myślach słowa Toma, gdy furgonetka ruszyła z szarpnięciem. Zaraz jednak poczuła się nagle pozbawiona wszystkiego: dobrej pracy, pięknego domu, wspaniałego narzeczonego - całego życia.

2

Gwen Harding

Ilekróć naczelnik Gwendolyn Harding proszono o wygłoszenie krótkiej mowy dla szkolnej wycieczki czy grupy bojowniczek o prawa kobiet, zwykle zaczynała słowami: „Kiedy byłam mała i ludzie pytali mnie, czy wolałabym zostać pielęgniarką, nauczycielką, czy też wychowywać własne dzieci, gdy dorosnę, zawsze odpowiadałam: chciałabym być strażniczką więzienną, bo wtedy mogłabym pełnić te trzy funkcje naraz”. I zazwyczaj wywoływało to śmiech i powodowało rozluźnienie napiętej atmosfery, na czym jej szczególnie zależało. Uważała bowiem, że sprawienie ludziom choćby drobnej radości musi wpłynąć na poprawę ich życia, jakby dawała im prezent. I z tego też powodu często była niezadowolona z siebie po całym dniu pracy w zakładzie Jenningsa. W niewielkim stopniu mogła poprawić los swoich podopiecznych, a już z pewnością nie potrafiła ich rozbawić. Bardzo tego żałowała.

Teraz zaś nie mniej żałowała, że tak samo nie potrafi rozbawić żadnego z pięciorga przedstawicieli JRU International, którzy z poważnymi minami siedzieli w jej słonecznym, aczkolwiek nieco zakurzonym gabinecie. Nie po raz pierwszy spotykała się z Jerome'em Lardnerem, łysym, drobnym mężczyzną z wystającą grdyką, nie znała jednak nikogo z towarzyszących mu ludzi. Wydawali jej się wręcz nie do rozpoznania, tak samo krótko ostrzyżeni, ubrani w prawie identyczne garnitury i garsonki. Wszyscy byli niemal w jednym wieku, gdzieś między dwudziestym czwartym a dwudziestym ósmym rokiem życia. Nawet Lardner, którego Gwen tylko w myślach określała nie-

pochlebnym mianem „Łysola”, z pewnością nie przekroczył jeszcze czterdziestki.

- Mamy nadzieję uzyskać w ten sposób nie tylko całkiem nowy poziom produktywności - oznajmił stanowczo - ale też całkiem niespotykany poziom opłacalności wśród zakładów karnych.

- Moim zdaniem - odparła Gwen, nie mogąc się powstrzymać od ironicznego uśmiechu - jakakolwiek opłacalność byłaby czymś niespotykanym. W końcu więzienia nigdy nie przynosiły żadnych zysków.

- To prawda - przyznał Jerome - jeśli mówimy o zakładach państwowych. Ale więzienia sprywatyzowane mogą być dochodowe.

Też coś! Harding ostro nakazała sobie w myślach, żeby nie dyskutować z Lardnerem na temat danych statystycznych. Ilekroć podawała w wątpliwość jakiegokolwiek jego twierdzenia, natychmiast odwoływał się do statystyki. Bo jeśli nawet liczby nie kłamały, to tacy kłamcy jak on potrafili je wykorzystywać tylko do jednego celu - obrony własnego stanowiska.

- Specjaliści do spraw zarządzania wytwórczością więźniów potrafią bardzo efektywnie kierować produkcją w zakładach sprywatyzowanych - dodał Łysol.

Gwen niekiedy potrzebowała aż pięciu minut na to, by zrozumieć, co właściwie oznacza ta skomplikowana terminologia. Przedstawiciele JRU zdawali się celowo unikać tak prostych słów jak „więzienie” albo „praca przymusowa”, jeśli tylko mogli je zastąpić wieloznacznymi i wielosylabowymi eufemizmami. Może odnosiło to pożądaną skutek w rozmowach z politykami, ale jej trudno było zamącić w głowie.

- Cokolwiek oznaczają te słowa, jestem pewna, że ma pan rację - odparła.

Jednak się udało! Jej goście zareagowali śmiechem. Zdołała jednak i im zrobić drobny prezent. Co prawda, miała pewne podejrzenia, że śmieją się z niej, a nie z jej odpowiedzi. Naszły ją obawy, iż stanie się obiektem drwin wśród personelu JRU. Ale tym się nie przejmowała. Dobrze wiedziała, że wiele kobiet w ośrodku, zarówno skazanych, jak i strażniczek, za jej plecami mówi o niej „Dyra”, co było pogardliwym skrótem od „dyrektorki”. I nie wynikało to wcale stąd, że rządzi po dyktatorsku,

czy też ma wielki autorytet. Wiązało się raczej z jej niefortunnym imieniem. Kiedy obejmowała stanowisko naczelniczki zakładu Jenningsa, na mosiężnej tabliczce na drzwiach ktoś nieprawidłowo wygrawerował skrót i zamiast „Nacz. G. HARDING” napisał „Nac. G. HARDING”. Oczywiście był to niewinny błąd, nikt nie zrobił go specjalnie, aby ją ośmieszyć. Od razu zamówiła drugą tabliczkę, ale tamtą zabrała do domu i ze śmiechem pokazywała wszystkim krewnym i znajomym - oczywiście przed laty, kiedy jeszcze krewni i znajomi ją odwiedzali.

W rzeczywistości dopiero teraz mogła się swobodnie śmiać z tamtego błędu, gdyż poczuła się nim urażona, kiedy obejmowała odpowiedzialne stanowisko w nowym miejscu pracy. Z upływem lat zwróciła bowiem uwagę, że coraz mniej kobiet już od początku swego pobytu w zakładzie wie, kim jest naczelnik Harding. Podejrzewała, że już niedługo „Dyra” na dobre zastąpi jej prawdziwe imię, a może nawet pojawi się jeszcze inne, bardziej pogardliwe przezwisko. Niewykluczone, że już krążyło wśród więźniarek, których grono nie tylko ciągle się zmieniało, ale również systematycznie rosło. Na dodatek do zakładu trafiały kobiety coraz gorzej wychowane i sprawiające więcej kłopotów. Nie dalej niż w ubiegłym tygodniu, Gwen stwierdziła ze zdumieniem, iż Flora, więźniarka w średnim wieku kierująca pralnią, nie odróżnia miast od państw.

- Jak stąd wyjdę, pojedę do Paryża - oświadczyła.
- Do Francji? - spytała Harding.
- Do Francji też się wybiorę - rzuciła z entuzjazmem Flora.

Pewnie uznałyby to nawet za śmieszne, gdyby nie było aż tak smutne. O wiele bardziej wolałyby znaleźć coś, z czego mogłyby się pośmiać razem. Zakład Jenningsa był bardzo smutnym miejscem, dlatego gorąco pragnęła, aby wszystkie kobiety - więźniarki, strażniczki i personel pomocniczy - mogły się przynajmniej czasami z czegoś pośmiać. Niemniej był to ostatecznie rodzaj więzienia, ona zaś pełniła tu funkcję naczelnika, a nie błazna. No i z pewnością nie była ani nauczycielką, ani pielęgniarką, ani wychowawczynią. Pod tym względem całkowicie się zawiodła. Niezależnie od tego, co sama (bo chyba nikt inny) myślała o swojej „drobnej anegdocie na użytek publiczny”, stanowisko naczelnika zakładu poprawczego nie

miało nic wspólnego ani z pielęgniarstwem, ani z medycyną, ani tym bardziej z opieką macierzyńską. Z czasem zyskiwało coraz bardziej administracyjny charakter i wymagało - oprócz oczywistych umiejętności obchodzenia się z przestępcami - doświadczenia z zakresu doboru kadr, przygotowywania posiłków, diety czy psychologii nadzoru. Gdyby Gwen Harding miała okazję jeszcze raz wybierać, z przyjemnością zostałaaby pielęgniarką, nauczycielką bądź gospodynią domową. Niestety, było to niemożliwe.

Powiodła wzrokiem po twarzach przedstawicieli JRU International i westchnęła. To była strata czasu. Próbując się skoncentrować na długiej monotonnej tyradzie łysego szefa grupy, nagle uświadomiła sobie, że nie jest już pewna natury swojego stanowiska. Przez lata wiele się zmieniło. Miała coraz więcej pracy papierkowej i coraz mniej kontaktów z więźniarkami, a do tego nie istniał żaden konkretny program ich szkolenia bądź resocjalizacji. Największy nacisk kładło się teraz na sprawy finansowe, zwłaszcza od czasu, gdy prawie rok temu JRU rozpoczęła przygotowania do prywatyzacji zakładu Jenningsa.

Łysol wreszcie zamilkł i jeden z jego młodszych kolegów zaczął się rozwodzić nad „managementem resocjalizacyjnym”, dzięki któremu zabudowania miały się stać lepsze, bezpieczniejsze, czystsze, przestronniejsze i ładniejsze. Gwen nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można cokolwiek zmienić, nie dysponując ogromnym funduszem. Cała sieć zakładów Jenningsa od lat była niedoinwestowana. Pieniądzy nie starczało nawet na bieżące remonty.

Tym bardziej nie mogła pojąć, jakim cudem cierpiąca na brak funduszy rządowa instytucja, przeznaczona do tak zwanej resocjalizacji kobiet, może się nagle przekształcić w dochodową jednostkę wielkiej międzynarodowej prywatnej korporacji. Zresztą nie tylko nie umiała sobie tego wyobrazić, ale wręcz nabierała przekonania, że ci idioci z zarządu JRU głęboko wierzą, iż właśnie ona potrafi tego dokonać. Pewnie! Cóż to dla niej?! Łysol najwyraźniej zakładał, że zasady handlu, marketingu i w ogóle gospodarki wolnorynkowej nie kryją dla niej tajemnic. A przecież nie miała żadnego doświadczenia w tej dziedzinie. I co ważniejsze, nie zamierzała go nabywać.

A jeśli ci ludzie naprawdę zdobędą rządowy kontrakt? Osta-

tecznie po władzach można się było spodziewać wszystkiego. Jakie zamieszanie by wówczas powstało? Gwen potrafiła sobie wyobrazić okrutne i niekompetentne kierownictwo zakładu, które w krótkim czasie doprowadza do zbrojnego buntu. Dlatego z obawą spoglądała na grupę młodych biznesmenów. Ani trochę by nie żałowała, gdyby ich plany zakończyły się kompletnym fiaskiem. Żał by jej było jedynie więźniarek zmuszonych do katorżniczej pracy. Bo z jej punktu widzenia nie można było niewolniczo wykorzystywać skazanych kobiet, jeśli miało się szczytny cel służenia społeczeństwu.

Dlatego z coraz większą złością i rozgoryczeniem słuchała wypowiedzi tych szakali. Obawiała się, że personel zakładu, który sama przez lata dobierała i szkoliła, nagle zostanie zwolniony, by udostępnić stanowiska właśnie takim młodym gorliwym zapaleńcom. Ją samą łatwo było zastąpić jakimś „menedżerem resocjalizacji” czy też „specjalistą od wydajności zakładów karnych”. A przecież było to więzienie dla kobiet, a nie wiejski klub rekreacyjny, za jaki gogusie z Wall Street uważali zakłady Jenningsa.

Ta myśl przypomniła jej, że dziś po południu ma przyjąć nową skazaną, Jennifer Spencer, bogatą finansistkę z Wall Street, która właśnie dostała wyrok „od trzech do pięciu lat pobytu w terenowym otwartym zakładzie karnym”. Otwartym! Gwen od dawna marzyła o tym, żeby zobaczyć coś takiego na własne oczy. Może i gdzieś istniały takie „ośrodki rekreacyjne” dla młodych białych bogaczy, ale według jej wiedzy, w końcu dosyć obszernej, w całych Stanach Zjednoczonych nie istniał zakład karny dla kobiet, który nie byłby zatrwająco przepełniony, rażąco zaniedbany, i który nie wymagałby natychmiastowego remontu generalnego. Na pewno podlegała jej placówka w niczym nie przypominała legendarnego „terenowego zakładu otwartego”.

Miała tu wszelkie możliwe typy więźniarek, od kobiet skazanych za morderstwo z premedytacją po babcię, której jedynym przestępstwem było zasadzenie pod domem grządki konopi indyjskich, ponieważ chciała mieć źródło taniej marihuany dla wnuka z zaawansowanym stwardnieniem rozsianym. A dlaczego ją skazano? Tylko z tego powodu, że gubernator w ramach kampanii przedwyborczej ogłosił krucjatę przeciwko nar-

kotykom i przeforsował dwudziestoletnie wyroki za najdrobniejsze wykroczenia, w związku z czym za bramą jej zakładu ładowali wszyscy schwytni w sieć, od drobnych ćpunów po dealerów.

A przecież musiała się nimi opiekować tak samo jak pozostałymi - karmić, ubierać, układać do snu i zapewniać przynajmniej podstawową opiekę lekarską. Jednocześnie miała obowiązek czynić wszystko, by utrzymać dyscyplinę i porządek, za wszelką cenę nie dopuścić do uchylecia pokrywy tego kotła, w którym pod ciśnieniem wrzały przepełniające zakład rozgoryczenie, żal oraz to najgroźniejsze ze wszystkiego - nuda. Tymczasem nie mogła utrzymać na pełnym etacie nawet pielęgniarki, musiała realizować przestarzałe programy edukacyjne i szkoleniowe, nie dysponowała wydzielonymi pomieszczeniami dla całodobowych spotkań więźniarek z mężami lub dziećmi, a w dodatku wśród strażniczek, oprócz kobiet zaufanych i oddanych swej pracy, miała również parę chronionych przez związek zawodowy kłamliwych sadystek, którym jedynie w duchu mogła życzyć z całego serca, aby kiedyś wylądowały po przeciwnej stronie krat. Więc jaki to był otwarty zakład terenowy? Jak mógł się stać instytucją dochodową? Sam pomysł wydał jej się tak śmieszny, że mimowolnie głośno prychnęła.

Pospiesznie wyciągnęła z rękawa chusteczkę i wyczyściła nos, jakby nagle dostała kataru. No cóż, pomyślała, dopóki jeszcze funkcję naczelnika zakładu karnego Jenningsa dla kobiet pełni Gwendolyn Harding, nie stanie się on ani ośrodkiem wypoczynkowym, ani centralą dochodowej spółki. Nadal będzie tym samym smutnym przytułkiem dla poniżonych i rozgoryczonych kobiet, których społeczeństwo postanowiło się pozbyć. A jeśli nadal będzie miała odwagę trwać przy swoim, w chwili zakończenia kary jej podopieczne będą nieco spokojniejsze, trochę bardziej optymistyczne i na tyle zresocjalizowane, by społeczeństwo przyjęło je z powrotem. To było najbardziej realistyczne marzenie jej życia.

Poruszyła się nerwowo na krześle i odchrząknęła. Przywykła już do tego, że setki osób nieustannie ją obserwują i słuchają jej słów. Zazwyczaj nawet drobne zmruczenie powiek wywoływało jakąś reakcję. Ale w trakcie tego spotkania zapewne

mogłaby sobie podpalić włosy, a i tak nie uciszyłoby to młodej kobiety, która obecnie paplała jak najęta o telemarketingu. Cóż to znowu za wymysł?

Gwen spojrzała na zegarek. W myślach dała swoim gościom jeszcze cztery minuty. Czekają ją ważne spotkanie z nową więźniarką, przecież trzeba było wyłożyć jej obowiązujące tu zasady i przydzielić ją do wybranej celi. Harding podejrzewała, że Jennifer Spencer może się stać dla niej twardym orzechem do zgryzienia. Przybywała w glorii „uświęconej ofiary”. Chyba każdy Amerykanin czytał o niej w gazecie, nim zapadła decyzja osadzenia jej w zakładzie Jenningsa. Wszystkie czasopisma ilustrowane przedstawiały jej życie i karierę, a zdjęcia, zwykle u boku zniewalająco przystojnego adwokata, przypominały bardziej wycinki z kroniki towarzyskiej. Nawet gdy zakutą w kajdanki prowadzono ją na salę rozpraw, głowę trzymała dumnie zadartą wysoko, jakby szła na posiedzenie zarządu bogatej firmy.

Harding miała uzasadnione podejrzenia, że Spencer zgodziła się na pobyt w zakładzie Jenningsa w ramach jakiejś cichej ugody. Z prasowych relacji z jej aresztowania i osadzenia, przebiegu procesu i ogłoszenia wyroku, wyłaniał się obraz wypieszczonej przebiegłej kocicy, która zawsze spada na cztery łapy. Tymczasem z samego faktu, że Spencer przywykła do hołdów dla zwycięzcy, należało przypuszczać, że znajdzie się mnóstwo wykolejeńców gotowych ukraść nóż ze stołówki albo zeszlifować na kamieniu blaszany wspornik od ramy okiennej, byle tylko pociąć twarz takiej damulce. Co prawda w jej zakładzie rzadko dochodziło do tego typu aktów przemocy, to jednak się zdarzały i pod żadnym pozorem nie wolno było ich lekceważyć. Odegnęła od siebie posępne myśli i spróbowała się skupić na słowach padających z ust siedzącej przed nią dziewczyny.

- Tak więc, w efekcie, obsada telemarketingu może być nadzorowana jedynie przez trzy strażniczki pracujące po osiem godzin na zmianę, co zapewni możliwość całodobowej ciągłej pracy i zagwarantuje...

Cierpliwość Harding się wyczerpała. Ostatecznie ci ludzie byli tu tylko gośćmi, jeszcze im nie podlegała. Dlatego szybko wstała, spojrzała na Jerome'a i skinęła głową.

- Bardzo państwu dziękuję - powiedziała stanowczo. - To spotkanie było wyjątkowo pogładowe.

Poglądowe do tego stopnia, że się pogubiła. Przedstawiciele JRU zaczęli zbierać dokumenty. Nie mieli zielonego pojęcia, na co się porywają. Bo kto miałby szkolić więźniarki? A przede wszystkim: co miałyby je zachęcić do wzmożonego wysiłku? Gwen i jej strażniczki nie potrafiły zmusić skazanych do solidnej pracy w pralni albo ugotowania zupy, która nie byłaby ohydną lurą. Większości kobiet nie przeszkadzał brud w celach, rzadko która wykazywała choćby cząstkową dbałość o swój wygląd i higienę osobistą.

Gwen otworzyła drzwi gabinetu i pospiesznie pożegnała gości z JRU, którzy wychodzili ze spuszczonej głowami, nie mając nawet odwagi zerknąć na sekretarkę, pannę Ringling, czy też Movitę Watson, więźniarkę wyznaczoną do pomocy w prowadzeniu biura. Ta zdecydowanie wyróżniała się spośród osadzonych. Harding zdawała sobie sprawę, że nie powinna faworyzować żadnej ze skazanych, ale Movita była w jej pojęciu jedyna w swoim rodzaju. Doskonale zorientowana, bardzo bystra i inteligentna, z silnym charakterem, potrafiąca się obchodzić z ludźmi i znająca setki zdumiewających sztuczek, nie przypominała żadnej innej z więźniarek, jakie przewinęły się przez zakład Jenningsa. Przewodziła najbardziej zgranej grupie w całym więzieniu, a więc jakby miała swój udział w zarządzaniu. Co więcej, współlokatorki z celi odnosiły się do niej z tak wielkim respektem, że Gwen, ilekroć ogarniał ją nostalgiczny nastrój, otwarcie jej tego zazdrościła.

Gdyby ci głupcy z JRU mieli choć trochę zdrowego rozsądku, pomyślała, rozmawialiby z Movitą, a nie ze mną.

3

Jennifer Spencer

Kiedy karetka więzienna przedostała się przez tłum zgromadzony przed tylnym wyjściem gmachu sądu i skręciła w ulicę, Jennifer przytknęła nos do brudnego zakratowanego okienka. Gdy tylko wyjechali z tunelu i znaleźli się na przedmieściach, odniosła wrażenie, że podróżuje w czasie do przeszłości. Przyglądała się zmęczonym życiem kobietom, które dźwigały kosze z praniem bądź torby z zakupami, idąc po zaśmieconych chodnikach do swych tanich czynszowych mieszkań. Sama wychowywała się w podobnej okolicy. Znow łzy napłynęły jej do oczu. Każda z tych przepracowanych kobiet na ulicy przypominała jej matkę. A każdy pijak idący chwiejnym krokiem przywoływał jej wspomnienia o ojczymie.

Przeszył ją dreszcz, energicznie potarła więc dłońmi ramiona. Obrzydzeniem napawała ją ta opancerzona furgonetka i ulice, które mijali, tak samo jak z obrzydzeniem odpychała od siebie wspomnienia z młodości. Trzeba było nie łąda ambicji, inteligencji i samozaparacia, żeby wydzwignąć się z tego wszystkiego, co widziała teraz za oknem. Jak na ironię, ta sama ambicja, inteligencja i samozaparcie zdawały się ściągać ją z powrotem z wyżyn bodaj w jeszcze głębszy dołek. Do więzienia! Postanowiła jednak walczyć ze łzami cisnącymi się do oczu. Powtórzyła w myślach, że to przecież tylko przejściowe kłopoty. Mimo wszystko cieszyła się, że matka nie dożyła tej chwili, by dowiedzieć się o wyroku skazującym i jej podróży karetką więzienną.

Odrzuciła się od okna. Nie mogła się teraz martwić losem

kobiet, które widziała na ulicy. Miała dość własnych problemów. Tego ranka, zresztą jak co dzień, ubrała się elegancko, a teraz musiała siedzieć na ławce pokrytej wrośniętym brudem, Bóg jeden wie sprzed ilu lat. Gumowa wykładzina na podłodze nieznosnie cuchnęła i nawet nie można się było oprzeć ramieniem o karoserię z powodu licznych ciemnych plam. Co to było? Krew? Flegma? Rozmazane napisy flamastrem? Ze złością uświadomiła sobie, ile podatków płaciła przez te wszystkie lata. Nie mogła zrozumieć, dlaczego choćby drobnej ich części nie przeznaczono na wyczyszczenie tej furgonetki. A może to także był element przedstawienia na użytek prasy? Tom powtarzał, że zechcą zrobić z niej przykład dla innych. W więzieniu powinno być już znacznie lepiej. Jak on się wyraził? Że to w zasadzie ośrodek wypoczynkowy. Świetnie. Mogła spędzić tam nawet dwa dni. Na razie jednak miała wrażenie, że brud ją oblepia, a fetor wnika we włosy. Co gorsza, była zbyt zmęczona, żeby siedzieć sztywno wyprostowana. Dlatego poddała się i oparła o blaszaną budę. Jakie to ma znaczenie? - pomyślała. Przecież niedługo będzie mogła oddać tę garsonkę do pralni chemicznej Chrisa przy ulicy Dziewiętej, a tam już wyczyszcza ją na błysk. Usuną plamy i uwolnią ją od przykrego zapachu, podczas gdy Tom oczyści jej akta z hańbiących wpisów. Przyszło jej na myśl, żeby wyciągnąć ukryty aparat komórkowy i zadzwonić do niego, ale naszły ją obawy, że kierowca usłyszy rozmowę. Zresztą do tej pory Tom na pewno jeszcze niczego nie załatwił. Musiała dać mu więcej czasu i spokojnie zaczekać.

Ledwie zdążyła się trochę rozluźnić, gdy kierowca dodał gazu i ostro zakręcił. Siła bezwładności zrzuciła ją z ławki na brudną podłogę. Rozwścieczona Jennifer zaczęła się gramolić z powrotem. Ku własnemu zaskoczeniu, zapomniała na moment o swojej sytuacji.

- Co pan wyrabia! - krzyknęła w stronę metalowej siatki oddzielającej ją od szoferki. - Nie sądzi pan, że prowadzi trochę za szybko? Ostatecznie jedziemy przez teren zabudowany.

Kierowca obejrzał się przez ramię.

- Żaden skazaniec nie będzie mnie uczył przepisów ruchu drogowego - warknął, po czym ostentacyjnie dodał jeszcze gazu.

Jennifer, chociaż poczuła się zawstydzona, dodała łagodniejszym tonem:

- To przecież niebezpieczne. Na zakręcie spadłam z ławki.

- A co mnie to obchodzi, że jakiś skazaniec obił sobie tyłek? Przynajmniej wiesz, że tym razem nie jedziesz luksusową limuzyną.

Skazaniec! Nie nazywał jej inaczej. Jennifer usadowiła się na ławce i mocniej zaparła ramieniem o ścianę furgonetki. Kajdanki wrzynały jej się w skórę. Jak do tego doszło, do cholery? Przecież zawsze przestrzegała zasad. Nigdy nie paliła trawki, nie uprawiała seksu bez zabezpieczenia. Zawsze unikała życia na skróty, nawet książki do biblioteki zwracała w terminie. Nie zdarzało jej się zostawiać brudnych naczyń w zlewie. A teraz nazywano ją skazańcem! Musiała się pogodzić z tą bolesną prawdą, że faktycznie nim była. Znów żołądek podszedł jej do gardła, gdy uprzytomniła sobie grozę sytuacji, otaczający ją brud i fetor. Co ja tu robię? - zapytała w myślach.

Podróż ciągnęła się bez końca. Kiedy mdłości ustąpiły, Jennifer zrobiła się senna, później poczuła głód, a po nim wróciły mdłości. Ale przez cały czas nie opuszczała jej strach. Wreszcie kierowca po raz ostatni skręcił ostro w prawo i zanim odzyskała równowagę, zatrzymał wóz z piskiem hamulców. Wyjrzała przez okienko. Brama więzienia właśnie się otwierała. Karetka znów ruszyła i powoli wjechała na dziedziniec.

W niczym nie przypominało to ośrodka wypoczynkowego, tak jak dziwnie ubrana kobieta pochylona nad rabatą kwiatową nie przypominała ogrodniczki. Spencer nie miała jeszcze pojęcia, kto to jest, nie mogła się tego nawet domyśleć, lecz to właśnie Wiosenka pierwsza powitała ją szerokim uśmiechem na terenie zakładu karnego. Nikt tu już nie pamiętał jej prawdziwego imienia, nikt nie pamiętał też, jak wyglądała za młodu. Miała spaloną słońcem pergaminową skórę, mocno naciągniętą na wychudzonej twarzy, toteż szeroki uśmiech upodobił ją do tandetnej maski kościotrupa, jaką wiele dzieciaków wkładało na Halloween. Wyszczерzone resztki zębów i zapadnięte oczy stały się dla Jennifer pierwszą oznaką tego, jak wygląda życie w więzieniu. Zanim furgonetka stanęła, kobieta wskazała palcem swoją rabatę. Spencer nie od razu zrozumiała, co ten gest ma oznaczać. Dopiero gdy skręcili, zauważyła kępkę pomarań-

czowych nagietków i błękitnych żeniszków, które rozkwitły jak gdyby na jej powitanie.

Ale natychmiast zwróciła uwagę na widoczne za rabatą złowieszcze ogrodzenie z siatki ze spiralami drutu kolczastego na szczycie. Trzy metry za nim ciągnął się drugi parkan, tak samo zwieńczony drutem kolczastym. Na ten widok aż wstrzymała oddech. Co się z nią działo? Miała wrażenie, jakby brała udział w filmie z Kurtem Russellem. Furgonetka zatrzymała się przed masywnym betonowym murem i powoli rozsuwającymi się żelaznymi wrotami garażu. Dopiero gdy ponownie zasunęły się za nimi, kierowca zgasił silnik i zapadła całkowita cisza. Coś ścisnęło Jennifer za gardło, z trudem przełknęła ślinę. Była złana potem. Co oni tam robili? Nikt się nie ruszał, nie odzywał ani słowem. Strażnicy wciąż siedzieli bez ruchu w mrocznej, cuchnącej karetce. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Spencer koniecznie musiała zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Przepraszam - odezwała się półgłosem. - Co się dzieje?

- Matko Boska! - syknął kierowca. - Naprawdę tak się pani spieszy, żeby już się tam znaleźć?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się dzwonek i jakby na ten znak zapaliło się światło. Kierowca i konwojent wysiedli z szoferki, otworzyli drzwi furgonetki i wyciągnęli ręce, żeby pomóc jej wysiąść. Jak spod ziemi metr dalej wyrosli dwaj umundurowani strażnicy więzienni.

- Tędy, panno Spencer - rzucił niższy.

- Witamy w zakładzie Jenningsa - dodał jego kolega z iro-
nicznym uśmiechem.

Jennifer zeskoczyła z furgonetki, potknęła się, zatoczyła i omal nie upadła na betonową posadzkę garażu. Zamrugała szybko, oślepią jaskrawym blaskiem jarzeniówek, starając się jak najszybciej nie tylko odzyskać równowagę, ale i przyjąć dumną pozę. Ale kręciło jej się w głowie, nie mogła ustać prosto na wysokich obcasach.

- Może się pani poruszać o własnych siłach? - zapytał niższy strażnik z autentyczną troską w głosie.

Obaj mieli na sobie identyczne mundury, ale poza tym różnili się diametralnie. Podczas gdy pierwszy sprawiał wrażenie całkiem spokojnego, skupionego na swoich obowiązkach, drugi

już na pierwszy rzut oka był spięty do granic wytrzymałości, gotów w każdej chwili rzucić się na nią. Typowa para, dobry glina i zły glina, pomyślała. Nie zdążyła się nawet przyjrzeć twarzom swojej eskorty, kiedy wyższy bezceremonialnie wziął ją pod rękę.

- Padło pytanie, czy możesz chodzić o własnych siłach! - syknął jej prosto w twarz. - Dlaczego nie odpowiadasz?

Jennifer spojrzała na niego. Za kogo on się uważał? Identyfikator na piersi przedstawiał go jako Karla Byrda, ale mężczyzna w niczym nie był podobny do ptaka, przypominał raczej prawie dwumetrowego wzrostu, ważącą ze sto kilogramów dziką hienę.

- Dlaczego nie odpowiadasz? - powtórzył. - Możesz chodzić?

Ostępiała Spencer pokiwała głową i prowadzona przez strażników ruszyła w stronę drzwi.

Byrd wolną ręką sięgnął do umocowanej na ramieniu krótkofalówki i rzucił do mikrofonu:

- Otwórz, jeden zero dziewięć.

Kiedy zaterkotał zamek elektryczny, pchnął ciężkie drzwi. Jennifer odwróciła głowę, żeby odczytać nazwisko na identyfikatorze niższego strażnika, który został nieco z tyłu, i popatrzyła ze zdumieniem na zamykaną przez niego skrytkę przypominającą nocne okienko depozytowe w banku.

- To schowek na broń - wyjaśnił mężczyzna, dostrzegłszy jej pytające spojrzenie. - Na terenie zakładu nie wolno jej nosić przy sobie.

Nazywał się Roger Camry. Od pierwszej chwili wzbudził jej sympatię. W każdym razie nie wyglądał na groźnego sadystę, był raczej przeciętnym facetem rzetelnie podchodzącym do swoich obowiązków służbowych. Po raz pierwszy od wyjścia z domu uśmiechnęła się niewyraźnie. Na nowo wstąpiła w nią nadzieja. W korytarzu nie cuchnęło, strażnicy nie nosili przy sobie broni, a w dodatku jeden z nich sprawiał wrażenie sympatycznego. Może faktycznie ten zakład przypominał ośrodek wycieczkowy.

Ale już kilka metrów dalej poczuła jakiś dziwny zapach. Nie była to szpitalna woń środków odkażających ani płynu do mycia. Nie zdążyła jej jednak zidentyfikować, kiedy ciężkie meta-

lowe drzwi za jej plecami zatrzasnęły się z głośnym hukiem i brzękiem krat. Aż się wzdrygnęła. Byrd zachichotał krótko. Ten huk oznaczał dla niej definitywne odcięcie od świata.

Spojrzała w głąb długiego pustego korytarza na wprost i stała jak sparaliżowana.

- Idziemy! - warknął groźnie Byrd, ale nawet to nie mogło jej zmusić do ruszenia z miejsca.

Mętnie połyskiwało żółtawozielone linoleum. To była jej „Zielona Milla”. Musiała powtórzyć sobie w duchu, że przecież nie idzie na krzesło elektryczne, lecz i tak nogi jej się trzęsły. Nie mogła złapać oddechu. Potrzebowała jeszcze kilku minut, żeby się otrząsnąć. Kolana zaczęły jej tak silnie dygotać, że nabrała obaw, iż zaraz się przewróci, a nie chciała dać po sobie niczego poznać.

- Och, więc... - wymamrotała, próbując zapanować nad drżącym głosem. - Jak zauważyłam, nosicie imiona Roger i Karl. Ja jestem Jennifer Spencer. - Wyciągnęła rękę.

- Wiemy, kim jesteś - odparł Byrd, parsknąwszy pogardliwie niczym spłoszony koń. - Dość się napatrzyliśmy na twoje zdjęcia w gazetach i telewizji.

Nie uściskał jej jednak dłoni, jakby była dla niego nietykalną świętością. Ponownie chwycił ją pod ramię i pociągnął w głąb budynku.

Tego już było za wiele, przypominało to Jennifer sposób, w jaki siostra Imogene John traktowała dzieci w szkółce parafialnej. W dodatku Byrd tak mocno ścisnął jej rękę, że skrzywiła się mimowolnie, czym sprowokowała go do jeszcze silniejszego zwarcia palców. Nogi nadal się pod nią ugiwały. Gotowa była zapłacić tysiąc, nawet dziesięć tysięcy dolarów za kilka chwil na świeżym powietrzu. Ale nie było nawet o czym marzyć. Znalazła się pod kluczem. Stąd nie było wyjścia. Zaczerpnęła głęboko zatęchłego powietrza w korytarzu i nagle zrozumiała, co oznaczał ten nieprzyjemny zapach - czuła woń desperacji.

Byrd nadal nie wypuszczał jej ręki.

- Proszę mnie nie ciągnąć - odezwała się miękko.

Nie odpowiedział, ale i nie rozluźnił uścisku.

- To nie najlepszy sposób traktowania nowo przybyłych - dodała, znów o mało nie tracąc równowagi na śliskiej podłodze.

- Może lepiej ściągnij te szpilki - zaproponował Roger. - Ponesiesz je, będzie ci łatwiej. Nie zależy nam na tym, byś się przewróciła.

Jennifer spojrzała na swoje pantofle, po czym oceniła dystans, jaki został jej do pokonania. Nie chciała iść dalej boso, ale Byrd pochylił się nad nią, aż poczuła bijącą z jego ust niezbyt przyjemną mieszaninę zapachów dymu tytoniowego i gumy do żucia, a następnie warknął, nadając propozycji kolegi postać rozkazu:

- Ściągaj te cholerne buty! Zrozumiano?

Spencer zrozumiała, że nie powinna mu się dłużej sprzeciwiać. Posłusznie zdjęła pantofle i trzymając je za rzemyki, niemalże ściśnięta między barczystymi strażnikami, podreptała boso w głąb budynku. Może na skutek zadziałania mechanizmu obronnego w jej głowie pozostała tylko jedna myśl - ile kosztowały te szpilki od Louboutina.

Korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Kiedy wreszcie stanęli przed zamkniętymi drzwiami, nagle obleciał ją strach. Teraz zapragnęła, aby strażnicy nadal trzymali ją pod rękę. Bała się, że upadnie z przerażenia. Drzwi oznaczone były tabliczką z napisem: PRZYJĘCIE SKAZANYCH. Chcąc dodać sobie animuszu, zapytała Camry'ego:

- A jest tu inne wyjście, przeznaczone do uwalniania skazanych?

- Do środka - rzucił ostro Byrd, otwierając drzwi.

Puścili ją i weszła do pokoju sama.

Szeroki kontuar przecinał w połowie szarozielone pomieszczenie. Za nim znajdowały się otwarte drugie drzwi, w których pojawiła się wysoka, przystojna brunetka. Kruczoczarne włosy i niezwykle blada cera tworzyły tak silny kontrast, jakiego Jennifer nigdy dotąd nie widziała; upodobniały ją do Morticii Addams. Gdyby kobieta lepiej dobrała sobie fryzurę, byłaby naprawdę śliczna. I tak wyglądała ładnie, mimo ohydneho więziennego drelichu i odrażającego światła jarzeniowego. Miała lekko pociągłą twarz, długi prosty nos i jasnoblękitne oczy odziedziczone zapewne po celtyckich przodkach. Spencer szybko doszła do wniosku, iż może wreszcie rozpocząć procedurę wydobywania siebie z opresji. Bez wahania podeszła do kontuaru, stanęła na wprost nieznamomej i zapytała:

- Są dla mnie jakieś wiadomości?

- Że co?! - odparła ze zdziwieniem wyraźnie rozbawiona Morticia.

- Pytałam, czy są dla mnie jakieś wiadomości. Oczekuję telefonu od mojego adwokata.

- Chryste... - Kobieta zachichotała. - Jeszcze jedna z tych...

Obaj strażnicy stojący w wejściu zawtórowali jej śmiechem. Jennifer ofuknęła się w myślach za popełnioną gafę. W głowie jej się kręciło. Tak bardzo nawykła do rozmów z recepcjonistami w hotelach, którzy zazwyczaj mieli dla niej jakieś wiadomości czy fakсы, że dopiero poniewczasie uprzytomniła sobie, iż kobieta w drelichowym stroju musi być jedną z więźniarek. Poczwała, jak krew odpływa jej z twarzy.

Camry odpiął od pasa kółko, na którym klucze były upakowane gęściej niż podróżni w wagonie metra w godzinach szczytu, i otworzył kolejne drzwi, przy końcu kontuaru.

- Proszę tam wejść i skierować się w lewo - polecił.

Jennifer usłuchała. Znalazła się w małym pustym pokoiku, gdzie na środku stało samotne krzesło, a na nim leżał starannie złożony pomarańczowy kombinezon. Zanim zdążyła obejrzeć go z bliska, usłyszała, jak za jej plecami zamykają się drzwi. Niemal równocześnie otworzyło się wyjście na wprost. Obejrzała się szybko, ale nikt nie wszedł za nią, popatrzyła więc przed siebie, oczekując, że ktoś się zjawi z tej strony. Na miękkich nogach zrobiła jeszcze krok, ale odczuwała coraz silniejsze zawroty głowy. Znowu się potknęła, o mało nie upadła. Kosztowne pantofle wysunęły jej się z dłoni i potoczyły pod stopy wyniosłej kobiety o posępnej minie, ubranej w długi biały fartuch laboratoryjny.

- Proszę się rozebrać - powiedziała stanowczo gardłowym basem. - Musimy przeprowadzić badanie.

Nie była nawet gruba, ale miała dziwnie męską sylwetkę, bez przewężenia w talii i wypukłych bioder. Być może wynikało to z jej wieku.

- Stań wreszcie prosto, rozbierz się i poskładaj ubranie - powtórzyła nieco ostrzej.

- Jest pani lekarzem? - zapytała Jennifer, wciąż zgięta wpół.

- Jestem funkcjonariuszką przyjąć.

Dopiero po chwili Spencer uświadomiła sobie, że to nic jej

nie mówi. Ale nie oczekiwała też dalszych wyjaśnień. Kobieta wskazała wiszącą na ścianie tabliczkę, na której znajdował się dwujęzyczny napis, po angielsku i hiszpańsku: „Zdejmij całe ubranie i biżuterię, odłóż wszystkie rzeczy osobiste, włączając w to kontrabandę. Rozwiś ubranie na kołkach albo je złóż i zapakuj do foliowego worka, który znajdziesz pod kombinezonym. Kiedy skończy, naciśnij dzwonek”.

- Umiesz czytać? - spytała strażniczką.

Jennifer popatrzyła na nią jak na dziwoląga.

- Pewnie, że umiem - burknęła. - Na tyle dobrze, żeby od razu zauważyć błąd.

- Jaki błąd?

- Brakuje „sz” na końcu wyrazu „skończy”.

- Nie ja to pisałam - odparła kobieta.

- Typowe podejście. Nikogo nic nie obchodzi, dopóki nie jest to jego prywatną własnością. A powinno być inaczej.

- Czy rozumiesz, co tam napisano?

- Tak.

- Świetnie. Więc zapomnij o błędach i wykonuj polecenia.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Jennifer jeszcze raz popatrzyła na tabliczkę takim wzrokiem, jakby było tam napisane: „Porzucicie wszelką nadzieję wy, którzy tu wkraczacie”. Boże. Co miała robić? Zza zamkniętych drzwi doleciał śmiech strażników. Wcale nie był to ośrodek wypoczynkowy i jak dotąd nie spotkała się ze specjalnym traktowaniem, które obiecywali jej Donald i Tom. Musiała zająć jakąś koszmarna pomyłka. Najwyraźniej znalazła się na niewłaściwym oddziale. Tak, to by wszystko wyjaśniało. Zapewne było tu inne pomieszczenie, jakaś sala dla VIP-ów, gdzie powinni na nią czekać ludzie właściwego pokroju. Wstała, naciśnęła dzwonek, podniosła kombinezon oraz foliowy worek i usiadła na krześle. W zamyśleniu zaczęła przesuwać dłońią po nieprzyjemnej w dotyku tkaninie syntetycznej, jakby trzymała na kolanach kota.

Drzwi za jej plecami otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Camry.

- Jakiś problem, panno Spencer?

Jennifer uśmiechnęła się wyrozumiale, jakby miała przed sobą nowicjusza, który pomylił kotyliony na balu maskowym.

- No cóż, właściwie to nie jest żaden problem. Po prostu uświadomiłam sobie, że musiała zająć pomyłką. Powinam się raczej znaleźć w zupełnie innym miejscu. Czy jest tutaj ktoś poza... funkcjonariuszką przyjąć, z kim mogłabym porozmawiać?

Camry ciężko westchnął i pokręcił głową.

- Panno Spencer, miała pani ściśle wykonać polecenia wypisane na tabliczce. Tutaj, w zakładzie Jenningsa, nikt nie będzie pani niczego powtarzał dwa razy.

Boże, teraz nawet dobry glina się na mnie wkurzył! - przemknęło jej przez myśl.

- Zrozumiano?

Zanim zdążyła skinąć głową, od drzwi doleciał okrzyk Byrda:

- Trzeba jej pomóc ściągnąć majtki?! Mogę nawet przeprowadzić całą kontrolę osobistą! - Zarechotał głośno.

Jennifer wzdrygnęła się i szybko wstała. Nie chciała zniechęcać do siebie jedyne go przyjaznego człowieka, jakiego tu dotąd spotkała, ale postanowiła spróbować jeszcze raz.

- Tak - odpowiedziała, siłąc się na spokój. - Zrozumiałam. Tylko czy pan zrozumiał, co mówiłam? W ogóle nie powinno mnie tu być. Miałam się znaleźć w jakimś innym skrzydle, w dziale czy jak to nazywacie. Przyprawdziliście mnie w niewłaściwe miejsce.

Przez chwilę Camry patrzył na nią zdziwiony.

- A gdzież to niby powinna się pani znaleźć, panno Spencer? Uśmiechnęła się zalotnie.

- Proszę mi mówić po imieniu, Jennifer - powiedziała najłagodniejszym tonem, na jaki było ją stać. - Mogę się tak samo zwracać do pana, Roger?

W jego spojrzeniu odmalowało się jeszcze większe zdumienie.

- Lepiej trzymaj się zasad, Spencer. Daruj sobie te bzdury i pozwól funkcjonariuszce przyjąć wykonać zadanie. I tak poświęciliśmy ci już za dużo czasu. Na pewno nie chcesz, żeby naczelnik czekała na ciebie.

Naczelnik?! Oczywiście. Tylko on mógł podjąć jakąś decyzję. Trzeba było jedynie przejść wstępne formalności, a potem już śmiało oczekiwać obiecanego specjalnego traktowania. Jennifer jeszcze raz uśmiechnęła się do Camry'ego i powiedziała:

- Świetnie. Czy mogłabym teraz zostać sama?

Strażnik skinął głową i odwrócił się do wyjścia, sięgając po kółko z kluczami, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Byrd.

- Co tu się dzieje, do cholery?! - huknął. - Czemu to trwa tak długo?!

Spencer poderwała się z krzesła. Pomarańczowy kombinezon i worek foliowy spadły jej z kolan na podłogę.

- Podnieś to i przebieraj się! - wrzasnął Byrd. - Nie zapinaj kombinezonu!

- Zaraz, chwilę! - zaprotestowała. - Gdyby zechciał się pan skontaktować z naczelnikiem, przekonałby się pan, że mój adwokat na pewno już dzwonił i załatwił...

Urwała nagle, uświadomiwszy sobie, że w jej głosie przebija coraz wyraźniejsza histeria, a bardzo jej zależało, by nie stracić panowania nad sobą.

- Miałbym teraz rozmawiać z naczelnikiem?! Nie! Sama to zrobisz. Jeśli sądzisz, że twój adwokat rzeczywiście dzwonił, by cokolwiek załatwić... - Zamilkł na chwilę i zmierzył ją wściekłym wzrokiem. - Wydaje ci się, że załatwiasz apartament w jakimś fikuśnym hotelu? Myślisz, że przyjmujemy tu rezerwację? Pokój z pięknym widokiem? I stolik w restauracji dla dwóch osób?

- Ta uszczypliwość jest nie na miejscu - zauważyła lodowato.

- Owszem - przyznał Byrd. - Ale nie ruszysz się stąd na krok, dopóki nie zdejmiesz wszystkich ciuchów. Koniec dyskusji.

Jeszcze raz obrzucił ją złowrogim spojrzeniem, lecz tym razem śmiało popatrzyła mu w oczy.

- Dobrze - odparła. - Nie chcę sprawiać żadnych kłopotów. Zresztą i tak nie zabawię tu długo.

Camry odchrząknął i wtrącił pojednawczo:

- Proszę tylko wykonać polecenia wypisane na tabliczce i nacisnąć dzwonek, gdy pani skończy.

Spencer jeszcze raz rozejrzała się po pokoju.

- Nie macie tu wieszaków?

Byrd zaśmiał się krótko.

- Wieszaj ubrania na kolkach - rzucił przez ramię, wychodząc. - Tylko się nie pokalecz.

Strażnicy zamknęli za sobą drzwi. Jennifer bez pośpiechu zaczęła się rozbierać. Camry ma rację, pomyślała. Niepotrzebnie marnuję cenny czas. W końcu Tom musiał się kontaktować bezpośrednio z naczelnikiem. Strażnicy o niczym nie mieli pojęcia. Zatem im prędzej przejdzie te wstępne procedury, tym szybciej postawi na swoim. Powiesiła żakiet od Armaniego na jednym kołku, a jedwabną bluzkę na drugim, skrzywiwszy się przy tym na myśl, że tutaj zapewne nic nie jest czyste. Później zdjęła spodnie i postanowiła je powiesić pod żakiem, ale obie części kostiumu spadły na podłogę. Podniosła je i starannie powiesiła po raz drugi, ale efekt był ten sam. Rozchwiany kołek nie wytrzymał ciężaru ubrań. Aż przesył ją dreszcz, kiedy uzmysłowiła sobie, że nie jest to głupi dowcip. Kołki specjalnie wetknięto luźno w za duże otwory we framudze, żeby nikt nie mógł się na nich powiesić.

Pokręciła głową do własnych skojarzeń i ostrożnie rozmieściła każdą sztukę garderoby na osobnym kołku, po czym wciągnęła na siebie pomarańczowy kombinezon. Syntetyczna tkanina - z tercelu, herculonu albo czegoś jeszcze gorszego - okazała się nieprzyjemnie szorstka. Ponadto kombinezon był na nią zdecydowanie za duży, prawdopodobnie standardowej wielkości, żeby pasował na każdego. Z niechęcią pomyślała, że będzie zmuszona w czymś takim stanąć przed naczelnikiem. W pokoju brakowało lustra, więc tylko na wyczcucie spróbowała jakoś ułożyć ten strój na sobie. Od lat bardzo dbała o wygląd, wypracowała własne metody, dzięki którym nawet paskudny mundurek szkółki parafialnej na niej wydawał się trochę bardziej stylowy. Wreszcie wyciągnęła swój pasek ze skóry aligatora z szlufek spodni i spięła się nim w pasie. Rozprostowała jeszcze kilka ostatnich fałd i nacisnęła dzwonek, uznawszy, że jest gotowa spotkać się z naczelnikiem. Telefon komórkowy wetknęła pod stanik.

Razem z Camrym do środka weszła Morticia. Jennifer mimo woli zauważyła, że na niej taki sam kombinezon leży niczym szyty na miarę. Kobieta obrzuciła ją taksującym spojrzeniem od stop do głów. Przez chwilę obie stały naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem kobiet, które przypadkiem zjawiły się na

przyjęciu w identycznych sukniach. Kiedy oczy Morticii spo-
czyły na skórzanym pasku, błyskawicznie zasłoniła sobie usta
dłonią, żeby ukryć szeroki uśmiech.

- Możemy już zaczynać sesję zdjęciową, panno DeMille? -
zapytała.

- Bez wygłupów, Cher. Bierz się do pakowania - ofuknął ją
Camry, po czym zwrócił się do Jennifer: - Panno Spencer, pro-
szę zdjąć pasek. To wbrew przepisom.

- Boi się, że mogłabyś się na nim powiesić - wyjaśniła Mor-
ticia z silnym akcentem, który zdradzał jej prostackie pocho-
dzenie. - Ściągaj też stanik i majtki, jeśli je nosisz.

- Co takiego?

- Muszę cię obszukać, zanim przejdziesz do pani Cranston
na szczegółową kontrolę.

Spencer tylko jęknęła głucho, podchwyciwszy spojrzenie
Camry'ego. Musiała słuchać jego poleceń. Rozpinając pasek,
zwróciła uwagę, że Morticia podniosła z podłogi jeden jej pan-
tofel i gładziła go delikatnie palcami, jakby miała do czynienia
ze świętym Graalem. Widocznie po raz pierwszy w życiu zoba-
czyła prawdziwe szpilki od Louboutina. Obróciwszy się tyłem
do strażnika, Jennifer zaczęła ostrożnie rozpinąć stanik, by nie
wypadł jej telefon. Udało jej się wyciągnąć go z ukrycia i już
miała go wsunąć do rękawa, gdy poczuła, że ktoś ciekawie
zgląda jej przez ramię.

- Co tam masz?

Morticia złapała ją za rękę, wyszarpnęła aparat i uniosła go
nad głowę, demonstrując Camry'emu.

- Skąd go wzięłaś? - zapytał strażnik. - To się tu nazywa
kontrabanda, Spencer. W zakładzie Jenningsa można mieć
przez to olbrzymie kłopoty. Twoje szczęście, że znaleźliśmy te-
lefon teraz, a nie później.

Ruchem głowy wskazał worek foliowy i Morticia pospiesz-
nie wrzuciła aparat do środka. W otwartych drzwiach stanęła
funkcjonariuszka w białym fartuchu.

- No, jak? Możemy wreszcie przejść dalej?

- Skazana jest gotowa - odparł Camry, kładąc dłoń na ra-
mieniu Jennifer i popychając ją lekko do wyjścia.

Spencer dostrzegła kątem oka, że Cher ukradkiem próbuje
przymierzyć jej pantofel.

- Co robisz?! - krzyknęła.

Morticia błyskawicznie wyprostowała się i postawiła but na kontuarze.

Kiedy Camry się obejrzał, odważnie popatrzyła mu prosto w oczy z niewinną miną.

- Do roboty, Cher - nakazał. - Spisz wszystkie rzeczy osobiste i odnieś worek do magazynu.

- Dokąd zabieracie moje ubrania? - spytała Jennifer, ale nikt jej nie odpowiedział.

Spojrzawszy na swój kombinezon, pomyślała, że jeśli Cher ukradnie jej ubranie, będzie musiała poprosić Toma, by coś jej przywiózł z domu, kiedy przyjedzie jutro, żeby ją stąd zabrać. Na pewno wybierze coś stosownego. Miał dobry gust w doborze strojów. Niekiedy prezentował się lepiej w garniturze Prado niż ona w kosztownej garsonce.

- W porządku. Idziemy - odezwała się kobieta w fartuchu tak dudniącym głosem, że Jennifer aż przeszył dreszcz.

Postanowiła całą resztę procedury potraktować jak surrealistyczne doświadczenie, jakby to nie ona brała w niej udział, ale zupełnie obca osoba w więziennym stroju. Miała nadzieję, że w ten sposób łatwiej jej będzie wszystko znieść. Została zważona, zmierzona i sfotografowana. Kiedy funkcjonariuszka pobierała jej odciski, Spencer ze spokojem obserwowała, jak obraca każdy jej palec na poduszeczce z tuszem i przytyka do formularza. Na koniec zapytała:

- Nie wie pani, czym można zmyć ten tusz z rąk? Nie wierzę, by dało się go usunąć zwykłym mydłem.

- Najskuteczniejszy jest chlorowy wywabiacz do plam, Spencer.

Nie uznała tego ani za przejaw ironii, ani za żart. Zresztą nie było jej do śmiechu. Odparła poważnie:

- Pytam, bo skoro zajmuje się pani tym na co dzień, może pani znać odpowiedni środek. Muszę zapamiętać, żeby proponować naszym klientom z firmy Chesebrough-Ponds, by zajęli się opracowaniem specjalnego płynu do usuwania tuszu stosowanego do pobierania odcisków palców.

Funkcjonariuszka przyjęc odchyliła głowę do tyłu i ryknęła gromkim śmiechem.

- No pewnie! Niech go nazwą „Czyścipalcek"! A teraz włącz na stół.

Jennifer z ociąganiem wdrapała się na żelazną ławę. Pomyślała, że gdy tylko ta czarownica skończy ją obmacywać, będzie mogła wreszcie zadzwonić do Toma, który na pewno już podjął starania, żeby ją stąd wyciągnąć. Była pewna, że wszystko musi się dla niej dobrze skończyć. Dlatego na razie godziła się nawet stanąć na stole.

- Rozepnij kombinezon i schyl się - poleciła funkcjonariuszka.

Zacęła powoli, systematycznie naciągać grubą gumową rękawicę. Kiedy ułożyła w niej dłoń i głośno strzeliła elastycznym ściągaczem na nadgarstku, Spencer przeszedł po plecach lodowaty dreszcz.

- Sprawdzenie otworów ciała - wyjaśniła strażniczka.

Żołądek znów podszedł jej do gardła.

- Po co? - bąknęła nieśmiało, uświadomiwszy sobie ze wstrętem, że nie jest w gabinecie ginekologicznym. - To naprawdę konieczne? - zapytała nieco głośniejszym głosem. - Przecież nie zostałam skazana za handel narkotykami ani napad z bronią w rękę.

- Bez dyskusji - odezwała się łagodniejszym tonem kobieta. - Ani się obejrzysz i będzie po wszystkim. Chyba nie chcesz, żebym wezwała kogoś do pomocy?

4

Movita Watson

Przykazałam, że dopóki nie zdecyduję inaczej, ta lalunia - czyli nowa skazana wkraczająca do Wewnątrz - ma być w mojej grupie numerem 71036.

- To zwykła nadęta żałosna biała waźniaczka - powiedziałam. - Nie będzie musiała, jak my wszystkie, siedzieć prosto i uważać tylko dlatego, że miałyśmy pecha trafić do tego pierdła. Dla nas będzie zerem.

Bo jestem królową roju u Jenningsa. I choć to pewnie mało się liczy na Zewnątrz, tutaj najważniejsze jest to, żeby nie podpaść. Nikt nie lubi być dołowany - nikt nie chce dolnej pryczy, nie chce być na dole grupy, nie chce niczego z dołu w więzieniu. Ja zawsze byłam na górze i nie zamierzam z tego rezygnować.

Cher, najzabawniejsza, najsprytniejsza i najgorsza z naszej gromadki, powiedziała:

- Musicie wiedzieć, że ta numer 71036 miała na dupsku najdelikatniejsze jedwabne gacie, jakie w życiu widziałam.

Siedziałyśmy wtedy nad lunchem przy naszym stoliku w stołówce. Obiad zawsze szykuje ktoś od nas, ale przerwa na lunch jest krótka i przywożą gotowe żarcie. Pewnie przy pierwszym spotkaniu musiałybyśmy się wydać niezbyt przyjemną paczką. Ja jestem słusznej postury i ładną czarną kobietą, ale całą resztę grupy mam białą. W przeciwieństwie do facetów, u których rzadko sadza się razem białych i czarnych, więźniarki dobierają się głównie na tej zasadzie, czy się nawzajem lubią i czy mogą sobie wzajemnie pomóc. I moje dziewczyny to naj-

bardziej zgrana, wydajna i przywiązana do siebie ferajna w pierdlu. Jesteśmy jak rodzina.

Jak już mówiłam, jestem ich szefową. Jako sekretarka naczelniczki zajmuję u Jenningsa pozycję, którą mało kto mógłby podważyć. Cher McInnery pracuje na przyjęciach, a to oznacza, że po jej kontuarze płynie prawdziwy strumień różnych fajnych rzeczy, kiedy nowe więźniarki się rozbierają i oddają wszystko do magazynu. I jakaś część z tego strumienia, choćby tylko mały strumyczek, oddziela się w kierunku Cher i tym samym co nieco z niego trafia do mojej grupy.

No i z tego powodu Cher ma przewagę nad resztą paczki. Jako jedyna z nas miała już okazję widzieć Jennifer Spencer na własne oczy. Bo choć powtarzałam, że dla mnie to żadna pięprzona atrakcja, to przecież wszystkie nasłuchiwałyśmy się o numerze 71036 w wiadomościach, czytałyśmy o „upadku księżniczki Wall Street”, więc się paliłyśmy, żeby z nią pogadać.

Zrozumcie, w pudle nic się nie zmienia. To chyba najgorsza rzecz, jaka nas spotyka Wewnątrz. Wszystkie jesteśmy tak samo ubrane, trudno odróżnić Gwiazdkę od Święta Niepodległości, okna są za wysoko, żeby przez nie wyjrzeć, a na dziedzińcu nie ma ani jednego źdźbła trawy, w które nie wlepiłoby się dotąd czterysta par oczu. W ogóle nie ma na co patrzeć, nie licząc murów i nas samych, a przecież kobiety lubią oglądać nowości. Czytałam kiedyś w jakimś piśmie naczelniczki, że fachowcy nazywają to deprivacją sensoryczną. Ja to nazywam po prostu cholernym świństwem.

- Jak była ubrana? - zaciekawiła się Theresa LaBianco, wpadając w typowy dla siebie rytm: „A jak była uczesana? Jak umalowana?”.

Podobno kiedyś liczyła się na rynku hurtowej sprzedaży kosmetyków, dostarczała tusz do rzęs setkom gospodyń domowych. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić, co we wszystkich grypsach będzie pisała o tej nowej laluni.

Theresa pracuje w stołówce, w związku z czym zawsze podrzuca nam świeże produkty - na przykład pieczonego kurczaka - gdy tylko wyjeżdża po zakupy. Wewnątrz znalazła się tylko dlatego, że jej mąż dał się przyłapać na fałszowaniu wpisów w księgach rachunkowych. Mimo to ani trochę nie straciła ochoty do życia, nie przestała nawet myśleć o tym palancie.

Bardzo lubi wszystkie barwne opowieści, a szczególnie jest zainteresowana relacjami Cher z przyjmowania nowych skazanych. Mówi, że czuje się wtedy tak, jakby oglądała wystawy sklepowe.

- No więc przyjechała w butach z najdelikatniejszej skóry, jakiej w życiu dotykałam - zaczęła Cher bez pytania, wiedząc, że wszystkie na to czekają. Pokręciła głową. - Takie pantofle muszą kosztować ze cztery stowy, jeśli w ogóle można je gdzieś kupić.

- Chyba wiesz, co się mówi na temat butów? - podchwyciła Theresa. - Że czyjeś kłopoty można zrozumieć tylko wtedy, gdy się przejdzie kilometr w butach tego człowieka.

LaBianco zna stosowne powiedzenia na każdą okazję. Żyje przysłowiami. Twierdzi, że w ten sposób zachęcała swoje klientki do kupna kosmetyków. Ale mnie te jej mądrości tylko wkurzają.

- Nie wierzę, aby 71036 miała jakieś kłopoty z przejściem kilometra w tych butach - odparła pospiesznie Cher. - A ja zamierzam w nich przejść wiele kilometrów. - Zaśmiała się głośno.

- Chyba ich nie zabrałaś? - zapytała zdziwiona Suki Conrad.

Jest pupilkiem grupy, wiecznym niewiniątkiem. Pracuje w pralni i jeśli o nią chodzi, nieważne, co może zrobić dla nas, ale co my możemy zrobić dla niej. To właśnie dzięki Suki czujemy się choć trochę lepsze.

- Pewnie, że je zgarnęłam - oznajmiła dumnie Cher. - Jak tylko zobaczyłam, że to mój rozmiar, ósemka, uznałam to za dobry znak. Zbliży się termin mojego zwolnienia warunkowego i doszłam do wniosku, że czubki tych szpilek to strzałki wskazujące mi drogę wyjścia z pudła.

Jak Theresa żyje przysłowiami, tak dla Cher najważniejsze są dobre i złe znaki, symbole i omeny.

- Dziewczyno - odezwałam się, westchnąwszy głośno. - Nie możesz całe życie kraść. Kiedyś cię przyłapią i będziesz musiała zapomnieć o zwolnieniu warunkowym. Poza tym to nie w porządku.

- Wiecie chyba, co się mówi na temat kradzieży - wtrąciła LaBianco. - Że Bóg pomaga tym, którzy sami umieją sobie pomóc. Tak się mówi.

Nigdy nie byłam pewna, czy tego rodzaju uwagi Theresy służyć poparciu mego stanowiska, czy też przeciwnie.

- No i Bóg zabrania kradzieży - zauważyła ostro Suki. - Siódme przykazanie mówi: nie kradnij.

- Nie ma się czym przejmować. Bogu podkradałam tylko w młodości, zgarniając po parę monet z tacy w szkółce niedzielnej. - Cher zachichotała. - No i nigdy nie zwędziłam niczego ludziom, którzy biedują. Tak samo nigdy nie okradam głupków.

Cher jest złodziejką i mówi o tym wprost. Nie widzi nic złego w tym, co robi. Dla niej niesprawiedliwość polega na tym, że inni mają więcej od niej, dlatego na własną rękę wyrównuje te różnice. Właśnie przez to wylądowała w pudle, ale nie umie się powstrzymać, kiedy do Jenningsa przyjmowane są nowe więźniarki. Po prostu wkłada do torby tylko te rzeczy, które jej się nie przydadzą, po czym wypisuje na wierzchu nazwisko oraz numer skazanej i odnosi worek do magazynu. Za to potrzebne jej rzeczy wkłada do drugiej torby, z innym numerem i nazwiskiem. Nikt się po nią nigdy nie zgłosi, bo są to dane kobiet, które zmarły albo zostały zwolnione. Cher dopracowała ten system do perfekcji i ma już mnóstwo takich worków, które czekają w magazynie, na widoku strażników.

- Jak była ubrana? - zapytała Theresa.

- W kostium od Armaniego. Jeszcze nigdy mi się nie udało takiego podprowadzić. Są tak piekielnie drogie, że w sklepach zwykle mocuje się drutem wieszaki do regałów.

- Nie sądzę, żeby 71036 musiała cokolwiek kraść - powiedziała Suki. - Pisali w gazetach, że jest naprawdę bogata.

- Bo jest chciwa - syknęła Cher. - Przyskrzynili ją na kradzieży forsy z Wall Street. A więc jest złodziejką jak ja.

- Widziałas jej zdjęcie w dzienniku telewizyjnym - ciągnęła Suki. - Wygląda jak gwiazda filmowa.

- Chyba wiesz, co mówią o zdjęciach, prawda? - odezwała się Theresa.

- Tak, wszystkie wiemy to doskonale - wtrąciłam szybko, rozdrażniona. - Zachowujecie się tak, jakbyśmy nigdy wcześniej nie przyjmowały tutaj podobnych świętych krów. Pamiętajcie Jackie James, tę małą porąbaną wariatkę, która zamordowała dwójkę swoich małych dzieci w czasie wycieczki do No-

wego Jorku, a potem opowiadała glinom, że porwali je moi czarni bracia? O niej też pisali we wszystkich gazetach.

- Nikt nie lubi dzieciobójczyń - odparła Cher.

- Ani gwałcicielki - dodała Theresa. - Przypomnijcie sobie tę nauczycielkę, Camille Lazzaro, co postanowiła nauczyć chłopca ze swojej klasy czegoś więcej niż tylko geografii. Zdaje się, że to wówczas dziennikarze dopatrywali się ukrytego znaczenia w określeniu „klasowy pupilek”. Później urodziła dziecko, którego ojciec nie miał nawet trzynastu lat.

- Albo ta Carole Waters z Oddziału Trzeciego - podchwyciła Cher. - Namówiła chłopaka, żeby zamordował jej męża i teściową, bo chciała dostać odszkodowanie z polisy na życie. O niej też rozpisywali się w gazetach.

- Lepiej trzymać się z daleka od każdego, kto zabija dla forsy. - Theresa pokręciła głową. - Co innego, jak przyłapie się swojego chłopca na obmacywaniu twojej siostry czy córki. Takiego to i ja bym zabiła. Ale żeby mordować kogoś dla forsy? Obrzydlistwo.

- Coś sobie przypomniałam. - Cher zaśmiała się krótko. - Czy któraś z was słyszała w radiu tę piosenkę Dixie Chicks *Żegnaj, Earl?* Kojarzy mi się z tobą, Movita.

Jak tylko to powiedziała, zrobiło się całkiem cicho.

- Nie będziemy teraz mówić o Earlu - odparłam stanowczo.

Cher nie odezwała się już ani słowem. Nie miała odwagi. Pajnuje u nas niepisane, ale skutecznie egzekwowane prawo, że nie rozmawia się o czyimś życiu na Zewnątrz. A już z pewnością nie wspomina się nikogo z bliskiej rodziny ani czyjegós mężczyzny, jeśli nie dostanie się na to zgody.

Większość kobiet wylądowała Wewnątrz właśnie z powodu mężczyzn. Czy to zostały wplątane w ich nielegalne działania, czy też któregoś dnia nie wytrzymały ciągłego bicia i krwawo się zemściły. Śmiało można powiedzieć, że olbrzymia część w ogóle nie wiedziałyby o istnieniu zakładu Jenningsa, gdyby nie takie nędzne szumowiny jak mój Earl. Mężczyźni łatwo ulegają słabostkom, choćby takim jak alkohol czy prochy. Już dawno zrozumiałam, że sama ulegałam słabostkom mojego Earla, i szczerze mówiąc, nie mam ochoty, żeby ktoś mi o tym przypominał.

Dłuższe milczenie przerwała Suki.

- Myślicie, że ta Jennifer Spencer także popadła w kłopoty z powodu swojego chłopaka?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło - powiedziałam. - Znam się na księgowości, a wygląda ona tak samo w przychodni dentystycznej w Kew Gardens, jak i banku inwestycyjnym z Wall Street. Wszystko opiera się na takim fałszowaniu rachunków, żeby wyciągnąć z nich dla siebie tyle, ile się da. W tym zakresie prawa ustanawiają mężczyźni i pewnie długo się to jeszcze nie zmieni.

- Odniosłam wrażenie, że 71036 całkiem dobrze się czuje w męskim towarzystwie - dodała Cher. - Powinnyście zobaczyć, jak sprytnie owijała sobie wokół palca Rogera Camry'ego. Gadał jak najęty: panno Spencer to, panno Spencer tamto... Aż się niedobrze robiło.

- A Byrd? - zapytałam. - Ten kutas też się do niej przystawiał?

- Jeszcze nie. - Cher uśmiechnęła się chytrze. - I tak ją w końcu dopadnie, ale na razie wyglądało na to, że zostawił Rogeroowi wolną rękę w przełamywaniu pierwszych lodów.

Suki nagle wstała, nie wiadomo czym rozżłoszczona, złapała swoją tacę i burknęła:

- Nie będę tu siedziała i wysłuchiwała tych waszych świństw. Muszę wracać do pralni.

Odniosła tacę do okienka i wyszła ze stołówki.

- Co ją ugryzło? - zapytała Cher, choć pewnie dobrze znała odpowiedź.

- Pewnie zbliża jej się miesiączka - wyjaśniłam, mimo że byłam niemal pewna, iż chodzi o coś zupełnie innego.

- Chyba słyszałyście to powiedzenie o miesiączce u kobiet siedzących razem w więzieniu? - odezwała się Theresa.

- Wiesz co? Gdybyśmy naprawdę wszystkie dostały miesiączki w tym samym czasie... - zachichotałam - ...atmosfera byłaby tak napięta, że cały ten budynek zatrzęsłby się i rozsypał w gruzy, a my mogłybyśmy swobodnie wyjść na Zewnątrz.

Właśnie w tym momencie koło naszego stolika przechodziła stara Wiosenka, która opiekuje się ogródkiem kwiatowym. Musiała usłyszeć moje ostatnie słowa, gdyż przystanęła i zapytała konspiracyjnym szeptem:

- Ktoś planuje ucieczkę?

- Nie, siostrzyczko - odparłam łagodnie. Wiosenka próbowała ucieczki chyba z pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt razy. - Po prostu czekamy, aż cała ta ruina sama rozsypie się w gruzy. Wtedy i ty będziesz mogła przetaszczyć swoje dupsko przez stertę kamieni i pójść, dokąd dusza zapragnie.

Uśmiechnęłam się do niej szeroko, a ona głośno zarechotała.

Kiedy śmiech Wiosenki rozległ się gromkim echem wśród betonowych murów, wszystkie więźniarki na stołówce popatrzyły w naszym kierunku.

Gwen Harding

- Dzień dobry panu - odezwała się niemal radośnie nowa skazana, kiedy tylko Camry i Byrd wprowadzili ją do gabinetu.

Gwen Harding rzadko miała okazję do śmiechu podczas spotkań z przyjmowanymi więźniarkami, ale nie zdołała się opanować na widok osłupienia na twarzy Jennifer Spencer, jakie wywołało odkrycie, że „pan” naczelnik jest kobietą. Jak większość kobiet zakładała widocznie, iż Harding jest mężczyzną, z którym będzie można poflirtować. I najwyraźniej do głębi wstrząsnęło nią odkrycie, jak bardzo się pomyliła.

Była szczupła, dość wysoka, z masą natapirowanych ciemnych włosów i wielkimi czarnymi oczyma. Kiedy tak patrzyła z niedowierzaniem na Harding, malujące się w nich osłupienie przeszło w zmieszanie, a następnie w coś kojarzącego się z... krętownicą. O tak, ta dziewczyna może mi przysporzyć wielu kłopotów, pomyślała Gwen. Jej ojciec zapewne opisałby to słowami: „Zbyt chytra, aby mogło jej to wyjść na dobre”.

- Proszę usiąść. - Harding wskazała jej krzesło stojące przed biurkiem.

W jej gabinecie były dwa krzesła dla gości. Zajęcie tego drugiego, które stało z boku, rzadko proponowała nawet swoim podwładnym. Tylko to pierwsze, znane powszechnie jako „gorący stołek”, było odpowiednie dla tyłka skazanej. Ale panna Spencer, która błyskawicznie otrząsnęła się z zaskoczenia, niepomna wszelkich zasad pospiesznie usiadła na krześle przy biurku. Camry natychmiast zrobił krok w jej stronę, ale Harding szybko pokręciła głową. Domyślała się już, co ją czeka.

tutaj standardowym wyposażeniem, będzie mi potrzebny taki sprzęt.

Oniemiała Harding miała ochotę przetrzeć oczy ze zdumienia.

- Poza tym będzie mi potrzebny dostęp do koparki i mile bym widziała kogoś do pomocy w pracach biurowych. Nie wiem, czy w pani personelu znajdzie się ktoś z odpowiednim wyszkoleniem, toteż chętnie zapłaciłabym jakiejś osobie dojeżdżającej z miasta.

Naczelnik z coraz większym niedowierzaniem słuchała długiej listy wymagań więźniarki 71036 dotyczących „szczególnego traktowania” i „specjalnych warunków”. Po raz pierwszy zamiast gorących zapewnień o niewinności musiała wysłuchiwać żądań kobiety nawykłej do wydawania rozkazów, które są błyskawicznie wypełniane. Nawet Margaret Rafferty, wywodząca się przecież z najwyższych warstw społecznych, nie wykazała się podczas wstępnej rozmowy aż taką arogancją i brakiem poczucia rzeczywistości. Czyżby Spencer naprawdę sądziła, że cały zakład kamy będzie się kręcił wokół niej? Kto jej nabijał do głowy takich bzdur? Jej szef? A może pomieszało jej się przez ten sukces na Wall Street? W końcu jej pochodzenie, jak wynikało z akt personalnych, nie mogło być przyczyną aż tak zdumiewającego zadufania w sobie.

Gwen westchnęła. Niezależnie od przyczyn, z takim nastawieniem Spencer napotka same kłopoty w więziennej społeczności. A co zrozumiałe, nie zjednywało jej ono również sympatii Harding. Im dłużej słuchała, tym zimniejsze dreszcze przebiegały jej po karku i silniej ją ścisnęło za gardło. Zawsze zaczynała się jąkać, ilekroć miała do czynienia z kimś tak aroganckim i pełnym pychy. Podczas specjalnej terapii nauczyła się regulować oddech, porządkować myśli i mówić z określonym rytmem, co tłumило naturalne odruchy. Zdołała nad sobą zapanować podczas spotkania z przedstawicielami JRU, ale teraz czuła, że będzie się jąkać, a to doprowadzało ją do wściekłości. Dlatego siląc się na spokój, ułożyła płasko dłonie na krawędzi biurka, pochyliła się lekko i odliczając w myślach wyuczone: „do biegu - gotów - start”, syknęła nowo przybyłej prosto w twarz:

- Muszę panią zawieść, panno Spencer, ale pani tu o niczym nie będzie decydowała.

Przede wszystkim chciała powstrzymać ten strumień idiotycznych żądań i swój cel osiągnęła. Jennifer zamilkła i pobladła. Gwen, zadowolona z osiągniętego efektu, szybko uwolniła się od złości i poczuła, jak słabnie ucisk w gardle. Nie mogła dać się zastraszyć. Nie mogła też pozwolić, by Spencer zapomniała, z jakich pozycji obie rozmawiają. Przecież bardzo było jej potrzebne wsparcie naczelniczki.

- Znalazła się pani tutaj, by uzyskać pomoc. A moim celem jest udzielić pani tej pomocy - wycedziła Harding, wciąż rytmicznie rozdzielając sylaby. Wreszcie głębiej odetchnęła i ciągnęła znacznie swobodniej: - Nie będzie pani miała ani biurka, ani przenośnego komputera. Nie dostanie pani nikogo do pomocy. Przydzielę pani pracę, za którą otrzyma pani wynagrodzenie. Wszystkie kobiety przebywające w zakładzie Jenningsa muszą pracować. I nikt nie może tu liczyć na jakiekolwiek specjalne traktowanie. Czy wyraziłam się jasno?

Owo rytmiczne oddzielanie sylab także odniosło skutek. Słuchająca więźniarka kilkakrotnie w osłupieniu otworzyła i zamknęła usta, potem wyprostowała się na krześle, a przez cały czas mechanicznie, jak robot, potakiwała głową niemal do taktu padających słów.

Doskonale, pomyślała Gwen, spoglądając uważnie w oczy Spencer. Początkowo chciała ją przydzielić do pracy w bibliotece, ale teraz nie miała już żadnych wątpliwości, że tego typu kobiecie potrzeba czegoś całkiem innego niż nadzór spokojnej i pobłażliwej Margaret Rafferty. Trzeba jej było wpoić od nowa system wartości, nauczyć współdziałania, a nawet dać posmakować upokorzenia, jeśli miała jakoś przetrwać okres kary.

Naczelnik, już całkiem rozluźniona, wstała z krzesła i przysiadła na brzegu biurka, żeby mówić dalej. Tymczasem Jennifer wyprężyła się jak struna i zapatrzona w nią, z dłońmi splecionymi na kolanach, słuchała z taką uwagą, jak podczas uroczystego nabożeństwa.

- Najpierw będzie pani musiała spędzić noc w sekcji obserwacji, bo tego wymagają przepisy.

Harding była prawie pewna, iż ta standardowa procedura w przypadku Spencer nie jest konieczna, nie mogła jednak zupełnie wykluczyć, że arogancka postawa więźniarki stanowi efekt działania narkotyków bądź ukrytych skłonności samobój-

czych. Zdawała sobie sprawę, że Jennifer bardzo źle znieśie tę noc na obserwacji, która była złem koniecznym, odzierającym każdego z godności. Nie zmieniało to jednak faktu, że wciąż nie miała pojęcia, jaki przydział będzie dla niej najodpowiedniejszy.

- Panno Spencer, chyba rozumie pani, jak mam nadzieję, że wszystkie kobiety w zakładzie Jenningsa muszą pracować. A poza oczywistymi obowiązkami, takimi jak sprzątanie, mamy różne zajęcia w warsztatach. - Urwała, chcąc się przekonać, czy sens jej słów dociera do więźniarki. Jennifer pospiesznie skinęła głową. - Wynagrodzenie za pracę jest znikome. W większości przeznaczają się je na pokrycie kosztów utrzymania, które obciążają podatników.

- Tak, wiem - odpowiedziała rzeczowo skazana. - Sama narzekam na bardzo uciążliwy gorset podatkowy, w który mnie wbito.

Gwen spojrzała jej w twarz, dopatrując się cienia ironii czy wręcz wyzwania w tej uwadze. I w tej samej chwili uprzytomniła sobie, które miejsce pracy będzie najbardziej stosowne dla Jennifer Spencer.

- Na początek przydzielę panią do pralni. Mam nadzieję, że nie będzie tam pani źle. Po pewnym czasie rozważę możliwość pani awansu.

Uśmiechnęła się lekko, chcąc dodać więźniarce odwagi. Następnie zaczerpnęła głęboko powietrza i przystąpiła do końcowej przemowy. Znała ją na pamięć, gdyż musiała powtarzać to samo, ilekroć spotykała się z nowo przywiezioną skazaną.

Recytując wyuczone słowa, starała się jednocześnie zdecydować, do której celi przydzielić Spencer po zakończeniu obserwacji. Dość szybko postanowiła umieścić ją w grupie Movity, od której Jennifer powinna się wcześniej czy później nauczyć dbać o własną skórę. Zresztą wiedziała, jak bardzo Watson jest zainteresowana nową więźniarką. Zwróciła uwagę, że z bibliotecznego wózka wybiera wszelkie gazety i czasopiśma, w których drukowano artykuły na jej temat.

Zamilkła na chwilę, a podejmując przerwany wątek, zaczęła rozmyślać o ścisłej hierarchii istniejącej w grupie Movity. Watson kierowała nią umiejętnie, potrafiła wykorzystać uzdolnienia poszczególnych kobiet. Niemniej żadna podlegała jej więźniarka nie zaznała nigdy aż takiego bogactwa i takich przywile-

jów jak Jennifer, nie ulegało zatem wątpliwości, że jeśli spróbuje ona równie wysoko zadzierać nosa w celi, jak na początku tego spotkania, szybko doczeka się jego rozkwazenia. Dlatego też Gwen przyglądała się nowej z uwagą, próbując rozstrzygnąć, czy Movita zaakceptuje ją w swojej grupie, czy też nie. Doszła jednak do wniosku, że czas pokaże. Bo i trzeba było czasu, żeby zaakceptować Spencer.

Zakończyła przemowę i oznajmiła, że spotkanie dobiegło końca, po czym wezwała Camry'ego i Byrda, by odprowadzili skazaną na obserwację.

Kiedy została sama w gabinecie, poczuła się rozczarowana wydarzeniami tego dnia. Spencer swoją postawą mocno nadzarpnęła jej wiarę w siebie. A może zrobili to wcześniej ludzie z JRU? Nie potrafiła jasno określić powodu swego rozczarowania. Zarówno Jennifer, jak i młoda przedstawicielka JRU wyraźnie taksującym wzrokiem obrzucały niemal każdy centymetr jej stroju, upodabiając się tym samym do nadgorliwych ochroniarzy w sklepie Saksa. Co więcej, Spencer wkroczyła do gabinetu z taką miną, jakby miała skontrolować kwartalne sprawozdanie finansowe. Może dlatego Harding nie umiała teraz rozstrzygnąć, kto bardziej sprawił, że czuła się teraz poniżona: nowa skazana czy Łysol z JRU.

Od początku pracy w zakładzie Jenningsa prowadziła szczegółowy dziennik. Trzymała go pod kluczem w najniższej szufladzie po lewej stronie biurka - obok butelki ginu, szklaneczki i słoiczka z oliwkami.

Bardzo często się zdarzało, że kończyła swój codzienny wpis do dziennika dopiero późnym wieczorem. Sącząc gin, czytała swoje spostrzeżenia i dopisywała następne. I każdego wieczoru musiała sobie wmawiać, że systematyczne prowadzenie notatek jest dla niej źródłem inspiracji i pociechy, gdyż w głębi serca była przeświadczona, że tylko ten gin zatrzymuje ją w gabinecie po godzinach pracy. Oprócz niego miała tylko pusty dom i do tej pory pilnie się wystrzegała, aby nie pić wieczorami w samotności. Po tym, jak zmarła jej matka, ukochany yorkshire zdechł przed dwoma laty, a mąż odszedł od niej dużo wcześniej, naczelnik Harding nie miała już żadnego powodu, aby po zakończeniu służby natychmiast wracać do domu.

6

Jennifer Spencer

Kiedy Jennifer, znów ściśnięta między strażnikami jak wartość kanapki między kromkami chleba, została wyprowadzona z gabinetu naczelniczki, ogarnęło ją tak niezwykle przeżenie, że musiała z całej siły zacisnąć pięści i wbić sobie paznokcie w dłonie, żeby nie zacząć krzyczeć na cały głos albo nie rzucić się do ucieczki.

Nie miała jednak dokąd uciekać. Wciąż nie mieściło jej się w głowie, że dostała wyrok skazujący i wylądowała w zakładzie karnym Jenningsa. Jeszcze nie wierzyła, że ktoś taki jak ona może się znaleźć za kratami. Donald i Tom tyle razy jej to powtarzali, że przyjęła to za pewnik.

Tylko jedna osoba ostrzegała ją przed wchodzeniem w jakiegokolwiek układy z Donaldem Michaelsem - zastępca głównego księgowego, Leonard Benson. Mimo że sam był zamieszany w tę aferę finansową, od początku z wyraźną rezerwą podchodził do planu szefa. Podobnie jak jego asystent, George Gross, wiedział o bardzo wielu, choć z pewnością nie o wszystkich machinacjach firmy Hudson, van Schaank & Michaels.

- Nie rób tego, Jennifer - powtarzał na osobności. - Jak raz podpadniesz giełdowej komisji bezpieczeństwa, możesz nawet zostać bez środków do życia.

Jednakże tamtego wieczoru była pod wpływem nie tylko zbyt wielu wypitych drinków, ale także zapewnień i kuszących obietnic, jakimi zasypywał ją Donald. Dlatego odwróciła się do Lenny'ego i zapytała ostro:

- Czy to nie Michaelsewi zawdzięczasz swój majątek?

- Tak, to prawda, ale...

- Przyjął mnie zaraz po studiach, kiedy nie miałam absolutnie nic, oprócz fury długów, a teraz... Sam wiesz doskonale, ile dzięki niemu zarabiam.

Lenny tylko pokiwał głową. Wypełniał za nią zeznania podatkowe i na tyle obniżał jej oficjalne dochody, na ile tylko pozwalały przepisy. Rzeczywiście nikt nie wiedział lepiej od niego, ile zarabiała.

- W końcu uczciwie na to zapracowałaś - odparł. - Bez reszty poświęciłaś się pracy dla Dona. Mimo to nie widzę żadnego powodu, abyś miała podejmować tak ogromne ryzyko.

- Wcale nie jest takie duże - zaoponowała. - Poza tym muszę pomóc Donaldowi. Jestem mu to winna. Ty również bardzo wiele mu zawdzięczasz, Lenny. Nie odczuwasz wdzięczności?

- Wypruwam sobie bebechy dla tego faceta. Jestem na jego zawołanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Zgadza się, jestem mu wdzięczny. Ale nie oznacza to jeszcze, że zgodziłbym się dla niego stanąć na rzęsach.

- W tym sęk - powiedziała z naciskiem, jakby rozmawiała z głupkiem albo co najmniej niedosłyszającym. - Przecież nie chodzi o stawanie na rzęsach. W końcu Donald nie zrobił nic, czego chłopcy od Salomona Smitha Barneya czy Morgana Stanleya bądź Lazara Frere'a nie robiliby każdego dnia tygodnia. Po prostu są zawistni.

W rzeczywistości miała jedynie słabe pojęcie o transakcjach prowadzonych przez te firmy. Powtarzała jedynie plotki.

- Nawet nie wiesz, co naprawdę Donald narozrabiał, podobnie jak ja - syknął ze złością Lenny. - Nikt tego nie wie. Ten facet jest chyba najbardziej tajemniczym inwestorem w branży. Podejrzewam, że nawet jego własna lewa ręka nie ma pojęcia, czym się zajmuje prawa.

Jennifer pojednawczo położyła dłoń na jego kościstym ramieniu.

- Dzięki za troskę, lecz chyba zapominasz, że bardzo lubię ryzyko. Kto nie ryzykuje, nie jedzie.

Silniejszy uścisk palców strażnika na jej ręku natychmiast wyrwał ją ze wspomnień. W miarę oddalania się od gabinetu naczelniczki z każdym krokiem pogrążała się coraz głębiej

w odrażający koszmar zakładu karnego Jenningsa. Nie miała pojęcia, co ją czeka na obserwacji, ale im bliżej byli tej sekcji, tym bardziej czuła, że jeśli nie zaczerpnie świeżego powietrza, nie oczyści nim płuc i umysłu, nie da rady utrzymać się na nogach. Rozmowa z naczelniczką wypadła katastrofalnie. Co poszło nie tak? W czym zawiniła? Czyżby do Harding nie dotarła jeszcze żadna wiadomość? Jeśli tak, to dlaczego? Donald Michaels należał do tak wpływowych osób, że mógł się kontaktować z gubernatorem o dowolnej porze dnia i nocy. Doskonale o tym wiedziała. Więc dlaczego nie dotarły tu jeszcze żadne polecenia? Wyglądało na to, że Michaels po prostu nie chciał sam rozmawiać z naczelniczką, wolał przekazać swoją prośbę komuś postawionemu wyżej. Tylko czy tym razem się nie pomylił i nie trafił za wysoko, choćby właśnie do samego gubernatora bądź stanowego prokuratora generalnego? Ile czasu trzeba, żeby polecenia służbowe dotarły aż na sam dół urzędniczej hierarchii, do więzienia?

- Tędy - odezwał się Camry.

Jennifer odniosła wrażenie, iż dostrzega cień współczucia na jego kragłej ogorzałej twarzy. Na samą myśl, że ktoś taki - zarabiający trzydzieści osiem tysięcy rocznie urzędnik państwowy o przeredzonych ciemnoblonde włosach i pozbawionych wyrazu piwnych oczach, paradujący w lichym brązowym mundurze i odznaczający się ilorazem inteligencji z pewnością nie przekraczającym stu - może się nad nią litować, przyprawiła ją o wściekłość. Ciekawa była, czy życie prywatne Rogera jest choć trochę ciekawsze od służby więziennej. Bo i kto mógł się decydować na taką pracę? Tylko świrus, głupiec albo człowiek bardzo ograniczony. Zerknęła kątem oka na Camry'ego i doszła do wniosku, że należy do wszystkich trzech kategorii. A jego kolega, Byrd, z pewnością należał do jeszcze gorszego rodzaju i najwyraźniej wyżywał się w więzieniu, zastraszając, czy nawet krzywdząc kobiety.

W czasie całej drogi przez skrzydło administracyjne budynku usiłowała zachować zimną krew. To otoczenie wydawało jej się dziwnie znajome, budziło w niej podobne odczucia, jak widok dobrze znanych miejsc. W końcu mało kogo zaskakuje wieża Eiffla, Big Ben czy Statua Wolności, które wyglądają dokładnie tak, jak na pocztówkach. Tu jednak dochodził zupełnie

inny element. Owszem, pomieszczenia nie różniły się od tych, które można zobaczyć na zdjęciach bądź w filmie, lecz ponad wrażenie swojskości wybijała się przeraźliwa świadomość tego, że samemu znalazło się za kratkami. Właśnie ta świadomość sprawiała, że Jen nie potrafiła zapanować nad drżeniem rąk, musiała więc znów zacisnąć pięści i powtórzyć sobie w myślach, że nie zostanie tu długo. Co obiecywał Tom? Dzień, najwyżej dwa. Naprawdę krótko.

Dotarli do następnej kraty przegradzającej korytarz. Przez małe okienko w ścianie wyrzała strażniczka, nacisnęła guzik zamka elektrycznego i wkroczyli do skrzydła obserwacyjnego - tak przynajmniej obwieszczał ciemnoszary napis na ścianie nad drzwiami.

Jennifer nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Miała wielką ochotę położyć się gdziekolwiek w ciemności i zasnąć. Jeśli już nie mogła zaczerpnąć świeżego powietrza, chciała przynajmniej uciec w nieświadomość. Ale w sali, do której weszli, czymś w rodzaju obszernego sekretariatu bądź recepcji, panował taki smród, że odruchowo wstrzymała oddech. Nie potrafiła ocenić, czy dominuje odór uryny, czy amoniaku do czyszczenia, lecz poprzez niego przebijał silny zapach wymiocin i skwaśniałego potu. Znów wróciła pamięcią do Donalda Michaela, a w zasadzie do jego ulubionej, bardzo drogiej wody kolońskiej Floris i mydła o tym samym zapachu, którego kostka kosztowała około stu dolarów. Pomyślała z goryczą, że chyba nawet te ekskluzywne męskie kosmetyki nie zabiłyby panującego tu smrodu.

Mniejsza z tym. Przecież najdalej w przyszłym tygodniu wybierze się z Tomem i Donaldem do restauracji Delmonico albo Fraunces Tavern i wspólnie będą się zaśmiewać z jej obecnych przeżyć. Oczyma wyobraźni już widziała, jak Michaels zanosi się śmiechem, potrząsając głową, po czym ociera łzy z kącików powiek i zamawia następną butelkę Veuve Clicquot.

Na to musiała jednak jeszcze poczekać. Na razie wciąż się pogrążała w tym brudzie, smrodzie i hałasie mącącym myśli w głowie. Przybliżające się ciężkie stąpanie trzeciego strażnika, sporadyczne trzaski i szum dolatujący z głośników krótkofalówek Camry'ego i Byrda oraz donośny metaliczny brzęk krat zamykających się za jej plecami budziły w niej wyjątkowe przera-

żenie. W dodatku hałasy i smród wcale nie były tu jeszcze najgorsze w porównaniu z niemiłosiernie oślepiającym blaskiem jarzeniówek. Mimo silnego zmęczenia odbierała go nawet przez zamknięte powieki. Nie było mowy, żeby zasnąć przy takim oświetleniu.

Byrd i tutejsza strażniczka, potężnie zbudowana Murzynka, zamienili kilka słów, podpisując mnóstwo jakichś dokumentów, wszystkie w trzech egzemplarzach.

- Jest już Spencer - rzuciła krótko czarna, kiedy wreszcie jej eskorta wyszła. Swoje słowa kierowała do innej, równie barczystej strażniczki siedzącej w przeszklonej stróżówce, obok której wyjście prowadziło do korytarza.

- Czternastka - odparła tamta enigmatycznie.

Murzynka skinęła głową.

- Jak się sprawuje ta poprzednia nowa? - zapytała.

- Jak można się było spodziewać po trzeźwiejącej z haju dziwce - rzuciła tamta zza szyby. - Dojdzie do siebie najwcześniej pojutrze.

Ruszyły wolno przed siebie. Kilkanaście metrów dalej czarna położyła jej dłoń na ramieniu, ruchem głowy wskazała otwarte drzwi i popchnęła ją lekko do środka.

- Wchodź - nakazała.

Jennifer szybkim spojrzeniem obrzuciła niewielkie pomieszczenie o betonowych ścianach. Boże, czyżby Hannibal Lecter też siedział w takiej klitce? - przemknęło jej przez myśl. Wewnątrz znajdował się tylko przykryty kocem gruby materac i klozet, który umieszczono w rogu. Trudno było sobie wyobrazić nawet możliwość skorzystania z niego, gdyż przeciwległą ścianę tworzyła płyta z grubego pleksiglasu. Tak samo przezroczysty był sufit umożliwiający ciągłą obserwację więźniów. Gdy spojrzała w górę, dostrzegła żelazny pomost biegnący piętro wyżej i stojącą tam strażniczkę, z zaciekawieniem spoglądającą w dół.

- Chwileczkę! - rzuciła zdesperowana, ogarnięta narastającym przerażeniem. - Czy mogłabym wcześniej skorzystać z telefonu?

Olbrzymia Murzynka ryknęła doniosłym gardłowym śmiechem.

- Jesteś w więzieniu, skarbie. Zostałaś skazana. Poza tym nie

masz drobnych na telefon. - Spowaźniała szybko i dodała łagodniejszym tonem: - Wiem, że na obserwacji jest ciężko, ale zazwyczaj nie trwa to dłużej niż dobę. A jak już stąd wyjdiesz, będziesz mogła dzwonić do woli w ramach limitu swojej grupy.

Ledwie skończyła, gdy powietrze rozdarło przeraźliwe nie-ludzkie wycie, pełne rozpacz i desperacji.

- Przykro mi z powodu tych hałasów - powiedziała strażniczka. - Przytomnieje po narkotykach. Na szczęście nie będziesz tu długo, pewnie tylko jeden dzień. Więc postaraj się to jakoś znieść.

- Mój Boże... - jęknęła Jennifer, za wszelką cenę próbując pannaować nad sobą.

Murzynka podała jej oprawioną na czarno książkę, którą trzymała pod pachą.

- Może to ci pomoże.

Spencer wzięła ją z ociąganiem, podejrzewając, że to jakaś publikacja o charakterze religijnym, bo tylko święci, sadyści albo wyznawcy jakiegoś kultu mogli na ochotnika pracować w tej sekcji pełnej smrodu i przeraźliwych krzyków. Z takim samym ociąganiem weszła w głąb celi.

- Przywykniesz - rzuciła za nią Murzynka.

Z niewiadomej przyczyny to jedno słowo sprawiło, że łzy natychmiast napłynęły jej do oczu. Odwróciła głowę. Boże, mam nadzieję, że jednak nie przywyknę, pomyślała.

Obrzuciła spojrzeniem zaplamiony materac i leżące na nim jednorazowe papierowe prześcieradło. Przecież jeszcze poprzednią noc spędziła we własnym łóżku, w pościeli Pratesi!

Przykucnęła w rogu celi obserwacyjnej i zamknęła oczy. Mimo jaskrawego światła, które zdawało się wwiercać w powieki, próbowała zasnąć. Powtarzała w myślach, że potrafi znieść wszystko, skoro ma to trwać tylko dobę. Przypomniała sobie długie noce, jakie spędzała nad książkami podczas studiów w college'u i szkole biznesu. Bardzo często zostawała na noc na początku pracy w firmie Hudson, van Schaank & Michaels i bywała o wiele bardziej zmęczona niż teraz. Postanowiła więc dzielnie przetrwać tę noc, być może ostatnią bezsenną noc w życiu. Musiała się tylko skoncentrować. Ale na czym? Roztrząsanie sytuacji, w jakiej się znalazła, było nie do

zniesienia, a bez dostępu do telefonu nie mogła się skontaktować z biurem i sprawdzić, jak stoją jej interesy, nie mogła nawet odsłuchać wiadomości nagranych na domowej automatycznej sekretarce. Wpadła na pomysł, żeby zabić czas oczekiwania wspomnieniami o każdej sztuce garderoby wiszącej w szafie.

Nie miała zbyt wielu ubrań. Kiedy dekorator wewnątrz rozmawiał z nią na temat urządzenia sypialni, uparła się, że nie chce dużej szafy wnękowej i wystarczy jej jeden zabytkowy mebel.

- Przecież to zaledwie siedemdziesiąt centymetrów, jak pani tu zamierza pomieścić ubrania? - zaprotestował, lecz tylko wzruszyła ramionami.

Teraz, zmuszona do siedzenia w kącie niczym uczeń ukarany za złe zachowanie, przypomniała sobie własne słowa:

- Siedemdziesiąt centymetrów powinno w zupełności wystarczyć każdej kobiecie.

Jej wystarczało, ponieważ zawsze stawiała na jakość, a nie na ilość. Mimo upływu lat wciąż mieściła wszystkie ubrania w tej samej czarnej szafie. A oprócz kostiumu, w który nieopatrznie ubrała się dzisiaj i którego zapewne miała już nigdy nie zobaczyć, wisiały tam trzy garsonki od Armaniego - jedna z czarnego diagonalu, druga czarno-brązowa tweedowa, trzecia brunatna z grubego jedwabiu. Każda kosztowała sporo ponad dwa tysiące dolarów, toteż Jennifer traktowała je jak inwestycje i ilekroć którąś wkładała, czuła się jak milionerka. Dalej wisiały dwie garsonki od Yamaguchiego, przy których tamte cztery sprawiały wrażenie tanich ciuchów. Nad zakupem jednej z nich, tej czarnej z asymetrycznym żakietem, w którym kłapa i dolne wycięcie z jednej strony były wyżej niż z drugiej, zastanawiała się ponad miesiąc, mając nadzieję, że nie zostanie sprzedana. Nie mogła jej włożyć na spotkanie z prezesami czy przedstawicielami zarządów różnych firm, za to ubierała się w nią na narady z personelem technicznym bądź doradcami. Druga zaś, jeszcze droższa, jasna szaro-beżowa, była uszyta ze wspianiałej tkaniny syntetycznej; żakiet dało się ciasno złożyć i schować do torebki, kiedy nie był potrzebny, a potem wyjąć i włożyć, przy czym wyglądał jak świeżo wyprasowany przez samą siostrę Marię Małgorzatę ze szkoły zakonnej.

Westchnęła ciężko. Trudno jej było wspominać eleganckie stroje, siedząc na twardej betonowej posadzce w celi. Zaczęła

więc w myślach robić inwentarz szuflad w bieliźniarce. Po domu najczęściej nosiła kaszmirowe bluzy dresowe, które kupowała w TSE. Drogo za nie płaciła, ale żadna inna tkanina nie była tak miła dla ciała, może poza jedwabiem. Miejsca na bieliznę miała aż nadto i jeśli tylko nachodziła ją ochota na głupie wydawanie pieniędzy, kupowała sobie koronkowe staniki i pasujące do nich majtki La Perla albo jeszcze droższe jedwabne komplety z któregoś z dziesiątków francuskich i włoskich sklepów przy Madison Avenue. Bezwiednie przeciągnęła palcami po szorstkiej tkaninie pomarańczowego kombinezonu i aż przeszedł ją dreszcz. Używana przez nią bielizna nigdy nie pozwalała jej zapomnieć o własnej kobiecości, a Tom, ilekroć widywali się w biurze, często się zastanawiał, co tego dnia włożyła pod garsonkę. Jak każda troskliwa dziewczyna, Jennifer wieczorami prała majteczki tylko w ręku, nigdy nie wrzucała ich do automatów, nawet na program prania najdelikatniejszych tkanin, gdyż były zbyt cenne, by traktować je w tak brutalny sposób.

Zaczynały ją boleć kolana i pośladki, ale za nic w świecie nie chciała się położyć na tym odrażającym materacu i przykryć paskudnym, sztywnym jak karton kocem. Obiecywała sobie, że nie zaśnie i nie weźmie niczego do ust. Zje coś dopiero po wyjściu z więzienia. Tego jednego mogła być pewna: swojej silnej woli. Przypominała sobie przedłużające się negocjacje w sprawie sprzedaży Korporacji Coopera, w trakcie których musiała mieszkać w hotelu Marriott przy lotnisku. Te wspomnienia wywoływały jej mimowolny uśmiech. Wydawało jej się, że od tamtej pory minęły lata, choć upłynęło zaledwie pięć miesięcy. Skarżyła się wtedy Donaldowi na hotel:

- Co za wstrętna nora! Rozmowy potrwiają jeszcze parę dni, a może i tygodni, więc raczej przenieśmy się na przykład do Hyatta.

- Nie powinniśmy się wywyższać - odparł wtedy szef. - Trzeba się dopasować do ich zwyczajów. Cały zarząd firmy podróżuje pociągami, nawet stary Cooper nie korzysta z samolotów. - Zachichotał. - Gdyby nie moja obecność, musiałybyś zapewne prowadzić negocjacje w Days Inn, więc przestań marudzić i rusz wreszcie tyłek, bo już na nas czekają. W takich rozmowach wszystko sprowadza się do wytrzymałości. Należy

przetrzymać oponentów, choćby przychodziło to z wielkim trudem. - Urwał i znów zachichotał. - Do diabła! Nie oczekuj, że ludzie będą ci umilać życie, skoro masz na nich zarobić pięćset milionów dolarów.

Tak więc, z korzyścią dla hartu ducha oraz konta bankowego, Jennifer ze swoim zespołem przetrzymała zarówno starego Coopera, jak i liczną gromadę prawników ze Środkowego Zachodu. Nauczyła się godzinami tkwić bez ruchu przy stole konferencyjnym, ledwie mrugając powiekami. Na szczęście Cooper miał kłopoty z prostatą, gdyby nie to, negocjacje chyba nigdy by się nie skończyły. Musiał jednak piętnaście czy dwadzieścia razy dziennie chodzić do toalety i zmuszał resztę uczestników rozmów do spokojnego czekania na jego powrót, co z pewnością miało wpływ na utratę przez niego wiary i ufności w siebie. I kiedy wreszcie wezwała Donalda, by podpisał umowę, wszystko poszło już gładko i bez kłopotów.

I to miała być jej nagroda? Otworzyła oczy.

Nieznosne wycie, które równie dobrze mogło dochodzić z sąsiedniej celi jak z drugiego końca korytarza, jeszcze przez jakiś czas przybierało na sile, wreszcie litościwie umilkło. Jennifer przemknęło przez myśl, że strażniczki musiały zabić więźniarkę czyniącą tyle hałasu. Mało obchodził ją los tamtej, byle tylko zapanował w końcu spokój. Mimo to w głębi duszy żałowała biedaczki. Ostatecznie w takim miejscu trudno było zetknąć się ze współczuciem, poza tym nie wszyscy mogli mieć tak silne nerwy jak ona, ale przecież nie uczestniczyli w kolejnym odcinku *Oprah Winfrey Show* i nie było potrzeby aż tak ostentacyjnie okazywać rozpacz.

Ta myśl, jak też nieoczekiwana błoga cisza, tylko umocniły Jennifer w mocnym postanowieniu. Musiała dalej siedzieć w kącie i wypalać sobie oczy jaskrawym blaskiem jarzeniówek. Chciała, żeby wszyscy to widzieli. Zamierzała w ogóle się nie ruszać i nie odzywać. No i oczywiście nie spać. Uznała, że tylko w ten sposób zdoła odzyskać przynajmniej częściową kontrolę nad własną, doszczętnie zbrukaną samoświadomością. Miała bowiem nadzieję, że gdy wyjdzie z obserwacji i zadzwoni do Toma, ten bardzo szybko podeśle firmową limuzynę i załatwi wszelkie formalności, by natychmiast ją stąd wyciągnąć.

Bo przecież w siedzibie firmy na pewno powitają ją jak

prawdziwą bohaterkę. Znów zamknęła oczy i walcząc z nie-
znośnym oświetleniem, usiłowała sobie wyobrazić tę scenę.
Wysoki i przystojny Tom nie odstąpi jej na krok, może nawet
weźmie ją pod rękę, kiedy będą wchodzili przez dwu-
skrzydłowe przeszklone drzwi z korytarza. Powinna chyba ku-
pić jakieś nowe ubranie, na przykład tę garsonkę, którą wi-
działa na wystawie salonu Waltera Steigera, nie bacząc na jej
horrendalną cenę. Tak. I do tego nowe buty. A gdy już znaj-
dzie się w recepcji, będzie tam na nią czekał uśmiechnięty cały
personel pomocniczy biura. Susan, jej naczelna sekretarka,
wręczając wielki bukiet kwiatów, powie: „To od nas wszyst-
kich. Tak bardzo panią podziwiamy”. Następnie razem z To-
mem przejdą do sali konferencyjnej, gdzie powita ją zespół
kupców, prawników i wspólników firmy. Wszyscy, nie wy-
łączając Dave'a Jacobsa, który jej nie znosi, wstaną i zaczną kła-
skać na jej widok, potem wiwatować, by wreszcie zgotować
rytmiczną, typową dla europejskich zgromadzeń owację,
klaszcząc głośno we wspólnym rytmie. Później otworzą się
drzwi gabinetu prezesa, wyjdzie Donald i ruszy w ich kierun-
ku. Tom, jak zawsze wyczulony na takie okazje, pragnąc, by
cały splendor stał się jej udziałem, pchnie ją lekko do przodu
i szepnie: „Podejdz do niego”. Tak oto, na oczach wszystkich,
stanie na wprost szefa, który dumnie uniesie głowę i powie...

Poczuła nagle dziwny chłód. Otworzyła oczy, natychmiast
wracając do brutalnej rzeczywistości więziennej celi, i pode-
rwała się na nogi. Spod ściany, pod którą siedziała, wypływała
woda! Rozejrzała się szybko. Woda przeciekała prawie na całej
długości pomieszczenia. Znaczna jej część zdażyła wsiąknąć
w materac, lecz oprócz tego na posadzce tworzyła się wielka
kałuża. Na pewno nie był to element jej kary. Czyżby więc jakiś
idiotyczny sprawdzian? Ruszyła do drzwi, zwróciwszy uwagę,
że w wodzie pływają karaluchy. Co gorsza, były żywe i ener-
gicznie przebierały łapkami, próbując wydostać się z kałuży.

- Hej! - wrzasnęła. - Słyszysz mnie ktoś? Co się dzieje? Mam
tutaj powódź!

W jednej chwili przed drzwiami celi zjawił się sadystyczny
Byrd. Zajrzał do środka, pokręcił głową i krzyknął:

- Matko Boska! Ta z dziewiątki musiała zapchać kibel!

I zamiast pomóc Jennifer czy cokolwiek wyjaśnić, pobiegł

w głąb korytarza. Przytknęła nos do pleksiglasowego okienka w drzwiach, ale nie mogła dostrzec, co się tam dzieje. Docierały tu jednak wszelkie odgłosy i właśnie w tej chwili znów rozległo się wycie, jeszcze głośniejsze i bardziej przeraźliwe niż poprzednio. Wciąż próbowała wyrzec na zewnątrz, gdy woda dotarła do jej stóp. Pomyślała, że ten horror nie może być realny, że sama zwariuje, jeśli ten piekielny wrzask potrwa jeszcze z minutę. Na szczęście wycie przeszło w gardłowy charkot i ucichło. Dały się za to słyszeć mamrotane przekleństwa i postękiwania. Nie mógł ich wydawać nikt inny jak strażnicy. Rzeczywiście, chwilę później dostrzegła na pomoście trzech barczystych osiłków, którzy z trudem dźwigali wielką grubą Murzynkę. Też była ubrana w odrażający pomarańczowy kombinizon, częściowo zakryty przez obszerny biały kaftan bezpieczeństwa. Kobieta nie mogła poruszać rękoma, za to gwałtownie wierzgała nogami, miotając głową na boki i wrzeszczała wniebogłosy, tyle że jej krzyki tłumił duży knebel. Włosy miała w nieładzie, a jej twarz wykrzywił grymas dzikiej furii.

Trzej mężczyźni posadzili ją na plastikowym krzesełku o dwóch kółkach i dwóch nóżkach tak krótkich, jak w plażowym foteliku. Byrd na parę sekund przesłonił Jennifer widok, ale gdy przesunął się w bok, dojrzała z przerażeniem, że podkurczone nogi biedaczki przywiązano do nóg krzesełka. Strażnicy ostrożnie ściągnęli z niej kaftan bezpieczeństwa i pośpiesznie grubymi pasami unieruchomili jej ramiona. Murzynka wyglądała teraz jak kosmonauta przypięty do fotela i gotów do startu.

Spencer przyglądała się temu jak zahipnotyzowana, nie mogła oderwać wzroku od kobiety, którą strażnicy powieźli na foteliku korytarzem. Kiedy mijali drzwi jej celi, przez chwilę zobaczyła oko o silnie rozszerzonej niebieskiej źrenicy, które patrzyło na nią raczej poufale niż przeprasząco. Murzynka tuż przedtem, zanim zniknęła z pola widzenia, puściła do niej oko.

Ostupała Jennifer długo jeszcze stała przy drzwiach. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Z zadumy wyrwało ją dopiero bulgotanie wody w studziencie odpływowej znajdującej się w betonowej posadzce.

Zaczekała jeszcze chwilę, mając nadzieję, że pokaże się któryś strażnik i będzie mogła zażądać zmiany warunków. Nikt

jednak nie przyszedł. W końcu, podskakując na jednej nodze, ściągnęła kolejno przemoczone skarpetki i wykręciła z nich nad studzienką co najmniej pół szklanki wody. Nie rozwiązało to jednak problemu. Boso na mokrej podłodze zrobiło jej się zimno w stopy. W dodatku nie mogła usiąść na materacu, bo i on był przesiąknięty wodą. Nie miała pojęcia, dokąd strażnicy zabrali Murzynkę. Pewnie w zakładzie Jenningsa nie było plutonu egzekucyjnego. Może i ona powinna zacząć krzyczeć, żeby przyciągnąć czyjąś uwagę? Nie potrafiła jednak wydusić z siebie głosu. Była wstrząśnięta po tym, jak kobieta puściła do niej oko, jakby... naprawdę coś je łączyło. Wreszcie z ulgą dostrzegła Byrda na końcu korytarza. Zastukała w okienko i odwrócił się do niej.

- Jestem przemoczona - powiedziała. - Cały pokój stoi w wodzie. Musi mi pan pomóc. - Strach wyraźnie przebijający w jej głosie sprawił, że ogarnęło ją przerażenie.

Ale Byrd nie miał żadnego pomysłu. Zaciśnął wargi i wymamrotał coś pod nosem. Wreszcie wszedł do celi, rozejrzał się dookoła i głośno cmoknął.

- Widzę, że dostało ci się więcej, niż wytargowałeś.

Nie odpowiedziała. Obrzucił ją zaciekawionym, lubieżnym spojrzeniem. Nie miała wątpliwości, że chodzi mu właśnie o to, by czuła się przy nim nieswojo.

- Na razie jestem sam. Tamtą trzeba było odstawić do izolatki - wyjaśnił. - Też jest pierwszy dzień na obserwacji.

Jennifer wstrząsnął dreszcz.

- Pozostali na pewno niedługo wrócą - bąknęła nieśmiało.

Jaki facet podejmuje pracę w więzieniu dla kobiet po to, żeby...

- No cóż, mogę cię przenieść do jakiejś celi po drugiej stronie szóstki, w której siedziała ta czarna. Specjalnie wepchnęła ręcznik do kibla, żeby go zatykać i zalać podłogę.

Podziały na nią nie tyle jego słowa, ile to, że przysunął się o krok. Jego ton nie pozostawiał wątpliwości... Na szczęście wywołano go przez krótkofalówkę.

Byrd wysłuchał polecenia, po czym brutalnie wziął ją pod rękę i wyciągnął z celi. Prowadząc korytarzem, celowo ocierał się biodrem o jej biodro. Minęli zalane pomieszczenie Murzyn-

ki i stanęli przed drzwiami oznaczonymi cyfrą 4. Była to taka sama cela jak poprzednia.

- Za chwilę podadzą żarcie - mruknął, a uwalniając ją z uścisku, przeciągnął dłonią po jej ręce.

- Posiłek? Nie mogę nawet zaczerpnąć oddechu - jęknęła. Nagle przypomniała sobie jeszcze o czymś. - Przydałby mi się nowy kombinezon. Ten jest całkiem mokry.

- Na razie możesz dostać tylko kolację - odrzekł Byrd. - Nie ma mowy o drugim kombinezonie. Pralnia już zamknięta. - Znowu przysunął się bliżej i dodał cicho, prawie szeptem: - Oczywiście, możesz zdjąć ten i rozwiesić, żeby wysechł. Nikt nie będzie cię podglądał.

Przestraszona Jennifer zerknęła w kierunku otwartych drzwi, a potem na pomost obserwacyjny piętro wyżej. Poczowała nagle wdzięczność, że jest widoczna z tyłu stron. Bardzo jej zależało, aby ktoś miał na oku Byrda, którego w myślach nazwała Sępem. Ale jednocześnie dopadło ją bolesne przeczucie, że przyciągnęłaby liczne grono ciekawskich, gdyby rzeczywiście rozebrała się do naga, żeby wysuszyć kombinezon. Czy ktokolwiek by zainterweniował, gdyby Sęp jej dotknął?

- Może udałoby mi się skombinować ci suche ciuchy - dodał jeszcze ciszej - gdybyś zechciała być dla mnie miła.

Nie wierzyła własnym uszom. Przecież to była jawna propozycja seksualna.

- Zapomnij o tym - rzuciła.

Wzruszył ramionami. Złożył konkretną ofertę, nie chciał niczego za darmo. Spencer starała się zachować obojętną minę, ale w myślach obiecała sobie, że nazajutrz wieczorem powiadomi biuro gubernatora o tym wypadku.

- Kiepski wybór - powiedział Byrd. - Będziesz musiała siedzieć w mokrych ciuchach aż do rana.

Wyszedł, zamknął drzwi i oddalił się korytarzem.

Jennifer odetchnęła z ulgą. Postanowiła obejrzeć dokładniej swoją nową celę, ale ta była podobna do poprzedniej jak dwie krople wody. Mogłaby nawet przysiąc przed sądem, że plamy na materacu są rozmieszczone w taki sam sposób - na przykład ta wydłużona w lewym górnym rogu, z grubsza przypominająca zarys Florydy, naprawdę w tamtej celi wyglądała identycznie. Było jej bardzo zimno w stopy i mokre poliestrowe no-

gawki lepiły się do ciała, lecz poza tym nic się nie zmieniło. No i gdy teraz przykucnęła w kącie pod ścianą, w brzuchu zaburczało jej tak głośno, że musiała to usłyszeć więźniarka z sąsiedniej celi - jeśli tam siedziała.

Mimo to postanowiła wytrwać i nie tknąć jedzenia. Nie zamierzała się też kłaść na materacu. Czuła się skonana po tym straszliwie długim dniu, ale nie chciała dopuścić, by głód czy przemęczenie wzięły górę nad jej silną wolą.

Oparła się plecami o ścianę, podciągnęła kolana pod brodę, objęła nogi rękoma i zamknawszy oczy, wróciła do rozmyślań o tym, co ją czeka po powrocie do normalnego, realnego świata. Donald powinien ją bardzo hojnie wynagrodzić. Kto wie, może nawet nie będzie musiała czekać na dowody wdzięczności do zamknięcia rocznego bilansu finansowego. Oczywiście na stanowisko wspólnika firmy i przewodniczkę do nowego gabinetu mogła liczyć dopiero od stycznia. Wzięła głębszy oddech i aż skrzywiła się od smrodu. Zapomnij o tym, nakazała sobie w duchu; pomyśl, jak piękny będzie twój nowy gabinet w porównaniu z tą celą. Doskonale wiedziała, że każdy nowo mianowany wspólnik dostaje spory fundusz na umeblowanie i urządzenie gabinetu. Przyszło jej do głowy, że mogłaby przenieść z domu biurko, replikę starego biedermeierowskiego mebla, wystawić za nie rachunek firmie, a za uzyskane pieniądze kupić tę toaletkę, którą już parę razy podziwiała na wystawie sklepu z antykami przy Lexington Avenue. Wtedy... Nie. Nie potrafiła bez reszty pograżyć się w marzeniach.

Otworzyła oczy. Nawet w wyobraźni nie umiała zapomnieć o tej nagiej betonowej celi, zmarzniętych stopach, nieznośnym jarzeniowym oświetleniu i coraz silniej dającym się we znaki głodzie. Próbowwała się jeszcze skupić na chwilach swojej świetności, kiedy została bohaterką przejęcia firmy Vareen i główną animatorką umowy z korporacją Coopera, ale wówczas nikt jej nie upokorzył i nie było jej tak zimno. Potrafiła nie pić całymi godzinami, żeby nie korzystać z toalety, ale nawet gdyby w najtrudniejszym momencie musiała zrobić siusiu, i tak nie robiłaby tego na oczach obserwujących ją ludzi.

Znowu zebrało jej się na płacz, więc zmusiła się, by wstać, a dobiegające z zewnątrz hałasy przyciągnęły ją do drzwi. Nadchodziła kolejna strażniczka, która pchała przed sobą wózek.

Zatrzymała się przed jej celą i nawet nie spojrzawszy w okienko, pochyliła się i przez szczelinę wsunęła do środka plastikową tacę. Wyglądało to jak skromny posiłek podawany w samolotach.

Nic nie zjem, stanowczo powtórzyła w myślach Jennifer, ale zmarznięte nogi same poniosły ją w kierunku tacy. Kucnęła i podniosła ją. Była na niej jakaś zielona papka i brązowa papka oraz coś, co z wyglądu przypominało sos pomidorowy. Nie próbując dokładniej identyfikować potraw, cofnęła się do materaca, usiadła na nim po turecku, postawiła tacę na kolanach i z wilczym apetytem zabrała się do jedzenia.

7

Maggie Rafferty

Wiem, że zabrzmiało to jak truizm, ale muszę powiedzieć, iż oddanie strzału do własnego męża, czy to celowe, czy przypadkowe, a później jeszcze zostawienie rannego, żeby się wykrwawił na śmierć, całkowicie odmienia życie kobiety. Zyskuje się przede wszystkim to, rzecz jasna, że jego już nie ma, ale są też inne pozytywne aspekty, do których wrócę później. Natomiast głównym mankamentem jest fakt, że na ogół człowiek zostaje pozbawiony wolności i zmuszony do przebywania gdzieś, gdzie w bibliotece zgromadzono zaledwie sto szesnaście książek. Bo dokładnie tyle pozycji jest skatalogowanych w bibliotece zakładu Jenningsa.

Wróćmy jednak do mojego męża, który mógłby żyć, ale zmarł, jakby specjalnie chciał mi zrobić na złość. W końcu pocisk tylko rozerwał mu aortę. Myślicie, że żartuję? Nic podobnego. Ktoś o tak silnej woli z łatwością mógł doczekać chwili, aż sanitariusze zażegnają niebezpieczeństwo. Ale jak zawsze musiał załatwić sprawę po swojemu. Każdą sytuację potrafił obrócić na własną korzyść. Oczywiście to tylko jeden z wielu powodów, dla których tak bezgranicznie go nienawidziłam i dla których trzymany przeze mnie pistolet wypalił właśnie wtedy, gdy wymierzyłam w męża. Bo byłam wówczas na tyle głupia, że zamierzałam sama się zabić.

Moim mężem był sławny Richard Rafferty, dla przyjaciół Riff. I dokładnie w tej samej chwili, gdy pocisk rozrywał jego kłamlive serce, w wiadomościach o szóstej zaczynała się dyskusja na temat jego najnowszej powieści *Życie serca*. Zdziwicie się: dyskusja o książce w popołudniowym dzienniku telewizyj-

nym? Odpowiedź jest prosta: Richard sypiał z producentką programu.

A skoro mowa o popołudniowych wiadomościach, jak się domyślam, ta nowa, panna Jennifer Spencer, przechodzi właśnie piekło obserwacji. Dużo o niej mówili w dziennikach. Z pewnym zainteresowaniem śledziłam reportaże, bo w wzięciu wszelkie sensacje pozwalają zabić czas, a poza tym obaj moi synowie pracują w tej samej branży co ona. Od początku stało się dla mnie jasne, że nadstawiła za kogoś karku, pewnie za jakiegoś faceta. Tylko jedno pytanie nie dawało mi spokoju: Czy wiedziała, jak to się skończy? Czy była współwinna? Właśnie dlatego nie mogłam się doczekać naszego spotkania. Bardzo chciałam się tego dowiedzieć.

Po czym domyśliłam się prawdy. No cóż, pozwólcie mi wyjaśnić jeszcze jedną konsekwencję zamordowania własnego męża. Człowiekowi mózg się od tego wywraca na drugą stronę. Na początku świadomość tego koszmarnie boli i trwa to dość długo, ale ostatecznie wychodzi na dobre. Wiem, że zabrzmi to idiotycznie, ale od chwili zabójstwa czuję się zupełnie kimś innym, znacznie lepszym. Na przykład rozszyfrowywanie ludzkich charakterów przychodzi mi tak łatwo, jak dobre mu psu tropienie zwierzyny.

Niech tylko nikt nie myśli, że jestem orędownikiem morderstwa jako metody kształtowania własnej osobowości. Lepiej od razu skoryguję to wrażenie. To prawda, że czuję się kimś lepszym, ale i przedtem nie należałam do złych ludzi. W przeciwieństwie do Riffa, który nie był wart kiwnięcia palcem. Zasłużył jedynie na taką obojętność, jaką teraz do niego czuję. Ale oddanie własnego życia i wolności za możliwość w pełni zasłużonej zemsty i oczyszczenia umysłu to zamiana trudna do akceptacji. Bo powinnam zaznaczyć na początku, że zakład karny Jenningsa to istne piekło.

Jak tylko mnie tu przywieźli, popadłam w przygnębienie. Sam proces, chociaż przypominał przedstawienie w Theatre du Grand Guignol, był jednak okazją do tego, żeby wstać, ubrać się i pokazać ludziom. Tu już nie zostało nic. Chciałam umrzeć. Tylko sobie wyobraźcie: byłam dyrektorką najbardziej prestiżowej prywatnej szkoły dla dziewcząt na wschodnim wybrzeżu, obracałam się w kręgach najbogatszych, którzy oddawali

swoje córki pod moją pieczę, a tutaj już pierwszego dnia kaza-
no mi „ruszyć swoje pieprzone dupsko”; pisali o mnie w po-
święconym edukacji wydaniu *Who's who*, tymczasem w zakła-
dzie Jenningsa obwołano mnie „starą zdzirą”.

Jako przywykłam do tutejszej wulgarności. Najtrudniejszy
był dla mnie do zniesienia brak wszelkich przyjemności zmys-
łowych. Nie miałam szczęśliwego małżeństwa, ale mieszkałam
w pięknym domu, prawie co roku podróżowałam do Paryża
lub Londynu, wakacje spędzałam w Toskanii, byłam koneserką
win i wykwintnych potraw, kolekcjonowałam rzadkie książki,
jeździłam odrestaurowanym mercedesem gullwingiem rocz-
nik '62, miałam karnet na przedstawienia baletowe, robiłam za-
kupy u Neimana Marcusa.

I oto znalazłam się nagle w najbrzydszym miejscu na ziemi,
więziona przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem
dni w tygodniu. Zapewniam was, że nie istnieją wnętrza bar-
dziej posępne i ogłupiające, będące wyzwaniem dla ludzkich
oczu. Wolałabym już siedzieć w więzieniu Craigmore, choć to
mroczny i wilgotny loch, bo tam przynajmniej uwagę przyku-
wa architektura. Tymczasem zakład Jenningsa przypomina po-
zbawiony wszelkiego wyrazu labirynt, do którego wpuszcza
się szczury, chcąc badać ich rozwój inteligencji. Już tynk odpa-
dający ze ścian i sufitów podniósłby atrakcyjność, ale w tym
wytworze odrażającego, nastawionego wyłącznie na funkcjo-
nalność stylu lat sześćdziesiątych nawet tynk się nie kruszy.
Budynek powstał w okresie, kiedy na całym świecie szalała epi-
demia ciężkiej choroby ducha będącej prawdopodobnie następ-
stwem wojny. Budowano wtedy obiekty, które miały prze-
trwać, jeśli nawet nie nosiły śladu architektonicznego piękna.
Ten styl powinien się nazywać „prostota z nawiązką” albo
„brzydkie jest doskonałe” czy też „śmierć za życia”. Ja zaś zo-
stałam skazana na niego do końca swoich dni. Moje poczucie
estetyki zostało wystawione na ciężką próbę.

Zastanawiałam się więc, jak Jennifer Spencer radzi sobie na
obserwacji. Wyrastała w najniższych warstwach klasy średniej,
żeby dorosłe życie spędzić w najwyższych. Z tego powodu osa-
dzenie w zakładzie Jenningsa musiało być dla niej, oględnie
rzec biorąc, trudnym doświadczeniem. A i tak moje zaintere-
sowanie jej losem i charakterem było znacznie słabsze od czy-

stej fascynacji kobietami w rodzaju Movity Watson albo jej kumpelki, Cher. Nigdy przedtem nie spotkałam tego typu ludzi, toteż tym większe wrażenie zrobiła na mnie wysoka inteligenta idąca w parze z brakiem wykształcenia.

Na przykład Movita, mimo bezwzględnej apodyktyczności, zalicza się do tych osób, które od pierwszej chwili uznałam za porządne. Rządzi twardą ręką, niekiedy nawet głupio, ale jest sprytna i szczodra, poza tym ma własne spojrzenie na postawę innych. Powiedziałyby wam, że gdy zjawiałam się w zakładzie Jenningsa, nie wykazywałam żadnej swoistej postawy. Może właśnie dlatego tak szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Od początku była wobec mnie, mówiąc jej słowami, „ciekawa tej rąbniętej zdziry”. W każdym razie postawa to jeden z tych drobnych atrybutów, jakie utraciłam z chwilą, gdy mąż skonał na moich rękach, a ściśle rzecz biorąc - u moich stóp. I już pierwszego dnia Movita oceniła, że wyglądam jak „nauczycielka, którą wybuch bomby atomowej ogołocił ze wszystkiego”. Przyznaję, że gdyby zmienić „nauczycielkę” na „dyrektorkę szkoły”, w pełni zgodziłabym się z tą opinią.

Dzięki nauczycielskiemu doświadczeniu szybko zostałam więzienną bibliotekarką. I od tamtej pory rozmyślałam głównie nad sposobem powiększenia tutejszego księgozbioru. Bo książki zawsze były dla mnie bardzo ważne. Nie skłamię, gdy powiem, że stały się esencją mego życia. Zarówno przed zabójstwem, jak i później.

Życie serca (którego, jak na ironię, są w bibliotece dwa egzemplarze) było szóstą powieścią Richarda. W założeniu miało opowiadać o oszałamiająco pięknym, całkowicie wolnym życiu będącym udziałem każdego, kto zechce je zapełnić własną głęboką miłością. Wraz z obydwojma synami musiałam przechodzić prawdziwe piekło, kiedy usiłował przelać ten pomysł na papier, prawdę powiedziawszy, wcale nie mniejsze niż podczas pisania czwartej czy piątej powieści. Dzieci jedynie „wrywały go z natchnienia”, a ja zawsze znajdowałam sobie jakieś „idiotyczne zajęcie”. Pewnego dnia zarzucił mi, że za głośno przewracam kartki w książce. Bruce i Tyler, mimo pewnych sukcesów odniesionych na początku pracy zawodowej, byli dla niego „jednym wielkim rozczarowaniem”. To przynajmniej mogłam jeszcze zrozumieć - każdy fałszywy, arogancki i po-

zbawiony poczucia humoru człowiek musi się czuć rozczarowany, mając dwóch synów, którzy potrafią go przejrzeć na wylot i drwią sobie z niego. Ja natomiast, mimo że zostałam wychowana w umiłowaniu zdrowego rozsądku, przez cały czas wspierałam tego łobuza. Karmiłam go, niańczyłam i usprawiedliwiałam, czytałam jego szkice, poprawiałam styl, podsuwałam pomysły, przepisywałam kolejne wersje i szczerze dzieliłam jego niechęć do wydawców. Robiłam to przez trzydzieści cztery lata. Dlaczego zatem postanowiłam z tym skończyć, kiedy potrzebował mnie bardziej niż kiedykolwiek?

Dopiero teraz, po siedmiu latach, potrafię ocenić swoją sytuację na trzeźwo, bez złości. Bo stałam się kimś lepszym.

Zdawałam sobie sprawę, że Spencer będzie chodzić z przewodnikiem, który oprowadzi ją po budynku, wskaże właściwą celę, przybliży tajniki pracy. Ja musiałam się z tym wszystkim zapoznawać na własną rękę. I jak wszystkie zaśmiewałam się z tekstów krążących na rozprowadzanych przez Frances grypsach, choć teraz wiem, ile za tymi kpinami kryje się rzeczywistej troski. W bibliotece nie ma nic do roboty. Jeśli jakieś więźniarki byłyby gotowe coś przeczytać, to i tak nie znajdą na półkach tego, co je interesuje. W każdym razie tego wieczoru chętnie powitałabym osobiście pannę Spencer w zakładzie Jenningsa. Tylko nie myślcie, że chodzi mi o bzdury w rodzaju *Skazani na Shawshank* i gorąco pragnę wziąć tę dziewczynę pod swoje skrzydła. Gdybym je miała, w jednej chwili spieprzałabym na nich byle dalej stąd. Mam już dwóch synów i niepotrzebna mi córka. Ćwierć wieku pracowałam w szkole dla dziewcząt i dobrze wiem, ile one potrafią sprawiać kłopotów.

Jennifer zjawiała się w bibliotece pod strażą Camry'ego około wpół do czwartej, a więc w porze, kiedy z nawyku pracy w szkole zazwyczaj się ulatniam. Bez dwóch zdań roztaczała wokół siebie aurę młodej kobiety, która znalazła się w kłopotcie. Była blada i zasepiona, miała zapuchnięte powieki i patrzyła wzrokiem człowieka zmuszonego do oglądania potworności, choć pojedyncze błyski wyraźnie świadczyły, że wolałaby rozejrzeć się za czekającym na nią kierowcą limuzyny. Jak powiedziałaby Movita, miała „ciężką postawę”. Ale dla mnie to były tylko pozory. Prasa jak zwykle oceniła ją niewłaściwie. Dzięki dwudziestosiedmioletniemu doświadczeniu ze szkoły dla

dziewcząt od razu spostrzegłam, że w głębi duszy Jennifer jest zagubioną pensjonariuszką. Na jej twarzy malowała się determinacja, była gotowa pokonać wszelkie przeszkody. Zatem przypuszczała, że ma tylko przejściowe kłopoty. I od razu poznałam, że cechuje ją bardzo silny charakter. Istniała więc spora szansa, że gdy wreszcie dotrze do niej, iż będzie tu musiała zostać przez pewien czas, jakoś przetrzyma ten szok.

- Cześć - powiedziałam. - Nazywam się Maggie.

Zabrzmiało to raczej śmiesznie, jakbyśmy się spotykały na jakimś wieczorku towarzyskim.

- Cześć - burknęła.

Sprawiała wrażenie błędzącej myślami daleko, więc musiałam szybko jeszcze coś powiedzieć.

- Jak sama widzisz, to nasza biblioteka.

Zamrugała energicznie, jakby nie pojmowała, o czym mówię.

- Miejsca jest dużo - dodałam - ale książek niewiele.

- To dla mnie bez znaczenia. Proszę się o mnie nie martwić - odparła dość ostro, ale wyraźnie się rozchmurzyła. Popatrzyła na mnie tak, jakby się zastanawiała, kim właściwie jestem, po czym dodała: - Przepraszam. Nie chciałam być opryskliwa. Chodzi o to, że nie zamierzam tu zostać długo. Ten strażnik jest bardzo uprzejmy i oprowadza mnie po budynku.

Camry natychmiast zeszywniał. To śmieszne, ale strażnicy więzienni nie cierpią, jak się ich nazywa strażnikami.

- Ten pan jest oficerem, skarbie, a nie strażnikiem - sprostowałam głosem bardziej suchym niż kartki książek z mojej kolekcji. - Zwracaj się do niego: panie oficerze.

- Oficerze karny - wtrącił głupio Camry.

Wiedziałam, że jest nieszkodliwy, więc tylko przytaknęłam ruchem głowy.

- Och, bardzo dziękuję - odparła Jennifer.

Zaskoczyło mnie w niej tylko jedno. Znałam ludzi z różnych warst społecznych, jeśli wziąć pod uwagę moje uczennice, środowisko, w którym się obracałam, oraz obecne koleżanki, a mimo to nie potrafiłam ocenić, czy jest to z gruntu dobra, czy zła dziewczyna. Zawsze rozpoznawałam takie rzeczy na pierwszy rzut oka, ale jej nie potrafiłam rozgryźć. Dopiero później poznałam prawdę i dowiedziałam się, że jest uczciwa.

8

Jennifer Spencer

Po nocy spędzonej na obserwacji Jennifer była gotowa na przydział do konkretnej celi. Mimo że przyszedł po nią łagodny Camry, a nie brutalny Byrd, przygnębianie wypełniające bez reszty więzienny budynek wprawiło ją w stan graniczący z katatonią. Jasno bowiem sobie uzmysłowiła, że jeśli obserwacja stanowiła dla niej piekło, to reszta pobytu w zakładzie będzie najwyżej czyścem. A owo przygnębianie tak ją przytłaczało, że aż nie mogła sobie wyobrazić, iż ktokolwiek może spędzać dzień po dniu w tej monotonii, która odbierała wszelką nadzieję.

- Muszę zadzwonić - powiedziała Camry'emu na wstępie. W głowie czuła bolesne pulsowanie, bardzo potrzebowała tabletki tylenolu, a może nawet valium, ale w tej chwili najważniejsza była rozmowa z Tomem. - Koniecznie muszę zadzwonić. Czy jest tu gdzieś telefon?

Camry wszedł do celi i obrzucił ją zaciękawionym spojrzeniem.

- Nawet gdyby był, i tak nie mogłabyś z niego skorzystać - odparł. - Dostałem polecenie, żeby zapoznać cię z miejscem zakwaterowania. Zadzwonić będziesz mogła w czasie wolnym.

Jennifer bezsilnie zacisnęła zęby, przez co ból głowy tylko się nasilił. Nie była przygotowana na takie traktowanie, musiała to sobie powiedzieć otwarcie. Jak Donald i Tom mogli ją w takiej chwili zostawić na pastwę losu? Nie potrafiła sobie wyobrazić ani dystygowanego Michaela, ani uczelnianego prymusa, Toma, ubranych we wstrętne pomarańczowe kombinezony

i zamkniętych w tym odrażającym przybytku. Ale teraz to nie miało żadnego znaczenia. Dlatego wyprostowała się i z dumnie uniesioną głową ruszyła za Camrym, wykonując jego rozkazy. Nie zamierzała płakać ani robić przedstawienia. Ostatecznie musiała ponieść karę - wcale nie za te idiotyzmy, o które oskarżyła ją giełdowa komisja bezpieczeństwa, ale za to, że straszliwie się pomyliła w ocenie sytuacji.

- Tędy - rzucił Camry, skręcając w długi wąski korytarz. Kilkanaście metrów dalej zatrzymał się gwałtownie i otworzył drzwi. - Skoro już tu jesteśmy, obejrzyj salę gimnastyczną.

Zajrzała do niewielkiego pomieszczenia. W kącie leżało kilka sflaczałych piłek do siatkówki, a materace pod ścianą tak grubo pokrywał wrośnięty brud, że przykro było na nie patrzeć. Miała ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem na widok tej sali gimnastycznej. W niczym nie przypominała sali Vertical Club, gdzie ćwiczyła razem z Tomem. Znów musiała sobie przypomnieć, że wyjdzie stąd, zanim odczuje pierwszą potrzebę rozruszania mięśni. Ale przecież w zakładzie przebywało tyle innych kobiet! Co one miały zrobić, na Boga?!

- Z sali gimnastycznej można korzystać w wolnym czasie, ale tylko do ósmej wieczorem, czyli do zamknięcia cel - wyjaśnił Camry.

Westchnęła ciężko. Nie bacząc na nic, odwróciła się do strażnika i zapytała z naciskiem:

- Na pewno nie mogę teraz zadzwonić? Koniecznie muszę się skontaktować z adwokatem.

Camry uniósł wzrok do nieba, przez chwilę patrzył w sufit, po czym wolno pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Odbiło ci czy co?”.

Jennifer od razu zrozumiała, że popełniła fatalny błąd. Po raz pierwszy w życiu miała niezbitą pewność, że przystąpiła do tej najważniejszej próby całkowicie nieprzygotowana, zbytnio ufając we własne siły i umiejętności. Więzienie tak bardzo różniło się od świata zewnętrznego. Tu nie miało się wyboru, nie było scenariusza, według którego należało postępować. Wszystko było czarno-białe, sprowadzone do podziału na prawdę i fałsz. Tak wyglądał najpoważniejszy sprawdzian w jej życiu, a ona świadomie przystąpiła do niego bez przygotowania.

Tom i Donald wmawiali jej, że wszystko pójdzie jak po maśle. Nie wiedziała, czemu im uwierzyła - może dlatego, że dotąd jej nie okłamali. Bo przecież, na Boga, tutaj nic nie mogło pójść jak po maśle. Powinna była to przewidzieć. W końcu życie ją nauczyło, że nic nie przychodzi łatwo. Każdy sukces wymaga pracy, dyscypliny, a nade wszystko żelaznej determinacji w dążeniu do niego. Nie stanowiło to dla niej żadnej tajemnicy. Dotąd zawsze była dobrze przygotowana, zawsze o krok wyprzedzała rywali.

Zwiesiła głowę i popatrzyła na swój pomarańczowy kombinezon. W dzieciństwie przed pójściem do łóżka zawsze starannie szykowała swoje ubranie. Brzydziła się mundurkami i potrafiła godzinami obmyślać sposoby, żeby plisowana spódniczka i granatowy sweterek choć trochę przypominały stroje z „Vogue'a”. I zwykle jej się udawało, wyróżniała się spośród rówieśniczek.

Właśnie tego typu przygotowania i obmyślanie różnych sztuczek legły u podstaw jej sukcesów zawodowych. Najpierw zdobyła stanowe stypendium na naukę w college'u, a potem dzięki ocenom dostała się bez egzaminów na studia ekonomiczne w Wharton. Kiedy przyszła pora rozejrzeć się za pracą, dzięki odpowiedniemu wywiadowi udało jej się zapisać na rozmowę wstępną z legendarnym już wtedy Donaldem Michaelsem. śmiało wkroczyła do jego gabinetu, pozując na dziewczynę z klasy robotniczej, i podjęła rozmowę na temat jego kolekcji figurek z miśnieńskiej porcelany. Słuchał ze zmarszczonymi brwiami. Doskonale wiedział, że Jennifer tylko udaje znawcę tematu, ale miał okazję się przekonać, jak dobrze to robi. Była wręcz predestynowana do odniesienia sukcesu na Wall Street, umiała się świetnie przygotować i zachować twarz pokerzysty. W efekcie nie tylko od razu ją zatrudnił, ale włączył też do swojego zespołu, który cieszył się opinią najbardziej agresywnego i przebiegłego w światku rekinów finansjery. Wspecjalizowali się w najbardziej ryzykownych, ale i najlepiej opłacalnych inwestycjach. Mieli już na koncie kilka spektakularnych transakcji. Nie wahali się przed niczym. Byli nie do przebiccia.

- Idziemy teraz na dół - polecił Camry.

Wyminęła go i zaczęła schodzić po schodach. Po raz kolejny

ucieszyła się, że to nie Byrd towarzyszy jej w drodze po tych ciemnych i śliskich żelaznych stopniach.

Odnosiła wrażenie, że prowadzą w dół bez końca, miała więc wystarczająco dużo czasu, żeby łąjąc się w myślach. Od samego początku podróży karetką więzienną wszystko wymykało jej się spod kontroli. Wciąż nie mogła opanować narastającej fali przerażenia, które ją ogarniało. Dlaczego naczelniczka nie wiedziała, z kim ma do czynienia? Jeśli Tom interweniował w jej sprawie, z kim mógł rozmawiać? Bo skoro do Harding nie dotarły żadne wiadomości, to jak miała ją chronić przed całym tym koszmarem? Kto był jej bezpośrednim przełożonym? A może ona sama powinna jeszcze spróbować przemówić naczelnicze do rozumu? Na razie jednak musiała zaczekać, aż te idiotyczne wstępne procedury dobiegną końca i wreszcie będzie mogła zadzwonić do Toma lub Donalda. Najlepiej do obu.

Dotarli wreszcie do bloku i Camry poprowadził ją do celi. Jennifer sądziła, że widziała już wszystko, co najgorsze w zakładzie Jenningsa. Okazało się jednak, że najgorsze dopiero przed nią.

- To będzie twój dom - oznajmił Camry.

Dom? A cóż to miało wspólnego z domem? Nie było to nawet schronisko, a już z pewnością nie żaden ośrodek wypoczynkowy. Znalazła się w więziennej celi. Betonowe mury były pomalowane na kolor, który zadufany w sobie dekorator wnętrza mógłby nazwać „przykurzoną różą”, a który w oczach Jennifer był najbardziej obrzydliwym skrzyżowaniem fioletu i różu kojarzącym się z wojskowym kamuflażem. Pod ścianami stały w dwóch kolumnach cztery piętrowe prycze, między nimi pozostawał najwyżej metr wolnej przestrzeni. Nie było żadnego umeblowania poza wiszącym na ścianie małym blatem i samotnym drewnianym krzeselkiem. Przyszło jej do głowy, że jeśli mają tu mieszkać we cztery, to jakim cudem będą się dzielić tym jednym krzesłem?

Bo poza nim można było tylko usiąść na klozecie, który nie przypominał żadnej toalety, jakie dotąd widziała. W pierwszej chwili obła bryła z nierdzewnej stali skojarzyła jej się z miniaturą gmachu muzeum Solomona Guggenheima. Dopiero gdy w podniesionej części rozpoznała spłuczkę, stwierdziła z prze-

rażeniem, że patrzy na kolejny przykład więziennego pragmatyzmu. Był to bowiem kompaktowy model zapewniający maksymalną wydajność. Co gorsza, został usytuowany zaledwie parę centymetrów od brzegu dolnej pryczy. Od razu przypomniały jej się słowa żartobliwej piosenki, którą matka często nuciła przed laty: „a moje wyro tam, gdzie wszystkie moje smrody”. Czy naprawdę ktoś tu musiał sypiać z głową niemal przytuloną do muszli klozetowej? Wyprostowała się szybko, żeby przygarbione ramiona nie zdradziły, że się boi. W końcu miała siedzieć w celi tylko do czasu, aż zjawi się Tom i wyciągnie ją z opresji. Za nic w świecie nie zamierzała tu nocować.

- Witaj w domu - rzekł Camry, odciągając powoli kratę zamykającą wejście do celi.

Grube pręty przesuwające się w blasku jarzeniówek rzuciły na prycze po lewej rozchybotane cienie, które Jennifer skojarzyły się ze słońcem wpadającym do wagonika nowojorskiego metra jadącego po stalowym moście nad ulicami. Tu jednak nie było nawet śladu słońca. Cele rozmieszczono wzdłuż ślepego korytarza i choć w każdej znajdowało się małe okienko, było umieszczone tak wysoko, że i z górnej pryczy nie dało się przez nie wyrzeć. W dodatku tkwiła w nim matowa szyba z zatopioną gęstą siatką drucianą.

Camry położył jej dłoń na ramieniu i lekko popchnął w głąb celi.

Tylko na parę godzin, powtórzyła sobie w myślach. Może wreszcie teraz mogła skorzystać z telefonu? Obejrzała się przez ramię na strażnika, ale postanowiła nie pytać po raz kolejny.

- Rozgość się - nakazał. - Pójdę po twoją współlokatorkę, żebyście mogły się zapoznać.

- Bomba - mruknęła.

- Słucham?

- Tak, bardzo chętnie - poprawiła się szybko i westchnęła ciężko.

Zwróciła uwagę, że tylko na jednej pryczy leży pościel, a nad nią przyklejono do ściany sześć zdjęć. Właściwie tylko jedno było zdjęciem jakiegoś dziecka, resztę stanowiły wycinki ilustracji z gazet - anioł na obłoku, brzdąc budujący zamek z piasku na plaży, wóz strażacki, reklama butów sportowych ze znakiem firmy Nike oraz podobizna Jezusa dziwnie podobne-

go do Donny'ego Osmonda. Spencer przyglądała się im przez chwilę, zachodząc w głowę, kim była kobieta, która wybrała te właśnie rysunki i rozmieściła w taki sposób.

Później podeszła do blatu. Leżały na nim tylko trzy książki: Biblia, dziecięca *Biedna mała psina* oraz kieszonkowe wydanie *Klubu babysitter*. Czytała tę powieść chyba w czwartej klasie. Naszły ją obawy, że została umieszczona w celi razem z jakąś smarkulą albo opóźnioną w rozwoju.

Na dolnej pryczy po przeciwnej stronie spoczywał zrolowany materac i komplet pościeli. Przyszło jej do głowy, że to dla niej. Naszła ją ochota rozłożyć pościel, ale zaraz pomyślała ze złością, że w ten sposób poszłaby za radą Rogera i poczuła się jak u siebie. A przecież wcale nie była u siebie. W ogóle nie zamierzała tu nocować, a tym bardziej korzystać z toalety. Ktoś, choćby taki Byrd, mógłby zajrzeć przez kraty i zobaczyć, co ona robi.

Usiadła na krzesełku, zastanawiając się, która może być godzina. Nie potrafiła ocenić, czy o tej porze Tom jest jeszcze w domu, w drodze do pracy, czy już w swoim biurze. Znała na pamięć numer jego telefonu komórkowego, nie wiedziała tylko, czy z tutejszego automatu dodzwoni się do sieci komórkowej. Szybko wstała, coraz bardziej rozżłoszczona. Jasna cholera! Przecież nie była recydywistką. Miała własny aparat, ale go zabrano. Miała też kartę kredytową Verison bez limitu wypłat. Dlaczego nie mogła tego zatrzymać? Co złego by się stało? W końcu telefon miał zaokrąglone kanty, nie mogłaby nikomu zrobić nim krzywdy. Rozwścieczona, przysiadła na brzegu pryczy, zastanawiając się, czy nie powinna się jednak zająć pościelą. Lepiej, żeby Tom wyciągnął ją stąd jeszcze przed wieczorem. Tu było o wiele gorzej, niż potrafiła sobie wyobrazić.

- Siedzisz na mojej pryczy - odezwał się ktoś ostrym tonem.

Poderwała się na nogi. W wejściu do celi stał Camry w towarzystwie drobniutkiej, bardzo ładnej blondynki.

- Przepraszam - mruknęła Jennifer.

- Nic się nie stało - odparła dziewczyna. Można było odnieść wrażenie, że boi się wejść głębiej i celowo chowa się za ramieniem strażnika.

- Panno Spencer, to jest Suki - odezwał się Roger i lekko

pchnął młodą blondynkę do przodu. - Będziecie mieszkały razem.

Jennifer pochwyciła zdumione spojrzenie, jakim dziewczyna obrzuciła jej przemoczony kombinezon.

- To ty wczoraj wieczorem zapchałaś kibel na obserwacji? - zapytała Suki.

Podeszła bliżej pryczy i popatrzyła na wilgotną plamę w miejscu, gdzie Spencer przed chwilą siedziała.

- Możesz wziąć moją pościel - odparła szybko, wskazując swój zrolowany materac. - Nie będę jej potrzebowała.

- Dlaczego?

- Bo nie zamierzam tu zostać.

- A dokąd się wybierasz?

Jennifer naszyły obawy, że zaraz zaczną wrzeszczeć na cały głos.

- Czy teraz mogłabym skorzystać z telefonu? - zapytała, patrząc ponad ramieniem Suki na Camry'ego.

- Dopiero po pracy - odparła szybko blondynka.

- Ale ja muszę zadzwonić.

- Panna Spencer... to znaczy, Jennifer... będzie pracowała z tobą w pralni - z uśmiechem wyjaśnił strażnik dziewczynie. - Dopilnujesz, żeby siedziała tam grzecznie przez całe popołudnie?

- Jasne, Rog... panie oficerze. - Suki zarumieniła się lekko.

Camry nerwowo przestąpił z nogi nogę niczym sztubak przed drzwiami domu panienci po powrocie z pierwszej randki. Czyżby zamierzał ją pocałować na pożegnanie? - przemknęło Jennifer przez myśl. On jednak odwrócił się na pięcie i odszedł. Suki popatrzyła za nim, a on, jakby czując na sobie jej wzrok, obejrzał się i uniósł rękę.

Spencer nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi, ale mało ją to interesowało. Nagle w całym budynku ogłuszająco zaterkotały dzwonki.

- Pora wracać do pracy - oznajmiła Suki. - Chodź. Pokażę ci drogę.

Jennifer ruszyła za nią bez słowa. Miała nadzieję, że może w pralni znajdzie automat telefoniczny.

9

Movita Watson

Mam w biurze nawał roboty, której nie można dać mniej zaufanej więźniarce, a wszystko przez pannę Ringling. Należy do tych urzędników państwowych, których głównym obowiązkiem jest spieniężanie odbieranego czeku z wypłatą. Dlatego całą robotę, która wymaga choć trochę inteligencji, dostaję bezpośrednio od naczelniczki. A panna Ringling dorzuca jeszcze coś od siebie. Tego dnia, kiedy wreszcie uporałam się ze wszystkim i wyłączałam komputer, żeby przygotować się do obiadu, Harding wytoczyła się właśnie ze swego gabinetu i podeszła do mnie powoli, jak zawsze kiedy chciała ze mną pogadać.

- Movita? - zaczęła.
- No? - odburknęłam.

Nie należy się tak odzywać do naczelniczki, ale znamy się już dość długo, więc uważam, że mogę sobie pozwolić na trochę swobody.

- Przydzieliłam Spencer do celi Conrad. Jak sądzisz, czy Suki dobrze przyjmie współlokatorkę?

A od kiedy to Starą interesuje, co ja myślę?

- Dlaczego miałabym się interesować, co Suki o tym myśli? - wypaliłam. Zabrzmiało to trochę za ostro, więc szybko dodałam łagodniejszym tonem: - Nic jej nie będzie. Spoko. Spencer nie jest samobójczynią, jeśli to panią martwi.

- Pomyślałam po prostu, że masz lepsze ode mnie rozeznanie, kto najlepiej by się nadawał dla tej nowej. W końcu jesteś...

najważniejsza w tej grupie. Nie chciałabym przysparzać problemów w skądinąd już kłopotliwej sytuacji.

- Jam tam wyznaję zasadę poprzedniego prezydenta: „O nic nie pytaj, nikogo nie uprzedzaj”. Zawsze mi to wychodzi na dobre.

Świetnie wiedziałam, do czego zmierza. Chciała mnie prosić, żebym przytuliła to małe białe ścierwo do swojej czułej czarnej piersi. To najgorsze, co się może przytrafić w więzieniu: raz okażesz słabość, a potem wszyscy chcą na tobie jeździć jak na łysej kobyle. Ale to, że odruchowo i bez zastanowienia przyjąłam Suki Conrad do swojej grupy, nie świadczy wcale, że będę tak samo przygarniała każdą żalostną gówniarę, która trafi do zakładu Jenningsa. Wkurzyło mnie, że Stara o to zapytała.

Nawet nie wiem, czy kto inny chciałby wziąć Suki, bo sama nalegałam na jej przydział. A potem już nie miałam wyboru. Nie chodzi nawet o to, że nikt inny jej nie lubił, w końcu Movita tu rządzi. Ale gdy zobaczyłam pierwszego dnia, jak wlecze swą żalostną dupeńkę z sekcji przyjąć, po prostu przypadła mi do serca. Może zaważył jej dziecinny wygląd, proste słomiane włoski i wyraz zagubienia w oczach. Kiedyś na Gwiazdkę dostałam podobną różową lalkę z żółtymi włosami i niebieskimi oczami. Tak bardzo ją kochałam. No i zdarza się czasami, że ktoś od razu przypadnie człowiekowi do serca tak sobie, bez powodu. Bogiem a prawdą, chyba po prostu zrobiło mi się jej żal. Bo to, że siedzę w kiciu, nie oznacza wcale, że nie mam ludzkich odruchów. Poza tym przyszło mi do głowy, że przyda się taka dziecina w naszej grupie.

Kobiety tęsknią za rodziną. Nieważne, własną czy nie. W grupie czasami jesteśmy jak matki i córki, czasami jak siostry, a kiedy indziej jak dalsze krewne. Nie znaczy to, że się nie kłócimy, i tak dalej. Ale w grupie zawsze próbujemy ograniczyć to do minimum.

- Proszę, zawiadom mnie, gdyby się okazało, że między nimi jest coś nie w porządku, dobrze? - poprosiła naczelniczka.

Patrzyła mi przy tym prosto w oczy, od razu się domyśliłam, że chodzi jej o coś więcej niż tylko doniesienie o kłopotach. Dobrze wiedziała, jak mnie podejść.

- To wszystko na dzisiaj, Movita. Możesz iść na obiad -

dodała i po krótkiej przerwie spytała: - Co dzisiaj szykujesz ze swoimi dziewczętami?

Wyłączyłam monitor i w zamyśleniu poprawiłam stosik papierów na moim biurku.

- Dziś ma dyżur Theresa, więc będzie niespodzianka.

Niekiedy mam dziwne wrażenie, że naczelniczka jest trochę zazdrosna o moją grupę. Pewnie chciałaby pójść na dół i zjeść obiad razem z nami, zamiast wracać do domu. Nie mam pojęcia, jak wygląda jej życie na Zewnątrz, wiem tylko, że jest roz-wiedziona i dlatego długo przesiaduje w pracy. Pewnie w ogó-le nie ma życia prywatnego.

Kiedy wróciłam do domu, Theresa siekała marchewkę, którą Suki myła w zlewie.

- Wolicie sos do surówki na słodko czy na ostro? - zapytała.

- Wszystko mi jedno, skoro ty gotujesz - odparła Cher.

Leżała rozwalona na wyrze, przeglądała jakiś magazyn i czekała, aż obiad będzie gotów.

Jeśli gówniane więzienne żarcie ma być dla nas dodatkową karą, to jest ona szczególnie dotkliwa. Naczelniczka wciąż się wykłóca z Benem Nortonom z zaopatrzenia, ale wszystko zostaje po staremu. Nikt, dosłownie nikt nie chce jeść tych świństw, które Norton podaje w stołówce. Zawsze są to jakieś ochłapy mięsa w tłuszczu gęsto zaprawionym mąką. Ludzie to jedzą tylko wtedy, kiedy muszą.

No i w stołówce żarcie jest za darmo. Jeśli więc ktoś jest odizolowany albo wydał już całą forszę na kontrabandę czy też nie ma żadnej bratniej duszy, jest skazany na stołówkowe jedzenie, czyli specjalność zakładu Bena.

Ale każdy zdrowy na umyśle, nie będący odludkiem i wykazujący choć trochę inicjatywy może kupić produkty w bufecie i na własną rękę ugotować obiad. Trzeba tylko na początku odłożyć trochę forsy na garnki, patelnie i całą resztę. Co prawda, nie mamy w domach prawdziwych kuchni, lecz Harding pozwala nam trzymać kuchenki i piecyki elektryczne. Rzecz jasna, w bufecie nie kupi się wszystkiego, jest tam najwyżej siedem czy osiem produktów. Najczęściej można dostać kurczaka, rzadziej wołowinę. Zawsze znajdzie się trochę sałaty i jakieś jarzyny. Stale są ziemniaki, niekiedy ryż. Od czasu do czasu tra-

fiają się też owoce: jabłka, banany, a nawet pomarańcze. Theresa pracuje w ambulatorium i zawsze wie, co przyszło ciekawego. Odkłada najlepsze rzeczy dla naszej grupy, a za pieniądze, które Cher zdobywa ze sprzedaży rzeczy kradzionych w sekcji przyjęć, możemy sobie kupować same rarytasy. Najgorsze jest to, że nie mamy lodówki, dlatego zużywamy tak dużo lodu. Mamy to szczęście, że jego dostawami zajmuje się Frances. Bo tłuczony lód jest w więzieniu na wagę złota. Bez niego mnóstwo naszych potraw trzeba by wywalać do śmieci. Jeśli kupimy na spółkę całego kurczaka, to zanim zjemy połówkę, druga bez lodu pewnie by się już zepsuła. Zresztą mamy go wtedy po dziurki w nosie, same prawie gdczemy i przez jakiś czas nie chcemy widzieć żadnego ptactwa.

- Podaj mi ten garnek z wodą, Suki - odezwała się Theresa, kiedy usiadłam.

Byłam ciekawa najświeższych wiadomości dotyczących Spencer. Miałam nadzieję, że Suki coś powie. Ale jak zwykle pierwsza musiała zabrać głos Cher.

- Słyszałam, że już się panoszy tutaj, jakby wykupiła sobie cały zakład na własność. Byrd powiedział starej Cranston z sekcji przyjęć, że jeśli jeszcze raz zażąda dostępu do telefonu, od razu wpakuje ją do karceru.

- Chyba wiecie, co się mówi na temat żądań i ich spełniania, prawda? - wtrąciła Theresa, która otworzyła paczkę makaronu i wsypywała go do wrzątku.

- Jasne. Przecież nie jesteśmy w szkółce niedzielnej - odparła Cher. - No i nie gramy w filmie. Tu nikomu nie przysługuje prawo do jednego telefonu zaraz po przyjeździe.

- Wy, białe dziewczyny, chyba byłybyście chore, gdybyście nie wytłumaczyły wszystkiego po swojemu - wtrąciłam ostro, zerkając na Cher, która przyjęła całkiem zadziwiającą postawę.

- To nie było zbyt miłe - odezwała się urażona Suki.

- Movita wcale nie piła do ciebie, skarbie. - Cher wstała i poklepała Suki po ramieniu.

Uznałam to za swoje małe zwycięstwo. Kiedy tylko włączyłam Conrad do naszej grupy, Cher kręciła nosem.

- Nie umie gotować ani kraść, potrafi tylko płakać. Jest bystra jak woda w kałuży. Inaczej nie dałaby się namówić swojemu chłopakowi i nie usiadła za kierownicą.

Moim zdaniem Suki naprawdę uwierzyła chłopakowi, że idzie do sklepu po papierosy, tymczasem on wyniósł całą zawartość kasy. A pewnie i wtedy uważała, iż nie jest winna niczego poza tym, że na jego prośbę trzymała silnik na chodzie.

Z drugiej strony Theresa była przesadnie wyrozumiała.

- Przecież straciła dziecko - tłumaczyła wtedy Cher. - Nigdy nie przestanę z tego powodu rozpaczać. Chyba znasz to powiedzenie o matkach, którym odebrano dzieci, prawda?

Na takie pytania nikt już jej nie odpowiadał. Milczałam przez dłuższy czas, bo nie znoszę rozmów o dzieciach. Nigdy nie wspominam o swoich córeczkach. Wychowują je dziadkowie, tylko tyle mogę powiedzieć spokojnie.

- Co ty tam pichcisz, Theresa? - zapytałam, chcąc rozładować napiętą atmosferę. - Chcesz nas wszystkie wykończyć, zanim Cher zyska okazję, żeby stąd wyjść?

- Lepiej zejdź ze mnie, Movita - burknęła ostrzegawczo. - Chyba znasz to przysłowie o sześciu kucharkach, prawda?

Zachichotałam i zeszałam jej z drogi. Rozmowa z Theresa często przypomina pogawędkę z lodówką, której drzwi ktoś obkleił sentencjami i przysłowiami. Ale bardzo ją szanuję. Nie zdarzyła się jeszcze taka zła chwila, żeby Theresa nie wstała i spoglądając na nas z pełną powagą, nie oznajmiła:

- Mówią, że jestem optymistką, ale to chyba nie do końca prawda. Chcecie wiedzieć dlaczego? To wam powiem. Na pewno pamiętacie to przysłowie o pesymizmie i optymizmie, prawda?

W gruncie rzeczy Theresa nawet nie oczekuje odpowiedzi, ponieważ sama je doskonale zna.

- Pesymista powie, że szklanka jest do połowy pusta, a optymista, że do połowy pełna. Wiecie, co ja o tym myślę? Że ta szklanka nie jest w połowie ani pełna, ani pusta, tylko że to jest zła szklanka. Wyraźnie za duża. Takie jest moje zdanie. - Tutaj jak zwykle zawiesiła głos, żeby dotarł do nas sens jej słów, po czym ciągnęła: - A wiecie, o czym to świadczy? Że jestem pragmatykiem! To znaczy osobą o praktycznym, zdroworozsądkowym podejściu do życia. Takich ludzi nazywa się pragmatykami i ja właśnie taka jestem, do problemów życiowych podchodzę praktycznie. Więc jeśli nie wiecie, czy wasza szklanka jest w połowie pusta, czy w połowie pełna, może le-

piej się zastanówcie, czy po prostu nie jest ona za duża. Rozumiecie, do czego zmierzam? Nie chodzi o to, co myślicie o swojej szklance, ale o to, co z nią zrobicie. Powtarzam, że powinniście ruszyć tyłek z miejsca i wziąć sobie inną szklankę. I zawsze pamiętajcie: odpowiedź to tylko zwykłe słowo. Rozumiecie? Drzwi do sukcesu są oznaczone nalepką z napisem: PCHAĆ! Nie da się zostawić odcisków swoich stóp w piasku czasu, jeśli się nie nosi obuwia roboczego.

Nie wiem dlaczego, ale mogłabym godzinami słuchać tych wywodów Theresy. Uwielbiam jej teksty.

- Może byś ruszyła dupę, Cher, i podała mi plastikowy durszlak - rzuciła ostro i Cher natychmiast poderwała się z miejsca. - Trzymaj go nad miską.

Kiedy odlała makaron i przeniosła durszlak do zlewu, żeby obciekł, Cher zachichotała.

- Nie sądzisz, że jest coś symbolicznego w tym, że gotujesz zarcie tuż przy kiblu?

Specjalnością Theresy jest właśnie makaron. Nie można go kupić w bufecie, ale jej siostra przysyła mnóstwo w paczkach. To następny ważny element doboru członków grupy. Wszędzie pożądane są dziewczyny dostające dużo paczek z Zewnątrz. Oprócz makaronu Theresa otrzymuje salami i dużo innych włoskich specjałów. Ale trudno sobie wyobrazić lepsze przesyłki od tych, które dostaje Cher. Złodziejstwo jest rozpowszechnione w jej rodzinie, toteż w paczkach trafia się mnóstwo skarbów. Większość jest uznawana za kontrabandę i odsyłana nadawcy, ale i tak docierają do nas kremowe mydełka, pachnące szampony i podobne rarytasy. Od czasu do czasu trafia się duża puszka szynki konserwowej i rozmaite przyprawy. A chipsy i różne słodczyce przychodzą regularnie. No i obie dziewczyny naprawdę hojnie dzielą się swoimi rzeczami z resztą grupy.

Za to do Suki nigdy nic nie przychodzi. Ona w ogóle nie ma rodziny. Jej dziewczynki wylądowały w domu dziecka. Dla mnie to bez różnicy, i tak bym wzięła ją do siebie. Ale jeśli teraz będę musiała przygarnąć także Spencer, lepiej, żeby ta zdzira wniosła jakiś swój udział.

Obiad był prawie gotowy. Do makaronu miałyśmy odrobinę surówki z sałaty, a na deser banany.

- Lód się skończył - powiedziała Theresa. - Następna dostawa będzie dopiero jutro po południu, więc macie zjeść wszystko. Nie zamierzam wywalać do kibla porządnego jedzenia.

- Skoro już o tym mowa - wtrąciłam - podobno panna Spencer miała noc pełną atrakcji.

- Byrd się do niej dobierał? - zapytała z troską w głosie Theresa.

- Karl nie potrzebuje takich żałosnych siks, żeby dopiąć swego - burknęła Cher.

- To też nie było miłe - pisnęła Suki. - Moim zdaniem ona jest całkiem przyjemna. Będziemy mieszkały w jednej celi. Ale już dziś powiedziała, że nie zamierza tu długo siedzieć.

Cher zaśmiała się w głos.

- Skąd ja to znam? Jeszcze jedna niewinna ofiara, którą wpakowano do pudła przez pomyłkę!

- Tak mówiła - odparła poważnie Suki, która w ogóle nie wyczuwa ironii, jakby była na nią całkowicie uodporniona. - Podobno narzeczony ma ją szybko wyciągnąć z więzienia.

- Po mnie też przyjechał mój rycerz w lśniącej zbroi. - Cher prychnęła pogardliwie.

W jej obecności czas zawsze mija szybciej. Kiedy tylko pojawiła się w zakładzie Jenningsa, nie umiałam sobie wyobrazić, jak przetrzymam w jednej celi z tą białą wariatką. Okazało się jednak, że potrafi być bardzo zabawna. I jak na złodziejkę jest nadzwyczaj uczciwa. Nigdy nie udaje kogoś innego. Dla niej wszystko jest jak dojrzałe jabłko do rwania. Zawsze ma oczy szeroko otwarte i wypatruje każdej okazji, żeby coś zwędzić. Zresztą nie robi tego tylko dla siebie. Już w pierwszych dniach podpieprzyła mojego walkmana Sony i puchową poduszkę, ale jednocześnie skradła mi serce. Nigdy się nie dowiedziałam, jak to zrobiła, ale to chyba nawet lepiej. W każdym razie szczerze kocham Cher. Rzecz jasna, nie jesteśmy lesbijkami. W ogóle w mojej grupie nie ma lesbijek. Wiem, że niektóre kobiety w więzieniu łączą się w pary, żeby zaznać odrobiny rozkoszy, ale między mną i Cher nic takiego nigdy nie było. My się jedynie kochamy. I kiedy teraz wspominam, co kiedyś czułam do Earla, chce mi się śmiać. Bo moje uczucia do niego były całkiem powierzchowne i żałosne w porównaniu z tym, co czuję do Cher, a nawet do Theresy czy Suki.

Jedynym facetem, z którym miałam tu bliższy kontakt, jest ta ciota, Byrd. Byłby gotów zgwałcić karalucha albo biedronkę jeśli nie zechciałyby mu ulec dobrowolnie. Takie rzeczy strasznie podniecają mężczyzn. Trzymam ich na dystans, nie okazuję strachu i pytam prosto w oczy, czy już mają dla mnie całkiem stwardniałe te swoje dziesięć centymetrów. Jeden ze strażników spiekł kiedyś raka, jak to usłyszałam. Miałam wtedy swój dzień.

Podczas obiadu siedziałam na pryczy, spoglądałam na moją grupę i zastanawiałam się, czy powinnam do niej włączyć Spencer. Poczulałam się jednak tak, jakbym zamierzała zdradzić Cher, która niedługo miała dostać zwolnienie warunkowe, jeśli nikomu nie podpadnie i nie da się przyłapać na kradzieży w sekcji przyjęć. Zresztą i to chyba jej specjalnie nie zaszkodziło, bo podobno ma dobrego adwokata na Zewnątrz.

Tak czy inaczej, zrobiło mi się przykro i smutno. Wcale nie czuję urazy do Cher za to, że niedługo stąd wyjdzie. Pomyślałam tylko, że bez niej poczuję się samotna i zrobi się tu cholernie nudno. Warto więc było się zastanowić, czy nie wziąć do grupy kogoś na jej miejsce.

10

Jennifer Spencer

- Przerwa obiadowa! - obwieścił strażnik przez megafon. - Proszę się ustawiać w kolejce na brązowej linii.

Jennifer w najmniejszym stopniu nie była zainteresowana jedzeniem obiadu w stołówce, ale Suki jednoznacznie wskazała jej kierunek, w którym ma iść, więc posłusznie stanęła na końcu kolejki. Musiała przyznać, że jest głodna jak wilk, obawiała się tylko rodzaju podawanych tu potraw. Po chwili odwróciła się, żeby zapytać Suki o jadłospis, ale jej już nie było, gdzieś zniknęła. Jennifer została w posuwającej się z wolna kolejce.

Krok za krokiem dotarła korytarzem do otwartych drzwi, przy których stał strażnik.

- Pojedynczo, moje panie, pojedynczo - rzucił. - Dziś macie coś pysznego. Oficer Summit twierdzi, że z chęcią zjecie reuben^{*}, bo na pewno zgłodniałyście po tej sałatce z szynką, która była na lunch.

- Najwyższa pora - odezwała się jedna z więźniarek.

- Nie rozmawiać!

Parę metrów dalej inna skazana tłumaczyła coś gwałtownie, stojąc przed zamkniętymi drzwiami. Wreszcie krzyknęła:

- Jesteś zwykłym palantem, pieprzony kutasie! - Zamilkła na chwilę i dodała: - Nie masz prawa!

Zza drzwi nie dolatywał żaden głos. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

^{*} Popularne w USA, podawane na ciepło kanapki z pieczoną wołowiną, serem i kiszoną kapustą (przyp. tłum.).

Kiedy Jennifer wreszcie stanęła w wejściu do stołówki, zobaczyła, że ziściły się jej najgorsze obawy. Tutaj gołe betonowe ściany były pomalowane na żółto, salę zalewało jaskrawe światło jarzeniówek podwieszonych pod ciężką żelazną kratą, z otworów wentylacyjnych z szumem wydobywało się lodowate powietrze i nawet podłogę tworzyła szklista tafla wyslizganego betonu, lekko pochylona ze wszystkich stron ku środkowi, gdzie znajdowała się zakratowana studzienka kanalizacyjna. Od razu przypomniał jej się stary targ mięsny na przedmieściach, do którego za młodu czasami chodziła z matką. Tutaj też było jak w rzeźni.

Odruchowo zaczęła naśladować posuwającą się przed nią kobietę, zwracając baczną uwagę, by nie stać się przyczyną żadnego zamieszania. Obok kontuaru stały trzy dystrybutory z napojami: pierwszy z czymś o smaku grejpfrutowym, drugi z czymś o smaku pomarańczowym, a trzeci z lemoniadą, która bardziej przypominała czystą wodę niż jakkolwiek napój mający coś wspólnego z cytrynami. Ostrożnie wzięła blaszany kubeczek z całej sterty poustawianych do góry dnem, napełniła go napojem pomarańczowym i przeszła dalej, by ku swemu zdumieniu odebrać plastikową tacę z czymś, co przykrywała mlecznobiała plastikowa osłona.

- Zaraz! A gdzie reubeny? - zapytała któraś z więźniarek.

- No właśnie. Ktoś mówił, że dostaniemy na obiad reubeny! - podchwyciła druga.

- No cóż, oficer Summit musiał zostać źle poinformowany - odparł strażnik pilnujący czoła kolejki.

Czyżby zanosilo się z tego powodu na jakąś rozróbę? Jennifer miała za sobą ciężki dzień i nie chciała być zamieszana w żadną awanturę. Jeszcze nigdy nie czuła się aż tak bezsilna w otoczeniu, w którym kontrolowano każdy jej krok. Pospiesznie wzięła swoją tacę i ruszyła za inną skazaną odchodzącą w kierunku stolika.

Usiadła i popatrzyła na nią. Kobieta zdjęła pokrywę, ostrożnie wsunęła ją pod spód tacy, chwyciła za róg zrolowanej papierowej serwetki i szarpnęła w górę. Na podstawioną dłoń wypadły sztucce - a raczej jeden sztuciec wielofunkcyjny, który wyglądał jak płytka łyżka o krótkim uchwycie, zakończona jak widelec trzema zębami, ale tępymi i obłymi. Spencer zrobiła to

samo i popatrzyła na danie obiadowe przypominające miniatury krajobraz. Z hełmiastego wzgórza ziemniaków puree spływała szeroka rzeka tłustego sosu, omijała łukiem zwalony wichurą zgniłozielony las strzępów sałaty i podmywała wysypisko toksycznych odpadów w postaci chrząstek i szarawych błon poprzetekanych skrawkami mięsa. Jeszcze tydzień temu wywaliłaby takie żarcie psom, uważając, żeby nie pochłapać sobie butów. Nawet teraz, mimo dotkliwego głodu, uznała, iż zjedzenie obiadu będzie dla niej nie lada wyzwaniem, pomi-
ając nawet sprawę dziwnego sztucca.

Naprzeciwko siedziała barczysta kobieta o nieokreślonym kolorze skóry, licznych brodawkach na twarzy i rudych włosach upiętych w kok na czubku głowy. Uśmiechnęła się do niej głupekowato, co zapewne miało być wyrazem zachęty. Pochyliła się nad stołem i szepnęła:

- Jestem Duża Ruda. Jak będziesz potrzebowała czegoś mocniejszego, poszukaj Dużej Rudej.

- Jak wy to nazywacie? - zapytała Jennifer, podnosząc z tacy dziwaczne narzędzie.

- Łyżkowidelec - odparła Duża Ruda takim tonem, jakby miała do czynienia z idiotką. - Nigdy wcześniej nie widziałas łyżkowidelca? W Kentucky Fried Chicken używają ich od lat.

- Nie ma tu normalnych sztucców?

- Z choinki się urwałaś? Nikt ci nie da noża ani widelca. Boją się, że mogłybyśmy zrobić z nich broń.

Jennifer na próbę zaczerpnęła trochę ziemniaków, ale sos przeciekł między zębami widelca.

- Nie mogliby dać zamiast tego zwykłej łyżki? - spytała z rezygnacją. - Ostatecznie łyżką nie można nikomu zrobić krzywdy.

- Tak mówisz? - mruknęła Wielka Ruda. - Lottie J. łyżką wydłubała Sabrinie oko. - Wprawnie zaczerpnęła ziemniaków z sosem i podniosła je do ust z gracją, jaką rzadko się widywało nawet u gości ekskluzywnych restauracji. - Symulowała chorobę i gdy ją zabrali do ambulatorium, zwędziła tam metalową łyżkę, potem zaostrzyła jej brzegi i kiedy Sabrina znów zaczęła się jej naprzykrzać, wydłubała jej oko, jakby wycinała kulkę z dojrzałego melona.

Spencer odłożyła łyżkowidelec. W ustach wciąż czuła nie-

przyjemny smak tłustego sosu, który zapachem przypominał zużyty olej samochodowy. Z głodu odczuwała skurcze żołądka. Popatrzyła z odrazą na porcję wielkich białawoszarych kawałków uchodzących zapewne za gulasz mięsny, przypuszczając, że na pewno nie da się ich rozdzielić tępym widelcem.

- Nie jesz? - zapytała Duża Ruda, łypiąc łakomym okiem na jej tacę.

Jennifer zdjęła z niej plastikowy kubeczek z budyniem i skinęła głową. Jeszcze zanim zdążyła odsunąć rękę, ruda chwyciła tacę, przysunęła do siebie i ustawiła na swojej, już pustej. Kiedy z ochotą zabrała się do jedzenia, Spencer uzmysłowiła sobie, że krojenie mięsa w ogóle nie jest tu brane pod uwagę. Tamta łapczywie wpakowała sobie wszystkie kawałki do ust, kilka razy energicznie poruszyła szczęką i przełknęła tak szybko, że ona w tym czasie zdążyłaby zjeść najwyżej parę łyżek zupy. No cóż, z pewnością nie były w restauracji Four Seasons i nie należało oczekiwać, że na deser podadzą tu ciastko z jedwabistym kremem śmietankowym przybrane smażonymi w cukrze fiołkami, z zapaloną świeczką pośrodku.

Chcąc zapomnieć o dotkliwych kurczach żołądka, Jennifer rozejrzała się, by sprawdzić, jak inne kobiety radzą sobie z tym posiłkiem. Ale przy większości stolików toczyły się już swobodne rozmowy, tu i ówdzie rozbrzmiewały śmiechy. Nagle spostrzegła ze zgrozą, że jedna z więźniarek usiłuje łyżkowidelcem rozsmarować sobie na kromce chleba masło orzechowe i dżem. Pewnie łatwiej byłoby jej zrobić kanapkę palcem.

To zwykłe upodlenie, a nie resocjalizacja! Mimo wysiłków Jennifer nie potrafiła się uwolnić od tej myśli. Zaciekawiło ją, czy kobiety przebywające w zakładzie rzeczywiście są aż tak groźne, żeby nie można im było zaufać i dać normalnych sztuców. Spojrzała na Dużą Rudą, która zgarniała właśnie resztki sosu z tacy, zachodząc w głowę, ile prawdy zawierała jej opowieść o łyżce wykorzystanej do zbrodniczych celów. Może była to zwykła bajeczka powtarzana dla odstraszenia nowych skazanych, jak wyssana z palca historia o parze wampirów podróżujących furgonetką z podwieszonym pod sufitem zakrwawionym rzeźnickim hakiem?

Nagle z głębi sali doleciały głośne wrzaski dwóch kobiet. Niemal w ułamku sekundy Duża Ruda wskoczyła na stół,

o mało nie przydeptując Jennifer palców, i krzyknęła na cały głos:

- Zabij sukę!

Spencer nie umiała nawet ocenić, czy ze szczytu stołu widać toczącą się w oddali bójkę. Wyglądało na to, że obie walczące tarzają się po podłodze pod ścianą, zasłonięte rzędem stołów. Chwilę później zauważyła nadbiegających strażników. Już miała odwrócić wzrok, gdy zauważyła, jak jeden z nich, chyba Byrd, wymierza którejś z leżących solidnego kopniaka.

W tej samej chwili wybuchł inny zgiełk i poruszenie w przeciwnym końcu sali. Odwróciła głowę, chcąc dojrzeć, co się tam dzieje, gdy nagle spostrzegła w korytarzu na wprost drzwi automat telefoniczny.

Kiedy krzyki zaczęły przybierać na sile i kilku strażników przebiegło obok stolika, wstała powoli i ruszyła w stronę wyjścia. Nie bała się tłumu, w Nowym Jorku wielokrotnie musiała się rozpychać łokciami, chcąc dotrzeć do drzwi teatru, w którym grano popularną sztukę. Dlatego uważnie patrzyła przed siebie, ale przez ramię zerkiała także do tyłu, obawiając się, że ktoś na nią wpadnie i zwali ją z nóg. Za nic w świecie nie chciała zostać zamieszana w awanturę. Co prawda w firmie nazywano ją czasami „mistrzynią szermierki słownej”, ale w gruncie rzeczy o żadnej walce nie miała zielonego pojęcia. Na szczęście dalej robiło się nieco luźniej, parę metrów od drzwi stołówki nie panował już ścisk. Wyglądało na to, że nikt nie zwraca na nią uwagi, ale serce waliło jej tak mocno, iż bała się, że inne więźniarki to usłyszą mimo panującej w sali wrzawy.

Obejrzała się po raz ostatni i w dwóch susach dopadła telefonu. Zdjęła słuchawkę i pospiesznie wybrała numer. Zasłuchiwała się w melodyjne popiskiwanie aparatu, choć coraz bardziej zagłuszały je dzikie wrzaski dolatujące z sali. Kiedy uzyskała połączenie z centralą, podała swoje nazwisko i numer kierunkowy. Z drugiego końca linii, jakby z innego świata, doleciał stłumiony sygnał dzwonka. Ujrzała w wyobraźni apartament Toma w Bartery Park City, którego okna wychodziły na nowojorski port i Statuę Wolności. Setki razy podziwiała ten widok. Rozległ się drugi sygnał. Kobięce wrzaski zdawały się dolatywać już ze wszystkich stron. Tu jest gorzej niż w gnieździe

szerszeni, pomyślała, zasłaniając ręką drugie ucho. Ale i to tylko w niewielkim stopniu zagłuszyło krzyki. Łza spłynęła jej z kącika prawego oka i pociekła wzdłuż nosa, ale nie chciała odrywać dłoni od ucha, gdyż otaczał ją piekielny hałas.

Nagle w drzwiach stołówki pojawiła się grupka strażników prowadzących kogoś między sobą. Więźniarki ruszyły hurmem do wyjścia. Jedna z nich przygniotła Jennifer do ściany, broniąc się przed trzema oficerami.

- Zamykać! - krzyknął ktoś w drugim końcu sali.

Spencer stała jak wmurowana, zasłuchana w powtarzający się monotony sygnał, i powtarzała w myślach: Odbierz, do jasnej cholery!

Na korytarz wyszła kolumna idących gęsiego więźniarek. Starsza kobieta odłączyła się od szeregu, przystanęła na wprost automatu i uśmiechnęła się szeroko. Jennifer rozpoznała w niej ogrodniczkę, która w dniu jej przyjazdu do zakładu pracowała przy grządce nagietków. Spojrzała na wykrzywione w uśmiechu wąskie usta przypominające rozcięcie na wychudzonej twarzy Murzynki.

- Chciałabyś stąd zwać? - zapytała staruszka.

W tej samej chwili ktoś wyrwał jej słuchawkę z ręki.

- Nie można teraz korzystać z telefonu! - huknęła wyraźnie rozwścieczona strażniczka. - Cholerna nowicjuszka! - Chwyć ją Jennifer za rękę i pchnęła ją do szeregu. - Naprzód marsz! Ty też, Wiosenko! Ruszać się! Wracać do swoich domów!

Spencer miała ochotę wrzasnąć na cały głos, wyrwać się i rzucić do ucieczki, chociaż zaledwie kilka metrów dalej korytarz przegradzała krata. Musiała coś zrobić, skontaktować się jakoś z Tomem, bo przecież ani on, ani Donald nie mieli pojęcia, co się tu naprawdę wyrabia. Wydawało jej się, że nie przetrzyma następnego dnia, nie tracąc zmysłów. Jeśli obserwacja nie była wystarczającym powodem do tego, żeby się zabić, to z pewnością musiał nim być kolejny posiłek w stołówce.

11

Gwen Harding

Gwen Harding zawiązała pasek szlafroka, ściągnęła gumkę z włosów i popatrzyła na papiery rozłożone na stole w jadalni. W zakładzie nie miała na to czasu, była zavalona robotą administracyjną, sprawami więźniarek, personelu i zaopatrzenia, dopiero teraz mogła przejrzeć materiały informacyjne JRU International, ilustrowane wykresami i schematami organizacyjnymi. Była to kopia pełnej oferty złożonej władzom stanowym, którą ona, podobnie jak naczelnicy kilku innych zakładów karnych, musiała zaopiniować.

Rzuciła okiem na pierwszy punkt podsumowania. „Sektor prywatny znacząco wpływa na redukcję wydatków budżetu państwa. W ciągu ostatniego dziesięciolecia prowadzono co najmniej czternaście niezależnych badań obejmujących porównanie kosztów utrzymania instytucji prywatnych oraz państwowych. W dwunastu z tych prac wykazano, że koszt utrzymania sprywatyzowanych zakładów karnych jest od dwóch do dwudziestu dziewięciu procent niższy niż w analogicznych placówkach państwowych”. Ciekawe, jak oni zamierzają zredukować koszty? - pomyślała. Przez wyrzucenie na bruk personelu w wieku przedemerytalnym?

Wstała od stołu i przeszła wzdłuż kontuaru stanowiącego umowną linię demarkacyjną między jadalnią a wyłożoną biało-granatowymi kafelkami kuchnią, w której panował idealny porządek. Wyłączyła jedyną używaną obecnie płytkę grzejną pod czajnikiem, jedynym używanym obecnie naczyniem kuchennym. Z wiszącej szafki wyjęła swój kubek. Przed laty do-

stała go w prezencie od zaprzyjaźnionej pracowniczki służb socjalnych. Był to biały fajansowy wyrób przeznaczony dla miłośników amatorskiego domowego zdobienia ceramiki. Lisa Anderson wymalowała na nim napis: TO DLATEGO, ŻE JESTEM NACZELNICZKĄ, I TYLE. Kiedy tylko go dostała podczas wizyty w schronisku dla ubogich dzieci, razem z Lisą i jej wychowankami długo śmiały się z tego napisu.

Gwen napełniła kubek wrzątkiem i wrzuciła do niego torebkę z herbatą. Miała niezmierną ochotę na szklaneczkę ginu i wydawało jej się, że ją przywołują oliwki stojące w słoiczku w lodówce, musiała jednak zachować jasność umysłu. Uznała, że teraz najważniejsze jest zapoznanie się z ofertą JRU. Podszła z kubkiem do zlewu, otworzyła szafkę pod nim i wyrzuciła torebkę do pustego kosza. Ostatnio nawet śmieci wyrzucała bardzo mało. Westchnęła ciężko. Jakby w innym świecie i w innej epoce gotowała w tej kuchni posiłki i regularnie urządzała przyjęcia, zapraszała na obiady różnych ludzi. A przecież umiała dobrze gotować, wszyscy zachwalali jej kurczaka duszonego z pieczarkami w czerwonym winie.

- Boże - mruknęła do siebie, wracając z herbatą do stołu. - Czy teraz jeszcze ktoś przyrządza w ten sposób kurczaka?

Od lat nie widziała tego specjału na żadnym przyjęciu ani w menu restauracji. Zresztą kiedy ostatnio była na jakimś przyjęciu? Nie potrafiła sobie przypomnieć. To niemożliwe! Zastygła bez ruchu z ręką na oparciu krzesła, w drugiej trzymając parujący kubek. Pamiętała tylko obiad w restauracji niedaleko siedziby Związku Funkcjonariuszy Więziennictwa Wschodnich Stanów. Jak zwykle przy okazji zebrania pracowników służb państwowych podano wtedy gumowego i niedoprawionego pieczonego kurczaka. Nie mogła sobie jednak przypomnieć żadnego przyjęcia ani nawet zwykłego towarzyskiego spotkania w czyimś domu.

Upiła łyżeczek herbaty, zastanawiając się, co teraz porabia Lisa Anderson. Uśmiechnęła się. Razem spędziły wiele miłych chwil. Ona była już wtedy po rozwodzie, a Lisa wystąpiła do sądu o formalne uznanie separacji z mężem. Wspólnie wyjeżdżały z miasta co najmniej raz w tygodniu, ale od tamtej pory... Gwen w zamyśleniu odstawiła kubek, usiłując sobie przypomnieć, czy było to sześć, czy siedem lat temu. Aż nie

mogła uwierzyć, że minęło już tyle czasu. Przeliczyła kilka razy, ale wciąż wychodziło jej tak samo. Przestały się widywać krótko po tym, jak objęła posadę w zakładzie Jenningsa.

Od początku miała zbyt wiele obowiązków, by pielęgnować stare przyjaźnie czy szukać nowych. Zanim ułożyła sobie zajęcia, żeby mieć trochę wolnego czasu, zerwała kontakty ze wszystkimi dawnymi znajomymi. A nie zamierzała nawiązywać bliższych stosunków z nikim z personelu zakładu. Zresztą świadomie zdystansowała się od podwładnych, gdyż bardzo jej zależało na utrzymaniu autorytetu na nowym stanowisku. I kiedy wreszcie poczuła się bezpieczna, gotowa do pewnego rozluźnienia wewnętrznej dyscypliny, chyba nikt już nie miał ochoty się z nią zaprzyjaźnić. Było to całkiem zrozumiałe. Pociągnęła jeszcze łyk herbaty, tłumacząc sobie w myślach, że nigdy nie miała skłonności ekstrawertycznych.

W końcu usiadła przy błyszczącym lakierowanym stole, na którym jedyną skazą były rozrzucone kartki oferty JRU. Postanowiła się nad nią skupić, wiedząc dobrze, że dalsze roztrząsanie pustki wypełniającej jej życie doprowadzi ją do ginu i oliwek zamiast do ułożenia wstępnej odpowiedzi na tę propozycję. Jeszcze raz rzuciła okiem na napis na kubku i uśmiechnęła się smutno. Kiedy rozpoczynała pracę w Departamencie Więziennictwa, wydawało jej się, że naczelnicy więzień dysponują wręcz nieograniczoną władzą. Może była w błędzie i zbyt wysoko oceniała ich rolę, a może po prostu czasy się zmieniły, w każdym razie zakres władzy okazał się bardzo ograniczony. Ogromna była za to odpowiedzialność, nic więc dziwnego, że Gwen niejednokrotnie dostawała takiej gęsiej skórki jak wypatroszony indyk przygotowany do pieczenia. Do tego zataczająca coraz szersze kręgi akcja prywatyzacji zakładów karnych miała bez wątpienia jeszcze ograniczyć zakres jej władzy.

Na sam pomysł prywatyzacji musieli wpaść finansści z Wall Street, skuszeni rosnącym popytem na miejsca za kratkami i nasilającymi się protestami podatników przeciwnych kosztownemu więziennictwu. Jeśli starsi ludzie głosowali nawet za ograniczeniem liczebności i zakresu obowiązków kuratorów oświaty, by zaoszczędzić grosze na wykształceniu swoich wnuków, to łatwo się było domyślić, co sądzili o utrzymywa-

niu „darmozjadów ze środowisk kryminalnych”. Tymczasem liczba skazanych nieustannie rosła. Jedynym rozwiązaniem problemu wydawała się budowa nowych więzień. Dochodziło do tego ciągłe zaostrzanie przepisów kodeksu karnego i powszechne obawy sędziów przed oskarżeniami o zbytnią wyrozumiałość, wskutek czego szczególnie szybko rosła liczba skazywanych kobiet.

Harding doskonale znała statystyki, według których w ostatnim dwudziestolecu liczba więźniarek w Stanach Zjednoczonych zwiększyła się pięciokrotnie. I to wcale nie dlatego, że kobiety coraz częściej dopuszczały się poważnych przestępstw. Przyczyną było coraz powszechniejsze stosowanie kary więzienia za drobniejsze wykroczenia. W roku 1979 za kratkami lądowało dokładnie 49 procent osądzonych i skazanych kobiet, a w roku 1999 już prawie 80 procent.

Stąd też uznano, że prywatyzacja zakładów karnych pozwoli uporać się z problemem. Finansiści byli gotowi podjąć ryzyko, pokryć wydatki i przekształcić więzienia w dochodowe przedsiębiorstwa. Gwen sporo wiedziała o dwóch działających już w USA prywatnych korporacjach więziennych. Spółka Wackenhut Corrections posiadała pięćdziesiąt dwa zakłady i „zatrudniała” ponad dwadzieścia sześć tysięcy skazanych. Niemal trzykrotnie więcej ludzi w osiemdziesięciu jeden więzieniach pracowało dla CCA, Amerykańskiej Korporacji Zakładów Karnych. Na ostatniej konferencji naczelników, w której uczestniczyła, toczyły się zażarte spory na temat dalszej prywatyzacji więzień. Akcentowano realną groźbę tego, że ekonomicznym i politycznym celem dużych korporacji stanie się ciągłe powiększanie liczby skazanych, którzy stanowią źródło bardzo taniej siły roboczej i wywodzą się głównie z kolorowych mniejszości. Wystarczyło tylko jeszcze bardziej zaostrzyć kary. Rzeczywiście rysowała się realna groźba powstania nowej formy niewolnictwa.

Pokręciła głową i zaczęła przerzucać kartki, zastanawiając się, od czego pochodzi skrót nazwy JRU International. Po chwili doszła do wniosku, że stosowniejszym skrótowcem byłoby WDZ: „Więzienia Dla Zysku”. Przeczytała jeszcze parę akapitów i zaczęła robić pierwsze notatki.

Nadal nie widziała szans powodzenia tego planu. Popatrzyła na kilkanaście stron pokrytych jej drobnym starannym pismem. Wiele uwag zanotowała wielkimi literami, inne kilka razy podkreśliła. Wyglądało to jak zapiski szaleńca w malignie, a i treścią niewiele się od nich różniło. Musiała na podstawie tych chaotycznych notatek sporządzić raport, choć nie miała zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać.

Zdawała sobie sprawę, że nawet skromny budżet podległej jej placówki jest dla urzędników tylko źródłem zmartwienia. Koszty utrzymania jednej skazanej w zakładzie Jenningsa, obejmujące zakwaterowanie, wikt, zapewnienie bezpieczeństwa oraz absolutne minimum opieki zdrowotnej i wychowawczej, przekroczyły ostatnio pięćdziesiąt pięć dolarów dziennie, podczas gdy autorzy oferty dowodzili, iż potrafią ograniczyć te koszty do czterdziestu trzech dolarów. I Gwen nie potrafiła znaleźć na to żadnych kontrargumentów.

Nie mogła jednak zrozumieć, jakim cudem JRU zamierza utrzymać deklarowany poziom finansowania bez dalszych redukcji personelu medycznego oraz znaczącego ograniczenia liczby strażników. Kiedy zajrzała do rozdziału zawierającego „zestawienie proponowanych zmian”, zdziwiła się niepomierne. Zamierzano zlikwidować pokój widzeń i przekształcić go w dochodowe centrum operacji telemarketingu. A gdzie więźniarki miały się spotykać z rodzinami? Planowano także zmniejszyć dziedziniec, mający teraz kształt litery U, i zamknąć jego czwarty bok dodatkowym budynkiem. Oznaczało to, że na dziedziniec w ogóle nie będzie wpadało słońce. Gdzie wówczas kobiety będą spacerować? Gdzie Wiosenka będzie obsiewała swoje rabaty?

Doszła do wniosku, że umknęło jej coś istotnego w tej ofercie. Ostatecznie jeśli nawet ludzie z JRU nie zamierzali się cackać ze skazanymi, to przecież nie byli szaleńcami ani sadystami. Ale im bardziej zagłębiała się w szczegóły, tym bardziej ją cała ta propozycja przerażała. Wyglądało na to, że nowi właściciele zakładu zamierzają w nim pomieścić i wyżywić ponad dwieście trzydzieści dodatkowych więźniarek przeniesionych z innego zakładu, który miał być zamknięty czy też przeznaczony do innych celów w ramach imperium JRU. Pomyślała najpierw, że musiał się zakraść jakiś błąd podczas przepisywa-

nia tekstu. Dopiero później uświadomiła sobie, że w istniejących, źle zaprojektowanych celach, mieszczących obecnie dwie kobiety, zarząd firmy chce upakować cztery.

Szybko przeliczyła w pamięci. No tak, po uwzględnieniu dodatkowego budynku wszystko się zgadzało. Aż nie mogła w to uwierzyć. Czyżby ci spryciarze z JRU nigdy nie słyszeli o słynnym doświadczeniu na szczurach? Spokojne, dobrze odżywione zwierzęta stawały się bardzo agresywne po umieszczeniu w zbyt ciasnych klatkach, posuwały się nawet do kanibalizmu. Nie czytali raportu Amnesty International na temat warunków panujących w amerykańskich więzieniach? Co z tego, że w celach stały po cztery prycze, skoro miejsca było tam za mało nawet dla dwóch osób? To błędne założenie wynikało z braku doświadczenia autorów projektu? A może zarząd firmy po prostu traktował więźniarki nie jak ludzi czy choćby szczury, lecz jedynie tanią przymusową siłę roboczą, która będzie przynosiła znaczące zyski? Jakim sposobem zamierzał przekształcić gromadę niepokornych i rozwścieczonych więźniarek w wydajne robotnice podporządkowane rygorom telemarketingu?

Gwen odłożyła długopis i zaczęła nerwowo krążyć wokół stołu. Dla niej był to plan całkiem nierealny. Na podstawie wieloletniego doświadczenia, i to nie tylko na stanowisku naczelnika zakładu Jenningsa, ale także z wcześniejszej pracy w organizacjach społecznych, w ośrodkach opiekuńczych i zakładach poprawczych, mogła z całą pewnością powiedzieć, że nic z tego nie wyjdzie. I co wtedy się stanie? Dojdzie do masowych protestów? Do buntu? A przecież w wypadku jakichkolwiek aktów gwałtu, do których owa propozycja otwarcie prowokowała, winą zostałyby obarczone więźniarki. Zresztą i ona musiałyby wtedy położyć głowę pod topór. Natomiast zarząd JRU prawdopodobnie zarzuciłby swój projekt i zostawił cały bałagan do posprzątania władzom stanowym.

Nie znała się za bardzo na interesach i metodach ich prowadzenia. Całe życie przepracowała w służbie publicznej, podobnie jak ojciec policjant oraz matka nauczycielka. Nawet nie słyszała, aby poza wujem, który otworzył sklep z tkaninami i dość szybko zbankrutował, ktokolwiek z bliższej i dalszej rodziny miał choćby drobne doświadczenie w prowadzeniu interesów. Tym bardziej mgłą tajemnicy był dla niej okryty świat

wielkich korporacji kierujących się własną polityką finansową. Pewna była jedynie tego, że ludzie z zarządu firmy, którzy zwiadali jej więzienie, wykazywali się daleko posuniętą arogancją i znacznie bardziej woleli mówić, niż słuchać. Uderzyło ją, że prawie o nic jej nie pytali. Najwyraźniej wychodzili z założenia, że zajmie pozycję adwokata więźniarek. Toteż nie miała złudzeń, że jeśli ci ludzie przejmą kontrolę nad zakładem, nie utrzyma się długo na stanowisku.

Ta świadomość tylko pogarszała jej nastrój. Znow odebrała wyraźny zew oliwek stojących w lodówce. Musiała jakoś przekonać szefostwo Departamentu Więziennictwa, iż należy odrzucić tę ofertę. Nie miała tylko pojęcia, jak uzmysłowić swoim zwierzchnikom, że ta propozycja jest nie tylko nierealistyczna, ale stanowi wręcz gotową receptę na porażkę, a może nawet na coś znacznie gorszego. Jej wzrok znowu zatrzymał się na kubku z wystygłą już herbatą. **TO DLATEGO, ŻE JESTEM NACZELNICZKA, I TYLE.** Kiepski dowcip! Przecież nikt z departamentu nigdy nie liczył się ze zdaniem naczelnika zakładu, a zwłaszcza czarnoskórej kobiety.

Postanowiła więc w spokoju zebrać myśli i zawrzeć w raporcie wszystkie kontrargumenty, tak samo poparte zestawieniami i wykresami, dowodzące niezbicie, że ów projekt jest chybiony, oparty na błędnych założeniach. Ale musiała do tego dołączyć alternatywny długofalowy plan zmniejszenia kosztów utrzymania rosnącej liczby więźniarek. Westchnęła ciężko, sięgając po zimną herbatę. Co mogła zaproponować? Zamknęła oczy i lekko ścisnęła palcami nasadę nosa, chcąc się pozbyć przybierającego na sile bólu głowy. W wyobraźni już słyszała dolałujące z cel przeraźliwe krzyki: „Powietrza! Na miłość boską! Powietrza!”. To było nie do zniesienia. Miała przecież swoje lata. Kogo chciała oszukać? Zdawała sobie sprawę, że nie da rady dotrzymać pola młodym zapaleńcom z JRU. Odstawiła szybko kubek, wstała i ruszyła w kierunku lodówki. Zatrzymała się jeszcze, by wyjąć z szafki butelkę ginu i szklaneczkę.

12

Jennifer Spencer

Mimo wszystko Jennifer jakoś przetrwała jeszcze jedną noc w więzieniu i wstała rano tylko po to, żeby spędzić kolejny dzień w pralni.

Najwyraźniej nikt nie chciał tu pracować, dlatego ona dostała ten przydział. Pralnia mieściła się w długim, kiszkwatym i nisko sklepionym pomieszczeniu w piwnicy. Gdyby nie kłęby pary, dokuczliwy smród proszku do chlorowania i sterty brudnych ciuchów, przypominałoby ono wnętrze podrzędnej osiedlowej siłowni, jakie zdarzało jej się widzieć w tym, co odważnie nazywała już „swoim poprzednim życiem”.

Panujące tu warunki były groźne dla zdrowia, a praca należała do ciężkich i niebezpiecznych. Przez pralnię przechodziły wszystkie rzeczy używane w zakładzie, od poliestrowych więziennych kombinezonów i mundurów strażników po ich bieliznę, pościel i koce. Niekiedy przywożono nawet ścierki od podłogi i poplamione krwią poduszki.

Poza rzeczami przeznaczonymi do prania trafiały się dwa inne rodzaje znalezisk, śmieci i kontrabanda. Do pierwszych należały na przykład zużyte podpaski przypadkowo zwinięte razem z ręcznikiem czy odłamki lusterka zawinięte w kawałek papieru toaletowego. Z kieszeni ubrań trzeba było wyciągać spinki do włosów, kawałki puzzli, resztki gnijącej i zapleśniałej żywności oraz wszelkie możliwe typy plastikowych sprzętów kuchennych, a więc jednorazowe widelczyki, solniczki i butelczki po keczupie. Jennifer została zaopatrzona w grube gumowe rękawice i taki sam fartuch, ale miała wrażenie, że to za

mało. Czuła się dobrze zabezpieczona jedynie przed karaluchami, które bez przerwy wylażyły z najdziwniejszych miejsc, kieszeni bądź zrolowanych skarpet, czy też gromadziły się na dnie wózka.

Praca w pralni szybko stała się dla niej równoznaczna z sortowaniem odpadów, wśród których można było znaleźć dosłownie wszystko, oprócz mężczyzn i pieniędzy. Już pierwszego dnia Suki natknęła się na wziernik ginekologiczny, a nazajutrz Spencer wymacała coś elastycznego wewnątrz zawiązanej na supeł skarpetki. Kiedy rozwiązała ją i ostrożnie potrząsnęła, na dłoń wypadła jej paczuszka kokainy wielkości dużej śliwki.

- Któregoś dnia znalazłyśmy skalpel - powiedziała Suki.

Pranie przywożone było w dużych przemysłowych wózkach przechylnych, które z niewiadomych przyczyn stale wywalały swoją zawartość na Jennifer. Wyładowane po brzegi, były bardzo ciężkie i trudne do przetaczania. W dodatku duża część rzeczy, wilgotna czy wręcz przesiąknięta wodą, nie dała się rozplątać, więc wkładanie do środka ręki, nawet w grubej rękawicy, budziło w niej obrzydzenie. Nie do zniesienia był odór skwaśniałego potu mieszający się z ostrą wonią silnych płynnych detergentów i tanich perfum, jak również wszechobecna pleśń. Jak tylko uda mi się zadzwonić do Toma, każę mu wyczarterować śmigłowiec, myślała.

Kiedy skończyła ładować porcję brudnej pościeli i zatrzasnęła drzwiczki wielkiej pralki bębnowej, odcoczyła wózek i stanęła z boku, żeby popatrzeć na działania Suki. Był to jedyny rozrywkowy przerywnik w tej paskudnej robocie. Drobną blondynką stawała przed frontem połyskującej stalą przemysłowej maszyny i rozpoczynała przygotowania jak przed odpaleniem rakiety w centrum kontroli lotów kosmicznych w Houston. Musiała stawać na palcach, żeby dosięgnąć umieszczonych na samym szczycie włączników i pokręteł, ale potrafiła we właściwym momencie przestawiać je z kocią zwinnością, choć niektóre trzeba było wcisnąć, inne przekręcić, a kilka dźwigniek ściągnąć do dołu.

- Trzeba bardzo uważać, żeby włączyć silnik przy odpowiednim poziomie wody w bębnie, bo inaczej piana wyjdzie na zewnątrz - tłumaczyła, przekrzykując donośne wycie maszy-

ny. - Byłabyś cała mokra, znacznie bardziej niż po tamtej nocy na obserwacji.

Po uruchomieniu pralki odsuwały się razem i obserwowały z dystansu, jak woda wypełnia bęben, a gęsta piana pochłania brudne rzeczy.

Po zakończeniu sortowania i prania całodziennej porcji obie przechodziły do czystego pomieszczenia, żeby pomóc kobietom składającym wyprane ubrania na dwóch olbrzymich, pokrytych czarnym laminatem stołach. Żadna z nich nie lubiła zajmować się kombinezonami, koszulami albo bielizną, a już do układania skarpet trzeba było kogoś wylosować, bo to zadanie dorównywało popularnością zmywaniu tłustych talerzy w zimnej wodzie. Za to każdego ranka dochodziło do cichej rywalizacji o miejsca przy składaniu kuchennych ścierek i ręczników. Ponadto toczyły się zawody w dokładności i staranności pracy, o czym jednoznacznie świadczyła wysokość powstającej kolumny czystych rzeczy. Rekord w składaniu małych ręczników należał do starszej kobiety o imieniu Rory i wynosił siedemdziesiąt pięć sztuk, natomiast w ręcznikach kąpielowych przodowała Dakota, czarna nastolatka, której udało się sformować kolumnę z dwudziestu pięciu sztuk.

Jennifer, która nie zajmowała się praniem od czasów nauki w college'u, z fascynacją obserwowała szybkie i wprawne ruchy więźniarek usiłujących przebić koleżanki. Poza tym w czystym pomieszczeniu czuła się o wiele lepiej, świeży zapach pranej bielizny i ciepło bijące od rzeczy wyjmowanych z suszarki kojarzyły jej się z tym rodzajem komfortu, do którego najbardziej tęskniła.

Tego dnia po południu, kiedy Suki przepchnęła i opróżniła na podłogę wózek wyładowany z czubkiem przemoczoną pościelą, nagle złapała się za brzuch, silnie zbladła i po chwili zemdlała. Jennifer podbiegła i w ostatniej chwili zdążyła ją złapać pod rękę, zanim dziewczyna rozbiła sobie głowę o betonową posadzkę. Przez chwilę stała jak sparaliżowana, podtrzymując bezwładne ciało blondynki. Nie mogła położyć jej na brudnej podłodze, ale nie była też w stanie chwycić jej inaczej, żeby zanieść nieprzytomną do ambulatorium. Suki ważyła zaledwie czterdzieści pięć kilogramów, lecz pozbawiona czucia przelewała jej się przez rękę.

Na szczęście, mimo kłębów pary i kiepskiego oświetlenia, zauważyła to Flora troskliwie nadzorująca pracę w pralni i szybko dała znać innej skazanej, żeby pomogła Jennifer przenieść Suki do sąsiedniej sali i ułożyć ją na stole.

Na czole nieprzytomnej szybko ułożono wilgotną ściereczkę, znalazło się też parę tabletek aspiryny. Flora wyciągnęła z kieszonki na piersi niewielką ampułkę i podetknęła ją blondynce pod nos. Suki natychmiast otworzyła oczy, powiodła mętным wzrokiem po twarzach pochylających się nad nią kobiet i zaraz znów je zamknęła. Spencer chciała zaczerpnąć głęboko powietrza i omal się nie zakrzusiła, poczuwszy ostrą, gryzącą woń soli trzeźwiących w kapsułce. Suki gwałtownie odwróciła głowę i otworzyła oczy. Flora pochyliła się w jej stronę i zapytała:

- Słyszysz mnie?

Dziewczyna ospale pokiwała głową.

- Odezwij się! Powiedz coś do mnie! - nakazała ostro Flora.

Ni stąd, ni zowąd Suki, leżąca nieruchomo na złożonym częściowo prześcieradle, zaczęła śpiewać piskliwym, donośnym głosem:

- *Don't eryfor me, Argentinal...*

- Masz okres? - zapytała Flora.

Pokręciła głową.

- Lepiej zanieśmy ją do ambulatorium.

- Nie! Po co?! - zaprotestowała Suki, próbując się dźwignąć na łokciach, ale zabrakło jej sił i ciężko opadła z powrotem na stół.

- Jak ją zanieśmy do lekarza, to ją tylko szybko przeleci i naliczy sobie honorarium z funduszu bufetu, a ona nie będzie nic z tego miała - zauważyła Wiosenka.

- Tu trzeba płacić za wizytę u lekarza? - zdziwiła się Jennifer.

- Owszem, częściowo. Lekarz bierze pięć dolców, pielęgniarka cztery - wyjaśniła Flora.

Suki oprzytomniała na tyle, że zaczęła głośno zapewniać, iż nic jej nie jest. Gdy kobiety się rozstały, chwyciła Jennifer za rękę i mruknęła:

- Nachyl się. - Kiedy Spencer nadstawiła ucha, zapytała szeptem: - Chcesz znać sekret?

W jej oczach pojawiły się figlarne błyski.

- Pewnie. - Jennifer obejrzała się na Florę.

- Od dawna nie mam okresu. - Blondynka zachichotała. - To niemożliwe.

- Może po prostu się opóźnia - odparła pocieszająco Spencer, gładząc ją po włosach. - Kobiety różnie reagują na stres.

- Jeszcze nie rozumiesz? - Suki znów zachichotała. - Będę miała dziecko.

Jennifer na krótko ogarnęła paniką. Zerknęła na płaski brzuch współlokatorki. Czyżby uroiła sobie ciążę? Jak zamierzała urodzić w więzieniu? Nie, to wykluczone. Przecież nie upadła, nie uderzyła się w głowę, ale jakimś sposobem utrata świadomości musiała pomieszać jej zmysły.

- Suki, wcale nie jesteś w ciąży - powiedziała miękko. - Po prostu zemdlałaś.

- Obiecasz, że nikomu nie powiesz?

- Oczywiście, że nie powiem.

Jakim cudem mogła się spodziewać dziecka? Jak zaszłaby w ciążę? Może dawała o sobie znać jakaś nierozpoznana choroba? Spojrzała koleżance prosto w oczy, ale nie było w nich już nawet śladu niedawnej słabości.

- Wcale nie jesteś w ciąży, prawda? - zapytała nieco ostrzej.

Suki tylko się uśmiechnęła. Spencer uświadomiła sobie, że taki sam uśmiech widziała na jej twarzy w obecności Rogera Camry'ego.

Kiedy dzień pracy dobiegł końca i obie wróciły do celi, uzmysłowiła sobie, że zostało bardzo mało czasu do dzwonka wzywającego na obiad. Na szczęście jeden z automatów telefonicznych na ich bloku nie był zajęty. Podkraśniała się do niego ostrożnie, jakby stanowił magiczną furtkę mającą jej otworzyć drogę poza mury. Podniosła słuchawkę i wybrała numer Toma. Ale kiedy tylko rozległ się pierwszy sygnał, w holu pojawił się Byrd i obwieścił:

- Odliczanie! Wracać na miejsca!

Jennifer zasłuchiwała się w urywane buczenie, spoglądając, jak pozostałe więźniarki ruszają leniwie w kierunku swoich cel. Nie zamierzała się ruszać ze świetlicy. Musiała się wreszcie dozwonić.

Byrd podszedł do pierwszej celi, podniósł tabliczkę i odhaczył na liście nazwiska stojących za kratą kobiet. Przeszedł do wejścia następnej i uczynił to samo. W słuchawce rozległ się kolejny sygnał. Kiedy strażnik dotarł do celi, którą zajmowała, Suki podniosła się ciężko z pryczy, ale była tak osłabiona, że musiała się chwycić kraty. No, odbierz wreszcie! - powtarzała w myślach Jennifer. Tom! Odbierz!

- Spencer! - ryknął Byrd tak głośno, że na pewno było go słychać na drugim końcu korytarza. - Spencer! Gdzie ona jest? W ambulatorium?

Zauważyła, jak Suki ociężale kręci głową i otwiera usta, żeby powiedzieć: nie. Ale zamiast tego uśmiechnęła się uwodzicielsko i wskazała palcem otwarte drzwi świetlicy. Strażnik odwrócił się na pięcie. Jennifer mimo woli wcisnęła głowę w ramiona, kiedy tylko ruszył w jej kierunku, chociaż dzieliło ich jeszcze kilka metrów. On jednak pokonał tę odległość w paru szybkich krokach i wściekle ryknął jej prosto w twarz:

- Co ty tu robisz, do cholery?! - Chwycił ją za ramię. - Nie słyszałaś, że trwa odliczanie?! Powinnaś być w swojej celi!

Na drugim końcu linii umilkł właśnie trzeci sygnał. Odbierz wreszcie! - nakazała w duchu.

- Chciałam właśnie zadzwonić... - zaczęła nieśmiało.

- Nic mnie to nie obchodzi! Masz rzucić wszystko, choćbyś miała się złać w gacie, i wracać do domu, kiedy zaczynam odliczanie!

Czwarty sygnał urwał się w połowie. Doleciał stłumiony głos telefonistki, pytającej, czy Tom zgodzi się przyjąć rozmowę na jego koszt.

- Jazda! - ryknął jednocześnie Byrd, odciągając ją od aparatu. Jennifer usłyszała jeszcze głos Toma:

- Tak, zgadzam się...

W tym momencie strażnik wyrwał jej słuchawkę i z trzaskiem odwiesił na widełki.

- Jazda do swojego domu, Spencer! Dostajesz za to upomnienie! - Byrd silnie poczerwieniał, zrobił się prawie siny na twarzy. - Jeszcze dwa podobne wyskoki, a będziesz miała cofnięte prawo do najbliższej wizyty!

Oślupiała ruszyła szybko w stronę celi.

13

Jennifer Spencer

- Cofnij się i czekaj na swoją kolej, jak wszystkie - syknęła do niej koścista więźniarka.

Spencer nie chciała wdawać się w kłótnię. Wcale nie napierała na nią w kolejce, wzorem innych skazanych od pół godziny czekała potulnie na dostęp do telefonu. Wiedziała, że wszyscy trzymają się z daleka od tej opryskliwej chudej jędzy, według Suki pochodzącej z Haiti i uprawiającej wudu. Nie brała tego zbyt do serca, ale zrobiły na niej wrażenie dzikie błyski w oczach tamtej. Do tej pory z automatu zdążyły skorzystać trzy kobiety, z których każda mogła rozmawiać tylko dziesięć minut, a zatem zgodnie z niepisanym prawem słuchawka powinna przejść teraz w ręce Jennifer. Wołała się jednak o to nie upominać, zwłaszcza że chuda słuchała z dziwnym wyrazem zaciętości na twarzy, jakby odbierała złe wiadomości.

Ze wszystkich kłopotów w tym odrażającym więzieniu najbardziej dotkliwy był właśnie problem z telefonami. Jakiś łobuz z okręgowego biura architektury musiał długo myśleć, żeby znaleźć sposób aż takiego utrudnienia skazanym kontaktów ze światem zewnętrznym. W świetlicy wisały tuż obok siebie dwa archaiczne automaty, zresztą nawet zaliczenie ich do automatów było nieporozumieniem, gdyż więźniarkom wolno było jedynie prowadzić rozmowy na koszt abonenta.

Co gorsza, zawieszono je tak wysoko, że nie dało się usiąść na czas rozmowy. Trudno było nawet stać prosto, bo wtedy zasłaniało się głową telewizor stojący nieco dalej na półce. Kiedy był włączony, czyli niemal zawsze, należało przykucnąć

pod ścianą, by nie zasłaniać innym ekranu, a do tego jeszcze uważać, żeby nie potrącić kobiety tak samo kucającej pod sąsiednim aparatem.

Teraz odbiornik ryczał chyba na całą moc, więc dodatkowo trzeba było krzyżeć do słuchawki, co z kolei pobudzało więźniarki oglądające telewizję do ciągłych okrzyków:

- Ciszej! Zamknij się, do jasnej cholery!

Albo:

- Zabierz ten przeklęty łeb sprzed ekranu!

Robił się trudny do zniesienia chaos.

Jennifer, już pierwsza w kolejce do telefonu, modliła się w duchu, żeby nie ogłoszono teraz zamykania krat, odliczania czy Bóg wie czego jeszcze i pozwolono jej porozmawiać z Tomem. Zerkała na słuchawkę, której mikrofon był coraz bardziej opluty przez wyrzaskującą coś wściekle kościstą Haitankę, i mimo narastającej odrazy przekonywała siebie w myślach, iż naprawdę jest to dla niej jedyny kontakt ze światem.

Wreszcie nadeszła jej kolej. Wybrała numer biura Toma i już po dwóch sygnałach usłyszała głos Pameli, jego sekretarki. Natychmiast zaczęła mówić, lecz telefonistka z centrali przerwała jej i zapytała, czy Pamela zgodzi się przyjąć połączenie na jej koszt. Spencer poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Co będzie, jeśli Pam odmówi? Aż wstrzymała na dłużej oddech. Sekretarka wyraziła jednak zgodę i odezwała się ponownie, tym razem nieco głośniej:

- Halo!

Poczuła, jak łzy cisną jej się do oczu.

- Pam? Tu Jennifer. Muszę natychmiast rozmawiać z Tomem.

- Jennifer! - wykrzyknęła uradowana sekretarka, jakby witała dawno nie widzianą przyjaciółkę. - Dzwonisz z...

- Tak, oczywiście. Połącz mnie natychmiast z Tomem.

- No cóż, jest teraz na zebraniu, ale...

- Wywołaj go! I to już!

Czekała z zapartym tchem. Półminutowa cisza wydawała jej się dłuższa niż całe dotychczasowe życie. Kiedy wreszcie w słuchawce rozległ się głos Toma, odniosła wrażenie, że lada moment serce wyskoczy jej z piersi.

- Jen? To ty, Jen? Tak bardzo się martwiłem.

- Och, Tom... - Ją samą zaskoczyło, jak cienko i żałośnie brzmi jej głos w takiej chwili. - Wyciągnij mnie stąd! Nigdy byś nie uwierzył, jak tu jest! Nie masz nawet pojęcia...

- Co się stało?

Nagle uświadomiła sobie, jak olbrzymia przepaść dzieli ich gorące pożegnanie w sędzie od tego obojętnego zaskoczenia w głosie Toma. Wiedziała, iż żadnym sposobem nie zdoła mu przybliżyć tego koszmaru. Zresztą nie miała na to czasu.

- Dlaczego nic się do tej pory nie wydarzyło? - zapytała. - Musisz mnie stąd wyciągnąć!

- Tak, oczywiście. Boże, jak się o ciebie martwiłem. Nie mogłem się z tobą skontaktować, a miałem nadzieję, że zadzwonisz zaraz po przyjeździe. Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Dlaczego? - powtórzyła mimowolnie. Jak mogła mu to wyjaśnić? - Bez przerwy się o to starałam. Ale to nie takie łatwe. - Niełatwe? Dobre sobie! Ta rozmowa stawała się surrealistyczna. Ona także nie uwierzyłaby ani jednemu słowu, gdyby nie to, że sama musiała przez to przejść. - Co się dzieje, Tom? Kiedy mnie stąd wyciągniesz?

Nie mogła sobie pozwolić na zmarnowanie choćby sekundy z bezcennych dziesięciu minut na poruszanie innych tematów.

- Niedługo. Naprawdę niedługo.

Ta obietnica oraz ton jego głosu podziały na nią uspokajająco. Zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby po raz pierwszy zyskała ku temu okazję od chwili przekroczenia bramy zakładu Jenningsa.

- Jutro? - zapytała, ogarnięta irracjonalną nadzieją, że już nigdy nie będzie musiała wracać do brudów w pralni ani zasiadać w stołówce do posiłku, którym wcześniej czy później się za truje.

Tom odpowiedział coś, czego nie usłyszała.

- Co mówisz?

- Nie, jutro nie dam rady - powtórzył głośniej Tom. - To nie będzie jutro.

Jennifer serce się ścisnęło.

- Musisz to zrobić. Słyszysz? Musisz!

- Stul pysk! - warknęła groźnie kobieta rozmawiająca z drugiego aparatu.

Spencer pochyliła się jeszcze niżej i dodała ciszej:

- Nie masz pojęcia, jak tu jest. Nie umiałbyś sobie tego wyobrazić...

- Zdaję sobie sprawę, że jest ci ciężko, ale...

- Z niczego nie zdajesz sobie sprawy! To nie jest żaden ośrodek wypoczynkowy! I nie mam co liczyć na specjalne traktowanie!

- Skąd dzwonisz? Ledwie cię słyszę.

Jak miała mu opisać chaos panujący w świetlicy?

- Mniejsza z tym. Co się dzieje? Kiedy będę mogła stąd wyjść?

- Posłuchaj - rzekł przymilnym tonem. - Nie możesz oczekiwać, że wszystko załatwimy natychmiast, od ręki. Powinnaś...

Umilkł niespodziewanie. Jennifer w popłochu rozejrzała się po świetlicy. Jednakowo ubrane więźniarki grały w karty, układały puzzle, kręciły się po sali i kopały rozchwiane krzesła albo tępo wpatrywały się w brudne zacieki na ścianach. Niektóre niezrównoważone psychicznie mamrotały coś pod nosem, inne próbowały je uciszyć wrzaskami, które nie odnosiły żadnego skutku. I tu wyczuwało się w powietrzu przemożny strach, zdumienie i wściekłość.

- Nie możesz od razu? - zapytała zdziwiona. - Nie rozumiem. Przecież mówiłeś, że spędzę tu najwyżej dzień lub dwa. Nie pamiętasz? Mówiłeś, że będzie tu jak w ośrodku wypoczynkowym, że błyskawicznie mnie stąd wyciągniesz. Obiecywałeś, że skończy się na areszcie domowym albo karze w zawieszeniu...

- Zrozum, Jen. Sprawy posuwają się trochę wolniej, niż to sobie wyobrażałem - odparł lodowato. - Musisz się z tym pogodzić i mi zaufać. Naprawdę nie da się jednego dnia przepchnąć decyzji przez wszystkie szczeble sądownictwa.

Jakie szczeble? Przecież nie było mowy o powtórnej rozprawie.

- Gubernator nie może tego od razu załatwić?

- W dzisiejszych czasach nadużycia finansowe są traktowane jak poważne przestępstwa, a w dodatku twoja sprawa zyskała znaczny rozgłos. - Zawiesił głos, a Jen nabrała już obaw, że połączenie zostało przerwane. Jednak po chwili ciągnął: - Zrozum, dziennikarze wciąż patrzą nam na ręce. Jeśli po-

działamy zbyt energicznie, znowu zlecają się jak sępy. Gdyby tak się stało, żaden sędzia nie zaryzykowałby utraty stanowiska, by ponownie rozpatrzyć tę sprawę. Musimy poczekać na odpowiedni moment, w przeciwnym razie znajdziemy się w jeszcze gorszym bagnie niż obecnie.

- Wy? - zapytała przez ściśnięte gardło. - Czyżbyś nabrał ostatnio królewskich manier mówienia o sobie w liczbie mnogiej? Przecież to ja znalazłam się w więzieniu, Tom. To mnie robiono rewizję osobistą. To ja muszę sypiać we wspólnej celi ze współlokatorką. To ja muszę nosić syntetyczny kombinezon i jeść te ochłapy, które tu nazywają żywnością.

Nagle jej wściekłość minęła, zastąpił ją paraliżujący strach przemieszany ze smutkiem. Zaczęła szlochać, mimo że nakazywała sobie w duchu, aby wziąć się w garść, nie tracić niepotrzebnie odliczanego czasu rozmowy i nie pozwolić, by inne więźniarki spostrzegły jej płacz.

- Przezań, Jen. Wiem, że ci ciężko - odezwał się Tom. - Spróbuj to jakoś przetrzymać. Żałuję, że nie mogę cię zastąpić. Naprawdę bardzo bym chciał, aby wszystko poszło szybciej. Ale musisz mi wierzyć, że robimy absolutnie wszystko, by cię stamtąd wyciągnąć. Tyle że to wymaga czasu, Jennifer.

Czasu! Już teraz odnosiła wrażenie, że całe jej dotychczasowe życie rozwiało się jak mgła, wyparowało bez śladu, jakby nigdy nie znała niczego poza tą brudną salą pełną żalonych i przerażających kobiet.

- Jak długo to potrwa według ciebie? - zapytała szeptem.

- Dwa tygodnie - odparł. - Najwyżej trzy. Zresztą już podjęliśmy kroki, żeby cię przenieść gdzie indziej albo przynajmniej zapewnić ci specjalne traktowanie.

Nie mogła wydobyć głosu. Dwa tygodnie! Całe czternaście dni w tym piekle! Nie umiała sobie tego wyobrazić. Nie wiedziała, jak da radę to znieść. Serce waliło jej tak mocno, jakby miało za chwilę pęknąć.

- Skarbie? - odezwał się Tom, ale potrafiła jedynie skinąć głową, czego, rzecz jasna, nie mógł zobaczyć. - Jesteś tam jeszcze, kochanie?

- Chyba nie zdołam... - wykrztusiła, lecz ból w piersiach stawał się coraz silniejszy, nie mogła zaczerpnąć tchu.

- Nie żłość się, Jen. Przecież wiesz, że cię kocham.

- Tak, wiem - jęknęła.

- Obiecuję ci, że wszystko będzie w porządku. - Urwał na chwilę, po czym dodał jeszcze łagodniejszym tonem, pełnym czułości: - Musisz to jakoś przetrzymać, Jen. Wszyscy jesteśmy z tobą, ale nie zapominaj, że gra toczy się o dużą stawkę. Po prostu zacisnij zęby i bądź dzielna. Pomyśl o nagrodzie, jaka cię czeka.

Zdała sobie sprawę, że mimowolnie kurczowo zaciska palce na słuchawce i z całej siły wgniata ją sobie w ucho.

- Ja... po prostu nie wiedziałam, że będzie aż tak ciężko - odparła szeptem.

- Tak mi przykro, dziecino - rzekł Tom. - Wiesz, że sam zrobiłbym to dla Donalda, gdyby nie groźba usunięcia z palestry. A przecież nie muszę ci tłumaczyć, jak by to wpłynęło na naszą przyszłość. Więc jak? Dasz radę wytrzymać jeszcze trochę? Myśl o tym wspaniałym domu, który sobie kupimy. Myśl o naszym ślubie. I o tym rejsie, w który wyruszymy. - Zaśmiał się krótko. - Pomyśl o tym, że już niedługo będziesz się wylegiwała obok mnie na wspaniałej karaibskiej plaży.

- Wystarczy, do cholery!

Jen aż podskoczyła, gdyż okrzyk rozbrzmiał jej tuż nad uchem. Odwróciła się i popatrzyła na wysoką ładną Murzynkę z sekcji przyjęć, tę samą, która próbowała przymierzyć jej szpilki. Tamta trąciła ją pięścią w ramię i dodała:

- Minęło już ponad dziesięć minut. Nie ty jedna chcesz rozmawiać ze swoim adwokatem.

Spencer zasłoniła dłonią mikrofon i powiedziała:

- Chwilę, już kończę.

Po czym odwróciła się do czarnej plecami.

- Przyjedziesz mnie odwiedzić w sobotę? - zwróciła się do Toma.

- W tę sobotę? - zapytał z wyraźnym wahaniem. - Skarbie, mam tyle pracy. Przygotowujemy twoją apelację... na wszelki wypadek, bo oczywiście szykujemy też wniosek o unieważnienie procesu i oczyszczenie cię z zarzutów.

- Proszę - jęknęła błagalnie. - Mam prawo do godzinnych odwiedzin. Jeśli mam to przetrzymać, to przyjedź, proszę.

- Postaram się - obiecał Tom.

- Szybciej, nowicjuszko! - warknęła czarna i tym razem mocniej huknęła ją pięścią w ramię.

- Muszę już kończyć - powiedziała Jennifer z ociąganiem.

Pożegnała się i połączenie zostało przerwane, lecz mimo to nie była w stanie rozewrzeć palców zaciśniętych na słuchawce, którą nadal kurczowo trzymała przy uchu. Dopiero Suki odciągnęła ją od telefonu.

- Chodź. Odsuń się - powiedziała miękko, prowadząc ją do najbliższego wolnego krzesła. - Siadaj. Złe wieści czy dobre?

Zanim Jennifer zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach świetlicy stanęła strażniczka i obwieściła coś, co do niej nie dotarło. Za to Suki poderwała się na nogi, była podniecona jak małe dziecko wyciągające prezenty spod choinki.

- Będą rozdawać paczki! - wykrzyknęła radośnie, ciągnąc Jennifer za rękę.

Wybiegły do holu. Z głębi korytarza nadchodzili dwaj strażnicy, popychając duży wózek wyładowany paczkami.

- Spodziewasz się jakiejś przesyłki? - zapytała Jen.

- Ja nigdy niczego nie dostaję. - Suki położyła dłoń na brzuchu i dodała cicho z tajemniczym uśmiechem: - Nie licząc tego, co noszę w sobie. Ale może do ciebie coś przyjdzie.

Stanęły nieco z boku i popatrzyły na gromadę podnieconych kobiet.

Jennifer zdziwiła się, że wszystkie paczki na wózku są potwierdzone. Najwyraźniej sprawdzano ich zawartość w poszukiwaniu kontrabandy. Ale więźniarki nie zwracały na to uwagi i ochoczo stanęły w szeregu. Reagowały głośnymi okrzykami radości, kiedy padało ich nazwisko, po czym kurczowo przyciskały do piersi odebraną paczkę. Większość od razu kierowała się do swoich domów albo szła w jakiś zaciszny kąt, żeby sprawdzić, co otrzymały.

Była jednak liczna grupa takich, które w milczeniu trzymały się na uboczu. Wiedziały, że do nich nic nie przyszło, przynajmniej tego dnia. Spoglądały na tamte z zazdrością i tak ogromnym smutkiem w oczach, że Jennifer aż zebrało się na płacz. Tylko niektóre potrafiły dzielić radość koleżanek ze swojej grupy i odchodziły razem ze szczęściarkami, by wspólnie z zachwytem podziwiać zawartość paczki.

Jennifer pomyślała o matce. Do tej pory odczuwała jedynie

wdzięczność, że ta biedna kobieta, która tyle w życiu wycierpiała, nie dożyła chwili upokorzenia i wstydu, jakim byłoby dla niej uwięzienie córki. Teraz jednak oddałaby wszystko za możliwość odebrania paczki od matki, przesyłki z domu. Gorąco pragnęła dzielić z innymi radość wyjmowania z pudełka herbatników, kosmetyków czy kart do gry.

Zewsząd dobiegały okrzyki zachwytu nad skarbami znajduwanymi w paczkach. Mimowolnie uśmiechnęła się szeroko, widząc, jaką radość mogą komuś sprawić zwykłe plastry Scholla na odciski. Najwyraźniej w tutejszym bufecie rzadko można było dostać tego rodzaju rzeczy, gdyż autentyczny entuzjazm budziły wyjmowane z paczek tubki maści na bóle stawów i pleców albo opakowania tabletek na niestrawności. Nazwy specyfików przekazywane półgłosem z ust do ust brzmiały niczym zaklęcia, które mają zapewnić wygodę i satysfakcję. Z rosnącym zdumieniem odnotowywała, iż żadnego produktu nie traktowano lekceważąco. Z pełnym uznaniem przyjmowano nawet tampony i wkładki higieniczne. Pudełka i buteleczki przechodziły z rąk do rąk, a kobiety, spragnione wszelkich przejawów zwyczajnego życia na Zewnątrz, z zapamiętaniem chłonęły nazwy, zapachy i kolory opakowań różnych produktów.

- Patrzenie! Zmienili rysunek elfów na pudełku Keeblera! - zawołała któraś ze śmiechem.

- Pokaż!

- Pokaż!

Każda tego typu uwaga budziła powszechne zainteresowanie.

- Snickersy za każdym razem są coraz mniejsze - zauważyła gorzko Flora.

- Szkoda, że nie dostałam zwykłych solonych chipsów ziemniaczanych - powiedziała inna. - Ani te paprykowe, ani z sosem jalapeno nie są najlepsze na mój żołądek.

Na poczekaniu degustowano niektóre smakołyki, przy czym każdy skrawek papieru czy opakowanie foliowe było odkładane z powrotem do pudełka. Niemal we wszystkich paczkach znajdowały się papeterie i długopisy. Jedna z kobiet dostała cały plik kart świątecznych z dołączonymi kopertami, oklejonymi już znaczkami i zaadresowanymi do członków rodziny.

Wzbudziło to głośne okrzyki zachwytu, koleżanki aż się przepychały, żeby dokładnie obejrzeć każdą z tych kart.

Wyciągano paczki chusteczek higienicznych, herbaty w torebkach, doklejanych sztucznych paznokci. Ktoś dostał gruby szkicownik z kompletem kredek, ktoś inny segregator z kolorowymi kartkami, naklejkami i korektorem.

Jennifer aż ścisnęło się serce, kiedy obserwowała, jak olbrzymią radość potrafi wywołać choćby najdrobniejszy podarunek. Odnosiła wrażenie, że bierze udział w przyjęciu urodzinowym czy wyciąganiu prezentów spod choinki, tyle że tutaj wszystkie rzeczy miały dla obdarowanych niewyobrażalnie większą wartość. Odbiór paczek w więzieniu był wielkim świętem. Dawał poczucie rzeczywistości, umacniał pewność, że za tymi betonowymi murami pomalowanymi na różowo, zielono, szaro czy pomarańczowo, wciąż funkcjonują jasno oświetlone pawilony handlowe, apteki oraz supermarkety. Każda przesyłka była nie tylko zestawem prezentów z Zewnątrz, ale wręcz krótką wycieczką do realnego świata, w którym tętniło normalne życie. Paczki miętowych dropsów czy landrynek, puszki dietetycznej coca-coli bądź toniku zdawały się przekazywać: „Nie zapomnieliśmy o was. Wciąż pamiętamy. Wiemy, co lubicie i czego potrzebujecie”.

Ogarnięta poczuciem wstydu, odwróciła się tyłem do uradowanej gromady. Pomyślała, że i jej będą niezbędne tego typu zapewnienia, skoro ma tu spędzić co najmniej dwa tygodnie.

W świetlicy nikt już nie oglądał telewizji, przyszło jej więc do głowy, że ma okazję jeszcze raz zadzwonić do Toma. Teraz przynajmniej mogłaby stać wyprostowana i spokojnie porozmawiać o sprawach, które były dla niej najważniejsze. I zapewne nie musiałyby kończyć rozmowy po dziesięciu minutach. Nie miała jednak pojęcia, czy on nadal jest w biurze. Błądziła myślami daleko od tej brudnej świetlicy i zakładu Jenningsa, toteż nie dotarło do niej od razu, że ktoś wywołuje jej nazwisko.

- Spencer! Jennifer Spencer! - powtarzał strażnik. - Co jest? Jak nie chcesz paczki, to ją wyrzuc! Nie będziemy tu czekać cały dzień!

- Jenny! Jest paczka do ciebie! - wykrzyknęła Suki, podskakując z podniecenia jak małe dziecko.

Odwróciła się i spojrzała na niewielką przesyłkę trzymaną przez strażnika. Była rozmiarów pudełka po butach i Jennifer, wciąż niezbyt przytomna, zdziwiła się, że ktoś jej przysłał buty do więzienia. Podeszła do wózka, odebrała paczkę i w zamyśleniu przycisnęła ją do piersi. Suki natychmiast przywarła do jej ramienia i zaczęła powtarzać:

- Otwórz! No, otwórz!
- Już jest otwarta - mruknęła Spencer.
- Kto ci ją przysłał?

Tego nie wiedziała. Czyżby Tom? Przecież nie wspominał o paczce, kiedy rozmawiali przez telefon. Więc kto inny? Kto poza nim mógł się o nią martwić? Przeszyła ją dreszcz. Nie знаła nikogo z Zewnątrz, kto mógłby cokolwiek jej przysłać.

- Chodźmy do domu - rzuciła Suki błagalnym tonem. - Ja nigdy nie dostałam paczki i nie mogłam się podzielić jej zawartością z resztą grupy.

Jen uśmiechnęła się smutno, słysząc słowo „dom”. W najmniejszym stopniu tu się nie zadomowiła. Ale ujrawszy nieskrywany entuzjazm w spojrzeniu współlokatorki, nie potrafiła jej odmówić.

Kiedy usiadły obok siebie na brzegu dolnej pryczy, otworzyła pudełko i zajrzała do środka. Na wierzchu leżała tubka pasty do zębów Crest, trzy szczoteczki Oral B i paczka tik-taków. Uśmiechnęła się na myśl, że Tom musiał znaleźć czas, aby pójść po nie do sklepu. Zazwyczaj to ona kupowała jemu tego rodzaju rzeczy. Należały mu się wyrazy uznania za to, że pamiętał, co ona lubi najbardziej. Tylko skąd tik-taki? Nigdy w życiu nie brała ich do ust. Mniejsza z tym, liczy się pamięć. Zaczęła wyjmować kolejne rzeczy - szampon, odżywkę do włosów, puder i inne kosmetyki. Łzy napłynęły jej do oczu. Uważnie oglądała każde opakowanie, wszak były to prezenty dla niej. Przypomniała sobie, z jakim podnieceniem w dzieciństwie opróżniała świąteczne skarpety z upominkami. Żadna skarpetka nie znaczyła dla niej tak dużo jak ta paczka.

Z nadzieją, że znajdzie list, pospiesznie rozsunała pozostałe rzeczy w pudełku i odkryła złożoną na czworo pojedynczą kartkę. Uniosła ją do nosa, licząc na to, że poczuje zapach wody kolońskiej Toma, ale w tej samej chwili dostrzegła w rogu emblemat firmy Hudson & van Schaank.

Droga Jennifer.

Pomyślałem, że przydadzą Ci się te rzeczy. Chciałbym przyjechać i porozmawiać z Tobą w dniu odwiedzin, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie jestem członkiem rodziny ani Twoim adwokatem, dlatego potrzebna będzie Twoja zgoda na widzenie. Wystąpiłem już z oficjalną prośbą do naczelnika więzienia, który powinien wkrótce się z Tobą skontaktować. Z niecierpliwością czekam na możliwość rozmowy. I postaraj się zachować pogodę duchów. Masz naprawdę przepiękny uśmiech.

Leonard Benson

- Co to za Leonard Benson? - zaciekała się Suki, zerkając jej przez ramię. - Twój chłopak?

- Nie - odparła Jennifer, tak zaskoczona listem i podarunkami od Lenny'ego, że ledwie dotarło do niej pytanie. - To... znamy z pracy. Mój księgowy.

Ponownie zajrzała do pudełka.

Nie mogła uwierzyć, że ło właśnie księgowy zadbał o to, by miała czym dobrze wyszorować zęby i zatroszczyć się o włosy.

- Chodźmy do domu Mbvity. Pokażemy reszcie grupy, co dostałaś. - Suki była tak dumna i przejęta, że i tym razem nie umiała jej odmówić.

W celi Movity zebrała się prawie cała grupa. Suki z naturalną swobodą rzuciła od wejścia:

- Wiecie, że Jenny ma nowego chłopaka? Naprawdę! Ma nowego chłopaka!

Dopiero później się zreflektowała.

- Przedstawiam wam Jenny.

- Jennifer - poprawiła Spencer.

- To jest Theresa - ciągnęła niezrażona koleżanka - najlepsza kucharka w zakładzie.

- Cześć - odezwała się Theresa.

- To Movita, szefowa grupy.

- Dla mnie nie jest żadną szefową - burknęła Cher.

- A to Cher. Nie spotkałyście się w sekcji przyjęć?

Jennifer oczywiście doskonale pamiętała ten wyraz twarzy upodabniający ją do Morticii Addams. Nie mogła też zapomnieć niedawnego spotkania pod automatem telefonicznym. Wolała jednak o tym nie wspominać.

- Nie pamiętam - odparła, co Cher przyjęła z ironicznym uśmiechem.

- Jenny dostała właśnie mnóstwo wspaniałych rzeczy od swego chłopaka. Dała mi nową szczoteczkę do zębów - szczetbiotała Suki. - Tylko spójrzcie.

Cher, jakby nie zwróciwszy na nią uwagi, wyjęła całe pudełko z rąk Jennifer, zajrzała ciekawie do środka i skomentowała:

- No, Oral B. To teraz chyba najlepsze szczoteczki. - Spojrzała na Jen z ukosa. - Ale powiedz swojemu facetowi, żeby następnym razem przysłał coś mniej miętowego niż Crest.

Oddała paczkę właścicielce.

- Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby - oznajmiła lodowatym tonem Theresa. - Zwłaszcza takiemu.

Movita uśmiechnęła się szeroko.

- Widzę, że twój chłopak troszczy się głównie o twoje usta.

- Napisał, że Jenny ma przepiękny uśmiech - oznajmiła z dumą Suki.

Jennifer, trochę zmieszana, pokręciła głową.

- To tylko znajomy z pracy.

- Chyba wiesz, co się mówi na temat uśmiechu, prawda? - zapytała Theresa. - Wszyscy uśmiechają się w tym samym języku. Tylko uśmiech jest jednakowy na całym świecie. Możesz się uśmiechnąć po angielsku, a będzie to znaczyło dokładnie to samo w Tajlandii. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Myślisz, że mój uśmiech będzie znaczył to samo w Polsce? - spytała zjadliwym tonem Cher.

- Mój z pewnością tak. Ale nie twój. Bo ty się nie uśmiechasz. Masz wyszczerz gównojada - odparła Theresa, po czym zwróciła się do Jennifer: - Wybacz mi tę łacinę.

- Czy któraś z was lubi tik-taki? - zapytała Jennifer.

W jednej chwili pudełeczko wylądowało w kieszeni Theresy. Lakier do włosów przypadł Cher, a Movita dostała tubkę kremu do rąk. Jennifer odczuwała prawdziwą satysfakcję, że może się podzielić paczką z nowymi znajomymi. Czuła się z tego powodu jak najbardziej lubiana uczennica w klasie.

Grupa czekała, aż obiad się przygrzeje. Theresa pochwaliła się, że dostała w paczce prawdziwe rarytasy: salami, kawałek

sera, sześć puszek sprite'a i paczkę orzeszków. Dziś wieczorem zamierzały urządzić sobie prawdziwą ucztę.

- To świetnie. Później będziecie wszystkie mogły wymyć zęby pastą Crest - zaproponowała Spencer.

- Gdybyś była teraz w Nowym Jorku, co byś zrobiła na obiad? - zainteresowała się Theresa.

- Rezerwację.

Suki zaśmiała się w głos.

- Naprawdę? Zarezerwowałaś stolik w restauracji? Słyszaliście?

Movita spojrzała na Jennifer.

- I ja mam coś dla ciebie - powiedziała, sięgając do kieszeni. - Od naczelniczki. - Podała jej kopertę.

- Dwie przesyłki jednego dnia? - mruknęła Jennifer z uśmiechem.

Wyjęła ze środka kartkę, rozłożyła ją i zaczęła czytać. Poczowała nagle, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Spojrzała na Movitę i zapytała:

- To prawda? Można mieć tylko jedno spotkanie w ciągu dnia odwiedzin?

Tamta wzruszyła ramionami.

- Niezupełnie. Masz jedną godzinę. Sama zdecydujesz, co z nią zrobisz. Mogą być dwa spotkania po pół godziny. Musisz tylko zawiadomić Gwen, z kim chcesz się zobaczyć. Czy z adwokatem, który może się zjawić w dowolnej chwili, czy z tym facetem, co przysłał paczkę. To zależy tylko od ciebie.

- Ja bym wybrała tego, do którego chciałyby się uśmiechnąć - podsunęła Theresa.

Jennifer pomyślała, że dobrze byłoby się spotkać z obydwoma, chociaż wolałyby zostawić sobie więcej czasu na rozmowę z Tomem.

Rozległ się dzwonek na obiad, toteż zostawiła resztę grupy i poszła, znowu sama, żeby zmierzyć się z koszmarem stołówki.

14

Gwen Harding

Naczelniczka była pijana, ale nie aż tak, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy. Jednak bardziej od szmeru w głowie dośkwierała jej samotność i obawa, że niedługo może stracić pracę. Ledwie zamknęła swój dziennik i butelkę ginu w najniższej szufladzie biurka, zdała sobie sprawę z ironii swojej sytuacji. Bez wątpienia była jedyną kobietą w zakładzie Jenningsa, która chciała tu zostać - nie tylko do jutra, ale do samej emerytury. Stanęła, lekko się chwiejąc na nogach, i wyjrzała przez okno na odstrasające zwoje drutu kolczastego i jaskrawo oświetlone dwa rzędy siatki ogrodzenia. Odgarnęła kosmyk włosów uparcie opadający na oczy i pomyślała, że musi wracać do domu.

Wyszła z gabinetu, łudząc się nadzieją, że przy biurku zastanie jeszcze Movitę. Nie tylko bardzo chciała, ale wręcz musiała z nią porozmawiać. Lecz w sekretariacie nikogo nie było. Watson wróciła do celi, a panna Ringling jak zawsze włożyła płaszcz już za kwadrans siedemnasta; nie zostałyaby tu minuty dłużej, nawet gdyby jacyś bandyci wzięli cały personel za zakładników.

Gwen cofnęła się do pokoju, bardzo żałując, że nie ma nikogo, z kim mogłaby się podzielić swymi zmartwieniami lub choćby przez chwilę pożartować. Gin nie był jej przyjacielem. Nie chciał jej wysłuchać i z pewnością nie mogła od niego oczekiwać odpowiedzi na żadne pytanie czy choćby jednego słowa pocieszenia. W gruncie rzeczy doskonale wiedziała, że alkohol traktowany jak środek na uśmierzanie bólu już dawno stał się jej wrogiem. Do swoich wrogów zaliczała teraz również JRU,

a może nawet Stanowy Departament Więziennictwa. Na pewno urzędnicy mieli jej po dziurki w nosie po tylu latach ciosania im kołków na głowie o poprawę warunków bytowych i zwiększenie budżetu zakładu. A i wśród więźniarek nie miała co szukać przyjaciół. Niemniej wszyscy - ludzie z JRU, urzędnicy z Departamentu Więziennictwa oraz skazane kobiety - pragnęły, żeby traktowała ich przyjaźnie.

Popatrzyła na swój raport dla szefa departamentu. Tekst przygotowała w domu, ale przepisanie i nadanie formy typograficznej zleciła firmie usługowej, ponieważ nie chciała, by ktokolwiek z personelu bądź więźniarek dowiedział się o ofercie prywatyzacyjnej i jej odpowiedzi na nią. Bała się, że może to jedynie zrodzić obawy oraz wywołać plotki. A wiedziała z doświadczenia, że plotki za kratami są jej najgroźniejszym przeciwnikiem.

W zamyśleniu przeciągnęła dłonią po pierwszej stronie raportu. Jedną kopię już wysłała pocztą kurierską, to był jej egzemplarz, który powinna bezpiecznie zamknąć pod kluczem. Oprócz kilku tabel, wykresów i zestawień kosztów, które według niej aż nazbyt dobitnie wykazywały, że plan prywatyzacji więzienia przez JRU International jest skazany na niepowodzenie, w ostrych słowach podsumowała moralną stronę oferty.

Oprócz omówionych wyżej aspektów praktycznych, humanitarnych oraz finansowych należy także brać pod uwagę kwestie polityczne oraz etyczne. Praca skazanych wykorzystywana do celów komercyjnych łatwo może być uznana za formę pracy przymusowej. Według mojej opinii społeczność więzienna tego, jak również każdego innego zakładu karnego nie może i nie powinna być traktowana jak źródło ewentualnej siły roboczej. Zawieszenie praw obywatelskich związane z karą pozbawienia wolności nie oznacza przecież pozbawienia praw człowieka.

Początek nowego stulecia przyniósł nowe problemy społeczne i związane z nimi problemy więziennictwa. Bez wątpienia gwałtowny wzrost liczby skazanych kobiet stworzył dotkliwie kłopoty oraz dodatkowo obciążył podatników. Niemniej próba zmiany tej sytuacji poprzez wykorzystanie okazji do osiągnięcia zysków z pewnością musi być uznana za krok w niewłaściwym kierunku. Nadal głównym celem

funkcjonowania całego systemu więziennictwa musi pozostać rozwiązywanie różnorodnych i złożonych problemów, jakie stwarzają nam skazane kobiety. Proponowane zmiany wydają się niepotrzebnym kuszeniem losu.

Mimo szmeru w głowie Gwendolyn odczuwała dumę zarówno z tego raportu, jak i swojej pracy w zakładzie Jenningsa. Dlatego postanowiła się przejść po blokach. Od dzwonka oznajmiającego zamykanie cel minęła już godzina, nikt więc nie powinien zwrócić na nią uwagi, a tym bardziej wyczuć alkoholu w jej oddechu. Na wszelki wypadek po drodze wstąpiła do łazienki sąsiadującej z gabinetem. Zapaliła światło, napełniła usta miętowym płynem do zębów i przez kilka chwil stała przed lustrem, strojąc miny. Potem wypluła go, obmyła twarz zimną wodą, poprawiła włosy, włożyła marynarkę mundurową, wyszła na korytarz i starając się iść prosto, ruszyła w kierunku bloków.

Po dzwonku więźniarki miały zaledwie kilka minut na powrót do swoich domów, nim wszystkie kraty zatrzasną się automatycznie, a strażnicy przystąpią do sprawdzania obecności. Potem było jeszcze pół godziny na przygotowanie się do snu, po czym gasły światła. Od tej pory obowiązywała cisza nocna, którą zwykle zakłócały jedynie głośne stapania strażniczek czuwających na galerii. Na porządku dziennym były jednak stłumione pojękiwania, westchnienia i pociąganie nosem. Zawsze ktoś cicho szlochał w poduszkę.

Na pewno szloch przybiorą znacznie na sile, kiedy JRU przejmie kontrolę nad zakładem, pomyślała Gwen. Przyrastająca jak przez pączkowanie populacja skazanych kobiet stanowiła pole do popisu dla ludzi żądnych zysków. Budowa więzień i nabór personelu w celu wykorzystania nadarzającej się sposobności były dla potężnych firm amerykańskich nie lada gratką. Nic więc dziwnego, że chętnie inwestowały w tę nową dziedzinę. A społeczeństwo, które dotąd tylko przeklinało konieczność utrzymywania zakładów karnych, witało tę inicjatywę z entuzjazmem również dlatego, że na placach budowy i w późniejszych więzieniach powstawały nowe miejsca pracy. Do tej pory w ogóle nie traktowano zakładów karnych jak dochodowych placówek.

Zanościło się na tak ogromne zmiany w więziennictwie, że Gwendolyn zaczęła poważnie się zastanawiać, czy już teraz nie złożyć rezygnacji, nie czekając na wymówienie. Każde kolejne spotkanie z przedstawicielami JRU wprawiało ją w coraz większe zakłopotanie. Ilekroć próbowała uzasadniać swoje obawy wobec propozycji zmian w zakładzie Jenningsa, coraz częściej wbrew sobie mówiła żalonym i błagalnym tonem. A ludzie z firmy tylko się uśmiechali i kiwali głowami, robiąc przy tym takie miny, jakby mieli do czynienia z przypadkiem nieuzasadnionej hysterii.

W półmroku raz i drugi zahaczyła stopą o nierówności podłogi. Wreszcie potknęła się na dobre i poleciała do przodu. Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążyła pomyśleć, żeby się czegoś przytrzymać. Zdołała tylko podnieść rękę, by osłonić twarz, nim z całej siły huknęła ramieniem o beton, a zaraz potem uderzyła czołem tak silnie, że aż ją zamroczyło. Otworzyła usta, chcąc wezwać pomocy, ale nie dała rady wykrztusić ani słowa. Straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, ktoś trzymał ją pod ręce i dźwigał z podłogi.

- Wszystko w porządku, naczelniczko? - zapytała Movita Watson.

Gwen, wciąż oszołomiona, ledwie bąknęła:

- Tak... nic mi nie jest... A co ty robisz o tej porze poza celą?

- Byłam w ambulatorium. Mam ten dzień w miesiącu.

Harding obmacała sobie głowę i poczuła pod palcami lepka wilgotną krew.

- Chyba się potknęłam - wymamrotała.

- Proszę się na mnie oprzeć. Pomogę pani.

Korzystając z pomocy Movity, Gwen dźwignęła się na nogi. Zauważyła przy tym, że z pewnej odległości przygląda się im Roger Camry. W głowie jej się kręciło, a w miejscu uderzenia narastał pulsujący ból.

- Już dobrze - skłamała. - Dziękuję. Nic mi nie jest.

Miała nadzieję, że tak jest w rzeczywistości. Łapiąc równowagę, pomyślała, że spora dawka ginu z pewnością złagodziła upadek. Mimo to wciąż miała trudności z ustaniem o własnych siłach.

- Odprowadzę panią do biura. Chodźmy - zaproponowała

Movita, po czym zwróciła się do Camry'ego: - Nic się nie stało. Wszystko w porządku.

- Może jednak trzeba pani pomóc? - odezwał się w końcu strażnik, ruszając w ich kierunku.

- Nic mi nie jest - powtórzyła Gwen, coraz bardziej roztrzęsiona.

W duchu dziękowała Bogu, że to właśnie Camry był świadkiem jej upadku, a nie ktoś taki jak Doug Slavitz czy ten łajdak Byrd, który jeszcze przed nastaniem świtu rozpuściłby plotkę wśród personelu i powiadomił stanowy zarząd więziennictwa. Roger miał łagodne usposobienie i potrafił trzymać gębę na kłódkę. Mimo wszystko było jej wstyd, że musiała polegać na jego dyskrecji.

Z ulgą ruszyła wsparta na ramieniu Movity, zastanawiając się, czy ona coś zauważyła, czy poczuła od niej alkohol. Kilkunastometrowy odcinek korytarza pokonały w milczeniu, bo Gwen z każdym krokiem odczuwała coraz silniejszy ból. Przed gabinetem zaczęła nieporadnie wysuptywać z kieszeni klucze, lecz zaledwie je wyciągnęła, Watson wzięła je od niej i szybko otworzyła drzwi. To był kolejny element upokorzenia, ale musiała ponieść konsekwencje beztroskiej przechadzki po więzieniu po uprzednim wypiciu ginu. Movita lewą ręką zapaliła światło, prawą ciągle trzymając ją pod rękę. Następnie podprowadziła naczelniczkę do krzesła i ostrożnie na nim posadziła.

- Proszę tu zostać - powiedziała. - Zaraz zrobię pani okład z lodu w miejscu stłuczenia.

Gwen ponownie uniosła rękę do głowy. Rozcięcie bardzo bolało. Tylko czy było widoczne z daleka? Czy Camry zauważył krew w jej włosach? Dawno nie czuła się tak upokorzona. Zaczęła nasłuchiwać kroków wracającej Movity, która świetnie wiedziała, jak cenny jest lód dla wszystkich więźniarek. Na pewno niełatwo go zdobyć o tej porze. Zresztą ona też nie była naiwna i doskonale wiedziała, co się dzieje w jej zakładzie. Wystarczyło, że Frances z dostawą lodu rozprowadzi grypsy, a natychmiast wszyscy dowiedzą się o nocnym zdarzeniu. Uznała, że skoro ma trochę czasu, może go wykorzystać na jeszcze jednego drinka. Bardzo go potrzebowała.

Kiedy Movita wróciła, Gwen siedziała z głową opartą na swoim biurku, przytykając stłuczony bok do sterty dokumen-

tów. Nie czuła już bólu, ale i nie mogła się poruszyć. Ten jeden łyk ginu zrobił swoje.

- Przepraszam - bąknęła - ale nie czuję się dobrze.

Watson delikatnie uniosła jej głowę, odsunęła papiery i podłożyła na ich miejscu ściereczkę z lodem.

- Zaparzę pani kawy. To nie potrwa długo.

Gwen z przyjemnością oparła głowę na kompresie. Na początku przyniosło jej to ulgę, ale po jakimś czasie wrócił piekący ból. Skoro Movita poszła zaparzyć kawę, to musiała się domyślić, że ona jest wstawiona. Ale powinna zdawać sobie sprawę, jak ciężko pracuję i w jakim stresie żyję, pomyślała. W końcu robię wszystko dla dobra skazanych, a więc i jej. Kiedy Watson znów pojawiła się w drzwiach, powiedziała:

- Dzieje się coś naprawdę okropnego. To jeden z powodów, dla których nie czuję się dobrze.

- Przykro mi. - Movita odsunęła parę rzeczy na skraju biurka, żeby zrobić miejsce na kubek z kawą.

- Ty tego nie rozumiesz - ciągnęła Gwen. - Pojawiła się pewna groźba, naprawdę realna groźba, że coś złego spotka cały zakład Jenningsa.

- W porządku, pani naczelnik - odparła Movita łagodnie, jakby uspokajała przestraszone dziecko. - Nic złego się nie stanie, dopóki ja jestem przy pani.

Harding próbowała podnieść głowę, ogarnięta narastającą frustracją.

- Wcale nie jestem pijana. Mówię całkiem poważnie.

Movita przesunęła kubek z kawą w jej stronę.

- Nawet parę łyków dobrze pani robi. Proszę tylko powąchać, a potem spróbować upić choć troszeczkę.

- Zakład Jenningsa może zostać sprywatyzowany! - wyrzuciła z siebie Gwen. - Władze stanowe chcą nas sprzedać prywatnej firmie!

Wyłowiła nutę hysterii w swoim głosie i umilkła. W końcu nie powinna o tym nikomu mówić. Co ją podkusiło?

Watson zrobiła zdziwioną minę i po raz pierwszy spojrzała na nią w nieco inny sposób.

- Sprywatyzowany? Jak to?

Harding zdobyła się na wysiłek i podniosła głowę. Uradowała ją możliwość rozmowy z Movitą.

- Ofertę złożyła spółka JRU. To jej przedstawiciele byli tu parę dni temu. Chcą przejąć kontrolę nad zakładem. - Jednocześnie pomyślała: „Do cholery! Jestem całkiem zalana!”. Zdrowy rozsądek nakazywał jej zamilknąć, ale jakiś przekorny czart w jej głowie namawiał, żeby wszystko wypaplała. - Jeśli do tego dojdzie, warunki znacznie się pogorszą... To po prostu straszne... - Poczowała, że w kącikach oczu gromadzą jej się łzy. - Ta świadomość nie daje mi spokoju...

Szybko opuściła głowę i oparła ją na kompresie z lodu.

- To pewne? - zapytała Movita.

- Nie, ale bardzo prawdopodobne. Chcą kierować zakładem jak fabryką. Ty i reszta skazanych macie być kółkami zębatymi tej maszynerii, a ja olejem do smarowania przekładni.

- Matko Boska... - szepnęła Movita, siadając na krześle przed biurkiem.

15

Cher McInnery

Cher McInnery pokręciła głową, aż rozsypały się jej długie czarne włosy.

- Za każdym razem, gdy nadchodzi dzień odwiedzin - mruknęła - wy wszystkie, tępe zdziry, przypominacie mi starą sukę mojego ojca.

Floyd McInnery uwielbiał kopać psa, chcąc się pochwalić przed opitymi piwem kolesiami. Powtarzał przy tym:

- Widzicie? Wystarczy dać Berty kopa, żeby przyczołgała się z powrotem, jakby chciała dostać drugiego.

Śmiał się hałaśliwie, pociągał z butelki, bekał głośno, a następnie, szczerząc zęby w uśmiechu, który Cher kojarzył się zawsze z sadystyczną rozkoszą, zabłoconym buciorem wymierzał następnego kopniaka między wystające żebra biednej suki. Nieodmiennie rozlegało się żałosne wycie, Betty odskakiwała z podkulonym ogonem na dziesięć metrów, a Floyd wrzeszczał za nią:

- Wracaj tu zaraz, suko!

I pies, oczywiście, przyczołgiwał się z powrotem, z postawionymi uszami, mając nadzieję, że tym razem dostanie jej się coś lepszego od tego pijanego łobuza. Najczęściej jednak był to następny kopniak. Zdarzało się nawet, że Floyd proponował kolegom, by spróbowali pójść w jego ślady.

- No, śmiało! - nalegał. - Kop sukę. Ona to lubi.

Na początku małej Cher bardzo żal było psa. Ledwie mogła znieść głuchoe odgłosy kopniaków, żałosne wycie i pijackie śmiechy, ale nie mogła oderwać oczu od tego przedstawienia.

Stała i patrzyła, czekając niecierpliwie, aż Floyd odejdzie z kolegami, żeby mogła pogłaskać biedną Betty i dać jej na pocieszenie jakąś kość.

- Dlaczego pozwalasz mu to robić? - pytała często, zglądając psu w oczy, jakby szukała tam odpowiedzi. - Czemu go nie ugryziesz?

Potajemnie próbowała wyzwać w Betty agresję.

- No! Ugryź mnie! - pokrzykiwała groźnie. - Nie liź mojej ręki, tylko gryź! Broń się, ty przekłeta głupia suko!

Chciała choć raz zobaczyć, jak Betty warczy na ojca i wraca do niego z obnażonymi kłami. Bardzo pragnęła, aby choć raz zatopiła te kły w tyłku Floyda.

Ale przedstawienie zawsze miało taki sam przebieg i w końcu jej współczucie dla psa przemieniło się we wściekłość, potem w obrzydzenie, wreszcie w pogardę. Mimo woli Cher zawsze wspominała starą rudobrazową sukę, ilekroć co tydzień obserwowała, jak kobiety w zakładzie Jenningsa szykują się do odwiedzin. I kręciła z politowaniem głową, widząc ich podniecenie. Wszystkie nagle zaczynały mówić o swoich chłopakach albo mężach czy nawet dziadkach, którzy mają je odwiedzić, bądź też opiekunkach zajmujących się ich dziećmi, tym razem już na pewno szykującymi je do drogi. Później zaś z takim samym politowaniem odbierała ich rozczarowanie, kiedy nikt się nie pojawiał. I co tydzień wszystko powtarzało się od nowa.

Patrząc, jak barwią sobie policzki wysuszonym sokiem z grejpfruta lub przycerniają rzęsy i brwi spalonymi zapałkami, przypominała sobie słowa ojca: „No, kopnij sukę! Ona to lubi!”. Bo tydzień po tygodniu robiły wszystko, by wyglądać jak najlepiej na powitanie swoich ukochanych mężczyzn, którzy nigdy się nie pojawiali.

Jej nigdy nikt nie odwiedził i nie oszukiwała się, że będzie inaczej. Rodzina mieszkała za daleko, by wybrać się z wizytą. I ani trochę jej to nie martwiło. Bo im bardziej wszyscy byli podnieceni i zachowywali się jak dzieci, tym łatwiej znajdowała okazję, żeby coś zwędzić. Dla niej dzień odwiedzin był jak wyprawa do centrum handlowego. Nie musiała się martwić, że nikt jej nie odwiedza, skoro mogła w tym czasie zgarnąć parę drobiazgów któreś głupiej naiwnej zdzirze z sąsiedniego bloku, czekającej z mocno bijącym sercem na przyjazd mającego ją

w nosie i nic niewartego mężczyzny. Pod tym względem wiele się nauczyła od starej rudobrazowej Betty. Najpierw było jej żal tych kobiet, ale teraz czuła do nich jedynie obrzydzenie i złość.

Kiedy wracały do swoich domów, ze łzami w oczach mówiąc o rozczarowaniu, miała straszną ochotę wymierzyć im kopniaka i krzyknąć: „Broń się, ty przeklęta głupia suko!”. Ale wszystko przyjmowała ze stoickim spokojem, bo gdy kradła, musiała być skoncentrowana, nie mogła myśleć o głupstwach. Dobrze pamiętała, jak długo w niedzielę matka się szykowała, kiedy zabierała ją na spotkanie z wujkiem Silasem w więzieniu Little Rock. Nie opuściły ani jednego dnia odwiedzin przez cały czas jego pobytu za kratkami. Ale pamiętała równie dobrze, że wśród odwiedzających były wyłącznie kobiety. Już wtedy, za młodu, dostała dobrą lekcję, że w życiu można polegać jedynie na matkach czy siostrach, ewentualnie na córkach, jeżeli wpoilo im się choć trochę odwagi. Tym bardziej z pogardą przyjmowała łzy zrozpaczonych kobiet, których mężczyźni nie pojawili się w czasie odwiedzin. Jej zdaniem powinny się cieszyć, że w ogóle jeszcze mają się przed kim wypłakać.

Żałowała tylko matek. Jeśli nawet miały okazję zobaczyć swoje pociechy, to odwiedziny jedynie napełniały je smutkiem. Bo małe dzieci, zwykle przestraszone, najczęściej marudziły, płakały i krzyczały. Trochę starsze na ogół zadawały masę pytań w rodzaju: „Dlaczego się tak dziwnie ubierasz, mam?” albo „Czemu nie przyszedłeś na moje urodziny?”, no i to najgorsze ze wszystkich „Kiedy wrócisz do domu?”. A im były starsze, tym bardziej wstydziły się wizyty w więzieniu. Wychowywały się z dala od matki, toteż zazwyczaj ze zdumieniem patrzyły na kobietę, którą ledwie znały, i nawet nie starały się ukryć złości, zakłopotania i zmieszania. Na pewno dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby nie przyjeżdżały w odwiedziny.

Z tego też powodu Cher nie mogła zrozumieć, dlaczego Movita zadaje sobie aż tyle trudu, by doprowadzić do spotkania ze swymi córkami. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni obie odwiedziły matkę w zakładzie Jenningsa, a ona bardzo rzadko o nich wspominała, nikomu nie pokazywała zdjęcia córek, toteż na co dzień wszyscy zapominali, że jest matką. Cher jednak domyślała się, co Movita chce osiągnąć, i za to ją podziwiała. Tyle że szefowa grupy ostatnio zaczęła się za-

chowywać zdecydowanie inaczej. Nie ulegało wątpliwości, że coś ją gryzie, bez reszty zaprzęta myśli. Tuż przed zgaszeniem światła w przeddzień odwiedzin stało się jasne, że Movita jest zbyt zdenerwowana, by od razu zasnąć.

- Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł, aby ściągać tu dziewczynki? - zapytała ją szeptem.

- Chcę im poczytać bajki. Byłam dziś w bibliotece i poprosiłam Maggie, żeby wybrała coś odpowiedniego.

- To miłe - odparła Cher. - Moja mama też mi często czytała.

- Każda matka powinna to robić - wyjaśniła Movita. - Kochająca matka musi czytać swoim dzieciom bajki.

Dzieciom? Kiedy Watson po raz ostatni widziała swoje córki? Tej nocy Cher także nie mogła zasnąć. Martwiła się o nią. Obawiała się, że opiekunka nie przywiezie jej córek, a jeśli nawet, to Movita przeżyje rozczarowanie, kiedy tylko je ujrzy. Westchnęła ciężko, bo nic w tej sprawie nie mogła zrobić. Miała nadzieję, że Watson wyciągnie wnioski z tej lekcji i nie zamieni się w Betty. Wreszcie postanowiła, że musi zwęździć dla niej coś naprawdę ładnego, na przykład nową szczotkę do włosów albo jakieś perfumy. Movita bardzo lubiła ładne zapachy.

W dniu odwiedzin podczas śniadania w stołówce zawsze panował zgiełk. Zwłaszcza Theresa robiła się szczególnie hałaśliwa przed przyjazdem swoich gości. A ją zawsze ktoś odwiedzał. Cher nie umiała się doliczyć jej sióstr, było ich pięć, sześć czy nawet siedem. Czasami zjawiały się też jej koleżanki z branży kosmetycznej po jakąś radę bądź słowa zachęty. Nie miało to jednak większego znaczenia, kto do niej danego dnia przyjeżdżał. Z punktu widzenia LaBianco każde odwiedziny były okazją do hucznego święta.

- Nie jest ci smutno, kiedy goście wyjeżdżają? - zapytała ją Suki. - Bo mnie ogarnia straszne przygnębienie, gdy odwiedziny się kończą. Czuję się wtedy jeszcze bardziej samotna niż poprzednio.

- Chyba wiesz, co się mówi na temat samotności, prawda? - zaczęła Theresa. - Czujesz się osamotniona, kiedy jesteś nie-szczęśliwa z dala od innych ludzi. Ale jest też całkiem inne znaczenie słowa „samotność”, którego używamy, kiedy chcemy

być sami. I kiedy odwiedziny dobiegają końca, po prostu mówię sobie, że bardzo mi się przyda trochę samotności. To wszystko. - Przybrała teatralną pozę i wycodziła, nieudolnie naśladowując Gretę Garbo: - Chcę zostać sama!

- Bzdury - odparła Cher z uśmiechem. - Uwielbiam cię, ale pieprzysz bzdury.

- A wiesz, co się mówi na temat bzdur? - zapytała Movita.

- Nie. - Theresa jak zwykle w takich sytuacjach czujnie nastawiła ucha. - Tego nie słyszałam. Co się mówi?

- Jeśli ty nie wiesz, to nikt tego nie wie - odparła Watson pobłażliwym tonem, wywołując gromkie śmiechy.

Theresa także się roześmiała. Miała poczucie humoru. Wiele rzeczy potrafiła obracać w żart.

- A do ciebie nie przyjedzie dzisiaj ten przystojny adwokat? - zwróciła się do niej.

- Przyjedzie. Czy to nie straszne, że jedyny facet odwiedzający taką gorącą babkę jak ja nalicza sobie stawkę za godziny, więc nie może zostać dłużej? - Cher zachichotała.

- Adwokaci są jak dziwki - wtrąciła Movita, nabierając czubatą łyżkę płatków śniadaniowych. - I jednym, i drugim płaci się za godziny, więc nie ma co liczyć na dłuższe spotkanie.

- Słyszałam ostatnio dobry kawał - odezwała się Theresa. - O czym to świadczy, kiedy adwokat wpada po szyję w gówno? - Rozejrzała się dookoła, czekając na odpowiedź, po czym wyjaśniła: - Tylko o tym, że tego gówna jest za mało.

Rozległ się dzwonek oznaczający koniec posiłku. Cała grupa wstała od stołu i ruszyła z tacami w kierunku okienka. Cher aż się skrzywiła, ujrawszy, że Movita ma przy sobie dwie książki z bajkami oraz dwa lizaki, które dostała od Sally z bloku B. Nieco później, gdy razem szły w kierunku sekcji odwiedzin, Watson spojrzała na nią i zapytała:

- Będiesz dziś siedziała cały dzień na dole?

Cher pokręciła głową.

- Nie. Po co? Mam przecież trochę roboty. - Puściła do niej oko.

Movita przytaknęła ze zrozumieniem i poszła dalej. Cher po krótkim namyśle ruszyła w pewnej odległości za nią. Miała straszną ochotę zobaczyć minę Watson, kiedy ujrzy swoje córki.

Skrzywiła się z niesmakiem po wejściu do sali widzeń, gdzie

zawsze odór skwaśniałego potu mieszał się z intensywną wonią perfum, którymi kobiety w nadmiarze próbowały zamaskować podniecenie, gdy czekały na wyczytanie swojego nazwiska. Wcisnęła się w ką, z dala od reszty grupy. Nie była tu sama. Co prawda większość skazanych nie oczekujących gości wolała trzymać się z dala od tej sekcji, wzmagającej w nich bolesne poczucie osamotnienia, były jednak i takie, które lubiły z boku obserwować radość innych. A tego dnia Cher odczuwała niezwykłą nerwowość. Wyciągała szyję i rozglądała się uważnie, ale nigdzie nie mogła dostrzec Movity.

- Czekasz na kogoś, Cher?

Pytanie tak ją zaskoczyło, że aż podskoczyła. Spojrzała przez ramię na Nowiejuszkę.

- Nie twoja sprawa, czy na kogoś czekam, czy nie - syknęła groźnie.

Zauważyła nagle Watson w drugim końcu sali, odbierającą od strażnika jakiś list. Nawet z tej odległości było widać, że trzęsą się jej ręce. Brutalnie odsunęła bogatą zdziwę i zaczęła się przeciskać przez tłum w tamtym kierunku.

Kiedy się wreszcie przepchnęła, rozerwana koperta leżała już na podłodze, a Movita stała sztywno wyprostowana jak posąg. W jednym ręku ścisnęła zgnieciony w kulkę list, drugą zaś, razem z książkami wziętymi z biblioteki, przyciskała do piersi dwa dziecięce rysunki wykonane kredkami. Miała taką minę, jakby zobaczyła upiora. Cher spostrzegła jednak z ulgą, że nie ma w oczach łez. Chyba nawet nie była specjalnie rozżalowana. Po prostu zastygła jak wmurowana.

- Co się stało, Mo? - zapytała miękko. Nie chciała, żeby wszystkie dookoła od razu się dowiedziały o tej chwili słabości przywódczyni grupy. - Gdzie twoje dziewczynki?

- Nie przyjadą - odparła półgłosem Movita. - Nie przyjadą.

Cher wyjęła pomięty list z jej dłoni, przeczytała, po czym syknęła:

- Cholerne łobuzy! Bezlitosne pieprzone skurwysyny!

- Licz się ze słowami - ofuknęła ją Watson. - Nie znoszę, jak przeklinasz.

W tej chwili podeszła Jennifer, która wciąż trzymała tacę ze śniadaniem, jakby uznała, że Movicie i od niej należą się wyrazy współczucia.

- Przecież Suki mówiła, że wszystko załatwiłaś.

- Za kogo ty się uważasz, żeby tak do mnie mówić?! Pozwoliłam ci się odezwać?! Nic mnie nie obchodzi, co ci powiedziała Suki! - warknęła groźnie Watson. - Wydaje ci się, że tu można cokolwiek załatwić?! Jak widzisz, nic nie załatwiłam! Rozumiesz?! Zupełnie nie!

Odepchnęła Cher, zavrcając do drzwi.

- Uspokój się, skarbie. Chodź ze mną. Poszukam ci czegoś naprawdę ślicznego na pocieszenie.

- Zabieraj te swoje brudne łapska! - wrzasnęła Movita. - Trzymaj się ode mnie z daleka!

Szarpnęła się tak gwałtownie, że aż książki i rysunki spadły na podłogę. Błyskawicznie dała za nimi nura. W tej samej chwili któraś z dewotek - tych bezgranicznie oddanych wierze maniackich, wykorzystujących każdą okazję do nawracania wątpiących i zagubionych - zaczęła nad nią swoją litanię:

- Siostró, nie jest jeszcze za późno, byś dopatrzyła się we wszystkim ręki Boga.

- Stul pysk! - huknęła na nią Cher.

Tymczasem Nowicjuszka pospiesznie kucnęła, żeby pomóc Watson zbierać rzeczy z podłogi. Ledwie dotknęła jednego z rysunków, Movita z całej siły walnęła ją w rękę.

- Zabieraj łapy! - krzyknęła. - To od mojej córeczki. Narysowała to specjalnie dla mamusi, więc trzymaj się z dala. To od mojej ukochanej córeczki!

Jennifer błyskawicznie cofnęła rękę, a Cher pomogła biednej, zanoszącej się szlochem Movicie wstać z podłogi. Przez chwilę w otaczającej ich gromadce podekscytowanych kobiet panowała martwa cisza.

Cher zapewniła je szybko, że wszystko jest pod kontrolą, po czym spojrzała z wyrzutem na Jennifer.

- Sama się o nią zatroszczę. Odprowadzę ją do celi.

Kiedy tłum się rozstał, robiąc im drogę do drzwi, w przejściu stanęła strażniczka i powiedziała głośno:

- Panno Spencer, ma pani gościa.

16

Jennifer Spencer

A jednak Tom nie sprawił jej zawodu! Mogła z nim porozmawiać w cztery oczy, potrzymać go za rękę! Zaledwie usłyszała swoje nazwisko, serce zaczęło jej tłuc jak oszalałe. Niemal pobiegła do pokoju kontrolnego, żeby strażnicy ją sprawdzili i przeszukali.

Ale gdy w końcu znalazła się w sali odwiedzin i rozejrzała w pośpiechu, nie dostrzegła nigdzie Toma. Obleciał ją strach. Hałaśliwe zachowanie więźniarek, płacz dzieci oraz widok ich krewnych i znajomych podziały jej na nerwy. Dopiero po chwili zauważyła z boku sali swojego gościa. Ale nie był nim Tom Branston, tylko Leonard Benson.

Siedział przy dużym stole pogrążony w lekturze magazynu „Forbes”. Podniósł głowę, uśmiechnął się do niej i zdjął okulary do czytania. Jennifer próbowała ukryć rozczarowanie, podchodząc do niego, mimo że serce wciąż waliło jej młotem. Odnosiła wrażenie, że światła nagle przygasły, a sala zaczyna z lekka falować przed oczyma. Oparła się ciężko o róg pokrytego laminatem stołu i zaczerpnęła głęboko powietrza. Księgowy wstał i gestem wskazał jej krzesło naprzeciwko.

- Lenny! Co za niespodzianka! - wydusiła z siebie.
- Dziękuję, że zgodziłaś się mnie przyjąć. Nie masz nic przeciwko moim odwiedzinom?
- Nie, skądże - odparła, siadając przy stole. - Naprawdę się cieszę, że cię widzę.

Przemknęło jej przez myśl, że to chyba najbardziej obcesowe i wymuszone powitanie, do jakiego doszło dziś w tej sali.

Uzmysłowiła sobie nagle, że przysługuje jej tylko godzina odwiedzin. Gdzie się podziewał Tom? Czy w ogóle miał zamiar przyjechać? Podczas rozmowy telefonicznej nie dał jednoznacznej odpowiedzi, nie wiedziała zatem, czy powinna się go spodziewać.

- Dobrze wyglądasz - rzekł Lenny, jakby tym zaskoczony. - Muszę przyznać, że dla mnie to niemal szok... - urwał i szerokim gestem omiółł obszerne pomieszczenie - ...no, wiesz... spotkać się z tobą tutaj, w takim otoczeniu. - Spojrzał na strażników obserwujących salę i masywne kraty. - Ale cieszę się, że dobrze wyglądasz. Chyba nic ci nie dolega.

Jennifer rozejrzała się na spokojnie, uwolniona od myśli o Tomie. Panował tu zgiełk i zaduch. W większości naprzeciwko więźniarek zasiadały inne kobiety. Dzieci biegały po całej sali, krążyły między stolikami i automatami do sprzedaży, głośno wyklócały się o wybór napoju albo wrywały sobie batoniki. Niektóre kobiety płakały, wtórując swoim dzieciom. Nieliczni mężczyźni, ubrani w dżinsy i schodzone pantofle, najwyraźniej czuli się tu nieswojo.

- Wszystko w porządku, przynajmniej na razie, bo... jest ciężko. - Zająknęła się, próbując powstrzymać łzy cisnące się do oczu, po czym zapytała wprost: - Gdzie jest Tom? Jeśli wolno mi przyjąć tylko jednego gościa, wołałabym się zobaczyć z nim.

Tym razem Lenny nie potrafił ukryć swego rozczarowania.

- Przykro mi - mruknął, wzruszając ramionami. - Podejrzewam, że coś go zatrzymało. Wiem tylko tyle, że odebrałem wczoraj telefon z biura naczelniczki i otrzymałem zgodę na widzenie z tobą. No więc jestem.

- Ale chyba spotkałeś Toma w biurze? Nie powiedziałaś mu, że wybierasz się do mnie? Nie mówił, że również przyjedzie? A może prosił o przekazanie jakiejś wiadomości?

Lenny pokręcił głową.

- Nie widziałem się z nim i o niczym mu nie mówiłem - odparł. - Wczoraj w ogóle nie było go w biurze, a jeśli nawet był, to mnie unikał.

Jennifer po raz kolejny rozejrzała się nerwowo po sali.

- Kiedy rozmawiałam z nim przez telefon, powiedział, że

jest bardzo zajęty apelacją w mojej sprawie albo nawet wystąpieniem o unieważnienie procesu.

Spojrzała na Lenny'ego i w jego dużych piwnych oczach wyczytała współczucie. Ogarnęła ją złość, postanowiła wziąć się w garść. Nie miała ochoty być obiektem współczucia kogoś takiego jak Benson.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytał, po czym zamilkł na dłużej. - Dostałaś paczkę, którą ci wysłałem?

Do tej pory jak spłoszona mysz przeskakiwała wzrokiem od jednego stolika do drugiego, ale wreszcie spojrzała na księgowego.

- Tak - odparła, patrząc mu prosto w oczy. - Dostałam. Bardzo dziękuję. Przesłałeś mi wspańnięte rzeczy.

Lenny wyraźnie się zaczerwienił.

- Zrobiłem małe rozpoznanie, przeczytałem parę artykułów o kobietach w wię... - urwał zakłopotany, po czym ciągnął: - ...w takich zakładach jak ten. I dowiedziałem się, że każda paczka jest dla was niezwykle ważna. Łatwiej było mi też wybrać potrzebne rzeczy.

- Gdzie przeczytałeś ten artykuł? - zapytała, tłumiąc rozbawienie. - W „Forbesie”?

- Nie. Przejrzałem parę stron internetowych. Nie wiedziałem, czy używasz pasty do zębów, czy żelu, więc kupiłem jedno i drugie.

- Naprawdę sprawiłeś mi ogromną radość - powiedziała, przypomniawszy sobie, jak była poruszona tamtego dnia, kiedy dostała paczkę. - Ułatwiło mi to nawiązanie znajomości. Tyle że... nie spodziewałam się niczego i...

Chciała powiedzieć, że nie zasłużyła sobie na prezenty od niego, ale ugryzła się w język. W końcu nie zasłużyła też na żadną karę, a jednak siedziała za kratkami. Znow na jakiś czas zapadło milczenie.

- Wiedziałaś, że nie wolno przysyłać nici dentystycznych? - zapytał z przejęciem.

- Nie. Dlaczego?

- Podobno taką nicią i kuchennym płynem do szorowania łatwo jest przeciąć nawet grubą żelazną kratę. To także wyczytałem w Internecie. - Wzruszył ramionami. - Wybacz, że tak dużo gadam. Chyba jestem trochę zdenerwowany.

Jennifer pokiwała głową. Znowu nastąpiła cisza. Po raz kolejny utknęła spojrzenie w drzwiach, przez które wchodził goście.

- Chcesz, żebym już sobie poszedł? - zapytał Lenny. - Jeśli czekasz na Toma czy kogoś innego, to...

- Nie, wszystko w porządku - powiedziała szybko. - Przepraszam, ale jestem trochę rozkojarzona. Przed chwilą jedna z koleżanek przeżyła olbrzymie rozczarowanie, prawie załamała się nerwowo. Aż przykro było patrzeć. Zresztą, mówiąc szczerze, miałam nadzieję, że Tom mnie odwiedzi, więc... - Urwała, spoglądała na niego przez chwilę i zapytała: - Czy ktoś za mną tęskni w firmie?

Znowu zaczerwienił się lekko, spojrzał w bok i wzruszył ramionami. Doskonale wiedział, że Lenny nie potrafi kłamać.

- Dobrze wiesz, jacy są ludzie w firmie - mruknął.

Smutno pokiwała głową. W pracy panowała atmosfera zażartej rywalizacji. Większość jej współpracowników była egoistyczna, pochłonięta wyłącznie sobą, zazdrosna i mściwa. W gruncie rzeczy nikt się naprawdę nie cieszył z jej wyjątkowych sukcesów.

Nie potrafiła jednak uwierzyć ani tym bardziej pogodzić się z tym, co chciał jej powiedzieć. Nagle coś ją tknęło. Na pewno inaczej reagował Donald Michaels. On nie mógł jej zostawić w kłopotach. W końcu zawsze dbał o to, by niczego jej nie brakowało, martwił się jej samopoczuciem. Ale jemu nie wypadało przecież przyjeżdżać z wizytą do więzienia, zwłaszcza jeśli wciąż był pod ścisłą obserwacją, jak mówił Tom. Dlatego poprosił Bensaona o przygotowanie paczki. I teraz przysłał go na odwiedzinę, by okazać swą troskę, by nie czuła się zostawiona sama sobie do czasu, aż wszystko się wyjaśni.

- Donald prosił cię, żebyś tu przyjechał? - zapytała.

- Nie - odparł szybko Lenny, chyba nazbyt ostrożny.

- Nie musisz się niczego obawiać. Możesz powiedzieć prawdę.

Pochylił się nisko nad stołem, rozkładając szeroko łokcie, i położył dłoń na jej ręce. Zaledwie ją musnął, lekko podrapał rękę, ale zaraz opuścił z powrotem. Miał zdumiewająco pewny i silny uścisk, jego palce otoczyły jej szczupły nadgarstek niczym gruba bransoletka.

- Posłuchaj, Jennifer - powiedział gardłowo, lekko chrapli-

wym głosem, zatapiając w jej twarzy spojrzenie dużych, szklanych, piwnych oczu. - Obawiam się, że spotka cię olbrzymie rozczarowanie, jeśli oczekujesz czegoś po Donaldzie. Znam go o wiele dłużej niż ty. To prawda, że potrafi być bardzo hojny, kiedy sprawy toczą się po jego myśli. Ale w innych okolicznościach, gdy dochodzi do jakichś komplikacji... No cóż, powiedzmy, że wtedy zawsze potraktuje cię jak młodszego rangą pracownika, a siebie jak wszechwładnego mocodawcę, którego żadnym sposobem nie da się pogrążyć.

Poczuła nagle gęsią skórkę, nawet w tym miejscu, gdzie Lenny trzymał ją za rękę. Cofnęła ją pospiesznie.

- Tylko nie próbuj mi wmawiać, że Donald całkiem o mnie zapomniał - odparła, mimowolnie podnosząc głos, aż kilka osób przy sąsiednich stolikach popatrzyło w tym kierunku. Siłać się na spokój, dodała: - Tom mówił, że sprawy po prostu idą trochę wolniej, niż się spodziewali, ale i tak wszystko musi się dobrze skończyć. Nie wątpię, że na sto procent mogę liczyć na poparcie Donalda.

Pokręcił głową.

- Obawiam się, Jennifer, że Donald potraktuje cię z góry. Takie jest moje zdanie.

Wyprostował się i zdjął ręce ze stołu. Poczuła nagle, jak wzbiera w niej złość przemieszana ze strachem. Miała ochotę wymierzyć Lenny'emu policzek, stracić mu okulary z nosa na podłogę i rozgnieść je obcasem.

- Donald nigdy nie łamie danego słowa - syknęła. - Zresztą nawet gdyby chciał się wycofać, Tom mu na to nie pozwoli. Zastrzeży się o wszystko.

Księgowy odwrócił wzrok i przytaknął ze smutkiem.

- Pewnie masz rację. Wolałbym tylko, abyś nie przeżyła rozczarowania. W każdym razie do mnie możesz dzwonić o każdej porze, w dzień i w nocy. Znasz mój numer telefonu komórkowego, prawda?

Pokręciła głową. Skąd miałyby pamiętać jego numer? Uświadomiła sobie, że wzbiera w niej pogarda dla tego faceta o za dużym nosie, głębokich cieniach na policzkach od czarnego zarostu i zawsze wilgotnych, jakby zażawionych oczach. Miała straszną ochotę, żeby ten nudny, wieczny pesymista już sobie poszedł. Zapewne chciał dobrze, lecz tylko wprawiał ją w za-

kłopotanie i budził jej obawy. Wolała jednak nie mówić mu tego wprost, dlatego siedziała w milczeniu, czekając, aż sam na to wpadnie.

- Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić albo przysłać ci paczkę? - zapytał w końcu, wstając z krzesła.

- Nie zamierzam tu siedzieć zbyt długo - odparła półgłosem. Spojrzała mu w oczy, licząc na to, że potwierdzi jej nadzieję, ale się nie doczekała. - Naprawdę. Tom mówił, że wyciągnie mnie stąd za dwa, może trzy tygodnie.

Pokiwał głową i położył na stole swoją wizytówkę.

- Znam na pamięć numer do biura - powiedziała, uśmiechając się pobłaźliwie.

- Na odwrocie zapisałem mój numer domowy i komórki. Dzwon, jak będziesz czegoś potrzebowała. Mówię poważnie.

Odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

17

Maggie Rafferty

Pisałam właśnie list do syna, kiedy w drzwiach stanęła Movita Watson. Nie przychodziła za często do biblioteki. Na pewno przeczytała wszystkie godne uwagi książki, zanim jeszcze mnie tu zamknięto. Poza tym pracowała w sekretariacie naczelniczki, miała zatem dość interesujące zajęcie. Kiedy więc domyśliłam się po jej minie, że przyszła raczej zobaczyć się ze mną, niż coś wypożyczyć, zrobiło mi się naprawdę miło.

- Widzę, że cieszy cię mój widok - powiedziała z uśmiechem. - Tylko nie rób sobie specjalnych nadziei. Nie przynoszę żadnych dobrych wieści.

Oczywiście słyszałam już o zajściu w sekcji odwiedzin. Kiedy coś spotyka osoby tak znane i szanowane jak Movita Watson, wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy.

- Oddaję książki - powiedziała, kładąc na biurku dwie ilustrowane bajki, które sama jej wybrałam.

Zaśmiałam się w głos, co nie zdarza mi się zbyt często.

- Widzę, że faktycznie przynosisz złe wieści. To, że siedzę w kiciu, nie oznacza, że zwariowałam.

Uśmiechnęła się. A muszę przyznać, że ma przeuroczy uśmiech, który zawsze mi się kojarzy z Wenus z Thasos.

- Mam parę pytań, a ty jesteś oblatana, powinnaś znać odpowiedzi. Mogę ci zająć trochę czasu?

- Tak, oczywiście.

Darzyłam ją wielkim szacunkiem. Na samym początku, kiedy tylko się tu znalazłam, wszystkie patrzyły na mnie jak na przedmiot godny pogardy. Odnosiłam wrażenie, że wzrok

więźniarek przenika mnie na wylot, jakbym była niewidzialna. Tylko Watson zdawała się dostrzegać we mnie człowieka. A wszystko przez to, że jestem stara. Bo stare kobiety nie wnoszą do więzienia niczego nowego, nie są modnie ubrane czy umalowane, nie stanowią obiektu zainteresowania. Ta jedyna rzecz, która budziła sensację w moim środowisku na Zewnątrz, czyli fakt, że zastrzeliłam własnego męża, tutaj nikogo nie ciekawiła. Chyba w ogóle nie była uznawana za przestępstwo.

Movita rozsiadła się wygodnie na krześle, zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w podłogę. Najwyraźniej dobierała w myśli właściwe słowa.

- Najpierw chciałam się dowiedzieć - zaczęła wolno, w zamyśleniu - co właściwie oznacza prywatyzacja.

O mało nie wybuchnęłam śmiechem. Czyżby planowała zainwestować pieniądze w budowę wschodniemieckiej sieci kolejowej?

- To zależy od okoliczności - odparłam. - Na przykład od dawna rozważa się ewentualność sprywatyzowania Urzędu Poczty Stanów Zjednoczonych. To oznacza, że poczta przestałaby być instytucją państwową i przeszła pod zarząd jakiejś prywatnej firmy albo kilku różnych firm.

Watson skinęła głową.

- Czemu miałyby to służyć?

- Najczęściej wychodzi się z założenia, że instytucjom państwowym brak środków i możliwości do tak wydajnego zarządzania, jakie jest udziałem przedsiębiorstw prywatnych.

- Ale po co się to robi? - zapytała Movita, odchylając się na oparcie i zakładając nogę na nogę.

- Z tego samego powodu, co wszelkie pozostałe inwestycje. Dla osiągnięcia zysku.

- Zysku? - Zmarszczyła brwi, po czym znów wbiła wzrok w podłogę i przez kilka sekund milczała. Najwyraźniej była czymś wzburzona, co przy jej silnej osobowości zdarzało się wyjątkowo rzadko. Wreszcie zapytała: - Twój synowie chyba wiedzą wszystko na ten temat, prawda?

- Prawdę powiedziawszy, raczej tak. - Po raz kolejny się zachmurzyła. Muszę przyznać, że byłam coraz bardziej zaintrygowana. - Powiedz wreszcie, o co chodzi.

Rozejrzała się dookoła, pochyliła nad biurkiem i sięgnęła za pazuchę. Przez chwilę naszły mnie obawy, że ma jakąś kontrabandę, dlatego odetchnęłam z ulgą, kiedy wyciągnęła plik papierów.

- Lepiej to przejrzyj - rzuciła, wciskając mi je w rękę. Były jeszcze ciepłe od jej ciała. - Dzieje się tu coś dziwnego, a z tego, co powiedziałaś, można przypuszczać, że to nic dobrego. - Zapatrzyła się na chwilę gdzieś ponad moim ramieniem i mruknęła pod nosem: - Dla zysku? Nic z tego nie rozumiem, na Boga.

Rozłożyłam papiery i spojrzałam na firmowy emblemat w rogu pierwszej strony. JRU International. Nigdy nie słyszałam o tej firmie. Cóż to mogło oznaczać? Szybko wyciągnęłam z biurka dużą plastikową aktówkę, którą dostałam od synów i która nie miała do tej pory żadnego zastosowania.

Pospiesznie przebiegłam wzrokiem kilka pierwszych stron. Rzeczywiście była to oferta prywatyzacyjna. Zainteresowana, zaczęłam czytać dokładniej.

Movita miała rację. Sprawa przedstawiała się niewesoło. W dokumencie zakład Jenningsa opisywano takim językiem, jakby chodziło o nieefektywną fabrykę czy kurzą fermę produkującą za mało jaj. Moje zdumienie rosło z minuty na minutę. Nigdzie nie natknęłam się na żadną wzmiankę, z której by wynikało, że w zakładzie Jenningsa mieszkają jacyś ludzie. Najwyraźniej autorzy oferty nie traktowali skazanych jak ludzi.

- Mój Boże - szepnęłam, unosząc wzrok znad lektury. Chyba byłam błada jak ściana. - Mam podejrzenia, że w dalszej części będzie mowa o zyskach czerpanych z wykorzystania nas do testowania nowych leków. Jeśli w ogóle wspomina się tu o nas choć jednym słowem.

- Jest nawet jeszcze gorzej - odparła Movita, wstając z krzesła. - Muszę wracać do pracy. Chyba nie muszę ci mówić, że nigdy nie widziałam tego na oczy, podobnie jak ty? - Szybko przytaknęłam ruchem głowy. - Zostawiam ci to do przeczytania. Jak wrócę, jeszcze porozmawiamy.

Zgarnęłam papiery z biurka i położyłam sobie na kolanach. Dopiero wtedy podniosłam na nią wzrok. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Kiepsko to wygląda, prawda? - spytała. Znowu przytaknęłam. - Masz to na dwie godziny.

Wyciągnęłam z szuflady notes i wieczne pióro. Zaczęłam powoli czytać od początku i robić notatki. Wyglądało na to, że JRU dokładnie przestudiowało plany zakładu. W dokumentach podano wymiary każdego pomieszczenia, nie wyłączając mojej klimatyzowanej biblioteki. I zdaniem fachowców z JRU większość powierzchni użytkowej była „niedostatecznie wykorzystana”. Na przykład sala odwiedzin była używana tylko raz w tygodniu, w pozostałe dni stała pusta. W stołówce mogącej pomieścić dwieście osób żywiło się tylko sto trzydzieści pięć skazanych, ponadto i jej nie wykorzystywano przez większą część dnia. Biblioteka była „całkiem zbędna”, ponieważ skazane mogły wybierać lekturę z katalogu i odbierać książki przywożone z zewnątrz. W ogóle nie wspomiano o ludzkich potrzebach, takich jak świeże powietrze, oświetlenie, odrobina prywatności czy choćby miejsce, gdzie można się wypłakać. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, lecz z propozycji JRU wynikało jednoznacznie, że więźniarki powinny cały czas spędzać w swoich celach - oczywiście po godzinach pracy!

Serce podeszło mi do gardła. Od pewnego czasu dokuczało mi coś w rodzaju lekkiej anginy, starałam się nie zwracać uwagi na ciągły ból w piersiach. Tym razem jednak poczułam się tak, jakby mnie ktoś ścisnął w imadle. Wzięłam kilka głębszych oddechów, czekając, aż słabość minie, a czarne plamy przed oczami poczerwienieją i znikną na dobre. W końcu wróciłam do przerwanej lektury.

Plan zakładał, że więźniarki muszą być produktywne. Zakład Jenningsa miał zostać przekształcony w rodzaj fabryki! Nie należą do osób uchylających się od pracy, ale autorom wcale nie chodziło o pracę. Proponowali powrót do niewolnictwa! Płaca miała być minimalna. Jak w obozie koncentracyjnym. Skazane mogłyby przebywać albo w „halach produkcyjnych”, albo w swoich celach, z wyjątkiem jednej godziny dziennie. Śniadania i obiady powinny być z „prefabrykatów” na wzór posiłków w samolotach, dla zaoszczędzenia czasu podawane do cel! Natomiast lunch zamierzano dostarczać na „indywidualne stanowiska produkcyjne”.

Miałam coraz większe kłopoty z oddychaniem, powinnam

chyba na tym etapie przerwać czytanie, ale chodziło przecież o moją przyszłość. Miałam już sześćdziesiąt cztery lata i spory kawałek życiowego piekła za sobą. Nie zniosłabym czegoś takiego. Opuściłam papiery na kolana i popatrzyłam na regał z książkami. Łzy napłynęły mi do oczu. Może to głupie, ale zdążyłam wszystkie polubić, nawet *Moc myślenia pozytywnego*. Uderzyła mnie najbardziej przerażająca myśl: Co będzie, jeśli nie zostanie mi ani trochę czasu na czytanie?

Ludzie w moim wieku zaczynają myśleć o najgorszym przy najdrobniejszych kłopotach ze zdrowiem, a nie jestem żadnym wyjątkiem. Dlatego problemy z oddychaniem od razu skojarzyły mi się z zawałem. Może to byłoby nawet lepsze? - przemknęło mi przez głowę. Wolałabym raczej umrzeć, niż żyć jak niewolnica w tym nieludzkim systemie. Każda komórka mego ciała buntowała się przeciwko takiej perspektywie. W końcu doszłam do wniosku, że jeśli nie powali mnie zawał, będę musiała się zabić. Po co miałabym dalej żyć, skoro już teraz kosztuje mnie to tyle wysiłku? - pomyślałam, spoglądając obojętnie na papiery, które zsunęły mi się z kolan i rozsypały po podłodze.

Zaczęłam szlochać, głównie po to, by odpędzić ból z piersi. Nie płakałam od lat. Nawet przed samą sobą zawsze starałam się zachować twarz. I wtedy ku swemu przerażeniu usłyszałam jakieś hałasy za drzwiami. Jeśli to ten cholerny Byrd z zamiarem przeprowadzenia kolejnej brutalnej rewizji, to chyba tym razem skoczę mu do oczu, postanowiłam. Na szczęście była to tylko Jennifer Spencer. Policzki miałam mokre od łez, włosy w nieładzie, a co gorsza - dokumenty leżały rozsypane na podłodze. Gdyby zobaczył je któryś ze strażników, nie tylko zagroziłoby to mojej pozycji w bibliotece, lecz w dodatku naraziłabym Movitę i pewnie jeszcze kogoś odpowiedzialnego za dochowanie tajemnicy służbowej.

Schyliłam się szybko i zaczęłam je zbierać spod biurka. Aż nazbyt dokładnie poczułam przy tym swój wiek. Trudno jest się zestarzeć gdziekolwiek, ale w więzieniu to prawie niewykonalne. Ledwie zdołałam się podnieść z podłogi, przytrzymując kurczowo krawędzi stolika pełniącego funkcję biurka. Musiałam wyglądać okropnie, bo panna Spencer podbiegła do mnie i spytała zaniepokojona:

- Co się stało? Żle się pani czuje?

- Nie - wysapałam. - Tylko... jestem bardzo wzburzona.
- Bardzo pani zbladła. Mam wezwać pielęgniarkę? A może coś pani przynieść?

- Nie, dziękuję. Nic mi nie jest.

Jennifer usiadła naprzeciwko, zajmując miejsce Movity.

- Na pewno nie trzeba pani pomóc?

Poruszyła mnie swoją troskliwością. Ale nic nie odpowiedziałam.

Zauważyła jeszcze jakieś papiery na podłodze i przykłęła, żeby je podnieść. Chciałam ją powstrzymać, lecz nie zdążyłam. Na szczęście była tak mną przejęta, że zgarnęła je razem i położyła na biurku, nawet nie zerknąwszy na nie, i popatrzyła na mnie wzrokiem, który doskonale znam, choć dawno nikt w ten sposób na mnie nie spoglądał. Dominowały w nim trzy elementy: rozpoznanie, zaskoczenie i zmieszanie. Najwyraźniej Spencer dopiero teraz uświadomiła sobie, kim jestem. Pewnie sprawił to mój koszmarny wygląd. Bo tak samo wyglądałam w czasie rozprawy i taką ukazywały mnie zdjęcia w prasie.

- Widzę, że mnie w końcu rozpoznałaś - powiedziałam ci, chcąc odwrócić jej uwagę od moich zapisków, które wyrwałam z notesu i zgarnęłam razem z dokumentami. Nadal czułam się okropnie, chociaż mogłam już oddychać, nawet jeśli nie miałam na to zbytnej ochoty. - Nie przejmuj się. Przywykłam już do tego, że ludzie zdają się wiedzieć o mnie znacznie więcej niż ja sama.

- Nie o to chodzi - odparła. - Jestem tylko trochę zaskoczona. - Zamilkła na krótko. - Uważnie śledziłam pani proces.

- A ja twój. Zatem czym mogę służyć?

- Co się stało, czy źle się pani czuje? Nie powinnam kogoś wezwać?

- Tego właśnie najmniej mi teraz potrzeba. Nic mi nie będzie.

Z wyraźnym powątpiewaniem skinęła głową i podeszła do regału z książkami.

- Zawsze sądziłam, że jest pani niewinna - powiedziała.

- Sąd uznał inaczej.

- Jak długo będzie pani tu siedziała? Nie pamiętam, jaki zapadł wyrok.

Zatkało mnie. Nikt tu nie lubił takich pytań, które przywo-

dzily na myśl perspektywę wielu dni i lat czekających jeszcze człowieka za kratami.

- Moja droga, dam ci pewną radę, która znacznie ułatwi ci życie.

- Słucham.

- Nigdy nie pytaj nikogo o rodzaj popełnionego przestępstwa ani długość wyroku. Chyba że chcesz napisać sobie biedy.

Szybko spuściła wzrok. Muszę przyznać, że tym mnie ujęła. Wyprostowałam się na krześle i zakładając nogę na nogę, ukradkiem wsunęłam pod udo ofertę prywatyzacyjną razem ze swoimi notatkami.

- Chcesz jakąś książkę? - Spojrzała na mnie zdumiona. - Przyszłaś tu chyba, żeby coś wypożyczyć, prawda?

- Ach, tak, oczywiście. Miałam nadzieję, że znajdę coś z zakresu prawa. - Obrzuciła krytycznym spojrzeniem skromny księgozbiór. - Cokolwiek.

- Domyślam się, że chodzi ci o kodeks karny. - Skinęła głową i chyba lekko się zarumieniła. - Owszem, jest jeden egzemplarz. Stoi obok *Zakładam własne terrarium*. Na pewno go znajdziesz.

Zdjęła kodeks z półki i podeszła do biurka.

- Muszę coś podpisać?

Bez słowa podsunęłam jej kartę biblioteczną.

- Na pewno wszystko w porządku? - zapytała po raz kolejny.

Przytaknęłam. Podpisała się na karcie, wzięła książkę, jeszcze raz obrzuciła mnie troskliwym spojrzeniem i wyszła.

W więzieniu, podobnie jak w życiu, trzeba się nauczyć doceniać różne drobiazgi sprawiające człowiekowi przyjemność. Na przykład smugę światła słonecznego wpadającego popołudniami do korytarza. Radość z miękkich i ciepłych kapci na nogach. Rozkosz bryłki cukru rozplývającej się na języku. Czyjś uśmiech. Siedziałam nieruchomo, czekając, aż wróci mi jasność myśli. Wreszcie wyciągnęłam dokumenty spod siebie i zaczęłam czytać dalej, ale nie miałam już odwagi robić notatek. I jak poprzednio musiałam się co jakiś czas odrywać od lektury, żeby zaczerpnąć powietrza.

Strasznie długo to trwało, zanim wróciła Movita. Na mój widok rozdziawiła usta.

- Widzę, że przeczytałaś wszystko - rzekła.
- Owszem.
- Zapowiada się kiepsko, prawda?

Pokiwałam głową.

- Aż tak kiepsko, jak podejrzewałam?
- Nie. Znacznie gorzej.

18

Jennifer Spencer

Nastał kolejny dzień nudnej pracy w nieznośnie gorącej pralni. Trzeba było przetaczać niekończący się szereg wózków wyładowanych zapaskudzonymi prześcieradłami, zapleśniałymi ręcznikami i zapoconymi mundurami, wyładowywać je, sortować i pakować do bębnow olbrzymich pralek. Potem przenosić ciężkie kosze z mokrymi, parującymi rzeczami do suszarki, a w końcu przepuszczać je przez wielki przemysłowy magiel. Każdy kolejny etap wiązał się z dalszym skokowym wzrostem temperatury w pomieszczeniach, toteż wilgoć w powietrzu przemieniała się w istny tropikalny czyściec.

A wraz z podnoszeniem się temperatury narastała wściekłość Jennifer. Tom musiał znaleźć cholernie dobre wytłumaczenie, żeby mogła mu wybaczyć pobyt w tym piekle. Nadal powtarzała w myślach, że jej cierpienia wkrótce dobiegną końca, ale i tak trwało to za długo. Dlaczego? Co go powstrzymywało, do cholery? Czemu nie mogła się z nim nawet skontaktować? W ciągu ostatnich trzech dni dzwoniła trzykrotnie i za każdym razem łączyła się tylko z automatyczną sekretarką.

W miarę utraty sił podczas przenoszenia koszy wyładowanych gorącym i parującym praniem Jennifer słabła też psychicznie. Wracała myślami do niespodziewanej wizyty Len/ego Bena. Zastanawiała się, czy był tylko zdenerwowany i odznaczał się wrodzonym pesymizmem, czy też faktycznie próbował ją ostrzec i przygotować. Ale na co? Łzy spływały jej po policzkach wraz z kroplami potu i osiadającej pary. Posklejane włosy opadały kosmykami na oczy.

W trakcie przerwy popatrzyła na swoje ręce. Były już poobcierane i zaczerwienione od kontaktu z detergentami i żrącymi chemikaliami, ale przynajmniej zmył się w końcu czarny tusz z opuszków palców. W pewnym sensie nawet tego żałowała, gdyż przypominał jej, kim była przed przybyciem do zakładu. Zadawała sobie pytanie, ile czasu zajmie jej dłoniom powrót do pierwotnego wyglądu. Pęknięcia kiedyś musiały się zagoić, a zaczerwienienia zniknąć, nie miała jednak wątpliwości, że koszmar spędzonych za kratami dni i nocy na zawsze pozostanie w jej pamięci.

Mimo wysiłków nie mogła już sobie przypomnieć konkretnych przyczyn, dla których zgodziła się podjąć ryzyko. Nie potrafiła też obudzić w sobie dawnej wiary w zapewnienia Toma i Donalda, którzy tłumaczyli, że wszystko pójdzie jak po maśle. Co sprawiło, że była aż tak bardzo pewna siebie? Popatrzyła na Suki, która właśnie przekładała upraną bieliznę z wózka do suszarki. Zrobiło jej się tak smutno i tak bardzo żał samej siebie, że w zamyśleniu zaczęła wyłamywać sobie palce, mimowolnie muskając to miejsce, gdzie do niedawna nosiła zaręczynowy pierścionek od Toma.

- Hej, ty! Nowicjuszko! Obudź się i wracaj do roboty! - krzyknęła Flora.

Wyprostowała się, wzięła głębszy oddech, otarła łzy z twarzy i zabrała się do pracy. Znowu poczuła, że od oparów silnego wybielacza pieką ją oczy.

Tego wieczoru po powrocie do celi Suki wzięła ją za ręce, spojrzała głęboko w oczy i zapytała o powód płaczu w pralni.

- Chyba jestem uczulona na te środki piorące i wybielacze - odparła.

- Czyżby? A jakiego detergentu używałaś w domu?

Jennifer wstydziła się przyznać, że nie robiła własnoręcznie prania od ponad dziesięciu lat. Zdecydowanie łatwiej było jej rzucić winę na wybielacz. Nie miała zresztą ochoty przyznawać się do żadnej słabości, nawet przed Suki. Dlatego postanowiła na dobre zatrzaskać drzwi owej egzystencjalnej studni niepokoju, do której lada moment mogła runąć. Musiała na nowo uwierzyć w miłość Toma i szacunek Donalda. Nie miała nic innego, w co mogłaby jeszcze wierzyć. Ciężka harówka

w pralni miała jedną zaletę: dzięki niej twardo przesypiała całe noce.

Siedząca na krześle Suki lekko poklepywała się po brzuchu.

- Na pewno wszystko w porządku, Jenny? - zapytała.

- Tak - mruknęła Spencer od niechcienia.

Ostatnimi dniami znów nabrała wątpliwości, czy współlokatorka rzeczywiście jest w ciąży. Nic po niej nie było widać. Nie wykluczone, że rozpuszczała w grupie plotkę tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę.

- Zjadłyśmy dzisiaj ciężkostrawną i tłustą kolację - powiedziała Suki, przystępując do rozkładania pościeli na pryczy. - A ty?

Jennifer nie odpowiedziała. Nie chciała rozmawiać o kolacji. W ogóle nie miała ochoty otwierać ust. Odwróciła się plecami do blondynki i zapatrzyła na ścianę, żałując, że nie potrafi przewiercić wzrokiem tego ohydneho różowego betonu i sięgnąć aż do swojego przytulnego mieszkania. Ciekawe, w jaką ścianę wpatruje się teraz Tom, pomyślała.

- Przepraszam - szepnęła Suki - ale muszę skorzystać z toalety.

Tylko jęknęła z niechęcią. Chwilę później tamta zaczęła postękiwać, jakby ją przedrzeźniała. Jennifer zagryzła wargi i mimowolnie napięła wszystkie mięśnie, próbując opanować wzbierającą falę nudności. Z całej siły zacisnęła powieki, starając się nie zwracać uwagi na to, że Suki toczy ciężki bój z rozwolnieniem zaledwie pół metra od jej głowy. Obawiała się, że lada chwila i jej żołądek odmówi posłuszeństwa i zwróci całość więziennego żarcia, którym tak łakomie go napychała.

Dzwonek obwieszający ciszę nocną zlał się z odgłosem spuszczonej wody. Spencer z ulgą pograżyła się w ciemności, która pozwalała zapomnieć o otaczającym ją koszmarze. Żałowała tylko, że ostatnim widokiem przed oczyma jest jak zwykle odrażająca różowa ściana celi.

- Przepraszam - szepnęła Suki, wdrapując się na swoje wyko. - Śpij dobrze. Sen leczy wszystkie smutki.

- Naprawdę nic mi nie jest - zapewniła Jennifer. - Po prostu rusza mnie na widok tych przeklętych różowych ścian, nic więcej.

- Ja zawsze sobie wmawiam, że to kolor zachodzącego słońca.

Jennifer prychnęła pogardliwie.

- Dobre sobie! Ładny mi zachód!

Zamknęła oczy, próbując sobie wyobrazić błękit nieba. Już nie pamiętała, kiedy po raz ostatni na niego patrzyła. Jakimś sposobem od dawna nie miała na to czasu, kierowała wzrok to na ekran komputera, to znów na treść jakiejś notatki czy oferty handlowej.

Kiedy przewracała się na drugi bok i wyciągnęła przed siebie rękę, odniosła wrażenie, że nagle dotknęła czegoś ciepłego. To była dłoń innej osoby. Po chwili wydało jej się, że na całej długości ciała czuje ciepło bijące od leżącego obok człowieka.

- Przysuń się - szepnęła do Toma, jak zawsze wtedy, gdy razem kładli się do łóżka. - Bliżej.

Nie zdziwiła się nawet wówczas, kiedy odczuła wyraźnie przesuwanie się plażowego piasku pod kocem, gdy układała się na wznak.

- Zostań tak na całą noc - szepnęła, czując na sobie ciężar Toma i ciepło jego rąk na karku. Coś ścisnęło ją za gardło, nie pozwalając wydusić więcej ani słowa, więc dodała tylko w myślach: Zostań ze mną na zawsze.

- Zostanę na zawsze - odparł Tom.

Zaciekawilo ją, jakim sposobem odebrał jej myśli. Otworzyła oczy, on zaś powiedział:

- Spójrz. Już świta.

Dopiero wtedy przekonała się, że naprawdę leżą na plaży, a nad horyzontem poszerza się czerwony blask poprzedzający wschód słońca. Niebo dopiero zaczynało robić się granatowe. Przypomniała sobie, że są już po ślubie i spędzają właśnie miesiąc miodowy. Jak mogłam o tym zapomnieć? - zapytała w duchu, a leżący obok Tom zaśmiał się w głos. I wtedy uzmysłowiła sobie, że skoro jest mężatką i leży na karaibskiej plaży, to już nigdy nie będzie musiała z nikim rywalizować. Opłaciło jej się. Ciągłe starania o jak najlepsze oceny i stypendia, wysiłek włożony w pisanie pracy magisterskiej i noce spędzone nad dokumentami w biurze przyniosły wymierne korzyści. Patrzyła, jak oplatające ją ręce Toma, piasek plaży i brzeg ciepłego morza stopniowo wyłaniają się z mroku w blasku

wstającego dnia. To był najpiękniejszy świt, jaki w życiu widziała. Poczwała, jak serce w piersi bije jej coraz mocniej. Na zawsze uwolniła się od samotności i lęku. Miała wrażenie, że i jej duszę zalewa leniwa fala ciepłego morza, która zmywa ostatnie drobiny niepokoju. Była bezpieczna, kochana, była razem z umiłowanym mężczyzną.

Obudził ją raczej kwaśny odór wymiocin niż hałasy. Czuła go wszędzie, w ustach, nosie i gardle. Otworzyła oczy i uświadomiła sobie ze zgrozą, że wszystko było snem. Tom, piaseczysta plaża, ciepłe morze i poczucie bezpieczeństwa zniknęły bez śladu. Zamiast błękitu nieba miała nad sobą sprężyny górnej pryczy, a dwa metry od jej głowy Suki wydawała z siebie mrozące krew w żyłach odgłosy.

- Przepraszam, że cię obudziłam - mruknęła.

Jennifer wstrząsnął dreszcz. Na wpół przytomna po gwałtownym przebudzeniu nie potrafiła ocenić, co jest gorsze, utrata czułej bliskości Toma czy świadomość, że przebywa w więzieniu. Pragnęła jedynie zamknąć oczy i pograżyć się z powrotem we śnie o karaibskiej plaży. Chciała spędzić resztę życia w tym śnie.

- Wszystko w porządku? - zapytała Suki. - Chyba przez sen próbowałaś z kimś rozmawiać.

Zrozumiała, że próba powrotu do sennych marzeń nie ma sensu, ale rezygnacja z nich równała się wyzbyciu wszelkiej nadziei. Wykręciła szyję i spojrzała na wymęczoną blondynkę, która siedziała na podłodze przed klozetem.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytała Suki.

Zaprzeczyła ruchem głowy i ułożyła się z powrotem. W żadnym razie nie chciała dzielić się swoim snem. Pragnęła go przeżyć. Nie zaliczała się do nieoczytanych, głupich, wykorzystanych przez mężczyzn naiwniaczek. W przeciwieństwie do nich miała przed sobą przyszłość.

Suki podniosła się z podłogi.

- Moja babcia mówiła, że poprzez sny Bóg próbuje przekazać świadomości coś, o czym serce już wie - powiedziała, spuszczać wodę.

Jennifer nie zamierzała podtrzymywać rozmowy. Odwróciła się twarzą do ściany i naciągnęła koc na głowę. Ach, gdyby tylko mogła następnym razem otworzyć oczy, wyrzeć spod koca

i zobaczyć coś innego zamiast brudnoróżowej farby na nieotynkowanej betonowej ścianie celi. Dopadło ją straszliwe przeczucie, że już nigdy nie zdoła się tak pograżyć bez reszty w miłości Toma.

Zadzwoniła do niego następnego ranka, przed rozpoczęciem pracy w pralni, ale w domu nikt nie podnosił słuchawki. Pod numerem biurowym i komórki zgłaszała się jedynie automatyczna sekretarka. Przypomniała sobie, ile to razy wspólnie odczytywali z ekranu numer rozmówcy, krzywili się z niechęcią i nie odbierali. Nie mogą popadać w paranoję, doszła do wniosku. Zgodnie z mocnym postanowieniem przez cały dzień trzymała się w ryzach, a wieczorem znów postanowiła się z nim skontaktować. Musiała skorzystać z aparatu w świetlicy, gdzie jak zawsze trwało pandemium, ale i ona była nadzwyczaj podniecona. Bardzo pragnęła się z nim rozmówić. Musiała. I pragnęła też go zobaczyć. Serce biło jej mocniej, ilekroć wspominała swój sen. To było takie cudowne, kochać i być kochaną. Po przebudzeniu czuła się zwyczajnie porzucona. Aż pokręciła głową, chcąc się uwolnić od tego przerażającego wrażenia. W końcu Tom ani nie wylegiwał się obok niej na karaibskiej plaży, ani jej nie porzucił. Pracował nad tym, by ją uwolnić.

Kiedy nadeszła jej kolej, ponownie wybrała numer kancelarii. Tym razem się dodzwoniła, ale odebrała jakaś sekretarka, której nie znała po głosie.

- Proszę mnie połączyć z Tomem Branstonem - rzuciła ostro do słuchawki. - Mówi Jennifer.

Zdawała sobie sprawę, że kilka więźniarek przygląda jej się uważnie, nadstawiając ucha, uśmiechnęła się więc do nich i odwróciła twarzą do ściany. Ale gdy tylko ponownie odezwała się sekretarka, jej uśmiech błyskawicznie zniknął.

- Przykro mi. Nie może teraz podejść do telefonu.

- Co to znaczy, że nie może podejść?! Nie powiedziała mu pani, kto dzwoni?!

- Prosił, aby mu nie przeszkadzać. Może spróbuje pani trochę później.

- Nie będę mogła później zadzwonić! - rzuciła, mimowolnie podnosząc głos. - Siedzę w więzieniu, do jasnej cholery!

Z trzaskiem odwiesiła słuchawkę.

Spojrzała na zegar. Do końca przerwy obiadowej pozostały jeszcze trzy kwadranse, a ona koniecznie musi teraz usłyszeć głos Toma. Co więcej, bardzo potrzebowała dowodu, że on nadal istnieje, że w ogóle istnieje jeszcze coś na Zewnątrz. Spoglądała niepewnym wzrokiem na długą kolejkę do telefonu, kiedy usiadła przy niej Movita.

- Próbowałaś złapać adwokata czy swojego chłopaka? - odezwała się cicho.

Jennifer nie chciała jej niczego wyjaśniać. Tylko skinęła głową.

- Wiesz, co może zrobić gęś, czego kaczka nie potrafi, a każdy prawnik powinien? - zapytała Movita. Jennifer wrzuciła ramionami. - Wetknąć sobie rachunek do dupy.

Movita zaśmiała się w głos.

Ku swemu zaskoczeniu, Jennifer także zachichotała. Nie lubiła wulgarnych dowcipów, ale ten padł tak nieoczekiwanie, że zareagowała spontanicznie. Pomyślała, że nie zaszkodzi być miłym dla szefowej grupy, biorąc pod uwagę, że mogła szepnąć parę ciepłych słów naczelnicze.

- Widzę, że utknęłaś z kołami zagrzebanymi aż po osie - powiedziała Movita. - Co prawda ani nie prosiłaś o tę rozmowę, ani to nie moja sprawa, ale skoro już przy tym jesteśmy, to co dokładnie robiłaś na Wall Street? Grałaś na giełdzie czy jak?

- Zajmowałam się inwestycjami kapitałowymi.

- To znaczy?

- Pomagałam różnym firmom zdobywać fundusze na rozkręcenie albo poszerzenie działalności.

- Obojętne jakim firmom?

- Mniej więcej.

- To musiałaś się bardzo dużo uczyć o różnych firmach i różnych interesach.

Jennifer nie wyczuwała w tych pytaniach zaczepki. Wyglądało na to, że Watson jest faktycznie zainteresowana jej pracą. Nie miała jednak ochoty robić jej wykładu na temat obrotu akcjami, zasad gospodarki kapitalistycznej i amerykańskiego świata biznesu.

- Oczywiście nie wiem wszystkiego o różnych formach interesów - odparła. - Znam się tylko na szacowaniu wyników fi-

nansowych przedsiębiorstw, ocenie ich dotychczasowej działalności i perspektyw na przyszłość pod kątem zainteresowania inwestorów.

Movita spojrzała jej w oczy.

- I zazwyczaj się nie mylisz, prawda?

- Najczęściej - przyznała.

- Więc jak to się stało, że wylądowałaś tutaj?

Wzruszyła ramionami.

- Nikt nie chce tego zrozumieć. Nie powinnam się znaleźć w więzieniu.

Movita zaśmiała się krótko.

- To ty nie rozumiesz, skarbie. Żadna z nas nie powinna się tu znaleźć. Myślisz, że litościwy Bóg pragnie widzieć kobiety zamknięte za kratami?

- I nie pozwala im się widywać z dziećmi. Masz rację. Bardzo mi przykro.

W oczach Murzynki pojawiły się dzikie błyski. Szybko zacisnęła i rozwarła pięści, a jej ciałem wstrząsnął silny dreszcz.

- Zapomnij o tym, dobra? Byłaś dla mnie miła i ja to doceniam, ale nie przyjmuję gości i wcale się ich nie spodziewam. To spadło na mnie jak grom z jasnego nieba, i tyle. Więcej już się nie powtórzy.

- Przykro mi - powtórzyła Jennifer.

Nie zapraszała Movity, żeby usiadła przy niej, i teraz żałowała, że w ogóle doszło do tej rozmowy. Jeszcze raz popatrzyła na kolejkę do telefonu, uświadamiając sobie z żalem, że nie zdąży drugi raz zadzwonić przed końcem przerwy. Movita pochwyciła jej spojrzenie.

- Aż tak bardzo chcesz z nim porozmawiać? - zapytała.

Jennifer skinęła głową.

- No to chodź.

Wstała i ruszyła do automatu. Jennifer poszła za nią.

- Wybacz, Pearl - zwróciła się Movita do niskiej Latynoski, która stała pierwsza w kolejce. - Nie pozwoliłabyś tej Nowicjusze skorzystać z telefonu przed tobą? Zrób mi przysługę i ustąp jej, proszę.

Pearl zerknęła na Jennifer z ukosa.

- W porządku. Dla ciebie wszystko, Mo.

Skinęła głową i pośłała Movicie spojrzenie, którego znacze-

nia Jennifer nie potrafiła się domyślić. Kiedy wyszła z kolejki, Movita ruchem ręki kazała Jennifer zająć jej miejsce.

- Zaraz! Chwileczkę! - zaprotestowała starsza kobieta z długim siwym warkoczem stojąca tuż za nimi.

Movita błyskawicznie uniosła w górę dłoń z rozcapierzonymi palcami.

- Lepiej w ogóle się nie odzywaj, Helen. Mamy poważną sytuację. Zresztą przed minutą była przed tobą w kolejce jedna osoba i teraz też jest jedna. Czego się wściekasz? - Siwa otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz Movita znów ją powstrzymała ruchem ręki. - Prosiłam, żebyś się nie odzywała. Chciałabyś wykorzystać okazję, ale sama też bywałaś w podobnych sytuacjach. Więc teraz się zamknij.

Helen spuściła głowę. Jennifer zamierzała podziękować Movicie za wstawiennictwo, ale nie zdążyła, bo właśnie w tej chwili kobieta przed nią skończyła rozmowę i odwiesiła słuchawkę. Nie chcąc tracić ani sekundy, doskoczyła do automatu.

19

Movita Watson

Jeszcze przed „wypadkiem” moje stosunki z naczelniczką były, rzekłabym, dość interesujące. Nauczyłyśmy się pomagać sobie wzajemnie bez słów. Ona za bardzo przejmuję się drobiazgami i lubi robić wszystko ściśle według przepisów, ale trudno ją za to winić. Pewnie właśnie dlatego dostała tę robotę. W każdym razie ja robię dla niej jedno, ona dla mnie co innego. To bardzo dobry układ, nie tylko ze względu na korzyści, jakie stąd wynikają dla mnie i całej mojej grupy, ale także dlatego, że jestem ciągle zajęta i mam o czym myśleć. Bo najbardziej nie cierpię wolnego czasu, kiedy budzą się wspomnienia i odzywają obawy o przyszłość.

No więc naczelniczka bardzo wyraźnie dała mi do zrozumienia, że powinnam włączyć Jennifer Spencer do swojej grupy.

- Mogłabyś pomóc tej dziewczynie, Movita - powiedziała.

W pierwszej chwili pomyślałam: Mam to w dupie. Czemu miałabym pomagać jakiejś bogatej białej siksie? Niby z jakiego powodu, do cholery? Ale gdy się zastanowiłam, doszłam do wniosku, że chyba ma rację. Nie jestem bezwzględną samolubną zdzirą, a Jennifer pewnie mogłaby pomóc całej naszej grupie tak samo, jak my jej. Poza tym ma kupę forsy zdeponowanej w bufecie, przeznaczonej na żywność dla skazanych, które nie chcą korzystać ze stołówki. Oczywiście od samego początku spodziewałam się kłopotów ze strony Cher. Zaczęły się, ledwie poruszyłam ten temat.

Zdarzyło się to w dniu odwiedzin, kiedy wszystkie jesteśmy bardzo spięte, a szczególnie właśnie ona.

- Niby dlaczego, do cholery, miałybyśmy ją przygarnąć?! - wyskoczyła Cher, jak się tego obawiałam. - Nic dla nas nie zrobiła poza tym jednym prezentem z tubki pasty do zębów.

Malowała sobie paznokcie czerwoną kredką, co zawsze uważałam za przejaw głupoty.

- Przecież to ci zejdzie przy pierwszym myciu. Po co to robisz? - zapytałam.

- Żeby się czymś zająć.

- Nawet nie wygląda dobrze - mruknęłam.

Po części ją rozumiała. Nawet najgłupsze zajęcie, które pozwala zabić czas, jest coś warte. Na przykład Theresa z pasją układa dziecięce puzzle, a kiedy skończy, rozrzuca wszystkie kawałki i zaczyna od nowa. Ja bym zwariowała, ale ona chyba to lubi.

- No więc mówię, że wszystkie skorzystamy na obecności Jennifer w grupie i to jest wystarczający powód. To żadna zbrodnia być bogatym, Cher. I ty byś była bogata, gdyby cię nie zamknęli.

- Pewnie, że bym była - odparła Cher, wyciągając rękę, by z daleka ocenić swoje dzieło. Skrzywiła się i warknęła: - Kurwa. Rzeczywiście muszę zmyć to gównu.

- W każdym razie nic złego się nie stanie, jeśli ją zaprosimy, żeby się lepiej poznać.

- Ja już ją poznałam i nie jestem zainteresowana - burknęła Cher.

Spojrzałam na nią ostro, aż pospiesznie odwróciła wzrok.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteś zainteresowana, czy nie - odparłam. - Spencer wchodzi do grupy. Już poprosiłam Suki, żeby ją tu przyprowadziła dziś rano.

Cher wzruszyła ramionami. Nic nie powiedziała, ale widać było, że jest wściekła.

Wykombinowałam, że skoro ludzie z JRU chcą nam wleźć na głowę, co tak bardzo martwi naczelniczkę, nie zawadzi mieć pod ręką kogoś takiego jak Spencer. Poza tym dotarło do mnie, że gdy Cher wyjdzie, bo niewiele już miała do odsiadki, zostaniemy w grupie tylko we trzy: ja, Theresa i Suki. Pod tym względem powinnam być wdzięczna naczelniczce, że wpadła na pomysł włączenia Spencer. W końcu musiałam mieć kogoś bliskiego, z kim można pogadać.

Kiedy Suki przyprowadziła Jennifer, Cher wciąż się dąsała. Przyjrzałam się nowej po raz kolejny, myśląc, że ta bogata biała siksa nie będzie do nas pasować. I wtedy ona zapytała:

- Chciałaś ze mną rozmawiać, Movita?

Uśmiechnęła się przy tym tak słodko i przymilnie, że od razu odzyskałam nadzieję. Mimo wszystko miała szansę wpasować się do grupy. Aż biło od niej władzą. Naczelniczka bardzo potrzebowała kogoś takiego. Pomyślałam wtedy, że może przynajmniej w tym gronie ustawimy się jakoś, żeby cała ta afera z JRU nie wypadła dla nas najgorzej.

- Tak, jasne - odparłam swobodnym tonem. - Przyszło mi do głowy, że razem z Suki powinniśmy ci pomóc w przygotowaniach do odwiedzin.

Cher prychnęła pogardliwie, ale Suki aż pisnęła z radości.

- Pożyczę ci swoje lokówki, Jenny - zaproponowała od razu.

Nie wiem, czy Spencer choć trochę potrzebowała naszej pomocy, ale przynajmniej nie odmówiła. Pewnie uznała, że to coś w rodzaju inicjacji. W każdym razie atmosfera szybko się rozluźniła, dołączyła do nas Theresa i po jakimś czasie, wypełnionym pogaduszkami, żartami i śmiechami, nasza nowa koleżanka była już gotowa na spotkanie ze swoim gościem.

- Gotowe. Wyglądasz naprawdę wspaniale - powiedziała Suki.

Mało nie parsknęłam śmiechem, kiedy ta bogata biała naiwniaczka wzięła lusterko i zaczęła się przeglądać. Ani trochę nie wyglądała wspaniale. Przypominała tanią dziwkę. Po działalności Suki każde pasemko jej ciemnych prostych jedwabistych włosów było skręcone i postrzępione jak w starym zużytym brudnym mopie do podłogi. Ale Spencer nie odezwała się ani słowem.

- Wspaniale, prawda? - dopytywała się Suki.

- O, tak - przyznała Jennifer.

- To jeszcze nie wszystko - wtrąciła Theresa. - Spójrz, co mam dla ciebie. - Podetknęła jej pod nos trzymane w garści małe pudełeczko z maścią przeciwbólową, ale Spencer tylko przyglądała jej się jak urzeczona. - Otwórz - zachęciła LaBianco, lecz musiała to sama zrobić. Maść była zabarwiona na czerwono. - „Purpura ceglana” - obwieściła dumnie, pospiesznie barwiąc nią wargi Jennifer. - Chcesz trochę na policzki?

- Nie, dziękuję. - Spencer wstała szybko, zanim Suki zdążyła się znowu zbliżyć.

Byłam przekonana, że nie chce ścierać „szminki” na oczach Theresy, bo nie ulegało wątpliwości, iż pragnie jak najszybciej pozbyć się maści z warg.

- Kurczę... Chciałabym, żeby i mnie ktoś odwiedził - mruknęła Suki. - Choćby i adwokat. Cher zna kilku przystojnych adwokatów.

- To nie tylko mój adwokat, ale również i narzeczonego - wyjaśniła Jennifer.

- O rety! A on wie o tym, że masz chłopaka?

- Lenny nie jest moim chłopakiem - powtórzyła Spencer z naciskiem, rozglądając się dookoła, jakby szukała u nas pomocy.

- Zaraz. Już wiem! - ciągnęła Suki. - Więc twój księgowy wcale nie jest twoim chłopakiem, za to adwokat jest narzeczonego. - Pokręciła głową. - A mówią, że jestem głupia.

Wszystkie wybuchnęłyśmy gromkim śmiechem, nawet Cher.

- Przydałoby się trochę tuszu do rzęs - oceniła Suki.

- Zdaje się, że Cher ma tusz - odparła Theresa.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Cher.

- Bo widziałam na korytarzu Dianę z bloku C. Była już wystrojona na odwiedzinę, ale tym razem nie miała makijażu. I pomyślałam, że musiałas zajrzeć do jej domu, zanim zdążyła się umalować.

Cher zaśmiała się złowieszczo i szybko wyciągnęła spod pryczy pudełko.

- Odsuńcie się, dziewczyny, teraz moja kolej pomóc naszej nowicjusze.

Okazało się, że pudełko jest wypełnione po brzegi kradzionymi przez nią kosmetykami. Pokręciłam głową na ten widok i powiedziałam:

- Któregoś dnia znowu wpadniesz i za kradzież tego główna cofną ci możliwość zwolnienia warunkowego.

Nikt jednak nie zwrócił na mnie uwagi. Chyba wszystkie były o wiele bardziej przejęte tym, jak Cher zamierza umalować Jennifer oczy. Nie wpłynęło to jednak na zmianę pogodnego nastroju. Chyba w ogólnym odczuciu Spencer stała się już jedną z nas.

20

Jennifer Spencer

Jennifer pobiegła do swojej celi, żeby dokładnie przejrzeć się w lustrze. Tom lada moment miał przyjechać z wizytą. Mogła mu się tak pokazać? Już samo to pytanie wydało jej się śmieszne. Bo i jak miała dobrze wyglądać w tym przeklętym więziennym kombinezonie, z poskręcanyimi i natapirowanyimi włosami, „purpurą ceglana” na wargach i rzęsami tak mocno posklejanymi tuszem, że pewnie mogłaby zakasować borsuka? Tomowi zapewne jej wygląd nasunie skojarzenie z białą ubogą hołotą. Niemniej cieszyła się z włączenia do grupy. Ukradkiem starła pospiesznie wierzchem dłoni czerwoną maść z ust. Nie chciała przecież, żeby Tom - dobrze wychowany, pochodzący z arystokratycznej rodziny, uważający więzienie za ośrodek wypoczynkowy - przestał ją kochać już po pierwszym widzeniu.

Na pewno wciąż ją kochał. Wzięła głębszy oddech, zmuszając się do tego, aby myśleć pozytywnie. Bardzo ją kochał i wbrew śmiesznym ostrzeżeniom Lenn/ego razem z Donaldem Michaelsem zamierzał uczynić wszystko, co tylko w jego mocy, żeby jak najszybciej wyciągnąć ją z tej nory. Na pewno chciał przywrócić jej godność, skoro mieli się pobrać.

Weszła do poczekalni sali odwiedzin dokładnie w chwili, kiedy strażnik wywoływał:

- Brainard, Jackson, LaBianco i Spencer. Macie gości.

Dopadła drzwi tuż za Theresa i aż wspięła się na palce, by ponad jej ramieniem wypatrzeć na sali Toma. Po raz kolejny przytłoczyła ją panujący tu zgiełk, zaduch i nerwowa atmosfera.

- Upiekłam dla ciebie najlepszy placek z kurczakiem! - krzyknęła nadbiegająca kobieta, która niemal rzuciła się na La-Bianco i powitała ją w niedźwiedzim uścisku.

Jennifer owionął intensywny mdlący zapach tanich perfum. Przecisnęła się obok Theresy i wiszącej na niej specjalistki od placków z kurczakiem - bodajże jej siostry Thelmy - i wyszła na środek sali, żeby odszukać przy którymś ze stolików swojego narzeczonego. Wszędzie dokoła małe dzieci kurczowo obejmowały matki za szyję, podczas gdy opiekunki usiłowały nad ich głowami przekazać najświeższe wiadomości, przekrzykując się nawzajem. Na pierwszy rzut oka na sali nie było ani jednego mężczyzny, jeśli nie liczyć sterczącego w rogu Byrda, który łytał groźnym okiem na tłum odwiedzających. Nawet strażniczki od niego stroniły i trzymały się razem w drugim końcu pomieszczenia.

Nagle kątem oka dostrzegła granatową marynarkę eleganckiego garnituru z salonu braci Brooks. Ruszyła biegiem w tamtą stronę i zarzuciła Tomowi rękę na szyję.

- Och, Tom... - jęknęła słabnącym głosem.

Jeszcze nie mogła uwierzyć, że naprawdę do niej przyjechał. Podejrzewała, że to następny sen. A jeśli tak, to nie daj mi się, Panie Boże, obudzić, myślała.

- Jennifer, najdroższa. Niech ci się przyjrze.

Wyśliznął się z jej uścisku, odsunął ją na wyciągnięcie rąk i obrzucił krytycznym spojrzeniem. Zauważyła, że jego wzrok trochę dłużej spoczął na niezwyklej fryzurze. Pospieszenie przygładziła ręką włosy, choć zapewne niewiele to pomogło.

- Aż serce mi się kraje, kiedy cię widzę w tym otoczeniu, skarbie - powiedział. - Ale wyglądasz... dobrze. Jak was tu karmią?

- Daj spokój, Tom. Jakie to ma znaczenie? Co się dzieje? Kiedy mnie wreszcie stąd wyciągniesz?

- Cały czas nad tym pracujemy.

Wziął ją za rękę. Od razu przypomniała sobie, jakie to wspaniałe uczucie, kiedy się czuje dotyk jego palców. Miała straszną ochotę całować go niemal bez końca. Żałowała, że nie mogą się znaleźć w jakimś ustronnym miejscu. Ale przede wszystkim pragnęła, aby mówił jej o swojej miłości, planowanym ślubie

i wspólnej przyszłości. W ogóle nie chciała rozmawiać na temat komplikacji prawnych.

- Wiemy już, który sędzia zajmie się twoją sprawą - rzekł, kiedy tylko usiedli przy stoliku. - Nie pali się specjalnie do przestrzegania ostatnich populistycznych zarządzeń gubernatora, a to oznacza...

- Że nie będzie drugiej rozprawy - wpadła mu w słowo. - Tylko rewizja wyroku i uniewinnienie, zgadza się? I wtedy wreszcie mnie stąd wypuszczą?

- No, wiesz... - Znów sięgnął po jej dłoń i delikatnie zacisnął na niej palce.

- Co znowu?

- To nie jest takie proste. Biuro prokuratora okręgowego... robi trudności.

- Jakie trudności? - Czuła, że serce zaczyna jej szybciej bić. - Tom, nie masz nawet pojęcia, jak tu jest. Nie mogę... - Urwała, uświadomiwszy sobie, że lada moment nie zdoła już powstrzymać łez. Zaczerpnęła głęboko powietrza. Jak miała mu przybliżyć ten koszmar, w którym się znalazła?

- Posłuchaj. Jesteśmy przekonani, że tym razem sędzia weźmie naszą stronę - rzekł z naciskiem.

Ale Jennifer nie była przekonana.

- Co robicie, żeby mieć pewność, Tom? Naprawdę musicie mnie stąd wyciągnąć! - Usłyszała w swoim głosie pierwsze nuty hysterii.

- Uspokój się, skarbie - rzekł, patrząc jej w oczy. - Teraz to najważniejsze. Bez względu na wszystko musisz zachować spokój, stać się wzorową skazaną. Zachowuj się jak dama, a my już odwalimy za ciebie całą brudną robotę.

Spróbowała się zdobyć na uśmiech.

- Myślisz, że tutaj można się zachowywać jak dama?

- Och, maleńka... - Pochylił się nisko nad stołem i ciągnął półgłosem: - Przecież wiesz, że cały czas możesz liczyć na poparcie Donalda. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie pieniądze przeznaczył na to, żeby ci pomóc. Mamy po naszej stronie już nie tylko Howarda McBane'a, pół kancelarii Swithmore'a wystawia rachunki za pracę nad tą sprawą. Znasz Donalda, on nigdy nie uznaje odmowy jego prośbie. Dlatego posiedź jeszcze

trochę cicho, a gdy wszystko dobiegnie końca, zostaniesz w firmie najważniejszą po nim osobą.

Utkwiła wzrok w jego twarzy, próbując obudzić w sobie nadzieję, że faktycznie tym razem wszystko się dobrze skończy.

- Ile to jeszcze potrwa? - zapytała w końcu.
- Najwyżej miesiąc.
- Na pewno?
- Zaufaj mi.

Unióśł się z krzesła i czule cmoknął ją w czoło, po czym wyciągnął z kieszeni notatnik.

- Teraz powiedz mi, czego potrzebujesz. Zadbam, żebyś to niezwłocznie dostała.

- Czego potrzebuję? - powtórzyła, rozzłoszczona jego rzeczowym podejściem. - Przede wszystkim świeżego powietrza i tego, żebyś mnie stąd wyciągnął, do cholery.

Machnął lekceważąco ręką, westchnął głośno i rzekł, cedząc słowa, jakby tłumaczył coś dziecku:

- Daj spokój. Przejdźmy do rzeczy. Myślisz, że sprawia mi przyjemność poświęcanie sobotniego przedpołudnia na wizytę w więzieniu? Nieraz o tym rozmawialiśmy, Jennifer. Co jeszcze chcesz ode mnie usłyszeć?

Kiedy znowu uniosła wzrok, uświadomiła sobie z przerażeniem, że zmienił się nie tylko ton jego głosu, ale także spojrzenie, dystans, z jakim pocałował ją w czoło...

- Czy ty mnie jeszcze kochasz, Tom? - zapytała nagle, gdyż coś jej podpowiedziało, że powinna o to spytać, ponieważ ich wzajemne stosunki rzeczywiście się zmieniły. Była jednak pewna, że serce jej pęknie, jeśli w odpowiedzi usłyszy zaprzeczenie.

Przygryzł wargi i uciekł spojrzeniem w bok.

- Tak, oczywiście. Tyle że...

Mimo że zawiesił głos, miała wrażenie, że cały świat wali jej się na głowę.

- Wiesz, jak bardzo się o ciebie martwię, Jennifer - podjął po chwili. - Ale w tych okolicznościach... No cóż, znasz moją rodzinę. Wiesz, jak bardzo byłaby niezadowolona, gdyby się rozeszło, że pozostaję w bliskim związku... ze skazaną...

- Czyś ty oszalał? - syknęła. - Jak śmiesz nazywać mnie skazaną? Gdybym się nie zgodziła wziąć winy na siebie, to sam wylądowałbyś w więzieniu razem z Donaldem.

- Wiesz, że to nieprawda, Jennifer - odparł głosem pełnym napięcia. - Jako twój adwokat szczerze ci radzę, abyś nigdy tego nie powtarzała. - Spuścił głowę i popatrzył na nią spod przymrużonych powiek. - I jako twój adwokat wyznam szczerze, że będzie lepiej dla nas obojga zakończyć nasz związek. Kiedy wrzawa przycichnie, między nami wszystko też wróci do normy, ale na razie to chyba nie najlepszy pomysł...

- Jak mam to rozumieć? - zapytała ostro, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Chcę zwrócić pierścionek jubilerowi. Złożę krótkie oświadczenie do prasy, że za obopólną zgodą zerwaliśmy zaręczyny, ale pozostaję twoim bliskim przyjacielem i będę występował w twojej sprawie aż do końca.

- Chcesz zwrócić pierścionek? - powtórzyła, jakby chodziło jej wyłącznie o cenną sztukę biżuterii.

- Naprawdę tak będzie najlepiej. Musisz się teraz skupić na swojej apelacji. Zbędne ci są kłopoty sercowe...

- Ależ Tom! Właśnie teraz jesteś mi najbardziej potrzebny! - Jęknęła, z trudem powstrzymując łzy cisnące się do oczu. - Potrzebna mi twoja miłość, twoje wsparcie! Nie masz prawa mnie teraz porzucić!

- Z mojego punktu widzenia to nie jest żadne porzucenie. Nadal będę twoim adwokatem. Ale spróbuj mnie jednak zrozumieć, Jennifer. Pomyśl o mojej pozycji, reputacji...

- Twojej reputacji? Przecież to mnie ją zawdzięczasz. Gdyby nie moje transakcje, do dzisiaj byłbyś nikim. Bo byłeś nikim, kiedy cię poznałam! A teraz masz czelność zostawić mnie na pastwę losu? Tylko ostatni tchórz tak postępuje!

- Przemawia przez ciebie złość. Chyba lepiej, jak już sobie pójdę - wycedził oschłym, rzeczowym tonem prawnika. - Wkrótce się z tobą skontaktuję, żeby porozmawiać o twojej sprawie. Naprawdę się o ciebie martwię, Jennifer. Niewykluczone jednak...

- Nie wierzę własnym uszom! - przerwała mu. - Jeśli naprawdę ze mną zerwiesz, Tom, przysięgam, że...

Urwała nagle, uświadomiwszy sobie, że nie może mu nijak zagrozić, bo nie ma żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Ale niezależnie od wszystkiego wciąż potrzebowała jego fachowej pomocy, był jej jedynym atutem. Nawet teraz, gdy potraktował

ją jak wycieraczkę przed drzwiami, nie miała szans się bronić. Poczowała się tak bezradna, że zapragnęła rzucić się na niego, skoczyć mu z pazurami do oczu albo jak dziecko rozciągnąć się na podłodze, kopać i wrzeszczeć na cały głos. Opanowała się jednak, w głębi duszy mając nadzieję, że lada chwila serce przestanie jej bić. Ale nad nim też nie miała żadnej władzy.

- Jeśli nawet w tym momencie przychodzi ci to z trudem, Jennifer, to jednak musisz wciąż wierzyć, że wszystko skończy się dobrze. O nic się nie martw - powiedział.

Zaśmiałaaby mu się w głos, gdyby tylko była do tego zdolna.

- Nic już nie może skończyć się dobrze - wycodziła.

A potem zdzieliła go po twarzy, mocno, aż głośno klasnęła.

Błyskawicznie uniósł rękę do policzka.

- Przepraszam - mruknął, jakby to cokolwiek oznaczało albo mogło jej choć trochę pomóc.

Wstał i ruszył do wyjścia. Odprowadziła wściekłym spojrzeniem tego wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, który w wyraźnym pośpiechu przeciskał się do drzwi.

Po chwili zniknął jej z oczu. Po prostu zniknął.

Do tej pory myślała, że przeszła najgorsze podczas nocy spędzonej na obserwacji i pierwszego posiłku w stołówce, ale dopiero teraz pograżyła się w najczarniejszej otchłani rozpacz, o której istnieniu dotąd nie wiedziała i której nie życzyłaby nawet najgorszemu wrogowi, jakim obecnie stał się dla niej Tom.

Część druga

21

Cher McInnery

Kiedy złudzenia Spencer ostatecznie prysły, spłynęły jak rozbite żółtko jajka roztrzaskanego o ścianę kurnika.

Cher także przebywała w sali odwiedzin i rozmawiała ze swoim adwokatem, gdy Jennifer poderwała się z krzesła i zdzieliła swego gościa po pysku. Odgłos uderzenia rozległ się głośnym echem, aż na krótko umilkły rozmowy przy wszystkich stolikach. Kończyła już omawianie spraw ze swoim nowym obrońcą, toteż pochyliła się szybko i szepnęła:

- Dość na dzisiaj.

Nie chciała, żeby ominął ją najlepszy ubaw. Wstała szybko i ze swego miejsca popatrzyła na Spencer. Wolała nie podchodzić bliżej, gdyż wiedziała z doświadczenia, że jeśli ktoś sięga po ciężką artylerię, to nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie.

Ale Jennifer nie zamierzała dalej atakować. Po wyjściu adwokata spokojnie wstała i wyszła z sali. Cher przemknęło przez myśl, że tym razem instynkt ją zawiódł i ta biedna zdzira tylko po kryjomu wypłacze się w poduszkę. Ruszyła za nią do wyjścia i ujrzała rozczarowana, że Spencer kieruje się do swojej celi. Omijała ją zatem okazja, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Zajęła jednak stanowisko obserwacyjne w korytarzu i postanowiła zaczekać. Jak można się było spodziewać, po paru sekundach Jennifer znowu wyszła, z mętnym wzrokiem, błada jak ściana, i poszła do świetlicy. Cher uśmiechnęła się do siebie. A jednak miała rację. Szykowała się grubsza afera.

Stała w drzwiach i obserwowała Jennifer, która podeszła do automatów telefonicznych i przez chwilę spoglądała na nie

w zamyśleniu. Wreszcie gwałtownym ruchem podniosła słuchawkę i wybrała numer. Cher zbliżyła się nieco.

- Poproszę z Donaldem Michaelsem - rzuciła ostro nowicjuszka.

Matko Boska! Michaels był przecież jednym z najważniejszych ludzi na Wall Street. Był chyba nawet ważniejszy od Trampa, jak również od Milkena. Czyżby to właśnie z nim robiła interesy ta siksa?

Cher niecierpliwiła się na równi z Jennifer. W końcu usłyszała:

- Centrala! Proszę powiedzieć sekretarce, że chodzi o bardzo ważną sprawę. Musi przyjąć rozmowę na koszt abonenta i mnie wysłuchać. Proszę jej przekazać, że dzwoni Jennifer Spencer.

Znów zapadło milczenie. Jeśli nawet pozornie nic się nie działo na drugim końcu linii telefonicznej, to w oczach nowicjuszki można było wyczytać objawy gigantycznego krachu. Jennifer zaczęła nagle dygotać, aż chwyciła się aparatu, żeby ustać na nogach. Głową zaśłaniała ekran, lecz chyba w ogóle nie słyszała nasilających się protestów kobiet oglądających telewizję i nie zwracała uwagi na inne, stojące w kolejce do automatu. Cher uśmiechała się szeroko, bo okrzyki na sali przybierały coraz ostrzejszą formę. Nie ulegało wątpliwości, że nowicjuszka lada moment straci panowanie nad sobą. Wreszcie jedna z kobiet wstała i ruszyła w jej kierunku, żeby odciągnąć ją sprzed ekranu.

I wtedy Jennifer ruszyła do akcji. Z trzaskiem odwiesiła słuchawkę na widełki, chwyciła stojące najbliżej krzesło i z siłą, o którą trudno byłoby ją podejrzewać, cisnęła nim przez całą salę. Walnęło w przeciwległą ścianę tuż poniżej zegara. Co najmniej połowa więźniarek poderwała się z miejsc, zanim jeszcze spadło na podłogę. Spencer także nie zwlekała. W trzech długich susach dopadła stolika, przy którym siedziały Flora z Gloria, i jednym zamaszystym ruchem zrzuciła układane przez nie puzzle. Kawałki rozsypały się po podłodze. Gloria pisnęła przeraźliwie, a Flora błyskawicznie zsunęła się z krzesła i dała nura pod sąsiedni stolik. Cher ledwie się mogła powstrzymać od głośnego śmiechu. Zawsze gardziła wariatkami zabijającymi

czas tym bezproduktywnym zajęciem. O wiele bardziej interesująca dla niej była reakcja nowicjuszki.

W tym czasie więźniarki o trzycyfrowym ilorazie inteligencji zdążyły już czmychnąć z sali. Tylko te mniej rozgarnięte dopytywały się jeszcze głośno:

- Hej! Co jest, do kur...?

Cher doszła do wniosku, że lepiej będzie trzymać się z dala od świetlicy, bo nawet podejrzenie o udział w zadymie mogłoby przekreślić jej zwolnienie warunkowe. Zanim jednak zdążyła wyjść na korytarz, w drzwiach pojawiła się reszta grupy.

- Co tu się dzieje? - zapytała Movita.

- Wygląda na to, że twoja nowa koleżanka szykuje się do wysyłki - odparła Cher, z trudem powstrzymując się od pogardliwego prychnięcia.

Ze świetlicy dobiegały coraz silniejsze hałasy. Spencer ciaskała wszystkim, co jej wpadło w ręce: krzesłami, gazetami, kartami do gry, książkami. Banknoty do gry w monopol utworzyły w powietrzu gęsty biały obłok, kostki od scrabble'a z trzaskiem odbiły się od szyby okna.

- O, kurwa! - syknęła Movita.

Cher nie mogła uwierzyć własnym uszom. Nie podejrzewała nawet, że szefowa aż tak bardzo bierze sobie do serca los nowicjuszki. Z głębi korytarza dolatywały już szybkie kroki nadbiegających strażników. Do cholery, pomyślała, za minutę pozamykają nas wszystkie w celach.

Podbiegła do nich Suki.

- Byrd, Camry i Rodriguez prowadzą tu całą watahę klawisz! - wyrzuciła z siebie zadyszana, po czym zaczęła podskakiwać jak marionetka na gumce, pragnąc nad ramieniem Cher zajrzeć do świetlicy. - O, w mordę! To Jenny!

Zaczęła się przepychać do sali, ale Movita złapała ją za rękę.

- Zostaw.

Tymczasem w świetlicy Jennifer przewróciła już ostatni stół. Theresa szybkim spojrzeniem obrzuciła pobojowisko, pokręciła głową i cofnęła się od drzwi.

- Nie wiesz, co ją ugryzło? - Movita zwróciła się do Cher.

Ta wzruszyła ramionami.

- Jej adwokat przyjechał ze złymi wiadomościami.

- Tom? Jej narzeczony? - wtrąciła Suki.

- Szlag by to trafił - mruknęła Watson.
- A czego dobrego można się spodziewać po facetach? - skomentowała Cher, naśladując latynoski akcent.
- Każdy musi jakoś wyładować złość - zauważyła Theresa - ale trzeba to robić w sposób pozytywny, a nie tak.
- Bardzo dziękujemy, doktor Lauro - burknęła kwaśno Movita, a Cher zachichotała.

Ustał hałas wywracanych mebli i chwilę później ze świetlicy doleciało dzikie, nieludzkie, mrozące krew w żyłach wycie. Nie było wątpliwości, że Spencer przechodzi całkowite załamanie nerwowe. Rzuciła się na podłogę i zaczęła tarzać. Jej przenikliwe wrzaski mieszały się z podniesionymi głosami ludzi dyskutujących zaciekle w telewizji. Watson i reszta grupy wciąż stała w drzwiach, kiedy obok nich przycisnęła się Carolyn Weltz, jed-
na z neofitek, uklękła przy Jennifer i zaczęła głośną modlitwę:

- Pan jest pasterzem moim...

Cher uśmiechnęła się szeroko, ujrawszy, że Spencer odskoczyła od niej niczym przerażony kot, który znalazł wyjście z ciemnej piwnicy.

W tej samej chwili tłum w przejściu zaczęli rozpychać strażnicy w grubych żółtych gumowych rękawicach, plastikowych napierśnikach i kaskach z pleksiglasowymi osłonami na oczy. Byli zabezpieczeni nie tylko przed ciosami, lecz również przed kontaktem z krwią, śliną czy potem. Cher pomyślała, że środki ostrożności mogą im się tym razem przydać. Po nowicjusze można się było spodziewać, że zacznie gryźć, choć prawdopodobnie jej ślina nie przedstawiała żadnego zagrożenia dla Byrda i całej reszty podobnych do niego sukinsynów. Dla efektu została także włączona syrena alarmowa. Klawisze błyskawicznie otoczyli Jennifer i choć dziko wierzgała, kopała i rzeczywiście próbowała gryźć, Byrd z wprawą brutalnie wykręcił jej ręce na plecy. Z całej siły przycisnął ją kolanami do podłogi na czas krępowania elastycznymi plastikowymi kajdankami. Ale nowicjuszka nawet przez chwilę nie przestała wyć. Kiedy postawili ją na nogi, znowu rzuciła się na podłogę. Dwóch strażników musiało ją dźwignąć pod ręce i wywlec z sali, nie zważając na jej wrzaski, szloch i żądania rozmowy z naczelniczką.

- Zamykamy cele! - obwieścił Camry. - No, już! Ruszać się! Nie ma tu nic do oglądania!

Cher nawet by się specjalnie nie zdziwiła, gdyby Spencer zaczęła toczyć pianę z ust jak stara Betty, która zaraziła się wściekłą i ojciec musiał ją w końcu zastrzelić.

- Rety, teraz dopiero narobiła sobie kłopotów - powiedziała Suki.

- I ty ich sobie narobisz, jak nie znajdziesz się w celi za czterdzieści sekund - odparła Movita. - Rusz się wreszcie, Cher.

- Zamykamy! - rozległ się ponownie okrzyk, który chwilę później powtórzono przez megafony.

Więźniarki jak stado posłusznych owieczek ruszyły truchtem do swoich domów.

Cher wołała nie mówić tego głośno przy Movicie, lecz rzeczywiście była pod wrażeniem zachowania nowicjuszki. Aż czterech strażników musiało ją nieść korytarzem, i wcale im to łatwo nie szło. A jeszcze to wycie! Spencer śmiało mogła się najać do załogi ambulansu z zepsutą syreną. Odnosiło się wrażenie, że wyje nawet bez krótkiej przerwy dla zaczerpnięcia oddechu.

Harding czekała w przejściu, tuż za kratami oddzielającymi ich blok.

- Wracać do swoich domów! Wracać do domów! - nawoływał ciągle Camry.

Cher wołała się nie narażać. Już tak mało dzieliło ją od zwolnienia warunkowego, że nie chciała podejmować żadnego ryzyka. Ale bardzo pragnęła także zobaczyć, co będzie, kiedy Spencer stanie przed naczelniczką. Zastanawiała się jednocześnie, czy ma ona coś wartościowego, co można by zwędzić w trakcie jej pobytu w karcerze. Nadarzała się ku temu wymienita okazja, gdyż Spencer bez wątplenia musiała wylądować w izolatce co najmniej na dwie doby, a pewnie nawet dłużej.

Kobiety wokół niej pospiesznie zdążyły do swoich domów, ona jednak starała się iść jak najwolniej. Obserwowała, jak strażnicy wynoszą nowicjuszkę z bloku i skracają w stronę naczelniczki, która stanowczo rozkazała postawić skazaną na nogi. Nie bez wysiłku udało im się tego dokonać, choć tak mocno trzymali ją pod ręce, że Jennifer ledwie dotykała stopami podłogi. Cher weszła do celi, która na szczęście znajdowała się przy końcu bloku, i stanęła tuż za kratą. Ciekawa była, czy

Gwen nie wybuchnie złością, ale stara w pełni nad sobą panować. Wycedziła ze spokojem:

- Jest pani skazaną przebywającą w zakładzie karnym Jenningsa dla kobiet, panno Spencer. Czy może pani pohamować swoje emocje?

Jennifer bąknęła coś pod nosem, czego Cher nie zrozumiała.

- Koniec przedstawienia! - zawołał Camry, uruchamiając elektryczny mechanizm zamykania krat.

Dla Cher wcale to jednak nie był koniec przedstawienia, skoro nie słyszała jeszcze wystąpień obu gwiazd. Rozejrzała się popieszczy, gdyż nawet wychylenie nosa z celi po ogłoszeniu zamykania stanowiło poważne wykroczenie.

Ostrożnie zerknęła zza krat. Jak można się było spodziewać, Camry nie zwracał na nią uwagi, gdyż był pogrążony w rozmowie z Suki. Cher osłoniła dłonią ucho, co jednak okazało się zbyteczne. Wyraźnie dotarł do niej głos naczelniczki:

- Celem pani pobytu w zakładzie jest odbycie kary za popełnione przestępstwa, dlatego pod żadnym pozorem nie możemy tolerować takiego zachowania zarówno pani, jak i którejkolwiek ze skazanych. Czy to jasne, panno Spencer?

- Tak.

Jennifer odpowiedziała dość głośno, na tyle pewnym tonem, że stało się jasne, iż nie będzie więcej żadnego kung fu. Rozczarowana Cher westchnęła. Niemniej była świadkiem imponującego występu. W duchu przyznała rację Movicie: Spencer okazała się znacznie twardsza, niż tego oczekiwały.

- Zostanie pani obciążona finansowo za wszelkie szkody, jakie z pani przyczyny odniosło mienie państwowe - powiedziała Harding. - A w dodatku spędzi pani dwie doby na osobności w karcerze.

22

Jennifer Spencer

- Odsuń się, Spencer.

Jennifer, która leżała na betonowej posadzce przy drzwiach, nawet się nie poruszyła.

- Powiedziałem: do tyłu! - padło głośniej. - Bo inaczej sam cię odsunę!

Zabrzmiało to na tyle groźnie, że mimo przytłaczającej senności Jennifer z trudem usiadła, potem klęknęła, wreszcie wstała i przeszła w odległy kąt celi.

- To rozumiem - odezwał się strażnik przez drzwi. - Grzeczna dziewczynka.

Dopiero teraz rozpoznała głos Byrda. Poprzez mgłę ospałości dotarło do niej, że brzmi jak zwykle wyzywająco.

- Uważaj na swoją dziurę, Spencer. Zaraz ci coś do niej włożę - rzucił, siląc się na kiepski dowcip.

Stuknęła odchylana klapka w dole drzwi zasłaniająca kilkucentymetrową szczelinę nad podłogą i do środka wsunęła się taca. Jennifer zdawała sobie sprawę, że ma pusty żołądek, lecz w ogóle nie odczuwała głodu. Na dłużej zasnęła czy raczej straciła przytomność z wycieńczenia na gołej cementowej podłodze i teraz nie potrafiła ocenić, ile czasu minęło. Bolały ją wszystkie mięśnie karku i pleców, a prawa noga piekła boleśnie powyżej kolana. Ostrożnie przesunęła dłońią po udzie. Czyżby zraniła się podczas szamotaniny ze strażnikami?

Nie mogła sobie przypomnieć, co się wydarzyło po telefonie do Donalda. Pamiętała jednak, że dziko wyła z wściekłości i rozpacz, a potem, zagubiona i zdezorientowana, zapadła

w sen. Chciałaby się dowiedzieć, która godzina. Zrobiła niepewnie krok w stronę tacy, pomyślawszy, że po jej zawartości zdoła rozpoznać, jaki to rodzaj posiłku. Ale nic to nie dało, równie dobrze mógł to być lunch, jak obiad albo nawet nowy typ papki na śniadanie. Na tacy nie było żadnych naczyń. Miała dwa wytłoczone zagłębienia, z których jedno wypełniała jakaś brunatna pasta, a w drugim znajdowała się zielonkawa masa słabo kojarząca się z surówką. Usłyszała przez drzwi kroki odalającego się Byrda, toteż zawołała:

- Która godzina?

- Nie wolno mi z tobą rozmawiać, chyba że ci się tam podobają i chcesz zostać dłużej. - Zaśmiał się krótko i odszedł.

Rozejrzała się po celi. Nie wpadał tu nawet promyk dziennego światła, nie było zegara, nie ogłaszano ciszy nocnej ani pobudki. Znajdowała się w karcerze umiejscowionym w podziemiach zakładu Jenningsa i zalewanym przez całą dobę bezlitosnym blaskiem jarzeniówek. Mimo woli wstrząsnął ją dreszcz. Przestraszona własną reakcją, bezskutecznie próbowała zapamiętać nad dygotaniem ciała. Nie tknąwszy nawet jedzenia na tacy, odwróciła się, przeszła w najdalszy kąt celi, oparła się plecami o ścianę i powoli, jak mięknący przekłuty balon, osunęła się po niej i kucnęła na podłodze.

Po jakimś czasie doleciał ją szelest przypominający ciche szuranie. Podniosła głowę i rozejrzała się. Nic. Odgłos jednak nie milkł. Nagle zobaczyła olbrzymiego karalucha, który jakby próbował przesunąć po podłodze całą tacę z jedzeniem. Z tej odległości wydawał się wielki jak słoń. Nie znosiła robactwa. Żołądek podszedł jej do gardła. Na szczęście hałasy dobiegające z korytarza spłoszyły karalucha.

Ręce trzęsły jej się coraz silniej, w dodatku zaczęła mieć trudności z oddychaniem. W celi panował nieznośny zaduch. Odnosiła wrażenie, że w stojącym powietrzu aż utworzyła się zawiesina złożona ze smrodu potu, odoru zatęchłej wilgoci i niezdrowych wyziewów setek skazanych, jakie tu przed nią zamykano.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że Tom zerwał z nią tak bezceremonialnie. A przecież łączyło ich coś więcej niż przelotny romans, coś, co było dla niej bardzo ważne. Czyżby on traktował ich związek inaczej? Jak mógł ją zostawić w takiej sytuacji? Jak

mógł tak po prostu pozostawić ją własnemu losowi? Towarzystwo żadnego innego mężczyzny nie sprawiało jej tyle radości co jego. Uwielbiała zasypiać u boku Toma, kiedy czuła jego lewą rękę wsuniętą pod róg poduszki, a prawą przerzuconą przez jej piersi czy też zakrywającą palcami jej sutek. W odpowiedzi często wsuwała lewą rękę pod poduszkę i układała zaciśniętą pięść na jego dłoni albo opierała mu głowę o policzek i nadstawiała tak, by czuć jego oddech na uchu. A kiedy szeptał: „Kocham cię”, gotowa była natychmiast utonąć w jego objęciach.

Nawet teraz, gdy postanowił z nią zerwać, kucąca w rogu celi niczym porzucona sierotka i niemal czuła bliskość jego ciała. Miała wrażenie, że dociera do niej bijące od niego ciepło. Złudzenie było tak realistyczne, że aż przeszył ją dreszcz. Dlaczego zapragnął to wszystko zniszczyć? Jak miała dalej żyć bez niego? Co odmieniło Toma w tym krótkim czasie, który minął od chwili jej zamknięcia za kratami? A może już wcześniej przestał ją kochać, tylko nie miał odwagi o tym powiedzieć? Nie, to niemożliwe. Czyżby więc uległ naciskom Donalda? A może faktycznie przejął się zdaniem rodziny i nagonką w prasie? W końcu znalazła się w całkowitej izolacji i nie miała pojęcia, przez jakie piekło musi przechodzić tam, na Zewnątrz.

Tylko dlaczego tak postąpił? Na pewno nie zmienił zdania pod wpływem publikacji w prasie i rozgłosu wokół procesu, bo aż do końca rozprawy okazywał jej tyle samo czułości co poprzednio. Czyżby jego rodzice zaprotestowali dopiero po ogłoszeniu wyroku? Spotkała się z nimi zaledwie trzy razy, ale odniosła wrażenie, że ją polubili. Więc może to była tylko wymówka? Może gdy ją zobaczył podczas widzenia, z włosami natapirowanymi przez Suki, udającą szminkę czerwoną maścią na wargach i rzęsami grupo posklejanymi tuszem, przestraszyła go odmiana, jaka się w niej dokonała? Naprawdę w jego oczach wyglądała wtedy jak potwór? Jakim sposobem ktoś, kto przysięgał dożgonną miłość i podarował jej brylant - pierwszy pierścionek zaręczynowy w jej życiu, równoznaczny dla niej z zaangażowaniem się na stałe - mógł tak szybko i skutecznie się odkochać?

Wróciła myślą do ich pierwszego spotkania, doszło do niego jakieś dwa miesiące po podjęciu przez nią pracy w firmie Hud-

sona i van Schaanka. Została wtedy przydzielona do ustalenia warunków olbrzymiej transakcji, która później okazała się jednym z najbardziej zyskownych interesów w historii firmy. A Toma wyznaczono do obsługi prawnej tego interesu. Przez wiele dni zostawali wtedy razem do późna w pracy, razem jadaliby obiady, a pod koniec nawet śniadania w soboty i niedziele. Na początku starała się nie ulegać jego urokowi, pamiętając, że biurowe romanse zwykle źle się kończą. Ale to było coś innego niż zwykłe zauroczenie, zresztą nie zaliczała się już do podlotków, a i on był poważnym adwokatem. Najpierw zaczęła go uważnie obserwować, wypatrując oznak odwzajemnionego uczucia. Zwróciła uwagę, jak bacznie się jej przyglądał podczas prezentacji przed Donaldem i pozostałymi współnikami. Potem nastąpił etap, kiedy wzajemnie wpadali sobie w słowo, kończąc rozpoczęte zdania.

- Wybitne umysły rozumują podobnie - ocenił wtedy Tom.

Przez kilka miesięcy utrzymywali romans w ścisłej tajemnicy, zwłaszcza przed Donaldem. Przestali ukrywać, że są parą, dopiero wtedy, gdy oboje przekonali się co do stałości swoich uczuć. Michaels był z założenia przeciwny tego typu związkowi, gdyż uważał, że tylko odrywają ludzi od pracy. Dla nich jednak zrobił wyjątek. Kiedy tylko ujawnili przed nim swoje plany, wykrzyknął z radością:

- Poprowadzę pannę młodą do ołtarza! A na miesiąc miodowy udostępnię wam swoją willę w Umbrii.

Więc dlaczego nagle Tom zdecydował się to wszystko zniszczyć? Aż ścisnęło ją w dołku. Nie mogła dłużej o tym myśleć. Rozejrzała się po celi, szukając czegoś, co pozwoliłoby jej odebrać myśli. Ale tu nie było na czym skupić wzroku, brakowało nawet napisów na ścianach. Oświetlenie nie zmieniało się ani przez chwilę. Nie miała nic do czytania, nic do roboty, nie potrafiła marzyć, a to stawało się nie do zniesienia. Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, była pozostawiona wyłącznie sama sobie, zdana tylko na siebie, do tego pogrążona w strachu i rozpacz, nie potrafiła zapanować nad trzęsącymi się rękoma.

Siedziała pod ścianą niemal bez końca. Dopiero po jakimś czasie, którego upływu nie umiała ocenić, poczuła zachodzącą w niej przemianę. Odcięta od wszelkich doznań zmysłowych, pogrążona w otępieniu i zmuszona do patrzenia na swoje roz-

trzęsione ręce, musiała popaść w odmienny stan ducha. Lęk i wściekłość oraz psychiczna udręka rozmyły się stopniowo i wtedy spojrzała na swoje dłonie takim wzrokiem, jakby widziała je po raz pierwszy. Zaczęła powoli zaciskać i rozwierać pięści. Były niezwykle, zarówno zdolne do najdelikatniejszych pieszczot, jak i zadawania brutalnych ciosów. Obudziły w niej podziw dla cudu fizycznej budowy człowieka, umożliwiającej wykonywanie choćby tak prostych czynności. Próbowała sobie przypomnieć ze szkolnych lekcji biologii liczbę kości w ludzkiej dłoni, ale nie potrafiła. Pamiętała tylko niektóre nazwy: nadgarstek, śródreczę, paliczki. Zaciekała się, czy każda z kostek palców ma własną nazwę. A może oznaczano je numerami?

Poczuła się wyzuta z wszelkich uczuć. Zawiedziona miłość do Toma była niczym cierń wbity głęboko w serce, ale poza tym opanowała ją całkowita obojętność. Czyżby właśnie temu miał służyć pobyt w karcerze? Odizolowanie pochłaniało wszystkie uczucia i napełniało duszę pustką, częściowo unieczystwiało nawet poczucie człowieczeństwa. Bo o człowieczeństwie nie decydują ani nasze ciała, ani umysły, lecz odczucia, pomyślała, siedząc wciąż w kącie celi i przyglądając się własnym rękom. Pozbawieni uczuć przestajemy być ludźmi. Miała wrażenie, że razem ze słabnącą wściekłością i wszechobecnym przynębieniem, gasnącym jak ostatnie fale odpływu, ztraca też własne człowieczeństwo.

Czy możliwe, żeby Tom pisał teraz list z przeprosinami, bo dał się ponieść nerwom i teraz żałował swoich słów? Czy mógł jeszcze raz przyjechać w odwiedzin? A jeśli tak, to jak powinna się zachować? Mężczyzna, który rzucał kobietę w takiej chwili, nie był godzien najmniejszego zaufania. Przypomniała sobie, co przeżywała matka, kiedy odszedł ojciec. Łudziła się przez wiele lat, że zdoła uniknąć podłego losu, jaki przypadła w udziale kobietom w jej rodzinie. Sądziła, że jeśli zdobędzie majątek i pozycję, łatwo znajdzie wiernego męża i założy własną rodzinę. Teraz jednak wiedziała już, że były to zwykłe mrzonki.

Kiedy sobie to uświadomiła, dziwnym sposobem ustało drżenie dłoni. Nie powinna żywić już żadnych nadziei, nie powinna liczyć na szybkie uwolnienie. Musiała po prostu żyć, wyzuta z wszelkich uczuć i zamknięta w karcerze.

Nie mogła w żaden sposób ocenić upływu czasu, próbowała jedynie odmierzać mijające godziny na podstawie rytmu dostarczanych jej posiłków. Sięgała myślą wstecz, ale nie potrafiła sobie przypomnieć żadnych wcześniejszych oprócz tych trzech, które wciąż nie tknięte stały na podłodze - ostatniej kolacji, lunchu i śniadania. Uznała więc, że została jej już niecała doba pobytu w karcerze. Przemęczona i wygłodniała, podpełzła na czworakach bliżej drzwi i zaczęła ostrożnie skubać po trochu wystygłe potrawy, kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Jak przerażone zwierzę w klatce pospieszenie wycofała się w najdalszy kąt i z kolanami podciągniętymi pod brodę wbiła wzrok w masywne drzwi celi.

Te uchyliły się dziwnie powoli. Aż wstrzymała oddech. Nagle doleciał zza nich głośny szept:

- Jennifer?

Nie odpowiedziała, sparaliżowana strachem.

- Jennifer? - padło po raz drugi.

- Movita? - odezwała się również szeptem. - To ty?

Poderwała się na nogi i omal nie krzyknęła z radości na widok Watson wślizgującej się do celi.

- Co ty tu robisz? Jak się tu dostałaś?

Movita pospieszenie uniosła rękę, nakazując jej milczenie.

- Nie wiedziałam, w której norze cię zamknęli.

- Masz klucze od karceru?

- Nie żartuj. Powiedzmy, że pewien strażnik był mi winien przysługę. - Znow podniosła rękę, powstrzymując kolejne pytanie. - Porozmawiamy o tym później. Teraz nie mam czasu. A gdyby mnie tu przyłapali, moje czarne dupsko na dłużej wylądowałoby na tym betonie.

- Więc po co tu przyszaś? - zapytała Spencer.

- Żeby sprawdzić, czy nic ci nie jest. - Movita rozejrzała się po celi. - Koszmarna nora, co nie? - Jennifer szybko przytaknęła ruchem głowy. - Pobyt tutaj na zawsze może załamać człowieka. Ale może też dodać mu sił. Jak myślisz, co ciebie spotka, dziewczyno?

- Chciałabym już wrócić do swojej celi - odparła, z trudem przyjmując do świadomości, że to prawda. Nie przyszło jej nawet na myśl, by powiedzieć, że pragnie wyjść z więzienia i zna-

leżeć się ponownie we własnym domu. Całkiem szczerze marzyła jedynie o powrocie do celi.

- W pełni zasłużyłaś na karcer - powiedziała Movita. - Nawet nie wiesz, jak narozrabiałaś.

Jen pokiwała głową i spuściła wzrok.

- Bo mnie rzucił.

- Tak podejrzewałam. Ale to jeszcze nie koniec świata. Znajdziesz sobie innego prawnika.

- Tom był moim narzeczonym.

Watson wzruszyła ramionami i cicho westchnęła.

- Chyba nie ma ani jednej w tym pudle, której na Zewnątrz nie rzuciłby jakiś facet. - Spojrzała na Jennifer ze zmarszczonymi brwiami, lecz z jej dużych ciemnobrązowych oczu, mających niemal taki sam odcień jak skóra, emanowało ciepło, kryła się w nich sympatia. - Został ci jeszcze cały dzień i dwie noce na przemyślenie wszystkiego w spokoju. Więc proponuję, byś pomyślała także o innych, nie tylko o sobie. - Podała jej dużą szarą kopertę. - Zrozumiałaś już chyba, że będziesz musiała tu spędzić jakiś czas, dlatego pomyślałam, że powinnaś to przeczytać.

- Co to jest? - zapytała Spencer, patrząc na kopertę.

- Interes. Coś, na czym mało się znam, ale ty chyba wiesz o tym wszystko. Szykuje się coś niedobrego. Jest w to zamieszana firma o nazwie JRU. Słyszałaś o niej kiedyś?

Pokręciła głową. Nie zamierzała wnikać w to, o co naprawdę Movicie chodzi. Przede wszystkim zależało jej na tym, żeby znowu nie podpaść i nie dostać za karę przedłużenia pobytu w karcerze.

- Nic mnie nie obchodzi jakieś JRU - syknęła, oddając Watson kopertę. - Poza tym, jeśli nawet nic nie będzie łączyło mnie bliżej z Tomem, to pozostanie on moim adwokatem. Tak czy inaczej, nie zamierzam tu dłużej siedzieć.

- Do diabła, kobieto! Spójrz prawdzie w oczy - odparła z naciskiem Movita. - Nikt cię stąd nie uwolni. Nadal myślisz, że różnisz się od nas? Myślisz, że jesteś kimś wyjątkowym? Wystawili cię do wiatru prawie tak samo jak każdą z nas i posiedzisz w pudle dość długo. - Wzruszyła ramionami i dodała ciszej: - Musisz się z tym pogodzić, bo inaczej nie będzie dla ciebie życia za kratami.

Jennifer zamyśliła się na chwilę. Te wyrzucone z pasją słowa odebrała jak silny cios w żołądek.

- To nieprawda - zaoponowała, ale chyba po raz pierwszy bez przekonania, ogarnięta strachem. - Nie twierdzą, że jestem lepsza od każdej z was, ale...

- Właśnie tak myślisz. Wydaje ci się, że ktoś pociągnie odpowiednie sznurki i zaraz odzyskasz wolność. Według ciebie Suki jest głupia, Theresa niewarta uwagi, a ja należę do gangsterów. Nie zdziw się. Jesteśmy takimi samymi kobietami jak ty. Nas też wystawiono do wiatru. - Obrzuciła Jen uważnym spojrzeniem. - Musisz się z tym pogodzić. Musisz się nauczyć żyć bieżącą chwilą.

- Nie potrafię - odparła Jennifer, coraz bardziej roztrzęsiona. - Nie zniosę tego dłużej. Prędzej skonom...

- Więc chyba naprawdę będziesz musiała umrzeć - przeważała jej Movita.

Oślupiała Jennifer aż odsunęła się o krok. Miała to być groźba? Chciały ją pogrózkami zmusić do współpracy?

Movita zaśmiała się cicho, ujrawszy jej lękliwą reakcję.

- Nie martw się, skarbie. Nie zamierzam cię zabić. Przysłałam tu po to, aby się upewnić, że jeszcze żyjesz.

Jen wzięła głębszy oddech.

- W takim razie nie rozumiem, o co ci chodzi. Naprawdę nie mogę tu zostać. Nie wytrzymam ani jednego dnia dłużej. Po prostu nie dam rady.

Mimo woli zaczęła szlochać.

- Nie chodzi mi tylko o ciebie - wyjaśniła Movita. - Od początku próbuję ci wytłumaczyć, że nie jesteś sama w tym pudle.

- Przecież wiem o tym - odparła łamiącym się głosem.

- Czyżby? świadomość tego, że dokoła są inni ludzie, i świadomość bycia pośród innych to dwie zupełnie różne rzeczy. Czy ty to rozumiesz, dziewczyno? Wszystkie siedzimy w tym samym szambie. - Postukała palcem kopertę. - Nie chodzi o którąkolwiek z nas, ale o wszystkie. Inaczej w ogóle byśmy tu nie wytrzymały. Możesz to zrozumieć? - Kiedy Spencer skinęła głową, dodała ciszej: - I nie chodzi też o to, żeby wytrzymać do końca. Kapujesz?

- Niezupełnie.

Movita milczała przez jakiś czas, patrząc jej prosto w oczy.

I Jennifer bardzo się nie spodobało to, co wyczytała w jej spojrzeniu. Smutek czający się na dnie tych czekoladowych źrenic był tak głęboki, że aż nie do zniesienia. Mimo to nie potrafiła oderwać od nich wzroku, jakby coś jej podpowiadało, że nie ma prawa odwrócić głowy.

- Ja wyciągnę kopyta w tym pudle - odezwała się w końcu Watson. - Wiesz, co to oznacza? Nigdy stąd nie wyjdę. Nigdy.

- Ale...

- Zamknij się i słuchaj, dobra? Bo nie zamierzam po raz drugi do tego wracać. Zabiłam człowieka. Swojego faceta, Earla Watsona. Bił mnie, ile wlezie, ale i ja nie pozostawałam mu dłużna. Aż któregoś dnia zaczął się przystawiać do mojej córki. Tego było już za wiele. Ale na tym świecie gównem się liczą przyczyny zabójstwa, nie ma dla niego usprawiedliwienia. To fakt, zabiłam go. I teraz do końca swoich dni będę gnęta za kratami. Taka jest moja sytuacja. I nic tego nie zmieni.

- Przecież nie mogą cię trzymać w więzieniu aż do śmierci - zaprotestowała przerażona Jennifer, której po prostu w głowie się nie mieściło, że Movita została skazana na dożywocie.

- Chyba powiedziałam ci to wyraźnie. Mogą i będą, ale tylko dzień po dniu, minuta po minucie. Bo nauczyłam się żyć chwilą obecną. Rozumiesz, co chcę ci przekazać? - Jen w osłupieniu ledwie zdołała skinać głową. - W ogóle nie myślę o tym, co będzie jutro, ani o tym, co było wczoraj. Nie myślę nawet o tym, co się zdarzy za dziesięć minut. Dla mnie istnieje tylko ta chwila. Jeśli jest dobra, skarbie, to czuję się szczęśliwa. A jeśli kiepska, jak choćby podczas czytania tego sprawozdania, po prostu czekam, aż przeminie. Każdą chwilę traktuję odrębnie. I ty też powinnaś się tego nauczyć.

Jennifer nadal nie mogła się pogodzić z możliwością spędzenia reszty życia w więzieniu. Ale wielkie wrażenie wywarła na niej pasja, wielka siła bijąca z tych mądrych słów, jakie padały w pustej, zimnej celi. Dla niej to była dobra chwila, ponieważ wreszcie mogła z kimś porozmawiać. Spoglądając Movicie prosto w oczy, aby dać jej do zrozumienia, że naprawdę rozumie, wolno pokiwała głową.

- A więc będziesz tu zamknięta jeszcze ponad dwadzieścia cztery godziny - podjęła Movita i znowu postukała palcem w szarą kopertę. - Dlatego przyniosłam ci to do czytania.

- Co to jest? - zapytała Jennifer, ogarnięta lękiem, że dostała jakiś idiotyczny traktat religijny.

- Wizja najgorszego, co może mi się przydarzyć od czasu, kiedy złapałam nóż i poderżnęłam Earlowi gardło. - Movita ponownie wyciągnęła kopertę w jej kierunku.

Spencer podejrzliwie zajrzała do środka. W nagłówku pierwszej strony zauważyła firmowy emblemat spółki JRU International. Nic jej to nie mówiło.

- O co tu chodzi?

- Sama zobacz - szepnęła Watson. - Chcę, żebyś to przeczytała.

- A jak mnie z tym zobaczą? Nie będę miała żadnych kłopotów?

- Nie. Już ja się tym zajmę. Na razie nie mam czasu dłużej rozmawiać. Zaraz będzie zmiana strażników. Jak tylko pojawi się Byrd, obie możemy przez to nieźle umoczyć. - Popatrzyła na kopertę. - Nie rozumiem, o co dokładnie chodzi w tym interesie, ale jestem pewna, że jeśli dojdzie do tego, co tam jest opisane, to nie da się tu wytrzymać. Jeśli zostaną wprowadzone zmiany, które się proponuje, naprawdę zacznę odczuwać, że to już na zawsze, a wtedy...

Urwała, jeszcze przez chwilę spoglądała na kopertę, po czym odwróciła się do wyjścia. Jennifer uniosła rękę, chcąc ją powstrzymać, ale się zawahała.

- Naprawdę muszę już iść - dodała Movita. - Przeczytaj to i zorientuj się, co możemy z tym fantem zrobić. Dorzuciłam ci tam lizaka od Sally, żeby ci się lepiej czytało.

Wymknęła się z celi i zniknęła równie niepostrzeżenie, jak się zjawiła.

Kiedy tylko zgrzytnął klucz w zamku, Spencer wyciągnęła z koperty lizaka, odwinęła go i wsadziła do ust. Aż przymknęła oczy z rozkoszy, kiedy poczuła słodycz na języku i pamiętany z dzieciństwa aromat. Lizaki były w zakładzie Jenningsa czymś w rodzaju legalnie dozwolonego narkotyku, bez którego żadna z kobiet nie dałaby rady przeżyć. Jennifer łyknęły do oczu, gdy skojarzyła, że tę rozkosz zawdzięcza uprzejmości Movity. Po kilku minutach wyjęła maszynopis z koperty i zaczęła czytać.

Lektura pochłonęła ją bez reszty. Przyniesiono kolejny po-

siłek i zjadła go w pośpiechu, bez apetytu, nie przerywając czytania. Gdy dotarła do końca oferty, od razu cofnęła się do pierwszej strony i podjęła lekturę od początku. Była pod wrażeniem. JRU International nazywało swoje intencje ogólnikowym i mało konkretnym określeniem „resocjalizacji połączonej ze szkoleniem zawodowym”, ale kryjące się za nim szczegółowe plany prywatyzacyjne nasuwały skojarzenie z niewolnictwem jakby żywcem przeniesionym z plantacji bawełny sprzed kilku wieków. W sprawozdaniu podawano liczbę „niewykorzystanych” przyczty i stawiano wniosek o konieczności podwojenia liczby więźniarek. Miało to zredukować „koszty jednostkowe” i umożliwić trójmianowy system pracy, wskutek czego więzienie powinno się przekształcić w „instytutę przynoszącą rzeczywiste, wymierne dochody”.

Tak ją to pochłonęło, że gdy wreszcie uniosła głowę znad maszynopisu, ze zdumieniem rozejrzała się po celi. Była to oferta bezwzględnej i brutalnej wykorzystania więźniarek, toteż z każdym czytaniem słowem odczuwała narastającą wściekłość. JRU chciało przekształcić zakład karny w fabrykę i pod hasłem „resocjalizacji” utworzyć ze skazanych brygady pracujące na okrągło, w systemie trójmianowym. I w tym celu podwoić liczbę więźniarek. Jennifer po raz kolejny przebiegła wzrokiem pozostałą część propozycji. Nie było tam nawet wzmianki o polepszeniu opieki zdrowotnej czy jakości posiłków, co umożliwiłoby zachowanie wydajności taniej siły roboczej. Ani słowem nie wspomniano o kosztach remontów czy modernizacji, które pozwoliłyby zamienić tę ruinę w coś więcej niż zwykły niewolniczy barak. Oferta nie tylko pomijała kwestię człowieczeństwa skazanych, ale była wręcz oderwana od rzeczywistości.

Jennifer nadal miała pewność, że nie posiedzi zbyt długo w zakładzie Jenningsa, pomyślała jednak o Suki i Theresie, biednej Wiosence i Florze, które musiały tu zostać. Koniecznie trzeba było sprawdzić, jakie interesy prowadzi JRU. Postanowiła skontaktować się z Lennym i poprosić, by się coś dowiedział na ten temat. Ale nie przez telefon. Nie mogła też do niego napisać, bo cała korespondencja była kontrolowana. Musiała się więc z nim spotkać i porozmawiać w cztery oczy. Ale kiedy powędrowała myślami ku najbliższym odwiedzinom, jej

wzrok przypadkiem wyłowił z tekstu słowo „widzenie”. Zaczęła uważniej czytać.

Badania wykazują, że częste toidzenia skazanych prowadzą do niepokojów i zachowań agresywnych. Ponadto na cele odwiedzin jest przeznaczona zbyt duża przestrzeń. Nie da się całkowicie wyeliminować widzeń, lecz możliwe jest znaczne zmniejszenie skali problemu poprzez wydatne rozproszenie więziennej społeczności po innych należących do JRU ośrodkach i umieszczenie w zakładzie Jenningsa brygad pochodzących z różnych rejonów kraju. Według statystyk krewni i znajomi skazanych rzadko decydują się na dłuższą od trzygodzinnej podróż na widzenie.

A zatem więźniarki były tylko członkami „brygad”, a odwiedziny bliskich wywoływały u nich „agresywne zachowania”. Jennifer nie mogła dalej czytać. Przypomniała sobie słowa Movity: „Nie chodzi o którąkolwiek z nas... I nie chodzi też o to, żeby wytrzymać do końca”.

- Żarcie, Spencer! - doleciał zza drzwi kobiecy głos.

Wstała, przez otwartą szczelinę nad podłogą wysunęła pustą tacę i odebrała pełną. Na szczęście nie usłyszała ani słowa na temat leżącego w celi przemyconego maszynopisu. Była tak wściekła i rozgoryczona, że w pierwszej chwili chciała kopniakiem wywalić jedzenie z tacy na beton. Opanowała się jednak, usiadła z powrotem, wzięła łyżkowidelec i zaczęła jeść. Postanowiła nie myśleć o ofercie podczas posiłku. Musiała nauczyć się żyć bieżącą chwilą.

Jeśli nawet Tom przestał ją kochać i nie chciał już się z nią ożenić, to przecież nadal powinien być jej adwokatem. Wyglądało na to, że skoro ani gubernator, ani sędzia nie zamierzają wydać szybko decyzji w jej sprawie, faktycznie będzie musiała tu posiedzieć jakiś czas. Mogła go więc pożytecznie wykorzystać. Jej wzrok padł na wykres zamieszczony w raporcie. W końcu na tym się znała, miała okazję, żeby zapełnić czymś wolne chwile, a jednocześnie w znaczący sposób odmienić swoje życie. Musiała wykorzystać tę okazję, aby pomóc kobietom tak wpływowym i tak tragicznie uwikłanym, jak Movi-
ta Watson.

23

Gwen Harding

Naczelniczka ustawiła samochód na parkingu przed bramą zakładu i spojrzała na zegarek. Przerwa na lunch, którą sama sobie wyznaczyła, dobiegała końca, tymczasem nie udało jej się zrobić tego, co zaplanowała. Nawet niczego nie zjadła. Najpierw przez trzy kwadransy jeździła w kółko po mieście, potem przez kwadrans siedziała w wozie przed kościołem, wreszcie przyjechała z powrotem, w zamyśleniu minawszy bary McDonalds'a i Taco Bell, gdzie powinna kupić sobie coś do jedzenia. Bo przecież była głodna. Prawdę powiedziawszy, była bardzo głodna.

Zła na siebie, wysiadła z samochodu, trzasnęła drzwiami i weszła do środka. W automacie obok szatni dla personelu kupiła dwa batoniki, bo nie miała więcej drobnych. Do diabła, pomyślała, musi mi to wystarczyć; w gabinecie zaparzę sobie kawy.

Movita siedziała przy swoim biurku, a panna Ringling powieliała na kserokopiarce jakieś dokumenty. Watson podniosła głowę znad papierów i uśmiechnęła się szeroko.

- Jak się udał lunch? - zapytała.

Harding rzadko wychodziła podczas przerwy z zakładu, a znały się z Movitą od tak dawna, że na pewno nie uszło to jej uwagi.

Gwen po raz kolejny poczuła przypływ wdzięczności i wstydu. Przez kilka nocy z rzędu śniła o swojej pijackiej wycieczce po blokach i choć za każdym razem miała ona nieco inny przebieg, zawsze kończyła się tak samo: strażnicy pisali na nią do-

nos i wylatywała z roboty. W rzeczywistości tylko cudem uniknęła tego losu. Miała szczęście, że wtedy w korytarzu znalazła się Movita i Roger Camry, a nie kto inny. Nadal jednak nie miała pojęcia, co Watson robiła poza całą. Wydawało jej się, że wracała z ambulatorium. Sprytnie kobiety miały swoje sposoby na przechytrzenie strażników. Co do tego była absolutnie pewna. Wolała jednak nie wracać do tamtej nocy i nie wypytywać o nic Movity. W końcu jej przygoda nie stała się tematem plotek. Dlatego musnęła palcami zadrapanie z boku głowy i odpowiedziała:

- Dobrze. Zjadłam tylko kanapkę w towarzystwie znajomego.

Watson uśmiechnęła się jeszcze raz i pochyliła z powrotem nad biurkiem. Porządna z niej kobieta, pomyślała Gwen. Bardzo porządna. Jaka szkoda, że...

- Jest do pani wiadomość, naczelniczko - odezwała się Movita. - Dzwonił ktoś z JRU. Chciał się umówić na oprowadzenie po zakładzie.

Harding poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Odwróciła się szybko, żeby nie dać po sobie nic poznać, a jej myśli automatycznie powędrowały w kierunku butelki ginu ukrytej w dolnej szufladzie biurka. Tak bardzo chciałyby w tym momencie wypić drinka. Odpędziła jednak od siebie pokusę.

- Doskonale - odpowiedziała, ruszając do swojego gabinetu, w którego zaciszu mogła się teraz uraczyć przynajmniej kawą i batonikiem.

- I coś jeszcze - wtrąciła Movita. - Wydaje mi się, że powinna pani o tym wiedzieć.

- Co takiego? - zapytała, otwierając drzwi.

Watson weszła za nią do gabinetu, ale zatrzymała się tuż za progiem. Harding usiadła za biurkiem, odczuwając coraz silniejszą chęć na gin. Aż odnosiła wrażenie, że świerzbi ją skóra na lewej łydce, która niemal stykała się z szufladą, gdzie leżała butelka.

- Wiem już, co wprawiło Spencer w tę dziką furję. Dowiedziałam się wszystkiego.

Gwen popatrzyła jej w oczy.

- Słucham - powiedziała zachęcająco. - O co poszło?

Przeżyła ogromne rozczarowanie, kiedy młoda błyskotliwa

nowicjuszka zaczęła demolować świetlicę. Bała się, że któraś z więźniarek po prostu jej naubliżała.

Movita skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się o futrynę.

- Została sprowokowana.

Harding przekrzywiła głowę i popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Movita...

- Wcale nie próbuję jej tłumaczyć, naczelniczko. Nie o to chodzi. Ale to jeszcze dziecko, a przydarzyło jej się coś koszmarnego.

- No, dobra. Wierzę ci. - Gwen splotła dłonie na brzegu biurka, żeby łatwiej uwolnić się od natarczywych myśli o ginie. - Mów dalej.

- Widziała się ze swoim adwokatem. Jedna z kobiet, która słyszała prawie całą ich rozmowę, opowiadała, że to bardzo przystojny facet, w eleganckim garniturze i krawacie, a koszuli tak nakrochmalonej i wyprasowanej na sztywno, że kołnierzyk o mało mu nie rozciął skóry na karku. Ale był też strasznie sztywny i zachowywał się nieprzyjaźnie. Wszystko wskazuje na to, że był dla Spencer nie tylko adwokatem. Łączyło ich coś więcej, no i on przyjechał chyba specjalnie, żeby z nią zerwać. Podobno powiedział, że z powodu rodziny i swojej pozycji nie może się wiązać ze skazaną i musi zerwać zaręczyny.

Gwen pokręciła głową.

- Rzekłabym, że wybrał kiepski moment. Dlaczego wszyscy uwielbiają kopać leżącego?

- To jeszcze nie wszystko - ciągnęła Movita.

- Słucham.

- Podobno Jennifer odpowiedziała: „Przecież wiesz, że nie zrobiłam niczego poza tym, co mi kazałeś”. Albo coś w tym rodzaju. Ta znajoma nie słyszała wszystkiego, lecz wygląda na to, że Spencer wzięła na siebie winę tego adwokata bądź też kogoś innego.

Harding zapatrzyła się w przeciwległą ścianę i w zamyśleniu poskubała dolną wargę. Ciekawa była, jaki procent jej podopiecznych znalazł się za kratami z powodu mężczyzn. Na pewno znacznie więcej kobiet miało zrujnowane życie przez facetów niż odwrotnie. Dlaczego właśnie tak wyglądała brutalna rzeczywistość? Przecież i wśród kobiet wiele było inteligent-

nych, zaradnych i wykształconych; miały dobrą pracę, dbały o dzieci, znały życie. No cóż, w końcu i ona sama nie potrafiła go sobie ułożyć...

- W każdym razie on wyszedł, a ona wpadła w szal.

- Jak sądzisz, Movita, naprawdę była w nim zakochana?

- Skąd mam to wiedzieć? Ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że tak. Jennifer nie wygląda na taką, co dałaby się wodzić za nos facetowi, którego nie kocha. - Movita odwróciła się do wyjścia, ale jeszcze przystanęła i dodała: - W świetlicy nie było żadnej awantury o dostęp do telefonu czy wybór programu w telewizji. Ona po prostu wpadła w szal.

Gwen przytaknęła ruchem głowy i Watson wróciła do sekretariatu, zamykając za sobą drzwi.

Uzmysłowiła sobie, że powinna opisać to wszystko w notatce do akt personalnych Jennifer Spencer. Miała przecież obowiązek sporządzić notatkę, jeśli ukarała skazaną pobyt w karcerze. Oczywiście, musiało to wpłynąć na łączny czas jej kary oraz ewentualny termin zwolnienia warunkowego. Dlatego po rozmowie z Movitą zaczęła się zastanawiać, czy nie zrobić odstępstwa od reguły. Zachowanie nowicjuszek tylko niepotrzebnie dokładało się do zdenerwowania wywołanego ofertą JRU i skutkami jej pijackiej wycieczki. Może więc należało dać jej drugą szansę? Jednakże dotąd Gwen ani razu nikomu nie puściła płazem żadnego incydentu. Dlaczego więc teraz się wahała? Czuła się bardziej odpowiedzialna za swoje podopieczne, czy też była zwyczajnie rozkojarzona?

Musiała zadzwonić do siedziby JRU, ale z tym jej się nie spieszyło. Postanowiła przy kawie i batoniku przejrzeć uważnie akta Spencer, a dopiero potem umówić się z przedstawicielami firmy. W końcu i tak musiało minąć jeszcze sporo czasu, nim spółka będzie mogła przystąpić do usuwania jej ze stanowiska.

Jednym z najgorszych przejawów regulaminu więziennego było to, że nawet osoby odsiadujące niskie wyroki, roczne bądź dwuletnie, wskutek łamania przepisów i nagannego zachowania znacznie wydłużały swój pobyt w zakładzie. Więźniarki często były prowokowane przez koleżanki, czasami po prostu traciły panowanie nad sobą, a kiedy indziej, co stanowiło powód jej wstydu, reagowały gwałtownie na zaczepki strażni-

ków. W każdym razie dobrze pamiętała kobietę, która wyładowała za kratkami z wyrokiem od dwunastu do osiemnastu miesięcy więzienia, a wyszła na wolność po dziewięciu latach, właśnie z powodu ciągłych zatargów z personelem zakładu. Sama próbowała jej pomóc, ale bezskutecznie. Rzecz jasna, nie chciała, by coś podobnego przytrafiło się Spencer. Kłopot polegał na niemożności wyjścia z zamkniętego kręgu - każda kara nasilała wściekłość skazanej i stawała się przyczyną złego zachowania.

Gwen w dwóch kęsach rozprawiła się z karmelowym batonikiem i od razu poczuła się lepiej. Podniósłszy poziom cukru we krwi, mogła wreszcie zadzwonić do JRU i umówić się na spotkanie. Lecz zaledwie odłożyła słuchawkę, znowu ogarnęła ją smutek. Spojrzała na zegarek, było dopiero wpół do czwartej. Zerknęła na szufladę, w której zamknęła butelkę z ginem. Pokusa była nie do odparcia. Wyjęła ją, przełożyła do torebki i wstała zza biurka.

- Muszę dzisiaj wcześniej wyjść, panno Ringling - powiedziała, udając, że nie dostrzega zdziwionej miny Movity.

Czy to, że zamierzała wyjść przed końcem pracy po raz pierwszy bodaj od dziesięciu lat, wymagało szczegółowych wyjaśnień? Nie, w żadnym razie.

Przeszła przez sekretariat z dumnie uniesioną głową, żeby w ten sposób zamaskować dręczący ją niepokój. Nie przejmowała się nawet tym, że Watson może się domyślić prawdy, bo przecież ona nigdy nie osądzała jej postępowania.

Kiedy tylko usiadła za kierownicą, ogarnęła ją ta sama fala strachu, z którym walczyła od rana. Aż nie mogła się nadziwić, jak głęboko lęk utkwiał w jej duszy. Chyba od dzieciństwa ani razu nie bała się aż tak bardzo. Tyle że wtedy miała na sumieniu drobne grzeszki, teraz zaś dopuściła się poważnego wykroczenia, świadomość tego, że upiła się w pracy, napawała ją przerażeniem. A przecież tak było. Wspomnienia z tamtego wieczoru zaprzątnęły ją do tego stopnia, że omal nie przejechała skrzyżowania na czerwonym świetle. Zahamowała w ostatniej chwili. Jaki był następny etap? Aresztowanie za prowadzenie auta pod wpływem alkoholu?

Pospiesznie opuściła szybę, wyjęła butelkę z torebki, odkręciła ją i wylała gin do rynsztoku.

Zachęcona owym aktem odwagi, pojechała tym razem prosto do kościoła. Czuła potrzebę dalszego działania. Nie mogła na tym poprzestać.

Obawiając się, że znowu zmieni zdanie, jeśli da sobie czas do namysłu, natychmiast wysiadła z samochodu, gdy tylko wjechała na parking i zgasiła silnik. Energicznym krokiem ruszyła wysypaną żwirem ścieżką biegnącą przez starannie utrzymany trawnik i śmiało wkroczyła bocznymi drzwiami do wnętrza kamiennej budowli. Kartka przyczepiona na drzwiach skierowała ją na dół, do podziemi, dokąd prowadziły strome schody. Zwolniła, trzymając się kurczowo poręczy, gdyż coraz mocniej trzęsły jej się ręce.

Usłyszała stłumiony gwar głosów i skrzyła w stronę drzwi, zza których dolatywał. Weszła do zadymionej sali i stanęła pod ścianą tuż przy wyjściu. Zdażyła w samą porę, bo właśnie w tym momencie wstała jakaś kobieta siedząca w pierwszym rzędzie i powiedziała głośno:

- Witajcie. Mam na imię Pat i jestem alkoholiczką.

Harding odetchnęła z ulgą. Dobrze trafiła.

24

Jennifer Spencer

Spencer wyszła z karceru gruntownie odmieniona. Nie tylko przyczyniły się do tego wściekłość, rozczarowanie i udręka, które niczym miotły wygarnęły z jej duszy wszelkie brudy, ale także zmienił się jej wygląd. Kiedy strażnik prowadził ją z powrotem do celi, pochwyciła swoje odbicie w pokrytej brudnymi smugami powierzchni obitych stalową blachą drzwi. Była bardzo blada, miała silnie podkrążone oczy, a głębokie zmarszczki biegingy od nasady nosa do kącików ust. Przypominała kogoś zupełnie innego, do tego brzydkiego i odpychającego. Jednakże wcale się tym nie przejęła. Kogo obchodził jej wygląd, skoro Tom zerwał zaręczyny?

Na szczęście wróciła do celi tuż przed zamykaniem krat i ciszą nocną, gdyż marzyła o tym, by wreszcie otoczyła ją ciemność. Chciała skulić się na pryczy i zapaść w sen.

Ale Suki miała inne plany. Leżała na wznak, wyciągnięta na pościeli, i przyciskała obie dłonie do brzucha.

- Rety! Już cię wypuścili? Martwiłyśmy się o ciebie.

- Naprawdę? - wydusiła z siebie Jennifer, nie bardzo wiedząc, kto mógłby się o nią martwić.

- W karcerze czas okropnie się wlecz. Nic ci nie jest?

Wzruszyła ramionami, chcąc okazać brak zainteresowania rozmową.

- Nie ma o czym mówić.

Wdrapała się na górną pryczę i naciągnęła poduszkę na głowę. Przypomniała sobie jednak o odmiennym stanie blondynki i zapytała:

- A jak ty się czujesz? Nic ci nie dolega?
- Teraz już lepiej. Od tamtego wypadku w pralni ani razu nie zemdlałam. I już nie mam takich mdłości. Chyba że zjem coś, przeciwko czemu mój żołądek się zbuntuje.
- Ale to się chyba nie zdarza w zakładzie Jenningsa? - odparła ironicznie Jennifer i z powrotem ukryła głowę pod poduszką.

Doleciał ją głośny śmiech Suki, ale nawet się nie poruszyła. Absolutnie na nic nie miała ochoty. Pragnęła jedynie zasnąć kamiennym snem, tak samo wypełnionym pustką jak jej dusza.

- Wiesz, co jest zabawne? - zapytała głośno Suki, po czym zaraz odpowiedziała: - Ciągłe mam straszną ochotę na pikantną niemiecką sałatkę ziemniaczaną, taką z octem i kawałkami wędzonego boczku. Czy to nie dziwne?

Jennifer z ociąganiem wyjrzała spod poduszki.

- Nie - odparła. - Kobiety w ciąży mają różne zachcianki. To całkiem normalne.

- Naprawdę? To dobrze.

Zapadła cisza, co Spencer przyjęła z wdzięcznością. Ale teraz z kolei nie mogła się uwolnić od myśli, że Suki tak mało wie na temat ciąży, porodu i opieki nad niemowlęciem. Podejrzewała, że zdjęcie przyklejone nad łóżkiem przedstawiało koleżankę z czasów dzieciństwa, nie miała jednak odwagi o to spytać. Przekręciła się na bok, żeby Suki mogła ją słyszeć, kiedy po ogłoszeniu ciszy nocnej będzie musiała szeptać.

- Skąd masz pewność, że zdołasz dostarczyć dziecku niezbędnych składników pokarmowych, kiedy to więzienne żarcie jest takie paskudne?

- Biorę już witaminy - odparła z dumą dziewczyna.

- Dostałaś w ambulatorium? - spytała Jennifer z nadzieją, że tutejszy lekarz i pielęgniarka wiedzą już o jej odmiennym stanie.

- Coś ty?! Odważę się tam zgłosić dopiero wtedy, gdy już będzie za późno na usunięcie ciąży. Siostra Cher przysłała jej w paczce.

- Nie wiem, czy to nie za mało. - Właśnie w tej chwili zgasło światło, więc Spencer podciągnęła kolana pod brodę, zakryła się kocem po szyję i ułożyła poduszkę pod głową, po czym mruknęła: - Cholerna nora. Muszę to odespać.

Nie na długo jednak zdołała się oderwać od rzeczywistości. Miała wrażenie, że minęło zaledwie parę minut, gdy ze snu wyrwał ją dzwonek pobudki. Tego dnia była jej kolej na kąpiel, ale tym razem nic nie miała przeciwko temu, że pójdzie pod prysznic razem z liczniejszą grupą, w dodatku pod czujnym okiem strażnika, ponieważ musiała zmyć z siebie cały brud dwudniowego pobytu w karcerze. I tak ledwie mogła uwierzyć, że dała radę zwlec się z pryczy i podreptać z całą grupą do kąpieli, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło - jak gdyby odizolowanie w karcerze uchodziło tu za rzecz normalną, na porządku dziennym, a rezygnacja z marzeń o przyszłości, zapomnienie o dotychczasowym życiu i akceptacja istniejącego stanu nie należały do żadnych osiągnięć. Musiała się jednak uczyć żyć bieżącą chwilą.

Kolejnym trudnym etapem było śniadanie. Zaledwie postawiła na stole talerz z czerwonawobrazową packą i usiadła, ogarnięta nagłym przypływem wściekłości warknęła pod nosem:

- Kurwa mać!

Theresa spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Głowa do góry - rzuciła. - Będzie lepiej.

Jennifer uniosła wzrok do nieba.

- A skąd ty to wiesz? Może właśnie odwrotnie, będzie gorzej? - Przypomniała sobie propozycję JRU, której realizacja zamieniłaby ten upiorny przybytek w coś wręcz niewyobrażalnego.

- Nie wolno popadać w pesymizm - odparła wesoło Theresa. - Od tego robią się tylko zmarszczki i dzieją się różne złe rzeczy.

Spencer, wciąż z tak samo obojętną miną, syknęła przez stół:

- Nie mniej złych rzeczy przydarza się optymistom.

LaBianco uśmiechnęła się nerwowo.

- Nie sądzę - powiedziała cicho.

- Kurwa! Wszystkim przydarzają się złe rzeczy - wtrąciła Cher, siadając naprzeciwko Theresy, po lewej stronie Movity. - One po prostu są i tylko czekają na sposobność, jak choćby wypadki.

LaBianco spuściła głowę i zajęła się jedzeniem.

- Zamknij gębę! - warknęła Movita do Cher. - Theresa po prostu chciała trochę poprawić Jennifer nastrój. - Spojrzała na

nią. - A ty mogłabyś okazać odrobinę wdzięczności, jak ktoś próbuje być dla ciebie miły.

Spencer skrzywiła się i zaczęła dłubać łyżkowidelcem w białym kluchu rozgotowanej maki.

- Co to jest, do cholery? Duszona miazga z orzeszków ziemnych? - Zerknęła na Suki. - Jak ty możesz to jeść?

Blondynka wzruszyła ramionami.

- Wszystko da się zjeść, jak dosypiesz co najmniej czternaście łyżeczek cukru. - Na szczycie mazistego kopczyka na jej talerzu złociło się spore jeziorko roztopionej margaryny pośród białych zasp cukru. Suki po raz drugi wzruszyła ramionami. - To wcale nie jest takie złe. Mnie smakuje lepiej niż każde inne świństwo, które tu podają.

Jennifer z obrzydzeniem rzuciła łyżkowidelec na stół. Pozostałe kobiety udawały, że tego nie widzą. Siedziały sztywno wyprostowane i choć nie jadły, to również nie odzywały się ani słowem. To nie była ich sprawa.

Kiedy Suki skończyła śniadanie i przypomniała, że zaraz muszą iść do pralni, Jennifer wstała od stołu i pomaszerowała za nią jak robot.

W czasie drogi odstręczającymi korytarzami o betonowych ścianach w jej pamięci odżyła ta sama przerażająca wizja życia wypełnionego bezgraniczną pustką, która nie dawała jej spokoju w karcerze. Nawet gdyby udało jej się jakimś cudem przetrwać w zakładzie Jenningsa i odbyć zasadzoną karę, nie tracąc przy tym zmysłów - w co szczerze wątpiła - to i tak nie miałaby do czego wracać po odzyskaniu wolności. Właśnie ta perspektywa straszliwej pustki zapierała jej dech w piersi, opróżniała płuca z powietrza i pozbawiała wszelkich uczuć. Znowu ogarnęło ją przerażenie i miała ochotę wyć na cały głos z rozpacz. Aż chwyciła Suki pod rękę, mimowolnie szukając u niej wsparcia. Ale przecież koleżanka, drobna i filigranowa, na dodatek ciężarna w kobiecym więzieniu, w niczym nie mogła jej pomóc, bo tak samo była bezradna.

- Wszystko w porządku, Suki? - zapytała pospiesznie.

- Tak, jasne. A u ciebie?

- Też.

Najbardziej przerażało ją to, że na pewno nie będzie mogła znaleźć pracy po wyjściu z więzienia i nie wystarczy jej pieniądze-

dzy na życie. Oczyma wyobraźni widziała siebie przed witryną sklepu, w którym nie będzie mogła niczego kupić. Nie będzie miała za co wyjechać z miasta. Stanie się biedna, a co gorsza, będzie miała kryminalną przeszłość.

Poczuła wzbierającą panikę. Dobrze wiedziała, że bieda jest tylko innym rodzajem więzienia. Także nie pozwalała swobodnie żyć. Trzymała człowieka w garści, krępowała go niczym kraty w zakładzie Jenningsa. Zabraniała tego i tamtego, uniemożliwiała niemal wszystko. Zmuszała do odżywiania się ochłapami, spania na niewygodnej pryczy i noszenia tandetnych ubrań, odcinała dostęp do porządnej opieki zdrowotnej - właśnie tak, jak w zakładzie Jenningsa.

Weszły do pralni. Jen, która dotąd niczym automat szła za koleżanką, stanęła tuż za drzwiami jak urzeczona. Suki od razu zabrała się do pracy, wywaliła brudy z wózka i zaczęła je sortować do koszy, podczas gdy Spencer wciąż stała bez ruchu jak zepsuty robot. Ruszyła z miejsca dopiero wtedy, gdy przypomniała sobie o odmiennym stanie blondynki.

- Zostaw to! - powiedziała ostro. - Nie wolno ci dźwigać ciężarów. - A gdy Suki popatrzyła na nią ze zdziwieniem, dodała: - Mówię poważnie. Ja się tym zajmę. Ty tylko sortuj rzeczy.

- Nic mi nie będzie.

- Nieprawda. - Jen znowu poczuła przyływ złości. - Jezu! Nie możesz tu liczyć na żadną opiekę lekarską. Nie wiesz, jak zadbać o siebie i dziecko. - Uspokoiła się szybko. - Zostaw mi przynajmniej noszenie koszy, dobra? Bo inaczej pogniewam się na ciebie.

Blondynka obrzuciła ją pełnym urazy spojrzeniem.

- Dobrze. Jak wolisz.

Jennifer zajęła się więc przenoszeniem ciężarów, a Suki lżejszą pracą, opróżnianiem kieszeni czy rozdzielaniem brudów pod względem kolorów. Mimo wszystko, kiedy w pomieszczeniu zrobiło się parno i gorąco, Jennifer zauważyła jej bladość.

- Usiądź! - nakazała. - Jesteś bielsza od wypranych prześcieradeł. Powiadomię Florę.

- Ty też jesteś blada - odparła Suki i zaśmiała się krótko. - Ale nie wołaj Flory. Nic mi nie będzie.

Jennifer popatrzyła uważnie na jej brzuch. Suki nigdy jej nie

mówiła, w jakich okolicznościach zaszła w ciążę, powtarzała tylko, że bardzo chce urodzić to dziecko. Mówiła o tym prawie każdego wieczoru przed zaśnięciem. Stopniowo zaczynała się powoli zaokrąglać, ale obszerny kombinezon powinien jeszcze przez jakiś czas skutecznie to maskować. Twierdziła z uporem, że chce utrzymać ciążę w tajemnicy do czasu, aż będzie za późno na przeprowadzenie aborcji. Jen westchnęła ciężko. Suki z pewnością nie miała szans w konkursie na inteligencję, ale była optymistycznie nastawiona do życia, hojna i otwarta. Powinna być dobrą matką. Spencer nie chciała wiedzieć, w którym momencie w więzieniu odbiera się kobietom dzieci.

Podczas składania pościeli wróciła myślą do groźby kryjącej się za ofertą JRU. Niezależnie od tego, jaka kara czekała Suki za zajście w ciążę, i tak musiała być niczym w porównaniu z przyszłością szykowaną jej przez prywatną spółkę. Od chwili wyjścia z karceru zepchnęła tę sprawę na dalszy plan. Bała się, że głębsze zaangażowanie może jej przysporzyć dodatkowych kłopotów. Niemniej żal jej było biednej koleżanki. Nie miała pojęcia, jaki wyrok odsiadywała, mogła się jednak domyślać, że za udział w napadzie z bronią w rękę wyładowała za kratami na wiele lat.

Dzień włókł się bez końca. Przerwy wydawały jej się za krótkie, lunch całkiem niejadalny, toteż gdy wreszcie skończyły pracę, ledwie trzymała się na nogach. I wtedy dotarło do niej, że nadeszła pora powrotu do „domów” i przyrzadzenia czegoś na obiad. Była już pełnoprawnym członkiem grupy i dzisiaj wypadała jej kolej gotowania. Tymczasem lepiej wiedziała, jak podstępem przejąć na własność akcje jakiejś firmy, niż przygotować choćby prosty posiłek. Wolała zresztą nie podejmować ryzyka i nic w kuchni nie szykować, bo w ten sposób naraziłaby się jedynie na drwiny Cher. Tak oto przynależność do grupy, która początkowo napawała ją dumą, teraz stała się powodem do obaw. W dodatku nie miała dzisiaj ochoty na żadne rozmowy. Pragnęła zostać sama. Kiedy jednak rozważyła perspektywę dalszego korzystania ze stołówki, uprzytomniła sobie, że musi się trzymać grupy, jeśli chce przetrwać. Postanowiła więc szykować najprostsze dania, zjadać obiady w gronie koleżanek, ale wystrzegać się jakiegось poważniejszego zaangażowania w ich sprawy. I zanotowała w pamięci, żeby na swój

przyszłotygodniowy dyżur zamówić w bufecie jakiś porządny gotowy obiad, którego koszty pokryje z własnych zdeponowanych pieniędzy.

Wszystkie siedziały już w celi, kiedy dotarła tam razem z Suki. Była tak pochłonięta myślami o tym, iż musi się zająć gotowaniem, że nawet się z nimi nie przywitała. Na stole leżały już rozłożone różne produkty. Popatrzyła na plastry świeżej wołowiny i zieloną masę trudnych do zidentyfikowania pociętych jarzyn. Odniosła wrażenie, że są to produkty na jakieś danie w stylu chińskim, o czym nie miała najmniejszego pojęcia.

- I co ja niby mam z tego wszystkiego zrobić? - zapytała ostro.

Nikt jej nie odpowiedział.

- No cóż, jeśli same nie wiecie...

- Czy mogłabyś, z łaski swojej, przestać się zachowywać jak nadąsany bachor?! - warknęła groźnie Movita. - Doskonale wiemy, że siedziałas w tej pieprzonej norze, ale to nie znaczy, że musisz nas wszystkie raczyć atmosferą karceru. Czyżbyś nie wiedziała, że każda z nas ma już jej po dziurki w nosie, że każda z nas odsiedziała swoje i nie ma najmniejszej ochoty na ponowną wizytę? Lepiej wracaj do swojej celi i siedź tam, dopóki nie miną ci fochy.

- Wolę się zamknąć i zająć obiadem - odparła Jennifer najspokojniej, jak tylko potrafiła.

- W porządku - odparła Watson. - W takim razie bierz się do roboty i przygotuj coś dobrego.

Nie wiedząc, od czego zacząć, nalała oleju na patelnię i włączyła kuchenkę elektryczną.

- Gdzie jest nóż? - zapytała, ale odpowiedziały jej tylko gromkie śmiechy.

Kiedy olej się rozgrzał i zaczął dymić, wrzuciła do niego mięso. Natychmiast zaczęło skwierczeć i pryskać, a od dymu aż łzy pociekły jej po policzkach.

- Wszystko będzie w porządku - pocieszyła ją Theresa, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Jen nie odpowiedziała. Jeszcze bardziej chciała teraz być sama. Ale tym razem podeszła do niej Movita i zajrzała jej przez ramię.

- Zaraz spalisz to mięso, dziewczyno! - syknęła ostro. -
A jeśli tak się stanie, wylatujesz z grupy.

Tego było Jennifer za wiele. Wbrew sobie zaczęła szlochać, nadal usiłując szykować obiad. Szybko zmniejszyła grzanie i obróciła płaty wołowiny na drugą stronę. Raz i drugi głośno pociągnęła nosem.

- Zaraz. Chwileczkę - mruknęła Watson. - Niepotrzebne nam twoje łyzy do bitek. Theresa, zastąp ją. A ty, Jen, chodź ze mną.

Spencer odłożyła łopatkę i odsunęła się od blatu. Oderwała kawałek szarego papieru toaletowego i trzymając go przy twarzy, ruszyła za Movitą.

- Siadaj.

Posłusznie usiadła.

- Masz wybór, moja pani. I musisz go dokonać w tej chwili.

- Nieprawda, nie mam żadnego wyboru - pisnęła poprzez szloch.

- Zamknij się. Właśnie do tego zmierzam. „Nie mam żadnego wyboru” - powtórzyła piskliwie, naśladowując jej ton. - Masz dokładnie tyle samo co każda z nas. Nie, kłamie. Masz dużo więcej. Ale problem polega na tym, że głównie użalasz się nad sobą, myśląc, że jesteś kimś wyjątkowym. Więc pozwól, że ci to powiem wprost. Nie jesteś. Pozwoliłaś, żeby te parszywe nicponie zostawiły cię na lodzie. To chyba najgłupsza rzecz, jaka przytrafiła się tu którejkolwiek. Wydaje ci się, że jesteś taka mądra? Przykro mi to mówić, skarbie, ale Maggie z biblioteki jest znacznie lepiej wykształcona. A już na pewno twoje wykształcenie nic nie znaczy w porównaniu z życiowymi doświadczeniami każdej z tych kobiet. Więc co jeszcze może sprawić, że czujesz się kimś lepszym od nas? Nic.

Jennifer miała wrażenie, że te słowa zwalają się jej na barki ogromnym ciężarem. Nic jej nie zostało, a teraz w dodatku mieli ją za nic. Przecież całe jej dotychczasowe życie zasadzało się na tym, że była kimś niezwykłym. Tylko dzięki temu zdobywała stypendia, znalazła dobrą pracę i dorobiła się fortuny. Więc jak teraz nagle miała przyjąć do wiadomości, że niczym się nie wyróżnia?

Od tej myśli aż zrobiło jej się niedobrze.

25

Maggie Rafferty

Tragiczna bohaterka. Dokładnie tak określiłam w myślach Jennifer Spencer, kiedy zjawiła się w bibliotece jakiś tydzień po wyjściu z karceru. Wyglądała na spustoszoną psychicznie, jak Antygona, w dodatku nosząca pewne cechy Medei. Innymi słowy, kipiała w niej wściekłość, ale zakopana głęboko pod zwalami bezgranicznego smutku.

Zdaję sobie sprawę, że przez te literackie porównania sprawiaam wrażenie zarówno sawantki, jak i bezdusznego obserwatora. Ale możecie być spokojni, zachowuję je tylko dla siebie. Bo i komu miałabym o nich mówić? Właśnie o to chodzi, że w zakładzie nie należy się z nikim dzielić własnymi przemyśleniami i okazywać uczuć. Trzeba się wystrzegać współczucia. Zdarza się jednak, że sama nie potrafię się przed tym ustrzec, a właśnie wtedy zrobiło mi się żal Jennifer.

Wyglądała, jakby schudła parę kilogramów i postarzała się o kilka lat. Jej oczy pozbawione były wyrazu, jak gdyby miała za sobą przerażające doświadczenia. Na pewno jednym z nich stał się dla niej pobyt w norze. Przypomniałam sobie jej poprzednią wizytę, kiedy zastała mnie przy lekturze oferty JRU 1 zapewne nabrała przekonania, że przechodzę zawał. Próbowała mi wtedy pomóc. Teraz zaś nasze role się odwróciły.

Podeszła do stolika.

- Movita prosiła, żebym tu wpadła i porozmawiała z panią - powiedziała. - Ma pani teraz trochę czasu?

Uśmiechnęłam się. Jeśli nawet na jej twarzy widniało już koszmarnie piętno więzienia, to nadal nie rozumiała, że tutaj

pojęcie czasu nie ma najmniejszego znaczenia. Nie istnieje nic bardziej dotkliwego niż nuda. Całymi godzinami nie ma nic do roboty, pomijając nieustanne odliczania, zamykania i „w szeregu zbiórki”, bez wyjątku nużące aż do bólu. Nie wspomnę już o długich godzinach spędzanych w „domu”, które to określenie brzmi jak okrutny żart, ani o monotonii więziennych zajęć. Czas naprawdę nie ma tu żadnego znaczenia.

- Oczywiście - odparłam.

- Opowiedziała mi o propozycji prywatyzacyjnej JRU - wyjaśniła szeptem.

- Tak, wiem.

Od czasu kiedy zapoznałam się z raportem, kiepsko sypiam, nie smakuje mi jedzenie, nie idzie żadna robota, nawet oddychanie przychodzi mi z trudem. Regularnie wydzwaniałam do synów, ale bałam się mówić otwarcie o tej sprawie (bo rozmowy z naszych automatów są rejestrowane i wyrywkowo kontrolowane). Zresztą obaj przebywali służbowo za granicą, Bryce był w Hongkongu, a Tyler w Londynie. Obiecali, że przyjadą na widzenie zaraz po powrocie do kraju.

Jennifer nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

- Poprosiła mnie o pomoc.

- Wiem - powtórzyłam.

Najwyraźniej nie miała specjalnej ochoty zająć się tą sprawą.

- Nie jestem pewna, czy powinnam - przyznała.

- Rozumiem - powiedziałam tonem sugerującym, że jednak nie rozumiem.

Bez trudu wyczuwam u ludzi opory psychiczne i niechęć do angażowania się w cokolwiek. Ostatecznie sama przez trzydzieści lat małżeństwa żyłam z niechęcią do spojrzenia prawdzie w oczy. A tu, w zakładzie Jenningsa, przez wiele lat w nic się nie angażowałam. Tylko na samym początku próbowałam szerzyć oświatę, organizowałam kursy opieki nad niemowlętami, prowadziłam nabór do szkoły korespondencyjnej, wygłaszałam odczyty, ale dość szybko ze wszystkiego zrezygnowałam. I teraz doskonale widziałam, że Spencer z ociąganiem godzi się z myślą o swoim pobycie w więzieniu, przynajmniej na jakiś czas, ale nie jest jeszcze gotowa, żeby się głębiej zaangażować. A już na pewno nie zamierzała uczestniczyć w jakimkolwiek spisku. W pełni ją rozumiałam. Ale tak się nieszczęśli-

wie składało, że potrzebowałyśmy jej pomocy. Dobrze znałam swoją rolę, toteż odpowiedziałam bez namysłu:

- Mogłabyś się przynajmniej nad tym zastanowić. W końcu i tak nie masz nic innego do roboty.

- Nie o to chodzi - mruknęła, spuszcżając wzrok. - Chyba wie pani, gdzie byłam w ubiegłym tygodniu?

- Pewnie, że wiem. - Wyrażnie wstydziła się swego zachowania. - Obawiam się, że masz o mnie błędne wyobrażenia, chyba dlatego, że byłam dyrektorką szkoły, a teraz jestem... stałą bibliotekarką w zakładzie Jenningsa. - Urwałam na chwilę. - Nie sądzisz, że ten tytuł brzmi jak cytat z poematu epickiego? „Stała Bibliotekarka Zakładu Jenningsa”. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się niewyraźnie. - W każdym razie, gdy tylko tu wylądowałam, zamykali mnie w norze tak często, że kobiety zaczęły mnie już nazywać „starą jędzą z karceru”.

Jennifer popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Niemożliwe! Za co panią zamykali? I jak pani to wytrzymała?

- Sama nie wiem. Chyba się po prostu dostosowywałam. Zresztą dla mnie nora niewiele się różniła od bloków. Mogłam tam swobodnie rozmyślać, a tego bardzo mi było trzeba. - Spojrzałam jej w oczy, gdyż nie miałam wątpliwości, że Spencer także powinna sporo spraw przemyśleć. Uśmiechnęłam się. - Nie wspomnę już o tym drobiazgu, że na początku byłam tak rozwścieczona, iż zdecydowanie lepiej było mi w izolacji od pozostałych.

- Boże. Ja bym chyba nie zniosła drugiego pobytu w karcerze. - Wargi zaczęły jej drżeć. - To było straszne. Przerażające. - Zamilkła na krótko. - Naprawdę nie zostanę długo w zakładzie. Chętnie bym wam pomogła, ale za żadne skarby nie chcę przechodzić tego po raz drugi. I nie zamierzam siedzieć za kratami ani jednego dnia więcej niż to konieczne. Ani jednego.

Poprosiłam, żeby usiadła, i uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, nim przystąpiłam do wykładu.

- Na pewno nie wylądujesz w karcerze za to, że zajmiesz się swoimi sprawami zawodowymi. Harding traktuje nas po ludzku, a przepisy tego nie zabraniają. Ukarać cię może tylko za kontrabandę albo złe zachowanie.

- To nie są moje sprawy zawodowe. Zaszło nieporozumienie-

nie. Nawet jeśli nie zabrania tego regulamin więzienny, jakiegokolwiek zaangażowanie w interesy JRU jest naruszeniem przepisów rynkowych. Nawet ten raport może być uznany za kontrabandę. - Znowu umilkła. Było jasne, że nie tylko umie doskonale panować nad sobą, ale też bardzo jej odpowiada, gdy sprawuje kontrolę nad innymi, a przynajmniej takie odnosi wrażenie. Właśnie utrata tej kontroli była dla niej wielkim ciosem. - Postanowiłam, że będę się sprawować bez zarzutu. Zależy mi na zdobyciu przepustki za wzorowe zachowanie.

- Mówisz o wzorowym zachowaniu tylko w sensie pasywnym - odparłam. - Według zasad etyki wzorowym zachowaniem byłoby coś wręcz przeciwnego. Największym grzechem uczciwych ludzi jest beczynność w konfrontacji z ewidentnym złem.

Zaskoczyło mnie, że się zarumieniła. Dopadło ją poczucie winy. U ludzi z niższych klas taka reakcja jest powszechna, nie sądziłam jednak, że i u niej tak szybko wystąpi. Nabrałam podejrzeń, że uczyła się w szkole zakonnej, choć może nie tak dobrze jak u jezuitów. Poza tym, rzecz jasna, wciąż dawał o sobie znać niedawny pobyt w karczerze.

- Nawet gdybym zgodziła się pomóc, to niewiele mogę zrobić - zaproponowała. - Chodzi o to, że działałam w sektorze prywatnym. Nie mam żadnych znajomości w instytucjach państwowych, a wątpię, by mój adwokat... - Znów się zająknęła. - To prawda, że firma Hudsona i van Schaanka ma powiązania z biurem gubernatora, tyle że...

- Przecież nie wiemy jeszcze ani co, ani jak mogłybyśmy zrobić - wtrąciłam. - Ponadto cała odpowiedzialność nie spadnie na ciebie. Rozmawiałam już z moimi synami. Gdy tylko wrócą do kraju i dowiedzą się o tej historii, na pewno zechcą pomóc. Chyba wiesz, że mają... rozmaite kontakty i znaczne wpływy. No i cieszą się sporym szacunkiem w środowisku.

- I tak nie wiem, czy cokolwiek wskórają - mruknęła.

Poczułam się obrażona. Niektórzy zarzucali moim chłopcom, że w interesach są bezwzględni i agresywni, ale Spencer na pewno nie zaliczała się do tych, którym wolno ciskać kamieniami w ich szklane domy.

- Dlaczego? Z jakiego powodu jesteś tak negatywnie do nich nastawiona? - zapytałam, siłąc się na spokój.

- Nie o to chodzi. Podejrzewam, że tak samo jak ja niewiele będą mogli zrobić w tej sprawie. Umówmy się, że poproszę znajomych o zebranie podstawowych informacji na temat JRU. Zobaczymy, czy... firma nie prowadzi jakichś podejrzanych interesów. Gdyby dopisało nam szczęście i prezes Tarrington okazał się zagorzałym wyznawcą satanizmu, wtedy łatwo byłoby nastawić opinię publiczną przeciwko spółce i usunąć ją ze sceny politycznej. Za bardzo bym jednak na to nie liczyła.

Odwróciła się do drzwi, jakby chciała już wyjść.

Westchnęłam głośno, zupełnie jak w klasie, gdy chciałam okazać uczennicom, że spodziewałam się po nich więcej. Ja też potrafię manipulować ludźmi, pomyślałam, spoglądając na jej profil. W końcu chodziło tak samo o jej dobro, jak moje.

- Jennifer... Mogę ci mówić po imieniu? - Skinęła głową. - Nie sądzisz, że reagujesz niewiarygodnie egoistycznie? Movita nie mówiła ci, jakie zmiany zamierza wprowadzić JRU? I ta perspektywa ani trochę cię nie przeraża?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszałam w korytarzu ciężkie stąpania Byrda.

- Cicho! - szepnęłam, przykładając palec do warg. - Może nam narobić kłopotów.

Pospiesznie wsunęłam maszynopis między leżące na biurku książki przygotowane do odłożenia na półkę.

- Jak idą dzisiaj sprawy z czytelnictwem, moje panie? - zapytał Byrd, wkraczając do pokoju. Żadna z nas nie odpowiedziała. - Chyba warto by tu przystąpić do wiosennych porządków - oznajmił. Sięgnął po pierwszą z brzegu książkę i rzucił ją na podłogę. - Och, przepraszam. - Jednym ruchem zgarnął z półki parę następnych.

Lubił tu przychodzić od czasu do czasu, żeby narobić bałaganu. Sprawiało mu to przyjemność. Zdążyłam się do tego przyzwyczaić, ale Jennifer patrzyła na niego w osłupieniu.

Spojrzeniem dałam jej znać, żeby została na miejscu. Karl Byrd tylko z powodu swojej arogancji był po prostu odrażający. Zaczął krążyć po pokoju, zwałać na podłogę książki oraz czasopisma i przewracać krzesła. Ponownie zerknęłam na Jennifer, kiedy zbliżył się do biurka, gdzie pod książkami ukryty był maszynopis z ofertą JRU. Staął, oparł się o nie rękami i obrzucił przestraszoną Spencer wyzywającym spojrzeniem, ale ona

śmiało popatrzyła mu w oczy. Po chwili przesunął się nieco w bok i wsunął obie dłonie pod blat stolika, jakby i jego zamierzał przewrócić. Widziałam, że Jennifer za wszelką cenę stara się nie okazywać niepokoju, gdyż Byrd niczym pies potrafił doskonale wyczuć strach. Złapał jedną ręką za nogę stolika i szarpnął do góry, zwalając z niego wszystko na podłogę.

- Coś mi się widzi, moje panie, że musicie tu trochę posprzątać - rzucił z ironicznym uśmiechem.

Kiedy wyszedł, obie równocześnie odetchnęłyśmy z ulgą.

- Niewiele brakowało - odezwałam się półgłosem.

- To kretyn - powiedziała Jennifer. - Jeśli przejście zakładu pod nadzór JRU ma spowodować jakieś zmiany, to lepiej, żeby jedną z nich było wyrzucenie tego chama na bruk. Nadal jednak nie wierzę, by ktokolwiek mógł coś zdziałać w pojedynkę. To jasne, że społeczeństwo woli, aby utrzymanie więzień nie kosztowało je ani grosza, aby wszyscy przestępcy znaleźli się za kratkami. Ale ja jestem jedna, nie mam takiej siły jak społeczeństwo. Sama niczego nie zmienię.

- Zrozum, że nie będziesz się tą sprawą zajmowała sama. Odpowiedzialność weźmie na siebie wiele osób. A moim zdaniem najważniejsze jest, abyś pamiętała, że JRU chce położyć łapę na tym zakładzie, czyli na nas wszystkich... Jeśli do tego dojdzie, to zatęsknimy za pobytem w karcerze, bo życie stanie się tu nie do zniesienia.

- W porządku. Rozpytam moich znajomych z rynku o JRU i postaram się coś wymyślić, ale...

Uznałam to zawieszenie głosu za kolejny przejaw wahania, odparłam więc szybko:

- O nic więcej cię nie prosimy. Jeśli chcesz, możesz dostać przydział do pracy w bibliotece i zostać moją asystentką. Miałabyś wtedy więcej czasu na zbieranie informacji. Pomagałabym ci na wszystkie możliwe sposoby.

- Dobrze - odpowiedziała, westchnąwszy ciężko.

Miałam ochotę zatańczyć z radości, przynajmniej na tyle, na ile pozwoli mój reumatyzm. Wolałam tego jednak nie okazywać.

- Zacznijmy od tego, że... jeśli tylko dasz radę, jeszcze raz dokładnie przeczytasz ofertę i dasz mi swoje notatki - powiedziała Jennifer. - Przede wszystkim chcę wiedzieć, jakie dane

dotyczące więzienia są nieprawdziwe i które elementy planu mało prawdopodobne albo niezgodne z prawem.

- To już jest gotowe.

Z uśmiechem wyciągnęłam swoje notatki z *Oczekiwania*, trochę zbyt rozwlekłej i monotonnej, ale naprawdę doskonałej powieści Ha Jin.

- Świetnie. - Starannie złożyła kartki i wsunęła za pazuchę kombinezonu. - Postaram się zwrócić uwagę na nieprawidłowości w rozliczeniach i schemacie zarządzania JRU, a także wyłowić wszelkie nierealne założenia w planie finansowym.

- Doskonale - odparłam.

Odprowadziłam ją wzrokiem do drzwi, a po jej wyjściu jeszcze przez jakiś czas siedziałam w bezruchu, wręcz oszołomiona. Tak wielkiej radości nie zaznałam od lat. No i byłam podniecona. Bo jeśli nawet ów promyk nadziei należało uznać za słaby i niezbyt uzasadniony, to mimo wszystko był to promyk nadziei napełniający serce radością.

26

Cher McInnery

- Dobra. Kurczak gotowy - oznajmiła Theresa.

Nikt tak jak ona nie potrafił przyrządzać kurczaka. Cher poczuła, że ślina cieknie jej do ust, ale mimo to siadała do obiadu w podłym nastroju. Wyczuwała, że coś się dzieje, lecz nie miała pojęcia co. I to ją właśnie martwiło. Movita była wyraźnie czymś zaprzątnięta, co chwila spotykała się z Frances. Krążyły plotki, że nowicjuszka nie będzie już pracować w pralni. Watson potrafiła trzymać język za zębami, ale gdy szykowało się coś ważnego, Cher zawsze do tej pory wiedziała o tym pierwsza. Teraz jednak było inaczej.

Nie lubiła być zależna od kogokolwiek. W gruncie rzeczy wolała nawet trzymać wszystkich na dystans. Ale nigdy nie miała takiej przyjaciółki jak Movita. W ogóle nigdy nie przyjaźniła się z nikiem czarnym, lecz nie znała też żadnej białej kobiety tak doskonale opanowanej, przebiegłej i pomysłowej jak ona. Z jednej strony były do siebie bardzo podobne, z drugiej zaś krańcowo się różniły. Watson, tak samo jak Cher, twardo stąpała po ziemi, potrafiła stosować rozmaite sztuczki i wybiegi, miała też olbrzymie poczucie humoru. Ale w przeciwieństwie do niej wykorzystywała swoje umiejętności nie tylko ku własnej korzyści, zawsze wiedziała, jak zakręcić i zakombinować, żeby komuś pomóc, a kogoś innego wciągnąć do pomocy. Oczywiście najważniejsza dla niej była grupa. Przede wszystkim zależało jej na utrzymaniu spokoju. Tym się właśnie różniła od Cher, że nie szczędziłaby wysiłków, aby ulżyć czy poprawić nastrój którejś z koleżanek. Z początku sądziła, że

Movita robi to z zamiłowania do władzy, z chęci sterowania innymi ludźmi. Dopiero z czasem się przekonała, że jest urodzoną przywódczynią. Musiała pomagać innym choćby wbrew sobie. Po prostu taki miała charakter. I Cher czasami ją za to podziwiała, lecz kiedy indziej miała do niej o to żal.

Podobnie jak ona, Movita była tajemnicza. Zaliczała się do bardzo wąskiej grupy kobiet w więzieniu, które potrafiły dochować tajemnicy. Cher nadzwyczaj to odpowiadało, kiedy chodziło o jej własne sekrety, za to zupełnie się nie podobało, gdy czuła się wyeliminowana z grona wtajemniczonych. Zwłaszcza teraz bardzo jej doskwierało, że Movita obdarza większym zaufaniem nowicjuszkę i dzieli się z nią wiadomościami, które trzymała w ukryciu przed Cher.

Mniejsza z tym, doszła do wniosku, nakładając sobie największy kawałek pieczonego kurczaka. Ważne, że niedługo stąd wyjdę. Lecz ilekroć spojrzała na nowicjuszkę, a później na Movitę, znów odżywała w niej uraza. I zanim podała dalej talerz z pieczenia, szybko nałożyła sobie drugą porcję. Theresa aż uniosła brwi ze zdumienia, ale Cher udała, że tego nie dostrzega. Mam to gdzieś, pomyślała.

- Weź trochę surówki z kapusty - odezwała się Suki, podając jej miseczkę. - Mamy jej pod dostatkiem.

Jeszcze w Arkansas jej matka często powtarzała:

- Twoje imię powinno się wymawiać jak „share”*, bo chyba masz prawdziwą obsesję na punkcie tego słowa.

I miała rację. Jako jedna z dziewięciorga wiecznie głodnych dzieci w ubogiej rodzinie Cher bardzo wczesnie nauczyła się, że sztuka przetrwania zależy od umiejętności wywalczenia sobie i zdobycia odpowiedniej porcji.

Dlatego teraz zignorowała uszczypliwą uwagę Suki, która według niej na niczym się nie znała.

- Gdy dorastałam, pod dostatkiem było tylko roboty do wykonania - powiedziała. - A w mojej rodzinie sprawy wyglądały prosto. Jak się nie odwaliło swojej działki roboty, nie było co marzyć o porcji żarcia. - Wszystkie już zdążyły się podzielić obiadem i przystąpiły do jedzenia. Nikt nie odpowiedział, toteż ciągnęła: - Wyjątkiem był tylko mój mały brat Ellis. - Pokręciła

* share (ang.) - udział, dola, porcja (przyp. tłum.)

głową na jego wspomnienie i włożyła do ust duży kęs mięsa. - Przyszedł na świat z jakąś paskudną wadą wrodzoną. Mama była już wtedy za stara na rodzenie dzieci i bardzo się troszczyła, żeby słaby i chorowity Ellis nie musiał nawet kiwnąć palcem przez całe życie. A ponieważ byłam najstarsza, mnie przypadała należna mu część roboty, jemu zaś część mojej porcji zarcia. - Zaśmiała się gardłowo, choć nie były to wesołe wspomnienia. Nikt z grupy nie zareagował śmiechem, co ją jeszcze bardziej wkurzyło. Popatrzyła na Spencer, jak zawsze poważną i wyobcowaną, po czym rzuciła ze złością: - W mordę! Musiałam się przyzwyczaić do tego, że mam podwójne imię. Mama zawsze wołała na mnie: Share, Cher! Share, Cher! Share, Cher! Miałam tego po dziurki w nosie i teraz też robi mi się niedobrze!

Movita z hukiem odstawiła kubek na stół.

- O czym ty chrzaniisz, do cholery?! - zapytała ostro.

Cher ruchem głowy wskazała koleżanki przy stole.

- Cne uważają, że nie zasłużyłam na taką porcję kurczaka - wyjaśniła ponuro.

- Czy ktoś coś powiedział? - zdziwiła się Watson. - Ja nic nie słyszałam. A jeśli ci się zdaje, że potrafisz czytać w ludzkich myślach, to powinnaś zacząć się przejmować czymś dużo poważniejszym.

- Wiecie, co zawsze powtarzam? - wtrąciła Theresa, jak zwykle biorąc na siebie funkcję rozjemcy. - Umiar jest równie cenny jak uczta.

- Bo to jest uczta - odezwała się nowicjuszka takim tonem, jakby nigdy w życiu nie jadała w czterogwiazdkowych restauracjach.

- Czyżby? - odparła Cher. - A co ty kiedykolwiek zrobiłaś na obiad oprócz rezerwacji?

Jennifer wstała i zmierzyła ją takim spojrzeniem, jakby była ze szkła, co na Cher podziałało jak płachta na byka.

- Dziękuję, Thereso - powiedziała Jennifer. - Kurczak był wspaniały. Przykro mi z powodu surówki, niezbyt się udała. - Ruszyła do wyjścia z celi, a Cher przyszło do głowy, że byłoby dobrze, gdyby właśnie w tym momencie krata się zamknęła i przygniotła tę cholerną sukę. Przystanęła u wylotu korytarza i rzuciła przez ramię: - Muszę zadzwonić. Lepiej pójde już teraz, bo potem będzie długa kolejka.

- Bo i czego można by się spodziewać po panie Armani? - zauważyła złośliwie Cher. - Jak tylko skończymy obiad, zawsze ewakuuje się w pośpiechu, żeby nie zabrudzić rączek zmywaniem.

- Pomagała mi przygotować kolację - zaprotestowała Theresa. - Zrobiła surówkę, a to najbardziej kłopotliwe zajęcie. Znasz reguły: ten, kto szykuje jedzenie, nie zmywa.

- Nazywasz to szykowaniem żarcia? - warknęła Cher. - Nikt nawet nie wziął do ust tego świństwa, które zrobiła. To ma być surówka? Wrzuciła do miski, co jej w ręce wpadło. Nawet nie wiem, czy da się to spuścić z wodą w kiblu. - Spojrzała do miski, w której pozostała prawie nie tknięta kapusta tak mocno przyprawiona octem, że z daleka czuć było jego ostry zapach. - Sama powinna to zjeść.

- Przecież powiedziała, że musi zadzwonić. - Suki wstała z pryczy, żeby pozbierać talerze. - Ja ci pomogę zmywać, Cher. Nie mam nic przeciwko temu.

- Ja też nie mam nic przeciwko zmywaniu! Znam swoje obowiązki i nie wykręcam się od przypadającej mi części pracy, jeśli i cała reszta tak postępuje. Tylko o to mi chodzi. Możesz być pewna, że jutro będzie musiała zostać i zająć się sprzątaniami po moim obiedzie. A już się postaram, żeby miała co sprzątać. Na to możesz liczyć.

Movita pokręciła głową.

- Dziewczyno, plujesz na wszystkich dookoła już od dobrych piętnastu minut! Nie masz nic lepszego do roboty?! Może byś przećwiczyła swoje wystąpienie przed komisją zwolnień warunkowych i opowiedziała nam, jak dobrze nauczyłaś się żyć i współdziałać w grupie.

Cher usiadła z powrotem. Czyżby o to właśnie chodziło? Nie została wtajemniczona w sprawę, ponieważ miała niedługo wyjść? A Movita wciągnęła do grupy nowicjuszkę na jej miejsce? Poczowała, jakby w piersi tworzyła jej się wielka pustka, a coś wyraźnie pokłuwało ją w żołądek. Bardzo nie lubiła takich doznań.

- To dobry pomysł - mruknęła.

Wstała i z trzaskiem postawiła czajnik na blacie kuchenki elektrycznej. Mimo rozgoryczenia nie potrafiła zaprzeczyć, że bardzo zżyła się z całą grupą. W żadnej z dotychczasowych

wędrówek - a Cher zdążyła przemierzyć ten kraj wzdłuż i wszerz więcej razy, niż miała zmarszczek na dłoniach - nigdy nie spotkała kogoś takiego jak Movita. Naprawdę lubiła There-
sę, mimo jej bezpodstawnego optymizmu i głupiego zamiłowa-
nia do aforyzmów, oraz przemądrzałą Spencer. Chciałaby dalej
utrzymywać te znajomości. Wiedziała jednak, że po uzyskaniu
zwolnienia warunkowego nie będzie jej wolno widywać się ani
rozmawiać z dawnymi kumpelkami. Przepisy zabraniały na-
wet wysłania do więzienia listu bez zgody kuratora. To było
nie w porządku.

Zresztą nie w porządku było też zajęcie jej miejsca w grupie
przez Jennifer. Budziło to w niej dość trudne do określenia nie-
przyjemne uczucia. Była dotąd tak pewna swojej pozycji i swe-
go znaczenia dla grupy, że nawet nie zwracała uwagi na drob-
ne tarcia, jakie zdarzały jej się w kontaktach z koleżankami. Te-
raz jednak uświadomiła sobie z bólem, że powodem jej niechęci
do nowicjuszki jest w dużym stopniu zazdrość. Już pierwszego
dnia, kiedy zobaczyła dziewczynę w bieliźnie od Armaniego,
odebrała to jak poważny afront. Niemal każdym gestem i spoj-
rzeniem Spencer zdawała się przekonywać o swojej wyższości
równie skutecznie, jakby powiedziała wprost: „Jestem dużo
lepszą od was wszystkich, białej hołoty”. A mimo to Movita
bezsprzecznie ją faworyzowała. I Cher była o to zazdrosna. Nie
czuła się z tym dobrze, ale świetnie wiedziała, że nic nie zdoła
na to poradzić. Mogła tylko z żalem odnotować, że Watson
uznała Spencer za dobrą kandydatkę do swojej grupy i dlatego
postanowiła ją przygarnąć w miejsce Cher.

Nie miała jej tego specjalnie za złe. Zdrowy rozsądek podpo-
wiadał, że uzyskanie zwolnienia warunkowego jest znacznie
ważniejsze od możliwości wysłania choćby pocztówki do wię-
zienia. Dobrze wiedziała, że po wyjściu na wolność wcale nie
będzie myślała o kumpelkach z zakładu Jenningsa. Mogłaby
minąć There-
sę na ulicy i nawet jej nie zauważyć. Ale z drugiej
strony bardzo wiele znaczyła dla niej przyjaźń Movity, któ-
rej sytuacja była zupełnie inna. Watson musiała się troszczyć
o siebie, bo miała do odsiedzenia wieloletni wyrok. I dlatego
z prawdziwym bólem Cher odbierała fakt, że została zastąpio-
na w grupie przez nowicjuszkę.

Odwróciła się do Movity i zapytała ostro:

- A możesz mi wyjaśnić, czemu tak gorliwie włączysz w tyłek tej żałosnej białej siksie?

- Nie masz zielonego pojęcia, czym ona się zajmuje! - warknęła Movita. Najwyraźniej chciała coś jeszcze dodać, ale ugryzła się w język i odwróciła głowę, jakby bała się spojrzeć jej w oczy.

A więc jednak coś się szykowało. Cher zawsze potrafiła wy-czuć każdy przekręt i szwindel, w końcu od dwudziestu lat parała się kradzieżą. I teraz nie miała wątpliwości, że kroi się coś grubszego. Przez chwilę spod przymrużonych powiek spoglądała na Movitę. Woda w czajniku nie zagrzała się jeszcze wystarczająco, lecz nie bacząc na to, przelała ją do plastikowej miski.

- Co się dzieje, Movita? Dlaczego nie chcesz mi o niczym powiedzieć?

- Właśnie mówię, że powinniśmy dać Spencer trochę luzu, to wszystko - odparła Watson półgłosem, zgarniając do sedesu ogryzione kostki kurczaka i kwaśną surówkę z kapusty. - Nic więcej nie musisz wiedzieć.

Cher prychnęła pogardliwie. Ona od chwili, gdy stała się częścią grupy, nie dostała ani odrobiny luzu. Dla niej była to jedyna rzecz, z której nigdy nie udało jej się zdobyć należnej działki. Więc tym bardziej szlag ją trafiał, że teraz jakiejś bogatej nadaśanej panience z Nowego Jorku miał przypaść w udziale cały luz, i to jeszcze za zgodą Movity, która wobec innych stosowała żelazne reguły. Zdobycie jej łask zajęło Cher kilka miesięcy. Jakim cudem nowicjuszka miała od razu zostać jej najlepszą przyjaciółką?

Cher nigdy nie potrafiła się przyznać do własnych lęków, chociaż nie bała się mówić tego, co myśli, ale...

Puściła czajnik, który z brzękiem wylądował na podłodze, zawróciła na pięcie i ruszyła do wyjścia.

- Zaraz wytnę jakiś numer tej małej zdzirze i na tym skończy się jej luz!

Brutalnie odsunęła Suki z drogi i wybiegła na korytarz. Usłyszała, że Movita coś jeszcze mówi, lecz nawet się nie obejrzała.

Automaty telefoniczne znajdowały się w najdalszym kącie świetlicy. Jennifer stała przygarbiona, odwrócona plecami do

czekających w kolejce kobiet. Prawym ramieniem przyciskała słuchawkę do głowy, a lewą ręką zasłaniała drugie ucho, żeby odizolować się od panującego w sali zgiełku i ryczącego na cały regulator telewizora. Równocześnie zapisywała coś energicznie, tylko od czasu do czasu unosząc prawą dłoń, by powstrzymać narastające protesty czekających w kolejce do telefonu.

Cher ogarnęła to wszystko jednym spojrzeniem. W kilku długich susach dopadła automatu, wyrwała osłupiałej Jennifer słuchawkę z ręki i z trzaskiem odwiesiła ją na widełki.

- Co ty wyrabiasz, do jasnej cholery?! - zaprotestowała Jennifer.

- Musisz się nauczyć odwalać swoją działkę roboty, panienko - syknęła.

- Jeszcze nie skończyłam, a to była bardzo ważna rozmowa.

Spencer znowu sięgnęła po słuchawkę, lecz Cher z całej siły walnęła ją po rękę.

- Ja też jeszcze nie skończyłam, a to bardzo ważna rozmowa! - warknęła, przedrzeźniając nowicjuszkę.

Nieźle jej to wyszło, gdyż na sali rozległy się gromkie śmiechy i głośny aplauz. Tylko Movita obserwowała to zajście z poważną miną. Przepchnęła się bliżej automatów i rozkazała stanowczo:

- Dość tego! Spencer musi skończyć rozmowę!

- Po moim trupie! - wrzasnęła Cher. - Co jest tak cholernie ważnego, żeby ta mała zdzira miała prawo tyle czasu zajmować telefon?!

W kolejce rozległy się pełne uznania pomruki.

- Muszę się zajmować interesami - odpowiedziała pstro Jennifer.

- Interesami?! - powtórzyła z niedowierzaniem McInnery. - A jakie ty możesz tu mieć interesy?! Zresztą rozpowiadasz na lewo i prawo, że nie posiedzisz tu długo!

W świetlicy zapadła martwa cisza, oczy wszystkich kobiet zwróciły się na te trzy stojące przy automacie. Cher zdawała sobie sprawę, że naruszyła podstawową zasadę przynależności do grupy, zgodnie z którą nie wolno się publicznie kłócić i urządzać awantur. Ale kierowało nią dokuczliwe poczucie wyobcowania i głębokie rozczarowanie.

- Obie macie natychmiast zamknąć gęby! - nakazała Movi-

ta, po czym spiorunowała wzrokiem Cher. - Zwolnienie z więzienia nie wszystkim wychodzi na dobre. Wiesz o tym? - Cher poczuła, że się rumieni. Wielkie nieba! Nie знаła tego uczucia od chwili, kiedy skończyła dwanaście lat! Movita wskazała drzwi świetlicy i powiedziała: - Wyjdź ze mną. - Następnie odwróciła się do nowicjuszek i poleciła: - A ty wracaj na koniec kolejki. Połączysz się jeszcze raz i dokończysz rozmowę. - Spojrzała na czekające kobiety i zapytała: - Nie macie nic przeciwko temu, prawda, dziewczyny?

Pokiwały głowami. Jennifer posłusznie ustawiła się w rzędzie pod ścianą. Movita popatrzyła jeszcze na pierwszą w kolejce Lindę, skinęła głową, dając jej znać, że może już skorzystać z telefonu, po czym odwróciła się bez słowa i ruszyła do drzwi. Cher wyszła za nią na korytarz.

- Co tu się dzieje, do jasnej cholery?! - zapytała ostro, ledwie oddaliły się parę metrów od świetlicy. - Przecież widzę, że coś się kroi. Zawsze potrafię to wyczuć.

- Nie dzieje się nic, co mogłoby ciebie dotyczyć - odpowiedziała półgłosem Movita.

- Więc dlaczego mnie tak ostentacyjnie olewasz? - W głosie Cher zabrzmiały piskliwe, błagalne tony.

- To ty ostentacyjnie olewasz Spencer. Nie życzę sobie, żeby w mojej grupie wybuchały takie awantury, zwłaszcza na oczach tych nawiedzonych neofitek przesiadujących w świetlicy. Musisz zrozumieć, że Spencer należy teraz do naszej grupy. Jest jedną z nas i właśnie prowadziła rozmowę, o którą sama ją poprosiłam, a która ciebie ani trochę nie dotyczy. Jak na kogoś, komu udało się położyć łapę na dużych pieniądzech, zachowujesz się okropnie. Przypominam ci, że dyskryminowanie kogoś za to, że odniósł sukces finansowy, jest zwykłą hipokryzją. To żadne przestępstwo być bogatym. Jesteś po prostu zazdrosna, że jej się w życiu udało zgarnąć więcej niż tobie.

Cher położyła się spać z mocnym postanowieniem wyjaśnienia tej sprawy, w którą zaangażowano Spencer. Musiała się dowiedzieć, co Jennifer knuje, czy na pewno Movita o wszystkim wie i dlaczego ukrywa to przed nią.

Nazajutrz rano w drodze na śniadanie rzuciła nowicjuszcze zdawkowe przeprosiny, choć i tak wiele ją to kosztowało. Po powrocie z tacą do stolika specjalnie zajęła miejsce obok Jenni-

fer. Theresa paplała jak najęta o jakimś nowym programie komputerowym, o którym ostatnio wyczytała, a Suki powtórzyła im najświeższą plotkę, że Gloria w końcu uległa i umówiła się na randkę z Georgette, tą rozpustną suką, która od miesiący zabiegała o jej względy. Kiedy wreszcie zapadła cisza, Cher przystąpiła do ataku.

- Gdzie dokładnie mieszkasz w Nowym Jorku? - zwróciła się do Jennifer.

- W osiedlu Tribeca.

- Aha. To chyba gdzieś blisko Wall Street, prawda? - ciągnęła obojętnym tonem. - Czy to nie tam mieszkał John Kennedy?

- Owszem.

- Mieszkasz na tej samej ulicy?

- Nie. Jego dom stoi przy North Moore Street, a mój przy Washington Street.

- Poważnie? - zdziwiła się Cher. - Pod jakim numerem? Mam znajomego, który mieszka na Washington Street.

- Pod dwieście pierwszym.

- Aha. To pewnie bliżej śródmieścia.

Dołączyła do nich Movita. Jak zwykle na śniadanie wzięła tylko trzy kubeczki kawy i pół miseczki cukru. Suki jeszcze raz poszła do okienka i przyniosła sobie czubaty talerz czegoś, co miało uchodzić za domowe frytki.

- Wiesz co? - zagadnęła znowu Cher, grzebiąc łyżkowidelcem w swojej porcji. - Naprawdę mi przykro z powodu twojego chłopaka. Ja już zaliczyłam swój przydział łajdaków. Movita może poświadczyć.

Watson, jak zawsze rano niezbyt skora do rozmowy; tylko na krótko podniosła głowę i mruknęła:

- Nie są warci nawet tyle, co psie gówno na trawniku, a potrafią niezłe wkurzyć człowieka.

Cher przyjrzała się jej uważniej, ale Movita chyba niczego nie podejrzewała.

- Jak się nazywał twój narzeczony? Tom Branson?

- Branston - poprawiła Spencer.

- To pewnie też nadęty elegancik z Wall Street, co? Z gębą pełną gładkich słówek? - McInnery nie chciała przedwcześnie odsłaniać kart.

- Jest ostatnim dupkiem, a że to adwokat, więc jest dupkiem po uszy pełnym gówna - odparła Jennifer.

Theresa i Suki zachichotały.

- Mieszkaliście razem? Prałeś mu gacie?

- Nie. Dopiero zamierzaliśmy się pobrać.

- Więc kto teraz pilnuje twojego domu? Kto zmienia piasek twemu kotu i podlewa kwiaty? - ciągnęła Cher, chcąc jeszcze lepiej usposobić do siebie nowicjuszkę. - Właśnie do niego wczoraj dzwoniłaś?

- Nie - odparła ostrzej Jennifer. - Ale to nie zmienia faktu, że muszę dokończyć wczorajszą rozmowę.

- I tak będziesz mogła zadzwonić dopiero po pracy. Nie zamierzam ci więcej przeszkadzać. Jak już powiedziałam, przepraszam za swoje zachowanie. Wyjaśnij mi jednak, co jest takiego ważnego w tych twoich rozmowach telefonicznych.

Bardzo jej zależało, żeby któraś, czy to Spencer, czy Movita, wtajemniczyły ją w swoje sprawy. Ale Jennifer tylko pospiesznie odwróciła głowę.

- Podaj mi nazwisko i numer tego faceta - odezwała się Watson. - Gwen ma dziś spotkanie i nie będzie jej w biurze do południa. Spróbuję się z nim skontaktować, a gdy mi się uda, zadzwonię do pralni i powiem, że naczelniczka kazała ci się stawić w biurze. Dobrze?

Cher w jednej chwili straciła dobry nastrój. Nie zdołała się opanować i głośno prychnęła.

- Nie sądzisz, moja droga, że możesz się władować po uszy w jakieś straszne szambo? - zwróciła się do Movity. - W imię czego? Żeby ona mogła się w końcu dogadać ze swoim adwokatem czy jak? Dlaczego nawet jednym słowem nie chcecie nam powiedzieć, co się dzieje?

Watson tylko lekceważąco machnęła ręką, po czym zapisała na serwetce nazwisko i numer, który podyktowała jej Spencer. Cher zanotowała go w pamięci. Po chwili rozległ się dzwonek kończący śniadanie. Jak zwykle przy stole rozległy się pomruki dezaprobaty i kobiety zaczęły pojedynczo wychodzić ze stołówki.

Idąc do sekcji przyjąć, Cher raz i drugi pokręciła głową z niedowierzaniem. Nie mogła zrozumieć, co się stało z Movitą, skoro zamierzała złamać chyba wszystkie przepisy regulaminu,

żeby pozwolić Jennifer skorzystać z telefonu w gabinecie naczelniczki.

Kiedy rozstawały się przed stołówką, Watson wyjaśniła krótko:

- Po prostu chcę usłyszeć, skarbie, co ona ma do powiedzenia swojemu adwokatowi. To wszystko.

Przez cały dzień niepokoila się o Movitę i ową tajemniczą rozmowę telefoniczną. Przecież gdyby je ktoś przyłapał, obie wylądowałyby w karcerze, a Watson z pewnością straciłaby pracę w sekretariacie. Cher nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Movita przez resztę życia obierała ziemniaki w kuchni albo roznosiła lód po celach. Jasna cholera! Dlaczego podejmowała aż takie ryzyko dla dobra nowicjuszki? Czyżby się w niej zakochała?

W grupie nie było ani jednej lesbijki. W ogóle w zakładzie niewiele skazanych łączyło się w pary. Jeśli nawet to robiły, to zazwyczaj z powodu samotności, a nie z tęsknoty za mężczyznami. Po wyjściu na wolność nigdy nie zostawały w związkach homoseksualnych. Zdecydowanie więcej było takich, które chciały przeżyć krótką przygodę erotyczną. Cher było obojętne, czy się masturbują, czy wykorzystują do tego liście filodendronu, nie mogła się jednak pogodzić z myślą, że Movicie nagle odbiło i zapragnęła się kochać z nowicjuszką. Czemu więc tak wiele ryzykowała i traktowała Jennifer inaczej niż pozostałe? Przede wszystkim po co w ogóle przyjęła ją do grupy? Tak ją to zaprzętało, że nawet nie przyjrzała się bliżej rzeczom nowej laluni przywiezionej do zakładu.

Odetchnęła z ulgą, gdy ujrzała Movitę na obiedzie. Nie wylądowała jednak w karcerze. Czekwała cierpliwie, obmyślając szczegóły szykowanej niespodzianki, aż wreszcie zdybała obie z dala od innych. Najpierw spojrzała w oczy Movicie, potem Spencer.

- Powiecie mi wreszcie, co tu się dzieje, czy nie? - zapytała, ale nie otrzymała odpowiedzi.

- Niedługo wszystko może się tu gruntownie odmienić - mruknęła Watson dopiero wtedy, gdy usiadła na swojej przyczynie. - I nie ma to nic wspólnego z twoim zwolnieniem warunkowym.

- Jasne - bąknęła Cher. - Jak nie chcesz, to nie mów. I tak sama niedługo się wszystkiego dowiem. - Podeszła z talerzem do swojej pryczy i usiadła. - Wygląda mi jednak na to, że cokolwiek ma się wydarzyć, nasza panna Armani musi koniecznie skorzystać z telefonu, żeby na pewno stało się tak, a nie inaczej. Możecie przyznać, że przynajmniej pod tym względem mam rację?

- Tak - odparła Jennifer, kiwając głową. - Pod tym względem masz rację.

- Udało się wam dodzwonić? - zwróciła się Cher do Movity.

- Nie. Naczelniczka przez cały dzień siedziała w swoim gabinecie. Nie ruszyła się nawet na krok - odparła zdeglustowana Movita.

- W takim razie... - Cher odchyliła róg materaca, wyjęła spod niego aparat komórkowy i wyciągnęła w stronę Jennifer. - Zawsze możecie liczyć na moją pomoc. Proszę bardzo. Zwinęłam go tej nowej, którą przyjmowali na początku tygodnia.

- Co to jest? - zapytała Movita.

- Telefon komórkowy - wyjaśniła zdziwiona Jennifer. - Mój Boże! Prawdziwy telefon!

- Pokażcie.

Cher podała jej aparat, przypomniawszy sobie, że Movita siedzi w pace już od wielu lat.

- Do czego się go podłącza? - zapytała.

- Do niczego - odparła Cher. - A co myślałaś? Że musi mieć dzwonek i korbkę?

- Działa tak sam z siebie? - nie mogła uwierzyć Movita. - Bez podłączenia do centrali, bez prądu, bez niczego?

- Potrzebne są do niego akumulatory i ładowarka, którą włącza się do kontaktu - wyjaśniła Jennifer i zerknęła na Cher.

- Nie bój się, mam też ładowarkę - odpowiedziała szybko. - Ale jak was z nim przyłapią, to będziecie udupione na dobre.

- Jest naładowany? - spytała Jennifer, patrząc na telefon z taką czcią w oczach, jakby trzymała w ręku świętego Graala.

- Pewnie, do cholery - odparła z dumą Cher. - Już dzwoniłam z niego do mojego adwokata, żeby potwierdzić termin

przesłuchania w sprawie warunku. - Podała aparat Jennifer. - Potraktuj to jak prezent, symbol pojednania między nami.

Spencer popatrzyła na Movitę i wycedziła:

- Rozumiesz, co to oznacza? - Odwróciła się z powrotem do Cher i wymamrotała nieśmiało: - Sama nie wiem, co powiedzieć. To po prostu... najwspanialszy prezent, o jakim mogłam marzyć.

- Nie będzie taki wspaniały, jak ci zrobią rewizję w celi i go znajdą - odezwała się Movita. - Ale to wspaniałomyślne z twojej strony, Cher. - Popatrzyła jej prosto w oczy po raz pierwszy od kilku dni. - Bardzo dziękujemy. - Wzięła ją za rękę i dodała ciszej: - Posłuchaj. Po prostu nie chciałam cię martwić tą sprawą. Masz wystarczająco dużo na głowie w związku ze zwolnieniem warunkowym. Ale szykuje się tu coś naprawdę paskudnego i Jennifer próbuje jakoś temu zaradzić.

Cher wzruszyła ramionami.

- Co wam tu może grozić? Hiszpańska inkwizycja?

- Coś jeszcze gorszego, bo księża przynajmniej zostawiali porządnych katolików w spokoju - odparła Jennifer. - A te zmiany dotkną wszystkich w zakładzie.

Wtedy Movita opowiedziała Cher o raporcie wykradzionym z gabinetu naczelniczki, o planach prywatyzacji więzienia i wszystkim, co się z tym wiąże. Cher wysłuchiwała jej uważnie, w końcu pokręciła głową.

- Kurde - mruknęła. - Jeśli chodzi o takie machlojki, to nikt nie przebije bogatych białasów, którzy zawsze potrafią wykombinować coś sprytnego. I dobrze wiedzą, jak nagiąć przepisy prawa. - Zawiesiła na chwilę głos, po czym dodała: - Mam nadzieję, że istnieje reinkarnacja, bo w przyszłym życiu chciałabym zostać takim bogatym i spasionym białym sukinsynem.

27

Jennifer Spencer

- Spencer, Stevenson i Vassallo - wywołała oficer Mowbry cienkim, dziewczęcym głosem. - Macie gości. McInnery, przyjechał twój adwokat.

Jen szybko wstała z krzesła, zadowolona, że może wreszcie wyjść z poczekalni. Wiedziała, że odwiedził ją Lenny, nie była więc specjalnie podniecona, ale ciekawiło ją, czego zdołał się dowiedzieć o spółce JRU International.

Kiedy razem z koleżankami wkraczała do sali widzeń, ogarnęło ją uczucie, od którego poczuła obrzydzenie do samej siebie. Przez chwilę tak jak one rozglądała się dookoła, jakby była już jedną z nich - wyglądała tak samo i śmierdziała tak samo, niemalże z każdym dniem pobytu w zakładzie Jenningsa staczając się coraz niżej i niżej w hierarchii społecznej. Odnosiła nawet wrażenie, że stała się już integralną częścią tego odrażającego więzienia.

Kiedy tylko zgodziła się pomóc Movicie w rozwikłaniu problemu JRU, natychmiast uzyskała przeniesienie z pralni do biblioteki, przez co biedna Suki została zdana na łaskę losu. Przyjęła to z ulgą, a zarazem z poczuciem winy. Z rosnącym zdziwieniem obserwowała, że coraz bardziej lubi koleżanki z grupy - oczywiście Suki, ale także Movitę, a nawet nadzorującą robotę w pralni Florę. Przestała się też bać Wiosenki, wręcz utożsamiała się z nią pod względem nadrzędnego pragnienia ucieczki z tego odrażającego miejsca.

Dała się strażniczkom skontrolować i weszła do sali odwiedzin. Nawet nie myślała już o tym, żeby poprawić włosy.

W ogóle nie obchodziło jej, jak wygląda. W końcu miała się spotkać z Lennym, a nie z Tomem, na którym do niedawna jej zależało. W sali jak zwykle panował zgiełk i chaos. Rozejrzała się pospiesznie i dostrzegła stojącego w kącie Lenny'ego. Był średniego wzrostu, dość szczupły, drobnej budowy ciała. Miał na sobie szary garnitur w odcieniu, którego nie cierpiała, do tego jeszcze pomięty. Przestań wreszcie! - nakazała sobie w duchu. Dosyć! I tak powinnaś być mu wdzięczna, że w ogóle zechciał przyjechać! Aż uśmiechnęła się pod nosem na tę myśl. Nie uszło to uwagi Flory, która przystanąła tuż obok niej.

- To twój facet? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, dorzuciła: - Czy to nie wspaniałe? Uwielbiam dni odwiedzin.

Jennifer zrobiło się wstyd za wcześniejsze myśli. Flora cieszyła się powszechnym szacunkiem, bardzo się starała być fair wobec wszystkich pracujących pod jej nadzorem w pralni. I pod pewnymi względami lepiej się sprawdzała na kierowniczym stanowisku niż niektórzy kierownicy działów w spółce Hudsona i van Schaanka. Z pewnością miała pod sobą znacznie kłopotliwszych pracowników, chociaż i inwestorzy z firmy Jennifer zapewne daliby sobie radę z tutejszymi więźniarkami. Niemniej, idąc w stronę Lenny'ego Bensona, przyznała w duchu, że jest snobką. W tłumie gości jak zwykle biegało sporo dzieci, a wybijający się ponad zgiełk tubalny kobiecy głos z pewnością należał do którejś z krewnych Theresy. Wszyscy z jej rodziny wydawali się tak samo towarzyscy i tak samo lubili kłać na cały głos, chyba nawet bardziej niż przysłowiowy szewc.

Lenny ruszył w jej kierunku i zajął wolne miejsce przy stole między siostrą Marii, Blachę, a ciotką Theresy, Helen. W tym towarzystwie jego wymięty szary garnitur wydawał się równie podejrzany jak elegancki strój Toma. Na dodatek Benson trzymał pod pachą spore pudełko, dla niepoznaki owinięte wzorzystym papierem pakowym na prezenty. Jennifer uśmiechnęła się szeroko, gdyż wyglądał zabawnie. Czyżby uznał to za dobry żart? - przemknęło jej przez myśl.

- Cześć - powiedziała, siadając naprzeciwko. - Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna za odwiedzinę.

- Ależ wiem - odparł. - Prawdę mówiąc, to ja jestem ci wdzięczny. Z wielką radością przyjąłem twoje zaproszenie.

Jennifer rozejrzała się szybko po sali, którą wypełniał zgiełk rozmów, płacz i okrzyki dzieci, po czym uśmiechnęła się do Lenny'ego. Jak musiało wyglądać jego życie osobiste, jeśli z radością przyjął zaproszenie do odwiedzin w zakładzie Jenningsa? Niemniej, sądząc po jego minie, ani trochę nie kłamał.

- Dopisało ci szczęście z tymi informacjami, o które prosiłam?

- Znalazłem mnóstwo interesujących faktów - odparł i poklepał stojące na stole pudełko. - I przywiozłem ci sporo ciekawych rzeczy. Od czego chcesz zacząć?

- Nie powinieneś mi robić żadnych prezentów - powiedziała stanowczo. - Naprawdę. Wiesz, że mam dużo pieniędzy. Zwrócę ci wszystkie wydatki, co do grosza.

Lekceważąco machnął ręką, jakby odpędzał natrętą muchę sprzed nosa.

- Daj spokój. Nawiasem mówiąc, kto teraz zarządza twoimi pieniędzmi? I jak przedstawia się sytuacja z mieszkaniem? Kto opłaca czynsz i wszelkie bieżące należności?

- Zostawiłam to w gestii Toma, jest przecież moim adwokatem - wyjaśniła, myśląc jednocześnie, że chyba nie był to najlepszy pomysł. - Sądzę, że można mu zaufać. Obiecał ponadto, że będzie stale uzupełniał moje tutejsze konto w bufecie. - Zasmiała się krótko, z wyraźną goryczą. - Nie wolno mi wydawać więcej niż dziewięćdziesiąt dolarów na dwa tygodnie. To niezbyt dużo. - Lenny przez chwilę w milczeniu patrzył jej w oczy, dodała więc: - Strasznie jestem ciekawa... no, wiesz czego. Dużo udało ci się dowiedzieć?

- Owszem. Tyle, ile tylko było możliwe.

Podniósł z podłogi swoją aktówkę, dość skromną i podniszczoną, tak bardzo różniącą się od teczki Toma pochodzącej z salonu Gucciego. Jennifer znów rozejrzała się po sali, czekając, aż wyjmie dokumenty.

Wygląd współwzięniarek bardzo ją zaskoczył. Flora czy Maria, jak też inne kobiety, które znała ze swojej grupy bądź też z pracy w pralni, sprawiały tu zupełnie inne wrażenie. Na ich twarzach gościł niezwykle, niespotykany na co dzień wyraz... pełni życia. Nawet te, które płakały, czy to wysłuchawszy złych nowin o swoich najbliższych, czy też wskutek silnego rozczarowania, wyglądały na niezwykle ożywione. Popatrzyła na sie-

dzącą obok Theresę i zdziwiła się, że nawet ona, zawsze pogodna i tryskająca optymizmem, robiła wrażenie szczęśliwszej niż zazwyczaj.

Tymczasem JRU planowało całkowitą likwidację widzeń! Poczuła przypływ złości. Odwróciła się do Lenny'ego.

- Zaczniemy od bieżącej sytuacji. Czego się dowiedziałeś? Tylko mów cicho - uprzedziła, pochylając się nisko nad stołem.

- No więc, po pierwsze, JRU to prywatna spółka, w dodatku dość tajemnicza. Niełatwo było zdobyć informacje na jej temat. Ale... powiedzmy, że uruchomiłem własne kontakty.

Uśmiechnął się, a Jennifer po raz pierwszy zauważyła, że robią mu się urocze dołki na policzkach. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, czemu wcześniej tego nie spostrzegła - może dlatego, że chyba nigdy wcześniej nie widziała uśmiechu na jego twarzy.

- To duża firma? - zapytała.

- Nie. Z rocznym obrotem około trzydziestu milionów. A to zaledwie kapitał obrotowy, bo zyski są prawie równe zeru. W ciągu ostatnich trzech lat zdobyła tylko dwa rządowe kontrakty na zarządzanie zakładami karnymi.

Spencer się rozpromieniła.

- To bardzo dobra wiadomość. Przynajmniej nie jest to Philip Morris mający na każde skinienie hordy przeklętych adwokatów.

- Zgadza się. Niemniej wieści z tych zakładów, które już przeszły pod kontrolę JRU, nie są pomyślne. Wygląda na to, że spółka unika jakichkolwiek wydatków inwestycyjnych i stara się uzyskać choćby najmniejszy zysk na drodze maksymalnej redukcji kosztów.

- Cholera! Jak dalece jeszcze można pogorszyć więzienne zarcie? Początki każdej działalności są mało opłacalne, ale tu nie ma nawet perspektyw na przyszłość. Więc jaki oni widzą w tym interes?

- Pogrzebałem trochę głębiej i doszedłem do wniosku, że firma nastawia się na przejęcie przez jakiś duży koncern, na przykład Wackenhut. Oczywiście we wszystkich materiałach reklamowych przedstawia się jako „wschodząca gwiazda in-tratnego przemysłu więziennego”.

Jennifer zmarszczyła brwi.

- To ma być intratny przemysł? - mruknęła. - Kto jest prezesem firmy? Jakiś nowy Steve Ross, który zaczynał od ciułania groszy za miejsca parkingowe?

- John Tarrington, jeden z wiceprezesów Wackenhut. Oprócz niego w radzie zasiada garstka młodych finansistów, którzy pragną zdobyć doświadczenie w przemyśle. Zapewne wykorzystują prywatne znajomości do zdobywania kontraktów, a doświadczenie i nazwisko Tarringtona do uatrakcyjniania ofert. Nawiasem mówiąc, zdobyłem kopie kilku wcześniejszych propozycji.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Znakomicie. Więc o co w tym wszystkim chodzi?

- Spółka najwyraźniej nie zamierza skierować akcji do wolnej sprzedaży, jakby się bała podejmować ryzyko. To by potwierdzało mój wniosek, że szykuje się na wchłonięcie przez jakiegoś molocha. Właściwie nie dysponuje niczym poza tymi dwoma kontraktami rządowymi.

Jen w zamyśleniu pokiwała głową. To rozumowanie trzymało się kupy, ale trudno było też wykluczyć, że na przykład Tarrington miał na pieńku z którymś ze swoich mocodawców i chciał mu zwyczajnie podłożyć świnię. Wśród mężczyzn takie rozgrywki nie należały do rzadkości.

- Tak czy inaczej, firma cierpi na brak funduszy - dodał Lenny, wyciągając kilka dokumentów z tabelami zawierającymi dane finansowe. Wskazał jej parę liczb, zwrócił uwagę na niektóre zależności i po krótkim milczeniu rzekł: - No, dobra. Zrobiłem, o co prosiłaś, o nic nie pytając. Może zechcesz mi teraz wyjaśnić, skąd to zainteresowanie?

- JRU chce przejąć również ten zakład.

- Tak słyszałem.

- Jakim sposobem zamierza zdobyć kontrakt, jeśli jest aż tak bardzo...

- A od kiedy to władze stanowe podejmują rozsądne decyzje w interesach? - przerwał jej. - Nie znam jeszcze politycznych powiązań Tarringtona ani reszty rady nadzorczej, ale za kilka dni powinienem już coś wiedzieć na ten temat. Co ci chodzi po głowie, Jennifer?

Musiła przyznać w duchu, że Lenny spisał się znakomicie.

- Na razie jeszcze nic - odparła szczerze.

- Można by... trochę pomieszać szyki JRU - zaproponował.
Jen skinęła głową i znów popatrzyła w bok, na twarze Flory, Marii i pozostałych kobiet.

- Tu jest okropnie - powiedziała - ale pod zarządem spółki może być jeszcze gorzej. Chciałabym temu zapobiec. - Pochyliła się jeszcze bardziej w stronę Bensona i dodała ciszej: - Mam jednak związane ręce. Nie chcę robić niczego, co mogłoby zostać uznane za niewłaściwe zachowanie. Muszę uczynić wszystko, aby mój pobyt w więzieniu był możliwie najkrótszy.

- To zrozumiałe.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Przykro mi - odezwał się wreszcie Lenny.

- Miałeś rację co do Toma. Może nawet nie tylko do niego... - Urwała, gdyż ścisnęło ją w gardle i łzy napłynęły do oczu.

Benson położył jej dłoń na rękę.

- Nie marnuj na niego łez. To łobuz spod żółtego szczura.

Jennifer mimo woli zaśmiała się krótko.

- Spod żółtego szczura? Jeśli mnie pamięć nie myli, tak się nazywa sklep w Soho. - Ucieszyła się, że znów może normalnie mówić. - W ubiegłym tygodniu wylądowałam w karcerze - zaczęła, po czym opowiedziała mu o całym zajściu po widzeniu z Tomem. Słuchał uważnie, patrząc na nią ze współczuciem. Kiedy miała już powiedzieć o swych długotrwałych zmaganiach z trzęsącymi się rękoma, spojrzała mu w oczy i mruknęła: - Nie powinnam cię tym wszystkim obarczać. To było okropne. Przepraszam. Po prostu musiałam się przed kimś wyzalić.

- Nic nie szkodzi - odparł szybko, lekko ściskając oburącz jej dłoń. - Mów dalej. To bardzo ciekawe.

Zaczęła więc mówić o swojej grupie, kłopotach z Cher, a zwłaszcza o Watson i jej bulwersującym odkryciu. Nieświadomie spuściła przy tym głowę, zgarbiła się, a potem objęła rękoma. Dopiero gdy skończyła opowieść, zdała sobie sprawę, że nie tylko zaciska ręce, jakby przemarzła, ale w dodatku rytmicznie kiwa się na krześle w przód i w tył. Wyprostowała się, zmieszana, i popatrzyła na Lenny'ego, spodziewając się ujrzeć minę pełną dezaprobaty czy wręcz obrzydzenia. Ale on spoglądał na nią z takim współczuciem, że aż ścisnęło ją w dołku.

- Amnesty International otwarcie krytykuje amerykański system więziennictwa - odparł. - Wiesz o tym? Podobno jest uważany za najgorszy na świecie. W dodatku od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego liczba skazanych kobiet wzrosła pięciokrotnie.

- Mój Boże! - jęknęła. - To... przerażające. Popatrz na te kobiety. - Ruchem głowy wskazała więźniarki siedzące naokoło przy stołach. - Większość nawet nie popełniła poważniejszego wykroczenia. Albo działały w obronie własnej, albo po prostu znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Możesz to sobie wyobrazić?

- Jasne. Sporo czytałem na ten temat. Głośna była sprawa Rebeki Cross, którą skazano na dwadzieścia lat więzienia bez możliwości zwolnienia warunkowego, chociaż nigdy wcześniej nie była karana. I za co? Za to, że znaleziono przy niej narkotyki wartości pięćdziesięciu pięciu dolarów.

- No właśnie. To wprost niewiarygodne. Jest tu nawet spora grupa kobiet, które w ogóle nie są niczemu winne.

- Tak jak ty - wtrącił Lenny.

Pokręciła głową.

- Niestety, obawiam się, że nie jestem tak całkiem...

- No to prawie niewinna - wpadł jej w słowo. - W każdym razie nie ty powinnaś siedzieć w więzieniu.

- Uczciwie mnie ostrzegałeś. Ale byłam chciwa. I głupia. Wybrałam drogę na skróty.

- Zapomnij o tym - rzekł z typową dla siebie stanowczością. - Wróćmy do JRU. Powiem ci, co ja o tym myślę. Jeśli chcesz zyskać wpływ na poczynania spółki, możemy spróbować umieścić kogoś w radzie nadzorczej albo znaleźć doświadczenie do któregoś z jej członków. Pamiętasz urzędnicze afery z pierwszej kadencji Busha?

- Nie interesowałam się nimi za bardzo.

- Bush poszedł jeszcze dalej niż Reagan, chociaż i tak republikanie mieli wtedy jeden wielki piknik. Przeworsował uwolnienie spod rządowej kurateli wszystkich kas oszczędnościowych i finansiści zaczęli je wykupywać na lewo i prawo, a potem udzielać korzystnych pożyczek swoim lekkomyślnym koleśkom, przez co grosze cieżane przez wszelkie mamusie, wdowy i sieroty poszły na przykład na słynne turnieje golfo-

we organizowane przez takie republikańskie szumowiny jak Keating.

- Ach, tak. Przypominam sobie tę sprawę.

- To kolejny łobuz spod złotego szczura. W każdym razie jego kolesie przestali spłacać pożyczki, a ponieważ on nachapał się już wystarczająco z procentów od ich kredytów, ogłosił upadłość swojej oszukańczej kasy. I z powodu archaicznego regulaminu Korporacji Ubezpieczeń Depozytów Federalnych to podatnicy musieli pokryć wszelkie niedobory.

- Tak, już pamiętam. Czy przypadkiem w tę aferę nie był zamieszany jeden z najbliższych współpracowników Busha?

- Owszem. Fled, jeden z prezesów Silverado, innego dużego banku, który zbankrutował. Na siłę wepchnięto go do rady nadzorczej, chociaż nie miał zielonego pojęcia o sprawach finansowych. Zmierzam do tego, że w twojej sprawie można znaleźć spore podobieństwa. Wtedy rząd pozbywał się kas oszczędnościowych, stwarzając hienom okazję do oczyszczenia kont, teraz zaś przystępuje do prywatyzacji zakładów karnych, dając następną okazję do defraudacji funduszy państwowych, z których ledwie drobna część pójdzie na utrzymanie infrastruktury i opiekę nad więźniami. I dlatego spółka się nie przejmuje, że nie ma prawie żadnych zysków z pracy skazanych, skoro zamierza słono odsprzedać podlegające jej zakłady albo nawet ogłosić bankructwo.

- To bardzo prawdopodobne - przyznała Jennifer. - A powiedz mi, Lenny, co ci wiadomo o braciach Rafferty, Brysie i Tylerze.

- Wpakowali się z jajami w sprawy, których nikt inny nie chciał tknąć. - Zaczerwienił się nagle. - Wybacz mi to słownictwo. Nie chciałem być wulgarny.

Spencer szybko spuściła głowę, by nie zauważył jej szerokiego uśmiechu. Wszyscy finansiści z Wall Street kłęli niczym szewcy, jakby bez tego ich działania były nieważne.

- Z mojego punktu widzenia najistotniejsze jest to, czy są gotowi wypiąć się również na współników, czy tylko na inwestorów.

- Tego ci nie powiem, ale chyba łatwo się będzie dowiedzieć. Zadzwoń do mnie we wtorek. Powinienem mieć już coś

więcej na ich temat. Tylko czemu o nich pytasz? Myślisz, że mogą mieć jakiś wpływ na JRU?

- Nie umiem powiedzieć konkretnie, dlaczego się nimi interesuję. Naprawdę nie mam żadnego gotowego planu działania. Sprawdzam tylko różne możliwości.

- Chciałbym, żeby wśród tych możliwości znalazło się machnięcie na to wszystko ręką i wyjście na wolność.

- Tom obiecał, że przycisnie Howarda McBane'a.

- Naprawdę za grosz bym mu nie ufał - powiedział smutno Lenny. - I na twoim miejscu zastanowiłbym się poważnie nad zmianą adwokata. W każdym razie już teraz mogę ci obiecać, że gdy zaczniesz się dobierać do twoich pieniędzy, zrobię wszystko, żeby go powstrzymać.

- Daj spokój. Jeśli nawet nie zamierza się już ze mną zenić, to przecież nie jest złodziejem i na pewno nie opuści mnie w potrzebie. Donald także nie ma zwyczaju łamać danego słowa. - Lenny odwrócił głowę, więc zapewniła go: - Naprawdę nie zostanę tu długo. Ale martwi mnie los, jaki czeka pozostałe kobiety. Większość tych, które zdążyłam poznać, to nie kryminalistki, lecz ofiary.

Czas odwiedzin zbliżał się ku końcowi, ale Benson nie zamierzał jeszcze zbierać się do wyjścia.

- Zaczekaj - rzekł. - Nawet nie spojrzęłaś, co ci przywiozłem. Nie jesteś ciekawa?

- Żartujesz? - spytała z uśmiechem. - Jestem przecież materialistką. Już wcześniej lubiłam prezenty, a pewnie nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo uwielbiamy tu odbierać paczki.

- Wszystkie rzeczy były starannie zapakowane - powiedział, westchnąwszy głośno - ale porozwijali je podczas kontroli. Zniszczyli całą moją robotę. - Wyjął z pudełka jaskrawoczerwoną wstążkę do włosów i pomiętą gazetę, która okazała się stroną z „Wall Street Journal”. - Jeszcze specjalnie tak dobiebrałem artykuły w prasie do prezentów, żebyś miała lepszą zabawę.

- Nie przejmuj się, nic się nie stało. I tak wszystko przeczytam z przyjemnością. - Zajrzała do środka. - Mój Boże! Mydła Floris! Skąd wiedziałeś, że to moje ulubione?

Lenny zarumienił się i wzruszył ramionami.

Jennifer szybkim spojrzeniem obrzuciła pozostałe produkty. W pudełku była następna pasta do zębów, dezodorant i pastylki miętowe, chipsy Pringles, chrupki cebulowe, herbatniki Bahlsena, a nawet pudełko drogich czekoladek deserowych Richard - także pogniecione i rozerwane.

- Przykro mi - rzekł Benson. - Do wszystkiego zagląдали.

- Szukają kontrabandy - wyjaśniła, rozkładając ręce. Popatrzyła ze smutkiem na małe delikatne, ręcznie dekorowane czekoladki. - Boże, są naprawdę śliczne. Dobrze, że nie zjedli wszystkich podczas kontroli. Dziewczyny z mojej grupy będą zachwycone.

- Będę ci co tydzień przywoził pudełko, jeśli tak bardzo je lubisz.

Popatrzyła mu w oczy. Z jakiego powodu był dla niej aż tak miły? W końcu uważała go dotąd za nudnego i oschłego formalistę. A w rzeczywistości wcale nie był nudny, zwłaszcza że zgodził się jej pomóc i faktycznie włożył sporo pracy w szukanie informacji na temat JRU. Zresztą w niczym nie przypominał tamtego Lenny'ego, którego pamiętała z biura - małomównego, zamkniętego w sobie, wiecznego sceptyka. Może po prostu nie każdego mężczyznę należało osądzać po wyglądzie...

- Jak nazwałś Toma? - zapytała.

- Łajdakiem spod żółtego szczura. Bo to prawda.

- Zgadza się. - Choć chyba nie wszyscy faceci są takimi łajdakami, dodała w myślach, patrząc mu w twarz.

- O co chodzi? - zaciekał się. - Jakoś dziwnie zamilkłaś.

- Nic takiego. Wszystko w porządku - odparła szybko i zaczęła dalej przekładać prezenty w pudełku.

28

Gwen Harding

Brzęczyk interkomu wyrwał Gwen z zamyślenia.

- Komisja zwolnień warunkowych czeka na panią - odezwała się śpiewnym głosem panna Ringling.

- Dziękuję. Już idę.

Tego dnia ważyły się losy Cher McInnery, ale ona miała do zakomunikowania komisji same dobre rzeczy o tej skazanej. Dzięki Bożej opatrności ktoś jeszcze mógł wyjść na wolność, nim zakład Jenningsa całkiem się pograży. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że Cher nie zrobi żadnej głupoty, dalej będzie się zachowywała tak, jak ostatnio, i nie wróci do więzienia. Niestety, nie zdarzało się to zbyt często. Strach przed nieznaną rzeczywistością na Zewnątrz i zbytnia dociekliwość komisji czasami odnosiły taki skutek, że więźniarki odmieniały się diametralnie i gotowe były nawet popełnić poważne wykroczenie, byle tylko pozostać w zakładzie. Na szczęście McInnery nie miała zadatków na recydywistkę. Gwen obserwowała ją od pewnego czasu i sama zauważyła u niej pozytywne zmiany od chwili, gdy Movita włączyła Spencer do grupy.

Niektóre przepisy, stworzone głównie dla skazanych mężczyzn, źle się sprawdzały w odniesieniu do zwalnianych warunkowo kobiet. Jednym z nich, budzącym największy sprzeciw Harding, był całkowity zakaz kontaktowania się z byłymi współwięźniarkami. W stosunku do mężczyzn był on w pełni uzasadniony, gdyż wielu nie karanych wcześniej młodych ludzi w więzieniu uczyło się od starszych kolegów różnych sztuczek i przestępczego rzemiosła, by po uzyskaniu zwolnienia

warunkowego od razu skontaktować się z bardziej doświadczonymi kryminalistami i wrócić na złą drogę. Ale kobiety, zwłaszcza podczas odsiadywania wieloletnich wyroków, za kratami nawiązywały głównie cenne znajomości i serdeczne przyjaźnie. Dlatego Gwen uważała całkowity zakaz kontaktów na Zewnątrz z koleżankami z więziennych „rodzin” za zbyt surowy, odnoszący skutek przeciwny do zamierzonego. W przypadku kobiet tak rygorystyczne ograniczenie kontaktów w sytuacji, kiedy potrzebowały wszelkiego możliwego wsparcia na drodze powrotu do społeczeństwa, wydawało jej się po prostu śmieszne. Przypominało dodatkową okrutną karę dla kogoś takiego jak Cher, wyjątkowo żywej z „siostrami” z grupy - Movitą, Theresa oraz Suki.

Harding wzięła z biurka teczkę z aktami McInnery, wyszła z gabinetu i uśmiechnęła się do Watson.

- Niektóre zmiany są jednak dobre dla wszystkich, Movita. Naprawdę.

Po powrocie z przesłuchania z kamienną twarzą przeszła przez sekretariat do gabinetu. Dobrze wiedziała, jak bliska przyjaźń połączyła Movitę z Cher, wołała jednak, żeby ostateczna decyzja w tak ważnej kwestii, jak zwolnienie warunkowe, została oficjalnie ogłoszona przez komisję, a nie była rozpowszechniana w plotkach. Siedziała przy swoim biurku głęboko zamyślona i na dźwięk interkomu aż podskoczyła na krześle.

- Słucham.

- Przyjechali ludzie z JRU i chcą się z panią zobaczyć - powiedziała ostro, chrapliwym głosem Movita. Gwen przemknęło przez głowę, że może wcale nie jest to efekt jakiejś usterki interkomu, tylko reakcja Watson na jej kolejne spotkanie z przedstawicielami firmy.

Wiedziała, że Movita nie jest głupia i łatwo mogła się domyślić zmian, jakie wkrótce mają nastąpić w zakładzie. Poza tym sama mogła uchylić jej rąbka tajemnicy tamtej nocy, kiedy wypłała za dużo ginu. Niczego jednak nie pamiętała, a od tamtej pory żadna z nich nie nawiązała ani jednym słowem do przykrego zdarzenia.

Gwen wcisnęła czerwony klawisz i powiedziała do mikrofonu:

- Przyślij ich od razu do mnie, Movita, jak tylko wejdą na górę.

- Dobrze, proszę pani.

Pomyślała, że bardzo będzie jej brak Watson. Zaparła się o kraweźdź biurka, odepchnęła z krzesłem do tyłu i powoli wstała. Podeszła do drzwi i spojrzała w wiszące na nich niewielkie lustro. Na jej skroni wciąż jeszcze widniała jaśniejsza blizna po tamtym rozcięciu głowy. Na szczęście nie rzucała się już w oczy. Gwen szybko poprawiła makijaż, zgarnęła nieco włosy na bliznę i umalowała wargi, po czym zaczęła nerwowo krążyć po gabinecie w oczekiwaniu na gości. Nurtowało ją pytanie, kiedy zostanie zwolniona ze stanowiska. Bała się, że może do tego dojść już dzisiaj. Wyjrzała przez jedno z trzech okien wychodzących na dziedziniec, obawiając się, że przed wejściem może już czekać na nią furgonetka, która zabierze wszystkie jej prywatne rzeczy po tym, jak obchód dobiegnie końca i jej miejsce formalnie obejmie przedstawiciel JRU.

Od chwili uzyskania formalnej koncesji od władz stanowych ludzie ze spółki uwijali się jak mrówki w mrowisku. Nie było jednego pomieszczenia w budynku, którego by nie obejrzeli. Tymczasem Gwen ogarniały coraz większe obawy, gdy myślała o szykowanych zmianach. Podejrzewała, że dzisiaj pozna już szczegóły.

Kontrola ludzi wkraczających na teren więzienia musiała potrwać parę minut, toteż Harding była już nieźle spocona, zanim rozległo się pukanie. Zdażyła usiąść za biurkiem, gdy Movita zajrzała do środka, by zapowiedzieć gości. Miała jednak dziwną minę. Uniosła wyciągnięty palec ku górze i bezgłośnie przekazała: „Tylko jedna”. Co się stało? - przemknęło Gwen przez myśl. Czyżby zarząd JRU postanowił zrezygnować z dalszych oględzin przejmowanego zakładu?

Watson otworzyła szerzej drzwi i Harding uśmiechnęła się do wysokiej szczupłej kobiety, ale przywitała ją na tyle lodowato, na ile potrafiła:

- Dzień dobry.

Tamta jednak nie zwróciła uwagi na jej ton. Wkroczyła do gabinetu z dumnie uniesioną głową i bez zbędnych formalności przystąpiła do rzeczy.

- Nazywam się Marlys Johnston i chciałam przekazać, czego

my z JRU oczekujemy od pani w okresie przejściowym, naczelniczko Harding - zaczęła oschle, nim zdążyła się dobrze usadowić na krześle przed biurkiem.

Roztaczała wokół siebie aurę władzy, sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zarozumiałej i pewnej siebie niż Jennifer Spencer podczas pierwszej wizyty w tym gabinecie. Być może wynikało to z jej wieku, gdyż wyglądała na jakieś trzydzieści sześć lub nawet trzydzieści osiem lat.

Pochyliła się na krześle i postawiła swoją elegancką skórzaną aktówkę na samym środku biurka. Najwyraźniej bardzo dobrze zarabiała, ponieważ Gwen w całej dotychczasowej karierze nie widziała jeszcze u nikogo takiej teczki. Zwróciła też uwagę na niezwykle połysk jej paznokci w świetle jarzeniówek. Musiała korzystać z usług manikiurzystki, gdyż paznokcie miała równiutko i precyzyjnie polakierowane na jasnoróżowo z pozostawionym od zewnątrz półksiężycowatym białym brzegiem. Gdyby Harding było stać na manikiurzystkę, na pewno by wiedziała, jak się nazywa ten ostatni krzyk mody. Głośno szcęknęły zamki. Johnston uniosła wieko aktówki i wyjęła z niej gruby, starannie oprawiony maszynopis.

- Wszystko zostało opisane w tym raporcie - powiedziała, wręczając jej papiery. Gwen uśmiechnęła się szeroko, ujrawszy na okładce, obok firmowego emblematu JRU, wytłoczony tytuł: „Spojrzenie z Zewnątrz”. Od razu skojarzył jej się z Wiosenką, która wielokrotnie podejmowała próby ucieczki z więzienia. - Sądzę, że zapoznanie się z nim ułatwi pani zrozumienie tego, jakie możliwości kryją się w murach zakładu Jenningsa - dodała ze sztucznym, wymuszonym uśmiechem. - I przekona się pani, mam nadzieję, że problemy opisane w pani raporcie do Stanowego Nadzoru Więziennictwa wyglądają nieco inaczej, jeśli się na nie spojrzy z innego punktu widzenia.

Gwen bez pośpiechu przysunęła się z krzesłem do biurka i obrzuciła dokument podejrzliwym spojrzeniem. Nie miała już żadnych wątpliwości, że przegrała batalię i musi teraz zacząć myśleć o przetrwaniu. Jak ostateczny cios odebrała wiadomość, że jej raport skierowany do zwierzchników przedostał się do JRU, chociaż powinien być poufny. Wynikał stąd tylko jeden wniosek: władze stanowe nie były i chyba nigdy nie zamierzały

być po jej stronie. Bo z pewnością nie była po jej stronie Marlys Johnston.

Niemniej z upływem czasu Harding przekonywała się coraz bardziej, że zarząd JRU nie przysłał jej tu, by przejęła stanowisko naczelniczki bądź też wymówiła jej pracę. Miała za zadanie ją przestraszyć lub zniechęcić.

- Na terenie zakładu jest bardzo dużo niewykorzystanej przestrzeni - powtórzyła po raz kolejny. - Na przykład rekreacyjnej, zarówno na zewnątrz, jak i w budynku. Dotyczy to także całej sekcji odwiedzin, biblioteki oraz sali wykładowej.

Gwen natychmiast przełożyła to na własny język: chodziło o szatnię, parking przed budynkiem, hol wejściowy, pakamerę z jednym regałem pełnym starych książek i drugą pakamerę, ze składanym stolikiem i kilkunastoma krzeselkami. To miała być „przestrzeń rekreacyjna”? Kogo oni, do cholery, chcieli oszukać? A sekcja odwiedzin? Składała się z jednej większej sali, z której taflą kuloodpornego szkła oddzielono niedużą poczekalnię. Niemniej wszystkie jej obiekcje spływały po Johnston jak woda po gęsi.

- Może zechciałyby pani obejrzeć te pomieszczenia? - zaproponowała Harding, siląc się na spokój. - Oprowadzę panią, a później się przekonamy, co pani o tym myśli.

- Naprawdę wystarczą mi plany architektoniczne, Gwen. Mogę mówić do pani po imieniu?

- W zakładzie obowiązują formalne zwroty. Do skazanych nie zwracam się inaczej, niż „panno” czy „pani”, i nie pozwalam, by ktokolwiek mówił do mnie inaczej niż „naczelniczko”. Tego samego oczekuję po przedstawicielach nowego zarządu.

Johnston tylko uniosła brwi i nic nie odpowiedziała.

- Naszym największym zmartwieniem jest pięćdziesięcioprocentowa obsada zakładu - powiedziała, kiedy ruszyły korytarzem w kierunku bloków. - Wszystkie cele są czteroosobowe - dodała, zapisując coś w notesie.

- Owszem - przyznała Gwen. - Jak wyjaśniałam to już parę razy przedstawicielom JRU, zostały zaprojektowane przed laty na potrzeby więzienia dla mężczyzn. W zakładzie dla kobiet muszą zostać uznane za cele dwuosobowe.

Marlys znowu nie wyłowiła najważniejszej informacji z tej odpowiedzi. Była gotowa widzieć jedynie to, co chce zobaczyć.

- Można więc założyć, Gwen, że w ten sam sposób połowicznie wykorzystane są wszelkie inne działy zakładu Jenningsa - ciągnęła bez zająknięcia. - Na przykład kuchnia albo pralnia, które też mogłyby obsłużyć dwukrotnie więcej skazanych. Co prawda, nie znam szczegółowych danych, ale podejrzewam, że sekcja opieki zdrowotnej także jest za duża dla przebywających tu obecnie więźniarek. Zgadza się, Gwen?

Harding tylko zazgrzytała zębami. Nie miała najmniejszej ochoty, aby ta baba mówiła jej po imieniu. Dlatego zrobiła kilka szybkich oddechów, gdyż miała obawy, że ze zdenerwowania może zacząć się jąkać.

- No cóż, gdybyśmy dysponowali trochę nowszym sprzętem i mieli pełną obsadę lekarską i pielęgniarzką, można by uznać to twierdzenie za prawdziwe.

- Po co ten pesymizm, Gwen?

- Panno Johnston - wycedziła Harding z naciskiem, aż Marlys nagle przestała robić notatki i popatrzyła rta nią zdziwiona. - Obie doskonale wiemy, że pani opinie są uzasadnione jedynie na papierze. Ten zakład zbudowano ponad trzydzieści lat temu. Bez wątplenia w zaprawie murarskiej jest dużo azbestu, a ściany pomalowano farbami zawierającymi związki ołowiu. Wszyscy penolodzy twierdzą zgodnie, że więzienia dla kobiet muszą się różnić od więzień dla mężczyzn. Gdyby uważnie zapoznała się pani z moim raportem, na pewno nie powtarzałyby pani, że da się tu pomieścić dwukrotnie więcej skazanych.

- Proszę zrozumieć, naczelniczko - odparła Marlys przymilnym tonem - że moim zadaniem jest pomóc pani w wykonywaniu obowiązków i zadbać, by planowana transformacja przebiegała w miarę możliwości bezboleśnie. Chcę z panią współpracować, Gwen, a nie działać przeciwko pani. Po prostu trzeba zrobić wszystko, aby i pani spojrzała na to z zewnątrz. Rozumiemy się?

Harding zastanawiała się przez chwilę, jak mogłaby zostać ukarana, gdyby wymierzyła policzek tej aroganckiej babie. Odegnęła jednak od siebie takie myśli i pokiwała głową, usiłując zachować obojętną minę, czy nawet zdobyć się na uśmiech. Naszły ją bowiem obawy, że Marlys stwarza jej ostatnią szansę - jeśli nawet wątplą, to jednak szansę - powtórnego

wyłączenia swoich obiekty, zanim wprowadzane zmiany do-
szczerznie zrujnują to, co przez tyle lat z mozołem budowała.

- Obawiam się, że każdą transformację należy przeprowa-
dzać powoli i stopniowo - odparła. - Więzienna społeczność
może być bardzo agresywna.

- Ależ oczywiście! Właśnie dlatego zaczniemy od drobnych
zmian w terminarzu odwiedzin. - Gwen chciała jej przerwać,
ale ugryzła się w język. - W celu przystosowania skazanych do
całotygodniowej pracy najpierw znieśmy widzenia w dni po-
wszednie. Łatwiej im się będzie z tym oswoić, gdy w środy po
obiedzie także będą musiały pracować.

- Przecież odwiedziny bliskich są nadzwyczaj istotne dla
podtrzymania na duchu więźniarek w zakładzie Jenningsa -
odparła Gwen, ledwie mogąc zachować spokój. - Poza tym nie-
którzy krewni i znajomi pracują w czasie weekendów, zwłasz-
cza ci z niższych warstw społecznych, i dlatego nie można...

- Nie tylko można, ale i trzeba - przerwała jej z uśmiechem
Johnston. - Naprawdę musi pani spojrzeć na to z zewnątrz.
W związku z tym mam prośbę, aby już dziś po obiedzie ogło-
siła pani tę zmianę dotyczącą odwiedzin w najbliższą środę.
Niech wszystkie panie prześpią się z tą świadomością.

- Jeśli w ogóle będą mogły zasnąć po usłyszeniu takiej
nowiny. Nie sądzi pani, że należałoby dać im więcej czasu?
Niektórzy krewni z miesięcznym wyprzedzeniem planują
przyjazd na odwiedziny.

- Niestety, musimy jak najszybciej zacząć wprowadzać
zmiany, naczelniczko, jeśli chcemy, aby już w drugim kwartale
fiskalnym zakład przyniósł jakikolwiek zysk - odparła lodowa-
to Marlys. - Będzie to oznaczało konieczność redukcji kosztów,
zmniejszenia liczebności personelu oraz przystąpienie do pro-
dukcji na zlecenia przemysłu.

- A w jaki sposób odbije się to na życiu skazanych? Jakoś
nie potrafisz uwierzyć...

- Jeśli chce pani odnieść sukces pod zarządem JRU, Gwen,
musi pani zacząć myśleć pozytywnie.

Johnston zamknęła notes i wrzuciła go do swojej eleganckiej
teczki, uważając, by nie połamąć modnie wymanikiurowanych
paznokci, po czym sztywno skinęła jej głową na pożegnanie, na
co Gwen była zdolna jedynie odpowiedzieć w ten sam sposób.

Po jej wyjściu długo siedziała przy biurku, rozmyślając o tym, jak bardzo przydałby się jej kieliszek ginu. Uznała, że wobec perspektywy przyspieszonych przygotowań do transformacji zakładu musi się napić. Po krótkim namyśle przekreśliła kluczyczek, wysunęła dolną szufladę i popatrzyła na stojące w rzędzie piersiówki. Bez wahania wyjęła jedną i szybko odkreśliła. Pociągnęła spory łyk prosto z butelki, po czym zakreśliła ją dokładnie i odstawiła na miejsce w szeregu.

Tłumaczyła sobie, że to efekt czysto psychologiczny. W końcu musiała mieć jakieś życiowe nawyki, nie mogła od razu ze wszystkiego zrezygnować. Obiło jej się o uszy, że ludzie próbujący rzucić palenie często sięgają po papierosa, trzymają go w palcach, udają, że strząsają popiół i rozgniatają w popielniczce, a nawet wkładają do ust i wciągają przez niego powietrze. Chodziło wyłącznie o to, aby go nie przypalać. Postanowiła więc zastosować podobną metodę odzwyczajania się od ginu. Zebrała kilka piersiówek, napełniła je wodą i poustawiała rzędkiem w szufladzie. Stwarzało jej to fałszywe poczucie wygody, jakże nieodzownej w takim momencie jak ten.

Co prawda, nie została jeszcze zwolniona ze stanowiska, ale czuła się tak, jakby to już nastąpiło. Nietrudno jej było wyobrazić sobie zgiełk i rumor, jaki musi wywołać wiadomość o likwidacji widzeń w środy. Do diabła, mogło nawet dojść do rozruchów. Jeśli nawet czasami ktoś się czuł rozczarowany, gdy umówieni goście nie przyjeżdżali albo nie mogli zostać przez pełną godzinę, to przecież więźniarki w pełni sobie zapracowały na te dodatkowe odwiedziny. I bardzo ją bolało, że to właśnie ona musi teraz zapowiedzieć zmianę. Jej podopieczne były bardzo wyczulone na pewne rzeczy, zwłaszcza takie, do jakich przywykły. Wciąż miała w pamięci zamieszanie w stółcówce, jakie powstało któregoś dnia, gdy zamiast obiecanej jajecznicy kobietom podano naleśniki. Więźniarki bardzo stanowczo domagały się tego, co im obiecywano. Źle przyjmowały jakiegokolwiek, choćby najmniej istotne zmiany.

Zresztą i Gwen musiała przyznać w duchu, że nie cierpi zmian, jakie muszą nastąpić w jej życiu z powodu prywatyzacji zakładu. Gdyby teraz zrezygnowała ze stanowiska, musiałaby prawdopodobnie zgodzić się na obniżenie pensji czy wręcz znaleźć sobie inną pracę. A gdzie miałyby jej szukać? Aż serce

zabiło jej mocniej, gdy w wyobraźni ujrzała siebie w roli zatrudnionego na pół etatu portiera w Wal-Mart. Musiałaby ciuć grosz do grosza i zrezygnować z ubezpieczenia zdrowotnego, a zyskałaby jedynie dostęp do artykułów sprzedawanych pracownikom po promocyjnych cenach i ewentualnie wolne wtorki, które w handlu ogłoszono „dniem seniora”.

Kiedy sięgała po kubek z kawą, przed oczyma wyobraźni ujrzała sceny z biblijnej drogi krzyżowej, gdyż sama poczuła się jak ukrzyżowana.

29

Jennifer Spencer

Tylko objęte służbową tajemnicą listy od adwokatów nie były w zakładzie Jenningsa otwierane i kontrolowane. Kiedy Jennifer dostała grubą kopertę ze stemplem kancelarii Howarda McBane'a, pobiegła do swojej celi i szybko ją rozerwała. Wyciągnęła ze środka gruby plik dokumentów, odnalazła list przewodni, rozłożyła go i zaczęła czytać.

Szanowna panno Spencer

Po gruntownym zapoznaniu się z pani sprawą i przeczytaniu protokołów z rozprawy jesteśmy przeświadczeni, że brak jest solidnych podstaw do wniesienia apelacji. Rozmowy przeprowadzone z reprezentującym panią Thomasem Branstonem wskazują, że co do tego pakuje zgodność.

Oczywiście, moglibyśmy sporządzić wniosek apelacyjny oparty na niepewnych przesłankach, ale byłoby to bardzo czasochłonne i kosztowne. Jeśli mimo powyższej opinii zdecyduje się pani na to, będziemy panią reprezentować, jednakże musimy uprzedzić, że wynik apelacji pozostanie wątpliwy. Nasza kancelaria domagać się też będzie pokrycia z góry kosztów prac nad wnioskiem.

Jak pani widzi, załączam szczegółowe uzasadnienie poparte opiniami starszych współpracowników naszej firmy oraz najważniejszymi fragmentami cytowanych protokołów z rozprawy sądowej.

Jennifer spoglądała na to pismo z rosnącym przerażeniem. Próbowwała zaczerpnąć głęboko powietrza, lecz wciąż brako

wało jej tchu w piersi. Po raz drugi powoli przeczytała list, chcąc się upewnić, że niczego nie przeoczyła.

Nie miała już żadnych wątpliwości, że popełniła wielki błąd, nie związany jednak z tym przeklętym pismem - olbrzymią pomyłką było zaufanie Donaldowi i Tomowi. Najpierw uwierzyła im, że przed sądem na pewno nie zostanie uznana za winną, a kiedy tak się stało, przyjęła ich gwarancje, że otrzyma wyrok w zawieszeniu. Gdy dostała karę więzienia, wciąż jeszcze brała za pewnik, że proces zostanie unieważniony, a po odrzuceniu tego wniosku nadal ufała w zapewnienia Toma, że apelacja jest tylko kwestią paru tygodni. Nawet po zerwaniu przez niego zaręczyn była przekonana, że Howard zatroszczy się o to, by odzyskała wolność. A teraz właśnie McBane informował ją, że „brak jest solidnych podstaw do wniesienia apelacji”. Czyżby wszyscy nagle zapomnieli, że to nie ona, lecz Donald Michaels był winny zarzucanych czynów?

Spojrzała na drugą stronę pisma, przy której pierwsza robiła wrażenie dobrej wiadomości. Aż ją zatkało. Kancelaria do swego „uzasadnienia” dołączyła rachunek na dwieście osiemdziesiąt tysięcy dolarów! Musiała jęknąć głośno, gdyż Suki, która właśnie weszła do celi, zapytała z niepokojem:

- Dobrze się czujesz?

Jennifer nie była w stanie odpowiedzieć. Nie mogła zaczerpnąć oddechu przez boleśnie zaciśnięte gardło. Znowu jęknęła. Boże, uważała się za najsprytniejszą i najmądrzejszą ze wszystkich więźniarek, a była co najwyżej najlepiej wykształconą naiwną kretynką w całym więzieniu. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że od samego początku robiono z niej kozła ofiarnego. Może nawet romans oraz zaręczyny z Tomem były tylko wybiegiem mającym wzbudzić zaufanie przyszłej ofiary. Poczowała wzbierające mdłości, więc położyła się na bryczy i wtuliła głowę w poduszkę. Zatrokana Suki pochyliła się i wzięła ją za rękę. Jen znów tylko jęknęła.

- Wszystko w porządku, Jenny? Może chcesz, żebym zawołała Movitę?

Pokręciła głową. Nic nie było w porządku, lecz Movita w niczym nie mogła jej pomóc. Donald Michaels prowadził podejrzane interesy od samego początku wielkiego boomu w przemyśle elektronicznym. Tak samo postępowali chyba wszyscy

maklerzy z Wall Street, tyle że on działał szybciej, agresywniej i nie krył się z tym specjalnie. Zawsze miał świadomość, że giełdowa komisja bezpieczeństwa oraz inspektorzy agencji nadzoru rynkowego szczegółowo badają jego transakcje. Dopiero teraz Jennifer uświadomiła sobie, że być może zatrudniła ją tylko po to, by mieć idealną żywą tarczę, z pozoru niewinną dziewczynę po szkole katolickiej. A ona się łudziła, że ujęła go swoimi rozważaniami na temat miśnieńskiej porcelany!

- Jenny? Co się dzieje? Przerażasz mnie - pisnęła Suki.

- Nic mi nie będzie - bąknęła. Skoncentrowała się tylko na uregulowaniu oddechu, gdyż niedobór tlenu zaczynał jej mącić w głowie. - Usiądź obok mnie - rzekła, chociaż przez mgłę przed oczyma nie widziała, czy Suki stoi, czy też siedzi już na brzegu pryczy. Ale jeszcze nie potrafiła powiedzieć jej prawdy. Musiała się zastanowić. - Daj mi chwilę - dodała.

Pomyślała, że nawet jeśli Howard nie chciał się zająć jej sprawą, to przecież Donald obiecał pokryć wszelkie wydatki, powinna więc zacząć szukać innej kancelarii, która zajęłaby się jej apelacją chętniej od tych pajaców ze Swithmore & McBane. Kosztami też nie musiała się martwić, bo gdyby jej były szef robił trudności, mogła z automatu w świetlicy zadzwonić do giełdowej komisji bezpieczeństwa i ujawnić rozmaite szczegóły jego działalności. Byłoby nawet lepiej, gdyby telefon rzeczywiście znajdował się na podsłuchu, gdyż zamierzała wyjawić prawdę nie tylko odpowiednim władzom, lecz także agentom FBI oraz inspektorom urzędu skarbowego.

Usiadła, spuściła nogi na podłogę i spojrzała na Suki.

- Pomóż mi - poprosiła, kucając przy nodze łóżka.

Wspólnymi siłami uniosły piętrową pryczę, żeby wydostać telefon komórkowy ukryty w pustej nodze.

- Uważaj na korytarz. Muszę przeprowadzić naprawdę bardzo ważną rozmowę.

Suki skinęła głową i podeszła do kraty. Jennifer wybrała numer komórki Toma. Nie dbała o to, że na ekraniku wyświetli mu się numer tego kradzionego aparatu, ponieważ nie znał go jeszcze, powinien więc odebrać, nie czekając, aż włączy się automatyczna sekretarka. Jak się spodziewała, zrobił to już po pierwszym sygnale.

- Słucham, Tom Branston.

- Dobrze wiem, kim jesteś - powiedziała szybko - więc lepiej się nie rozłączaj, jeśli już wiesz, kto dzwoni.

- Jennifer? - zapytał zdziwiony z wyczuwalnym strachem w głosie.

Postanowiła od razu przejść do rzeczy.

- Widziałeś list, jaki przysłał mi ten kretyn, McBane?

- Korespondencja między adwokatem a klientem jest objęta tajemnicą służbową, Jen. Nie widziałem listu, ale Howard kontaktował się ze mną...

- Tylko mi nie zalewaj, Tom. Lepiej odpowiedz na pytanie, czy od samego początku ustawialiście mnie na tym bocznym torze, czy tylko uznaliście za najodpowiedniejszego kandydata do odstrzału.

- Posłuchaj, Jennifer. Naprawdę nie mogę teraz rozmawiać...

- Ani mi się waż przerywać połączenia! - huknęła stanowczo, chcąc go jeszcze bardziej przestraszyć. - Drugie pytanie, które muszę ci zadać, dotyczy numeru telefonu Charlesa Haineya z giełdowej komisji bezpieczeństwa, ponieważ zamierzam szepnąć mu słówko na temat waszych metod postępowania.

- Jennifer, ja...

- Lepiej oszczędź sobie dalszych kłamstw! Jeśli razem z Donaldem nie znajdziecie natychmiast sposobu i pieniędzy na to, żeby mnie stąd wyciągnąć, to obaj będziecie tego bardzo, ale to bardzo żałowali.

Zapadła martwa cisza, aż Spencer nabrała podejrzeń, że mimo wszystko się rozłączył. Ale po chwili jego głos rozbrzmiał tak głośno i wyraźnie, jakby Tom stał tuż obok niej w celi. Zatracił łagodne brzmienie, stał się ostry i nieprzyjemny, lecz zarazem przebijał w nim coraz silniejszy lęk.

- Tylko nie rób żadnych głupot, dobrze? Nie widziałem tego listu od Howarda, ale zaraz do niego zadzwonię. Skontaktuję się też z Donaldem. Wiesz, że wciąż możesz na nas liczyć, lecz jeśli faktycznie jesteś winna...

- Jeśli jestem winna?! - wrzasnęła chrapliwie, aż Suki spojrzęła przez ramię i gestem nakazała jej mówić ciszej. - Posłuchaj - syknęła z taką wściekłością, jakiej chyba jeszcze nigdy nikomu nie okazywała. - Zrobiłam dokładnie to, o co prosiłicie. I zrobiłam to wyłącznie na waszą prośbę. Wszystko uzgod-

niliśmy. Jeśli jestem winna, to obaj z Donaldem jesteście winni znacznie bardziej i możecie mieć olbrzymie kłopoty. Chyba zapomniałaś, że wiem wszystko na temat oferty Fischera, a przecież wtedy nie pracowałam jeszcze w firmie. Do tego Sam Sutton zdradził mi szczegóły transakcji z Omnigroup, nie wspominając już o tym, że i Donald po kilku kieliszkach martini puścił parę na ten temat.

Doszła do wniosku, że to powinno go dostatecznie przerazić. Odpowiedział jednak lodowatym tonem:

- Dzwonisz z aparatu komórkowego, Jennifer. Gdyby ktoś przechwycił tę rozmowę, mógłby ją uznać za próbę szantażu. - Zawiesił na chwilę głos. - To, że zerwałem z tobą zaręczyny, nie jest wystarczającym powodem do zemsty.

- Jakiej zemsty? Czyś ty zwariował? Przestań mnie wreszcie traktować jak zaślepioną idiotkę. Lepiej uwierz mi, Tom, że chodzi wyłącznie o sprawę zawodowe.

- Zatem w imieniu Donalda Michaela, jak też całej firmy Hudsona i van Schaanka - rzekł oschłym, kategoriycznym tonem, jakby prowadził negocjacje handlowe - muszę ci zakomunikować, że nie damy się wciągnąć w żadne tego rodzaju brudne rozgrywki.

Spencer z rozdziawionymi ustami zapatrzyła się w telefon. Czyżby temu sukinsynowi naprawdę odbiło? Jak mogła go tyle czasu uważać za porządnego faceta?

- W porządku. Oficjalnie możesz twardo stać na stanowisku, że czarne jest białe - odparła. - Ale jeśli w ciągu trzech godzin nie uzyskam od ciebie zapewnienia, że Donald Michaels nie wyłożył pieniędzy i nie zaangażował w mojej sprawie Alana Derschovitza albo jeszcze lepszego adwokata, to...

- Jennifer, ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Wziąwszy pod uwagę twoją winę, może być nawet dowodem konfliktu interesów. Niemniej spróbuję porozmawiać z Howardem i Donaldem. Zadzwoń do mnie wieczorem, około dziesiątej.

- Nie mogę dzwonić o dziesiątej! - rzuciła ze złością. - Zapomniałaś, że siedzę w więzieniu? Zadzwoń o ósmej. I byłoby lepiej, gdybyś miał dla mnie dobre wiadomości.

Szybko przerwała połączenie, przywołała Suki i przy jej pomocy schowała z powrotem aparat w nodze łóżka.

Znów nie mogła złapać oddechu, nie potrafiła wydusić z sie-

bie choćby jednego słowa ani też przełknąć tego, co dławiło ją w gardle. Miała wrażenie, że lada chwila zacznie się dusić.

- Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze uda nam się zachować tajemnicę - mruknęła Suki blada jak ściana, kładąc się na swojej pryczy.

Jennifer wdrapała się na górę i usiadła ze spuszczoneymi nogami, zadowolona, że może wreszcie siedzieć wyprostowana na swojej pryczy. Suki poprosiła, żeby się zamieniły miejscami, bo musiała teraz częściej wstawać w nocy. A w ciągu dnia prawie nie mówiła już o niczym innym niż o dziecku.

- Musisz bardzo uważać - ostrzegła ją Jennifer - bo wszystkie możemy przez ciebie mieć kłopoty.

- Dlaczego miałybyście wszystkie mieć kłopoty? Przecież żadna z was nie ponosi winy za moją ciążę?

Czasami aż przykro było słuchać tych naiwnych albo przynajmniej pozornie naiwnych tłumaczeń Suki.

- Pewnie, że możemy - mówiła Jen z naciskiem. - Narażamy się na pobyt w karcerze.

- Na pewno nie tylko z powodu mojej ciąży.

Jennifer zaśmiała się teraz głucho. Pod tym względem Suki miała rację, znacznie więcej ryzykowały, ukrywając w celi telefon komórkowy.

- Nie ma w tym nic śmiesznego! - skwitowała Suki z niezwykłą dla siebie urazą. - Naprawdę przeżyłam straszne chwile. Odżyły moje najgorsze wspomnienia z czasów, kiedy miałam dwanaście lat i mój kuzyn Travis zmuszał mnie, bym to robiła z nim i jego kolegami.

Jennifer popatrzyła na nią w osłupieniu.

- Nie mogę uwierzyć, żeby Camry był zdolny do tak agresywnych zachowań.

Suki odwróciła głowę i zapatrzyła się na ścianę.

- Bo to nie był Roger - powiedziała cicho ze złością. - On jest najlepszy ze wszystkich strażników.

- Myślałam, że...

Suki ułożyła się na wznak i mruknęła pod nosem:

- Boże! Aleś ty naiwna! To był Karl Byrd. Nienawidzę go.

Ośłupiałej Jennifer żołądek podszedł do gardła. Przypomniały jej się ironiczne uwagi i niedwuznaczne propozycje Byrda. Niewiele brakowało, aby i ona padła ofiarą gwałtu. A prze-

cież Suki ani razu nie poskarżyła się na to, że zaszła w ciążę. Najwyraźniej w ogóle nie łączyła w podświadomości swego przyszłego dziecka ze zniechęconym mężczyzną będącym jego ojcem. Przypomniała sobie, jak podczas nauki w college'u czytała w podręczniku z antropologii o pewnym prymitywnym plemieniu, w którym w ogóle nie kojarzono stosunków seksualnych z późniejszą ciążą. Czyżby przyszłej matki w ogóle nie obchodziło, że ojcem jej ukochanego dziecka będzie ktoś taki jak Karl Byrd? Usłyszała, że Suki mówi coś bardzo cicho, pochyliła się więc na krawędzi pryczy.

- Dostałam wtedy przydział do pralni. A Byrd pracował na dziennej zmianie. - Umilkła na chwilę, jakby musiała zebrać w sobie odwagę, żeby kontynuować. - Rozdzielałyśmy z Florą brudy, kiedy jedna z pralek skończyła wirować i rozległ się dzwonek. Byrd wysłał wówczas Florę, żeby sama wyładowała ciuchy z bębna, a mnie kazał iść po następną porcję brudów. Leżały na podłodze...

Znów zapadła cisza. Suki musiała zacząć szlochać, bo z dołu doleciały stłumione pochlipywania i Jennifer zauważyła po cieniu na podłodze, że koleżanka unosi rękę, by otrzeć łzy z twarzy.

- Zanim cię przywieźli, nosiłyśmy wszystkie długie zielone sukienki. I kiedy się schyliłam... - z sykiem wciągnęła powietrze - ...zaszedł mnie od tyłu. Zakrył mi ręką usta i pchnął mnie na stos brudnych ciuchów. Przydusił mnie do nich z całej siły, aż nie mogłam oddychać. Na początku nie rozumiałam, o co mu chodzi. Leżałam z nosem wciśniętym w brudy, prawie się dusząc, a on przygniatał mnie swoim ciężarem. I nagle poczułam jego kutasa...

Jennifer zeskoczyła ze swojej pryczy i pochyliła się nad Suki. Było jej niedobrze.

- Dlaczego nie zawiadomiłaś o tym naczelniczki? Czemu pozwoliłaś, by uszło mu to płazem? Przecież to był gwałt!

- Zgadza się. Zrobił to wtedy i później jeszcze dwa razy. Dwa razy, Jen! Za ostatnim próbowałam się bronić, odwróciłam się twarzą do niego, ale złapał mnie za gardło.

Spencer poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

- Och, Suki! Tak mi przykro! Od pierwszego dnia, jak tylko

go zobaczyłam, wiedziałam, że to łobuz. Ale dlaczego nie powiedziałaś o niczym Movicie albo Cher?

- Powiedział, że mnie stłucze, jeśli pisnę komuś choć słówko. Groził, że gdyby doszło do konfrontacji, wszystkiemu zaprzeczy, a nikt nie uwierzy takiej zastraszonej i zakłamanej dziwce jak ja. - Urwała na chwilę. - Powiedział też, iż powinienam się cieszyć, że nie jest czarny. Tak powiedział.

- Musimy coś zrobić - zdecydowała Jennifer. - Nie wolno tego tak zostawić.

Suki chwyciła ją za rękę i ścisnęła mocno.

- Nie, proszę - odparła, patrząc jej prosto w oczy. - Zwłaszcza teraz, gdy udało mi się wytrwać aż do chwili, kiedy nikt nie będzie mnie próbował wysłać na aborcję. Wiem, że moje dziecko jest wynikiem gwałtu, ale chcę je urodzić. Starszą córkę musiałam oddać do sierocińca i już nigdy jej nie zobaczę. A pragnę mieć kogoś, kogo będę kochać i kto będzie kochał mnie. - Poklepała się po brzuchu. - Dziecko stwarza kobiecie drugą szansę, Jenny. A Roger mówi, że się mną zaopiekuje, kiedy stąd wyjdę. Postara się być dla dziecka dobrym ojcem.

Oślupiała Jennifer usiadła na betonowej posadzce. Wprost nie mogła uwierzyć, że Suki jest aż tak naiwna, odważna i głupia. Potraktowano ją w sposób, którego ona nie mogła sobie nawet w pełni wyobrazić, a mimo to potrafiła znaleźć pozytywne strony swojej sytuacji.

- Rozumiem cię - odparła cicho i sama delikatnie położyła dłoń na jej brzuchu. - Być matką to jest coś. Mówię szczerze.

Tego popołudnia ledwie skubnęła parę kęsów obiadu, chociaż Movita dobrze gotowała. Grzebała łyżkowidelcem w talerzu, aż Cher zapytała:

- Zamierzasz w ogóle coś zjeść, czy chcesz z tego zrobić obraz do powieszenia na ścianie?

Nie odpowiedziała. Nie włączała się też do rozmowy. Czuła się jak żywy stoper odmierzający sekundy do godziny dwudziestej. Bardzo chciała zająć pierwsze miejsce w kolejce do automatu, toteż ze zmywaniem uwinęła się najszybciej, jak potrafiła. Wolała nie dzwonić tym razem z aparatu komórkowego, gdyż obawiała się, że zauważy ją któryś strażnik albo Tom nabierze podejrzeń i sprawdzi dane właściciela tego numeru.

Poza tym rezerwowała komórkę do sprawy prywatyzacji, a nie do własnych interesów. Kiedy Movita ją o coś spytała, czego nawet nie usłyszała, tylko pokręciła głową i pomogła jej układać zmyte talerze w pudle pod stolikiem. Uporawszy się z tym, wybiegła na korytarz i popędziła do świetlicy.

Panował tu już ogłuszający hałas. Telewizor jak zwykle ryczał na cały regulator, a dwie dość liczne grupy kobiet przekrzykiwały go, dyskutując zaciekle na temat drużyn rozgrywających transmitowany mecz. Nieco dalej jakaś więźniarka zawodziła żałośnie, kiwając się rytmicznie na krześle. Spencer bez wahania podeszła do telefonów i ustawiła się tam, żeby nie zasłaniać ekranu, po czym wybrała domowy numer Toma. Aż kolana zaczęły jej dygotać, kiedy pomyślała, że lada chwila może wybuchnąć z wściekłości na tego zdrajcę. Ledwie do niej dotarł głos operatorki z centrali, która zapytała:

- Dzwoni do pana Jennifer Spencer. Zgodzi się pan przyjąć rozmowę na swój koszt?

Obejrzała się i posłała wrogie spojrzenie gromadzie hałaśliwych kibiców futbolu, ale w tym samym momencie usłyszała Toma, który powiedział tylko:

- Jennifer. - Ton jego głosu sprawił, że przeszył ją dreszcz. - To ostatnie rozmowa z tobą, którą przyjmuję. Jeśli jeszcze raz zadzwonisz pod ten numer, skontaktuję się z naczelniczką więzienia i złożę skargę o naprzykrzanie się. Zrozumiałaś? - Nie mogła wydusić z siebie głosu, powtórzył więc: - Czy wyraziłem się jasno?

- Tom Branston? - zapytała cicho. - Tom? Tu Jennifer. - W słuchawce panowała cisza. - Tom?

- Przykro mi, Jennifer - odparł pospiesznie. - Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. Naprawdę dokładnie przeanalizowaliśmy wszystkie materiały i doszliśmy wspólnie do wniosku, że sprytnie próbowałaś ingerować w interesy firmy i zostałam na tym przyłapana. Nazbyt kierowałaś się własnymi ambicjami, za bardzo chciałaś iść drogą na skróty. I właśnie dlatego nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

Tej nocy w ogóle nie spała, ale nie zmarnowała też ani jednej minuty na płacz. Przeklinała się w duchu za głupotę, za to, że uważała się za mądrzejszą, niż była i obdarzyła ślepym

zaufaniem ludzi, którzy zrobili karierę i zbili majątek, wykorzystując całe rzesze takich idiotek jak ona.

Wiedziała jednak, że rozpamiętywanie przeszłości na nic się nie zda. Wmawiała sobie, iż miała szczęście w porównaniu z innymi kobietami śpiącymi teraz w swoich „domach” w tym samym bloku. Powtarzała to jak mantrę, nabrawszy obaw, że lada chwila zacznie się trząść tak silnie, iż w końcu rozpadnie się na pół niczym spróchniała kłoda pod uderzeniem siekiera. A przecież nie mogła do tego dopuścić, nie wolno jej było stracić panowania nad sobą. W jej pamięci odżyły duże ciemne oczy Movity i rada, jaką usłyszała, kiedy siedziała w karcerze: „Pobyt tutaj może załamać człowieka na zawsze. Ale może też dodać mu sił”.

Dostała wyrok od trzech do pięciu lat więzienia. I po raz pierwszy usiłowała sobie na trzeźwo wyobrazić, co to oznacza. Wzorowe zachowanie pozwoliłoby jej się starać o zwolnienie warunkowe po upływie półtora roku. Tymczasem miała wrażenie, jakby już odsłużyła dożywocie. Nie stać jej było na luksus zapomnienia o upływie czasu, nie mogła więc sobie wyobrazić, jak zdoła wytrzymać za kratami aż tak długo.

Zawsze była optymistką, uważała to za cechę dziedziczną. Nie bała się też ciężkiej pracy. Wróciła myślami do swojego mieszkania, jedwabnych dywanów, zabytkowych mebli i bardzo miękkiej, delikatnej pościeli Pratesi. Koc, którym się teraz przykrywała, stanowił jej dokładne przeciwieństwo, ale tutaj musiał wystarczyć. Znowu przypomniała sobie, że mimo wszystko miała szczęście. W przeciwieństwie do Maggie Rafferty czy Movity Watson miała odzyskać wolność i chociaż z przyjemnością zamordowałyby Toma i Donalda, to w żadnym razie nie chciałyby zapłacić tak wysokiej ceny za zabójstwo. Wolała też nie wracać do dawnej pracy, nawet gdyby było to możliwe. Ale Movita i Maggie miały rację: dotąd postępowała egoistycznie. Życie nie ograniczało się przecież do szesnastu godzin pracy dziennie, wydawania kupy forsy na różne rzeczy i urządzania sobie od czasu do czasu wspaniałych wakacji. Podczas tej długiej bezsennej nocy uzmysłowiła sobie z całą mocą, że los złożył na jej barki odpowiedzialność za rozwiązanie sprawy prywatyzacji zakładu i przyszłości więźniarek.

Nie modliła się od wielu lat. Nie była nawet pewna, czy

nadal tli się w niej wiara w Boga zaszczipiona przez siostry w szkole zakonnej. Wierzyła jednak w przeznaczenie, w istnienie wyższej siły, która z jakichś powodów stawia ludzi w określonych sytuacjach. Jeszcze przed świtem nabrała pewności, że jej przeznaczenie jest nieodłącznie związane z losem kobiet przebywających w zakładzie Jenningsa. Co więcej, w krótkim czasie te kobiety stały się jej bliższe niż przez lata wszyscy współpracownicy i rywale z firmy Hudsona i van Schaanka.

Próbowała ułożyć się wygodniej na wygodnym materacu, ale było to niemożliwe. Kiedy usłyszała kroki strażnika patrolującego blok, pomyślała, że potrafi już po nich rozpoznać Mowbry, wysoką i mocno zbudowaną Afroamerykankę okazującą skazanym wiele współczucia. Skojarzyła, że właśnie współczucie jest najbardziej potrzebne w więzieniu. Poza tym niezbędne były tu setki różnych rzeczy, od nowych książek i podręczników do biblioteki, po specjalną sekcję dla karmiących matek. Listę potrzeb można by ciągnąć w nieskończoność.

Raz za razem przewracała się na pryczy. Nie miała już żadnych wątpliwości, że będzie musiała odsiedzieć całą zasądzoną karę, ale po raz pierwszy przyznawała w duchu, że słusznie została ukarana. Miała swój udział w machinacjach i nielegalnych transakcjach Michaelisa. Oczywiście, nie mogła postępować inaczej. I Tom, i Donald, jak też pozostali pracownicy firmy - wszyscy w jakimś stopniu ponosili odpowiedzialność. Podobne machinacje przeprowadzało wielu fachowców z innych firm działających na Wall Street. Ale w niczym nie umniejszało to jej winy. Tym bardziej niewybaczalna była duma, z jaką dotąd odbierała wyniki swoich poczynań.

Tak, to był jej największy grzech - duma z tego, że ona, Jennifer Anne Spencer, uważała się za sprytniejszą od innych i szukała ucieczki od takiego życia, do jakiego została przeznaczona, by zastąpić je innym, tylko z pozoru znacznie lepszym. Nie miała przecież żadnych powodów, by szczególnie wysoko cenić swój umysł. Był takim samym darem natury, jak jej piękne niebieskie oczy, i niemal takim samym, jak majątki odziedziczone przez wiele jej koleżanek z Wharton, których tak bardzo im zazdrościła. Tyle że wykorzystała ten dar i całą swoją ener-

gię na zdobywanie przedmiotów, choćby w rodzaju zabytkowej biedermeyerowskiej szafy.

Leżała na wygniecionym materacu, przykryta po szyję sfilcowanym szorstkim kocem, i postanowiła nie wracać do przeszłości. Silna wola była jej mocną stroną, musiała ją zatem wykorzystać, aby pomóc nie tylko sobie, ale w miarę możliwości także współwięźniarkom.

Postanowiła nazajutrz porozmawiać z Maggie i skontaktować się z jej synami. Obaj uchodzili za ryzykantów bez przerwy balansujących na granicy prawa, ale przecież nie musiała już dłużej troszczyć się o swoją reputację. Na tę myśl uśmiechnęła się do siebie w ciemności i zajęła się tym, co umiała najlepiej - poszukiwaniem rozwiązania postawionego przed nią problemu z zakresu gospodarki wolnorynkowej. Zadowolona z podjętych właśnie decyzji, usnęła na krótko dopiero wtedy, kiedy za o kratowanym okienkiem pod sufitem zaczął wstawać pierwszy brzask.

30

Movita Watson

Kiedy po raz pierwszy ujrzałam Cher McInnery, pomyślałam, że jest typową przedstawicielką zwariowanej i lekko-myślnej, biednej białej hołoty. Nie obchodziło jej to, co inni o niej myślą. Nigdy nie próbowała udawać nikogo innego. Ale uznałam ją za cholernie sprytną i ani trochę się nie pomyliłam. Na wszystko dokoła patrzyła złodziejskim okiem. Nie była jednak pospolitą złodziejką, dała się wplątać w dużo bardziej skomplikowane kombinacje. Nie miała też wygórowanych ambicji i zawsze uważnie wypatrywała każdej okazji do tego, by zwędzić, co potrzebuje. I gdy wylądowała w zakładzie Jenningsa, od razu pojęła, że tu najbardziej potrzebna będzie jej przyjaciółka.

Chyba już pierwszego dnia Cher postanowiła skraść moje liściowe czarne serce. Jeszcze do tej pory nie rozumiem, jak to się stało, lecz byłam z tego bardzo dumna. Nawzajem umiałyśmy się rozweselić. Żadna z nas nie zalicza się do płaczek, ale gdybym już miała uronić parę łez, wołałabym to zrobić przed nią niż przed kimkolwiek innym. Od dawna wiedziałam, że poczuję się w tym pudle cholernie samotna, kiedy jej zabraknie.

Dlatego ostatnie dni przed wyjściem Cher na wolność były dla mnie bardzo trudne. Przyznaję to otwarcie. McInnery zdawała sobie z tego sprawę, nie chciała więc mówić przy mnie o swoim przesłuchaniu przed komisją zwolnień warunkowych czy planach na przyszłość. Nie należy się jednak dziwić, że była podekscytowana (i trochę zdenerwowana) przed opuszczeniem więzienia po prawie czteroletniej odsiadce. Tymczasem poz-

stała, a zwłaszcza Theresa, całymi dniami nie mówiły o niczym innym.

Szczególnie ciężko było mi tego wieczoru po wystąpieniu Cher przed komisją. Życzyłam jej jak najlepiej. Nie jestem na-
zbyt bogobojna, nie modłę się i nie żegnam, ale czułam się tak,
jakbym to robiła.

- No proszę! Tylko spójrzcie na pannę McInnery! - wy-
krzyknęła LaBianco, gdy tylko Cher pojawiła się w wejściu do
celi. - Jaką ma minę! Jak kot, któremu udało się złapać kanarka!

Stało się jasne, że przesłuchanie wypadło dobrze. Z twarzy
Cher można wszystko wyczytać, jest wręcz urodzoną aktorką.
Podejrzewam, że umiałyby wmówić facetowi, iż jest dziewczcą,
robiąc mu loda.

Tym razem jednak nawet się nie odezwała. Mruknęła tylko
półgębkiem:

- Nic z tego.

- Jak to: nic z tego? - zdziwiła się Theresa. - Przecież widać,
że aż promieniejesz z podniecenia. Dorobiłabym się fortuny,
gdybym umiała zrobić lakier do paznokci o takim odcieniu jak
twoje policzki. Wyglądasz, jakbyś ruszała na podbój świata.

Przelotnie zerknęła na mnie, a Cher tylko powtórzyła jeszcze
ciszej:

- Nic z tego.

Nie miałam wątpliwości, że po prostu nie chce z tego robić
większej sprawy. Ale Theresa - należąca do tych, co to nawet
zdechłej kobyły muszą zapleść grzywę w warkocz - nie zamie-
rzała ani trochę popuścić. Po kilku jej następnych entuzjastycz-
nych uwagach, gdy chyba po raz piąty usłyszałam taką samą
odповідź, nie wytrzymałam.

- Co, do cholery, ma znaczyć to twoje „nic z tego“?!

- Na Zewnątrz wszyscy tak mówią - wtrąciła Suki. - Moja
siostra powtarza, że jej syn ciągle tak odpowiada. O co go tylko
poprosi, wciąż słyszy: „nic z tego“.

- Ale to brzmi idiotycznie - warknęłam.

Zawsze mnie irytowało, gdy czegoś nie rozumiałam albo
brakowało mi słów, czy też byłam zaskakiwana czymś, co nie
istniało w moich czasach. A Cher na to wstała z pryczy i wyszła
bez słowa.

Nie chciała mi robić przykrości, choć przecież dobrze wie-

działam, że po jej wyjściu już nic nie będzie nas łączyło. To oczywiste. Ona miała odzyskać wolność, a ja musiałam kiblować dalej. To dla mnie nie pierwszozna. Zawsze z żalem żegnałam wychodzące kobiety z mojej grupy. Z Cher po prostu jeszcze trudniej było mi się rozstać.

Dostała zwolnienie warunkowe, które uczciliśmy wystawną kolacją, chociaż panowała przy niej dość posępna atmosfera. Theresa próbowała nas zabawiać dowcipami nawiązującymi do Ostatniej Wieczerzy, ale odpowiadały jej wymuszone chichoty i uśmiechy pełne smutku. McInnery miała wyjść z samego rana. Odsiedziała swoje. I żadna z nas nie umiała powiedzieć nic sensownego, pasującego do tej sytuacji. Bo przecież Cher mogła się tylko cieszyć z perspektywy wyjścia na wolność, a my mogłyśmy jej tylko zazdrościć i smucić się tym, że stracimy przyjaciółkę. Tego emocjonalnego konfliktu nie dało się ująć w żadne słowa.

Przyglądałam się Cher w czasie obiadu. Ciekawa byłam, co czuje, wiedząc, że ma przed sobą już ostatnią noc na wygnanym zapleśniałym materacu, ostatnią noc wpatrywania się w zardzewiałe sprężyny górnej pryczy. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak ja bym się czuła na jej miejscu. Wpatrywałam się więc w jej okrągłą twarz - już nie dziewczęcą, ale jeszcze nie należącą do kobiety w średnim wieku - lecz nic nie mogłam z niej wyczytać.

Miałam nadzieję, że zacznie żyć inaczej, choć za bardzo się nie łudziłam. Odsiadka w zakładzie Jenningsa ani trochę jej nie zresocjalizowała. Jeśli w ogóle ją odmieniła, to tylko nasilając jeszcze skłonności i chęć do kradzieży. Żadna nie powiedziała tego głośno, ale wyczuwałam, że w głębi duszy byłyśmy wszystkie przekonane, iż Cher niedługo do nas wróci. Może nawet miałyśmy taką nadzieję.

- Masz jakieś konkretne plany? Zamieszkaż u rodziny? - zapytała Jennifer.

Po incydencie z telefonem komórkowym wyraźnie się przyjaźniły. Cher godzinami przesiadywała w ich domu, masowała opuchnięte stopy Suki i rozmawiała z Jen na temat jej interesów na Wall Street, ciekawa różnych szczegółów.

McInnery pokręciła głową.

- Nie myślałaś o jakiejś konkretnej pracy po wyjściu na wol-

ność? Wydaje mi się, że po wyjściu z zakładu trudno jest się przystosować do normalnego życia.

- Nie martw się o mnie, Jenny. Mam pewne plany.

- Jakie?

- Może zostanę brokerką, jak ty - odparła Cher. - Bo coś mi się zdaje, że ty i tobie podobni wynaleźliście świetny i całkiem legalny sposób kradzieży. Musiałabym się tylko lepiej ubierać, bo na robocie już dobrze się znam.

Spencer zaśmiała się gardłowo i wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że z kryminalną przeszłością nie masz szans na oficjalną rejestrację działalności brokerskiej. Ale gdybyś potrzebowała rekomendacji, daj mi znać.

Zauważyłam, że Cher spojrzała jej prosto w oczy. Dobrze wiedziałam, jak bardzo jest wyczulona na wszelkie złośliwości. Łatwo było urazić jej dumę. W swojej złodziejskiej karierze wielokrotnie nią poniewierano, ale nigdy wcześniej nie siedziała w pudle. Po chwili odparła lodowatym tonem:

- Dziękuję, Jennifer, ale już pomogłaś mi o wiele bardziej, niż podejrzewasz.

Powinam się już wtedy była domyślić, co to może oznaczać, ale jakoś nie skojarzyłam. Po tej uwadze na pewien czas zapadła cisza, którą wreszcie przerwała Theresa.

- Chyba należałoby wznieść toast - powiedziała, napełniając kubeczki sokiem grejpfrutowym.

Kiedy już wszystkie trzymały je w garści, popatrzyły na mnie, jakby oczekiwały jakiejś mowy.

- Dobrze wiecie, że od dłuższego czasu nie widziałam moich dziewczynek - zaczęłam po krótkim namyśle. - Serce mi się kroi na myśl, że musiały sporo podrosnąć od naszego ostatniego spotkania. - Urwałam i zamknęłam oczy, zbierając siły, żeby kontynuować. - Każdej matce zależy na tym, by jej dzieci rosły zdrowo, ale nie znam ani jednej, która by chciała, żeby dorośli z dala od niej. Nadchodzi jednak czas, kiedy dzieci muszą pójść swoją drogą. I tak samo jest teraz z Cher.

- Chcesz powiedzieć, że traktujesz mnie jak dziecko? - zaprotestowała z uśmiechem McInnery.

- Dobrze wiesz, jak cię traktuję, skarbie - powiedziałam, odzyskując stopniowo dobry nastrój. - Sama zbierałam tę grupę, abyśmy wszystkie mogły sobie wzajemnie pomagać. A teraz

jedna z nas musi odejść, więc pozostałym nie jest łatwo się z tym pogodzić. Martwię się o ciebie, dziewczyno. Bo kto cię będzie teraz osłaniał?

- Och! - pisnęła Suki. - Moje dziecko się poruszyło!

Atmosfera w celi zawsze się rozluźniała, ilekroć wypływał temat jej ciąży i przyszłego macierzyństwa. Pochyliłam się i przyłożyłam jej rękę do brzucha. Rzeczywiście zaczynało coraz silniej kopać.

- Chyba wychowasz go na futbolistę, skoro już teraz tak wierzga - powiedziałam.

- Nie, bo to będzie dziewczynka - oznajmiła stanowczo Suki.

- A skąd możesz to wiedzieć? - wtrąciła Theresa.

- Moja siostra, Louisa, mówi, że jak wypycha brzuch do przodu, to dziewczynka, a jak ciąży do tyłu, to chłopiec.

Jennifer także się do niej przysunęła.

- Mogę? - spytała, wskazując jej brzuch.

- Jasne. Każdej wolno dotknąć. Zaraz, a może zacznę pobierać za to opłatę? Jak myślicie, ile to może być warte? Paczkę chipsów z bufetu?

Wróciłam na swoje miejsce i popatrzyłam na Spencer. Wydawała się trochę przestraszona niecodzienną sytuacją, a kiedy wyczuła pod dłonią kopnięcie dziecka, aż odskoczyła speszona. Zachciało mi się śmiać. Muszę przyznać, że sama odbierałam ze zdziwieniem, iż w drobnym, wciąż jeszcze mało zaokrąglonym brzuchu Suki rzeczywiście rozwija się niemowlę. Zazdrościłam jej tego, bo po mnie od razu było widać ciążę. No i przybierałam na wadze dwadzieścia pięć kilogramów. Na to wspomnienie znów ścisnęło mnie za gardło, aż musiałam zacząć mówić.

- Wybrałaś już imię? - zapytałam.

- Podoba mi się Allison.

- A nie może być Juanita? - zaproponowałam.

- O Boże! - syknęła z obrzydzeniem Cher. - Nigdy nie słuchaj czarnych bab, jeśli wybierasz imię dla dziecka.

- Co to miało znaczyć, do cholery? - zapytałam ostrzej.

- Sama dobrze wiesz. Jeśli posłucha twoich rad, to w końcu nazwie go jakoś cudacznie, jak choćby Metamucil albo Mylanta.

- A sądzisz, że to gorsze imiona od Stephanie, Bethany, Tiffany albo Brittany? - zapytałam ze śmiechem. - Sama zatęsknisz za Mylantą, jeśli w tej chwili nie zamkniesz dzioba.

Zaśmiewaliśmy się tak głośno, iż żadna z nas nie zauważyła, jak do celi weszła naczelniczka i położyła rękę na ramieniu Cher.

- Wygląda na to, że się dobrze bawicie - rzekła.

McInnery odsunęła się pospiesznie i odparła:

- Chcemy wesoło spędzić przynajmniej ten mój ostatni wieczór w zakładzie.

- Chciałam ci tylko życzyć powodzenia, Cher. No i sprawdzić, jak się miewają twoje koleżanki. Podejrzewam, że wszystkim będzie bardzo brakowało Cher. Mam rację?

Rozejrzała się dookoła i spojrzała mi w oczy. Żadna nie odpowiedziała, toteż wstałam z pryczy i mruknęłam:

- Dziękujemy za troskę, pani naczelnik.

Skinęła głową.

- Zostawię was same, skoro się tak dobrze bawicie.

Odwrociła się i wyszła na korytarz. Gdy tylko zniknęła nam z oczu, wszystkie zajęłyśmy z powrotem miejsca na pryczach i jednocześnie odetchnęłyśmy z ulgą.

- Rety! - mruknęła Cher. - Niewiele brakowało. Lepiej uważajcie na nią, dziewczyny. Nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy się pojawi. Bo ja już nie będę musiała się tym przejmować.

Spojrzałam jej w oczy, a później powiodłam spojrzeniem po reszcie grupy. Każda musiała dostrzec, że cierpię, ale żadna nie odwróciła głowy.

- Tylko ja będę musiała tu umrzeć - powiedziałam. - Nigdy stąd nie wyjdę. Nigdy.

- Ale... - zaczęła Cher.

- Zamknij się, dziewczyno - rzuciłam, unosząc rękę. - Zamknij się i posłuchaj, bo wolałabym, żebyś nie popełniła tego samego błędu co ja. Słyszysz? Jak wyjdiesz na wolność, nie ufaj żadnemu facetowi, bo przez nich jeszcze się w coś wplączesz, a potem zostaniesz na lodzie. Byłam na tyle głupia, że zaufałam mojemu Earlowi. Pozwoliłam mu trzymać prochy w swoim mieszkaniu, bo wmówił mi, że to niegroźne ilości. Ale kiedy gliny zrobiły rewizję i zakuły mnie w kajdanki na oczach dziewczynek, jego akurat nie było w pobliżu. - Wzruszyłam ra-

mionami. - A kiedy zwolnili mnie z aresztu, bo zeznałam wszystko o jego działalności, stłukł mnie na kwaśne jabłko. Naprawdę mocno poturbował. Ale niezależnie od wszystkiego teraz to nie ma już żadnego znaczenia. Zabiłam go. I dlatego będę musiała odsiedzieć tu resztę życia. - Przesiadłam się obok Cher i wzięłam ją za ręce. - Dziewczyno, tak bardzo przypadłaś mi do serca, że nie chcę, byś tu wróciła. Rozumiesz? Jutro rano się pożegnamy i nie życzę sobie nigdy więcej oglądać cię na oczy. Bo za bardzo cię kocham.

Tylko pokiwała głową. Doskonale mnie rozumiała.

- Wszystkim nam będzie cię brakowało - odezwała się Theresa z niezwykłą dla siebie zwięzłością, wyjątkowo nie cytując żadnych przysłów.

- A mnie będzie brakowało tego wszystkiego, co dla nas kradłaś - dodała Suki, wzbudzając powszechną wesołość.

- Nie martw się - powiedziała jej Cher. - Pierwszą rzeczą, jaką zwinę na wolności, będzie piękny becik dla twojego niemowlęcia. - Znow się zaśmiałyśmy. - I mnie będzie was wszystkim brakowało. Ale któregoś dnia przyjadę w odwiedziny. Dopiero wtedy oko wam zbieleje na mój widok. Zlikwiduję sobie zmarszczki, naciągnę podbródek, zafunduję sztuczne cycki...

- Chcesz tyle nakraść, żeby cię było na to stać? - zapytałam, pamiętając doskonale, że nie będzie jej wolno przyjechać na widzenie.

Jennifer szybko sięgnęła po kubeczek i wzniosła toast:

- Za naszą nową, ładniejszą i doskonalszą, od jutra wolną pannę Cher McInnery!

- Za jej zdrowie!

- I pomyślność!

Nie potrafiłam odgadnąć, co naprawdę Spencer miała na myśli. Zachowywała się dość dziwnie jak na siebie, a i Cher łąpała na nią z ukosa, mimo że od incydentu z telefonem żyły w zgodzie. Rzekłabym, że nauczyły się wzajemnie szanować, choć daleko im było do przyjaźni. No więc Jennifer żartowała i śmiała się razem z nami, ale nie umiałam rozgryźć, czy szczerze cieszy się z uzyskania przez McInnery zwolnienia warunkowego, czy też bardziej cieszy ją to, że Cher zniknie z grupy.

Wtedy jednak zrobiła coś, co ostatecznie mnie do niej przekonało.

- Przyniosłam coś specjalnego na dzisiejsze przyjęcie - powiedziała z uśmiechem, wyciągając zza pazuchy pudełko tak niezwykłych pralin, jakich jeszcze w życiu na oczy nie widziałam. - To czekoladki Richart - wyjaśniła, do tego z francuskim akcentem! - Lenny mi je przywiózł.

Długo nie mogliśmy się na nie napatrzeć. Były maleńkie, nie większe od kostki cukru, a każda udekorowana jak prawdziwe dzieło sztuki. Jedne były w kropki, inne w paski albo spiralki. Komu nie żal czasu, żeby tak dokładnie ozdabiać każdą czekoladkę oddzielnie? - pomyślałam. I ile to musi kosztować?

- Cher pierwsza - powiedziała Jennifer.

McInnery bardzo się to spodobało. Sięgnęła do pudełka i wybrała małą, prawie całkiem czarną kostkę.

- Jest tak piękna, że aż żal mi ją zjeść.

Już miała włożyć czekoladkę do ust, gdy Theresa, która czytała cienką broszurkę dołączoną do pudełka, wykrzyknęła:

- Stój! Ich nie wolno tak zwyczajnie jeść!

- Jak to? - zdziwiła się Cher.

- Tu jest oddzielnie opisana każda czekoladka, a cała ostatnia strona ma tytuł „technika degustacji”.

- Chcesz powiedzieć, że nie wolno ich jeść?

- Dziewczyno, jadłam czekoladę od dzieciństwa i nigdy nie złego się nie stało - odparłam. - Nikt mnie za to nie aresztował.

- Nie o to chodzi. Jeśli tu napisali, jak to należy robić, to dlaczego miałybyśmy nie spróbować - zaproponowała Theresa. - Niech każda weźmie jedną czekoladkę.

Tak też zrobiłyśmy. A ona zaczęła czytać:

- Posłuchajcie. „Aby w pełni poczuć smak i podstawowy aromat, należy odczekać kilka sekund z włożeniem czekoladki do ust. Jeśli chce się uwolnić dodatkowy zapach, trzeba rozmiękczyć wierzchnią czekoladową warstwę, ściskając ją lekko między zębami od pięciu do dziesięciu razy, a następnie pozwolić, by się rozpuściła dociśnięta językiem do podniebienia. Dopiero wtedy ujawni się pełna gama aromatów, jak również jedwabista gładkość czekolady”.

Próbowałyśmy to zrobić tak, jak opisano w broszurze, ale tak się przy tym zaśmiewałyśmy, że o mało się nie udławi-

łam. Suki czekoladka włożyła pod policzek i próbowała ją stamtąd wyciągnąć językiem. A Jennifer tylko pokręciła głową i wyszła.

Cher wzięła z pudełka drugą.

- Zaczekaj - poleciła Theresa. - To twarda czekoladka czy nadziewana?

- Nie wiem. W każdym razie bardzo dobra.

- Jeśli to nadziewana pralina, powinnaś ją... degustować jeszcze inaczej - ciągnęła LaBianco.

- Odpieprz się wreszcie od tego! - syknęła Cher, wyrwała jej broszurkę i zaczęła przeglądać. - Jasna cholera! To prawda! Spójrzcie same. Czekoladkę nadziewaną każą rozgryźć tylko trzy do pięciu razy, nie więcej! - Teraz ona zaczęła czytać: - „Nowe aromaty będą się dalej ujawniać w miarę jednoczesnego rozplątania się czekolady i nadzienia. Proszę zwrócić uwagę, jak długo utrzymają się na języku”.

- Zaraz. Czy tu na pewno opisują jedzenie czekoladek, czy robienie chłopa laski? - zapytałam.

- Dajcie spokój - odparła zrezygnowana Theresa. - Lepiej po prostu je zjedzmy. To przecież w końcu nie nasz świat, prawda? Piszą całe książki na temat tego, jakie wino albo jaką herbatę można podawać do tego czy tamtego dania. Kto normalny ma czas, żeby myśleć o takich bzdurach?

Wszystkie się roześmiałyśmy oprócz Cher, która w zamyśleniu powiedziała:

- To jest właśnie świat, w którym chciałabym żyć.

Nie wolno odprowadzać skazanych wychodzących na wolność. Nie wiem, czemu potraktowano to jako zagrożenie bezpieczeństwa. Przecież Cher na pewno nie próbowałyby się wyrwać i uciec z zakładu, skoro i tak była już wolna jak ptak. Pewnie nawet Wiosenka mająca doświadczenie w ucieczkach nie starałaby się wykorzystać okazji, bo strażnicy w holu i przy bramie są uzbrojeni. Pożegnałam się z McInnery, pewna, że już jej więcej nie zobaczę, a tu Stara, chcąc mi chyba zrobić przyjemność, zaprosiła mnie do grupy odprowadzającej Cher do wyjścia.

Prawdę mówiąc, nie miałam na to ochoty. Poprzedniego wieczoru podczas przyjęcia pożegnального rzuciłam kilka fatal-

nych tekstów i rano przed śniadaniem nawet nie spojrziałam w kierunku Cher, a później poszłam prosto do biura. Ostatecznie klamka zapadła i dodatkowe dziesięć minut w niczym nie mogło nam pomóc, bo obie wiedziałyśmy doskonale, że i tak już nigdy się nie zobaczymy. Tutaj, Wewnątrz, trzeba się nauczyć szybko godzić z każdą stratą i żyć dalej. Próbowалам się pogodzić z odejściem Cher już od paru tygodni i odprowadzanie jej do wyjścia zadałoby mi więcej bólu. Ale nie mogłam tego wytłumaczyć naczelniczce, dlatego wstałam od biurka i poszłam z nią.

Rozumiałam, że spotkało mnie wyróżnienie. Zazwyczaj nie włącza się skazanych do eskorty, a ponieważ miałam być świadkiem czyjegoś zwolnienia po raz pierwszy i ostatni, z uwagą obserwowałam procedurę. Muszę jednak przyznać szczerze, że nie potrafiłam spojrzeć Cher w oczy, a i ona unikała mojego wzroku. Dwie strażniczki w obecności Starej zachowywały się powściągliwie, toteż Harding musiała zauważyć, że obie czujemy się niezręcznie. Patrzyłam, jak Cher zmienia więzienny kombinezon na cywilne ciuchy, w których tu przyjechała. Wyglądała w nich naprawdę świetnie. Miała pękata torbę różnych rzeczy, do tego odebrała niewykorzystany fundusz z bufetu oraz zasiłek przeznaczony na rozpoczęcie nowego życia - marne grosze, które nie starczyłyby nawet na bilet autobusowy do granicy Pensylwanii. Później trzeba było wypełnić masę formularzy, które świetnie znałam, gdyż w biurze często je porządkowałam i rozkładałam do akt. A Cher musiała się podpisać na każdym, nie wyłączając kopii.

Przez cały czas stałam z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w podłogę. Prawdę powiedziawszy, strasznie jej zazdrościłam. Było mi smutno, że wychodzi, a jednocześnie się cieszyłam. Krótko mówiąc, czułam się fatalnie. Wreszcie wyszliśmy do holu, gdzie Stara wygłosiła krótką nadętą mowę. A Cher, co zrozumiałe, uśmiechała się od ucha do ucha. Nie pamiętam już, co wtedy powiedziała, za to doskonale pamiętam, co się zdarzyło potem.

- No cóż - rzekła Harding. - Domyślałam się, że chcielibyście się teraz pożegnać.

Chyba oczekiwała jakiejś rzewnej sceny, tego, że padniemy sobie w objęcia i zalejemy się łzami albo czegoś w tym rodzaju.

Ale ja miałam już dość tych cierpień, a Cher paliła się do wyjścia, więc do niczego takiego nie doszło.

Stanęłyśmy naprzeciwko siebie. Podniosłam głowę. Zwyczajnie wyciągnęłam rękę i powiedziałam:

- Żegnaj.

McInnery uściśnieła mi dłoń. Palce miała tak samo zimne jak moje.

- Żegnaj - odparła.

Odwróciła się do mnie plecami, prezentując mi tył ładnego, eleganckiego zakietu. Pomyślałam, że widzę ją po raz ostatni w życiu, po czym także się odwróciłam i poszłam z powrotem w głąb zakładu.

31

Maggie Rafferty

Jak na morderczynię skazaną na dożywocie mam sporo szczęścia. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to komicznie, ale taka jest prawda. Mam własny pokój w zakładzie, stałe dostawy nowych książek z Zewnątrz oraz dwóch kochających synów, którzy starają się w miarę możliwości urozmaicać mi życie i często przyjeżdżają w odwiedziny. Szczęśliwie się też składa, że naczelniczka jest wyrozumiała i nie stara się za wszelką cenę „zerznąć mi dupska”, jak to się powszechnie określa w zakładzie. Kiedy więc zalałam herbatę wrzątkiem i ustawiłam na kuchence ronderek z owsianką, jak czynię to codziennie rano, bo wołę nie chodzić na śniadanie do stołówki, zasiadłam nad „New York Timesem”. Jedną z drobnych przyjemności pobytu w więzieniu jest dostateczna ilość wolnego czasu, by codziennie przeczytać gazetę od deski do deski, a raz w tygodniu nawet cały numer „New Yorkera”.

Gdy owsianka była gotowa, zaczęłam powoli jeść, popijając gorącą herbatę, pochylona nad gazetą. Po jakimś czasie otworzyłam „New York Timesa” na wiadomościach gospodarczych i omal nie wylałam herbaty. Mój wzrok padł bowiem na zdjęcie Toma Branstona i Donalda Michaela. Obaj szeroko uśmiechnięci pozowali w towarzystwie tego samego inspektora komisji giełdowej, który oskarżył Jennifer Spencer o defraudację i wystąpił o nakaz jej aresztowania. Artykuł był zatytułowany: KONIEC DOCHODZENIA W SPRAWIE NADUŻYĆ W SPÓŁCE HUDSON, VAN SCHAANK & MICHAELS. A tuż pod zdjęciem cytowano wypowiedź Branstona: „Hudson i van

Schaank przez cały czas trwania dochodzenia w pełni współpracowali z inspektorami, dzięki czemu udało się zebrać przekonujące dowody, że jedynie Jennifer Spencer była czarną owcą w firmie".

Też mi czarna owca! Czyżby ci faceci w ogóle nie znali granic przyzwoitości? Właśnie wtedy do biblioteki weszła Frances zajmująca się roznoszeniem lodu oraz grypsów, tym razem i dla mnie miała wiadomość. Jak zwykle bez pośpiechu napełniła lodem pojemnik klimatyzatora. Podziękowałam jej, a gdy wyszła, rozłożyłam kartkę. „Czekam na ciebie z nową na wybiegu o 2.30". Nie było podpisu. Grypsy są uznawane za kontrabandę, więc głupotą byłoby je podpisywać. Dobrze znam jednak charakter pisma Movity i nie potrzebowałam wyjaśnień, **o** jaką nową chodzi.

Zawsze uważałam, że „rekreacja" to całkiem niewłaściwe określenie półtoragodzinnego pobytu poza murami zakładu, do jakiego codziennie mamy prawo. Nawet twierdzenie, że jest się poza murami, mija się z prawdą, ponieważ dziedziniec z trzech stron otaczają skrzydła budynku, a z czwartej ciągnie się podwójne ogrodzenie z siatki. Ale przynajmniej można popatrzeć w niebo. I nie potrafię zrozumieć dość licznej grupy kobiet, które potrafią się bez tego obejść. Nie wiem nawet, dlaczego architektki z takim uporem projektują więzienne cele w ogóle pozbawione okien, jak choćby w nowym skrzydle naszego zakładu. Co dziwniejsze, kobiety nie korzystające ze spaceru prawie się pobiły o atrakcyjniejsze ich zdaniem miejsca w tym samym bloku. Ja za nic w świecie nie zrezygnowałabym ze swojego okienka, choć jest bardzo małe i umieszczone tuż pod sufitem. W czasie rekreacji zawsze staram się robić to, co buddiesi i miłośnicy technik kontemplacyjnych nazywają przechadzkami medytacyjnymi. Wyruszam po największym obwodzie dziedzińca i za każdym okrążeniem przesuwam się nieco bliżej środka. Przy każdym kroku staram się regulować oddech i jeśli dopisze mi szczęście - co, niestety, zdarza się dość rzadko - półtoragodziny spacer po zacieśniającej się spirali doprowadza mnie do samego środka dziedzińca. Żałuję, że ciągłe kłótnie i awantury, a czasem nawet przepychanki lub bójki, nie pozwalają mi dokończyć tej pielgrzymki. Niemniej zawsze wychodzę na spacer z ochotą. Dlatego niezbyt kusiła mnie

perspektywa poświęcenia tych dziewięćdziesięciu minut na rozmowę, chociaż doskonale wiedziałam, że chodzi o sprawy szczególnej wagi.

Panowała pogoda, którą kiedyś nazwałabym dżdżystą szarugą, a teraz określałam mianem łagodnej. Na otoczonym murami dziedzińcu lekki wiaterek i wilgoć w powietrzu były przyjemniejsze od palącego słońca i chyba wszystkim więźniarkom sprawiały radość. Wzięłam to za dobry znak i chociaż już od drzwi zauważyłam Movitę na środku dziedzińca, jak zwykle ruszyłam na spacer po obwodzie.

Watson ostatnio zachowywała się nieswojo. Po części ją rozumiałam, bo nam, „dożywotnim”, zawsze ciężko jest przyjąć czyjąś „promocję”, na którą nie mamy szans. Szczególnie okrutne jest to, że koleżankom wychodzącym na wolność nie pozwalają się z nami kontaktować. Niemniej, jak każda „dożywotnia”, nauczyłam się żyć z tymi ciągłymi zmianami i nie brać ich sobie za bardzo do serca. Tyle że Movita nadzwyczaj się zżyła z Cher, więc po jej wyjściu popadła w przygnębienie. Dla mnie była to jedna z cenniejszych więziennych lekcji, żeby zanadto nie angażować się w żadną przyjaźń.

W każdym razie zauważyłam, że Watson jest osowiała, i dlatego nie podeszłam do niej od razu. Poza tym nie chciałam zwracać na siebie uwagi. Więźniarki są szczególnie wyculone na wszelkie zmiany w codziennej rutynie, a nasza narada musiała w miarę możliwości pozostać nie zauważona. Pomyślałam więc, że skoro najczęściej jestem zmuszona przerwać spacer, będzie lepiej, jeśli i dzisiaj zacznę go normalnie.

Kiedy na dziedzińcu pojawiła się Spencer, szybko dołączyłam do nich. Postanowiłyśmy przejść się razem, tylko nie po mojej spiralnej trasie. Zdążyłam już polubić Jennifer. Podziwiałam u niej hart ducha, mimo że śmieszyła mnie jej naiwność, która jeszcze od czasu do czasu wyzierała spod nieprzeniknionej maski dobrze wykształconej i zaprawionej w bojach kobiety interesu. Wydawało mi się, że ją rozumiem - jej marzenia, determinację i gorycz rozczarowania mężczyzną, którego pokochała. I autentycznym szacunkiem darzyłam jej profesjonalizm.

- W porządku - zaczęła stanowczo. - Na podstawie tego, czego się dowiedziałam, sądzę, że mamy dość jasną sytuację.

- Też mi coś - mruknęła posępnie Movita. - I bez ciebie to wiemy.

- Złe się wyraziłam - poprawiła Jennifer. - Chciałam powiedzieć, że mamy dość korzystną sposobność.

Pospiesznie opowiedziała nam o stanie finansów JRU, braku funduszy na rozwój i prawdopodobnym przejściu spółki przez jakąś dużą firmę.

- Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że zamiast szukać wpływów w radzie nadzorczej spółki, czy też podejmować ryzykowną grę, na przykład próbę zdobycia wpływowej mniejszości w gronie akcjonariuszy, łatwiej będzie wykupić całą firmę.

Movita pokręciła głową.

- Przestań. To nie jest pora na żarty.

Ja jednak doskonale wiedziałam, że Spencer wcale nie żartuje.

- Ile trzeba by zainwestować? - spytałam szybko, czując przypływ nadziei po raz pierwszy od chwili, kiedy zapoznałam się z ofertą prywatyzacyjną.

- Trudno powiedzieć. Ale spółka jest poważnie zadłużona. Dwa więzienia, które przejęła na podstawie rządowych kontraktów, nie zaczęły jeszcze przynosić spodziewanych zysków. Nie wiem też, na jakim etapie chcą się włączyć duże korporacje w rodzaju CCA czy Wackenhut. Ale według mojego informatora one również nie będą chciały zainwestować dużego kapitału.

- Podaj przynajmniej szacunkowy koszt - rzekłam z naciskiem.

- Nie potrafię, ale powinnam się jak najszybciej spotkać z twoimi synami.

Movita popatrzyła na nas z niedowierzaniem.

- Chyba całkiem wam odbiło - syknęła. - Albo jesteście o wiele bogatsze, niż sądziłam, i lepsze z was złodziejki niż Cher McInnery w swojej najlepszej formie. Jak zamierzacie wykupić taką dużą firmę?

- Jeszcze nie wiem - odparła Jennifer. - Trudno mi nawet powiedzieć, czy będzie to możliwe, ale czasami dobre wyniki daje forsowany wykup. Tak to się nazywa. Trzeba po prostu zaoferować akcjonariuszom więcej, niż w powszechnym mniemaniu warte są ich udziały. Kiedy się ich przycisnie, wykorzy-

stując przy tym niezbyt duże zaufanie do firmy, zgodzą się je odsprzedać. A wtedy my przejmemy kontrolę.

- Jacy „my”, biała dziewczyno? - zapytała Movita takim tonem, że nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem. - A potem co? Otworzysz bramę i wypuścisz nas wszystkie na wolność?

- Chyba dobrze wiesz, że JRU nie ma prawa zrobić czegoś takiego. Nikt nie cofnie naszych wyroków, nie przyspieszy nam możliwości uzyskania zwolnienia warunkowego, ale i nie przedłuży pobytu za kratami. Chodzi wyłącznie o prawo do zarządzania więzieniem w imieniu władz stanowych. Gdybyśmy jednak zdobyły to prawo do zarządzania...

- Mogłybyśmy wprowadzić wiele zmian! - wtrąciłam. - Na nowo zorganizowałybyśmy kursy dokształcające i wydzieliły blok dla tych, które wymagają izolacji, skróciłybyśmy czas pracy, poprawiły warunki bytowe i zorganizowały bibliotekę z prawdziwego zdarzenia!

- Zaraz, nie tak szybko - przerwała mi Jennifer. - Trzeba będzie rozsądnie gospodarować funduszami i znaleźć jakiś sposób na to, żeby zmiany się opłacały. Ale wierzę, że to możliwe. Nie wybiegajmy jednak za daleko w przyszłość. - Odwróciła się do mnie. - Mogłabyś poprosić swoich synów, żeby przyjechali na najbliższe widzenie?

- Oczywiście. Możesz uważać, że już przystąpiłyśmy do gry.

Obaj moi chłopcy prezentują się wspaniale. Bryce ma trzydzieści pięć lat i jest rozwiedziony, a trzydziestodwuletni Tyler pozostał kawalerem. Po mnie odziedziczyli tęgie głowy, a po ojcu urok osobisty i, niestety, dość wybujały egoizm. Na szczęście rozkręcili taki interes, w którym połączenie tęgiego umysłu, wdzięku i egoizmu, utrzymanego w odpowiednich granicach, jedynie wyszło im na dobre. Obaj znacznie się wzbogacili, a przecież dysponowali po moich rodzicach udziałami w funduszach powierniczych i mogli też liczyć na niebagatelną sumę po mnie.

Niemniej zawsze było mi bardzo żal kobiet, z którymi się wiązali, w końcu ładnych i niegłupich, lecz od początku skazanych na porzucenie. Ale już jakiś czas temu przestałam się za to obwiniać, uznawszy, że stosunek do kobiet też odziedziczyli po ojcu albo po prostu powielali jego wzorce. Był to jeden z wielu

powodów, dla których czułam się bardzo nieswojo, kiedy Bryce i Tyler przyjechali do zakładu na widzenie i choć usiedli naprzeciwko mnie, to nie spuszczały wzroku z Jennifer. Ona miała swojego gościa, niepozornego faceta o nazwisku Benson, który, muszę przyznać szczerze, po pewnym czasie zaczął mi imponować świetnym zrozumieniem sytuacji. Ale moi chłopcy byli dosłownie zauroczeni Spencer. W dodatku odniosłam wrażenie, że i jej spodobał się Bryce. A to, jak zawsze, tylko zdopin-gowało Tylera do wzmożenia wysiłków.

Nie muszę chyba mówić, że z punktu widzenia służby więziennej zakładu Jenningsa nie mogło to w żadnym wypadku przypominać narady, co najwyżej zwykłe przypadkowe spotkanie w sali odwiedzin. W panującym tu rozgardiaszu, przy wydatnej pomocy Movity, z łatwością zajęliśmy sąsiadujące miejsca przy dużym stole, gdzie łatwiej było nam porozumie-wać się piątkę, nie zwracając zbytnio niczyjej uwagi.

Wcześniej dostarczyłam synom kopie oferty prywatyzacyjnej JRU oraz rządowej koncesji. Byli rozżłoszczeni i zatroskani, z tym większą gorliwością słuchali Jennifer oraz - z trochę mniejszą - Lenny'ego Bensaona. Kiedy Spencer skończyła, Bryce powiedział:

- To nadzwyczaj... inspirujące. Nadaje całkiem nowe zna-czenie przejściu przez więźniów kontroli nad zakładem kar-nym.

- Owszem. Nie musi dojść do rozruchów, jak w Attice. - Ty-ler zachichotał.

- Jeśli wszystkie pańskie informacje są wiarygodne - zwró-cił się Bryce do Lennj^ego - to chyba nawet nie będą potrzebne zbyt duże pieniądze na wykup. - Spojrzał na brata. - Co myś-lisz o tym lichwiarzu, Tarringtonie?

- Studiowałem z nim w Yale. Jest tępy jak kłoc drewna, ale za to cholernie chciwy. Powinniśmy mu złożyć ofertę. Wydaje mi się, że nasza firma mogłaby zainwestować w jego akcje ja-kieś siedem do ośmiu milionów. - Tyler popatrzył na mnie. - Mimo sprzeciwów tego kutasa, Murdocha, dobrze nam poszło w Hongkongu.

Chłopcy rzadko przeklinali w mojej obecności, mieli jednak świadomość, że tu, za kratami, najgorszymi przekleństwami kwituje się byle drobiazgi.

Jennifer uniosła brwi.

- Możecie wyłożyć aż tyle? - spytała, po czym zwróciła się do Lenny'ego: - Czy to wystarczy?

- Trochę mało - odparł Benson. - Na pewno dałoby się zebrać akcje od drobniejszych udziałowców, ale chyba nie starczyłoby na pakiet kontrolny.

Bryce skrzywił się z niesmakiem.

- W takim razie sprzedajcie mój cholerny dom i powiększcie fundusz - zaproponowałam.

- Chcesz sprzedać dom? - zapytał Tyler z takim osłupieniem, jakbym na cały głos wyzwała go od skurwysynów.

- Przecież zawsze uważałaś, że to dobra lokata kapitału - dodał Bryce. - Mówiłaś tak, od kiedy pamiętam.

- Ale tylko do dzisiaj - odparłam.

- Wiesz, ile ten „cholerny” dom może być wart? - rzekł Tyler, na co odpowiedziałam lekkim uśmiechem i wzruszeniem ramionami.

- Tyle, ile da się za niego wyciągnąć.

Po raz pierwszy od wielu lat poczułam się tak, jakby mi ktoś zdjął ciężar z barków. Jeszcze przed ślubem marzyłam o tym, żeby mieć własny dom z ogródkiem. Wyobrażałam go sobie w otoczeniu wypielęgnowanych iglaków, z holem pomalowanym na kremowo, a nie na niebiesko, jak w rzeczywistości; często oglądałam katalogi, myśląc, co warto by kupić, żeby urządzić go wygodnie, atrakcyjnie i przytulnie. Problem polegał na tym, że nie był to mój dom i już nigdy nie miał nim być. Przyszło mi więc do głowy, iż tak samo będę go mogła urządzać w wyobraźni, jeśli zostanie sprzedany. Bo reszta mego życia musiała upłynąć w zakładzie Jenningsa, toteż panujące tu warunki były o wiele ważniejsze.

- Może da się za niego uzyskać nawet dziesięć milionów - rzekł Bryce. - Posiadłości w Greenwich bardzo ostatnio podrożały, po tym, jak zaprzestano wyprzedazy państwowych gruntów nad samym oceanem.

- Wiem o tym - odparłam, dumnie zadzierając głowę. - Chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, kto chciałby wydać dziesięć milionów za możliwość zamieszkania w tak gigantycznym domu, do tego w podłej okolicy, za jaką uważam Greenwich. - Zaśmiałam się krótko. - Zaczynam podejrzewać, że zabiłam

waszego ojca wcale nie z powodu jego niewierności, ale za to, że musiałam z nim mieszkać w tym domu. - Zastanowiłam się chwilę nad tym, jak zabrzmiały moje słowa, po czym dodałam: - Już dawno powinniśmy go byli sprzedać. W ogóle się nie nadawał do wychowywania dzieci. Ani trochę nie będzie mi go żal. - Odegnęłam od siebie natrętne wspomnienia i uśmiechnięta obróciłam się do Jennifer. - A ty ile mogłabyś wziąć za swoje mieszkanie, gdyby wystawić je na sprzedaż?

Zamyśliła się na krótko.

- Podejrzewam, że niewiele więcej niż cztery.

- Cztery tysiące? Tylko tyle?

Zaśmiała się.

- Skądże, Maggie. Miałam na myśli czterysta tysięcy. Może nawet pięćset.

- Sądziłam, że to niewielki lokal.

- Zgadza się, właściwie jedna duża sypialnia - wyjaśniła z uśmiechem. - Kiedy je kupowałam, nie miałam jeszcze za dużo pieniędzy. Teraz sytuacja na rynku mieszkaniowym tak się zmieniła, że łatwo będzie znaleźć kupca nawet na mój lokal zajmujący cztery pomieszczenia w dawnej hali fabrycznej.

Pokręciłam głową i zachichotałam.

- No cóż, jeśli naprawdę łatwo będzie znaleźć chętnego do zamieszkania w Greenwich za dziesięć milionów, to tym bardziej ktoś inny powinien się skusić na kawałek dawnej fabryki za czterysta tysięcy. - Spoważniałam szybko i rozejrzałam się dookoła. - Wiecie co? Jeśli naprawdę uda nam się przejąć kontrolę nad tym zakładem, może warto byłoby go przekształcić we własność spółdzielczą?

Powiodłam wzrokiem po ich twarzach, ale najwyraźniej nie zrozumieli, że żartuję, toteż wybuchnęłam śmiechem.

- Jeśli wybiegamy aż tak daleko w przyszłość, to lepiej się zastanówmy, co począć z całym JRU, kiedy zostaniemy jego właścicielami - rzekł Tyler.

- No właśnie - odparłam pospiesznie. - To przecież najistotniejsze. Spróbujmy stworzyć wzorcowy zakład karny. Będziemy nie tylko resocjalizować, ale i kształcić wszystkie chętne i gotowe do tego więźniarki.

- Nie o to mi chodziło, mamó - wyjaśnił Tyler. - Pomyś-

lałem, że dobrze by było przestawić spółkę na przynoszenie zysku.

- Jesteś pewna, że chcesz się zaangażować w tę sprawę i złożyć wszystko na jednej szali? - zwróciłam się do Jennifer.

- Skoro ty jesteś pewna... - Zawahała się przez moment. - Zresztą może wcale nie będę musiała sprzedawać mieszkania.

- Masz rację. Ja nigdy stąd nie wyjdę, ale ty jesteś w innej sytuacji, będziesz musiała gdzieś mieszkać po zakończeniu kary. W każdym razie mnie dom na pewno nie będzie potrzebny. A jeśli pozbycie się go może choć trochę poprawić warunki w zakładzie, i to nie tylko mnie, ale wszystkim skazanym... Naprawdę nie mam nic do stracenia oprócz pieniędzy.

- Powołamy do życia Zakład Jenningsa dla Bogatych Kryminalistek - zaproponował Tyler.

- Słusznie. I ściagniemy tu Milkena, Boesky'ego, Trumpa, może nawet Leone Helmsley - dodał Bryce.

- Wspaniale. Urządzimy kampanię pod hasłem: „Wcale nie musisz być przestępcą, żeby zasmakować jego życia”. - Spencer uśmiechnęła się szeroko.

- I w ten sposób narodzi się społeczność zakratowana - do-rzucił Lenny z kamienną miną.

- Na razie moim największym zmartwieniem jest sposób utrzymania z wami stałej łączności - oznajmiła Jennifer. - Żaden z was nie jest moim adwokatem, nie macie więc prawa odwiedzać mnie w dni powszednie. A rozmowy z automatów w świetlicy są kontrolowane.

- Dostarczymy ci palmtop wyposażony w modem - zaproponował Bryce. - Albo jeszcze lepiej najnowszy model laptopa sprzężonego z telefonem komórkowym i podłączonego do Internetu. Pewnie będzie tylko kłopot z przemyceniem go do zakładu.

- Fakt. To będzie bardzo ryzykowne. Ale da się jakoś załatwić, prawda, Maggie?

- Jasne. Trzeba będzie tylko zachować ostrożność. Poprosimy Movitę, ona wymyśli najlepszy sposób i skontaktuje się z wami - powiedziałam do moich chłopców.

Bardziej jednak martwiłam się o Spencer niż ich firmę. Dobrze wiedziałam, co znaczą chytre błyski w oczach Bryce'a, kiedy słuchał relacji Jennifer i jej księgowego na temat planowane-

go wykupu spółki zarządzającej więzieniem. Był marzycielem, co także odziedziczył po ojcu, do tego marzycielem równie bezwzględnym i skorym do manipulowania ludźmi; jego ojciec za to samo zarobił kulkę między oczy. Miałam nadzieję, że nie jestem świadkiem narodzin czegoś, co po latach doprowadzi Spencer do zabicia mojego syna, byłam jednak pewna, że to dostrajanie wspólnej częstotliwości, jakie zachodziło podczas godzinnego spotkania w więziennej sali widzeń, musi zaowocować kłopotami.

Podczas pracy w bibliotece miałam okazję zapoznać się z najróżniejszymi zwariowanymi planami kobiet pragnących za wszelką cenę przechytryć wymiar sprawiedliwości. Bo ja ani przez chwilę się nie łudziłam, że jest to w ogóle możliwe. Sama powstrzymywałam moich chłopców przed kolejnymi próbami składania apelacji, które uważałam za wyrzucanie piędzy w błoto. Pogodziłam się z wyrokiem dożywocia w myśl starego przysłowia: „Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich”. A doświadczenie nauczyło mnie, że owo „przyłączanie się” jest o niebo lepsze od prób „wybicia ich”.

Kiedy więc Jennifer Spencer i mój „syn numer dwa” z entuzjazmem knuli swoją intrygę, mimo woli zaczęłam się zastanawiać, jakże odmiennie potoczyłoby się moje życie, gdybym i ja mogła należeć do ich pokolenia. Do tej pory nie przyszło mi nawet do głowy, że oprócz „przyłączania się” i „wybijania” może być jeszcze „wykupienie ich”, stanowiące równie cudowny sposób na pokonanie przeciwników, w dodatku ich własną bronią. Dlatego, widząc takie same błyski w oczach Jennifer, poczułam się znowu młodo.

32

Jennifer Spencer

Kiedy tylko nie było Byrda na wieczornej zmianie, po ogłoszeniu nocnej ciszy Movita wykorzystywała swoją pozycję i ugadywała pełniącego służbę strażnika tak, by mogła razem z Jen pozostać w celi Theresy, gdzie we trzy pochylały się nad ślicznym nowym laptopem. Spencer wyciągała zza pazuchy plik listów, sprawozdań i depeesz, które w ciągu dnia przygotowywała w bibliotece, a Watson, mająca olbrzymią wprawę w pisaniu na maszynie, wprowadzała je do komputera i wysyłała.

Bryce i Tyler zajęli się negocjacjami ceny i warunków odkupienia od Tarringtona jego akcji JRU International i doprowadzili je pomyślnie do końca. Tymczasem Lenny'emu Bensonowi udało się załatwić nie jedną, lecz dwie znaczące pożyczki dla podupadającej finansowo firmy, zatroszczył się również o to, by małym druczkiem w umowach kredytodawcy zastrzeżli sobie nie tylko prawo weta wobec decyzji finansowych rady nadzorczej, lecz również wpływ na jej skład. W ten sposób obaj bracia Rafferty stali się wiceprezesami spółki już w momencie przyznania jej długoterminowych pożyczek.

Ten etap zakończył się wyjątkowo szybko i bez żadnych perturbacji. W końcu, jak Jennifer wyjaśniła Movicie, niewiele trzeba, aby ludzie zgodzili się przyjąć kredyt na pozornie korzystnych warunkach. Ale następny etap nie był już taki prosty. W normalnych warunkach przejęcie kontroli nad spółką nie wymagałoby posiadania większościowego pakietu udziałów, ale w tym wypadku mieli przeciwko sobie Tarringtona posia-

dającego ponad czterdzieści procent akcji i nie uznającego żadnych sprzeciwów wobec jego metod zarządzania firmą. „Byłoby niedobrze, gdybyśmy zostali zmuszeni do wykupienia wszystkich pięćdziesięciu ośmiu procent udziałów znajdujących się w prywatnych rękach. Nawiasem mówiąc, masz piękne oczy” - napisał Bryce w e-mailowej wiadomości. Movita, która także ją czytała, zerknęła znacząco na Spencer. „Dostaliśmy się do rady i na podstawie informacji zdobytych przez ciebie i Bensona zapewne moglibyśmy już teraz wysadzić Tarringtona z siodła. Ale nie jestem pewien, czy warto wydawać więcej forsy niż to konieczne, by zyskać kontrolę nad tym kutasem. Masz jakiś pomysł?”.

- O co mu chodzi, do jasnej cholery?! - zapytała Watson.

- To proste - wyjaśniła Jen. - Czasami da się przejąć kontrolę nawet nad bardzo dużą firmą, mając tylko niewielki pakiet akcji, ale za to poparcie innych udziałowców. Wystarczy się tylko upewnić, że pozostałe akcje są silnie rozproszone, a wtedy, jeśli Tarrington nie zdoła przeciągnąć tych wszystkich ludzi na swoją stronę, będziemy mieli go w garści.

- Dobra. To rozumiem. - Movita pokiwała głową.

Kucały na podłodze w rogu celi, za szafką, którą Theresa zakryła kocem i ustawiła na nim pudełko od puzzli. Tego wieczoru mogły się niczego nie obawiać, ponieważ służbę pełniła gruba Mowbry, zbyt leniwa na to, żeby ciągle łązić po blokach. Od czasu do czasu pojawiała się jednak u wylotu korytarza i wtedy LaBianco ogłaszała alarm. Miały się już szykować do powrotu do swoich cel, gdy Jennifer wcisnęła się w najdalszy kąt na dolnej pryczy pod łóżkiem Teresy, oparła plecami o ścianę i dała im znać, żeby usiadły obok. Stłoczyły się w ciasnej przestrzeni i Movita od razu zapytała, co jeszcze mogą w tej sytuacji zrobić.

- Nie mam pojęcia - odparła Spencer. - Z tego, co wiem, jedynym wyjściem jest odkupienie od akcjonariuszy większej liczby udziałów. Poza tym zostaje nam podłożenie ognia pod siedzibę spółki.

- Co byśmy dzięki temu zyskały? - zdziwiła się Theresa. - Odszkodowanie z ubezpieczenia?

- Żartowałam - szepnęła Jen. - Chciałam wam tylko uzmysłować, jak ważne jest zdobycie kontrolnego pakietu akcji. Wciąż jeszcze mogę sprzedać mieszkanie. Lenny twierdzi, że da się

wyciągnąć pół miliona, odliczając nawet honorarium pośrednika, podatki i niezbędne opłaty.

- Dziewczyno! Masz mieszkanie warte pół miliona?!

Jennifer uśmiechnęła się smutno. W Tribeca za tę sumę można było kupić najwyżej kawalerkę, ale o tej porze nie chciała już robić kolejnego wykładu z ekonomii.

- Musisz je zatrzymać - oznajmiła stanowczo Theresa. - Jesteś młoda, a przecież nie będziesz tu siedzieć wiecznie.

- Na pewno jest inny sposób - mruknęła Movita.

- Bez wątplenia. - Spencer westchnęła głośno. - Zresztą za pół miliona nie kupi się tyle akcji, by przejąć kontrolę nad firmą.

Watson pokręciła głową.

- Te hieny z JRU to nie tylko zwykłe łajdaki - oceniła. - To bogate i bezwzględne łajdaki.

- Widzę, kochana, że zaczynasz rozumieć mechanizmy rządzące na Wall Street - odparła Jen.

Odpowiedziała na wiadomość Bryce'a, powstrzymując się, by nie popłirtować z nim przez Internet, po czym wysłała e-mail do Lenny'ego. Dochodziła już północ i Mowby kończyła swoją zmianę, toteż w pośpiechu prześliznęły się do swoich cel.

Jennifer znalazła rozwiązanie następnego ranka. Była tak podniecona, że musiała wyjawić swój pomysł Maggie. To jej nie wystarczyło, podjęła więc ryzyko i w aparacie komórkowym wybrała numer sekretariatu naczelniczki. Miała szczęście, bo telefon odebrała Movita, a nie panna Ringling.

- Wiem, jak to zrobić, dziewczyno - rzuciła podekscytowana Jen.

- Tak podejrzewałam - odpowiedziała lodowatym tonem Watson, chociaż i ją musiała ta informacja niezmiernie ucieszyć. - Naczelniczka jest teraz na zebraniu. Czy chce pani zostawić wiadomość?

- Wypuścimy akcje na wolny rynek.

- Co to znaczy?

- Zaproponujemy Tarringtonowi i jego ludziom z rady mniejszościową pozycję w zarządzie spółki, która wejdzie na giełdę.

- Czyli? - zapytała Movita.

- Zachęcimy ich perspektywą znacznych dywidend i zgromadzenia sporych funduszy z publicznej sprzedaży akcji. Co prawda, ich dotychczasowe udziały tracą nieco na wartości, ale ponieważ wejdą na parkiet i znajdują się w wolnym obrocie, będzie można je spieniężyć w dowolnej chwili - wyjaśniła Jennifer.

- A to spowoduje zmianę sytuacji, ponieważ...

- Przejmiemy kontrolę nad emisją akcji. - Spencer aż zachichotała z radości.

- Przyznam, że ma pani dość specyficzne poczucie humoru - powiedziała cicho Movita i sama też zachichotała. - Powiadomię o tym naczelnik Harding, gdy tylko wróci z zebrania.

Jen przerwała połączenie i jeszcze raz szczegółowo omówiła z Maggie swój plan, po czym zadzwoniła do Lenny'ego i przedstawiła go jemu.

- Dałbyś radę zebrać grupę choć trochę uczciwych finansistów? - zapytała na koniec.

- Jasne. Jeśli tylko zarezerwujesz wolną pryczę w swojej celi. Uśmiechnęła się.

- Za coś takiego prędzej wsadziliby cię do Allenwood.

- Doskonale. Podobno to prawdziwy ośrodek wypoczynkowy.

Oboje zaśmiali się w głos, aż przestraszona Maggie popatrzyła na Jen ze zmarszczonymi brwiami. Musieli się zachowywać jak najciszej, ponieważ drzwi od biblioteki zawsze zostały otwarte i w każdej chwili do środka mógł zajrzeć strażnik, który ciągle kręcił się w pobliżu.

Spencer prowadziła wszystkie rozmowy w kącie biblioteki, pod samym oknem, gdyż tylko tam sygnał łączności był wystarczająco silny. Wiązało się to z dużym ryzykiem, ponieważ widać ją było już od wejścia, toteż Maggie musiała przez cały czas bacznie wypatrywać zbliżających się strażników. Co gorsza, Jen spędzała coraz więcej czasu przy laptopie, przygotowując schematy i zestawienia finansowe oparte bardziej na pobożnych życzeniach niż konkretnych danych liczbowych. W dodatku musiała to robić w pośpiechu. Tymczasem praca z komputerem była ryzykowniejsza niż rozmowy telefoniczne, więc w tym czasie Maggie po prostu zajmowała posterunek przy drzwiach i z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, udając

pograżoną w zadumie, bacznie obserwowała strażników na korytarzu.

- Mam dodatkową karę - oceniła któregoś dnia. - Przez tyle lat twardą ręką utrzymywałam porządek i dyscyplinę w swoich klasach, a teraz sama muszę stać na czujce. Myślisz, że w szkolnym żargonie nadal tak to się nazywa?

- Nie sądzę.

Maggie westchnęła ciężko.

- Żałuję, że nie poświęciłam w życiu więcej czasu na zabawy i rozrywki.

Stojąc plecami do drzwi i trzymając się jak najdalej okna, aby nikt nie zauważył jej z dziedzińca, Jen próbowała przekonać Lenny'ego do swojego planu.

- Zrozum, że inwestorom na tym etapie nie trzeba nawet obiecywać większych zysków. Wystarczy im powiedzieć, że chcemy oddzielić nadzór nad zakładami karnymi od innych sfer działalności JRU. Sprywatyzowane więzienia są teraz łąkowym kąskiem, zwłaszcza że zapowiada się recesja w przemyśle.

- To chyba najbardziej zwalająca z nóg opinia na temat amerykańskiej gospodarki wolnorynkowej, jaką w życiu słyszałem.

Spojrzała na szykowane właśnie zestawienie finansowe.

- Chodzi tylko o to, byśmy znaleźli nabywców, żeby Tarringtonowi i jego poplecznikom zaświecić w oczy zyskami ze sprzedaży akcji, a zarazem doprowadzić do jeszcze większego rozproszenia udziałów. W takiej sytuacji łatwo byłoby nam zachować dla siebie ich lwia część.

- Otóż to, Jennifer. Lwia część udziałów oznacza wszystko. Mnóstwo ludzi błędnie uważa, że do przejęcia kontroli potrzebny jest pakiet większościowy. A przecież wystarczy jedynie lwia część.

- No cóż, w końcu to żadne przestępstwo... - Jen urwała, po czym dodała ciszej: - Bardzo proszę, Lenny. Czy mógłbyś to dla nas zrobić?

- Zastanowię się.

- Znajdziesz jakieś biuro rachunkowe, które będzie sygnowało emisję?

- Przecież wiesz, że tak.

- Oczywiście, za stosowną opłatą - powiedzieli jednocześnie.

- Chcesz, by wniosek o pozwolenie na emisję wyszedł z biura Hudsona i van Schaanka? - zapytał Benson.

Jennifer pomyślała, że Lenny nie cieszy się najlepszą opinią w jej firmie. Zatem było wątpliwe, by jego propozycja została zaakceptowana. Poza tym nie chciała, by którykolwiek z sukinsynów dowiedział się przed czasem, co ona planuje.

- Nie - odparła. - Obejdziemy się bez nich. Jak myślisz, bracia Rafferty dadzą sobie radę?

- Ci piraci? Zresztą chybaby się zbuntowali, gdybyś teraz skorzystała z usług kogoś innego. Poza tym bardzo nam się przyda każdy chciwy łajdak, gotów nie tylko zainwestować forszę, ale i rozpuścić plotki o wypuszczeniu akcji JRU do wolnej sprzedaży.

- Przyszło mi właśnie do głowy, że mógłbyś wykorzystać wizytówki i papier firmowy Hudsona i van Schaanka, by zasugerować na rynku, że firma jest zainteresowana tą emisją. Po tem łatwo byłoby wszystko odkręcić, gdyby pułapka zdała egzamin.

- Ach, te twoje pułapki i sugestie... - mruknął Lenny.

Z niewiadomych powodów Spencer przypomniało się ostatnie zdanie z e-mailowej wiadomości od Bryce'a: „Masz piękne oczy”.

- W każdym razie to byłaby bardzo kusząca pułapka.

- Zgadza się, Jennifer. Pułapka na duże pieniądze.

- Wcale nie będziemy potrzebowali ich tak dużo, zwłaszcza jeśli obecni udziałowcy złapią się na lep oferty publicznej i jakąś część akcji wystawią na sprzedaż. Nastąpi rozproszenie pakietów, a gdy znajdziemy się na pozycji właścicieli firmy...

- Przykro mi wylewać kubeł zimnej wody na twoją rozpaloną głowę, ale perspektywa wejścia akcji na wolny rynek wcale nie musi ich nakłonić do odsprzedania udziałów. Mogą się kierować nadzieją na wyżkę kursów. Wszystko zależy od tego, jak bardzo są chciwi.

Zamyśliła się przez chwilę. Lenny miał rację.

- W porządku - odparła. - W takim razie zatańczymy walca na dwa pas. Najpierw damy im trochę forsy z funduszu uzyskanego z nowej emisji akcji, a nie z kredytów, a dopiero potem zaproponujemy odkupienie starych udziałów.

Zanim zdążył odpowiedzieć, stojąca w drzwiach Maggie syknęła:

- Byrd!

Jennifer natychmiast przerwała połączenie, zamknęła laptop, schowała go razem z telefonem komórkowym na tyle półki w regale i podeszła do sterty książek, które czekały do odłożenia na miejsce. Jak zwykle w takiej chwili pomyślała, iż wspa- niale się składa, że Maggie przez tyle lat pracy w bibliotece nie została przyłapaną z żadną kontrabandą.

Movita dała jej gryps przy obiedzie. Jennifer szybko prze- czytała wiadomość napisaną charakterem Maggie: „Czekam na ciebie wieczorem w mojej celi”. Spojrzała na Movitę, a ta ledwie zauważalnie skinęła głową.

Było to niecodzienne zaproszenie, gdyż w powszechnym mniemaniu Maggie nie życzyła sobie żadnych wizyt w swoim domu. Nie utrzymywała z nikim bliższych kontaktów i w ogó- le nie jadała w stołówce. Tylko w bibliotece chętnie udzielała rad czy pomocy w jakiegokolwiek sprawie, jakby ściśle przestrze- gała zasady „wszędzie, byle nie w mojej celi”.

Na przejście do sąsiedniego bloku potrzebna im była eskor- ta, ale dzięki wpływom Movity strażnik odprowadził ich tylko do kraty przegradzającej korytarz drugiego skrzydła budynku. Kiedy tylko zamknął za nimi przejście, Jennifer śmiało ruszyła przed siebie. Czuła się jak uczennica wezwana do gabinetu dy- rektorki. Aż zachichotała. W końcu Rafferty przez wiele lat rze- czywiście prowadziła szkołę dla dziewcząt. Odnalazła jej celę i zastukała pięścią w kratę.

- Witajcie - powiedziała Maggie, kiedy obie z Movitą we- szły do środka.

Jennifer wiedziała, że Rafferty jest jedyną skazaną, która ma osobną celę w zakładzie Jenningsa. Inne tylko na krótko zosta- wały same, gdy ich współlokatorki wychodziły na wolność, czy też były przenoszone gdzie indziej. Z sobie tylko wiadomych powodów Harding nigdy nie przydzielała drugiej więźniarki do tej celi. A jej wygląd zaskoczył Jennifer. Nigdzie jeszcze nie widziała aż takiej czystości i porządku. Można było odnieść wrażenie, że Maggie szoruje ściany i podłogę szczoteczka do zębów. Koc na jej pryczy był ciasno zrolowany i starannie

ułożony, jak w wojsku. Na betonie u węzłowia łóżka piętrzył się stosik równiutko poukładanych czasopism, a środki czystości i kosmetyki stały rządkiem na parapecie tak samo wysoko umieszczonego okna. Chyba jedyną rzeczą uchodzącą uwagi wszelkich inspekcji było to, że Rafferty jak nikt miała pod dostatkiem prywatności, czego Jennifer bardzo jej zazdrościła.

Maggie usiadła na krześle i wskazała im miejsca na pryczach.

- Rozgośćcie się - powiedziała.

Wyjęła z szafki talerzyk i podała go Spencer. Ta aż uniosła wysoko brwi, bo jeszcze u nikogo w zakładzie karnym nie widziała prawdziwej porcelany. Z zachwytem popatrzyła na zdobiący go wzór, biegnący dookoła złoty pasek i po dwa delikatne zielone listki, a nad nimi czerwone kwiatki.

Leżały na nim krakersy posypane drobnymi skrawkami żółtego sera i ozdobione oliwką nadziewaną pastą paprykową oraz listkami selera naciowego upstrzonymi białymi piramidkami, prawdopodobnie sera topionego z tubki. Od razu przypomniały jej się niedzielne podwieczorki u babci.

Movita poczęstowała się łakomie, jakby tego rodzaju przekąski o szóstej wieczorem były w więzieniu na porządku dziennym. Idąc za jej przykładem, Jennifer sięgnęła po listek selera. Tymczasem Maggie wyjęła z szafki trzy wysokie kieliszki do martini. Na ich widok Spencer aż zakłuło w sercu. Rzecz jasna, tutaj były kontrabandą, obudziły w niej jednak tęsknotę do tych czasów, kiedy bywała stałą klientką barów i wypijała jednego cosmopolitana za drugim, dopóki jeszcze coś widziała na oczy. Bała się nawet zapytać, jakim cudem Maggie udało się je przechować mimo powtarzanych od czasu do czasu przeszukań w celach.

Maggie odchrząknęła i zaczęła podniosłym tonem:

- Movito. - Skinęła głową w kierunku Watson. - Jennifer. - Krótko popatrzyła jej w oczy. - Wiem, że obie jesteście bardzo sprytnie i wytrwale dążycie do celu. Nie chcę powiedzieć, że was nie doceniałam, ale wspólna praca z wami skłoniła mnie do wniosku, iż dotąd nie znałam w pełni waszych możliwości. - Zamilkła na chwilę, by ku jeszcze większemu osłupieniu Spencer wyjąć z szafki shaker do koktajli. - Próba powstrzymania groźnych zmian, jakie planuje JRU, nie tylko wymaga od

was maksymalnego zaangażowania i wysiłku, lecz może się również zakończyć fiaskiem, a nam wszystkim przysporzyć ogromnych problemów. Właśnie dziś po południu uzmysłowiłam sobie, jak wiele położyliśmy na szali i jak wiele mamy do stracenia. Dlatego chcę was teraz zapytać, czy nadal jesteście gotowe się w to angażować i brnąć dalej, bez względu na wszystko, choćby po trupach.

Movita wzięła drugiego krakersa, rozsiadła się wygodnie i założyła nogę na nogę.

- Moim zdaniem nie mamy większego wyboru - powiedziała. - Jeśli zostawimy sprawy własnemu biegowi, życie tutaj stanie się nie do zniesienia. A tak, niezależnie od tego, czy nam się uda, czy nie, przynajmniej będziemy miały czyste sumienie. - Uśmiechnęła się. - Chyba zaczynam gadać jak Theresa.

Jen pokręciła głową.

- Doskonale cię rozumiem. Z nas trzech najwięcej ryzykuję, bo nie mam tyle czasu co wy. Ale prawdę mówiąc, także mogę wiele zyskać. Bo jeśli nic się tu nie zmieni, zwariuję albo się zabiję.

Wbiła wzrok w podłogę. Przez chwilę panowała cisza.

- W takim razie... - odezwała się Maggie z taką radością w głosie, że Spencer natychmiast podniosła głowę i popatrzyła z niedowierzaniem, jak nalewa martini do kieliszków. - Z oliwką czy cebulką? - zapytała, ku osłupieniu gości wyjmując z szafki dwa słoiczki.

- Z cebulką - wydusiła z trudem Jennifer i po chwili wzięła z jej rąk kieliszek.

Z rozrzewnieniem popatrzyła na dwie białe perełki zatopione w winie. Na tyle poznała już tutejsze zwyczaje, by nie pytać, jakim sposobem i za jaką cenę Maggie zdołała się przygotować na to przyjęcie. Uśmiechnęła się tylko szeroko i skinęła głową Movicie, która odpowiedziała takim samym uśmiechem.

- Zatem przystępujemy do twardej walki? - zapytała Maggie.

- Bez wahania - odparła Watson.

- Najmniejszego - dodała Spencer.

Uniosły kieliszki do toastu i wychyliły martini.

33

Gwen Harding

Kiedy Movita poprosiła Gwen Harding, by zechciała przyjąć Jennifer Spencer, naczelniczka tylko wzruszyła ramionami. Na co dzień odbierała jedynie skargi i wysłuchiwała o różnych kłopotach, a teraz jeszcze dodatkowo od paru tygodni żyła w wielkim stresie. Czuła się jak zakonnica, która po latach klasztornego życia nagle straciła powołanie - jej serce wypełniała pustka, poczucie beznadziejności i strach.

Mimo to nie brała ginu do ust. Dlatego podejrzewała, że w znacznym stopniu ta pustka jest wynikiem braku alkoholu, który od tylu lat nie tylko płynął w jej krwi, ale również wypełniał życie.

Uznała, że spotkanie z Jennifer nie może być ani lepsze, ani gorsze od innych obowiązków służbowych, niemniej zdziwiła ją ta prośba. Wyglądało na to, że Spencer pogodziła się ze swoim losem i jakoś wtopiła w społeczność zakładu. Mimo zaskoczenia przytaknęła ruchem głowy. Jej dni w zakładzie Jenningsa i tak były już policzone, nie wiedziała tylko, czy zostanie przeniesiona do innego więzienia, wysłana na wcześniejszą emeryturę, czy po prostu zwolniona ze stanowiska. Była przekonana, że swoim odejściem zdradzi te kobiety, którym bezskutecznie usiłowała pomagać. Nie miała jednak złudzeń, że może jakoś wpłynąć na bieg zdarzeń, zbyt trudny i skomplikowany, by zdołał go pojąć ktoś jej pokroju.

Zawczasu przywiozła do biura kilka kartonowych pudeł. Większość papierów trzeba było pociąć na strzępy w niszczarce, z tym jednak wolała zaczekać, aż spadnie topór kata. Powoli

jednak pakowała do pudeł rzeczy osobiste oraz pamiątki z wieloletniej służby w więziennictwie. Zaliczała do nich stertę listów od byłych więźniarek, zarówno tych radosnych z podziękowaniami od kobiet, które pomyślnie ułożyły sobie życie na Zewnątrz, jak i smutnych od tych podopiecznych, które ponownie weszły w konflikt z prawem, znalazły się w innym zakładzie i pisały do niej z prośbą o pomoc lub radę. Miała też kilka mało znaczących nagród od władz stanowych bądź mieszkańców miasta. Nie wiązała z nimi żadnych wspomnień ani konkretnych dokonań, choć uważała, że w pełni na nie zasłużyła. Starła się pakować te rzeczy dyskretnie, podejrzewała jednak, że panna Ringling i Movita, a może nawet już wszystkie więźniarki, wiedzą, że coś się święci, choć zapewne Watson nikomu nie pisnęła ani słowa. Kiedy jednak rozległo się pukanie, Gwen pospiesznie wepchnęła trzy do połowy zapelnione pudła za biurko.

- Proszę! - zawołała.

Do gabinetu weszła Jennifer. Tym razem stanęła przy drzwiach i zaczęła, aż naczelniczka pozwoli jej usiąść. Gwen tylko się skrzywiła na wspomnienie aroganckiej i opryskliwej Marlys Johnston z JRU. I gdy wskazała miejsce, Jennifer usiadła sztywno wyprostowana na krześle przed biurkiem, a nie stojącym z boku. Ta dziewczyna wyraźnie zmieniła się na lepsze, pomyślała Harding, chociaż chwilę później skojarzyła, że sama już nie wie, co jest lepsze, a co nie.

- Pani naczelnik - zaczęła Jennifer - mam dla pani ważne nowiny.

Gwen mimo woli zmarszczyła czoło. Przemknęło jej przez myśl, że chyba przedwcześnie oceniła pozytywnie jej przemianę. Nie odezwała się jednak.

- Może powinnam zacząć od tego, że już od pewnego czasu wiedziałam o planach prywatyzacji zakładu przez JRU - wyjaśniła Jennifer.

Gwen ani trochę to nie zdziwiło. Częste wizyty przedstawicieli firmy pozwalały się domyślać nadchodzących przemian, a znajomi Spencer, czy to z Wall Street, czy z władz stanowych, prawdopodobnie wtajemniczyli ją w szczegóły prywatyzacji.

- Tak? - odparła.

- Ostatnio nastąpiły gruntowne zmiany w zarządzie JRU,

które według mnie będą miały olbrzymi wpływ na sytuację w zakładzie.

- Czyżby? - zdziwiła się Harding.

Wciąż nie była pewna, czy nie powinna raczej kazać jej zamilknąć i wrócić do pracy w bibliotece, czy też słuchać dalej. Nie potrafiła ukryć zaciekawienia, ale zastanawiała się równocześnie, co Jennifer chce dzięki temu zyskać. W końcu została aresztowana i skazana właśnie z powodu różnych machinacji i działań przeciwko macierzystej firmie. Może przeniesienie do biblioteki uważała za zbyt małe wyróżnienie i chciała zdobyć jakieś zajęcie w biurze? Pewnie wolałaby zająć miejsce Movity. A może nawet myślała o przyłączeniu się do personelu JRU? Gwen szybko odegnała od siebie takie myśli. Obawiała się o los więźniarek pod nowym zarządem, ale najbardziej żałowała, że w ręce tych hien będzie musiała przekazać także Watson. Bez wątpienia na początku byłaby im bardzo pomocna, ale strach myśleć, co ją czeka później. Niemniej szybko doszła do wniosku, że nie ma nic złego w rozmowie z Jennifer, dopóki ta nie zacznie wysuwać jakichś żądań lub propozycji. Mimo wszystko nie zaliczała jej do osób gotowych dążyć po trupach do wyznaczonego celu, chociaż przyczyny, dla których znalazła się w więzieniu, sugerowały coś wręcz przeciwnego.

- Jakie to zmiany? - zapytała. - Co prawda, JRU nie ma obowiązku o wszystkim mnie informować, sądzą jednak, że o istotnych zmianach zostałam powiadomiona.

- Prawdę mówiąc, ludzie z JRU sami jeszcze o tym nie wiedzą - odparła Jennifer.

Czyżby chciała więc przekazać jakieś plotki z Wall Street?

- Zatem słucham, Spencer. O co chodzi? - rzuciła ostrzejszym tonem, zniecierpliwiona. - Mam jeszcze sporo pracy na dzisiejsze przedpołudnie.

- Otóż JRU zostało przejęte.

- Przejęte? - powtórzyła Gwen. - Przez inną firmę?

Mój Boże, pomyślała. W sprawę włączyło się Wackenhut albo nawet CCA.

- Niezupełnie. Zostało wykupione przez pewną nieformalną grupę nadzorczą.

- Ach tak. Kiedy to się stało?

- W ciągu ostatnich dwóch dni. Dlatego większość ludzi z JRU może jeszcze o niczym nie wiedzieć.

Harding znowu przypomniała sobie Marlys Johnston i uśmiechnęła się niewyraźnie. Ciekawe, czy ona już wiedziała? Może powinna do niej zadzwonić i przekazać jej te wiadomości? Mimo woli ucieszyła się na myśl, że owe zmiany w zarządzie JRU w jakiś sposób dotkną tę jędzę. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Nie było się jednak co łudzić. Znając życie, należało zakładać, że wszelkie zmiany wyjdą jedynie na dobre takim jak Johnston. Mogła nawet zająć stanowisko prezesa spółki.

- Skąd masz te informacje? - zapytała.

Jennifer spuściła głowę i przez chwilę wpatrywała się w podłogę.

- Bo to ja wykupiłam JRU.

Czyżby więziarka numer 71036 oszalała? Parę miesięcy temu wkraczała do tego gabinetu z pretensjami, traktując wszystkich z góry, a teraz ośmielała się twierdzić, że wykupiła na własność cały zakład Jenningsa? Gwen dobrze wiedziała, że Spencer potrafi bardzo skutecznie zatroszczyć się o swoje interesy, lecz nawet przez chwilę nie potrafiła uwierzyć, iż mogła przejąć kontrolę nad więzieniem. Bo przecież to by oznaczało, że została jej pracodawcą! To było niewiarygodne!

- Co takiego? - mruknęła ze zgrozą, cedząc słowa.

- Właściwie nie dokonałam tego osobiście - wyjaśniła spokojnie Jennifer. - Zebrałam grupę inwestorów. Można jednak powiedzieć, że byłam... kluczową postacią tej transakcji.

Harding patrzyła na nią okrągłymi ze zdumienia oczami. Wręcz nie mogła wydusić z siebie głosu. Wciąż jej się wydawało, że to jakaś bzdura, że któraś z nich naprawdę zwariowała. Czyżby Spencer doznała pomieszania zmysłów? Nie dało się tego wykluczyć, choć równie dobrze to ona mogła cierpieć na halucynacje. Bo jeśli nie, to znaczyło, że nie doceniła możliwości tej dziewczyny, a jednocześnie całkowicie zawiodła w sprawowaniu kontroli nad skazaną.

- Czy możesz mi to wyjaśnić dokładniej? - bąknęła, nie bardzo wiedząc, jakich wyjaśnień powinna oczekiwać.

- Grupa niezależnych inwestorów wykupiła JRU, a ja w pewnym sensie kierowałam procesem przejęcia spółki.

- Stąd? - zdziwiła się Gwen. - Nadzorowałaś przejście firmy z zakładu karnego?

Jennifer przytaknęła ruchem głowy.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że w niczym nie zmieni to naszych stosunków, ja pozostanę skazaną, a pani naczelniczką. Ale na razie, przynajmniej do czasu wyłonienia nowego zarządu, będę faktycznie sprawowała funkcję administratora więzienia.

Harding wybuchnęła gromkim śmiechem. Nie zdołała się powstrzymać. Spoważniała dopiero wtedy, gdy zauważyła strach w oczach Spencer.

- Gdyby tak było naprawdę - powiedziała - znalazłybyśmy się w komicznej sytuacji.

To wierutna bzdura, pomyślała. Jeśli nawet Spencer jest bardzo dobra w swoim fachu, to jednak nie może być aż tak sprytna. Bo i jak miałyby tego dokonać w pojedynkę? Co prawda, ona sama doprowadziła do zbliżenia Movity z Jennifer, która ostatnio także bardzo zacieśniła znajomość z Maggie. To było całkiem zrozumiałe, ostatecznie większość skazanych w końcu znajdowała sobie przyjaciółki, szukając czyjejs pomocy albo rady czy choćby towarzystwa kogoś na odpowiednim poziomie intelektualnym. Niemniej żadna z nich, jak również mała Suki Conrad czy wygadana Theresa LaBianco, nie miała wystarczająco dużo pieniędzy, by wesprzeć akcję przejmowania JRU. Harding wzięła głębszy oddech, chcąc odzyskać swobodę mówienia.

- Mam nadzieję, że ani przez chwilę nie przyszło ci do głowy, byś mogła zająć moje stanowisko. Bo to jest po prostu nierealne. Jeśli mnie nawet wylejesz, to władze stanowe, zgodnie z przepisami, wyznaczą na moje miejsce innego penologa.

Jennifer energicznie pokiwała głową.

- Przyznaję szczerze, że nie znalazłam się w tej sytuacji z własnej woli. Na swój sposób to sytuacja wybrała mnie.

Gwen pochyliła się, wyciągnęła spod biurka pierwsze pudło kartonowe i postawiła je na blacie.

- No cóż, niezależnie od tego, jak jest naprawdę, chyba mogę już zacytować Nbcona: „Na pewno nie chcecie, bym się dłużej tu kręcił”. Złożę rezygnację. I tak zamierzałam to zrobić.

Jennifer popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Och nie... - jęknęła. - Nie może pani tego uczynić. Pod żadnym pozorem. Nie może pani odejść teraz, kiedy tak bardzo potrzebujemy pani pomocy! Tylko wspólnie możemy tu coś zmienić.

- Mogę odejść i odejść - powtórzyła z naciskiem Harding. - Nic mnie nie obchodzi, czy jesteś... „faktycznym administratorem zakładu”. Nawet jeśli to prawda, nie masz prawa zatrzymać pracownika wbrew jego woli.

- Oczywiście że nie. Zwłaszcza że jestem członkiem zarządu JRU odbywającym karę więzienia w podległym mi zakładzie. Niezależnie od tego, jakie będę wykonywać zadania, ja stąd na pewno nie odejść, nie dostanę urlopu, nie będę nawet mogła liczyć na godziwą pensję.

Gwen znieruchomiała, przestała pakować swoje rzeczy do pudła.

- Muszę przyznać, że jesteś o wiele sprytniejsza, niż przypuszczałam. Czy to wszystko prawda?

- Tak, jasne. Prawdę mówiąc, mogłybyśmy zacząć od przejrzenia listy pracowników JRU wyznaczonych do nadzoru nad zakładem i skreślenia z niej osób, z którymi nie chce pani pracować.

Harding po raz drugi wybuchnęła śmiechem.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Nie wiem jeszcze, czy chcę się tym zajmować, ale skoro wyznaczono mi taką rolę, wywiążę się z niej sumiennie.

Gwen przez dobrą minutę bez słowa patrzyła jej prosto w oczy. Znowu opadły ją skojarzenia z Pismem Świętym, przypomniała sobie cały ten bełkot o „wyższej sile”, którego musiała wysłuchiwać na spotkaniach w kościele. Nie stała się przez to bardziej wierząca, ale teraz doszła do wniosku, że faktycznie musiał w tym być palec boży. Jeszcze raz zerknęła podejrzliwie na Spencer i zapytała:

- Czy to nie jest przypadkiem jakiś spisek twoich kolegów z Wall Street, pragnących przed czasem wyciągnąć cię z więzienia? Jeśli tak, to nic z tego nie wyjdzie. Nie obchodzi mnie, czy faktycznie jesteś prezesem firmy nadzorującej ten zakład, gdyż nie wpłynie to na skrócenie twojego wyroku choćby o jeden dzień.

- Wiem o tym - odparła Jennifer. - Nie musi mi pani wierzyć, ale naprawdę chcę się zatroszczyć o wszystkie przebywające tu kobiety.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Gwen zaświtała nadzieją, że resocjalizacja Spencer przyniosła jednak jakieś rezultaty. Nagle popatrzyła na nią zupełnie innym wzrokiem. Nawet jeśli ta kobieta była przekonana, że zostanie potraktowana obcesowo czy nawet wrogo, to i tak należy tylko być jej wdzięcznym. Zaangażowała całą swoją wiedzę, doświadczenie i umiejętności, wykorzystwała wszelkie kontakty wśród finansistów i Bóg wie co jeszcze, dla dobra ogółu. Harding zwróciła uwagę na ostatnie promienie porannego słońca padające na ścianę przy drzwiach gabinetu i choć nie była przesądna, mogłaby przysiąc, że za plecami Jennifer tworzą one zarys anielskich skrzydeł.

Wstała i wyciągnęła rękę, a Spencer z lekkim ociąganiem uścisnęła jej dłoń.

- Gratuluję - powiedziała. - Jestem bardzo zadowolona i dumna z ciebie.

Odniosła wrażenie, że w oczach skazanej dostrzega wyraźne błyski radości. Uśmiechnęła się. Natychmiast z podnieceniem zaczęła myśleć o zmianach, które wspólnie mogły wprowadzić. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że według regulaminu powinna surowo ukarać Spencer. Obrzuciła ją karzącym spojrzeniem.

- Zdaję sobie sprawę, że musiałaś złamać wiele przepisów. Twoja pozycja właściciela spółki nadzorującej zakład w niczym nie zmienia faktu, iż należy ci się kara. - Pogroziła Jennifer palcem i dodała groźnym tonem: - To wykroczenie zostanie skrzętnie odnotowane w twoich aktach, panienko.

Po chwili obie równocześnie wybuchnęły śmiechem. Później Gwen serdecznie podziękowała Spencer i dodała:

- Wielu kobietom zaoszczędziłaś licznych trosk.
- Chciałabym uchronić jeszcze więcej kobiet przed dalszymi troskami. Dlatego pragnę od razu podjąć pierwszą decyzję.

- Dzień dobry, oficerze Byrd - odezwała się Harding, kiedy tylko strażnik stanął w drzwiach.

Rozejrzał się pospiesznie dookoła i na widok siedzących

w gabinecie Jennifer, Suki Conrad oraz Theresy LaBianco wyraźnie zrzędała mu mina.

- O co chodzi, naczelniczko? - zapytał pewnym siebie tonem.

- Oficerze Byrd, chciałabym przedstawić panu nową właścicielkę zakładu karnego Jenningsa, pannę Jennifer Spencer. Suki Conrad i Theresa LaBianco znalazły się w gronie akcjonariuszek spółki nadzorczej.

Byrd w milczeniu pokiwał głową. Nie ulegało wątpliwości, że gorączkowo usiłuje coś wymyślić, ale w pierwszej kolejności jest niepomiernie zaskoczony takim obrotem sprawy.

- Nowa właścicielka? - bąknął nieśmiało, a Gwen odniosła wrażenie, że wyłowiła drzenie jego głosu.

- Zgadza się - odparła. - Nasz zakład nie jest już instytucją państwową. Został sprzedany. Jak stąd wynika, i pan nie jest już funkcjonariuszem stanowych służb więziennictwa i nie podlega pan ochronie związku zawodowego. Panna Spencer, nowy prezes spółki JRU International, ma panu coś do zakomunikowania.

- Tak? - Zerknął trwożliwie na Jennifer.

- Najpierw chciałaby panu przeczytać fragment artykułu opublikowanego w „New York Timesie”.

- Owszem - powiedziała Spencer, rozkładając gazetę.

Według raportu Amnesty International w czterdziestu ośmiu stanach dochodziło do przestępczych związków seksualnych między personelem zakładów karnych a więźniarkami. Nie powinno to dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę, że w ciągu ostatnich piętnastu lat liczba kobiet przebywających w więzieniach uległa potrojeniu, a co najmniej czterdzieści procent strażników służby więziennej to mężczyźni. Tymczasem jeszcze dwa lata temu seksualne napastowanie skazanych przez pracowników więziennictwa aż w czternastu stanach nie było uważane za przestępstwo. Dzisiaj, dzięki wysiłkom Amnesty International i innych organizacji walczących o prawa człowieka, tylko w pięciu stanach nie wprowadzono jeszcze odpowiednich zmian w przepisach. Należy wszelkimi siłami zmusić ich władze do nowelizacji kodeksów karnych.

Curt Goering, wicedyrektor Amnesty International w USA. 15.04.2001.

Byrd zbladł jak ściana. Cholera! A ja się do tej pory nad nim litowałam! - pomyślała Gwen.

- Niestety, tak się nieszczęśliwie składa - ciągnęła Jennifer - że jesteśmy właśnie w jednym z tych pięciu stanów, gdzie nie można cię oskarżyć o gwałt na Suki Conrad oraz innych więźniarkach, jak również o seksualne molestowanie mnie, Theresy LaBianco, Flory Cravets, Pearl Mendozy, Sally Waterman i prawdopodobnie kilkudziesięciu dalszych kobiet.

- Co takiego? - mruknął. - Jak mam to rozumieć?

Harding wstała zza biurka.

- W świetle tych uzasadnionych zarzutów i ja bardzo żałuję, że nie mogę cię zobaczyć w kajdankach. Na pewno by cię zgwałcono w zakładzie karnym dla mężczyzn. - Westchnęła głośno. - Wobec powyższego możemy ci przekazać tylko jedno.

Przez chwilę kobiety porozumiewały się wzrokiem, jakby zamierzały obrzucić go stekiem wyzwisk. Teraz jednak miały nad nim władzę, a to go może pogiębić znacznie bardziej niż najgorsze przekleństwa.

- Wylatujesz z pracy - oznajmiła Jennifer Spencer.

Część trzecia

34

Jennifer Spencer

Jennifer patrzyła ze strachem na papiery rozłożone na bibliotecznym stoliku i czuła się tak, jakby znów była uczennicą szkoły zakonnej i dostała od siostry nie dające się rozwiązać zadanie w rodzaju: Jeśli potrzeba dziesięciu mężczyzn, aby w ciągu dziewięciu godzin wykopać rów długości piętnastu metrów, głęboki na sto dwadzieścia i szeroki na osiemdziesiąt centymetrów, to ile czasu zajmie jednej kobiecie korzystającej z pomocy paru przyjaciół rozeznanie się w warunkach istniejących w zakładzie karnym dla kobiet, jego majątku oraz kosztach utrzymania? A ponieważ rzeczywiście stała się właścicielką takiego zakładu, było to raczej zadanie z języka angielskiego - musiała maksymalnie w tysiącu słów przedstawić realistyczny plan a) uczynienia go bardziej ludzkim, b) zorganizowania wydajnej produkcji, c) osiągnięcia zysków. (Zestawienia finansowe mile widziane).

Na razie jednak nie miała pojęcia, od czego zacząć.

W szkole zawsze potrafiła się domyślić, co siostry chcą od niej usłyszeć, zawsze wiedziała, jak wykręcić kota ogonem. Ale teraz było zupełnie inaczej. Tego zadania nie zleciła jej żadna z sióstr, tym bardziej Donald Michaels. Nie chodziło o jakieś lawirowanie czy wykręcanie kota ogonem. Po raz pierwszy w życiu stała przed konkretnym problemem, nie rozważała sytuacji hipotetycznej i nie załatwiała transakcji, po której zakończeniu mogła o niej zapomnieć. Nigdy dotąd nie musiała osobiście zarządzać czymkolwiek, nawet własnym mieszkaniem. Dobrowolnie podjęła to wyzwanie, lecz już teraz miała

absolutną pewność, że będzie potrzebowała znacznie więcej niż trójstronicowego opisu, aby faktycznie uczynić ten zakład bardziej humanitarnym, efektywnym i przynoszącym zyski. Musiała dokładnie wszystko przemyśleć, zaplanować i wypróbować. A przede wszystkim musiała włożyć w to pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Więc od czego miała zacząć?

Siedziała nad tymi dokumentami już drugi dzień. Nagle uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie naukę solmizacji. Do-re-mi... W młodości bardzo lubiła lekcje muzyki.

„Zaczynamy od początku, bo to przecież najlepsze miejsce, żeby zacząć” - mawiała siostra Maria, unosząc batutę.

Ach, te zakonnice! Na wszystko miały gotową odpowiedź! - pomyślała, kręcąc głową. O mało nie wybuchnęła gromkim śmiechem, skojarzywszy, że sama będzie mogła wstąpić do klasztoru, kiedy wreszcie odzyska wolność. Z pewnością zakony należały do tych nielicznych pracodawców, którzy nie mieli nic przeciwko byłym więźniarkom.

Wiedziała już, od czego ma zacząć, ale włączyła jeszcze komputer i wywołała skrzynkę e-mailową, żeby sprawdzić, czy nie ma nowych wiadomości. Jedną z zalet powołanego oficjalnie stanowiska asystentki bibliotecznej był stały dostęp do linii telefonicznej, w dodatku zapewniającej ciągłą łączność z Internetem. Gwen Harding zaproponowała jeszcze dalsze zmiany, chcąc jej zapewnić spokojną pracę i możliwość komunikowania się z pracownikami JRU, ale prywatny gabinet budziłby podejrzenia o bezzasadne faworyzowanie i wzbudzał jedynie zawiść oraz wściekłość innych więźniarek. Jennifer świetnie wiedziała, że może liczyć na dyskrecję Maggie, Movity, Theresy i Suki co do ostatnich wydarzeń, wolała jednak nie rozpowszechniać na razie nowin poza swoją grupą. W komputerowej skrzynce znalazła wiadomość od Bryce'a opatrzoną nagłówkiem PILNE, OTWORZYĆ NATYCHMIAST! Ścisnęło ją w dołku. Musiało stać się coś złego. Naprowadziła kursor na ikonę i otworzyła plik.

Cześć, Jen! Tylko żartowałem. Chciałem ci trochę podnieść ciśnienie krwi, bo wiem, że brakuje ci tam odpowiedniego dopingu. Prawda jest taka, że wszystko gra. Przynajmniej z mojej strony wszystko się toczy jak po maśle. Nie musisz się o nic martwić.

Łatwo ci mówić, skomentowała w myślach. Niemniej odechnęła z ulgą. Kiedy zaś przeczytała wiadomość do końca, aż się zaczerwieniła.

Całkiem poważnie - i pilnie - chciałbym się z tobą jak najszybciej zobaczyć na osobności. Do najbliższych odwiedzin zawsze trzeba strasznie długo czekać, jeśli człowiekowi bardzo na tym zależy. Wszystkie twoje pomysły z wtorkowej poczty zrobiły na mnie olbrzymie wrażenie, nie wspominając już o... innych detalach. Ale wracając do rzeczy, musimy wspólnie wprawić tę maszynę w ruch. Zaufaj mi i dalej pracuj tak wydajnie.

Bryce

Jeszcze raz przeczytała całą wiadomość z mieszanymi uczuciami. Nie znosiła u mężczyzn określenia „zaufaj mi”, bo zazwyczaj znaczyło ono coś wręcz przeciwnego. Nie mogła się jednak uwolnić od myśli, że Bryce był dotąd uczciwy wobec niej, przynajmniej w interesach. Natomiast co do innych spraw miała wiele wątpliwości. To typowy finansowy krętacz, od których się roi na Wall Street, pomyślała. Ale sprawiało jej przyjemność, że zwrócił na nią uwagę. Był przystojny, inteligentny i pewny siebie, miło się z nim flirtowało, nawet tylko przez Internet. Ona zaś, przebywając w więzieniu dla kobiet, coraz bardziej tęskniła za męskim towarzystwem. Bo strażników podświadomie wcale nie zaliczała dla mężczyzn, większość nie była warta choćby machnięcia ręką. Znow uśmiechnęła się, przeczytawszy powtórnie wiadomość. Postanowiła jednak korespondować z Bryce'em wyłącznie w sprawach służbowych.

Napisała krótką wiadomość, że z jej strony także wszystko idzie dobrze i obecnie przystępuje do pracy nad perspektywicznym planem utworzenia Dochodowego Centrum Zakładu Karnego Jenningsa wraz z zarysem taktyki organizacji i zarządzania.

- Znalazłaś coś zabawnego? - spytała Maggie, zauważywszy jej uśmiech.

Jennifer zachichotała i podniosła głowę znad komputera. Uderzyło ją, że przecież siedzi w więzieniu razem z matką Bryce'a. Wolała jednak nie poruszać tego tematu.

- To wciąż wydaje mi się surrealistyczne - odparła.

Maggie pokiwała głową.

- Domyślam się. Ktoś z zewnątrz pewnie uznałby, że to niemożliwe.

- Powiedzmy, że tylko szczególnie, nadzwyczajnie, niewyobrażalnie trudne.

- W każdym razie cieszę się, że jesteś nastawiona optymistycznie. Zobaczmy, co do tej pory udało się osiągnąć.

Podeszła do jej stolika i popatrzyła na stertę przygotowanych na brudno wypunktowanych spisów, zestawień liczbowych i schematów organizacyjnych.

- Co przyjąłś za główny cel? - zapytała.

- Uczynienie tego zakładu choć trochę przyjemniejszym dla kobiet, które muszą tu mieszkać - odparła stanowczo Jennifer.

- A czego nam trzeba, żeby tak się stało?

Spencer wygrzebała ze sterty listę, która przypominała gotową odpowiedź na pytanie Maggie.

- Po pierwsze, polepszenia warunków bytowych, zwłaszcza smaczniejszych posiłków, większej prywatności, poprawy stosunków ze strażnikami, innych ubrań. - Spojrzała na Rafferty, a kiedy ta uśmiechnęła się z aprobatą, kontynuowała: - Po drugie, lepszej opieki zdrowotnej. Tutaj niczego nie wypunktowałam, bo potrzebna jest pełna opieka lekarska.

- Zgadzam się - odparła Maggie.

- I wreszcie lepszych programów edukacyjnych, począwszy od całkiem podstawowych, obejmujących naukę czytania i liczenia, po zajęcia praktyczne, na przykład kursy gotowania lub opieki nad niemowlętami. Co ważne, także szkolenie w zakresie praw człowieka. No a głównie kursy zawodowe. - Odłożyła kartkę i znów popatrzyła na Rafferty.

- Dodałabym jeszcze coś, czego trzeba się nauczyć w pierwszej kolejności. Szacunku dla samych siebie oraz dyscypliny.

- To konieczne? Przez cały okres nauki w college'u i przez pierwsze lata studiów regularnie korzystałam z pomocy psychoterapeuty i wcale nie jestem pewna, czy chciałabym przez to przechodzić od nowa.

- Musimy sobie uświadomić, że nie sposób od razu zmienić ludzkiej natury. Możemy zaprojektować nowe ubrania, wprowadzić obowiązek zwracania się do skazanych po imieniu, egzekwować wzajemny szacunek i stopniowo poszerzać przywi-

leje, jeśli wszystkie się nauczą i będą przestrzegać nowych zasad, jak też zrozumieją problemy, które będzie stwarzało ich naruszenie.

- Jakbym słyszała dyrektorkę szkoły - wtrąciła Spencer.

- Ale powinniśmy też wydzielić jeden blok dla więźniarek zakłócających porządek, niezrównoważonych psychicznie, takich, co krzyczą po całych nocach i nie dają innym spać, wpadają w szał przy najdrobniejszej prowokacji albo ustawicznie podburzają strażników. Sama możliwość wyspania się w spokoju przyniesie wszystkim wiele dobrego, a przecież nie będzie wymagała żadnych nakładów.

- Poza tym trzeba lepiej zorganizować przyjmowanie laleczek, które po raz pierwszy trafiają za kraty - dodała Jennifer.

- Owszem. Przydałyby się też lekcje pobłażliwości dla personelu więziennego. No i warto by wyeliminować przekupnych strażników oraz natrętów seksualnych.

- To rzeczywiście bardzo by podniosło morale.

- Nie mniej ważne są konkretne zmiany w budynku. Na przykład warto by urządzić porządną salę gimnastyczną na deszczowe dni.

- Ale to już wymaga sporych funduszy.

- No właśnie. Skąd weźmiemy pieniądze?

- Musimy je zarobić. - Jennrfer westchnęła ciężko i domyślając się kolejnego pytania Maggie, wyciągnęła ze stosu zapisanych kartek proponowany schemat organizacyjny zatytułowany: Dochodowe Centrum Zakładu Karnego Jenningsa.

Maggie przyglądała mu się przez chwilę i powiedziała:

- To byłby naprawdę wspaniały początek. Wydział produkcyjny przynoszący dochody.

- Nie wiem tylko, czy zdołamy go utworzyć.

- Musi nam się udać - odparła stanowczo Rafferty.

Spencer pokiwała głową.

- Bez pieniędzy niczego nie damy rady zmienić.

- Ale jeśli ten plan ma przynieść wymierne rezultaty, przede wszystkim będziesz potrzebowała w miarę najpełniejszej, rzekłabym nawet, że entuzjastycznej współpracy wszystkich kobiet. - Przysunęła sobie krzesło i usiadła przy zawalonym papierami stoliku. - Masz jakiś gotowy plan?

- Niezupełnie - przyznała Jennifer. - Trzeba by znacząco

odmieni nastawienie skazanych, a jedynym na to sposobem są według mnie poważne inwestycje. Tymczasem nie mamy pieniędzy, więc są nikłe szanse na zmianę nastawienia kobiet, a ponieważ nie da się zmienić ich stosunku, więc nie można też zarobić pieniędzy, toteż...

Urwała i bezsilnie wzruszyła ramionami.

- Mamy zatem problem przysłowiowego jajka i kury, zgadza się? - zagadnęła Maggie.

Jennifer przytaknęła. Znowu zaczęła grzebać w papierach, aż znalazła pod spodem „Regulamin więzienny”, który dostała pierwszego dnia pobytu w zakładzie.

- Przeglądałam go, bo przyszło mi do głowy, że gdybyśmy mogły zmienić niektóre przepisy, od razu zyskałybyśmy przychylność kobiet. - Otworzyła broszurę na zaznaczonej stronie i wskazała palcem. - Weź chociażby to. „Każdy skazany ma prawo do zawieszenia na ścianie celi tylko sześciu zdjęć”. Dlaczego nie można mieć ośmiu czy dziesięciu albo tylu, ile się chce? - Zamknęła regulamin i spojrzała na Rafferty. - Nie sądzisz, że zmiana takich idiotycznych przepisów natychmiast poprawiłaby nastroje?

- Może na jakiś czas, bo kobiety nie mające żadnych zdjęć poczułyby się zazdrosne. Inne natomiast zapragnęłyby podbudować swój autorytet i zaczęły obklejać setkami zdjęć wszystkie ściany, nie tylko tę nad swoją pryczą, doprowadzając do konfliktów.

- Rety - jęknęła Jennifer z rezygnacją. - A ja myślałam, że zdjęcia nie mogą się stać przyczyną konfliktu.

Maggie wzięła broszurę ze stołu.

- Siedzę tu już dość długo i dawno doszłam do wniosku, że nie ma w tym regulaminie ani jednego arbitralnego czy też nieistotnego przepisu. Każdy został wprowadzony w odpowiedzi na jakiś problem. Wolno nam mieć na ścianie tylko sześć zdjęć, ponieważ tym sposobem nikt nie ma prawa przyklejać ich na ścianie więcej od innych. Wszystkie musimy nosić takie same kombinezony, gdyż to zapewnia, że żadna z nas nie będzie lepiej ubrana od innych. Rozumiesz, do czego zmierzam? Dostrzegasz już, w czym tkwi sedno sprawy?

Jennifer popatrzyła na nią niepewnym wzrokiem.

- W nierówności. To, że ktoś coś ma, a ktoś inny nie, sta-

wało się źródłem każdego konfliktu i zbrodni w dziejach ludzkości. Dlatego tu, w więzieniu, czyni się wszelkie wysiłki zmierzające do wyeliminowania nierówności. Wszystkie musimy siedzieć w takich samych dziuplach, jeść tę samą breję i nosić takie same ohydne kombinezony, bo tylko dlatego nie pałamy żądzą wymordowania się nawzajem.

Jennifer zamyśliła się na chwilę, po czym odparła:

- To mi przypomina zasady komunizmu, a nam potrzeba czegoś całkiem innego, jeśli marzymy o utworzeniu dochodowej instytucji. Tylko spójrz, do czego komunizm doprowadził w Związku Radzieckim.

Maggie zaśmiała się krótko.

- Zbyt daleko wybiegasz myślą w przyszłość, kochana. Zaczynij od rzeczy podstawowych, jedzenia, schronienia i ubrania. Postaraj się, żeby dania w stołówce były choć trochę smaczniejsze, cele odrobinę przytulniejsze, a kombinezony mniej odrażające. Daj kobietom jakikolwiek, choćby najmniejszy wybór, byle nie za duży. Zaczynij od takich zmian, a zobaczysz, co się będzie działo.

- Do-re-mi... - zanuciła Spencer w odpowiedzi.

- Właśnie tak. - Rafferty uśmiechnęła się szeroko. - Jedzenie, schronienie, ubranie. Niemniej musimy się poważnie zastanowić, jak zmienić ogólne nastawienie skazanych. Większość tak silnie nawykła do wykonywania czyichś rozkazów i braku jakiegokolwiek wyboru, nawet jeszcze przed osadzeniem w zakładzie, że chyba nawet nie potrafi podejmować za siebie odpowiedzialnych decyzji. I tu upatruję największych trudności na drodze do diametralnej zmiany nastrojów i przekształcenia więziennej społeczności w wydajną i umotywowaną do pracy załogę.

Jennifer pokiwała głową.

- To prawda. Zawsze uważałam, iż doszłam do wszystkiego tylko dzięki swojej ciężkiej pracy, zapomniałam jednak, że startowałam z uprzywilejowanej pozycji. Nawet zakonnice, których z całego serca nienawidziłam, zapewniły mi lepsze wykształcenie, niż mogłabym zdobyć gdzie indziej. Dopiero gdy znalazłam się tu, w zakładzie, zrozumiałam, jak bardzo jestem uprzywilejowana.

- Niektóre kobiety nigdy nie miały niczego na własność,

a są zbyt cyniczne, by uwierzyć, że mogłyby cokolwiek mieć. Nigdy ich niczego nie nauczone, sądzą więc, iż nie potrafią się niczego nauczyć. Jeśli trafia im się jakaś sposobność, czy to zdobycia jedzenia, ubrań, pieniędzy, czy miłości, chwytają się jej łapczywie. Łapią okazję i zachłannie ją wykorzystują. Dlatego trzeba bardzo ostrożnie wprowadzać zmiany, jakby się karmiło wygłodniałego człowieka, któremu nie wolno dać od razu za dużo, bo zwymiotuje. Musimy działać powoli, żeby nikt nie zachłysnął się zmianami.

- Zrozumiałam - odparła Spencer, która coraz bardziej podziwiała umiejętności wychowawcze Maggie. Aż ją ciekawiło, jaką matką była dla Bryce'a.

- Doskonale. Gdyby jeszcze udało się zdopingować kobiety do aktywnego udziału w zachodzących przemianach, a nie tylko biernego podążania z prądem, zyskałybyśmy szansę przekształcenia ich w praworządne obywatelki zakładu Jenningsa. Bo jeśli tu się nauczą, co znaczy być praworządnym obywatelem, łatwiej będzie im się zaaklimatyzować w społeczeństwie po wyjściu na wolność.

- Proszę, proszę! Dzisiaj naprawdę jesteś w mistrzowskiej formie, Maggie! - odparła Jennifer z rzeczywistym uznaniem w głosie.

- Daj spokój. - Rafferty odwróciła głowę. - Chyba sama stałam się cyniczna, tylko w obliczu tego ekonomicznego cudu dałam się ponieść entuzjazmowi. Teraz jednak muszę wracać do pracy, tak samo jak ty, bo inaczej wszystkie nasze plany będą pisane palcem na wodzie.

Uśmiechnęła się, wstała i ruszyła z powrotem do regału, na którym ustawiała nowe, przysłane niedawno książki.

Jennifer odwróciła się do komputera i ze zdumieniem ujrzała, że przyszła następna wiadomość od Bryce'a. Tak szybko? Otworzyła ją pospiesznie.

Mamy piękny słoneczny dzień. Szedłem do pracy na piechotę i serce krajało mi się na myśl, że ty i moja matka prawdopodobnie w ogóle nie widujecie słońca w tym waszym lochu. Szkoda, że nie mogę ci go trochę przestać e-mailem, bo każda wiadomość od ciebie jest jak promyk słońca rozjaśniający moje życie.

Bryce

Coraz śmielej sobie poczyna, pomyślała. Nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć na tę wiadomość, i czy w ogóle powinna odpowiadać. Postanowiła tymczasem skontaktować się z Lennym i przyszło jej do głowy, żeby wykorzystać wcześniejszy żart Bryce'a. Zaczęła wpisywać:

PILNE - BUNT WWIEZIENIU!

Pozytywne przemiany w zakładzie okazały się dla skazanych nie do zniesienia i jestem teraz przetrzymywana w bibliotece jako zakładniczka... To tylko żart, Lenny! Chciałam przyciągnąć twoją uwagę. Mam wrażenie, że nie rozmawialiśmy od lat. Próbuję skonstruować sensowny plan przekształcenia zakładu w instytucję dochodową i pomyślałam, że skontaktuję się z tobą, aby ci przekazać, jak bardzo cenię to wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Twoje odwiedziny...

Zawahała się, próbując dobrać właściwe słowa. Ale i tym razem skorzystała z gotowego przykładu:

...są dla mnie jak promień słońca. Dziękuję.

35

Gwen Harding

- Z Bogiem, a nie z nałogiem - mruknęła Gwen do swego odbicia w niewielkim lustrze wiszącym na drzwiach jej gabinetu.

Było to jedyne hasło z wielu powtarzanych w nieskończoność na spotkaniach anonimowych alkoholików, które zapadło jej głęboko w pamięć. Wciąż chodziła na te zebrania, mimo nieustannego lęku, że napotka tam kogoś z personelu bądź ich rodzin czy nawet była więźniarkę. Nie bała się plotek, ufając, że wszyscy ściśle przestrzegają żelaznej reguły anonimowości. Nie umiała sobie jednak wyobrazić takiego spotkania, na przykład z panną Ringling, po którym wiadomość lotem błyskawicy nie obiegałaby całego zakładu. Powtarzała sobie w duchu, że gdy napotka znajomą osobę, pierwsza musi zmarszczyć brwi i spytać ze zdziwieniem: „A co pan tu robi?”.

Nie była tylko pewna, czy starczy jej na to odwagi. Niemniej, pocieszając się tą myślą, zbierała wszystkie siły, by raz za razem śmiało wkraczać do sali w podziemiach kościoła.

Ale tego ranka potrzebowała nieco innego rodzaju ufności. Nadszedł bowiem świt zupełnie odmiennego zakładu Jenningsa. Z trudem otrząsnęła się z zaskoczenia, które wywołały działania Jennifer, i coraz częściej myślała o nich z podziwem. Ustaliły, że będą kontynuować współpracę w celu ratowania więzienia i przebywających w nim kobiet. Jednomyślnie doszły też do wniosku, iż lepiej zachować w tajemnicy niezwykłą sytuację Spencer. Mogła dalej pracować w bibliotece, pozosta-

wiając wprowadzanie zmian naczelnicze i podległym jej strażnikom.

Gwen miała nadzieję, że oświadczenie, które wygłosi przy śniadaniu, zostanie dobrze przyjęte. W przeciwnym razie mogła dostać jajkiem w głowę. Dobrze wiedziała, że większość ludzi nie lubi zmian. Co dziwniejsze, właśnie ci, którzy mieli najmniej do stracenia, zazwyczaj z największym oporem przyjmowali wszystko, co na dłuższą metę przynosiło korzyści. Z entuzjazmem myślała o planach specjalnego zespołu, złożonego z Jennifer Spencer, Movity Watson, Maggie Rafferty oraz nowo zatrudnionej konsultantki, nie wolno jej było jednak zapominać, że zawsze znajdują się tacy, którym nie w smak są jakiegokolwiek zmiany, nawet na lepsze.

Podwinęła spódnicę i podciągnęła rajstopy, na których zawsze zostawały zmarszczki, ilekroć wstawała z krzesła. Wspólnie zdecydowały, że na początku trzeba zorganizować przyjemniejszą pobudkę, i dziś rano, zamiast ogłuszającego, mrozącego krew w żyłach terkotu dzwonek, z głośników we wszystkich blokach popłynęła piosenka Cata Stevensa *Wstaje świt*. I w tym wypadku można było podejrzewać, że niektórym nie spodoba się ten stary hymn, ale przynajmniej nikt im nie mógł zarzucić bezduszości, skoro wybrały utwór piosenkarza, który przeszedł na islam. Theresa LaBianco przygotowała na pobudki specjalny zestaw w różnych stylach, obejmujący ponadto *Good day*, *sushine* Beatlesów, piosenkę z musicalu *Och, jaki piękny poranek* i współczesny hip-hopowy przebój, zaczynający się od słów „Jak dobrze wstać z samego rana”. Brzmiał tak, że Harding czuła się jak po sporej dawce prochów, ale zaakceptowała go, wysłuchawszy do końca tekstu.

Odchrząknęła. Oświadczenie na temat zmian w spółce JRU szykowała wspólnie z Rafferty i Spencer. Nauczyła się jego treści na pamięć, lecz miała nadal obawy, że zacznie się jąkać. Zaczepnęła głęboko powietrza i powiedziała do mikrofonu podłączonego do systemu nagłaśniającego:

- Dzień dobry, moje panie. Mamy dziś czwartek. Proszę przyjąć do wiadomości, że śniadanie będzie wydawane w stołówce za piętnaście minut. Wygłoszę oświadczenie, którego proszę uważnie wysłuchać. Dziękuję.

Ponownie z głośników popłynęła muzyka, a jednocześnie

rozsunęły się kraty. Gwen odczekała kwadrans, niecierpliwie krążąc po korytarzach. Wiele kobiet witało ją uśmiechami, a kolejka przed wejściem do stołówki ustawiła się spokojniej niż zwykle. Przyjęła to z radością, zadając sobie pytanie, dlaczego wcześniej sama na to nie wpadła. Zmiana była bardzo wyraźna. Nie wymagała żadnych nakładów, a przecież zdawała się bezcenna.

Harding, która nie odpowiadała już przed władzami stanowymi, natychmiast zwolniła z pracy Bena Nortona i zatrudniła na jego miejsce nowego szefa kuchni. Od kilku dni sama jadała śniadania w stołówce, chcąc się przekonać, czy zgodnie z obietnicami potrawy będą nie tylko ciepłe, lecz także rozpoznawalne. Miała nadzieję, że kobiety rzeczywiście nie będą już musiały oglądać szarej papki owsianki i sprężystej jak guma galaretki, a dostaną za to więcej owoców i zróżnicowane płatki śniadaniowe z mlekiem pełnotłustym. I jak zdążyła się przekonać, śniadania stały się posiłkiem nie tylko przyjemniejszym, ale i tańszym, gdyż nie marnowało się tyle jedzenia co do tej pory.

Dzisiaj Harding stanęła na czole kolejki i zaczęła podawać więźniarkom tace, na których leżały plastikowe sztucze zawinięte w papierowe serwetki. Każdą z kobiet uprzejmie witała z uśmiechem i doskonale widziała po ich minach, że nie potrafią rozstrzygnąć, czy mają dzielić jej radość, czy też bać się ciszy przed burzą.

Kolejka posuwała się dużo wolniej niż zwykle, gdyż więźniarki nie stawiane dotąd wobec konieczności wyboru, traktujące śniadanie jak zło konieczne, często w osłupieniu zastygały bez ruchu z rozdziawionymi ustami, jakby nie umiały odpowiedzieć na pytania: „Jajecznicą czy jajka na twardo? Ciemny chleb czy biały? Bekon czy parówki? Sok pomarańczowy czy z czarnej porzeczki? Kawa czy herbata?”.

I w przeciwieństwie do pomocników Bena Nortona nowy personel kuchni z prawdziwym zapałem przedstawiał kobietom wszystkie możliwości wyboru. Towarzyszyły temu uśmiechy i wymiany uprzejmości, co samo z siebie sprawiało, że potrawy podawane z życzliwością były tak samo przyjmowane.

Gwen odczekała cierpliwie, aż wszystkie skazane zajmą miejsca przy stolikach, po czym dała im jeszcze trochę czasu, by

mogły się nacieszyć jakością potraw. Wreszcie, nie chcąc ich dłużej trzymać w niepewności, wyszła na środek sali i poprosiła o uwagę. Jeszcze raz powitała wszystkie tym samym ciepłym tonem, co w czasie pobudki.

- Chyba zauważyliście już pewne zmiany - zaczęła, na co odpowiedzią jej pojedyncze śmiechy, brawa i wiwaty. - Mamy nadzieję, że przypadły wam do gustu. Nastąpiła bowiem zmiana w sytuacji zakładu Jenningsa, którą określa się mianem prywatyzacji. Oznacza to, że władze stanowe zwróciły się do prywatnej firmy, w naszym wypadku spółki JRU, o przejęcie nadzoru nad więzieniem. Nie oznacza jednak, że przestałam być naczelniczką. Niemniej powinnyście oczekiwać dalszych zmian. Mamy nadzieję, że wszystkim nam poprawią one życie.

Kiedy zaczęła bliżej wyjaśniać, jakich „zmian w nastawieniu” oczekuje od nich „zmienione kierownictwo zakładu”, wyczuła rosnącą podejrzliwość. Tu i ówdzie rozległy się szmery. Znowu powtórzyła w myślach, że nikt nie lubi zmian, zwłaszcza te potępione kobiety, które zwykle stykały się ze zmianami na gorsze. Wiedziała, że musi jakimś sposobem je przekonać, iż tym razem nadchodzą pozytywne przemiany, bo inaczej zarówno ona, jak też Watson i Spencer, mogły zostać oskarżone o wywołanie rozruchów. Każdy naczelnik zakładu karnego żył w ciągłym strachu przed buntem, tutaj zaś sytuacja znacznie się komplikowała, jako że nowi właściciele więzienia należeli do społeczności skazanych.

Szybko postanowiła rozładować atmosferę, przedstawiając rozwiązanie znanego i dręczącego ją od dawna problemu.

- Na początku pragnę ogłosić, że jedną z pierwszych decyzji nowego zarządu było zwolnienie ze służby oficera Byrda.

Przez chwilę na sali panowała martwa cisza, lecz zaraz wybuchły tak gromkie owacje, okrzyki radości, oklaski i stukanie łyżkami o stoły, jakich Gwen jeszcze nigdy nie słyszała. Aplauz odniósł zbawienny skutek. Zniknęły zasepione miny. Wszystkie kobiety poderwały się z miejsc, zaczęły tupać z radości i rytmicznie klaskać w dłonie. Harding była zaskoczona nie tyle tą spontaniczną reakcją, ile wypływającym z niej wnioskiem, jak bardzo gardzono tu Byrdem. Szybko odepchnęła od siebie poczucie wstydu, że nie zauważyła tego wcześniej, i skupiła się na

powszechnej radości swoich podopiecznych. Kilka razy zaczęła mówić dalej, lecz owacje nie milkły. Wreszcie ruchem ręki poprosiła kobiety, aby się uciszyły i usiadły.

- Mam nadzieję, że wszystkie zmiany spotkają się z tak burzliwą aprobatą - powiedziała.

Ucieszona tym, że mimo zdenerwowania się nie jąka, bez trudu przebrnęła przez resztę oświadczenia. Nie zapytała nawet, czy są jakieś pytania, domyślając się, że jest ich tak wiele, iż do wieczora nie zdążyłaby na wszystkie odpowiedzieć.

- Coś mi tu śmierdzi - mruknęła Wiosenka do Movity. - Ani trochę mi się to nie podoba.

Ale gdy po zakończeniu przemówienia z głośników popłynęła piosenka Rodgersa i Hammersteina *Era loodnika*, na jej twarzy również zagościł lekki uśmiech, a wiele kobiet zaczęło się rytmicznie kołysać na krzesłach w trakcie śniadania.

- Co to ma być, do cholery? - syknęła wyraźnie podenerwowana Theresa.

- Moim zdaniem to bardzo miła reakcja - odparła spokojnie Jennifer.

- Dla mnie to cholernie dziwne - warknęła Wiosenka, po czym zerwała się z miejsca i podeszła w stronę naczelniczki.

Strażnicy chcieli jej zagrozić drogę, ale sprytnie dała nura pod wyciągniętymi rękami. Gwen stała jak sparaliżowana. Umilkły wszelkie rozmowy przy stołach. Ale Wiosenka wcale się nie rzuciła na Harding, tylko złapała ją za rękę i pospiesznie szepnęła coś do ucha. Naczelniczka pokiwała głową, po czym przywołała dwóch stojących najbliżej strażników i gestem nakazała im wyprowadzić starszą kobietę z sali.

- Nic się nie stało, moje panie - oznajmiła. - Proszę nie przerywać sobie śniadania.

Zacząła mówić o nowych kursach i szkoleniach, które niedługo powinny się rozpocząć, o zatrudnieniu obsady ambulatorium na trzy dni w tygodniu oraz wydłużeniu czasu wizyt i rozciągnięciu ich dodatkowo na poniedziałki. Wspomniała również o planach ustalenia regularnych wizyt duszpasterskich oraz urządzenia specjalnej sali zabaw, gdzie skazane matki mogłyby spędzać czas ze swoimi dziećmi.

Wkrótce znowu ktoś zaczął rytmicznie uderzać łyżką o plastikową tacę i po chwili salę wypełnił huk radosnych owacji.

Gwen nie potrafiła ukryć zadowolenia. Uśmiechnęła się szeroko i ze zrozumieniem pokiwała głową. Przyszło jej na myśl, że wreszcie faktycznie może być dla skazanych matką, wychowawczynią i pielęgniarką, a ponadto przedstawiać im dobre wieści.

Po minucie znów uniosła rękę i poprosiła o ciszę.

- Mamy jeszcze jedną małą niespodziankę - powiedziała, spoglądając na szeroko uśmiechniętą Wiosenkę, która pojawiła się w drzwiach stołówki z wielką tacą zastawioną po brzegi plastikowymi kubeczkami z bukietami nagietek.

Z głośników popłynęła tym razem piosenka *Good morning, starshine*, a Wiosenka ruszyła przez salę i zaczęła rozstawiać na stołach kubeczki z kwiatami.

36

Movita Watson

Niech nikt nigdy nie trzyma w sekrecie tego, kim naprawdę chciałby być i co robić w życiu. Co do mnie, chyba nikt na świecie nie wie, może poza moją małą Jamorah, że zawsze marzyłam o projektowaniu ubrań. To zabawne, ile razy o tym myślałam, słyszałam w wyobraźni drwiący śmiech ludzi. W każdym razie, chociaż jeszcze trudniej w to uwierzyć, niż w nastanie dobrych czasów w zakładzie Jenningsa, właśnie tym się teraz zajmuję! Projektuję ubrania! Z jakiegoś powodu zadanie przygotowania nowych strojów powierzono właśnie mnie. Wcale o to nie prosiłam, gdyż mam podejrzenia, że jeśli czegoś pragnę, na *czymś* mi zależy, to nigdy tego nie dostaję. Fakt, że podłapałam pracę w biurze naczelniczki, na którą miałam ochotę, ale to tylko umocniło moje przekonanie, iż więcej nic dobrego mnie w życiu nie spotka. Szansa na to, że przydarzą się dwie dobre rzeczy takiej jak ja, prostej czarnej kobiecie siedzącej w pace, jest wątlejsza nawet od patykowatych nóg Jady Pinkett. A mimo to się przydarzyły. Cóż, niezbadane są wyroki boskie.

To Harding i Jennifer poprosiły mnie, bym się tym zajęła.

- Żartujecie? - odpowiedziałam w osłupieniu.

Skończyło się jednak na tym, że dostałam blok rysunkowy i kredki świecowe (bo nadal nie wolno nam mieć kredek w twardej oprawie, będących potencjalną bronią). I nie trwało nawet dwóch minut, a zaczęłam rysować. Kurde, wiem dobrze, że każda w tym pudle ma swoje zdanie, jedna chciałaby to,

draga tamto. Nie oczekuję wdzięczności. Dla mnie najważniejsza jest sama praca. Mam miliony różnych pomysłów.

Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to zmiana tej wstrętnej tkaniny, z której są uszyte nasze kombinezony, jakiegoś odpadowego, cholernie drapiącego poliestru. Zanim trochę zmięknie, zaczyna się już wycierać i tworzą się na nim brzydkie szare kuliste zbitki włókien. A szwy obcierają, jakby człowiek był owiązany szorstkim sznurem. Kiedy się w tym pracuje fizycznie, szybko powstają otarcia skóry pod kolanami, na łokciach, pod pachami i w kroku. Dlatego postanowiłam zaprojektować nowe, miękkie i wygodne stroje z bawełny. Jennifer wydzieliła mi fundusz na uszycie jednej sztuki, a panna Ringling, co zabrzmia niewiarygodnie, została zobowiązana do pomocy w zdobyciu próbek materiałów od naszego poprzedniego dostawcy. Ale kiedy pokazałam Spencer cennik ofert, wybuchnęła śmiechem.

- To prawie jak deska sedesowa za siedemset dolarów - powiedziała. - Pamiętasz tę aferę, kiedy wyszło na jaw, że stały dostawca Białego Domu liczy sobie za deskę sedesową siedemset, a za młotek bodajże czterysta dolarów? - Pokręciła głową. - Takie same tkaniny mogę ściągnąć z Nowego Jorku, z hurtowni materiałów hinduskich przy Zachodniej Trzydziestej Ósmej, po trzy dolary za metr. Chyba lepiej tam się zwrócić o próbki. Będą szczęśliwi, że kroi im się duża dostawa.

(I kiedy przyszły te próbki, poczułam się, jakby była Gwiazdka. Ravi przysłał nie tylko tkaniny bawełniane, lecz również trochę syjamskich jedwabi, farbowanych jak tęcza na tysiące kolorów, jeden piękniejszy od drugiego. A wszystko było bardzo tanie. Od razu wpadłam na pomysł, żeby poszyć zasłonki, jasnobłękitne do bufetu i różowe do sali widzeń. Potem przyszło mi jeszcze do głowy, że jeśli materiał okaże się wystarczająco mocny, można będzie sprowadzić trochę w różnych kolorach do bufetu, żeby kobiety mogły go kupować na kapy i zasłonki do cel. Szybko zrobiliśmy parę prób, ale był mocny. Wiedziałam, z jaką radością wszystkie powitają możliwość wydania pieniędzy z funduszu bufetowego na coś ładnego. Poza tym każda próbka jedwabiu miała ze trzydzieści odcieni, więc nawet gdyby we wszystkich celach zawisły takie same zasłonki, i tak różniłyby się kolorami. Oczywiście musiałam jesz-

cze przedyskutować ten pomysł z naczelniczką, Jennifer i Maggie, ale poparły go jednomyślnie. Później wpadło mi do głowy coś jeszcze lepszego - czemu nie poszyć z tego wielobarwnego jedwabiu T-shirtów, chustek i apaszek? Dałybyśmy skazanym okazję do tego, żeby się czymś wyróżnić, choć nadal wszystkie byśmy nosiły identyczne więzienne stroje.

Potem zaczęłam się zastanawiać, dlaczego w ogóle miałybyśmy chodzić w kombinezonach. W końcu nie jesteśmy nędzarkami śpiącymi na dworcach. Czy nie lepsze byłyby spodnie i bluzki, jakie noszą wszystkie kobiety na świecie? W końcu dwuczęściowe ubrania też raczej nie mogą być wykorzystane jako broń. Porozumiałam się z naczelniczką i dostałam jej przyzwolenie.

Tego dnia siedziałam pochłonięta swoimi szkicami, kiedy nagle w biurze zjawiła się Theresa. Tylko jej mi tu brakowało. Na pewno myślała, że potrafiłaby zaprojektować lepsze ubrania niż ja. Nie sądzę.

- Co robisz? - zapytała tonem, który sugerował, że doskonale zna odpowiedź.

- Projektuję dla nas nowe stroje. Zupełnie inne ciuchy, Theresa. Dlatego postaraj się nie wchodzić mi w paradę.

- Wcale nie zamierzam wchodzić ci w paradę. Ale chyba chciałaś wiedzieć, co o nich myślę, no nie?

- Chyba jednak nie. Zresztą dopiero zaczynam. Na razie się zastanawiam, z czego najlepiej je uszyć.

- Ubrania świadczą o naszej kobiecości. Powinny być dopasowane, obcisłe i niegniotące. Najlepiej z czegoś, czego nie trzeba prasować.

- Nigdy w życiu! - syknęłam, wracając do szkicowania. - Mam po dziurki w nosie tego syntetycznego świństwa. Muszą być z bawełny. Na niej nawet zmarszczki wyglądają naturalnie. Każdego ranka z prawdziwą przyjemnością wkładałabyś je na siebie. Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę, nie pozwolę córkom nosić niczego poza bawełną.

Obzuciła krytycznym spojrzeniem mój rysunek.

- Nieźle - oceniła. - Ale zrób trochę węższe nogawki, bo są za szerokie. Nie mogą łopotać przy każdym kroku. Poza tym nie wszystkie są tak wysokie jak ty. I dodaj zaszewki na bio-

drach, żeby się lepiej układały. Kobieta, która dobrze wygląda, musi się czuć dobrze.

- Nie chcę żadnych cholernych zaszewek - burknęłam. - Wyobrażasz sobie, jak w spodniach z zaszewkami wyglądałyby na przykład Renee albo Mavis z bloku B?

Każda z nich waży co najmniej sto dwadzieścia kilo. Mają tak wielkie brzuchy, że nawet nie da się odróżnić u nich biustu. Żaden fason nie powinien podkreślać ich sylwetki.

Theresa wzruszyła ramionami i mruknęła z dezaprobatą.

- Zresztą nie będziemy w tym chodziły na rozmowy kwalifikacyjne przed podjęciem pracy. Zostaniemy w tym pudle i jak do tej pory będziemy się szwendać po korytarzach. Przede wszystkim ubrania muszą być wygodne.

- Może dałoby się załatwić inne stroje na odwiedzin?

- Wątpię. Nie zapominaj, że mamy bardzo mało pieniędzy.

Theresa skrzywiła się, machnęła ręką i wyszła z biura. Od razu poczułam się lepiej.

Trzy dni zajęło mi przygotowanie pierwszego projektu. Obejmował zestaw złożony z długich spodni, letnich szortów, dwóch rodzajów bluzek, jednej bez rękawów, a drugiej cieplejszej, do tego eleganckiej bluzki na odwiedzin, Gwiazdkę i inne święta, T-shirtu i czegoś w rodzaju grubszego żakietu na chłodne dni. Pozostało tylko wybrać dominujący kolor. Pomyślałam, że warto zebrać opinie zainteresowanych. Okazało się to równie ciekawym, jak żenującym doświadczeniem. W mojej grupie dyskusja toczyła się przez cały obiad.

- Nie mogłyby być jasnobłękitne? - zapytała Suki. - Proszę.

- Przecież ostatnio miałyśmy błękitne kombinezony, dziewczyno - odparłam. - Tak bardzo ci się podobały?

- Wcale nie były błękitne, tylko szare.

Zachichotałam, choć nie było w tym nic śmiesznego. Suki miała rację. Na początku były jasnobłękitne, ale już po kilku praniach zrobiły się szare.

- Błękit jest za jasny - oznajmiła Theresa. - Potrzebny nam kolor, na którym nie widać brudu. Poza tym jednolite tkaniny są nudne. Nie lepiej wybrać coś wzorzystego? Na przykład w lamparcie albo tygrysie cętki. Kojarzyłyby się z safari.

Omam się nie za kztusiłam ze śmiechu, wyobraziwszy so-

bie wszystkie kobiety w zakładzie ubrane w stroje z takim wzorkiem.

- To niezły pomysł, Theresa - powiedziałam. - Nie wiem tylko, jak długo byśmy wytrzymały, patrząc na to.

- Więc może po prostu czarne? - podsunęła Jennifer, wchodząc do celi. - To bardzo spokojny, stonowany kolor.

- Za to szalenie smutny. Warto by sprawdzić, które kolory wpływają na poprawę nastrojów. Wydaje mi się, że czerwony i pomarańczowy, może też odcień koralu. Ciekawe, czy w bibliotece nie ma jakiejś książki na ten temat - wtrąciła Suki.

Aż pokręciłam głową, gdy oczyma duszy ujrzałam więźniarki w koralowych uniformach. Boże, niektórzy nie mają za grosz wyobraźni.

Spencer podsunęła następny praktyczny odcień, khaki, dla mnie zbyt ponury. Ja tymczasem zaproponowałam klasyczny granatowy drelich. Wszystkie popatrzyły na mnie ze zdziwieniem, jakby nie mogły uwierzyć, że same na to wcześniej nie wpadły.

- W końcu jestem projektantką mody - wyjaśniłam. - Nieprzypadkowo właśnie ja to wymyśliłam.

Jennifer zdołała jakoś ugadać dyrektora firmy Paragon Uniform z Yonkers, by przygotowali pokazowy komplet, obiecując mu duże zamówienie, jeśli zostanie zaakceptowany. Chcąc wprowadzić pewne zróżnicowanie, zdecydowałam, aby w miarę możliwości porobili jakieś wstawki z czarnego drelichu, a świąteczną bluzkę zrobili w odcieniu jasnego khaki. Bardzo często mi się zdarza, że już po czasie przychodzi mi do głowy lepszy pomysł i nigdy nie waham się przed zmianami, choć wiele osób z nich rezygnuje. Na szczęście nikt nie poparł pomysłu, aby stroje zrobić z tkaniny w tygrysi wzorek.

No i w końcu doszło do najbardziej zdumiewającego wydarzenia w zakładzie, bez wątplenia pierwszego tego typu w historii więziennictwa. Urządziłyśmy najprawdziwszy pokaz mody!

Na początku wszystkie chciały wystąpić w roli modelek, aż naczelniczka zaczęła się bać, że dojdzie do bijatyki albo jeszcze gorszej rozróbki. Ale tak się śmiesznie złożyło, że im bliżej było pokazu, tym więcej kandydatek się wycofywało, aż w końcu zabrakło chętnych. Suki miała już wyraźnie zaokrąglone

kształty, ale bardzo chciała wziąć udział w prezentacji, więc się zgodziłyśmy. Bo i czemu nie?

Zapowiadała się najlepsza zabawa, jaką tu kiedykolwiek miałyśmy. Theresa wpadła na pomysł, żeby pozsuwać stoliki w bufecie i zrobić jeden długi wybieg. Po obu stronach ciasno poustawiałyśmy krzesła rzędami, a na ścianach rozwiesiłyśmy zdjęcia z żurnali mody. W oknach pozawieszałyśmy gotowe zasłonki. Były przepiękne, jak lejące się jedwabne fale czystego błękitu nieba. Dzień wcześniej Harding wydała polecenie przemalowania całego bufetu i zamiast brudnoszarego betonu miałyśmy teraz ściany błyszczące perłową bielą, co w połączeniu z zasłonkami robiło wrażenie, jakby się było w niebie. Rzecz jasna, nikt nie miał złudzeń, wciąż siedziałyśmy w pudle, ale zrobił się to chyba najładniejszy kawałek paki w całym kraju. Cher pewnie by usiadła z wrażenia, a zaraz potem spróbowalaby ukraść jedną zasłonkę, żeby zrobić sobie z niej sukienkę. Śmiać mi się zachciało, gdy pomyślałam, że to nawet dobrze, iż jej tu nie ma.

Gdy więźniarki gęsiego wchodziły do sali i zajmowały miejsca na widowni, stałam na końcu wybiegu. Muszę przyznać, że byłam porządnie zdenerwowana. Na krzesłach porozkładałyśmy cienkie drukowane broszurki, więc wszystkie zaczęły je od razu przeglądać. Były adresowane imiennie do każdej z nich i zawierały schematyczne szkice kilku typów majtek i staników do wyboru, jak też krojów żakietu i dodatków. Nie jestem bojaźliwa, lecz dobrze wiem, jak potrafią być agresywne, dlatego bez przerwy rozmyślałam o sposobach zażegnania niebezpieczeństwa. No i miałam tremę, bo choć nie boję się mówić szczerze, co myślę, to jednak musiałam wystąpić przed tłumem. Z modelek pierwsze gotowe były Flora, Frances i Theresa. Znakomicie nadałaby się Cher, ale na szczęście zamiast niej przybyła równie wysoka i zgrabna nowicjuszka o imieniu Lorrie. Jennifer nie zgodziła się wystąpić, choć ją o to błagałam. A Maggie tylko zaśmiała mi się w twarz, mimo że tłumaczyłam, iż przydałaby się reprezentantka senierek. Ostatecznie miałam siedem modelek. Osobiście sprawdziłam, czy ubrania na nich leżą jak należy i czy na pewno pamiętają kolejność wychodzenia, bo przecież musiały mieć czas, żeby się przebrać. Maggie i Suki wzięły na siebie obowiązek kontrolowania pokazu.

Kiedy więc bufet się zapełnił, a strażnicy stanęli rzędkiem pod ścianą z rękoma skrzyżowanymi na piersi, naczelniczka zapowiedziała moje wystąpienie. Zaczęłam mówić, a raczej czytać z kartki, gdyż byłam tak przejęta, że bałam się oderwać od niej wzrok. Gwen wyjaśniła wcześniej, że odbędzie się prezentacja nowych strojów i że każda otrzyma siedmioczęściowy zestaw, przy czym później będzie mogła jeszcze coś dokupić w bufecie, ale nikomu nie będzie wolno mieć więcej niż dwanaście sztuk ubrań. Ale tych siedem podstawowych miało być opłaconych z funduszu więziennego. Ręką dałam znać stojącej z przodu Frances, żeby wyszły, i zapowiedziałam:

- Szanowne oraz pozostałe panie, przedstawiam komplet „Prison Blues”.

Z głośników popłynęła muzyka i trzy pierwsze dziewczyny zaczęły dumnie kroczyć po stołach jak prawdziwe modelki. Przez dobrą minutę widownia wpatrywała się w nie jak urzeczona, bo nikt w tym zakładzie nie przeżywał jeszcze czegoś podobnego. A potem nagle wszystkie baby oszalały.

Kiedy pojawiły się Theresa, Flora i Lorrie w nieco inaczej skrojonych ubraniach, najpierw rozległy się głośne wiwaty i gwizdy zagłuszające muzykę, a później powstał taki harmider, że aż się przestraszyłam, iż naprawdę dojdzie do zamieszek. Ale był to tylko spontaniczny wybuch radości. Moje projekty przyjmowano rzęsyistymi oklaskami. Jednocześnie wybuchły spory, które ubrania będą lepsze. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Mówiłam jednak dalej. Wyjaśniłam, że chcemy zorganizować warsztat krawiecki i każda, która ma jakieś doświadczenie, może już teraz składać wnioski o przyjęcie. Powiedziałam o planach szycia nie tylko takich uniformów, ale i innych ubrań. Kiedy wreszcie pokaz dobiegł końca i podniosłam głowę znad kartki, zostałam nagrodzona gromkimi brawami i owacjami na stojąco. Klaskały także Harding, Jennifer i Maggie, jak również uśmiechnięci strażnicy.

Nigdy wcześniej nie byłam aż tak z siebie dumna.

37

Jennifer Spencer

Szybko się okazało, że dni są za krótkie. Jen była wykończona tak samo, jak w czasie prowadzenia najbardziej burzliwych negocjacji z ramienia Hudsona i van Schaanka, tyle że teraz działała bezpośrednio. Mogła na bieżąco oceniać efekty własnych poczynań, wpływające zarówno na jej życie, jak i pozostałych więźniarek. Wystarczyło zastąpić hałaśliwy dzwonek przyjemną piosenką na pobudkę i od razu z twarzy kobiet zniknął wyraz przygnębienia i beznadziejnej tęsknoty, który uderzył ją już pierwszego dnia pobytu w zakładzie. Sama zresztą chętnie zeskakiwała teraz z pryczy, by z zapałem brać się do kolejnych zadań.

Zebrana przy pomocy Lenny'ego grupa inwestorów, początkowo budząca w niej same nadzieje, nagle zaczęła przysparzać kłopotów. Jej wytrwałość była niezwykle istotna, bo dzięki temu ludzie kupowali akcje na wolnym rynku. Ale z drugiej strony Jennifer także potrzebowała jak najwięcej pieniędzy, żeby zarząd spółki mógł wykupywać udziały, co również nie pozostawało bez wpływu na ocenę giełdowej oferty.

Tego dnia zaraz po przyjściu do biblioteki zadzwoniła do Petera Granta, jednego z najbardziej łatwowiernych brokerów z Wall Street, słynącego głównie z braku dyskrecji. Donald wykorzystywał go, ilekroć chciał rozpuścić jakąś plotkę.

- Peter? - zapytała, gdy podniósł słuchawkę. - Tu Jennifer. Jennifer Spencer.

- Cześć! Bardzo się cieszę, że dzwonisz! - zawołał, po czym

dodał półgłosem: - Strasznie mi przykro z powodu tego, co cię spotkało. Cudownie, że już po wszystkim.

- Ja też - odparła, kręcąc głową. Grant najwyraźniej doszedł do wniosku, że wyszła na wolność. Tymczasem całkiem już zapomniała, jak to jest, kiedy ma się wrażenie, że cały świat kręci się wokół ciebie. - Wzięłam na siebie winę Donalda, ale teraz zostanę za to setnie wynagrodzona.

- Od początku się tego domyślałam! - huknął radośnie. - Gratuluję!

- Dzięki. Cieszę się, że chociaż oskarżono mnie o defraudację, nie zrywasz tak niepożądaną znajomości.

Zarechotał hałaśliwie.

- Wręcz odwrotnie, czuję się zaszczycony. Znasz to powiedzenie, że tylko nie osądzeni są nieproszeni?

Co za palant!

- Owszem. W każdym razie żyje mi się coraz lepiej od czasu, jak wyszłam z pudła. - Postanowiła nie wyprowadzać go z błędu. Ciągnęła ściszym, konspiracyjnym tonem: - Posłuchaj, Peter. Potrzebne mi konto. Będę musiała prowadzić sporo... No, wiesz, tylko niech to zostanie między nami... Chodzi o pewne operacje, o które prosił mnie Donald. Wiem, że można polegać na twojej dyskrekcji.

- Naturalnie.

Wręcz przeciwnie, pomyślała. Tylko dlatego do ciebie dzwonię, prostaku. Kiedy zaś^kojarzyła, że Grant jest nie tylko głupi, ale i chciwy, przyszedł jej do głowy jeszcze jeden pomysł.

- Mógłbyś je założyć na jego nazwisko? - zapytała. - Wezmę od niego pisemne upoważnienie albo zawołam go do aparatu, jeśli sobie życzysz. - Wstrzymała oddech.

- Daj spokój, naprawdę będę zaszczycony - odparł. W słuchawce zapadła nagle cisza, aż Jennifer nabrała obaw, że posunęła się za daleko i nic z tego nie wyjdzie. Po chwili jednak zapytał: - Ale pamiętasz chyba, że on ma już otwarte konto? Jest nieaktywne od dłuższego czasu. Już się niepokoiłem, co to może znaczyć.

Donald korzystał z tego konta tylko wtedy, kiedy chciał za pośrednictwem Granta nakłonić wszystkich chciwych i bezwzględnych łajdaków do podjęcia odpowiadających mu działań. Nie mógł za długo trzymać na nim większych funduszy,

gdyż giełdowa komisja bezpieczeństwa ciągle monitorowała wszelkie poważniejsze dochody i od razu wszczęłaby dochodzenie w tej sprawie. Jennifer dopisało jednak szczęście i konto wciąż było otwarte. Uśmiechnęła się, gorączkowo rozważając w myślach różne możliwości.

Peter należał do tych maklerów, którzy są gotowi śledzić wszystkie prowadzone przez Donalda operacje, gdyż miał nadzieję, że sam coś przy tym zyska, nawet jeśli wiązało się to z dużym ryzykiem.

- Wspaniale - powiedziała. - W takim razie skorzystamy z istniejącego już konta. Będziemy w stałym kontakcie. Prześlij wiadomości pod mój nowy adres e-mailowy. Zaczniemy od niewielkiego depozytu i zaczniemy inwestować pochodzące z niego profity.

Grant ponownie zaśmiał się gardłowo, co przypominało gdakanie kury.

- Świetnie. U mnie Donald zawsze może liczyć na korzystny kredyt.

Pewnie tak samo korzystny, jak u każdego innego lichwiarza z Wall Street, pomyślała.

- Zlecenia operacji mogą nadchodzić także z innych adresów e-mailowych bądź faksem. Bądź na to przygotowany.

- Jasne - odparł, jakby rzeczywiście wiedział, o co chodzi.

- Ale ze względów bezpieczeństwa zabezpieczymy się hasłem. - Zamyśliła się na krótko, po czym rzuciła: - Możesz chwilę poczekać? Chciałabym się poradzić z Donaldem.

- Oczywiście. Pozdrów ode mnie Dona.

Wynikało stąd jednoznacznie, że Michaels i Grant nie znają się osobiście, w przeciwnym razie Peter wiedziałby doskonale, że jej były szef nie cierpi zdrobnienia Don. Zawiesiła połączenie, gorączkowo usiłując wymyślić jakieś hasło, które pasowałoby do Michaela i jego najbliższych współpracowników. Ale po głowie kołatał jej się tylko „łajdak spod żółtego szczura”. Uśmiechnęła się na wspomnienie Lenny'ego i zaraz sobie przypomniała. Tak, to idealnie pasowało! Włączyła ponownie aparat i rzuciła do słuchawki:

- Już mam, Peter. Hasło brzmi „Grendel”.

Na wszelki wypadek jeszcze je przeliterowała, nie sądziła bowiem, aby ktoś pokroju Granta znał imię potwora z *Beowulfa*.

A już na pewno mało kto wiedział, że jest to zarazem imię ukochanego bullmastiffa Michaela.

- Aha, prosił też, bym przekazała ci pozdrowienia od niego.

- Dzięki. Przy okazji powiedz Donowi, że powinniśmy kiedyś razem urządzić sobie partyjkę golfa.

- Na pewno powiem.

To jeszcze więcej wyjaśniało, ponieważ Donald nie znosił golfa, a usłyszawszy zaproszenie do gry od kogoś takiego jak Grant, był gotów napuścić na kretyna swoich adwokatów. Peter miał szczęście, że cała ta współpraca z Michaelsem miała pozostać w sferze wyobraźni, gdyż inaczej już by się znalazł w poważnych kłopotach. Ale jego szczęście nie mogło trwać wiecznie i wcześniej czy później sam musiał się wpakować w kłopoty.

- Doskonale! - rzekł z entuzjazmem.

- Donald obiecał, że do ciebie zadzwoni. Muszę kończyć. Dzięki za pomoc. - Zawiesiła na chwilę głos. - Aha, jeszcze jedno, Peter.

- Słucham.

- Czy mogę prosić, aby część... - zachichotała, chcąc sprawić wrażenie słodkiej idiotki - ...drobna, niezbyt duża część zysków z tego konta była wypłacalna w gotówce?

- Pewnie. Do dziesięciu tysięcy dolarów możesz od ręki dostać czek. Jeśli chcesz, zaraz powiadomię kasjera, żeby przygotował pieniądze do wypłaty. Na twoje żądanie mogą być w ćwierćdolarówkach czy nawet dziesięciocentówkach.

- Dzięki za uprzejmość - odparła, przynajmniej ten jeden raz szczerze. - Muszę kończyć. Na razie.

Ze schowka pod blatem stolika wyciągnęła laptop, włączyła go i weszła do sieci. Wybrała kilka groszowych pakietów akcji, pozostałe przeanalizowała pobieżnie i wytypowała kilka ofert, których notowania można było w prosty sposób podwyższyć. Złożyła zamówienie kupna i przystąpiła do świetnie znanego wszystkim maklerom procesu pompowania cen. Odwiedzała internetowe strony informacyjne, wysyłała krótkie notki pod najczęściej odwiedzane giełdowe grupy dyskusyjne oraz wiadomości e-mailowe do różnych brokerów i firm zarządzających funduszami powierniczymi. Oczywiście za każdym razem podpisywała się innym imieniem, zmieniała treść i styl depech,

wreszcie poprosiła Movitę, aby część wiadomości wpisała do komputera w sekretariacie. Kiedy panna Ringling wyszła na lunch, porzyszyły ją do wytypowanych odbiorców. Dopiero wtedy Spencer zadzwoniła do Bryce'a.

- Cześć, ślicznotko - powitał ją serdecznie. - Czy mogę wysłać po ciebie limuzynę?

- Nie tylko, ale jeszcze nie teraz. Chwilowo jestem zajęta pomnażaniem naszych funduszy i nie mam czasu na przejażdżkę.

- Oho, czyżbyś sama zorganizowała sobie przejażdżkę najlepszą z możliwych? - spytał z zainteresowaniem. - W czym mogę ci pomóc?

- Kupuję dziesięć tysięcy akcji firmy Rivdek.

- Co to jest?

- Czy to ważne? Liczy się tylko to, że ceny nie stoją w miejscu, a przecież nie mogę skorzystać z twojej limuzyny. W każdym razie chcę, żebyś i ty je kupował.

- Jasne. Ile chcesz?

- Teraz sprzedają się po dolarze i dziewięć centów. Możesz kupić nawet trzydzieści tysięcy, ale zastopuj, gdy cena wzrośnie powyżej dolara dwadzieścia.

- Rozumiem - odparł z wyraźnym rozbawieniem. - I na pewno dasz mi znać, kiedy mam się pozbyć tego ładunku.

- Jak dwa i dwa to cztery.

- Czy mogłabyś poza tym dać mi znać, kiedy dojdiesz do wniosku, że nadają się nie tylko do interesów?

Ten flirt na odległość był zabawny. Jennifer nie miała nic przeciwko niemu, chociaż szczerze wątpiła, by cokolwiek z tego wyszło.

- Wydawało mi się, że już ci przekazałam, co o tym sądzę.

- Czyżby?

- Owszem, ale w języku ciała. Może nie zdążyłeś się go jeszcze nauczyć?

- Nie tylko go znam, ale i władam nim doskonale.

Szach i mat, pomyślała.

- W takim razie zaczekam na sposobność do bardziej szczegółowej dyskusji. Teraz muszę kończyć.

Z przyjemnością gawędziła z Bryce'em, ale w skrytości ducha uważała jego brata, Tylera, za ciekawszego. Ale i nim za bardzo się nie interesowała. Jak każda kobieta odczuwała po-

trzebę flirtowania, gdyż pozwalało jej to wierzyć, że jest atrakcyjna. Boże, jak ciężko musiały to odbierać kobiety zmuszone do spędzenia swoich najlepszych lat za kratami. Sama już zapomniała, jak przyjemnie jest porozmawiać z interesującym mężczyzną. Pod tym względem nie należało się dziwić, że niektóre skazane są gotowe prawie na wszystko, byle przyciągnąć uwagę strażnika.

Wybrała numer wprowadzony do pamięci aparatu komórkowego.

- Poproszę z Lennym Bensonem.

- Słucham, księgowość - odezwał się oficjalnym tonem.

- To ja, Jennifer. Potrzebna mi twoja pomoc w transferze pieniędzy, które umożliwią zakup akcji firmy Rivdek.

- Miło cię słyszeć - rzekł o wiele cieplej. - Zanim to zrobię, powiedz mi, czy zrezygnowałaś z adwokackich usług Toma.

- Powinien już dostać komplet dokumentów. Sprawa jest w toku.

- Na wszelki wypadek przygotuję nowe pełnomocnictwo i przywiozę ci do podpisu - rzekł Lenny z zapałem. - A ponieważ to sprawa urzędowa, nie będę musiał czekać do dnia odwiedzin.

- Przecież już podpisałam pełnomocnictwo dla ciebie.

- I tak będę miał wymówkę, żeby się z tobą zobaczyć - odparł pospiesznie.

Co się działo? Najpierw Bryce, a teraz Lenny. Czyżby podniecało ich zdobywanie kobiet siedzących w więzieniu? Musieli się przecież skoncentrować na wspólnych interesach.

- Posłuchaj, zrób wszystko, co konieczne, abyśmy mogli kupić te akcje. Sam zresztą też zainwestuj w Rivdek.

- W porządku. Jak będzie trzeba, wezmę nawet pożyczkę - zapewnił solennie.

- Dzięki, Lenny. Na razie. Muszę kończyć.

Przerwała połączenie i pochyliła się z powrotem nad laptopem.

Kupiła nieco ponad dziesięć tysięcy akcji po dolarze i dziesięć centów, po czym zaczęła uważnie obserwować notowania akcji Rivdeku. Nieoczekiwane zainteresowanie spółką sprawiło, że cena szybko wzrosła do jednego dolara i osiemnastu, a przy kolejnym notowaniu już dwudziestu siedmiu centów.

W ciągu paru minut Jennifer powiększyła swój kapitał o dwadzieścia pięć procent, uznała jednak, że to za mało. Zajął się więc wysyłaniem kolejnych notek i wiadomości e-mailowych, tym razem z gratulacjami, i przed zamknięciem giełdy cena podskoczyła do dwóch dolarów i dziesięciu centów. Wtedy zadzwoniła do Bryce'a i powiedziała krótko:

- Sprzedawaj.

Sama też szybko pozbyła się pakietu.

W ciągu jednego dnia podwoiła swój kapitał, a następnego dnia powiodło jej się równie dobrze. Do tej pory gardziła takimi ryzykanckimi przypadkowymi działaniami, teraz jednak poczuła na własnej skórze, że związany z nimi dreszcz emocji wcale nie jest mniejszy niż podczas załatwiania wielomilionowej transakcji. Gdyby każda więźniarka dostała własne konto w biurze maklerskim Petera Granta, wszystkie żyłyby tu jak pączki w maśle, pomyślała. No i byłyby stale zajęte kupnem i sprzedażą akcji. Rzecz jasna, ostatecznie musiałyby podzielić los każdego przypadkowego gracza. Ale przez jakiś czas miałyby przynajmniej o czym myśleć.

Tego dnia podczas kolacji złożonej z tortellini z sosem nie miała nawet siły, żeby włączyć się do rozmowy, ale odczuwała satysfakcję z pożytecznie spędzonych godzin.

38

Cher McInnery

Cher z przyjemnością przesuwiała bosymi stopami po grubym i miękkim jedwabnym dywanie Kirmana. Uwielbiała czysty i wyraźny obraz na dużym płaskim ekranie telewizora w przestronnym mieszkaniu w osiedlu Tribeca.

Tego dnia, gdy wychodziła na wolność z zakładu Jenningsa, gorzko żałowała, że musi dokonać selekcji rzeczy, które miała zabrać. Serce jej się krajało na myśl, że musi zostawić w magazynie tak wiele zdobytych z trudem cennych łupów. Nie zamierzała jednak zostawić niczego, co należało do Jennifer. Zabrała jej wszystkie rzeczy osobiste. I kiedy wychodziła za bramę zakładu, była nie tylko wolna, ale także elegancko ubrana. Za udział w rabunku odsiedziała prawie cztery lata i już nie mogła się doczekać, kiedy znów przystąpi do dzieła. Tyle że nie chciała już wykładać groszowych oszczędności, nie zamierzała niczego wynosić ze sklepów. W końcu należąca do Spencer garsonka od Armaniego leżała na niej jak ulał, nic więc nie wskazywało, że inne jej rzeczy nie będą pasowały równie dobrze. Była bardzo wdzięczna Jennifer za to, że otworzyła jej oczy na inny świat, w którym manipulacje i przywłaszczenia należały do obowiązującego stylu życia.

Cher zawsze wydawało się tragiczną pomyłką, że wszyscy mają więcej niż ona, a nie znała innego sposobu na wyrównanie rachunków niż kradzież. Dlatego w tym zakresie kierowała się tylko jedną zasadą: nigdy nie okradaj biedniejszego od siebie. Zresztą o wiele łatwiej było kraść ludziom mającym więcej, niż potrzebują. Zapominali o czujności i robili setki idiotycz-

nych rzeczy, na przykład zabierali ze sobą do więzienia klucze od mieszkania. A przecież nie trzeba było Einsteina, by odkryć, do których zamków te klucze będą pasowały.

Kiedy tylko zapytała Spencer, gdzie mieszka, przyjęła z zaskoczeniem, że jest to nieduże mieszkanie urządzone w dawnej rzeźni czy podobnym zakładzie, ale gdy tylko do niego weszła, od razu pojęła, że to istna żyła złota. Okna wielkiego salonu wychodziły na południe i roztaczał się z nich panoramiczny widok sięgający aż do rzeki Hudson. Na horyzoncie majaczył nawet niewyraźny zarys Statui Wolności, co uznała za dobry znak na początek nowego życia.

Wyszła z więzienia, mając ponad trzy tysiące osiemset dolarów zarobionych głównie na potajemnej sprzedaży kradzionych rzeczy. I od razu przekonała się ze zdumieniem, jak szybko rozchodzą się pieniądze. Nie mogła zjeść kawałka pizzy ani podjechać taksówką, nie rozmieniając kolejnej dziesięciodolarówki. A nie lubiła oszczędzać i wydzielać sobie ostatnich groszy. Zdecydowanie wolała gromadzić większe nominały, niż z lękiem przeliczać drobne. Miała jednak ustalone plany. Nauczyła się czegoś w więzieniu, co nie miało nic wspólnego z bzdurami dotyczącymi uczciwego życia - przekonała się, że dotąd zawężała swoje perspektywy, i to, co uważała wcześniej za sukces, było w rzeczywistości marnym osiągnięciem. Więzienie otworzyło przed nią nowe horyzonty, podobne do tego widoku z okna na cały nowojorski port. Jedno i drugie zawdzięczała właśnie Spencer. Trudno było nie czuć do niej wdzięczności, którą teraz zamierzała okazać na swój własny, specyficzny sposób.

Sięgnęła do torebki, będącej do niedawna torebką Jennifer, i zza nadprutej podszewki wyciągnęła kawałek gazety z zapisanym numerem telefonu. Postanowiła raz na zawsze skończyć z obrabianiem naiwniaków, nawet na małą i stosunkowo niegroźną skalę. Wymagało to sporego wysiłku, no i zawsze istniało niebezpieczeństwo, że jeleń się skwasi, czyli zgłosi na policję. Teraz już obrobieni naiwniaczy nie wstydzili się tak bardzo, żeby nikomu nie mówić, co się stało. Na tym polegał cały problem. A Cher nie zamierzała więcej spędzić ani jednego dnia w pudle.

Popatrzyła na zapisany numer Jojo, który prowadził w No-

wym Jorku punkt totalizatora i jednocześnie melinę. Nie chciała siedzieć po całych dniach w mieszkaniu i załatwiać spraw przez telefon, na przykład wyłudzać od starych damulek z Des Moines ich oszczędności. Liczyła więc na to, że kontakt z Jojo wypali i dostanie jakąś szansę. Jej brat był kieszonkowcem i współpracował z pewnym spryciarzem, który kiedyś działał w Nowym Jorku i czasami dostawał robotę od Jojo. Dobrze wiedziała, że z nim nie ma sensu załatwiać czegokolwiek przez telefon. Nic by nie wskórała, nawet przymilając się słodziutkim głosikiem. Musiała albo zdobyć adres tego punktu totalizatora, albo umówić się na spotkanie. Była bowiem pewna, że podczas rozmowy w cztery oczy zdoła go namówić, by skorzystał z jej usług.

Dosyć marzeń, nakazała sobie w duchu. Już wystarczająco długo cieszyła się beczynnością w tym luksusie. Pora było wziąć się do pracy. Musiała przecież załatwić tyle spraw przed zachodem słońca. Sięgnęła po pilota, wyłączyła telewizor i poszła do kuchni. Ta też była pięknie urządzone, ale wszystko wskazywało na to, że nowicjuszka nie przyrządzała sobie tu żadnych posiłków. Przypomniała jej się wstrętne kwaśna surówka, jaką przyrządziła do obiadu w zakładzie Jenningsa. Czyżby matka w ogóle nie nauczyła jej gotować? Jediną użyteczną rzeczą, jaką Cher znalazła w kuchni, była pełna szuflada reklamówek firm dostarczających potrawy na zamówienia. W jej pamięci odżył ulubiony dowcip Theresy: „Co nowicjuszka robiła na obiad? Rezerwację w lokalu!”. Do diabła, nie korzystała nawet z tego, najczęściej chyba zamawiała telefonicznie gotowe jedzenie do domu. No cóż, jeśli w Tribece był to przyjęty sposób postępowania, musiała się do niego dostosować.

Postanowiła zamówić sobie przekąskę z baru „Balthazar”. Przepadała za drożdżówkami, toteż zaciekało ją, jak smakuje drożdżówka za pięć dolarów. Prawdę mówiąc, nie było jej stać na taką rozrzutność, ale postanowiła się tym martwić później. Jak tylko dostanie jakąś robotę od Jojo, będą mogła sobie kupować po trzy takie drożdżówki dziennie, pomyślała. Wybrała numer z reklamówki i osłupiała, gdy w słuchawce rozległ się uprzejmy męski głos:

- Dzień dobry, panno Spencer. Czy mogę pani służyć?

Wiele się zmieniło przez te pięć lat, które spędziła w aresz-

tach i więzieniach. Teraz chyba w każdej dziurze był już taki system telefoniczny, który od razu pozwalał zidentyfikować rozmówcę, pewnie w dodatku połączony z komputerową bazą danych automatycznie wyświetlającą potrzebne informacje o kliencie. Jej to jednak ani trochę nie peszyło.

- Chciałabym zamówić śniadanie - odparła.

- Życzy pani sobie to, co zawsze?

Czemu nie? - przemknęło jej przez głowę.

- Tak, oczywiście. To, co zawsze.

Aż ścisnęło ją w dołku na myśl, ile będzie musiała za to zapłacić, ale przeważyła ciekawość, jak wygląda zwyczajne śniadanie kogoś takiego jak Jennifer Spencer.

- I jak zwykle mamy obciążyć pani rachunek z karty American Express, prawda? - zapytał mężczyzna.

Cher od razu poczuła się lepiej. Uświadomiła sobie nawet, że jest dużo głodniejsza, niż początkowo sądziła.

- Zgadł pan. Proszę obciążyć American Express.

- Doskonale, panno Spencer. Dostarczymy pani śniadanie za dziesięć minut.

To życie jest nie tylko wspaniałe, pomyślała. Jest cholernie wspaniałe. W oczekiwaniu na śniadanie postanowiła przeprowadzić drugą rozmowę telefoniczną. Przejrzała notatnik Jennifer i znalazła nazwisko: Branston, Tom. Wybrała zapisany obok numer. Czuła się niezaspokojona seksualnie i musiała jak najszybciej temu zaradzić. Adwokat był bardzo przystojny, może trochę zanadto wymuskany i uładzony, ale w bardzo pociągającym opakowaniu. Cher zawsze miała słabość do elegancko ubranych typków z Wall Street, teraz zaś mogła mieć jednego z nich dla siebie.

- Dzień dobry, Tommy - odezwała się przymilnym tonem, kiedy tylko podniósł słuchawkę. - Już się urządziłam.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po przyjeździe do Nowego Jorku, było nawiązanie kontaktu z byłym kochankiem Spencer. Na podstawie tego, co od niej słyszała, zaliczyła go w myślach do narwańców, którzy myślą głównie jajami. Znała wielu podobnych do niego. Wystarczyło tylko trochę podbechtać ich ambicję, żeby zdobyć to, na czym jej zależało. Branston nie stanowił wyjątku, już podczas pierwszej rozmowy grała na jego uczuciach jak na starym fortepianie. Wiadomość o tym, że do-

piero co wyszła na wolność z zakładu Jenningsa, natychmiast rozbudziła jego ciekawość. Oczywiście Cher od razu dała mu do zrozumienia, że Jennifer powiedziała jej o nim znacznie więcej, niż on by tego sobie życzył, toteż obawiając się szantażu, szybko zgodził się wypić drinka w jej towarzystwie. A wtedy Cher jeszcze bardziej go zaskoczyła. Dużo wcześniej sfałszowała podpis Spencer pod listem, w którym zwracała się do niego o pomoc w urządzeniu McInnery w jej mieszkaniu.

- Prosiła, bym zaopiekowała się jej dobytkiem - zapewniła nastawionego krytycznie prawnika.

Ostatecznie rozwiązała jego wątpliwości, pokazując mu klucze od mieszkania. I Tom załatwił wszelkie formalności z dozorcą budynku.

- Chciałam ci jeszcze raz podziękować - rzekła teraz do słuchawki. - Nie znalazłbyś trochę czasu, abym mogła to zrobić osobiście?

Zakładała, że pan Branston, jak każdy innym młody byczek na tym świecie, budzi się codziennie rano gotów do akcji. Chciała pomóc mu rozładować napięcie przez telefon, ale właśnie przybył goniec z baru, toteż pomyślała ze smutkiem, że jeszcze dzisiaj Tom będzie musiał pomóc sobie sam. Pożegnała się szybko i odłożyła słuchawkę. Zawsze trzeba ich zostawiać w takiej sytuacji, żeby chcieli jeszcze więcej, pomyślała. I aż uśmiechnęła się do siebie, skojarzywszy, że wkrótce oskubie tego kurczaczka do naga.

Okazało się, że Jennifer także lubi drożdżówki. „To, co zwykle” bardzo odpowiadało Cher, tak jak idealnie pasowały na nią wszystkie ubrania z szafy. Kiedy zajrzała do niej po raz pierwszy, poczuła się tak, jakby umarła i poszła do części nieba przeznaczonej dla modelek i właścicielek butików. Zaczęła w pośpiechu przymierzać jedną rzecz po drugiej, ale w końcu wybrała żakiet marki Prada. Pozostałe ubrania musiały zachećkać na inną okazję. W końcu powinna mieć sporo okazji do tego, żeby się przebierać, gdyby dostała tę robotę w punkcie totalizatora. W każdym razie czuła się gotowa przystąpić do interesów - dobrze ubrana, zadowolona z siebie, mająca apetyt nie tylko na kęs tego „Wielkiego Jabłka”, ale na nie całe, aż do ogryzka.

Dobrze było znowu chodzić po ulicach Nowego Jorku. Cher

zawsze lubiła chłonać atmosferę wielkiego miasta. Teraz jednak jej uwagę bardziej przyciągały witryny sklepowe. Miała wrażenie, że z przewieszzonej przez ramię torebki Gucciego dolatuje chórny zew wszystkich kart kredytowych: „Wykorzystaj mnie! Obciąż mój rachunek! Kup coś! Wybierz coś!”. Niewiele było trzeba, żeby uległa pokusie. A co mi tam! - pomyślała, skręcając do salonu Agnes B. Przyszło jej do głowy, że jedną z rzeczy, które nie uległy zmianie w czasie jej pobytu w więzieniu, jest opryskliwość sprzedawców w ekskluzywnych salonach mody. Ale teraz miała na sobie garsonkę Prada, a to diametralnie zmieniałoby postać rzeczy. Zaczęła energicznie przerzucać ubrania wyłożone na ladzie, jakby dokładnie wiedziała, czego szuka. Sprawiało jej olbrzymią radość, że drobna ekspedientka musi się przy niej krzątać.

- Dostarczacie zakupy do domu, prawda? - spytała wyzywającym tonem.

- Tak, oczywiście - zapewniła kobieta.

Wyjęła z portfela kartę American Express i z obojętną miną, acz w napięciu czekała na elektroniczny sygnał potwierdzenia transakcji w sklepowym terminalu. Kiedy wreszcie się rozległ, odetchnęła z ulgą. Podyktowała adres, pod jaki należy dostarczyć zakupy, i skierowała się już do wyjścia, kiedy nagle ktoś zawołał:

- Panno Spencer?! Panno Spencer?!

Cher zastygła w pół kroku i odwróciła się bardzo powoli. W przejściu na zaplecze stała jakaś starsza kobieta i przyglądała się jej uważnie.

- Słucham - odezwała się cicho.

- To naprawdę pani, panno Spencer? Zrobiła pani coś z włosami?

- Ufarbowałam - odparła pospiesznie Cher.

Kobieta zmrużyła oczy i pochyliła głowę w bok, mierząc ją badawczym wzrokiem.

- Podobają mi się - powiedziała w końcu. - Bardzo odmieniły pani wygląd.

- Dziękuję. - McInnery uśmiechnęła się lekko.

- Nie będę pani zatrzymywać - rzuciła rozpromieniona kobieta. - Chciałam się tylko przywitać i powiedzieć, że cieszę się

z pani powrotu. Bardzo mi miło, że pani o nas nie zapomniała. Mam nadzieję, że wkrótce znów odwiedzi pani nasz sklep.

- Tak, oczywiście.

Cher odwróciła się i wyszła na ulicę. Serce waliło jej młotem. Musiała bardzo uważać. Tribeca było niewielkim osiedlem, a Jennifer grubą rybą, którą znali tu chyba wszyscy. Lepiej było robić zakupy w śródmieściu.

39

Jennifer Spencer

- To nie do wiary! - wykrzyknęła zdumiona Jennifer sama do siebie, nie podnosząc nawet głowy znad czytanego listu. Odchyliła się na oparcie krzesła w świetlicy i szeroko rozłożyła ręce. - Dostałam właśnie pismo z administracji osiedla, w którym twierdzą, że naruszyłam warunki umowy najmu, ponieważ... - Pochyliła się z powrotem i odczytała: - „W czasie swojej nieobecności podnajęła pani nielegalnie lokal osobie trzeciej, co stanowi jawne naruszenie obowiązujących przepisów prawa. Wnioski o zameldowanie sublokatora są rozpatrywane indywidualnie, lecz tylko w takim wypadku, kiedy główny najemca pozostaje zameldowany w lokalu"... Nie mam w ogóle pojęcia, o co tu chodzi! Nikomu nie podnajmowałam mieszkania! Nie rozumiem, co tam się dzieje! Podejrzewam, że Tom Branston znowu wystawił mnie do wiatru!

- Bogaci mają swoje problemy - mruknęła Movita.

Jennifer energicznym krokiem podeszła do automatu i wykręciła numer Lenny'ego. We wszystkim musiała korzystać z jego pomocy. Co by bez niego zrobiła?

- Nie wiesz, co się dzieje w moim mieszkaniu? - zapytała, kiedy tylko odebrał.

- Skądże. Powstały jakieś zaległości z czynszem? Przecież regularnie składam polecenia przelewów pierwszego każdego miesiąca.

- Nie, to coś innego. Administracja zagroziła mi wystąpieniem na drogę sądową pod zarzutem nielegalnego podnajęcia lokalu. Nikomu nie wynajmowałam mieszkania.

- Musiała zająć jakąś pomyłką.

- Mam nadzieję. Nie chcę być jeszcze raz oskarżona o coś, czego nie popełniłam. Co się tam może dziać, do cholery?

Przyszło jej do głowy, że zaraz znowu zacznie robić jej wy-mówki za to, że nie wycofała jeszcze uprawnień adwokackich Toma. Jako jej księgowy od samego początku był niezadowolony z tego układu, a teraz też jako przyjaciel... Dobrze wiedziała, jak bardzo gardził Tomem.

- Sprawdź to, Jennifer - odparł. - Porozmawiam z Tomem i skontaktuję się z administracją. Jestem pewien, że po prostu zaszło nieporozumienie, ktoś coś poplątał w papierach. Jasne?

- Ale napisali w liście, że ktoś zajął moje mieszkanie!

- Może chodziło im o mnie. W tym okresie, kiedy zbieraliśmy grupę inwestorów i później wykupywaliśmy akcje JRU, czasami zakładałem w twoim mieszkaniu kwaterę główną do prowadzenia najbardziej newralgicznych działań. Pewnie ktoś zauważył, że często wchodzę i wychodzę, jakbym tam mieszkał. To wszystko. Postaram się wyjaśnić tę sprawę. O nic się nie martw.

Sama bardzo chciała pozbyć się dodatkowego zmartwienia, podobnie jak pragnęła przestać się kłopotać o przyszłość więzienia, ale nie potrafiła się uwolnić od obaw, że cokolwiek dzieje się na Zewnątrz, w taki czy inny sposób stanowi zagrożenie dla jej planów zmian w zakładzie Jenningsa.

Ów lęk przybrał realną postać dwa dni później, gdy Lenny przyjechał na widzenie i opowiedział jej o swoim odkryciu. Ledwie usiedli przy stoliku w sali odwiedzin, zaczął mówić półgłosem:

- Jesteś pewna, że Branston nie znalazł się w gronie twoich inwestorów? Nie jest właścicielem jakiegoś pakietu akcji?

- W żadnym razie! - odparła stanowczo.

- To jednak on zajął twoje mieszkanie. A przynajmniej często z niego korzysta.

- Co takiego? Skąd o tym wiesz?

- Poszedłem za nim przedwczoraj. Nie zauważył mnie. Zaczaiłem się przy kiosku i obserwowałem go znad gazety - wyjaśnił z takim przejęciem, jakby wpadł na trop gigantycznej afery. Jennifer pomyślała, że faktycznie nadawałby się na bohatera powieści Johna le Carre. - Na początku sądziłem, że tylko wy-

korzystuje twoje mieszkanie do własnych celów. W końcu byliście zaręczeni i na pewno nie zwrócił ci kluczy. Ale potem zadałem sobie pytanie, dlaczego miałyby się do ciebie przeprowadzać. Ostatecznie ma własne mieszkanie.

- Lenny - jęknęła. - Przejdź wreszcie do rzeczy.

Naburmuszył się nieco, urażony, że jego sprytny wybieg nie zrobił na niej większego wrażenia. Zaraz jednak zaczął mówić dalej. Zaczekał, aż Tom wyjdzie, po czym z własnymi kluczami ruszył do budynku, żeby odkryć prawdę. Jeszcze zanim winda zatrzymała się na piętrze, usłyszał dolatującą z mieszkania głośną muzykę.

- Na myśl o tym, że ktoś naprawdę zajął twoje mieszkanie, aż ciarki przeszły mi po grzbiecie. Dlatego przez jakiś czas nie wysiadałem z windy, tylko obserwowałem drzwi przez szczelinę. A kiedy wreszcie zebrałem się na odwagę, drzwi nagle się otworzyły i na korytarz wyszła jakaś kobieta z workiem śmieci.

- Kto to był? - zaciekała się Spencer.

- Nie mam pojęcia, ale jest jasne, że tam mieszka.

- I co dalej?

Wziął głęboki oddech i patrząc jej prosto w oczy, ciągnął:

- Nie jestem pewien, czy powinienem ci mówić - rzekł smutno.

Uparła się jednak. Próbował dalej relacjonować oględnie, ale już po kilku zdaniach stało się dla niej oczywiste, że Tom Branston umożliwił korzystanie z jej mieszkania innej kobiecie.

- Nie do wiary! - syknęła.

Nie chciała, by odniósł wrażenie, że przemawia przez nią zazdrość. O Tomie mogła już myśleć tylko ze złością. Nie potrafiła jednak ukryć własnych uczuć. Bo przecież utknęła w tym... zakonie, podczas gdy on...

- Jak ktoś taki jak Tom może spokojnie spać po nocach? - zapytał Lenny. - Nie sądzisz, że spotkało cię prawdziwe szczęście, iż w końcu się od niego uwolniłaś?

- Czy ta kobieta miała mój brylantowy pierścionek?

Przez chwilę patrzył na nią zdumiony.

- Po tym wszystkim, czego się ode mnie dowiedziałaś, możesz jeszcze myśleć o pierścionku zaręczynowym?

- Miała go na palcu czy nie? - powtórzyła z naciskiem.

- Skąd mam wiedzieć? - syknął ze złością. - Wątpię. Moim zdaniem to zwykła... - urwał nagle.

- Co? - zaciekawiła się, ale nie odpowiedział. Przez chwilę panowało niezręczne milczenie, wreszcie zapytała z ociąganiem: - Jest chociaż ładna?

Nie mógł tego dłużej znieść.

- To zwykła dziwka, Jennifer! - huknął głośno. - A dziwki nie są ładne! I nie noszą pierścionków z brylantem!

Tej nocy nie mogła zasnąć. Nie chciała budzić Suki, więc po cichu wymknęła się z celi i poszła do świetlicy. Odniosła jedno z najważniejszych zwycięstw w swojej batalii, gdyż udało jej się przekonać naczelniczkę, żeby cele nie były zamykane na noc, a więźniarki miały prawo spędzać bezsenne godziny w świetlicy, grać w karty albo układać puzzle. I teraz zawsze można tam było z kimś porozmawiać niezależnie od pory. Wiele kobiet miało poważniejsze zmartwienia od niej. I tego wieczoru bardzo się ucieszyła, ujrawszy siedzącą przy stoliku Movitę.

- Ty też nie możesz spać? - zapytała Watson, zdziwiona jej widokiem. Jennifer pokręciła głową i usiadła naprzeciwko niej. - O co chodzi?

Wzruszyła ramionami. Jak miała jej wyjaśnić, że zaczęła się nagle obawiać wyjścia z więzienia? Jak mogła zawracać głowę kobiecie odsiadującej dożywocie swoimi troskami dotyczącymi mieszkania, pierścionka zaręczynowego bądź też byłego narzeczonego? Nie umiała powiedzieć Movicie, dlaczego nie może zasnąć, bo się wstydziła kosztownych dzieł sztuki, jedwabnych dywanów, antyków. Naprawdę było jej wstyd, że w zabytkowej biedermeyerowskiej szafie trzyma ubrania z salonów mody znanych projektantów, że jedynym celem jej życia było dotychczas gromadzenie rzeczy, które teraz bardzo łatwo mogła stracić, i że nie ma najmniejszego pojęcia, jak się zachować w tej sytuacji.

- Po prostu nie chciało mi się spać - odparła z ociąganiem.

Movita wyrozumiale pokiwała głową, jakby chciała przekazać, że i ona woli nie rozmawiać o przyczynach swej bezsenności. Jen dobrze wiedziała, że martwi się o córki, gdyż samo wspomnienie o nich sprawiało jej ból. Dlatego też przez godzi-

nę rozmawiały na różne tematy i wymieniały plotki, aż obie poczuły się na tyle zmęczone i odprężone, by wrócić do łóżek. Jennifer z powrotem po cichu wśliznęła się do celi, żeby nie obudzić Suki posapującej cicho przez sen.

Chcąc uspokoić więźniarki, które coraz głośniejszą mową 0 faworyzowaniu Jennifer „zbijającej baki” w bibliotece, Harding z powrotem przydzieliła ją do pralni w niepełnym wymiarze. Następnego dnia zaczęła więc od przetaczania wózków z brudami. Energicznie wzięła się do segregowania prawie tak wysokiej jak ona sterty ciuchów, wiedząc, że jeśli sama nie wpakuje ich do pralki, zajmie się tym Suki, a na tę myśl i ona zaczynała odczuwać bóle w dole brzucha. Zdarzały jej się sennie koszmary dotyczące porodu, gdyż Conrad była już w dziewiątym miesiącu ciąży. Tego dnia również zaczęła przerzucać brudy, jakby była w pełni sił.

- Zostaw to i usiądź! - odezwała się do niej ostro Jennifer, kiedy Suki przystąpiła do ładowania białych rzeczy do pralki. - Nie rozumiesz, że łatwiej mi jest samej to wszystko zrobić, niż patrzeć, jak ciężko pracujesz? Proszę. Opieka lekarska w zakładzie wciąż pozostawia wiele do życzenia. Byłoby fatalnie, gdybyś zaczęła rodzić przed czasem.

- Nic mi nie jest - odparła dziewczyna. - Moja siostra normalnie pracowała tego dnia, kiedy urodziła pierwsze dziecko. A zakładała przewody telefoniczne.

- Ciężarna pracowała na słupach?

Suki pokręciła głową, jakby nie mogła się nadziwić jej naiwności.

- Pewnie. I urodziła w wozie technicznym. Szybko i bez komplikacji.

- Naprawdę?

Conrad przytaknęła i ściągnęła ze sterty kilka ręczników.

- To za ciężkie! Zostaw je! - wykrzyknęła Spencer. Podeszła i wzięła od niej naręczne brudów. - Siadaj!

- Nie mogę siedzieć.

Spojrzała w dół i lekko naciągnęła materiał kombinezonu na biodrach. Dopiero opięta tkanina uwydatniała jej niezwykle duży brzuch.

Jennifer podwoiła wysiłki, zaczęła sortować i przerzucać

brudy w takim tempie, jakby się strasznie spieszyła. Ale po kilku minutach zauważyła kątem oka, że Suki poszła za jej radą i ciężko osunęła się na krzesło.

- Wszystko w porządku? - spytała zaniepokojona. Conrad nie odpowiedziała od razu, miała bardzo dziwną minę. - Suki? Odczuwasz bóle? Masz już skurcze?

- Nie - mruknęła. - Tylko... przeczucia.

- Przeczucia?

- Tak.

Na jej górną wargę i czoło nad brwiami wystąpiły kropelki potu.

i

Jennifer popatrzyła na Suki jeszcze przez chwilę, chcąc się upewnić, że nic jej nie jest, po czym wróciła do pracy, ale co minutę zerkała w jej kierunku.

- Wszystko w porządku? - zapytała znowu po jakimś czasie. - Nie wyglądasz dobrze.

- Chyba się przeziębiłam - odparła Suki. - Czuję, że mnie rozbiera choroba.

Spencer zostawiła prześcieradło, które właśnie składała, i podeszła do niej.

- Po co się tu męczysz, Suki? Lepiej chodźmy do ambulatorium. W twoim stanie powinnaś się wystrzegać infekcji.

- Nie trzeba, naprawdę już mi lepiej. Pewnie tylko dokucają mi gazy.

- Jesteś pewna, że to nie skurcze?

Conrad zamyśliła się na krótko.

- Nie. W książkach inaczej opisywali skurcze. Zresztą już po wszystkim. - Popatrzyła jej w oczy i wzruszyła ramionami. - Fałszywy alarm.

Jennifer wpatrywała się w nią z przejęciem. Nie mogła jej siłą zaciągnąć do ambulatorium, toteż z ociąganiem wróciła do pracy. Wyciągała bieliznę z pralki, pakowała ją do suszarki i składała czyste rzeczy, co chwila spoglądając na Suki. Mniej więcej po godzinie, tuż przed przerwą obiadową, uporała się z robotą. Razem ruszyły do celu wolnym krokiem, mimo to Conrad co kilkanaście metrów przystawała, żeby powiedzieć parę słów. Podejrzewając, że chodzi jedynie o częste odpoczynki, Spencer kilkakrotnie pytała, lecz wciąż otrzymywała zapewnienie, że wszystko jest w porządku. Ostatecznie poddała się. Nie zanie-

pokoilo jej nawet to, że Suki wzięła ledwie parę kęsów obiadu. Od samego początku ciąży niewiele jadała.

Dlatego było dla niej całkowitym zaskoczeniem, kiedy zaraz po zgaszeniu światła dziewczyna usiadła na pryczy i oznajmiła, że niedługo będzie rodzić.

- O mój Boże! Skąd wiesz?! - wykrzyknęła z przejęciem, martwiąc się stanem koleżanki. - Przecież mówiłaś, że nie zaczęły ci się jeszcze skurcze!

- Chyba miałam je przez cały dzień, tylko myślałam, że to co innego. Ale teraz są coraz częstsze i bardziej bolesne. Naprawdę bardzo bolesne, Jen. Zdaje się, że musisz mi pomóc.

Spencer wyskoczyła spod koca i usiadła obok niej. Wzięła ją za rękę i kazała oddychać głęboko i rytmicznie.

- Wezwę strażnika. Niech ściągną karetkę.

- Nie, proszę - jęknęła błagalnie Suki. - Nikomu nic nie mów. I nie przejmuj się mną tak bardzo.

- Jak mam się nie przejmować? I dlaczego chcesz utrzymać poród w tajemnicy? O co ci chodzi?

- Boże, Jenny... - Suki zaczęła szlochać. - Nie zniosłabym tego, gdyby mnie zakuli w kajdanki i pasami przypięli nogi do fotela na porodówce. Po prostu bym tego nie zniosła. - Silnie ścisnęła jej rękę. - Nie boję się samego porodu, ale z przerażeniem myślę, że mogliby mi zabrać dziecko. Muszę urodzić tutaj, Jen, zanim ktokolwiek się zjawi. Proszę, pomóż mi. Nie chcę rodzić skuta kajdankami. Proszę.

- Mój Boże... - syknęła Jennifer, której serce podchodziło do gardła. - I dlatego przez cały dzień ukrywałaś skurcze?

Bardziej się domyśliła skinienia głową, niż ujrzała je po ciemku.

- Och!... - jęknęła Suki. - Chcę Rogera...

Spencer przywołała strażnika. Na szczęście służbę pełnił oficer Ryan, starszy siwy mężczyzna, na którego można było liczyć.

- Mamy niezwykłą sytuację - powiedziała mu. - Suki zaraz zacznie rodzić.

- O mój Boże... - szepnęła. - Ambulatorium zamknięte, nikt go nie ma. Jak zamierzacie sobie poradzić?

- Chyba powinien pan zadzwonić do naczelnik i powiadomić ją o tym. Będzie wiedziała, co trzeba robić.

Suki pojękiwała coraz głośniej, toteż Spencer cofnęła się i usiadła przy niej. Tymczasem Ryan wyjął z kieszeni telefon komórkowy, wybrał numer Harding i podał aparat Jennifer.

- Postępuję wbrew przepisom, udostępniając ci prywatny telefon, więc lepiej nikomu o tym nie mów.

Spencer o mało nie wybuchnęła śmiechem, bo przecież mogłaby mu pożyczyć własny aparat.

- Suki Conrad zaczęła rodzić? - spytała szybko Gwen.

- Tak. Co mam robić?

- Lepiej zaprowadźcie ją do ambulatorium. Powiem Ryanowi, żeby ściągnął ci do pomocy Movitę i Thesę. Już się ubieram. Po drodze zabiorę moją przyjaciółkę, Lucille.

- Jest lekarzem? <

- Tak. Co prawda nie ginekologiem czy położną, ale dobrą internistką.

- Świetnie. Dzięki Bogu.

Jennifer oddała telefon strażnikowi i odwróciła się z powrotem do Suki.

- Chodź, dziewczyno. Musimy przejść kawałek.

Ryan otworzył kratę, zapalił światło w końcu korytarza i przez krótkofalówkę poprosił innego strażnika, aby jak najszybciej ściągnął do ambulatorium Movitę i Thesę. Potem wziął Suki pod drugie ramię i we trójkę wyszli z celi. Dziewczyna miała już skurcze co minutę, przystawała i zginała się z bólu. Ale w przerwach między nimi jakoś przebiegała nogami.

- Szkoda, że nie mamy wózka. To dla niej trochę za daleko - odezwała się Jennifer.

Ryan wzruszył ramionami.

- O ile się orientuję, w takim stanie nawet dobrze przejść się kawałek, żeby rozruszać mięśnie i stawy. Prowadzałem żonę na spacer przed każdym z trzech porodów.

Nie odpowiedziała, myśląc z lękiem, że według niej sprawy toczą się zdecydowanie za szybko. Obawy okazały się uzasadnione. Nie dotarli do ambulatorium. Kiedy Suki zaczęła krzyczeć, że dziecko już wychodzi, Jen o mało nie zemdląca. Ale był to przedwczesny alarm. Dziewczyna tylko zgięła się w pół, jakby nie mogła ustać na nogach, a po chwili odeszły jej wody. Na podłodze powstała wielka kałuża. Na szczęście zaraz nadbiegły

Movita i Theresa, które ani trochę nie były tak wstrząśnięte jak Spencer. Watson uklękła obok leżącej na podłodze Suki i kazała Ryanowi pójść z Theresa i Jennifer po niezbędne rzeczy.

- Przynieście też poduszki i koce - rzuciła, układając sobie głowę Conrad na kolanach. - Dobre nożyczki, dużo gazy i waciki do osuszenia noska i uszu niemowlęcia. Zapamiętacie? Ale głównie potrzeba czystego prześcieradła i sporo ciepłej wody. Nie mam pojęcia, skąd ją wziąć o tej porze.

Jen zapewniła ją pospiesznie, że postarają się o wszystko, ale w głębi ducha modliła się, by naczelniczka jak najszybciej przywiozła learkę, gdyż była przekonana, że Watson sama sobie nie poradzi. Suki pojękiwała coraz głośniejsze, w dodatku od czasu do czasu z jej gardła dobywało się dziwne rżenie mrozące krew w żyłach.

- Oddychaj, dziewczyno. Głęboko oddychaj - powiedziała jej Movita i znowu popatrzyła na Spencer. - Idź, poproś strażnika, żeby otworzył ambulatorium. Tam będzie wszystko, czego potrzeba.

Theresa zjawiła się z poduszką i kocem. W ambulatorium nie znaleźli niczego poza dodatkową poduszką. Nożyczki i gaza leżały w przeszklonej gablocie, do której Ryan nie miał klucza. Jennifer chciała go już prosić, aby wybił szybę, kiedy złowiła dolatujące z korytarza głosy.

- Ktoś idzie! Może przyjechała wreszcie learkka! - zawołała.

Ale był to tylko Roger Camry w towarzystwie grubej Mowbry.

- Gdzie ona jest? - zapytał szybko, a gdy Jennifer wskazała w głąb korytarza, ruszył biegiem w tamtym kierunku.

Kiedy znaleźli się z powrotem na miejscu, nad Suki oprócz Movity pochylała się jeszcze jakaś kobieta. Na szczęście jest learkka, pomyślała Jen, dostrzegłszy siedzącą za jej plecami Harding, która trzymała Conrad za rękę. Wyglądało na to, że zaczął się już poród.

- Roger! Roger! - wykrzyknęła Suki, wyciągając rękę do strażnika.

Ryan z Mowbry odeszli, żeby nie robić zbiegowiska. Lucille działała szybko i pewnie, bez śladu paniki. Uczyniła z Movity swą pomocnicę i obie na zmianę nakazywały Suki, kiedy ma przeć, a kiedy się rozluźnić. Rodząca nie spuszczała oczu

z Camrj^ego, a naczelniczka przyglądała im się uważnie. Przy każdej fali skurczów Suki naprężała się i głośno stękała, by po chwili wyczerpana opaść z powrotem na poduszkę. Jennifer niczym zahipnotyzowana patrzyła, jak po każdym parciu coraz bardziej wyłania się główka noworodka. Tak samo zauroczona była stojąca obok niej Theresa. Kiedy wreszcie Suki głośniej stęknęła i ukazała się cała główka dziecka, Spencer sama mimowolnie jęknęła. Później zaś pomyślała, że do końca życia nie zapomni tego widoku - przyjścia na świat, na gołej betonowej więziennej podłodze, Bogu ducha winnej, ważącej 3350 gramów dziewczynki.

40

Jennifer Spencer

Była tak zdenerwowana, jakby to ona rodziła. Przypomniała jej się pierwsza wstępna oferta publicznej sprzedaży akcji, którą szykowała na początku kariery i dotąd uważała za najważniejsze wydarzenie w swoim życiu. Ta ostatnia była jednak jeszcze ważniejsza. Bo przecież gdyby udało się zebrać fundusze, poprawić infrastrukturę zakładu i rozpocząć jakąś opłacalną produkcję, byłoby to, jak wyraziła się Martha Stuart, „wreszcie coś pożytecznego”. Jennifer nie była pewna, czy chce, by JRU rozrosło się w takiego giganta jak Wackenhut i zarządzało wieloma zakładami karnymi, ale wiedziała dobrze, że w amerykańskiej gospodarce wolnorynkowej można jedynie szybko się rozrastać albo zniknąć, uważała więc, że to pierwsze jest po prostu mniejszym złem.

Bracia Rafferty, wbrew jej zaleceniom co do składu grupy inwestorów, utworzyli raczej coś w rodzaju dawnego syndykatu. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że nie będą działać zbyt agresywnie i pozostawią cenę akcji gdzieś w przedziale od pięciu do ośmiu dolarów za sztukę. Wracała myślą do podręcznikowego wręcz przykładu publicznej oferty Yahoo, której starsi analitycy w ogóle nie docenili, nie dostrzegając nadciągającej rewolucji technicznej, co też srogo się na nich zemściło. Grupa inwestycyjna na podstawie tych analiz zbyt nisko wyceniła akcje, na które powstał tak ogromny popyt, że ich cena błyskawicznie wzrosła o czterysta procent, to zaś od razu wzbudziło podejrzenia o nieuczciwe działania. Tymczasem Bruce i Tyler, chociaż nie powinni niepotrzebnie przyciągać uwagi do JRU,

poprzedniego wieczoru ustalili cenę na poziomie ośmiu dolarów i dziś rano jeszcze przed otwarciem giełdy porozdzielali pakiety między sprzedających w imieniu syndykatu, nie kryjąc nadziei, że popyt na akcje okaże się większy od ich pierwotnej emisji. Jennifer skrycie podzielała te oczekiwania, zwłaszcza że oferty firm z branży technicznej cieszyły się coraz mniejszym zainteresowaniem, akcje spółek farmaceutycznych wciąż trzymały się na niezmiennym wysokim poziomie, natomiast przybierająca na tempie prywatyzacja więzień budziła spore emocje.

Bryce obiecał jej, iż zarezerwuje duży pakiet akcji dla Leny'ego, Jennifer wolała jednak zyskać pewność, że zabezpieczył się przed ryzykiem i żaden inny sprzedający z firmy Hudsona i van Schaanka nie będzie miał do nich dostępu. O dziewiątej dwadzieścia pięć musiała kilkakrotnie zaczerpnąć głębiej powietrza. Rozdział pakietów nastąpił w Nowym Jorku, a więc ceny akcji musiały być notowane już od chwili otwarcia giełdy i bardzo ją ciekawiło, jak się będą kształtowały.

Nie mogła usiedzieć na miejscu, wstała więc od stolika i zaczęła nerwowo krążyć po całym odmienionej bibliotece. Z dumą spoglądała na nowy regał wypełniony książkami, kącik czytelnicy z krzesłami i stolikami, encyklopedię i kodeksy prawa w dziale ogólnym, jak również dwa terminale komputerowe umożliwiające stały dostęp do bibliotecznych baz danych. Wnęce pięć kobiet pochylało się nisko nad elementarzami, jak do modlitwy. Dopiero uczyły się czytać, a Maggie z nauczycielską cierpliwością tłumaczyła im coś półgłosem. Inne więźniarki siedziały nad książkami w czytelnicy, niektóre nawet robiły jakieś notatki. Opłaciło się, pomyślała Jennifer. Warto było zainicjować zmiany.

Ale ten sukces sprawił, że straciła swój prywatny kącik. Zyskała porządne biurko w rogu sali, ustawione tyłem do czytelnicy, gdzie mogła pracować, lecz nie korzystać z komputera czy telefonu komórkowego. Kobiety miały ją na oku i każdy przejaw niecodziennej aktywności uznawany za dowód faworyzowania był natychmiast komentowany i krytykowany, stawał się powodem plotek i skarg. A Spencer nie zamierzała polepszać warunków bytowych w zakładzie kosztem własnego bezpieczeństwa.

W końcu postanowiła pójść do biura naczelniczki. Tam, co prawda, była zawsze czujna panna Ringling, lecz Movita pracowała przy komputerze i mogła włączyć się do Sieci. Rozważała jeszcze, czy nie pójść do świetlicy i nie przestawić telewizora na stację CNBC podającą stale notowania giełdowe, doszła jednak do wniosku, że nie pozwoli jej na to kobiety uzależnione od nadawanego na żywo programu Regisa i Ricki Lake'ów, po którym miały się zacząć kolejne odcinki oper mydlanych. Uśmiechnęła się na tę myśl. W świetlicy zbierały się dwie frakcje, jedna wierna serialom w CBS, *Pięknej i brutalowi*, *Młodym i niespokojnym* bądź *Jak toczy się świat*, która zazwyczaj wygrywała z miłośniczkami seriali w ABC, takich jak *Wszystkie moje dzieci*, *Jedno jest życie* albo *Szpital miejski*. Poza tym oglądano jeszcze jakieś seriale w stacji NBC, ale zdecydowanie rzadziej, nie zapamiętała więc nawet ich tytułów. Sama nie była zwolenniczką telewizji, a tym bardziej oper mydlanych, od czasu szkoły podstawowej, kiedy przez pewien czas, choć bez specjalnego zainteresowania, śledziła losy Luke'a i Laury ze *Szpitala miejskiego*.

Chcąc wyjść z biblioteki, musiała jednak poprosić Maggie, żeby zadzwoniła do biura Harding i wymyśliła dla niej jakieś zadanie. Z ociąganiem stanęła w przejściu do bocznej salki i przywołała ją ruchem ręki.

- Niecierpliwisz się, co? - zapytała Raffertyy.

- Dziwi cię to? Sama zainwestowałaś w akcje cały majątek. Gdyby oferta publiczna odniosła powodzenie, mogłabyś sprzedać swoje udziały JRU i wycofać przynajmniej część pieniędzy.

Maggie rozejrzała się po bibliotece.

- Dla mnie to już jest sukces - odparła z uśmiechem, wskazując ruchem głowy nowe regały z książkami i kobiety siedzące w czytelni. Zdjęła z półki ostatni numer miesięcznika „Służba więzienna” i powiedziała głośniej: - Zanieś go do biura naczelniczki. To jej prenumerata.

Jennifer ruszyła korytarzem w stronę środkowej części kompleksu. Kilkanaście metrów dalej minęła drzwi starej przybudówki kuchennej, w której obecnie znajdował się warsztat krawiecki. Pieniądzy wystarczyło tylko na czternaście profesjonalnych maszyn i zatrudnienie dwóch fachowców, ale krojenie i szycie nowych strojów więziennych szło już pełną parą. Mię-

dzy kuchnią a stołówką znajdował się bufet, gdzie był teraz dużo większy wybór towarów, poszerzony między innymi o wysokobiałkowe preparaty liofilizowane, mnóstwo świeżych owoców i mrożone mieszanki warzywne. Za wejściem do bufetu, na ośmiometrowej ślepej ścianie, zawisała tablica, obecnie zawieszona wycinkami z żurnali mody, jak też zdjęciami powstających w warsztacie dodatków do strojów, pod którymi znajdowała się skrzynka na zamówienia. Spencer głośno westchnęła. Tak niewiele było trzeba, żeby diametralnie odmienić atmosferę zakładu karnego. W trakcie naboru do szwalni zgłosiła się mniej więcej połowa więźniarek chcących dodatkowo zarobić, gdyż coraz więcej rzeczy można było kupić w bufecie.

Harding przy pomocy Movity zaczęła już sporządzać listę skazanych z zaburzeniami psychicznymi czy skłonnościami do zakłócania porządku. Miały zostać umieszczone w wydzielonej sekcji, już teraz nazywanej „domem wariatek”, dzięki czemu pozostałe mogłyby spać spokojnie, a strażnicy mieliby mniej roboty. Ponadto naczelniczka przystąpiła do poszukiwania pracowników z doświadczeniem ze szpitali psychiatrycznych, którzy byliby chętni do podjęcia służby w nowym bloku.

Jennifer weszła do sekretariatu, bez słowa minęła biurko panny Ringling i podeszła do stanowiska Movity.

- Widziałas już?

- Co? - zdziwiła się Jennifer.

- Notowania. Wystartowały od ośmiu i ćwierć dolara, a teraz już są po dziesięć pięćdziesiąt - odparła rzeczowo Movita takim tonem, jakby od wielu lat była stałym bywalcem giełdowego parkietu.

- Żartujesz? - mruknęła osłupiała Jennifer, a jednocześnie pomyślała: Mój Boże, ile to oznacza pieniędzy dla zakładu!

Przecisnęła się za biurko Movity, położyła jej dłoń na ramieniu i pochyliła się do ekranu monitora.

- Nie jestem w Sieci - wyjaśniła Movita. - Dostałam telefoniczną wiadomość od znajomych.

Jennifer popatrzyła na nią z jeszcze większym zdumieniem.

- Masz przyjaciół na parkiecie?

- A co? Myślałaś, że wiesz już o mnie wszystko?

W tej samej chwili Gwen Harding wychyliła się ze swego gabinetu.

- Panno Watson, panno Spencer. Proszę do mnie na moment.

Kiedy weszły obie do gabinetu, naczelniczka zamknęła drzwi. Na stoliku do kawy w rogu pokoju stał przenośny telewizor ustawiony na kanał CNBC. Jennifer bez pytania usiadła przed nim na podłodze, całkowicie pochłonięta szeregami liczb przesuwającymi się u dołu ekranu. Wypatrywała skrótów JUL jaki przydzielono ich spółce (gdyż JRU był już najwyraźniej zajęty). Pojawił się po kilkunastu sekundach, a tuż za nim wyświetliło się bieżące notowanie: czternaście i sto dwadzieścia pięć setnych. Jennifer nie wytrzymała, poderwała się na nogi i krzyknęła z radości. To był naprawdę wyśmienity rezultat.

- Co się stało? - zapytała Movita, spoglądając w ekran. Harding stanęła tuż obok niej.

- Jesteśmy na fali! - odparła Jennifer. - Wygląda to lepiej niż dobrze. Cena przekroczyła czternaście dolarów. - Spojrzała na zegar w górnym rogu ekranu. - A dopiero dziesięć po dziesiątej. Oczywiście, wszystko może się jeszcze zdarzyć, na przykład gwałtowne załamanie popytu po pierwszej fali entuzjazmu, a nawet krach sprzedaży. Zazwyczaj jednak ustala się jakiś stabilny poziom, a wtedy...

- Chcesz powiedzieć, że już podwoiliśmy swoje pieniądze? - przerwała jej zdziwiona Gwen.

Jennifer uśmiechnęła się szeroko.

- Mniej więcej. To znaczy, podwoilibyśmy kapitał, gdybyśmy wcześniej zainwestowali własne pieniądze w akcje.

- Ja zainwestowałam - odparła Harding.

- Niemożliwe! Naprawdę zainwestowała pani własne oszczędności? To dla mnie dodatkowe obciążenie psychiczne. Do tej pory zawsze obracałam wyłącznie pieniędzmi klientów.

- Więc potraktuj mnie jak swoją klientkę. Zresztą nie tylko mnie. Z tego, co mi wiadomo, sporo ludzi zainwestowało pieniądze w akcje.

- Kto...? - zaczęła Jennifer, lecz jej uwagę przyciągnęła rozmowa w telewizji.

- Ze wszystkich wstępnych ofert publicznych chyba najlepiej sprzedają się dzisiaj akcje JRU. Rozmawiam na ten temat z Chris Olsen, przedstawicielką biura maklerskiego Anthony'ego Tuckera.

Atrakcyjna, krótko ostrzyżona platynowa blondynka skinęła głową do obiektywu kamery.

- To bardzo interesująca oferta, Bob - powiedziała. - Mielis-
my nadzieję, że już pierwszego dnia uda się sprzedać pięć ty-
sięcy akcji, ale ponieważ rokowania były bardzo dobre i mieli-
my sporo zamówień, nie rozpoczęliśmy sprzedaży po cenie
otwarcia, czyli po siedem dolarów za sztukę. Moim zdaniem
eksperci bankierskiej grupy inwestycyjnej zbyt ostrożnie wyce-
nili ich wartość. JRU to nowa spółka, lecz zdobyła trzy lukra-
tywne rządowe kontrakty na zarządzanie zakładami karnymi.
To prawda, że w porównaniu z głównymi konkurentami w tej
dziedzinie, takimi jak Wackenhut i CCA, sprawia wrażenie Da-
wida przy Goliacie. Jednakże to prężnie działająca nowa firma
zatrudniająca fachowców, więc mamy nadzieję, że utrzyma się
duże zainteresowanie jej udziałami. Podejrzewam, że nasi
klienci będą chętni do kupowania akcji nawet po dwadzieścia
dolarów.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Movita. - Naprawdę damy
radę potroić nasze fundusze?!

Jennifer serce o mało nie wyskoczyło z piersi, starała się jed-
nak zachować pozory spokoju.

- Spokojnie. Dopiero w pół do jedenastej. Do wieczora" cena
może spaść do trzech dolarów. - Zerknęła na ekran. - Chociaż
na razie nic na to nie wskazuje. - Podniosła głowę i popatrzyła
najpierw na Gwen, potem na Watson. - Pozwolę sobie przypo-
mnąć, że znalazłam się tu między innymi za „nielegalne dzia-
łania na szkodę macierzystej firmy". Mam nadzieję, że teraz wy
nie oskarżycie mnie o to samo.

- Ode mnie nie usłyszysz ani jednego złego słowa - odparła
Movita. - Co pani na to, naczelniczko?

Harding tylko zaśmiała się krótko. Trudno było powiedzieć,
czy odebrała to jako żart, czy też cieszyła się z zarobienia kilku
tysięcy dolarów.

Zbliżała się pora odliczania przed przerwą na lunch, wyszły
węc z gabinetu. Szybko zjadły posiłek w bufecie i ruszyły ra-
zem do biblioteki, żeby przedstawić Maggie radosne nowiny,
ale ta już o wszystkim wiedziała.

- Bryce i Tyler dzwonili do naczelniczki i poprosili ją, by
mnie zawiadomiła. Czy to nie wspaniałe, dziewczyny? Mó-

wię o tym docelowym poziomie dwudziestu czterech i ćwierć dolara.

Jennifer osłupiała.

- Chcesz powiedzieć, że twoi synowie...

- Czyżbyś próbowała zasugerować - przerwała jej szeroko uśmiechnięta Maggie - że nie jestem jedyną kryminalistką w rodzinie?

Spencer tylko pokręciła głową. Nie zdołała się powstrzymać, wróciła z Movitą do gabinetu Harding i resztę popołudnia spędziła przed telewizorem, monitorem podłączonego do Internetu komputera w sekretariacie i przy telefonie. Pod koniec dnia cena akcji osiągnęła trzydzieści siedem dolarów, a Jennifer bez przerwy rozmyślała, czy na pewno powiadomiła już wszystkich, aby pozbywali się udziałów.

- Zaraz! - zaprotestował Bryce, kiedy się wreszcie do niego dodzwoniła. - Przecież to dopiero początek!

- Proszę, Bryce - jęknęła błagalnie. - Wycofaj się. Niech sprawa trochę przycichnie.

- Za nic w świecie! - odparł.

41

Maggie Rafferty

Stale mnie zadziwia niespożyty głód Amerykanów na wszelkie nowinki. Ja nigdy nie bawiłam się hula-hoop, nie byłam w żadnym lunaparku Disneya ani na pikniku w Branson w stanie Missouri i nie trzymałam przy domu gołębi skalnych, ale coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że mnóstwo ludzi nie tylko ochoczo przyłączało się do tego typu szaleństw, ale jeszcze wydawało na to spore pieniądze. I nieodmiennie przychodzi mi na myśl znana teoria Barnuma na temat częstotliwości pojawiania się w przeciętnej populacji jednostek podatnych na robienie w konia.

Jego słynny żart sceniczny chyba nigdy dotąd nie znalazł tak przekonującego potwierdzenia, jak w wypadku zakładu karnego Jenningsa dla kobiet. Bo to przecież oczywiste, że jeśli w naszym kraju co minutę przybywa jeden naiwniak, ten, kto wymyśli coś nowego w celu zaspokojenia ich infantylnego żarłoczności, faktycznie musi się szybko wzbogacić. A jak lepiej zaspokoić żarłoczność naiwnych tłumów niż za pomocą lizaka? Bo tylko w ten sposób można tłumaczyć oszałamiający sukces, jaki na rynku odniosły „Więzienne popy”, których nazwa kojarzyła mi się wyłącznie z brodatymi prawosławnymi duchownymi.

Przez lata najcenniejszym towarem w więzieniu był lód. Przed prywatyzacją stanowił dla wszystkich kobiet jedyny prymitywny środek zabezpieczenia cennej żywności przed zepsuciem. Tygodniowe przydziały szły niemal w całości na ten cel

i zazwyczaj nie wystarczały, by należycie spełnić swoje zadanie.

Ale pewna sprytna, a zarazem genialna kobieta z bloku B, niejaka Sally Waterman, jakiś czas temu zaczęła go ponadto wykorzystywać do produkcji znakomitych lizaków nazwanych „Więziennymi popami”.

Ich receptura była dość prosta. Wystarczył barwnik spożywczy, żelatyna, tyle karmelu, żeby błyskawicznie zepsuć zęby całej gromadce przedszkolaków, oraz tajemniczy środek zapachowy pozostający ścisłym sekretem Sally. W każdym razie muszę przyznać, że ten wyrób ma znacznie ciekawszy smak niż połączenie mlecznych karmelków z Żelkami owocowymi. I właśnie te „Więzienne popy” stały się nowym hitem, na który czekały zastępy amerykańskich naiwniaków. Ich produkcja na większą skalę rozpoczęła się wraz ze wznowieniem szkolenia kucharskiego, które ruszyło jako jeden z pierwszych kursów zawodowych. Z braku form i patyczków popy były robione w miseczkach i jadłyśmy je łyżkowidelcami. To chyba Suki Conrad wpadła na pomysł, żeby schładzać syrop od razu na łyżkowidelcu, by otrzymać namiastkę lizaka. A stara Wiosenka oceniła głośno:

- To jest tak dobre, że śmiało można by sprzedawać w sklepach na Zewnątrz.

No i Theresie LaBianco niczego więcej nie było trzeba. Wykorzystała nowe możliwości, jakie stwarzają komputery oraz globalna Sieć, i szybko rozkręciła interes. Sama opracowała plan sprzedaży na zamówienia, katalog oferty e-mailowej i założyła stronę internetową. Pomogła jej Jennifer Spencer, która przygotowała dla moich synów prezentację połączoną z degustacją. No cóż, Bryce zawsze był łakomczuchem, więc natychmiast postanowili, jak to się mówi, wejść na rynek. Wolę już nie snuć domysłów, dlaczego użytkownicy Internetu zwrócili uwagę na stronę zatytułowaną „Rewelacyjne Więzienne Słodycze”, w każdym razie nasz adres szybko stał się popularny. W ciągu pierwszych godzin odwiedziło go parę tysięcy ciekawych i już nazajutrz spłynęło kilkaset zamówień. Theresa musiała zebrać i przeskolić prawie dwudziestoosobową grupę do ich przyjmowania, a Jennifer ściągnęła przemysłowy mieszalnik i urządzenie do pakowania. Wciąż nie mogliśmy wyjść ze zdumienia.

mienia. A droga stara Gwendolyn tylko czuwała z rozkoszą, by kwitnący interes miał wszystko, czego potrzeba do odniesienia sukcesu. Coraz rzadziej można ją było spotkać bez lizaka w ustach.

Początkowo byliśmy przytłoczone liczbą zamówień, ale Theresie udało się obrócić skromne możliwości produkcyjne w główną broń marketingową. Popy stały się na rynku towarem tak poszukiwanym, jak niegdyś słynne laleczki „gwiazdkowe”, po które do sklepów Neimana Marcusa i Gumpsa ustawiały się długie kolejki. Nie można ich było kupić w supermarketach czy zwykłych cukierniach, a jedynie w ekskluzywnych sklepach bądź też zamówić na stronie internetowej albo z katalogu e-mailowego. Jak już powiedziałam, zaważyła nasza narodzowa żarłoczność na nowinki. Najwyraźniej nie sposób przecenić ludzkiej naiwności.

Kiedy zaś „Więzienne popy” niespodziewanie znalazły się w pierwszej dziesiątce „rynkowych przebojów” magazynu „People”, nawiedzona panna LaBianco postanowiła wprowadzić swoje „Rewelacyjne Więzienne Słodycze” na wyższy poziom biznesu. Sally otrzymała bojowe zadanie opracowania nowych smaków, a na stronie internetowej pojawiła się dyskusyjna rubryka zatytułowana „Słodkie rozważania więziennych rewelacji”. Początkowo chciałam się włączyć do obsługi tego kącika, lecz szybko wyszło na jaw, że taka nadzwyczaj niedziśejsza „więzienna rewelacja” jak ja nie dysponuje odpowiednio bogatym słownictwem, by internauci chcieli się z nim zapoznać. Posługując się ich językiem, zniosłam płamiste jajo. Ale i mój stary język w końcu na coś się przydał. W miarę powstawania w doświadczalnym laboratorium Sally nowych produktów urosłam do rangi smakowego eksperta i mam niewątpliwą zasługę w nadaniu ostatecznej postaci „Więziennym batonikom” z kremem pistacjowym i orzeszkami. Odniosły błyskawiczny sukces. To także ja wymyśliłam dla sekcji cukierków nazwę „Blokowych dropsów”, które stały się wakacyjnym przebojem. Ponadto próbowałam sił w tworzeniu reklam, lecz moje teksty zostały uznane za zbyt rozwlekłe, za mało zwięzłe i chwytliwe. Niemniej każda z nas dawała z siebie wszystko.

Ten nieoczekiwany bieg wydarzeń nie tylko przyniósł dodatkowe dochody, miejsca pracy i możliwości kształcenia za-

wodowego, ale na Wall Street wzmocnił renomę JRU, ważny element zapewnienia dalszego popytu na akcje. Ceny znowu skoczyły, bo każdy chciał zarobić na tym fenomenie, który „Barron's” nazwał „drugim Benem i Jerryem”, a „Forbes” „słodką żyłą złota”. Tymczasem więźniarki zaczęły dostarczać różne domowe przepisy i ujawniać sekrety rodzinnych specjałów do poszerzenia oferty produkcyjnej. Kilka z tych produktów weszło do fazy doświadczalnej, a dwa okazały się naprawdę obiecujące. Jakby nie był to wystarczający sukces, Jennifer Spencer zaczęła wkrótce wciągać do współpracy kilka dużych ogólnokrajowych koncernów z branży spożywczej i obecnie Bryce z Tylerem przystąpili do negocjacji w sprawie sprzedaży licencji. Aż nie mogłam uwierzyć, że obaj moi synowie, niedoszli hipisi z Vermontu, potrafią ze spokojem ustalać warunki wielomiliardowych kontraktów. A jednak tym się obecnie zajmują. Co więcej, nasza lodowa królowa, Francis, na własną rękę pracuje nad swoją wersją cukierków ślazowych, których receptura ma być gotowa na Halloween. Kilkakrotnie urządzaliśmy już burzę mózgów, żeby wymyślić dla nich chwytliwą nazwę, ale na razie pozostałyśmy na etapie „Szubienicznych duchów” i „Upiorów kazamatów”. Dziewczyny z sekcji promocji wciąż naciskają, byśmy podjęły decyzję, bo chcą jak najszybciej wprowadzić nową pozycję do oferty na stronie internetowej. A przecież trzeba oprócz tego zaprojektować ciekawe opakowanie.

Pamiętam, że w latach siedemdziesiątych krążyło popularne określenie: „Przebyliśmy długą drogę, skarbie”.

Szkoda, że nie potrafisz wymyślić współczesnego odpowiednika tego powiedzenia.

42

Jennifer Spencer

Jennifer zaczęła podejrzewać, że Movitę opętała mania przedsiębiorcza, ponieważ jeszcze nigdy nie widziała, by kogoś coś pochłoneło tak bez reszty, jak ją projektowanie ubrań. Błagała Maggie, by z funduszu bibliotecznego przeznaczyć więcej pieniędzy na żurnale mody, ta jednak uległa tylko w kwestii dwóch czasopism, „W” oraz „Women's Wear Daily”, i dalej stanowczo odmawiała, toteż Watson za własne oszczędności zaprenumerowała „Vogue'a”, „Bazaar” i kilka specjalistycznych periodyków. Siedziała nad nimi dniami i nocami, wciąż szkicując nowe wzory, poprawiając wcześniejsze i uzupełniając swoją kolekcję strojów więziennych. Tylko Theresie wystarczyło cierpliwości, żeby wysłuchiwać ciągłego monologu Movity na temat własnych projektów, ale i jej się to w końcu znudziło. Tymczasem niezależnie od tego, ile zmian Mo przepracowała w warsztacie, zawsze wracała do celu podniecona, pełna nowych pomysłów. Jennifer czuła się trochę tak, jakby wypuściła na wolność przerażającego potwora.

W dodatku martwiły ją więzienne finanse. Co prawda, publiczna sprzedaż akcji wciąż przynosiła zyski, które można było wykorzystać na dalsze inwestycje bądź zwiększenie bieżącego budżetu, wciąż jednak nie było widać perspektyw na stałe dochody. „Więzienne popy” i batoniki rozchodziły się znakomicie, a szykowany obecnie nowy katalog wyrobów musiał zapewne jeszcze zwiększyć obroty, ale ceny sprzedaży tylko niewiele przekraczały koszty produkcji. Trudno więc było liczyć na to, że wyrób słodczy pozwoli na finansowanie całego

zakładu. Ostatecznie nie był to maleńki klasztor, na którego utrzymanie starczą zyski z wypiekanego przez zakonnice chleba. Z początkowej oferty prywatyzacyjnej, która wygrała przetarg na licencję, wynikało niezbicie, że JRU godzi się ze stratami, byle tylko zaistnieć na rynku. Ale Jennifer nie zamierzała po prostu odsprzedać kontraktu żadnemu konkurencyjnemu molochowi, nie mogła więc trzymać się wstępnych założeń, które doprowadziłyby do fiaska przedsięwzięcia. Dobrze wiedziała, że eksperci z Wall Street dostają szału, kiedy spotyka ich jakaś niespodzianka, nawet jeśli przynosi ona nadzwyczaj wysokie profity. Rzecz jasna, każdy chciał mieć swój udział w zyskach, ale brokerzy pragnęli przede wszystkim w spokoju obracać walorami o tak stabilnej cenie, jak choćby akcje Bell Telephone.

Movita próbowała ją namówić na sporządzenie internetowego katalogu szytych w warsztacie ubrań, ale Jennifer uważała, że to zbyt ryzykowna dziedzina, a sieciowy rynek odzieży jest już nasycony. Tego dnia po obiedzie zaczęła tęsknić za Cher, która w tej sytuacji prawdopodobnie wymyśliłaby coś sprytnego na szybką poprawę sytuacji. Siedziała zasepiona w domu, kiedy nagle Theresa przeglądająca któreś z ilustrowanych czasopism wykrzyknęła:

- Jasna cholera! Własnym oczom nie wierzę! Widziałas to, Movita?!

- Tak, pewnie - burknęła Watson. - To szwindel czystej wody.

- O czym mówicie? - zainteresowała się Jen.

- O tym ogłoszeniu francuskiej firmy pod nazwą... „Imitacja Chrystusa” - wycodziła Theresa z wyraźną odrazą w głosie.

- To jakaś organizacja charytatywna?

- Nie, firma odzieżowa - odparła LaBianco.

- W każdym razie wpadła na ciekawy pomysł - wtrąciła Movita.

- Mówisz poważnie? - zdziwiła się Theresa. - Przecież to jakieś czubki. Napisali tu, że skupują używane ciuchy od Armii Zbawienia, schronisk dla bezdomnych i komisów odzieżowych, potem drą je na kawałki i zszywają, dodają nowe guziki i sprzedają jako krzyk mody.

- Bo to jest krzyk mody - wyjaśniła Watson. - Po pierwsze to Francuzi, a oni mają świetny gust, a po drugie, na pewno nie

biorą z komisów wszystkiego jak leci. Zresztą o ostatecznym produkcie świadczy głównie to, jak go przerabiają.

- Pokażcie - odezwała się Suki, przekładając maleńką Christinę na lewą rękę i pochylając się w stronę Theresy trzymającej otwarte pismo. - Boże, kto zechce kupić coś takiego? Jeszcze za tę cenę! A niech mnie...

- Pokażcie i mnie - poprosiła Jennifer.

Wzięła magazyn od Theresy. Suki miała rację, aż trudno było uwierzyć, że coś takiego trafiło do żurnalu mody. Jeszcze dwa lata temu uznałaby, że to specjalna oferta dla bezdomnych modniś. Tylko pokręciła głową. Pospiesznie przebiegła wzrokiem artykuł, szukając nazw amerykańskich dystrybutorów i hurtowników tych niecodziennych szmat. Zapisała je sobie na kartce.

- Chcesz coś kupić? - zaciekała się Suki, lekko kołysząc niemowlę w ramionach.

Nie zadała sobie trudu, by jej odpowiedzieć.

Następnego dnia sięgnęła po telefon tak szybko, jak tylko było to możliwe. Słabo pamiętała francuski, nie posługiwała się nim od czasów college'u, zdołała się jednak połączyć z „Imitacją Chrystusa”, a za jej pośrednictwem dotarła do znacznie większej i mniej awangardowej firmy odzieżowej. Zechciał z nią porozmawiać niejaki Pierre Duchamps, który na jej szczęście jako tako mówił po angielsku i był ponadto fanem *Con Air*.

- Uwielbiam kino Jerry'ego Bruckheimera - oznajmił. - Naprawdę można od was dostać prawdziwe więzienne ubrania? Do tego dla kobiet? *C'est fantastique! Merveilleux!* Może mi pani przefaksować wybór? Dużo macie rozmiarów, dużo wzorów?

Jennifer uniosła wzrok do nieba i zapatrzyła się w sufit sali bibliotecznej, nie wiedząc, czy dziękować Bogu, czy odłożyć słuchawkę. Świat na Zewnątrz i jej wydawał się czasem bardzo, ale to bardzo dziwny.

- Tak, oczywiście - odparła. - Prześlę panu rysunki faksem.

- Ale muszę mieć od razu ceny i wyłączność dla Duchamps Couture. Można nawet zapłacić więcej, byle dostać wyłączność. *Comprenez-vous?*

- *Oui, je comprends.*

W ten sposób udało jej się zarobić prawie czterysta sześćdziesiąt tysięcy dolarów na starych kombinezonach. Ponadto można było liczyć, że jeśli tylko moda się utrzyma, trafi z paryskich salonów do Londynu i Nowego Jorku, tymczasem tutaj zapas ohydnych pomarańczowych ubiorów zdawał się niewyczerpany, nowe skazane trafiające do zakładu na początku wciąż dostawały je z przydziału. Kiedy Jennifer przedstawiła całą sprawę Harding, obie długo nie mogły się powstrzymać od śmiechu. Ale fakt pozostawał faktem, że według rzeczowych szacunków więzienie może zarobić na zużytych kombinezonach nawet milion dolarów, jeśli tylko utrzyma się chwilowy trend.

Tymczasem do cukierniczego laboratorium Sally trafiało coraz więcej przepisów babć, cioc, stryjenek, wujenek i wszelkich kuzynek więźniarek, przy czym każdy z nich był jeden jedyny i niepowtarzalny. W czwartki i niedziele po obiedzie organizowano w bufecie degustację nowych wyrobów. Jennifer zauważyła ze smutkiem, że znacznie większą popularnością cieszą się wyroby w czekoladzie mlecznej, a nie jej ulubionej, choć droższej, gorzkiej. Doszła do wniosku, że to kwestia zamożności. Tego dnia w plebiscycie zwyciężyły twarde cukierki o kuszącym wyglądzie, które miały natychmiast poszerzyć ofertę handlową. Nie bez znaczenia był fakt, że rozwijała się głównie produkcja dropsów i landryn, gdyż nie dało się oszacować, jak długo i w jakiej temperaturze wyroby będą transportowane.

Z inicjatywy Spencer na grupowe obiady zaczęła przychodzić także Maggie, a po jakimś czasie uraczyła je swoją pieczęnią z pieczarkami w czerwonym winie.

- Teraz chyba już nikt tak nie piecze kurczaka - powiedziała - ale za mojej młodości była to powszechnie znana wykwintna potrawa, którą moja matka nazywała kurczakiem po królewsku. - Wszystkie zajadały pieczeń z wielkim apetytem głównie dlatego, że było to wreszcie jakieś inne danie. - Oczywiście musiałam czymś zastąpić czerwone wino, więc raczej trudno to nazwać *coq au vin*, skoro dodałam gazowanego napoju winogronowego. Ale i tak w sosie jest odrobina alkoholu - dodała ściszym głosem. - Bryce przesznułował dla mnie butelkę soku pomarańczowego zaprawionego czystą wódką.

- Kurczę - mruknęła Movita. - Gdybym ja miała takich dba-

łych synów, tobym nie zawracała sobie głowy wyszukanymi potrawami. Wysączyłabym ten sok z wódką, zamiast podlewać nim kurczaka.

Maggie uśmiechnęła się szeroko.

- Może mi pani wierzyć, panno Watson, że wysączyłam już kilka takich flaszek.

- Nieładnie. Następnym razem poproś synów, żeby i mnie przynieśli większą porcję takiego soku.

Rafferty zaśmiała się w głos. Jen także się uśmiechnęła, kiedy wszystkie dziewczyny z grupy zaczęły się domagać wzmocnionego soku.

- Bruce ma przyjechać teraz w odwiedziny - przyznała Maggie. - Ale chce się tylko spotkać służbowo z Jennifer. - Popatrzyła na nią przez całą długość składanego stolika. - Wygląda na to, że nasze małżeństwo JRU bardzo dzielnie sobie poczyna. Nadchodzi wreszcie moja kolej.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Suki, przystawiając Christinę do piersi.

- Że znów wszystkie coś zarobimy - wtrąciła Theresa.

- Raczej, że JRU zarobi pieniądze dla swoich akcjonariuszy - poprawiła ją Spencer. - Osoby fizyczne mogłyby zarobić tylko na dywidendach od posiadanych akcji albo na ich sprzedaży, gdyby cena była korzystna.

LaBianco wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Ja mam sporo akcji, a ponieważ ich wartość rośnie, mogę sporo zarobić, jak je sprzedam.

- Masz akcje JRU? - zdziwiła się Jennifer.

Zanim Theresa zdążyła odpowiedzieć, Movita energicznie pokiwała głową i powiedziała:

- Ja też mam własny pakiet. Myślisz, że pozwoliłabym dwóm najsprytniejszym babom, jakie w życiu spotkałam, pójść na całość i nie mieć w tym swojego udziału?

- Mówisz poważnie? - wydukała Spencer.

- Jasne.

- Skąd wzięłaś pieniądze? Przecież siedzisz tu od dość dawna. Jakim cudem...?

- Mam swoje dojścia na Zewnątrz, kontakty - odparła Watson. - Naprawdę niewiele z nas nie zdążyło wskoczyć na pokład, gdy twój statek odpływał.

- Miałyście utrzymać to w najściślejszej tajemnicy, Mo! Ryzyko było zbyt duże. Mogłyście wszystko stracić.

- No cóż, biorąc pod uwagę, że siedzimy w pudle, nie miało większego znaczenia, czy się wzbogacimy, czy stracimy. Zresztą nie straciłyśmy. Każda z nas nieźle się wzbogaciła.

Jennifer przez dłuższy czas siedziała bez ruchu na brzegu pryczy, wpatrując się w Movitę z rozdziawionymi ustami.

43

Movita Watson

Kilka tygodni przed ustalonym przyjazdem moich dziewczynek ściągnęłam katalog domu towarowego i zamówiłam dla nich prezenty. Kiama miała dostać lalkę, Talitha bezbarwną szminkę, a Jamorah zestaw farb i pędzli.

Ze wszystkich rzeczy, które pojawiły się od czasu, gdy Jennifer zaczęła poprawiać warunki bytowe w zakładzie, dla mnie najważniejsze są nowe zasady widzeń matek z dziećmi. I chyba nie jestem pod tym względem osamotniona. Nie widziałam swoich dziewczynek od czterech lat, nic więc dziwnego, że nie mogłam się doczekać ustalonego terminu ich przyjazdu. Przez cały czas do siebie pisywałyśmy, a niekiedy nawet udawało mi się porozmawiać z nimi przez telefon, ale to oczywiście nie to samo, co zobaczyć je na własne oczy. Nie mogłam spać z podniecenia i robiłam się taka nerwowa, że wybuchałam płaczem z byle powodu.

- Mogłabyś wreszcie przestać? - odezwała się nowa lalunia, którą naczelniczka przydzieliła mi do celi. Odwróciła się tyłem i podciągnęła koc pod brodę. - Nie dajesz mi spać.

- Chętnie bym przestała, ale nie mogę - odparłam.

Kiedy zakryła głowę poduszką, i ja odwróciłam się do ściany. Sama nie wiedziałam, dlaczego zebrało mi się na płacz, chyba tylko z tego powodu, że nie mogłam znieść tak długiej rozłąki z moimi córeczkami.

Nadszedł wreszcie dzień odwiedzin. Włożyłam granatowe drelichowe spodnie, białą bluzkę i żakiet. Jak wcześniej nie mogłam przestać płakać, tak teraz bez przerwy się uśmiecha-

łam. Prezenty były elegancko zapakowane i czekały w rzędku na mojej pryczy.

Poszłam do stołówki, lecz nie mogłam nic przełknąć z lunchu, tak byłam zdenerwowana. Kiedy w końcu zbliżyła się pierwsza, zabrałam prezenty i poszłam do sali odwiedzin. Ludzie już się zbierali, ale starczyło mi jeszcze czasu, żeby zajrzeć pod kolorowy papier i sprawdzić, czy z prezentami wszystko w porządku. Bez przerwy zerkałam jednak na drzwi i nagle zobaczyłam córki.

Dla kobiety chyba nie ma piękniejszej chwili w życiu niż widok własnych dzieci po tak długiej rozłące. Ale wygląd dziewczynek zaskoczył mnie do tego stopnia, że przez dłuższy czas nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Tylko gapiłam się na nie, uśmiechałam, a nawet zachichotałam. One także się uśmiechały - z wyjątkiem Kiamy, która ma dopiero sześć lat i prawie mnie nie zna. Zbliżała się bardzo ostrożnie, z poważną miną.

- Moje skarby - wydukałam przez ściśnięte gardło, rozkładając ręce tak szeroko, by objąć je trzy równocześnie.

- Mama! - wykrzyknęła Jamorah.

Zaraz dołączyła do niej Talitha:

- Mama! Mama!

Przygarnęłam je do siebie, zaczęłam tulić, całować i śmiać się przez łzy. Nie mogłam się nadziwić, że są takie śliczne. Było mi trochę smutno, że miały dość skromne ubranka, ale wyglądały naprawdę wspaniale. Poczułam się, jakby mi nagle lat ubyło.

- Mam dla każdej z was prezent - powiedziałam, ochłonnawszy nieco.

- Jaki? - zapytały jednocześnie obie starsze, a Kiama tylko przyglądała mi się z zaciekawieniem, jakby nie mogła zrozumieć, kim jestem.

- Najpierw dostanie Kiama, bo jest najmłodsza.

Podałam jej pudełko z lalką i pomogłam rozpakować. Miała takie drobne i delikatne paluszki! Jak tylko zobaczyła lalkę, błyskawicznie wyciągnęła ją z pudełka, przytuliła i wreszcie się do mnie uśmiechnęła. Mało brakowało, a znów bym się rozpłakała, gdybym nie musiała poświęcić uwagi dwóm pozostałym.

Obie szybko rozpakowały prezenty i były z nich bardzo zadowolone. Chyba nigdy nie czułam się tak wspaniale jak teraz,

kiedy miałam je przy sobie i mogłam uszczęśliwić. Posadziłam sobie Kiamę na kolanach i objęłam Jamorah ramieniem.

- Jak wam się wiedzie, moje małe skarby. Opowiadajcie mamie o wszystkim.

Zaczęły naraz gadać jak najęte o szkole, koleżankach i swoich pokojach u przybranych rodziców.

Kiama jeszcze przez jakiś w milczeniu tuliła i głaskała lalkę, wreszcie i ona nabrała śmiałości.

- Wrócisz z nami do domu, mamo? - zapytała.

Jamorah zrobiła smutną minę, a Talitha zaczęła sobie szminować wargi.

- Mama nie może z wami wracać - odparłam. - Musi tu zostać jeszcze przez jakiś czas. Ale wiecie co? Tam, na stole, są przygotowane herbatniki i sok. Chodźcie, poczęstujecie się.

Podeszłyśmy do stolika w kącie sali i Jen nalała dziewczynkom po szklance soku.

- Masz piękne córki, Movito - powiedziała, uśmiechając się do nich.

- Dziękuję - mruknęłam i przedstawiłam je.

W tym momencie poczułam się niezwykle dumna. Były naprawdę śliczne i dobrze wychowane. Widziałam po minie Jennifer, że zrobiły na niej wrażenie, toteż pomyślałam, że choć jedna rzecz mi się w życiu udała.

Strasznie szybko nadszedł koniec widzenia. Kiedy dziesięć minut wcześniej rozległ się ostrzegawczy sygnał, serce mi się ścisnęło i pomyślałam, że nie przetrzymam wyjazdu córek. Bałam się, że zacznę histeryzować. Musiałam znaleźć jakiś sposób na zachowanie równowagi. Pomyślałam, żeby poprosić Jennifer, by po naszym pożegnaniu zaciągnęła dziewczynki do stolika pod pretekstem poczęstowania ich jeszcze raz herbatnikami.

Powiedziałam im, że bardzo je kocham, że trzymam zdjęcie każdej przy łóżku w swoim pokoju i codziennie modłę się za nie. Przyrzekłam, że niedługo znów będą mogły przyjechać w odwiedziny. I kiedy odprowadzałam je wzrokiem do wyjścia, mimo woli z całej siły ścisnęłam dłoń Jennifer. Chyba mnie rozumiała, bo szybko mnie objęła. Zaczęłam ryczeć, ledwie córki zniknęły mi z oczu, i przepłakałam prawie cały wieczór, tylko z krótkimi przerwami, kiedy przypomiinałam sobie z dumą, jaką radość sprawiły im prezenty ode mnie.

44

Maggie Rafferty

Praca ze Spencer okazała się wielką przyjemnością i źródłem wielu radosnych chwil w moim życiu. Muszę przyznać, że wcześniej celowo odcinałam się od ludzi i wyzywałam wszelkich uczuć, gdyż pozwalało mi to w spokoju wegetować z dnia na dzień. Ale Jennifer - tak błyskotliwa, pełna zapału i optymizmu, dla której nie było rzeczy niemożliwych - tchnęła we mnie nowe życie. Być może przypominała trochę mnie, gdy byłam w jej wieku. Lubiła od razu rozwiązywać wszelkie problemy, jakie napotykała na swej drodze. I mimo że była zajęta, i tak zawsze tryskała optymizmem, stanowiła świetne towarzystwo.

Uczyniła zresztą znacznie więcej. Wpłynęła nie tylko na mnie, lecz poprawiła warunki życia wszystkich kobiet przebywających w zakładzie i skonsolidowała tutejszą społeczność. Przez lata stroniłam od ludzi, ale ona zmusiła mnie, bym nawiązała współpracę z naczelnik Harding. Stopniowo się przekonałam, że byłam snobką i zdecydowanie zbyt nisko oceniałam jej inteligencję oraz pomysłowość. Gwen miała ręce związane przepisami, ale nigdy nie utraciła zawodowej pasji. Ponadto Jennifer nakłoniła mnie do zawarcia bliższej znajomości z jej grupą - Movitą Watson, Theresa LaBianco oraz Suki Conrad i jej cudownym małżeństwem. Miałyśmy tyle wspólnych spraw, że najłatwiej było je omawiać przy obiedzie. I szybko polubiłam ich towarzystwo, nie wyłączając wiecznie prawiącej morały panny LaBianco. Nie wspomnę już o niemowlęciu. Nie mogłam się doczekać wnucząt od żadnego z sy-

nów, toteż maleńka Christina obudziła we mnie najlepsze babine uczucia. Mimo reumatyzmu, dla niej znów zajęłam się robotkami szydełkowymi.

Kiedy samotnie dłużałam szydełkiem w bibliotece, czasami nachodziły mnie fale przemożnego smutku. Problem z radością polega na tym, że wraz z nią powracają wszelkie troski. Nie sposób wymienić choćby paru najważniejszych okrucieństw, jakie spotykają człowieka podczas odbywania kary więzienia. Tak wiele ich jest, że nawet nie warto próbować. Nikomu nie trzeba przypominać, jak nisko się stoczył, jeśli każdego dnia odbiera tego dowody.

Istnieje jednakże jeden szczególnie okrutny przepis, który od czasu do czasu łamie nam wszystkim serca. I nawet pod nowym zarządem zakładu nie da się go ominąć. Dotyczy on sytuacji, kiedy ukochana przyjaciółka, a oficjalnie „współwięźniarka”, wychodzi na wolność. Od chwili kiedy zatrzaśnie się za nią ostatnia więzienna krata, prawo zabrania jej jakichkolwiek dalszych kontaktów z pozostałymi Wewnątrz kobietami. Po pięciu, dziesięciu czy nawet dwudziestu latach przyjaźni, wspólnego mieszkania, przeżywania radości i trosk, wzajemnej opieki i pocieszania się, dzięki czemu stajemy się sobie bliższe niż siostry, nagle trzeba o wszystkim zapomnieć. Żadnych listów, telefonów, odwiedzin. Nie da się nawet wyrazić żalu po stracie przyjaciółki, skoro bliska osoba nadal żyje, tyle że w innym świecie. Jak powiedziałam, jest to wyraz szczególnego okrucieństwa, od którego pękają nam serca, mimo że bardzo długo twardniały od licznych smutków.

Oczywiście mam na myśli odejście panny McInnery, czyli Cher. Ciężko przeżyły je wszystkie kobiety z jej grupy, ale według mnie rozstanie było najbardziej bolesne dla panny Movity Watson. Ja nigdy nie pozwoliłam sobie na luksus tak głębokiej przyjaźni, jaka zawiązała się między nimi. Jeżeli się czegoś nie ma, nie sposób tego stracić. Teraz jednak, wobec dokonujących się przemian w zakładzie, moja silna wola zaczęła wyraźnie słabnąć i chyba zanim jeszcze zdałam sobie z tego sprawę, poczułam się tak, jakbym należała już do grupy panny Watson. Zaczęłam jadać z nimi obiady, dzielić się swoimi marzeniami i po wielu latach dobrowolnej, świadomej samotności nawiązałam z nimi bliższe kontakty. Było mi z nimi

bardzo dobrze, ale tym dotkliwiej odczuwałam ich żal po stracie ukochanej Cher. W ogóle o niej nie rozmawiały, tak jak w licznych prymitywnych plemionach nigdy się nie mówi o zmarłych, ale wyczuwało się głęboki smutek, który wywołała jej nieobecność.

Wyobraźcie sobie zatem, jak ogromna zapanowała radość, kiedy tej przebiegłej pannie Cher udało się jakoś zmylić czujność kontrolujących więzienną pocztę i przekazać wiadomość do rąk niezwykle podnieconej panny Watson. Była to zwykła pocztówka z Nowego Jorku, przedstawiająca panoramę miasta ze Statuą Wolności na pierwszym planie, zawierająca lakoniczny tekst:

Dziewczyny

Wspaniale spędzam czas. Szkoda, że was tu nie ma! Wyglądam cudownie, czuję się jeszcze lepiej, wycinam własny piękny kawałek z Wielkiego Jabłka i cieszę się każdą minutą.

Ucałowania od Damy Wolności

Panna Watson prychnęła pogardliwie na pokaz i wyśmiała tę dziwną pamiątkę, nie uszło jednak mojej uwagi, że nie tylko przy obiedzie, ale i przez cały wieczór ani na chwilę się z nią nie rozstawała. Wyjątkowo rozpoczęto rozmawiać o Cher, wszystkie spekulowały, jak jej się powodzi na wolności, i przynajmniej przez jakiś czas znów dało się odczuć jej przynależność do grupy.

To panna LaBianco podsunęła myśl, żeby kolektywnie odpowiedzieć na tę wiadomość. Oznajmiła stanowczo, że teraz, po zmianie zarządu i warunków w zakładzie, my także wyglądamy wspaniale, czujemy się bardzo dobrze, i choć nie mamy dostępu do Wielkiego Jabłka, to jednak cieszymy się z dostępu do świeżych owoców i odżywiamy się znacznie lepiej niż do tej pory. Zgodziłyśmy się wszystkie, że musimy dać znać Cher, jak miło jest teraz w więzieniu. Przyznam, że byłam zaintrygowana. Niestety, żadna nie znała obecnego adresu Cher, nie było więc mowy o faktycznym wysłaniu jej odpowiedzi.

Dopiero później panna Watson skojarzyła, że ma dostęp do akt personalnych w biurze naczelniczki, może więc zdobyć adres Cher. Jak podejrzewałam, był to jedynie dobrze mi znany

adres punktu kontaktowego osób przebywających, przynajmniej formalnie, w Upper East Side. Nadal nie znałyśmy więc aktualnego miejsca zamieszkania Cher, gdyż nie miałam żadnych wątpliwości, że nie była to ulica Wschodnia Siedemdziesiąta Trzecia. Niemniej rysowała się szansa na nawiązanie kontaktu, doszłyśmy więc do wniosku, że wbrew rygorystycznym przepisom wyślemy list do Cher.

Napisanie go powierzono mnie, jako że jestem jedyną osobą w zakładzie, która dysponuje elegancką papeterią z wytłoczonym na papierze imieniem i nazwiskiem oraz która, jeśli mogę być nieskromna, odznacza się najładniejszym charakterem pisma. Do mojego pióra Mont Blanc już od dawna nie mam atramentu, toteż musiałam skorzystać ze zwykłego taniego długopisu. List wyszedł mi dość długi, gdyż musiałam uwzględnić indywidualne gusta i smaki kobiet z grupy co do naszego, może jeszcze niezbyt świeżego, ale już nie tak zgniłego jak dawniej jabłuszka zwanego zakładem Jenningsa. Niemniej pozwolę sobie przytoczyć go w całości.

Moja najdroższa panno McInnery,

Pozdrowienia od „grupy”. Z olbrzymią radością przyjęliśmy wspaniałą wiadomość od Ciebie. Z całego serca chciałybyśmy być z Tobą. Jednakże, jak zapewne Ci doskonale wiadomo, prywatyzacja zakładu pod kilkoma względami poprawiła nasze warunki życiowe, więc clwć nie możemy być z Tobą, to pobyt tutaj nie jest już tak otępiającym doświadczeniem jak poprzednio. Każda poprosiła mnie oddzielnie o przedstawienie Ci niektórych szczegółów.

Zacznę od panny LaBianco, jako że wysłanie tego listu było jej pomysłem. Teresa ukierunkowała swoją niezwykłą smykałkę do interesów na rozwój wielu kursów szkoleniowych obejmujących wszelkie aspekty wiedzy zawodowej, od podstaw techniki pisania curriculum vitae i prowadzenia wstępnych rozmów w sprawie zatrudnienia, aż po szczegółowe wykłady z praktyki współczesnego biznesu, obsługi urzędzeń telekomunikacyjnych i pracy na komputerze, które powinny w pełni przygotować każdą słuchaczkę do powtórnego wkroczenia na zatłoczony rynek pracy. Wielka szkoda, że nie mogłaś uczestniczyć w tym wspaniałym programie szkoleniowym przed zwolnieniem, jestem pewna, że bardzo by Ci pomógł w wysiłkach znalezienia odpowiedniej pracy w Nowym Jorku. Tak czy inaczej, panna LaBianco oka-

zała się doskonałą instruktorką oraz porywającym i przekonującym zoyktadowcą. jeśli słuchaczki zgłaszają jakiegokolwiek zastrzeżenia co do skuteczności omawianych przez nią metod, często nawiązując do powszechnych kłopotóia z zatrudnieniem byłych skazanych, panna L. rozpoczyna swój słynny monolog: „Problemy? Chyba wiecie, co się o nich móioi? Problemy stwarzają tylko okazje do szukania rozwiązań! Powinnyście dobrze zapamiętać to powiedzenie". Oczywiście pod tym względem ma całkowitą rację. Znacznie lepiej jest wierzyć, że nadarza się sposobność do rozwiązywania problemów, niż tylko na nie narzekać.

To mi przypomina o pannie Conrad. Jest teraz niezwykle dumną matką zdrowej ślicznej dziewczynki o imieniu Christina. Suki także skorzystała na zmianach w zakładzie. Oprócz wymienionych wcześniej kursów szkolenia zawodowego mamy również liczne odczyty dla przyszłych matek, obejmujące także opiekę nad niemowlętami. Te spotkania są z kolei częścią zakrojonego na szeroką skalę programu poprawy opieki zdrowotnej. Mamy teraz do dyspozycji fachowy personel medyczny, dostępny dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. W uzupełnieniu zorganizowałyśmy świetny kurs z zakresu medycyny prewencyjnej, zdrowego żywienia i codziennej gimnastyki. Mamy wreszcie dostęp do skutecznych metod leczenia uzależnień.

Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że główną osobą odpowiedzialną za dokonujące się tu zmiany jest panna Spencer. Przypominam sobie, co prawda, że nie zawsze spoglądałyście na siebie przychylnym okiem, ale musisz chyba bezstronnie przyznać, iż należy jej się tytuł niestrudzonej mistrzyni spośród wszystkich przebywających tu kobiet. Nadal obmyśla, rozwija i wprowadza innowacyjne programy i usługi, których celem jest raczej resocjalizacja niż karanie. Odznacza się pomysłowością urodzonego filantropa. To naprawdę niezwykła dziewczyna.

Jak Ci wiadomo, w grupie jest jeszcze Twoja najdroższa przyjaciółka, panna Watson. Nie ośmieliłabym się przedstawić własnymi słowami jej odczuć, toteż zgodnie z zaleceniem Movity cytuję ją dosłownie: „Napisz tej zadziornej suce, żeby lepiej zawsze miała czyściutki nosek, bo inaczej będzie musiała z powrotem przywlec tu swoje żałosne dupsko!". Ufam, że za brutalną wymową tych słów potrafisz dostrzec prawdziwą miłość i poświęcenie dla Ciebie. Poza służbą w biurze naczelniczki Movita stała się motorem znaczących przemian

w zakresie usług wizytacyjnych i dobiegających końca prac nad urządzeniem specjalnych pomieszczeń dla całodobowych wizyt najbliższych rodzin, można się spodziewać, że już niedługo sama będzie mogła się nacieszyć dłuższym spotkaniem ze swoimi córkami. Panna Watson bardzo za Tobą tęskni i choć z pewnością Ci tego nie życzy, możesz być pewna, że jeśli zdarzy Ci się „przywlec z powrotem swoje żałosne dupsko” do zakładu, powita Cię z otwartymi ramionami.

Dochodzę na koniec do mego - znaczącego, acz niezbyt dużego - udziału w dokonujących się przemianach. Przygotowałam i rozprawa-dziłam, zarówno wśród personelu, jak i podopiecznych, bardzo szczegółowy „Kodeks grzeczności”. Mam nadzieję, że doczekam dnia, kiedy nie będziemy zwracały się do siebie żadnymi ksywkami ani przezwiskami. Jestem zdania, że powinnyśmy traktować się z pełnym szacunkiem, na jaki zasługujemy. Według kodeksu strażnicy powinni zwracać się do nas per „panno” lub „pani”, my zaś do nich per „oficerze” bądź też innym stosownym tytułem zgodnym ze sprawowaną funkcją. Wiele kobiet drwiło i wyśmiewało się z mojego kodeksu, ale znaczna część potraktowała go ze zrozumieniem i już teraz można obserwować właściwe maniery i odpowiednie zachowanie. Panna LaBianco zaproponowała, bym poprowadziła cykl wykładów na ten temat, i chyba się zgodzę.

Tak więc, panno Wolność, jesteśmy teraz znacznie mniej zmęczoną, mniej biedną i już nie tak przygnębianą gromadką, jednak wciąż tak samo stęsknioną za wolnością.

Serdecznie oddana

Margaret Rafferty

Spodobało mi się zwłaszcza zakończenie, choć gdy przed przekazaniem listu synowi zapoznałam z jego treścią pannę Watson, zasugerowała konieczność dołączenia podręcznego słownika, w którym panna McInnery mogłaby znaleźć wyjaśnienie obcych jej słów. Prawdę mówiąc, powiedziała:

- Prosiłyśmy, żebyś napisała do tej zdziiry po angielsku. Przecież ona nie zna żadnego obcego języka.

Podziękowałam jej za tę trafną obserwację. Niemniej, ponieważ przez większość życia byłam związana z edukacją, zawsze wysoko cenię wszelkie starania o poszerzenie słownictwa odbiorcy. Jak łatwo można wywnioskować, a do czego mnie samej trudno jest się przyznać, zmiany w zakładzie dodały mi

bardzo dużo wigoru. Codziennie budzę się wreszcie wolna od marazmu i przygnębienia. Chyba nie muszę dodawać, że wyrok dożywocia dla nikogo nie oznacza przecież zakończenia dzieła jego życia.

A wracając do panny Watson, wątpię, czy kiedykolwiek będę dla niej tak serdeczną przyjaciółką jak panna McInnery. Niemniej, pomijając sprawę odmiennego koloru skóry, pochodzenia, słownictwa i tak dalej, oraz biorąc pod uwagę identyczny charakter naszego odosobnienia, nigdy nie będziemy miały okazji do rozstania. Muszę przyznać całkiem szczerze, że choć jestem od niej znacznie starsza, za nic nie chciałabym się z nią rozstawać. Ufam, że gdy nadejdzie dzień naszego pożegnania, w pełni zrozumie i wybaczy mi mój egoistyczny stosunek do niej. Bo stała mi się bliższa od przyjaciółki.

45

Jennifer Spencer

- Chyba wiesz, co mówią na temat dobrych rad, prawda? - zapytała Theresa. - Jeśli potrafisz odróżnić dobrą radę od złej, to znaczy, że w ogóle nie potrzebujesz żadnych rad.

Odchyliła się do tyłu i powiodła dookoła dumnym wzrokiem.

- No i cóż to za rada? - zdziwiła się Jennifer. - Gdybym rzeczywiście nie potrzebowała rady, wcale bym cię o nią nie prosiła.

- Właśnie to ci próbuję powiedzieć. Chyba wszystkie więźniarki wypytałaś już na temat przesłuchań w sprawie zwolnienia warunkowego. I co? Wszystkie poradziły ci to samo?

- Nie. Wręcz przeciwnie. Wygląda na to, że każda ma zupełnie inną receptę na zachowanie się podczas przesłuchania. Niektóre twierdzą, że trzeba być małomówną i wyrażać żal za winy, inne zaś, że należy być pewną siebie i mówić śmiało, by w ten sposób udowodnić, że zasługuje się na rehabilitację. A Flora oznajmiła, że powinnam siedzieć cicho, skromnie i tylko odpowiadać na pytania. - Jennifer urwała na chwilę, gdyż była coraz bardziej zdenerwowana. Gdyby dobrze wypadła przed komisją, za kilka tygodni mogłaby wyjść na wolność. Większość więźniarek powtarzała jej jednak, że komisja niechętnie zgodzi się na warunek już po pierwszym przesłuchaniu. I to nie dawało jej spokoju. - Zastanawia mnie ciągle, że skoro wszystkie tak dużo wiedzą na ten temat, to dlaczego same jeszcze nie uzyskały zwolnienia. Sama już nie wiem, co o tym myśleć. Dlatego proszę cię o radę.

Popatrzyła na Theresę, której wcale nie uważała za idiotkę, choć po wielu jej wypowiedziach można by sądzić inaczej.

- Przecież właśnie ci jej udzieliłam - odparła LaBianco z uśmiechem. - Musisz ocenić, które z tamtych rad były dobre, a które złe, wtedy nie będziesz już potrzebowała niczyjej rady.

- Aż nie mogę uwierzyć, że naprawdę dorobiłaś się majątku na takim gadaniu - mruknęła zdesperowana Spencer. - Przecież nic z tego nie wynika.

- W porządku. Jeśli bardzo chcesz, udzielę ci rady. A brzmi ona: Co ma wisieć, nie utonie. Każdy z nas ma własne przeznaczenie.

- To także mi niewiele mówi. - Jennifer westchnęła ciężko.

- W takim razie spróbuję z innej beczki. - Theresa pospiesznie wetknęła na miejsce trzymany w dłoni kawałek puzzli. - „Tylko przez wybaczenie można uzyskać wybaczenie”. To słowa świętego Franciszka i od nikogo nie usłyszysz lepszej rady niż ta.

Jennifer nie odpowiedziała. Po raz pierwszy głęboko zamyśliła się nad słowami koleżanki.

- To wspaniała rada, Thereso - rzuciła w końcu. - Tylko niby komu miałabym wpierv wybaczyć?

- A na kogo jesteś najbardziej wkurzona?

Jennifer popatrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami. Na kogo była najbardziej wściekła? Na Toma? Nie, chyba już nie. To prawda, że nienawidziła go z całego serca, gardziła wszystkim, co sobą reprezentował, i bardzo żałowała, że ich drogi się w ogóle zeszyły. Ale nie była już na niego wściekła. Nie miała ostatnio czasu, żeby się wściekać na Toma. Więc może na Donald? Z nim było tak samo. Ten żalosny sukinsyn w końcu musiał dostać za swoje i mogła tylko żałować, że jej przy tym nie będzie. Jak ostatnia idiotka dała się wykorzystać Michaelsovi i jeśli na kogokolwiek była wściekła, to głównie na siebie. Wkurzało ją, że uczyniła swoim idolem potwora, pokochała słabeusza i pozwoliła im obu ściągnąć sobie na głowę wszystko, co najgorsze. Wściekała ją własna chciwość, głupota i naiwność.

- Na samą siebie - odparła po dłuższej chwili. - Najbardziej jestem wkurzona na siebie.

Theresa uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Moja rada wciąż ma zastosowanie. „Tylko przez wybaczenie można uzyskać wybaczenie”. Podczas przesłuchania powiedz najpierw komisji o wszystkim, czego żałujesz, potem jak strasznie się starałaś, żeby samej sobie wybaczyć, a na końcu jak bardzo będziesz wdzięczna, jeśli oni tobie również wybaczą. - Na chwilę zawiesiła głos, po czym zapytała: - Więcej jak? Jesteś gotowa wybaczyć samej sobie, skarbie?

- Tak - odparła bez wahania. - Wydaje mi się, że jestem.

- W takim razie powinnaś uzyskać wybaczenie - podsumowała Theresa, po czym jak ksiądz z ambony pobłogosławiła Jennifer znakiem krzyża. - Zatem idź, moje dziecko, i nie grzesz więcej.

- Teraz już rozumiem, za co ci ludzie płacili. - Spencer zachichotała. - Jesteś w tym naprawdę dobra.

- Chyba pamiętasz, co się mówi na temat skromności, правда? Skromność to sztuka pozwalania innym ludziom na samodzielne odkrywanie, jacy jesteście wspaniali. Teraz już wiesz?

- Zapamiętam to sobie - odparła Jennifer. - Jesteś naprawdę wspaniała.

- Ty też, skarbie. Ty też.

Tego popołudnia, kiedy nadszedł wreszcie termin jej przesłuchania przed komisją, bez specjalnego zaskoczenia doszła do wniosku, że Theresa miała całkowitą rację. Przede wszystkim musiała sama sobie wybaczyć.

Uśmiechała się, idąc korytarzem. Nie mogła uwierzyć, że zmierza na niezwykle ważne spotkanie, nie spędziwszy wcześniej kilku godzin na dobieraniu sobie odpowiedniego stroju. Jeszcze nigdy dotąd nie stawała przed żadną komisją, nie odwiedzwszy przedtem fryzjera i kosmetyczki. Ale tym razem po prostu nie mogła się przygotować, nie miała nawet czasu przeciwzyć swojego wystąpienia. Jeszcze dwa lata temu za nic by sobie nie wybaczyła braku przygotowania, ale dzisiaj musiała sobie wybaczyć nawet to, że dotychczas tak starannie się szykowała. Ta odmieniona Jennifer Spencer, która miała teraz stanąć przed komisją zwolnień warunkowych, wybaczyła sobie także to, że była sobą. Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, iż Theresa nie myliła się też co do tego, że inni również zechcą jej wybaczyć.

- Chyba jeszcze nigdy dotąd nie wystawiłam nikomu tak serdecznej opinii przy staraniach o zwolnienie warunkowe - powiedziała Gwen Harding, kiedy spotkały się przed drzwiami sali posiedzeń. - I uczyniłam to z czystym sumieniem, Jennifer - dodała, ocierając łzę z kącika oka. - Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle bym cię stąd nie wypuściła. Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez ciebie.

Spencer nie zdążyła odpowiedzieć. Woźny sądowy otworzył drzwi i poprosił je o „stawienie się przed komisją zwolnień warunkowych hrabstwa Westchester”. Naczelniczka chwyciła ją za rękę, mocno uściśnęła i pociągając nosem, przekazała szeptem:

- Powodzenia, Jenny. Powodzenia.

Za stołem siedziało pięć osób, trzech mężczyzn i dwie kobiety. Wszyscy byli ubrani w eleganckie, jasne, letnie stroje i mieli strasznie poważne miny. Przed każdym członkiem komisji piętrzył się spory stos dokumentów. Jedyne starsza z kobiet niewyraźnie uśmiechnęła się do niej zachęcająco, druga obrzuciła ją surowym spojrzeniem i powiedziała:

- Proszę usiąść, panno Spencer.

Trzej mężczyźni jak na komendę odchrząknęli i jeden z nich zapytał:

- Jest pani gotowa?

- Tak, jestem - odpowiedziała półgłosem, zajmując miejsce na krześle pośrodku sali. ^

Przesłuchanie zaczęło się zgodnie z tym, czego oczekiwała na podstawie relacji innych kobiet. Musiała wysłuchać bolesnej relacji o swoim przestępstwie, aresztowaniu, procesie sądowym i wyroku, po czym padło pytanie, czy wszystko, co usłyszała, jest zgodne z prawdą.

- Tak - odparła, skinąwszy głową.

Następnie został odczytany raport z przebiegu odbycia kary, obejmujący także służbową notatkę o przyczynach jej dwudniowego pobytu w karcerze oraz kilka donosów napisanych przez Byrda. Po raz drugi padło to samo pytanie i Jennifer znów przytaknęła. W ustach jej zaschło, a język stawał kołkiem w gardle; mogła myśleć tylko o wodzie stojącej w karafce na stole.

- Przepraszam, czy mogłabym dostać coś do picia? - zapytała.

Najmłodszy mężczyzna wstał, nalał wody do szklanki i podał jej. Podziękowała, wypita połowę i czekała na ciąg dalszy.

- Naczelnik Harding wystawiła pani nienaganną opinię, panno Spencer - odezwała się starsza kobieta. - Zapewnia w niej, że była pani wyjątkowo chętnym do współpracy gościem zakładu i że jej zdaniem odpokutowała pani za swoje przewiny i zasługuje na rehabilitację. Czy zgodzi się pani z tym twierdzeniem?

- Tak, proszę pani. Zgadza się.

- Chciałby pani coś dodać od siebie? - wtrąciła druga kobieta.

Jennifer zawahała się, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie słyszała wystąpienia Harding i nie miała pojęcia, czy wymaga ono jakiegoś uzupełnienia.

- Ja... - zająknęła się - ...niestety, nie wiem, co Gwen... co naczelnik Harding państwu powiedziała. Dlatego trudno mi ocenić, czy mogłabym coś dodać.

- A co chciałyby nam pani powiedzieć od siebie? - zapytała starsza kobieta.

Spencer zamyśliła się przez chwilę, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Wiedziała tylko, że bardzo jej zależy na zwolnieniu. I po chwili odparła wprost:

- Bardzo bym chciała uzyskać zwolnienie warunkowe, proszę pani. To chyba wszystko, co mogę powiedzieć od siebie.

Kobieta i siedzący obok niej młody mężczyzna zachichotali. Przyszła jego kolej, toteż uśmiechnął się lekko i zapytał:

- Na jakiej podstawie sądzi pani, że zasługuje na zwolnienie warunkowe?

- Ponieważ tutaj nie zostało mi już nic do zrobienia - odparła Jennifer bez namysłu.

Najwyraźniej zaskoczyła komisję tym stwierdzeniem. Jeden ze starszych mężczyzn nalał sobie wody do szklanki, drugi zaczął wertować papiery. Starsza kobieta z uśmiechem odchyliła się na oparcie krzesła, a młodsza pochyliła się niżej nad stołem i znów utkwiała w Jennifer świdrujące spojrzenie. Tym razem głos zabrał wciąż zasepiony mężczyzna w średnim wieku, który przeglądał dokumenty:

- Czyżby w pani przekonaniu, panno Spencer, znalazła się pani w tym zakładzie z jakąś misją do spełnienia?

- Słucham? - zapytała zdziwiona, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że los zetknął ją z sobowtórem Donalda Michaela. Facet odznaczał się takim samym przekonaniem o własnej wyższości i nieomyślności oraz lekceważeniem innych.

- Czy wie pani, w jakim celu tu panią skierowano? - rzekł z naciskiem.

- Tak, oczywiście, proszę pana. Przed chwilą zostały odczytane moje akta i ustaliliśmy wspólnie, że są zgodne z prawdą. Nie ma żadnych wątpliwości co do przyczyn mojego pobytu tutaj. W moim przekonaniu celem dzisiejszego przesłuchania miało być ustalenie, czy nadeszła już dla mnie pora wyjścia na wolność.

- Panno Spencer - odezwała się starsza kobieta. - Proszę nie odcinać sobie drogi do wolności takimi buńczucznymi odpowiedziami.

- O właśnie, młoda damo - zawtórował jej kolega. - To naszym obowiązkiem jest ustalenie, czy swoim zachowaniem zasłużyła pani na zwolnienie warunkowe. Zatem niestosowne reakcje w żadnej mierze nie leżą w pani interesie. Zgadza się pani?

- Tak. Zgadzam się w zupełności.

- Czy zatem mogłaby pani udzielić odpowiedzi na moje pytanie?

- Proszę wybaczyć, ale już nie pamiętam, o co pan pytał - wycodziła.

Klon Donalda Michaela i posępna młoda kobieta prychnęli z pogardą, a sympatyczna starsza pani tylko z niesmakiem pokręciła głową. Za to najstarszy mężczyzna mało nie wybuchnął śmiechem, a najmłodszy, szeroko uśmiechnięty, powtórzył:

- Na jakiej podstawie sądzi pani, że zasługuje na zwolnienie warunkowe? Dlaczego, pani zdaniem, powinniśmy wypuścić panią z więzienia?

- To nie jest więzienie, tylko zakład karny - syknęła młodsza z kobiet.

Tym razem to Jennifer mimowolnie zachichotała.

- Coś panią rozbawiło, panno Spencer? - zapytała wiedźma.

- Proszę mi wybaczyć, ale powinni państwo zrozumieć, że nie ma najmniejszego znaczenia, jak nazwiemy to miejsce. My nazywamy je więzieniem, ale także pudłem albo paką. Niech będzie nawet zakład karny. Różnica jest chyba tej samej natury,

co wiara w skuteczność kary i wiara w skuteczność resocjalizacji. - Zamilkła, obawiając się, że zostanie znów skarcona, ale wyglądało na to, że przyciągnęła ich uwagę. Ciągnęła więc: - Dobrze wiem, że kiedy jest się tutaj, Wewnątrz, liczy się wyłącznie różnica między poczuciem odrzucenia jak niepotrzebny śmieć a poczuciem odstawienia do recyklingu, w wyniku którego zostanie się przetworzonym w coś, co będzie przypominać praworządnego i pożytecznego członka społeczeństwa. Stąd niezależnie od tego, jak ludzie z Zewnątrz to nazwą, dla nas, zamkniętych Wewnątrz, i tak wiąże się to z uczuciem beznadziei, i to zarówno dla wszystkich skazanych, jak i naczelniczki oraz personelu zakładu.

- Dlaczego beznadziei, panno Spencer? - zapytał starszy mężczyzna.

- Bo resocjalizacja jest piekielnie trudnym zadaniem, jeśli nie dysponuje się prawie żadnymi narzędziami do jej prowadzenia. Nie da się nikogo resocjalizować w budynku, który służy jedynie wymierzaniu kary pozbawienia wolności. Dlatego to państwo muszą zdecydować, czy mamy być tylko karane, czy resocjalizowane, czy też jedno i drugie. Ale trzeba to uczynić zupełnie szczerze.

Arogancki facet znowu prychnął z pogardą.

- Bardzo dziękujemy za tę radę, panno Spencer - odparł kwaśno. - Jestem pewien, że wszyscy członkowie komisji wezmą sobie do serca pani mądre słowa dotyczące szczerości.

Jego słowa aż ociekały zjadliwą ironią.

- Chyba wiedzą państwo, co się mówi na temat szczerości, prawda? - powiedziała szybko Jennifer. - Według starego porzekadła szczerść otwiera każde drzwi. A stare porzekadła nie kłamia. My, w zakładzie Jenningsa, wysoko cenimy sobie szczerść. I mogę powiedzieć absolutnie szczerze, że byłam winna tego, za co mnie sądzono. I równie szczerze muszę przyznać, że zostałam surowo ukarana. Dlatego tak samo szczerze mówię teraz, że zasługuję na rehabilitację. Należę do tych laleczek, które po zrzuceniu więziennego pasiaka już nigdy nie włożą garsonki od Armaniego. - Ogarnął ją taki zapał, że podświadomie wstała z krzesła, nie zwracając uwagi na porozumiewawcze spojrzenia członków komisji. - Być może państwo nie wiedzą, że zamiast jednej garsonki Armaniego można by

wypłacić jedną miesięczną pensję pielęgniarce w tutejszym zakładzie. Właśnie dlatego uważam, że zasługuję na zwolnienie warunkowe. Bo zostałam tu przywieziona w takiej garsonce i myślałam, że dzięki niej jestem nietykalna. Myliłam się. Teraz za wszystkie stroje od Armaniego na świecie wolałabym opłacić fachową obsadę tutejszego ambulatorium. Zamieniłabym całą jedwabną pościel Kirmana, jaką udałoby mi się znaleźć, na specjalistyczne programy edukacyjne dla więźniarek. Tylko za pieniądze, które wydawałam wcześniej na buty, mogłabym dobrze i zdrowo wyżywić skazane z bloku C. To dlatego uważam, że zasługuję na zwolnienie warunkowe. Bo teraz już znam dobrze różnicę między dobrem a złem, między łaluniami w garsonkach od Armaniego, które potrafią sporządzać złożone bilanse finansowe, a prawdziwymi matkami, które chciałyby tylko poczytać swoim dzieciom bajki. Nie, proszę pana, nie przysłano mnie tu z żadną misją. Zostałam osadzona za karę. Ale dopisało mi to szczęście, że prawdziwe misjonarki już tu na mnie czekały.

Umilkła i ciężko usiadła na krześle. Nie mogła uwierzyć, że straciła nad sobą panowanie. Ostatecznie przekreśliła swoją szansę wcześniejszego wyjścia na wolność. Zakryła dłońmi twarz i zaczęła szlochać. Theresa będzie mną rozczarowana, pomyślała.

Nagle rozległy się oklaski, najpierw ciche i nieśmiałe, potem coraz głośniejsze i rytmiczne. Przyłączały się do nich kolejne osoby i wkrótce odpowiedział jej aplauz. Zdobyła się na odwagę, rozchyliła lekko palce i zerknęła między nimi w kierunku stołu. Najmłodszy mężczyzna nagradzał ją rzęsiстыми brawami na stojąco! Po chwili wstała również starsza kobieta i zaraz dołączył do niej siwy dżentelmen. Bili jej brawo i uśmiechali się szeroko. Nawet ponura wiedźma się rozchmurzyła. Tylko sobowtór Donalda wciąż sprawiał wrażenie skwaszonego, ani trochę się nie cieszył. Ze złością zgarnął leżące przed nim papiery, wrzucił je do aktówki i zamknął ją z trzaskiem. Wreszcie skrzywiony spojrzął na Jennifer. Ale jej już to nie obchodziło. I tak nie mogła zadowoląć wszystkich. Bo przecież powszechnie wiadomo, co się mówi na temat dogodzenia wszystkim, prawda?

Theresa jednak miała być z czego dumna.

46

Gwen Harding

Gwendolyn Harding siedziała w swoim gabinecie, patrzyła przez okno na błękitne bezchmurne niebo i uśmiechała się do swoich myśli. Dowiedziała się właśnie, że oficer Roger Camry podarował Suki Conrad pierścionek zaręczynowy.

Może nie było to zbyt mądre, ale po części odczuwała matczyną dumę. Nie miała dzieci, ale jako naczelnik więzienia czuła się odpowiedzialna za swoje podopieczne. Dlatego Suki traktowała niemal jak własną córkę. W końcu dobrze się stało, nie było czego żałować.

Nie dawała jej tylko spokoju świadomość, że dziewczyna znalazła się w więzieniu z powodu kłopotów, w jakie została wciągnięta przez mężczyznę. W pełni zasłużyła sobie na odmianę losu i wyglądało na to, że ta chwila właśnie nadeszła.

- Camry zachował się po dżentelmeńsku - odezwała się do Movity, która siedziała przy biurze w sekretariacie.

- Na nieszczęście Suki urodziła dziecko tego łobuza, Byrda.

- Daj spokój, Movita. Wiem, że sytuacja jest skomplikowana, ale Byrd już nie pracuje, a Suki naprawdę kocha swoje małżeństwo.

- Wiem. To jednak nie zmienia postaci rzeczy.

Harding popatrzyła na nią z zatroskaną miną.

- Mam nadzieję, że Camry naprawdę ją kocha. Nie chciałabym, żeby za niego wychodziła, jeśli jest inaczej.

Watson wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Tym na pewno nie musi się pani martwić, naczelniczko. To porządny facet.

Harding przysunęła sobie akta Suki Conrad i zaczęła je przeglądać. Dziewczyna miała dopiero dwadzieścia cztery lata. No i urodziła już drugie dziecko. Nie tylko bardzo się o nie troszczyła, ale wręcz sprawiała wrażenie zauroczonej córeczką. Dlatego Gwen nie podjęła żadnych kroków w związku z jej „wykroczeniem”. Skoro wcześniej była na tyle ślepa, że nic nie wiedziała o gwałcie i ciąży, nie mogła teraz postąpić inaczej, jak przymknąć oczy na ten niewinny związek ze strażnikiem. Nawet dobrze się stało, że w zakładzie Jenningsa doszło wreszcie do jakiegoś szczęśliwego zdarzenia. Poza tym miłość to tak potężna siła, że nawet naczelnik więzienia nie ma nad nią żadnej kontroli.

Obecnie Harding bardziej interesowała się ślubem i zapewnieniem szczęścia młodej parze. W głębi serca była przekonana, że Movita myśli tak samo jak ona. We dwie, przy pomocy reszty grupy, mogły wyprawić Suki naprawdę piękny ślub, nawet jeśli musiał się odbyć w tajemnicy i wewnątrz więziennych murów. Uważała jednak, że powinna wpierw porozmawiać z Camrym, dlatego wezwała go do siebie. Wszedł do gabinetu nieśmiało i stanął ze wstydliwie spuszczoną głową.

- Chyba nie masz się czego wstydzić, Roger - zaczęła. - Wkrótce będziesz miał żonę i córkę.

Zarumienił się wyraźnie, a Harding doszła do wniosku, że powinien być dobrym mężem dla Suki. Może nie zaliczał się do dżentelmenów, ale z pewnością nie był też łajdakiem.

- Dobra, przejdźmy do rzeczy - powiedziała, zastanawiając się przez chwilę, czy nie jest równie łatwowierny jak Suki. - Będziesz potrzebował drużby.

Rozchmurzył się natychmiast.

- Będzie nim mój najlepszy przyjaciel, Barry White.

- Dobrze.

W tej chwili do gabinetu weszła Suki. Gwen skwapliwie wykorzystała okazję, żeby wziąć Christine na ręce.

- Wyprawimy twojej mamusi piękny ślub - odezwała się do maleństwa, które przez chwilę spoglądało na nią ze zdziwioną miną i nagle zaczęło płakać.

- Chciałabym zaprosić swoją rodzinę - zaczęła Conrad, biorąc od niej z powrotem dziecko. - Czy to będzie możliwe? Ilu osobom pozwoli pani przyjechać?

- Przygotuj listę gości i daj mi ją. Postaram się zaprosić tylu, ilu tylko będę mogła. Oczywiście przyjedzie też twoja matka?

Suki przytaknęła ruchem głowy.

- Oczywiście. Mówiła nawet, że chce przyjechać dzień wcześniej.

- Zastanawiałam się, co mogłabyś na siebie włożyć.

Christina znowu zaczęła płakać, więc Suki rozpięła bluzkę, żeby przystawić ją do piersi.

- Dwie moje kuzynki w tym roku wychodziły za mąż i każda miała swoją suknię. Przyślą mi zdjęcia, żebym którąś z nich wybrała.

- Będziesz miała prawdziwą suknię ślubną?

Conrad obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem.

- Oczywiście. Nie wyobrażam sobie, bym mogła pójść do ślubu w czym innym.

- Jasne - mruknęła Gwen, zaskoczona, że niektóre sprawy dzieją się za jej plecami. - Ściągniemy sędziego pokoju, który poprowadzi ceremonię. Czy to ci odpowiada?

- Tak, byle tylko nie był gruby i stosownie się ubrał.

Harding zmarszczyła brwi.

- Nie lubisz grubych?

- Kiedy moja siostra Doreen trzy lata temu brała ślub, udzielał go facet tak spasiony, że wszyscy się z niego śmiali. Zepsuł całą uroczystość. - Spojrzała na Gwen, lekko kołyszając Christinę w ramionach. - Doreen miała wspaniałą suknię. Satynową. Ale pożółkła przy szwach i już nie da się jej włożyć do ślubu.

Harding popatrzyła w leżące przed nią akta. Wiedziała, że ojciec Suki nie żyje, a jej brat jest o kilka lat starszy od niej. I coś jej podpowiadało, żeby w ogóle o nim nie wspominać. Ani razu nie przyjechał na widzenie.

- Myślałaś już o tym, kto mógłby cię poprowadzić do ślubu?

Conrad posmutniała i spuściła głowę.

- Myślałam, kto powinien to zrobić. Poprosiłabym Bobby'ego, ale on na pewno się nie zgodzi.

- Dlaczego?

- Bo mnie nie lubi.

Chyba po raz pierwszy Suki powiedziała coś negatywnego

o swojej rodzinie. Jakby chcąc ukryć zmieszanie, zaczęła energiczniej kołysać Christinę na rękach.

- Może lepiej wracaj z nią do celi i połóż ją w kołysce - zaproponowała Gwen. - Obu będzie wam wygodniej.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze. - Delikatnie odstawiła małą od piersi, a dziewczynka zabawnie zmarszczyła brwi i pisnęła. - W porządku, dość tych dąsów. - Pochyliła się i cmoknęła Christinę w puciołowaty policzek. - Moje kochanie.

Uroczę maleństwo, pomyślała Gwen. I w tym momencie podjęła decyzję, że sama poprowadzi pannę młodą do ołtarza. Nie wypadało zgłosić się na ochotnika, postanowiła więc powiedzieć Movicie, żeby jakoś podsunęła Conrad tę myśl. Obawiała się tylko, że Suki w końcu znajdzie kogoś z rodziny, jakiegoś wujka bądź dalszego krewnego, a Gwen bardzo zależało, by to jej przypadła w udziale ta rola.

Kiedy naczelniczka otrzymała oficjalną zgodę na ślub Rogera Camry'ego z Suki Conrad, grupa postanowiła jedno-myślnie wyprawić razem z uroczystością weselną drobne „wiosenne” przyjęcie pożegnalne dla Jennifer. Oczywiście, także w ściślejszej tajemnicy. Harding nie sprzeciwiła się i przygotowania ruszyły pełną parą. Trzeba było zapewnić gościom nie tylko odpowiednie stroje, ale i prezenty, bo każda chciała ofiarować Suki coś wyjątkowego. To zadanie, trudne na Ze-wnątrz, tutaj było wielokrotnie trudniejsze.

Grupa jednak prześcigała się nawzajem w pomysłach i wreszcie Movita z Jen przyszły do naczelniczki z gotowym planem.

- Chciałybyśmy zorganizować uroczystość w sali odwiedzin.

- Dlaczego nie w bufecie, gdzie odbywał się pokaz mody? - zdziwiła się Harding.

- Skoro nie możemy przyjąć gości z zewnątrz, nie będziemy potrzebowały aż tyle miejsca - odparła Jennifer. - Wszyscy wiemy, jak bardzo Suki chciałaby ujrzeć najbliższą rodzinę na ślubie, lecz jeśli to niemożliwe, być może za jakiś czas będą mogli z Rogerem wyprawić prawdziwe wesele.

Ostatecznie stanęło jednak na tym, że uroczystość wypadnie lepiej w bufecie.

Theresa, Flora, Wiosenka, Maggie i Movita zajęły się dekora-

cją sali. Wkraczając do niej, Gwen z uśmiechem wspominała niedawny pokaz mody, który tak bardzo podobał się wszystkim więźniarkom. Wiedziała jednak, że tego wieczoru zapanują tu bardzo mieszane uczucia. Z radością przyjmowała fakt, że podczas ślubu będzie grała rolę matki dla maleńkiej Christiny, ale przecież wcześniej była już wychowawczynią pomagającą skazanym w zorganizowaniu uroczystości, później zaś miała się przedzierać w opiekunkę kojącą smutek podopiecznych po odejściu Jennifer Spencer.

Wiosenka zerwała trochę kwiatów ze swojej nowej rabaty pod folią i udekorowała nimi mały ołtarzyk zrobiony ze stolika o żelaznym blacie położonego na drugim pod ścianą pomieszczenia. A Movita przyniosła z magazynu belę materiału na poszewki i rozwinęła go na podłodze, tworząc „czerwony chodnik” dla młodej pary.

Wobec niemożności wpuszczenia do zakładu gości weselnych Gwen zaproponowała, by świętę utworzyć ze strażników kończących służbę na drugiej zmianie, i Suki się zgodziła. Była zresztą bardzo przejęta i uszczęśliwiona, że w ogóle pozwolono jej wziąć ślub.

Kiedy sędzia pokoju przyjął od nich małżeńską przysięgę, Roger nieśmiało i delikatnie pocałował ją w usta. Z pewnością uczyniłby to bardziej żarliwie, gdyby nie okoliczności i dzieciątki obwarowań, jakie postawiła naczelniczka wobec tej drobnej, potajemnej uroczystości.

Potem, gdy więźniarki ustawiły się w długiej kolejce, żeby uściskać i pogratulować Suki, Gwen przekazała mu maleńką Christinę.

- Idź teraz do tatusia, maleńka - powiedziała, a niemowlę aż zagaworzyło do niego, jakby go już świetnie znało.

Nadeszła w końcu pora pożegnania Jennifer, która nazajutrz miała warunkowo opuścić więzienie. Wszystkie obecne w bufecie darzyły ją olbrzymim szacunkiem za to, że zdołała przeprowadzić zmiany w zakładzie, dzięki którym łatwiej było im żyć.

Movita, Maggie, Theresa i Suki usiadły przy stole, czekając niecierpliwie, aż Jennifer skończy rozmowę z Rogerem trzymającym na rękach Christinę. Kiedy wreszcie do nich dołączyła, podziękowały jej, ale dziwnie smutno i oficjalnie. Miały bardzo mieszane uczucia. Zazdrościły jej i podziwiały ją, już za-

czynały tęsknić, ale zarazem niezwykle się cieszyły z odzyskania przez nią wolności.

- O Boże, dziewczyno! - powiedziała Movita, trącąc ją łokciem. - Nawet nie masz pojęcia, jak będzie mi cię brakowało!

- Lepiej się jeszcze nie żegnajmy - wtrąciła Suki ze łzami w oczach. - Zaczekajmy, aż przyjdzie na to czas.

- W porządku. Najpierw coś zjemy. Nie uwierzycie, co przygotowałyśmy na cześć państwa młodych i naszej zwalnianej.

- Chodźcie, siadajcie - zaprosiła Maggie. - Zaraz przyniesiemy wszystko z Theresa.

Na stole leżało czyste papierowe prześcieradło z kolorowymi wzorkami namalowanymi kredką.

- Wspaniały obrus, Movita - powiedziała Jennifer. - Widzę, że szykujesz się do podjęcia jeszcze jednej działalności.

- Na twoim miejscu bardzo bym uważała - odezwała się Harding - bo Movita jeszcze gotowa odkupić od ciebie cały zakład.

Watson zaśmiała się w głos.

- Przynajmniej mogłabym wtedy sama wyrzucić się z pracy!

Spencer wybuchnęła tak spontanicznym śmiechem, że aż uderzyła dłonią w stół. Gwen dostrzegała w jej oczach radosne błyski, które przypominały pierwsze rozbłyski żaru przed erupcją uspiętego wulkanu. Jennifer była tak podniecona perspektywą odzyskania wolności, że zachowywała się jak po większej dawce alkoholu.

Maggie i Theresa przyniosły z kuchni duże tace, na których stały miseczki przykryte talerzykami.

- Proszę bardzo! Spaghetti z sosem! - wykrzyknęła Raffer-ty. - I co wy na to?

- Nasze ulubione danie! - zawołały jednocześnie Suki i Jennifer.

Posiłek zakłóciło im dobijanie się do zamkniętych drzwi bufetu. Natychmiast zrodziły się obawy, że będą musiały przerwać miłą uroczystość, ale naczelniczka, która poszła otworzyć, odwróciła się uśmiechnięta, trzymając tacę zastawioną kubeczkami.

- Żeby łatwiej wam było przełknąć tort weselny! - zawołała Frances, wyłaniając się zza jej pleców. - Zdawało mi się, że ktoś tu zamawiał dostawę lodu.

Przy stole znów rozległy się śmiechy. Harding postawiła tacę na środku i powiedziała.

- Wypijmy!

Wszyscy sięgnęli po naczynia. Wyjątkowo nie było kłótni co do wyboru napojów, gdyż we wszystkich kubeczkach był taki sam, zielony, i grzechotały w nim duże kostki lodu. Po pierwszym toaście zapanowała chwila ciszy.

- Szkoda, że nie wiesz, gdzie po wyjściu szukać Cher. Mogłabyś jej opowiedzieć, jak nam się tu teraz powodzi - mruknęła Movita.

Zrobiło się jeszcze smutniej, kobiety ukradkiem ocierały łzy. Wreszcie Theresa powiedziała przez zaciśnięte gardło:

- Jedzcie, bo wystygnie.

- Zaraz. Mamy coś jeszcze.

Watson wstała i poszła do kuchni. Wróciła z dużym dwuwarstwowym tortem. Na wierzchu były ułożone pamiątkowe podpisy całej grupy, wycięte z kolorowych taflí zastygłej żelatyny.

- Spójrz! Figurki młodej pary! - zawołała Suki do Rogera.

- Zajrzyjcie jeszcze na spód - rzekła Movita, przechylając tort i ukazując wszystkim napis: „Powodzenia, Jen”.

Gwen odchrząknęła, uniosła plastikowy kubeczek i wzniosła toast:

- Za przyszłość!

Wszystkie stuknęły się naczyniami.

47

Jennifer Spencer

Po odsiedzeniu prawie roku w zakładzie karnym Jenningsa Spencer mogła wreszcie warunkowo odzyskać wolność. Ale chyba tak samo bała się teraz, jak przedtem, gdy była do niego przyjmowana.

Czekała zdenerwowana na załatwienie wszelkich formalności, wspominając tamten pierwszy dzień za kratami. Tak bardzo była wtedy pewna siebie, tak arogancka i przeświadczona, że wszystko jest pod kontrolą. Doskonale wiedziała, a raczej tylko jej się wydawało, że doskonale wie, kim jest naprawdę. Nie miała jednak najmniejszego pojęcia, czym jest więzienie, a tym bardziej nie podejrzewała, jak pobyt za kratami na nią wpłynie. Teraz, jak na ironię, świetnie znała życie więzienne, za to niezbyt wiedziała, kim jest. Nie potrafiła się odnaleźć, nie umiała przewidzieć, co życie na Zewnątrz może jej przynieść. Pewna była tylko tego, że się zmieniła, podobnie jak zmienił się zakład Jenningsa. Stał się znacznie przyjemniejszy, więc Jennifer chciała wierzyć, że i ona zmieniła się na lepsze. To nic, że była teraz osobą karaną; w końcu zakonnice w szkole przyklasztornej zawsze jej powtarzały, że tak skończy.

Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, jak precyzyjnie odmierzają kary szkolnego karceru za każde przewinienie i odstępstwo od surowych bizantyjskich zasad. A po odbyciu upokarzającej kary zawsze słyszało się od nich: „Zostanie to na zawsze zapisane w twoich aktach!”. Aż do tej pory nawet przez chwilę nie wierzyła, że takie akta w ogóle istnieją. Teraz jednak nie miała wątpliwości, że informacje o jej aresztowaniu, osądze-

niu i wymierzeniu kary więzienia, wraz z odciskami palców i zdjęciami, trafią do policyjnych baz danych w całym kraju. Tak, stała się osobą karaną. Po jej pobycie w zakładzie Jenningsa miał na zawsze pozostać ślad w kartotekach, ale nic poza tym.

Nie była specjalnie zaskoczona, że w papierowej torbie podpisanej jej nazwiskiem przez Cher pamiętnego pierwszego dnia, nie znalazła żadnych swoich ubrań ani rzeczy osobistych. Nie była nawet za bardzo rozczłuszczona. Naprawdę nie zamierzała wyjść na wolność w garsonce od Armaniego. Podejrzała, że jej własność padła łupem kobiety, która przejęła po Cher obowiązki w sekcji przyjęć. Do diabła z garsonką, i tak by na mnie teraz nie pasowała, gdyż przez ten rok dość wyraźnie zeszczipłałam, pomyślała. Liczyło się dla niej tylko to, że wychodzi na wolność, nie miało żadnego znaczenia, w jakim ubraniu.

- Och, Jennifer - jęknęła Gwen, odkrywszy kradzież. - Nie ma twoich ubrań. Ktoś zostawił w torbie tylko wystrzępione dżinsy i znoszoną bawełnianą bluzkę.

Spencer zaśmiała się krótko.

- To mi wystarczy, byle tylko na mnie pasowało. Naprawdę nie ma się czym przejmować.

- Nie możesz w tym wyjść z zakładu - zaprotestowała Harding. - Mamy jeszcze czas. Możesz zadzwonić do Lenny'ego i poprosić, żeby przywiózł ci coś z twojego mieszkania.

- Nie trzeba. - Zaczęła się pospiesznie przebierać. - Poza tym to ubranie pasuje do wpisu w moich aktach. Nie sądzi pani? - Okazało się, że pantofle są na nią o wiele za duże, postanowiła więc zostać w więziennych sandałach. - Zwrócę je. Obiecuję - zapewniła naczelniczkę.

Gwen tylko z politowaniem pokręciła głową i wyciągnęła do niej rękę na pożegnanie. Ucisnęły sobie dłonie, lecz po chwili padły sobie w objęcia.

- Tylko nie bądź cikliwa i sentymentalna - mruknęła przyjaźnie Harding. - Chciałabym wierzyć, że obie dużo nauczyłyśmy się od siebie nawzajem.

Jennifer pokiwała głową, otarła oczy i popatrzyła, jak naczelniczka wciska klawisz „enter” w komputerze, wysyłając jej akta personalne do wszystkich więzień, komend policji i komisaria-

tów w Stanach Zjednoczonych. Z jej pamięci wypłynął motyw przewodni z filmu *Pożegnania*. Co prawda, nie miała teraz nic, nie została jej nawet torebka, ale wychodziła z więzienia z uśmiechem na ustach, nucąc natrętną melodię. Jej nazwisko nie kojarzyło się ludziom już tak dobrze jak kiedyś, ale znów była wolna i tylko to się liczyło. Nie chciała już żadnych rzeczy, których przedtem pragnęła. Eleganckie stroje, zabytkowe meble czy nowoczesne superwydajne lodówki przestały mieć dla niej znaczenie. Ważna była jedynie odzyskana wolność, o której większość osób w ogóle nie myśli, a która dla niej była czymś niezapomnianym.

Roger Camry otworzył jej furtkę w bramie, a za nią czekał Lenny przy swoim samochodzie.

- Co ty tam nucisz? - zapytał z uśmiechem, kiedy podeszła bliżej.

- To zbyt skomplikowane, żeby teraz wyjaśniać - odparła. - Chodź, lepiej się stąd wynośmy.

- A co to za ubranie? - mruknął zdziwiony.

- Nie miałam nic innego. - Wzruszyła ramionami. - Wstydzisz się pokazać ludziom w mojej obecności?

Zaczerwienił się lekko.

- Nie, skądże. Tylko... przywiozłem ci prezent.

Jennifer pospiesznie rozerwała papier, otworzyła kosztowne kartonowe pudełko ze znaczkiem firmowym salonu Gucciego i wyjęła piękną jedwabną chustkę.

- Och, Lenny! - pisnęła. - Jest prześliczna! - Przytuliła policzek do miękkiej delikatnej tkaniny. - Naprawdę wspaniała. Bardzo ci dziękuję. - Kilkoma szybkimi ruchami zawiązała sobie chustkę pod szyją i oznajmiła butnie: - Jennifer Spencer zawsze wyznaczała najnowsze trendy w modzie. Mogę się założyć, że w ciągu miesiąca wszystkie kobiety na Wall Street zaczną nosić jedwabne chustki do dzinsów.

- Jeśli wcześniej wszystkie kobiety z Wall Street nie wylądają tutaj - zażartował Lenny.

- Na psa urok. Myślisz, że więźniarki z zakładu Jenningsa jeszcze mało wycierpiały?

Otworzyła drzwi i zamierzała już wsiąść do samochodu, gdy dostrzegła przez siatkę Wiosenkę krzątającą się przy swoich rabatach.

- Twoje kwiaty wyglądają naprawdę wspaniale, Wiosenko! - zawołała i pomachała jej ręką.

Kobieta obejrzała się i uśmiechnęła równie smutno, jak tamtego pierwszego dnia, kiedy jej uśmiech wywołał u Jennifer dreszcz grozy. Teraz jednak się znały, ów smutny tajemniczy uśmiech był związany z konkretnym imieniem, a to sprawiło, że odebrała go zupełnie inaczej.

- Co taka starsza dama robi w więzieniu? - zainteresował się Benson.

- Na północ od Albany uprawiała całe pole konopi indyjskich. - Jennifer zachichotała. - Sprzedała je przyjacielom cierpiącym na jaskrę. - Po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem Wiosenkę pochyloną nad rabata kwiatową i ciągnący się za nią mur więzienia, po czym odwróciła się do Lenny'ego i powiedziała: - Zawieź mnie do domu. Jestem wreszcie gotowa, żeby tam wrócić.

Ich spojrzenia zetknęły się na krótko i Benson jak zwykle szybko spuścił głowę. Nie ruszył się jednak z miejsca, tylko ze wzrokiem wbitym w ziemię mruknął:

- Wszystko będzie w porządku, Jennifer. Zobaczysz. Zanim się spostrzeżesz, wszystko wróci do normy.

- Ja już nawet nie pamiętam, jaka jest ta norma.

Lenny podniósł głowę, popatrzył jej prosto w oczy i tym razem wytrzymał spojrzenie. Nic jednak nie powiedział. Jennifer uśmiechnęła się i rzuciła:

- Chodźmy już.

Wsunęła się na przednie siedzenie. Od roku nie miała okazji siedzieć w tak miękkim fotelu. Z rozkoszy aż przytknęła oczy. Usłyszała, że Lenny uruchomił silnik, nie miała jednak odwagi zerknąć za siebie, gdy ruszył alejką dojazdową w kierunku szosy.

Kiedy wjechali na przedmieścia, aż przykleiła nos do bocznej szyby, łapczywie chłonąc mijane widoki. Aż jej szumiało od nich w głowie. Przez rok musiała patrzeć jedynie na brudnoróżowe, brudnozielone albo brudnoszare ściany, więc teraz bogactwo kolorów Nowego Jorku wydawało jej się oszałamiające. Niewiele było trzeba, aby poczuła się znów jak w domu. Wszystko tu było dla niej cudowne, sklepy, ludzie na ulicach, samochody.

- Hej! - zawołała w pewnym momencie, oglądając się przez ramię. - Chyba widziałam tamtą kobietę w zakładzie Jenningsa.

- Tylko nie otwieraj drzwi - mruknął w zadumie Lenny. - To dość niebezpieczna okolica.

- Bigot - syknęła. - Moim zdaniem można równie dobrze zostać obrabowanym tu, jak i na Wall Street.

- Z tym akurat się zgadzam.

Zorientowała się, że Benson jedzie w kierunku osiedla Tribeca i aż ścisnęło ją w dołku na myśl o powrocie do własnego mieszkania. Ileż to razy w celi śniła o tym dniu? Ile razy wracała wyobraźnią do tej części miasta? Jeszcze raz zamknęła oczy, by stanąć w myślach na progu mieszkania. Ujrzała przed sobą salonik, kuchnię, łazienkę, wreszcie sypialnię. Nic się nie zmieniło, wszystko było jak dawniej. Ale teraz w saloniku zobaczyła Movitę, w kuchni krzątała się Theresa, a do sypialni ktoś wstawił drugie łóżko i leżała na nim Suki. Jennifer szybko otworzyła oczy i uśmiechnęła się smutno. Naprawdę wracała do domu, a już bała się na zapas, że będzie tęskniła za swoim drugim domem.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Lenny, skręcając w bocznice. Zatrzymał wóz przy krawężniku, zgasił silnik, wysiadł i obszedł wóz, żeby otworzyć jej drzwi. - Co się stało? - zapytał, kiedy nie ruszyła się z miejsca.

- Boję się - odparła szeptem.

Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź - powiedział miękko. - Nie ma się czego bać. - Po chwili nieco wstydliwie, ale całkiem szczerze dodał: - Będę przy tobie.

Pomógł jej wysiąść, wziął ją pod rękę i ruszył w kierunku drzwi.

- Nie mam kluczy - przypomniała sobie nagle, gdy podeszli do budynku. - Naczelniczka kazała strażnikowi przetrząsnąć cały magazyn w poszukiwaniu tego, co widniało w spisie depozytu, ale nie znalazł moich rzeczy.

- Nie martw się. Ja mam klucze, a w dodatku dorobiłem zapasowy komplet, na wszelki wypadek.

Weszli na klatkę schodową i wjechali na piętro dość ślamazarną, ale mającą swój urok windą towarową. Czy ja naprawdę

kiedykolwiek tu mieszkalam? - przemknęło jej przez głowę, kiedy nagle opadły ją liczne wspomnienia, o których myślała, że już dawno poszły w niepamięć. Wspominała różne szczegóły z życia codziennego, namiętne noce z Tomem, zadając sobie jednocześnie pytania: Czy on mnie naprawdę kochał? A ja go kochałam? Nie potrafiła odpowiedzieć. Raczej nie była to jednak prawdziwa miłość, chociaż Jennifer lubiła towarzystwo Branstona i naprawdę się o niego troszczyła. Ale przypuszczalnie wyszłaby za jego karierę zawodową. Tyle że moglibyśmy mieć wspiane dzieci, pomyślała z żalem. Winda zatrzymała się raptownie. Lenny podniósł drewnianą bramkę i poprowadził ją do drzwi mieszkania.

Wyjął z kieszeni klucze, bez wahania otworzył zasuwkę i szeroki gestem zaprosił Jennifer do środka. Widok dobrze jej znanych zabytkowych mebli sprawił, że miała ochotę krzyknąć z radości. Pospiesznie chwyciła Lenny'ego pod rękę, gdyż z wrażenia nogi się pod nią ugięły. Ruszyła dokoła saloniku, pieszczołliwie muskając palcami to kant stołu, to krawędź szafy. Podniosła z sofy dwie poduszki i na krótko przytuliła je do piersi. Potem przeszła do kuchni, tak samo przeciągnęła dłonią po blacie szafki i zajrzała do piecyka - prawdziwego piecyka, a nie kuchenki elektrycznej. Ruszyła do jadalni, lecz zaledwie otworzyła drzwi, stanęła jak wryta.

- A co ty tutaj robisz? - zapytała o wiele spokojniej niż powinna. - Kto ci pozwolił wejść do mojego mieszkania?

Lenny zbliżył się pospiesznie i stanął tuż za Jennifer.

- Twój przyjaciel powiedział, że mogę tu zamieszkać do czasu, aż wrócisz - odparła Cher jak zwykle wyniosłym tonem.

- Kłamiesz - syknęła Spencer.

- Ani trochę. Zresztą pozory mylą. Podczas twojej nieobecności po prostu opiekowałam się mieszkaniem.

- I sądząc po twoim wyglądzie, równie troskliwie zaopiekowałam się moimi ubraniami - warknęła groźnie Jennifer. - To ty zabrałaś moje rzeczy z więziennego depozytu, prawda?

- Nie sądziłam, że będziesz ich tak szybko potrzebować.

Z sypialni doleciały stłumione hałasy, a po chwili rozległ się męski głos:

- Co tam robisz tak długo?

- Ach, i postanowiłaś nawet przyjmować tu gości. Wygodnie się urządziłaś, nie ma co.

- W zasadzie to on nie jest tu gościem...

Drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Tom Branston. Miał na sobie jedynie drogie jedwabne niebieskie bokserki.

- Przyjdiesz wreszcie czy nie? - zapytał i nagle oczy mu się rozszerzyły.

Spencer popatrzyła na niego w skrajnym osłupieniu. W głębi duszy odczuwała nawet radość, że zyskała jeszcze jeden powód, by nim gardzić. W milczeniu wbijała w niego wzrok.

- Jennifer? - mruknął przestraszony. - To naprawdę ty?

- Zgadza się - odparła. - To ja.

- Posłuchaj... Przepraszam... Nie sądziłem, że... - wyjąkał.

- Co się stało? - rzuciła ze złością. - Nie cieszysz się, że wróciłam?

- No, wiesz...

Zacisnęła usta. Czuła, że zbiera w niej wściekłość, a nie chciała tracić panowania nad sobą, zwłaszcza w takiej chwili triumfu. Zaczepnęła głęboko powietrza i powiedziała cicho:

- Nie mogę uwierzyć, że posunąłeś się aż tak daleko, Tom. Mało mnie jeszcze skrzywdziłeś?

Na szczęście wściekłość szybko minęła. Nie odczuwała nawet bólu, tylko głęboką, wszechogarniającą obojętność. Pomyślała, że to najcudowniejsze uczucie, jakiego w życiu doświadczyła. Poczuła, że Lenny delikatnie ściska ją za rękę, i opanowała ją bezgraniczna wdzięczność dla tego człowieka, który nie bał się udzielić pomocy w najgorszym okresie jej życia.

- To musi być dla ciebie bardzo krępujące, Jenny - odezwał się w końcu Tom, przerywając kłopotliwe milczenie.

- A ty nie czujesz się skrępowany? - zapytała.

Westchnął ciężko i zwiesił głowę.

- Nie, Jenny. Ani trochę - odpowiedział.

- Nigdy więcej nie nazywaj mnie Jenny! - syknęła lodowatym tonem.

Od niechcenia pokiwał głową.

- Więc może ja wyjaśnię, co się tutaj dzieje - wtrąciła Cher, siadając na sofie. - Pewnie mi nie uwierzysz, ale jest mi naprawdę strasznie przykro.

Jennifer prychnęła pogardliwie.

- Wygląda na to, że okradłaś mnie już ze wszystkiego, a to, czego nie dałaś rady ukraść, zniszczyłaś. Kto ci dał prawo postępować w ten sposób?

- A kto tobie dał prawo posiadania tego wszystkiego? - wycodziła McInnery, wstając z powrotem, żeby spojrzeć Jennifer w oczy.

- Zapracowałam na to - odparła ostro Spencer. - Ciężko zapracowałam na wszystko, co mi zabrałaś.

Siłą powstrzymywała łyzy cisnące się do oczu i oddychała szybko, żeby zapanować nad zaciskającym się gardłem.

- Powiedziałam, że mi przykro, Jennifer. Naprawdę. Po prostu zaopiekowałam się twoim dobytkiem. Chciałam ci pomóc.

- Pomóc mi?! - wycodziła i mimo usilnych starań poczuła łyzy na policzkach. - Zajęłaś moje mieszkanie, przywłaszczyłaś sobie nawet mojego byłego chłopaka.

Poniewczasie uświadomiła sobie, że zabrzmiało to śmiesznie, jakby były podlotkami ze szkoły średniej i wykłócały się o prawo do randki z chłopakiem.

- Wcale go sobie nie przywłaszczyłam - powiedziała ostro Cher. - Czy pozwolisz mi wreszcie wyjaśnić?

- Nie ma nic do wyjaśniania. Przecież nie jestem ślepa. Dobrze widzę, czym się zajmowaliście podczas mojej nieobecności.

- Uwierz mi, że pozory mylą - odparła z naciskiem McInnery.

Lenny, który do tej pory milczał, puścił rękę Jennifer, wysunął się przed nią i stanął naprzeciwko Cher.

- Dość tego - rzekł stanowczo, krzywiąc się z pogardą. - Zaczynacie obie fukać na siebie groźnie jak dwie kocice, i to w dodatku o faceta, który nie jest wart nawet tyle zachodu, żeby go przejechać na ulicy.

Jennifer nie mogła uwierzyć własnym uszom, że takie określenia padły z ust Bensona.

Natomiast Cher zaśmiała się w głos.

- Przynajmniej co do tego masz cholerną rację - powiedziała, siadając znów na sofie.

Jennifer popatrzyła na nią, wychwytyjąc właściwy sens jej słów. McInnery zwyczajnie wykorzystwała Toma, tak jak wcześ-

niej wykorzystywała wszystkich w swoim otoczeniu. Ona jednak w ogóle nie przejmowała się byłym narzeczonym.

- W jaki sposób zarabiałś na życie, mieszkając tutaj? Korzystałaś z moich kart kredytowych? Ogołociłaś moje konto bankowe?

- Zrobiłam to, co było konieczne - odparła Cher.

Jennifer westchnęła i nie powiedziała nic więcej.

- Jeszcze raz powtarzam, że jest mi przykro.

Jennifer spojrzała na nią, szybko przeniosła wzrok na Toma, potem znów popatrzyła na dawną koleżankę z paki.

- Mnie także jest przykro za ciebie, Cher - odparła w końcu.

Jeszcze raz rozejrzała się po swoim mieszkaniu, które dziwnym sposobem nagle też przestało się dla niej liczyć.

- Idziemy - rzuciła.

Złapała Lenny'ego za rękę i pociągnęła do wyjścia.

48

Jennifer Spencer

Szybko doszła do wniosku, że chwilowa wściekłość tylko obróciła się na dobre. Kiedy wyszła z Bensonem na korytarz, dygotała ze złości, ale zarazem poczuła nagły przypływ energii. Lenny czule uściśnął jej dłoń i rzekł:

- Strasznie mi przykro. To moja wina. Powiniennem być wtedy wejść do mieszkania i...

Obejrzała się na niego. Był naprawdę dobrym człowiekiem, którym kierowało niedoceniane przez nikogo poczucie odpowiedzialności.

- W końcu nic wielkiego się nie stało - odparła. - Zajmę się tym jutro.

- Razem się zajmujemy - rzekł stanowczo, a gdy popatrzyła na niego ze zmarszczonym czołem, wzruszył ramionami i zapytał: - Czego teraz najbardziej potrzebujesz?

- Czystych ubrań i nowych porządnych butów, poza tym wielkiej wanny z gorącą wodą i aromatyczną solą do kąpieli, a także wizyty u fryzjera. A przede wszystkim pokoju hotelowego. - Rozejrzała się po Greenwich Avenue i zadecydowała: - Chodźmy do Soho.

Lenny ruszył w kierunku samochodu, ale postanowiła przejść tych kilkaset metrów. Doszła do wniosku, że nic nie zrobi jej lepiej niż świeże powietrze i długi spacer na nieograniczonej murmur przestrzeni. Przypomniała sobie biedną Maggie i jej spiralną trasę prowadzącą ku środkowi więziennego dziedzińca i z powrotem.

- Wiesz, co mi się marzy? - rzekła w zamyśleniu. - I chy-

ba zrobię to pojutrze. Przejdę pieszo od Broadwayu aż do Cloisters.

Zaśmiał się cicho.

- Przecież to ze dwadzieścia kilometrów. Będziesz musiała przemierzyć Soho, Village, Flatiron District, całe śródmieście, Upper West Side, Morningside Heights, Harlem, Washington Heights...

- Owszem. Zapowiada się cudownie. Naprawdę dojdę aż do Cloisters.

- Nie wiem tylko, czy na własnych nogach.

- Nie jestem słaubeuszką. Wysmaruję sobie stopy kremem, kupię nową parę nike'ów i ruszę przed siebie. - Spojrzała w głąb West Broadway. - Będę mijała sklepy, kawiarnie i restauracje, biurowce i domy mieszkalne; dozorców siedzących w bramach i ludzi czekających na przystankach autobusowych; skrzynki z kwiatami na parapetach, śmietniki, stragany z owocami i stanowiska czyścibutów. Na tej trasie jest co najmniej dziewięć barów Gap i chyba z pięćdziesiąt Starbucks, a przysięgam, że w każdym z nich wypiję filiżankę prawdziwej czarnej kawy. Rety, trzeba umieć się cieszyć z każdego drobiazgu...

Jej uwagę przyciągnęła suknia wisząca na wystawie sklepu, różowoczerwona z miękkiego, połyskliwego, jak gdyby opalizującego jedwabiu.

- Tego mi właśnie potrzeba - rzuciła.

Kiedyś nawet by nie spojrzała na taką sukienkę, zbyt dziewczęcą, za głęboko wyciętą i nie nadającą się do pracy. Była jednak tania, lekka i zwiewna, tak ciekawie skrojona, że przy każdym poruszeniu na połyskliwej tkaninie tworzyły się zmienne cienie.

- Naprawdę ją chcę - dodała.

- W takim razie kupmy ją. - Lenny wziął Jennifer za rękę i poprowadził do sklepu.

Buty kupili w salonie Otto Tootsie Plohound, kosmetyki w Sephorze, jedwabną bieliznę i piękną koszulę nocną u Joo-vaya, a komplet zabawnej biżuterii w Girlprops. Później zmęczeni usiedli w Penange, restauracji urządzonej w stylu indochińskim, słynącej z krewetek. Trafił im się stolik między bambusowymi przepierzeniami, przy którym było tak mało

miejsca, że ledwie się oboje wcisnęli z torbami pełnymi zakupów, wskutek czego poczuli się jak w azjatyckiej palarni opium.

Lenny uparł się, że za wszystko zapłaci, i Jennifer, która nie miała gotówki, a karty kredytowe pozostały w rękach Cher, musiała na to przystać.

- Jestem zmęczona, ale to przyjemne zmęczenie - rzekła. Popatrzyła na puste talerze i dodała: - Szkoda, że Movita, Theresa i Suki nie mogły spróbować tych krewetek. Byłyby zachwycone. - W rozmarzeniu zamknęła na chwilę oczy i nagle poczuła na rękę lekki uścisk dłoni Bensona. Szybko spojrzała na niego, ale tylko nieco mocniej uściśnięła jej palce. Uśmiechnęła się i powiedziała: - Pragnę ci za wszystko podziękować. Jesteś wspa- niałym przyjacielem. Tak bardzo się o mnie troszczyłeś.

- Daj spokój - mruknął. - Przecież wiesz, co się naprawdę stało.

- Czyżbym coś przeoczyła? Myślałam, że jesteś wobec mnie szczery.

Pokręcił głową.

- Od lat marzyłem o tym, żeby się do ciebie zbliżyć. Chyba już od pierwszej chwili, kiedy się zjawiłaś w firmie. Twoje nieszczenie stworzyło okazję do tego, byśmy się lepiej poznali. Można powiedzieć, że niecie wykorzystałem sytuację.

Zaśmiała się.

- To prawda. Spotkania w tej cuchnącej sali odwiedzin rzeczywiście były dla mnie koszmarem.

- Nie żartuj. Dobrze wiesz, co mam na myśli.

- W takim razie i ja ci powiem, co myślę. Uratowałeś mi życie. Nie wyobrażam sobie, jak zdołałabym przez to wszystko przejść bez twojej pomocy. Pewnie bym nie dała rady. Bardzo ci dziękuję, Lenny. Jestem ci niezmiernie wdzięczna za wszystko.

Uśmiechnął się.

- Nie ma za co. Ale teraz... zaczynam się bać, że gdy wreszcie odzyskałaś wolność, nie będziemy się już tak często widywać. Wstyd mi się przyznać, ale naprawdę się tego obawiam.

- Spokojna głowa. Będziemy się widywali aż nazbyt często. W końcu łączą nas wspólne interesy. - Westchnęła głośno. - Boże, jaka jestem zmęczona.

Pokręcił głową.

- Naprawdę mi przykro z powodu twojego mieszkania, ponieważ...

- Nie bądź śmieszny. Chyba nie sądzisz, że chciałabym tam teraz wrócić.

- Zawsze możesz skorzystać z mojej gościny.

- A gdzie ty właściwie mieszkasz?

- W Upper East Side, dość nudnej i nieciekawej okolicy.

- I masz w łazience wielką wannę?

- Niestety, nie. Mam kabinę prysznicową.

Smutno pokiwała głową.

- No tak, faceci wołają prysznic. Ale ja naprawdę muszę się porządnie wymoczyć. W zakładzie pozwalali nam się kąpać tylko dwa razy w tygodniu. I nawet pod prysznicami byliśmy obserwowane.

- Tak mi przykro.

- Nie ma powodu. Chyba zauważyłeś, jak dobrze to na mnie wpłynęło? Jestem teraz całkiem inną osobą.

- Lubiłem osobę, którą byłaś wcześniej, ale wydaje mi się, że w tej obecnej się zakochałem.

Jennifer uśmiechnęła się do niego. Był strasznie wstydliwy. Prawdopodobnie miał niewielkie doświadczenie w kontaktach z kobietami, więc gdyby poszli do łóżka i wypadło to nie najlepiej, pewnie oboje przeżyliby zawód, byłiby wręcz zdruzgotani. Zamyśliła się nad tym, co jest najistotniejsze w związkach między mężczyznami i kobietami, ale szybko doszła do wniosku, iż życia byłoby za mało na rozstrzygnięcie tego problemu. Uznała więc, że najbezpieczniej będzie pozostać na stopie przyjacielskiej, razem pracować i cieszyć się nawzajem swoim towarzystwem. Gdyby teraz poszła z Lennym do łóżka, a potem go odtrąciła, zapewne nie zniósłby tego. Mężczyznom trudno jest się pozbierać po czymś takim. Wróciła myślami do nocy spędzonych z Tomem. Był tak wysoki i barczysty, że gdy obejmował ją ramionami, zawsze się czuła jak drobna, krucha lalka. Benson miał jakieś sto siedemdziesiąt cztery, najwyżej sto siedemdziesiąt sześć centymetrów wzrostu i był drobnej budowy, wąski w ramionach i biodrach, najwyżej osiem kilo cięższy od niej. Ale podobał jej się jego długi prosty nos oraz zrozumienie i współczucie zawsze obecne w jego spojrzeniu.

- Chyba jednak będzie lepiej, jak przenocuję w hotelu - powiedziała. - Może w Mercerze znajdziemy wolny pokój.

Mercer w samym centrum Soho odznacza się wyszukaną elegancją. Pokoje nie są duże, ale przytulnie urządzone; białe ściany i ciemnoorzechowe boazerie stwarzają pozory luksusu, a stonowana tapicerka nie kłuje w oczy, co pozwala gościom dobrze wypocząć. Jednakże dla Jennifer największą atrakcją była łazienka. Ledwie otworzyła dwuskrzydłowe drzwi, jej oczom ukazała się ogromna biała ceramiczna wanna wpuszczona w podłogę na środku pomieszczenia. Podłogę wokół niej wyłożono małymi białymi kafelkami, w przeciwnym końcu znajdowała się podwójna marmurowa umywalka obudowana toaletką, na wieszaku wisiały ręczniki frotte kąpielowe rozmiarów prześcieradła, a na półeczce stał bogaty zestaw szamponów, odżywek do włosów i płynnych mydeł oraz olbrzymia butla płynu do kąpieli. Tutaj w ogóle nie używano maleńkich jednorazowych opakowań.

- Cudownie! - wykrzyknęła, po czym podbiegła do wanny i odkręciła wodę. Mój Boże, pomyślała, przecież można by w niej uczyć dzieci pływać albo też urządzać wspólną kąpiel dla połowy reprezentacji pływackiej.

- O kurczę! - mruknął Lenny, stawiając torby z zakupami na łóżku. - To wanna czy królewski sarkofag?

- Wszystko mi jedno - odparła Spencer. - Będę się w niej moczyła przez godzinę i jeśli w tym czasie wyzionę ducha, znajdę się od razu we wspaniałym grobowcu.

Wlała prawie pół butli waniliowego płynu do wanny, zamieszała ręką powstającą gęstą pianę i obejrzała się na Bena. Nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Biedak. Był naprawdę przystojny, z pociągłą twarzą i niezbyt wydatnym podbródkiem oraz policzkami przyciemnionymi już przez zarost wymagający powtórnego golenia. To pewnie dlatego miał taką gładką cerę. Czytała gdzieś, że golenie dobrze wpływa na cerę, gdyż wraz z zarostem usuwany jest łuszczący się naskórek. Ruszyła w jego kierunku.

- Chyba powinienem już iść - mruknął z żalem w głosie.

- Wcale nie musisz - odparła całkiem poważnie. - To dwuosobowy pokój, a ty przecież nie lubisz rozrzutności. Jest po-

dwójne łóżko. - Otworzyła drzwi szafy. - I dwa szlafroki. Nie będę nosiła dwóch jednocześnie.

Przez chwilę patrzył na nią z taką miną, jakby nie rozumiał. Powoli docierał do niego sens jej słów.

- Naprawdę możesz zostać - powtórzyła. - Możemy się nawet kochać. Możemy przespać razem całą noc, a rano zamówić sobie śniadanie do łóżka i razem przeczytać poranną gazetę. Ale najpierw musisz mi obiecać dwie rzeczy. - Energicznie pokiwiała głową. - Po pierwsze, nawet gdybyśmy nigdy więcej się nie kochali, pozostaniesz moim serdecznym przyjacielem.

- Oczywiście.

- Odpowiadaj głośniej i śmielej. Boję się o twoje męskie ego.

Przyszło jej do głowy, że mimo wszystko powinna spróbować. Jeśli nawet był niedoświadczonym i kiepskim kochankiem, to przecież był doświadczonym i troskliwym przyjacielem. Poza tym siedziała w więzieniu przez jedenaście miesięcy. Nic nie mogło być tak kiepskie, jak ten okres jej życia.

- A ta druga rzecz? - zapytał.

- Pozwolisz mi siedzieć samej w wannie tak długo, jak tylko zechcę.

Uśmiechnął się szeroko.

- A będę mógł przynajmniej popatrzeć?

- Będziesz musiał, bo chcę cię poprosić, żebyś wyszorował mi plecy.

Delikatnie ujął w dłonie twarz Jennifer i pocałował ją. Usta miał miękkie i ciepłe. Po chwili skubnął jej dolną wargę, a potem lekko zacisnął na niej zęby. Uśmiechnęli się oboje, patrząc sobie w oczy. Z tak bliskiej odległości jego twarz rozmywała się przed oczami, więc zamknęła powieki i znów przywarła ustami do jego warg. Zapach jego oddechu kojarzył się ze świeżą słodką kukurydzą. Tak dawno nie całowała się z mężczyzną! Jaką radość sprawiał jej dotyk jego warg! Przywarła do nich mocniej, unosząc jednocześnie ręce, by objąć go za szyję. Przeciągnęła mu dłońią po policzku, czując szorstkość świeżego zarostu. Następnie wplotła palce w jego włosy z tyłu głowy, odkrywając z zaskoczeniem, że są znacznie bardziej miękkie i delikatne, niż się spodziewała.

On tymczasem zaczął całować jej szyję, wodzić dłońią po karku i przytulać ją mocniej. Miała wrażenie, jakby budziła się

z bardzo głębokiego snu. Mogła ciągnąć takie pieszczoty bez końca. Wbrew wcześniejszym obawom uznała, że są doskonałe. Lenny potrafił wspaniale całować. Może wcale nie był taki niedoświadczony...

Kiedy odsunął się na krótko, by musnąć palcami jej policzek, otworzyła oczy. Woda z wanny wylewała się już na podłogę.

- Och, mój Boże!

Razem wbiegli do łazienki, zakręcili wodę i porozkładali ręczniki, żeby zatrzymać wypływającą na zewnątrz pianę. Śmiali się przy tym niemal histerycznie, tylko po części z zabawnego wypadku, a po części ze zdenerwowania.

Gorąca kąpiel okazała się podniecającym i relaksującym luksesem. Jennifer coraz bardziej się podobało, że Lenny patrzy na nią pożądlivym wzrokiem i starannie namydla i masuje jej plecy. Później, gdy już wytarła się do sucha - nie mogąc się nacieszyć dotykiem białego miękkiego ręcznika frotte, jakże różnego od szorstkich i drapiących szmat, z których musiała korzystać w zakładzie Jenningsa - pozwoliła sobie znów zatonać w objęciach Bensona. Początkowo delikatne i łagodne pieszczoty, bardziej przypominające masaż, stopniowo stawały się coraz intensywniejsze. Lenny wodził dłońią po jej piersiach, później zaczął mocniej ścisnąć palcami sutki, aż w końcu mimowolnie jęknęła. Kiedy otworzyła oczy, uśmiechnął się do niej w taki sposób, jakby sprawiało mu przyjemność zadawanie bólu.

- Lubisz to? - zapytała cicho.

Przesunęła dłońią po jego brzuchu i zacisnęła palce na twardej nabrzmiałym członku, aż poczuła silne, przyspieszone tętno. Po chwili jednak cofnęła rękę, obawiając się, by go za bardzo nie podniecić, bo i tak odznaczał się niezwykłym wigo-rem. Tarzali się po szerokim łóżku jak dwoje początkujących zapaśników. Wreszcie Lenny położył się na niej, oburącz przyciskając jej ramiona do pościeli. Wciąż była zaskoczona, ale i uradowana jego niespodziewaną pobudliwością, jakże silnie kontrastującą z okazywanym na co dzień stoicyzmem, dzięki której zdołała szybko rozładować nagromadzone od wielu miesięcy napięcie, podsycane przez nocne fantazje seksualne.

49

Jennifer Spencer

Obudziła się u boku Lenny'ego w wielkim hotelowym łóżku i przez bardzo długą chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Nie była we własnym mieszkaniu, ale i nie w więzieniu. Czyżby przeżywała kolejną senną fantazję? Ale stopniowo ożyły w jej pamięci wspomnienia z minionego dnia i uśmiechnęła się szeroko. Niedługo później Benson, najwyraźniej odznaczający się szóstym zmysłem kochanków, także leniwie otworzył jedno oko. Dopiero teraz spostrzegła, że ma bardzo długie rzęsy.

- Witaj, ślicznotko - mruknął.

- Cześć, ogierze.

Zanim zdążyli powiedzieć sobie coś jeszcze, niespodziewanie zadzwonił telefon. Zdumiona popatrzyła na Lenny'ego, lecz tylko wzruszył ramionami.

- Czy ktoś wie, że tu jesteś? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Żartujesz? To chyba z recepcji. Pewnie chcą sprawdzić, czy zamierzamy się dzisiaj wymeldować.

- O tak wczesnej porze?

- A która godzina?

- Nie mam pojęcia.

Oboje zaśmiali się krótko i Lenny sięgnął po słuchawkę. Przez chwilę słuchał w milczeniu, wreszcie wysoko uniósł brwi.

- Ach, tak. Witaj - mruknął niepewnie, po czym zerknął na Jennifer i przekazał bezgłośnie: „Cher”.

Wyrwała mu słuchawkę.

- Ty to masz tupet! Skąd wiedziałaś, gdzie jesteśmy?
- Daj spokój! Myślisz, że nie znam numerów kart kredytowych Lenny'ego? Naprawdę sądziłaś, że tak trudno będzie prześledzić po kolei każdy wasz wydatek?

Jennifer pełnym niedowierzania wzrokiem obrzuciła Benso-
na i pokręciła głową.

- Czego chcesz? - zapytała.
- Muszę się z tobą spotkać, żeby wyjaśnić parę rzeczy - od-
parła Cher z naciskiem.
- Jesteś nie tylko złodziejką, ale i zwykłą dziwką. Nie chcę
od ciebie żadnych wyjaśnień - rzuciła ostro Spencer.

Wyłowiła w słuchawce głośne westchnienie.

- No cóż, ani trochę się nie pomyliłaś. Wolałabym jednak,
żebyś poznała moją motywację. - Zawiesiła na chwilę głos. -
Naprawdę zrobiłam to dla ciebie.

Jennifer zaśmiała się ironicznie, aż Lenny popatrzył na nią
zaniepokojony, najwyraźniej gotów natychmiast przystąpić do
rozwiązywania jej problemów. Machnęła lekceważąco ręką,
chcąc dać mu znać, że sama sobie poradzi.

- Dzięki, Cher. Możesz takie kawałki wciskać swoim jele-
niom, nie mnie.

- Posłuchaj. Dobrałam się nie tylko do twojego mieszkania
i gaci Branstona, ale również do jego komputera oraz pli-
ków i doprowadziłam go do bankructwa. Jeszcze o tym nie
wie, ale został bez grosza.

Spencer zamyśliła się na parę sekund, ale doszła do wnios-
ku, że jeśli Cher naprawdę to zrobiła, kierowała się wyłącznie
własnymi egoistycznymi pobudkami.

- Cóż, za to też dziękuję. Podejrzewam, że nieźle się obło-
wiłaś - odpowiedziała ironicznie.

- Rety! Zejdź wreszcie ze mnie, dobra?! Twój chłopak w ży-
ciu codziennym jest tak samo nic niewart jak w łóżku. Dlatego
uważam, że powinnaś mnie przynajmniej wysłuchać.

Jennifer westchnęła ciężko. Przede wszystkim chciała z tym
jak najszybciej skończyć i wrócić wreszcie do własnego miesz-
kania. Dlatego uznała, że nie ma wyboru.

- W porządku - odparła.

Godzinę później zasiadły naprzeciwko siebie przy stylizowanym maleńkim stoliku w Kuchni Mercera, czyli hotelowej restauracji. Jennifer, wciąż oszołomiona, patrzyła, jak wszystko bardzo się różni od prostych domowych obiadów w celi Movity. Posrebrzane sztucze, serwetki, zastawa, wykwintny smak wyszukanych tajskich potraw - co chwila była czymś zaskakiwana. Tym bardziej przeszkadzało jej towarzystwo Cher, która bez przerwy utyskiwała na swego nowego kochanka.

- Nigdy nie zadałaś sobie trudu, żeby go nauczyć, jak się zaspokaja kobietę ustami? - spytała z niedowierzaniem. - Wiem, że w dzisiejszych czasach powinien już wcześniej to wiedzieć, ale byłaś z nim przecież zaręczona. Zamierzałaś do końca życia ograniczyć się do tego nudnego całowania i podszczypywania? Czasami się zastanawiałam, czy to mężczyzna, czy oziębły labrador.

Wyglądała wspaniale. Ubrania Jennifer doskonale na niej leżały, a prawdopodobnie korzystała też z jej fryzjera, Angelo, gdyż i fryzurę miała olśniewającą. Roztaczała wokół siebie zupełnie inną atmosferę niż w zakładzie Jenningsa. Tam była tylko sprytna i przebiegła, teraz po prostu miała klasę. Jennifer nigdy nie wierzyła, iż szata czyni człowieka, przekonywała się jednak, że potrafi przemienić kobietę w prawdziwą damę. Nic dziwnego, że potrafi tak łatwo naciągać ludzi, pomyślała. Jest jak kameleon. Gdybym jej nie znała i nie siedziała razem z nią w więzieniu, nigdy bym nie uwierzyła, że to zwykła złodziejka.

- Zdaję sobie sprawę, że nie traktowałam cię za dobrze. Masz prawo mnie nie lubić i ani trochę mi nie ufać. To zrozumiałe. Ale nie możesz mieć mi za złe, że byłam do ciebie wrogo nastawiona, skoro wcześniej przywykłaś do dziwkarskiego życia.

Jennifer zmarszczyła brwi.

- Do czego zmierzasz, Cher? Poprosiłaś o to spotkanie, żeby mi naubliżyć?

- Skądże. Chodzi mi o to, że bardzo się zmieniłaś. Pierwszego dnia, kiedy zjawiłaś się w więzieniu, patrzyłaś na wszystkich dokoła takim wzrokiem, jakbyś była jedynym dzieckiem Boga i miała wokół siebie same śmieci. Przyznaję szczerze, że odnosiłam się do ciebie wrogo, ale miałam nadzieję, że zrozumiesz powody.

- Prawdę mówiąc, to ty potraktowałaś mnie jak śmieć już pierwszego dnia.

Cher przytaknęła ruchem głowy.

- Zgadza się i teraz tego żałuję. Kiedy zobaczyłam, jak dobrze odnosisz się do Suki i Movity, i później, gdy się przekonałam, co zrobiłaś, kiedy poznałaś plany tych łobuzów z JRU, naprawdę mi zaimponowałaś. A mnie niełatwo zaimponować. Nieźle namieszałaś w tym pierdlu.

Jennifer mimowolnie się uśmiechnęła. Nie spodziewała się usłyszeć od niej ani jednego dobrego słowa.

- I dobrze wiem, jak dużo ryzykowałaś. No a to, co się później stało... Chyba nikt inny nie mógłby tego dokonać. No, może poza Dyrą, która gotowa byłaby zrobić wszystko, gdyby tylko wiedziała jak.

- Jeśli naprawdę tak bardzo ci zaimponowałam, Cher, to dlaczego po wyjściu ukradłaś mi całe moje życie?

- Pozwól mi skończyć, dobrze? Muszę opowiedzieć wszystko po kolei. Inaczej nie umiem.

Jennifer przywołała kelnera i poprosiła o drugą lampkę wina. Przeczynała, że bardzo jej się przyda.

- Wydobyłaś z każdego to, co najlepsze, i znalazłaś sposób, by to wykorzystać dla ogólnego dobra - ciągnęła Cher. - A przecież sama nic z tego nie miałaś. Wcześniej uważałam cię za egoistyczną sukę, aż tu nagle, muszę przyznać szczerze, zaczęłam myśleć o tobie całkiem inaczej. Mniej więcej wtedy, gdy ukradłam dla ciebie telefon komórkowy, byś mogła bez kłopotów załatwiać wszystkie sprawy, całkiem cię polubiłam.

Jennifer zaczynała czuć w głowie lekki szmer od wina.

- Ja też cię za to polubiłam, Cher. Nie muszę ci mówić, o ile mniej bym zrobiła bez tego telefonu.

- Znalazłabyś inny sposób. W każdym razie wcale nie musisz mi wierzyć na słowo. Potrafię zniknąć szybciej, niż wymyślisz, jak mnie zatrzymać. Chodzi jednak o to, że nie zrobiłam nic, żeby cię skrzywdzić albo okraść.

- Jak możesz tak mówić, skoro siedzisz tu w mojej garsonce? - zaprotestowała Jennifer.

Nagle rozejrzała się przestraszona, że ktoś mógł mimowolnie podsłuchać tę kuriozalną wymianę zdań. Była przekonana,

że w Kuchni Mercera nigdy wcześniej nie doszło do rozmowy dwóch byłych więźniarek.

- Dobra. W porządku - przyznała Cher. - Przede wszystkim musiałam mieć jakiś dach nad głową. Potem pomyślałam, że skoro już jestem w twoim mieszkaniu, to czemu nie miałabym przez jakiś czas chodzić w twoich ciuchach. Bo słyszałam, czym się zajmowałaś, więc przyszło mi na myśl, że powinnam coś dla ciebie zrobić.

Jennifer o mało nie zachłysnęła się winem.

- Co takiego? Jakim cudem korzystanie za darmo z mojego mieszkania, kradzież ubrań i poderwanie byłego narzeczonego możesz traktować jak przysługę?

- Do cholery, dziewczyno. Przecież nie poszłabym z nim do łóżka dla pieniędzy. - Cher upiła wody ze szklanki. - Musiałam stanąć na własnych nogach. Dość szybko mi poszło ze zdobyciem nowego numeru ubezpieczenia społecznego i fałszywego nazwiska oraz znalezieniem sobie pracy. Mam robotę na Wall Street. - Dumnie uniosła głowę. - I nie jestem prostytutką. Mój stary znajomy, który prowadzi punkt totalizatora, załatwił mi etat w dyskontowej firmie brokerskiej. Ale sprzedawałam tyle tych cholernych akcji, że sukinsyny szybko mnie awansowały i teraz zarządzam portfelami papierów wartościowych.

- Cher! Co ty możesz wiedzieć o zarządzaniu portfelami papierów?! - Jennifer nie wierzyła własnym uszom. Ta historyjka sprawiała wrażenie wysanej z palca.

Cher wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Wystarczająco dużo, żeby omotać twojego chłopaka i spać z jego forszą ze swoimi banderolami.

Jennifer zmarszczyła brwi. To fakt, że Tom był chciwy, ale zarazem bardzo ostrożny.

- Nie wierzę - burknęła.

- Znasz powiedzenie, że najłatwiej wyprowadzić w pole oszusta? W porządku, przyznaję, że musiałam wyciągnąć od niego jeszcze parę rzeczy. Ale w sumie to i tak niewielka cena.

- Za co? - spytała Jennifer, tracąc powoli cierpliwość.

- Za jego upadek - oznajmiła Cher, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona. - Mówiłam ci, że jeszcze o niczym nie wie, ale wpakowałam go w każdy paskudny interes, na jaki na-

trafiłam. Postawiłam go w takiej sytuacji, że nawet człowiek z gумы nie dałby rady się z niej wypłatać. - Zachichotała. - A to jeszcze nie wszystko.

Jennifer także się zaśmiała, choć coraz mniej wierzyła w tę bajeczkę.

- Jeszcze coś?

Minęła pora lunchu i sala powoli pustoszała. Trzeci kieliszek wina poszedł jej do głowy znacznie bardziej niż kiedyś, przed jedenastomiesięczną przymusową abstynencją w więzieniu.

Cher przytaknęła ruchem głowy.

- Zrobiłam również kopie zastrzeżonych plików Toma i znalazłam w nich haka na niego i Donalda Michaela w twojej sprawie, jak również kilku wcześniejszych. Jest tam wszystko, czarno na białym, podpisane przez nich umowy i notatki służbowe.

Jennifer z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Jak zdobyłaś zaufanie Toma? Tylko przypadkiem musiał się natknąć na ciebie w moim mieszkaniu.

- Powiedziałam mu, że jesteśmy przyjaciółkami, a ponieważ załatwiłam sobie pracę, uwierzył mi. Nawet nie masz pojęcia, jak łatwowierni są ci spryciarze z Wall Street. - Wzruszyła ramionami. - Nawiasem mówiąc, Jen, nie zostałam ani razu zgwałcona w więzieniu?

Jennifer zbladła. Dość nasłuchiwała się od więźniarek przerażających opowieści.

- Nie, dzięki Bogu.

- Cóż, Tommy ma to nieszczęście, że jest dość przystojny. Mogę się założyć, że jak tylko jego zgrabna dupcia wyląduje za kratkami, zaraz znajdzie sobie nieproszonego lokatora. - Cher puściła do niej oko, sięgnęła do torebki i wyjęła plik banknotów. - Masz. Mniej więcej tyle jestem ci winna za ten okres, kiedy zajmowałam twoje mieszkanie. Wydałam trochę z twoich kart kredytowych, no i powinnam ci zapłacić jakiś czynsz. Na szczęście nie muszę już prosić o rabat.

Jennifer popatrzyła na gruby plik setek. Nie chciała przeliczać gotówki, ale na oko było to od dziesięciu do piętnastu tysięcy dolarów, może nawet więcej. Szybko schowała pieniądze do torebki, przypomniawszy sobie, że jeszcze wczoraj martwiła się podczas zakupów, iż nie ma czym zapłacić.

- Dzięki, Cher - odezwała się w końcu. - Tego się nie spodziewałam.

- Wiem. I pamiętaj, że jeśli nadal będziesz chciała dobrać mi się do tyłka, wystarczy zadzwonić na policję, do Toma albo mojego kuratora. Nawiasem mówiąc, z nim także się pieprzyłam, ale dobrze wiedział, jak to się robi.

- Daj spokój. Przecież nigdy...

- To dobrze - przerwała jej Cher - bo życzę ci, byś odpłaciła z nawiązką tym draniom, którzy wpuścili cię w maliny, a sobie tego, bym się utrzymała w nowej pracy i nie miała więcej kłopotów z glinami. Nigdy nie sądziłam, że tak się stanie, ale ta robota przypadła mi do gustu. Zresztą niewiele się różni od tego, co robiłam do tej pory.

Podszedł kelner i zapytał, czy przynieść jeszcze wina.

- Nie. Szczerze mówiąc, wypijałbym teraz cosmopolitan - odparła z uśmiechem Jennifer, pragnąc uczcić niezwykle nowiny.

Cher uniosła wzrok do nieba.

- Chryste, nowicjuszek - syknęła. - Tego już nikt nie zamawia.

Poprosiła kelnera o dwie porcje drogiej słodowej whisky z lodem.

Jennifer zamyśliła się głęboko i rzekła:

- Jednej rzeczy nadal nie rozumiem.

- Chcesz, żebym ci opowiadała wszystko od początku?

- Nie. Chciałabym się tylko dowiedzieć, jak sprawiłaś, że Tom ci zaufał.

Cher zaśmiała się krótko.

- Nic wielkiego. Tacy faceci jak on są przekonani, że kobietom brakuje rozumu, żeby ich wyrolować. To my jesteśmy do rolowania. Wystarczyło tylko złożyć mu jednoznaczny propozycję, dalej potoczyło się samo. Jeśli przez większość czasu trzymasz gębę na kłódkę i odzywasz się tylko po to, by ich pochwalić albo kiedy wpakują w ciebie kutasa, uwierzą we wszystko. Nie udawaj, że o tym nie wiesz.

Jennifer przez chwilę spoglądała jej w oczy, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę niezły z ciebie numer - mruknęła.

Kelner przyniósł zamówione drinki, mogły więc wznieść toast.

- Dopiero teraz to zauważyłaś? - spytała Cher, pociągawszy łyk alkoholu. - Nic dziwnego, że tak łatwo dałaś się wpuścić w maliny.

Jennifer w najmniejszym stopniu nie poczuła się urażona, gdyż była to prawda. Zniosła się niemal histerycznym, trudnym do opanowania śmiechem. Ją samą przestraszył ten wybuch, ale szybko wytłumaczyła sobie, że przejścia ostatniej doby, od wyjścia na wolność po szok, jaki przeżyła we własnym mieszkaniu, późniejsze zwariowane zakupy, po zdumiewająco wspianiałą noc z Lennym w pokoju hotelowym, to było zdecydowanie za dużo jak na jeden dzień.

Cher ścisnęła ją lekko za rękę i powiedziała cicho:

- Nie składaj na mnie skargi, dobrze? - Ale zaraz zaczęła się głośno śmiać. - To jak? Zostaniemy przyjaciółkami?

- No pewnie. Pozwól jednak, że teraz ja ci wyjawię pewien plan, który mi przyszedł do głowy i w którego realizacji możesz mi pomóc. - Pochyliła się nad stolikiem. - Uważasz, że Movita, Suki i Theresa nadal powinny siedzieć za kratkami?

- Jasna cholera! Nie dam się zrobić we włamanie do więzienia.

Jennifer zachichotała.

- Daj spokój, Cher. Cieszę się, że doceniasz moje zdolności, ale nie jestem ani tak głupia, ani tak prymitywna. Mam naprawdę dobry plan.

Pochyliła się jeszcze niżej i zaczęła tłumaczyć półgłosem.

50

Jennifer Spencer

Później plan omówiła szczegółowo z Lennym, żeby mieć pewność, iż niczego nie przeoczyła. Otwarcie przyznał jej dwie rzeczy: że ma szansę powodzenia i że on, Lenny, może spędzić jeszcze jakiś czas w hotelu.

- Z powodu tych niesamowitych ręczników - wyjaśnił.

Jennifer zaśmiała się, objęła go za szyję i pociągnęła na łóżko.

- Panno Spencer - mruknął surowo. - Co też pani chodzi po łóżku? Pokojówka dopiero co ułożyła pościel.

- Niepotrzebnie - odparła, przekręciła się i usiadła na nim okrakiem.

Później, wyciągnięta w wannie, postanowiła, że odtąd już zawsze będzie wysoko ceniła uroki takiego moczenia się w wodzie. Tylko jej się wydawało, iż zna Lenny'ego, bo z pewnością go nie doceniała. Potrząsnęła głową, rozrzucając mokre włosy. Musiała iść dzisiaj do fryzjera, żeby się przygotować na wieczorne przedstawienie. Wróciła myślami do innych niezbędnych przygotowań. Cher obiecała wydrukować plik notatek i dokumentów związanych z podejrzanymi transakcjami firmy Hudsona i van Schaanka. A Lenny bez wahania podjął się roli świadka licznych machinacji, jako że nic nie ryzykował, gdyż w przeciwieństwie do nich obu nie był karany. Zanurzyła się głębiej w wodzie i zapatrzyła w sufit. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego pokoje hotelowe, w końcu niezbyt duże i dość skromnie urządzone, są tak urocze i przyjemne, podczas gdy cele w zakładzie Jenningsa przypominają

mroczne, odrażające nory. Odepchnęła się od dna wanny, nabrała głęboko powietrza i wyprężyła się na powierzchni wody.

Benson jeszcze spał. Okazał się cudownym kochankiem. Przyszło jej do głowy, że jeśli to ona zainspirowała go do szczególnych starań, powinna czuć się zaszczycona i wdzięczna. A jeśli wynikało to z jego natury, to znaczy, że była ślepa i głupia. Poczuła, że marszczy jej się skóra na palcach, opuszki pod wodą wyglądały jak białe rodzyнки. Najwyraźniej za długo już się moczyła. Jej wzrok padł na bukietik frezji, które dostała od Lenn/ego. Aż stąd czuła ich zapach, choć przecież nie należały do specjalnie wonnych, nie były też zanadto rozwinięte. Niemniej bardzo jej się podobały cienkie zielone łodyżki, proste i wiotkie niczym baletnice, oraz wyrastające w poziomie kwiaty, coraz mniejsze im bliżej szczytu pędu. Pomyślała z żalem, że to pierwsze kwiaty, jakie widzi prawie od roku. Co prawda w więzieniu ozdobiono bufet chryzantemami na Boże Narodzenie, a podczas ślubu Suki na stołach stały wyhodowane przez Wiosenkę nagietki, nie mogły się jednak w żadnej mierze równać z kwiatami od mężczyzny.

Zmarnowała za kratami jedenaście miesięcy życia, ale czy wcześniejsza praca w firmie Hudsona i van Schaanka nie była takim samym marnowaniem czasu? W końcu niczego do tej pory nie zdobyła poza przytulnym mieszkaniem umeblowanym antykami, z jedwabnymi dywanami Kirmana na podłodze, oraz zasobnymi kontami w bankach... W chwili osadzenia w zakładzie była egoistyczną i zarozumiałą lalunią. Zerwała wszelkie kontakty z dawnymi znajomymi, a nie zdobyła nowych przyjaciół, nie licząc swego szefa i byłego narzeczonego, którzy okazali się... łajdakami spod żółtego szczura, jak ocenił to Lenny. Jej podejście do życia, system wartości, podstawowe cele czy nawet punkt widzenia były dyskusyjne. Więzienie uwolniło ją od tego. Teraz doskonale wiedziała, że najważniejsze wcale nie jest to, ile się zarobi na danej operacji czy jak dużym sukcesem będzie ona w karierze, ani to, ilu ludzi będzie ją darzyło podziwem oraz szacunkiem i jak wpływowych ma znajomych. Na tę myśl aż przeszył ją dreszcz, choć woda w wannie wcale nie była zimna. Przyjmowała za pewnik, że w życiu liczą się wyłącznie przyjemności, i zareagowała jak

nadaśane dziecko, kiedy jej ich zabrakło. Ani razu nie przyznała się do winy i nie poczuła się odpowiedzialna za wszystko, co utraciła. Pobyt w zakładzie Jenningsa był dla niej koszmarem, ale dzięki niemu odnalazła wolność. Niczego się już nie bała. Nie potrzebowała przestronnego domu, wysokich zarobków ani garderoby pełnej eleganckich ubrań. Zależało jej wyłącznie na przyjaciółach i wolności. Chciała już do końca życia być wolna od lęku.

Tak jak ona bardzo się odmieniła, tak przynajmniej jedna rzecz w Nowym Jorku nie uległa zmianie - Balthazar wciąż należał do najpopularniejszych restauracji w mieście i niełatwo było zarezerwować stolik na piątkowy obiad. W dużej zatłoczonej sali panował gwar. Jej wystrój do tego stopnia przypominał francuskie bistro, iż krążyły plotki, że bracia O'Malley sprowadzają nawet paryski kurz, który rozrzuca się na podłodze. Przy okrągłych czerwonych stolikach dość dobrze prowadziło się rozmowy, ale największym powodzeniem cieszyły się miejsca na półkolistych ławach, rozmieszczonych za przepierzeniami wzdłuż wschodniej i południowej ściany, nad którymi pozawieszane tuż obok siebie tafle poszarzałych ze starości lusterek w ozdobnych ramach tworzyły coś w rodzaju olbrzymich zwierciadeł. Sufit nad główną częścią sali wykonano z emaliowanych na beżowo płatów cynowanej blachy i wciąż było do niego przyklejonych parę kart do gry, będących pamiątką po hucznych przyjęciach. Jennifer od razu przypomniała sobie przyjęcie gwiazdkowe, na które Michaels zarezerwował cały lokal i wynajął magika. Wtedy i dla personelu firmy wielką atrakcją była sztuczka, w której wybrana osoba podpisywała wyciągniętą kartę, prestidigitator wyrzucił całą talię w powietrze i właśnie ta karta pozostawała przyklejona do sufitu. Popatrzyła w dół, na swoje piękne nowe pantofelki z salonu Otto Tootsie Plohound, wspaniale prezentujące się na tle kafelkowej mozaiki na podłodze. Przepchnęli się bliżej baru, ale tu panował niesamowity ścisk, toteż Lenny pociągnął ją dalej, w stronę bufetu, gdzie na pokruszonym lodzie prezentowano wspaniale udekorowane potrawy z owoców morza.

Tu znaleźli dogodne miejsce do obserwacji tłumu gości

złożonego głównie ze śródmiejskich obiboków, maklerów z Wall Street i pięknych kobiet, jak również starszych par hucznie świętujących jakieś rocznice bądź doniosłe wydarzenia. Mimo tłoku od razu zauważyli Toma z Cher, która przestała w końcu nosić garsonki Jennifer, ale i tak wyglądała wspaniale. Udało jej się wypracować własny styl, a przy tym zachować wiele świeżości, czym wyróżniała się spośród innych kobiet. Na widok Toma Jennifer poczuła ukłucie w sercu, ale wcale nie dlatego, że nadal go kochała, lecz ze wstydu, iż kiedyś łudziła się co do jego zamiarów. Sprawiał wrażenie tak pewnego siebie i aroganckiego, że przez chwilę naszyły ją obawy, czy zdoła zrealizować swój plan. Ale nawet jego wygląd, szyty na miarę garnitur i otaczająca go aura bogactwa nie usprawiedliwiały pogardliwego stosunku do Lenny'ego i zerwania z nią zaręczyn. Pospiesznie zebrała w sobie odwagę i stwierdziwszy, że jest gotowa, rzuciła:

- Idziemy.

Wzięła Lenny'ego za rękę, a on lekko ją uściśnął. Doskonale wiedział, jak bardzo jest zdenerwowana. Tamci siedzieli przy najlepszym stoliku numer pięćdziesiąt trzy, oddzielonym od sąsiednich przepierzeniem i usytuowanym na wprost stanowiska kierownika sali. Jennifer ruszyła w ich kierunku.

- Cześć. Jak się macie? - powiedziała, spoglądając na nich z góry.

Tom podniósł głowę, zmarszczył brwi, lecz po chwili się uśmiechnął.

- Chyba nie zamierzasz urządzać tu następnej sceny, prawda? - zagadnął.

Dopiero teraz spostrzegł Lenny'ego i na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Jennifer poczuła się ośmielona.

- Sceny? - powtórzyła. - Skądże znowu!

Szybko zajęła miejsce na ławie obok Toma, podczas gdy Lenny usiadł przy Cher, tym samym odcinając Tomowi drogę ucieczki. Mógł się najwyżej wyczołgać pod stolikiem, lecz Jennifer знаła go na tyle, że była pewna, iż wolałby umrzeć, niż zrobić z siebie widowisko.

- Nie pamiętam, abym was zaprosił, żebyście się do nas przyłączyli - mruknął wrogo. - Lenny, może być jednak zabrał stąd Jennifer.

- Lepiej wysłuchaj w spokoju, co ma ci do powiedzenia - odparł Lenny.

Tom odwrócił się do Cher.

- Strasznie mi przykro. Czuję się jak zwierzyzna osaczona przez nagonkę.

- Stuł pysk, kutasie - rzuciła półgłosem Cher.

Tom zrobił wielkie oczy.

- Słucham? - wyjąkał, jakby jego uszy same z siebie odfiltrowywały brzydkie wyrazy.

- Powiedziałam, żebyś się zamknął, palancie, i uważnie wysłuchał Jennifer, zanim wspólnie połamamy ci nogi.

Zamrugał szybko.

- Nie rozumiem.

- Szkoda, bo dotąd zawsze wszystko rozumiałeś - wtrąciła Jennifer. - Będę się jednak streszczać. Mam wszelkie niezbędne dokumenty, żeby cię wpakować do więzienia co najmniej na dziesięć lat. I możesz mi wierzyć, że nie będzie to żaden ośrodek wypoczynkowy.

- Nie bądź śmieszna - burknął.

- Mam na myśli choćby umowę z Andersonem, przejęcie Thompsona czy twoją rolę w fuzji Baylera i Crupsa, jak również sekretne transakcje, które przeprowadzałeś na polecenie Michaelsa. To pozwoli bez trudu udowodnić twoje krzywoprzysięstwa i działania na szkodę klienta w mojej sprawie, a zarazem zdemaskować Donalda, chyba że w mgnieniu oka wyprze się znajomości z tobą i zostawi cię na pastwę wilków. Bo tylko w ten sposób będzie mógł sam uniknąć oskarżeń przez giełdową komisję bezpieczeństwa.

- I ja mam coś w zanadru - dorzucił Lenny. - Byłem naocznym świadkiem kilku rozmów. Mogę zeznawać pod przysięgą.

- Myślicie, że dam się zastraszyć? - spytał buńczucznie Tom.

- Mało mnie to obchodzi - odparła Jennifer. - Oczekuję od ciebie tylko jednego. Masz się skontaktować z Donaldem i wymusić na nim, żeby mi zapłacił obiecaną nagrodę i zdobył podpisane przez gubernatora uniewinnienie. - Wyjęła z kieszeni złożoną kartkę i podała mu ją. - Będzie musiał też załatwić uniewinnienie dla tych kobiet.

- Nie zamierzam nawet dyskutować w tej sprawie. Jestem adwokatem. Mówisz o informacjach objętych tajemnicą...

- A ja jestem złodziejką - przerwała mu Cher. - I wykrałam dosyć twoich informacji objętych tajemnicą służbową, nie mówiąc już o danych dotyczących twoich kont bankowych, zastrzeżonych raportów albo korespondencji w sprawach Thompsona oraz Baylera i Crupsa. W plikach znalazło się też parę notatek, twoich i Donalda, na temat waszych planów dotyczących ostatniej sprawy tej kanadyjskiej firmy petrochemicznej.

- O czym ty mówisz? - burknął Tom. - Jak mogłaś wykraść takie informacje?

Cher ziewnęła ostentacyjnie.

- Wystarczyło przejrzeć twoją korespondencję e-mailową, zajrzeć do szuflady biurka i aktówki. Skopiowałam też rachunki telefoniczne łącznie z wykazami połączeń oraz pliki z laptopa.

- Jak mogłaś...

- Dla przyjemności. - Cher pochyliła się nad stolikiem i uściśnęła dłoń Jennifer. - Poza tym, czego się nie robi dla przyjaciół - dodała, uśmiechając się szeroko.

Tom nagle zbladł, na górnej wardze i nad brwiami wystąpiły mu kropelki potu.

- Jedynymi powodami, dla których kobieta choć trochę mniej łątłowierna od Jenny idzie z tobą do łóżka, żaloszny fiutku, jest dostęp do twojego portfela, kart kredytowych i kont w banku. Postaraj się o tym pamiętać, gdy następnym razem będziesz próbował zaciągnąć do łóżka jakąś biedną cipcię, bo ja ci już więcej na to nie pozwolę. I dzięki Bogu. - Cher spojrzała na Jennifer. - Proszę, obiecaj mi, że nie będę musiała się z nim więcej pieprzyć. W łóżku jest tak nudny, iż myślałam, że serce mi przestanie bić. Nawet dla ciebie było to danie niestrawne, trudne do przełknięcia, jeśli wybaczysz mi tę analogię. - Z powrotem popatrzyła na Toma i uśmiechnęła się szeroko. - Moja przyjaciółka chce jak najszybciej zobaczyć się ze swym szefem. Radzę, abyś jej w tym pomógł. Wierz mi, że znam wielu face-tów kiblujących w pudle, i jestem pewna, że pieprzenie się z nimi nie spodoba ci się bardziej niż mnie rozkładanie nóg dla ciebie.

Do stolika podszedł kelner.

- Czy pragną państwo zapoznać się ze specjalnościami dnia?

- Nie, dziękujemy - odparła Jennifer. - Właśnie wyszłam z więzienia i muszę zaspokoić swój wilczy apetyt na owoce morza. Czy moglibyśmy dostać całą tacę potrójnej korony i butelkę veuve clicquot? W więzieniu szampana także nie podawano.

Kelner zaśmiał się krótko.

- Coś jeszcze do picia? - zapytał.

Cher ruchem głowy wskazała Toma i powiedziała:

- On niczego sobie nie życzy, a co zabawniejsze, będzie za wszystko płacił. Za to ja poproszę drugiego szampana. - Zerknęła na Toma, który gapił się na nią w osłupieniu, jakby mu mowę odjęło. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i dodała: - Jemu wystarczy, że będzie się przyglądał.

51

Jennifer Spencer

- Ale ja chcę iść z tobą - rzekła z naciskiem Cher.
- A ja chcę polecieć na księżyc - odparła Jennifer. - Tyle że nie mam na to żadnych szans.

- Dlaczego? Źle się spisałam z Tomem?

Jennifer odłożyła suszarkę do włosów i spojrzała w lustro, żeby sprawdzić makijaż. Na razie mieszkały jeszcze razem, chociaż Cher znalazła już sobie mieszkanie w Chelsea i miała się wyprowadzić przed pierwszym następnego miesiąca.

- Dobrze wiesz, że nie chcę znać żadnych szczegółów tego, jak się zabawiałaś z Tomem.

- Daj wreszcie spokój. Naprawdę zrobiłam to dla ciebie. Na pewno nie mogę iść z tobą na spotkanie z Michaelsem?

- Nie możesz.

- Wymień choć jeden powód.

- Bo chciałaś go sobie podporządkować, żeby się zabezpieczyć na przyszłość.

- Jasne. Zrozumiałam. Wolałabym jednak poznać konkretny powód.

Jennifer wstydziła się przyznać nawet przed samą sobą, że polubiła obecność Cher we własnym mieszkaniu. Miała uzasadnione obawy, iż w każdej chwili do drzwi może zapukać policja i wyprowadzić Cher w kajdankach, lecz z drugiej strony była bardzo dumna z jej dążenia do życiowej stabilizacji i unikania konfliktów z prawem. A to, że odznaczająca się instynktem drapieźnika ignorantka robiła szybką karierę na Wall

Street, utwierdzało ją tylko w przekonaniu, iż nie stała się żadną tragedią z tego powodu, że nie wolno jej teraz pracować w dotychczasowym zawodzie.

Prawdę powiedziawszy, podjęła definitywną decyzję, że chce dalej zajmować się kobietami przebywającymi w więzieniu. Nie wiedziała jeszcze, co będzie konkretnie robić, ale była pewna, że nie ma ochoty wracać do wcześniejszego życia, w którym liczy się wyłącznie sytuacja materialna i kariera zawodowa.

Cofnęła się o krok i popatrzyła na swoje odbicie w wysokim lustrze. Nie włożyła żadnej ze swoich eleganckich garsonek, skończyła z nimi na dobre. Wybrała zwykłe czarne bawełniane spodnie i białą bluzkę.

- Świetnie wyglądasz - oceniła Cher. - Jakbyś dopiero co wyszła z pudła. Więc jak, podasz mi ten konkretny powód?

- Nie zamierzam ci niczego uzasadniać. Po prostu to moja sprawa i chcę ją załatwić sama.

- Nie zalewaj. I daj grubiej szminki. Chyba nie chcesz wyglądać jak lesbia.

Jennifer sięgnęła po pomadkę Nars i przypomniała sobie purpurę ceglana, jaką Cher pomalowała jej wargi w więzieniu.

- Ale na pewno zabierasz ze sobą Lenny'ego - odezwała się McClnery tonem obrażonego pięciolatka.

- Nieprawda. Idę sama, bo muszę to sama załatwić. Gdybym jednak potrzebowała wsparcia, ty i Lenny będziecie pierwsi, do których zadzwonię.

- Zdzira - mruknęła Cher.

- I kto to mówi? Dziewczyna, która poszła do łóżka z moim byłym narzeczonym!

Wzięła swoją torebkę i ruszyła do wyjścia.

W gabinecie Donalda również nic się nie zmieniło, a tym bardziej on sam. Siedział rozwalony w fotelu, rumiany i czerstwy, dobrze ubrany i dobrze odżywiony, jak również dobrze obuty, gdyż nogi trzymał na brzegu biurka, jak zwykle założone jedna na drugą. Spuszczał je na podłogę wyłącznie przy tych rzadkich okazjach, kiedy musiał zejść do swojej limuzyny albo skopać komuś tyłek, pomyślała Jennifer. Niemniej widok tych idealnie czystych podeszew zdenerwował

ją znacznie bardziej niż wcześniejsze wkroczenie do siedziby firmy Hudson, van Schaanka & Michaels, przejście przez recepcję, zdumione spojrzenia byłych kolegów, następnie przedłużające się oczekiwanie w prywatnym sekretariacie Michaelsa, a nawet widok wyraźnie pobladłego Toma wchodzącego do gabinetu. Przypomniała jej się przeczytana gdzieś wiadomość, że prezydent Johnson mający dość nie odstępujących go na krok doradców zwykł w trakcie posiedzeń wychodzić do toalety w nadziei, że i tam pójdą za nim. Widok nieskalanych podeszew Donalda sprawił, że poczuła się właśnie tak, jakby wlaźła za nim do kibla.

- Chcę podkreślić, że zgodziłem się na tę rozmowę tylko z uprzejmości - zaczął Donald. - Tom przedstawił mi twoje żądania i pragnę postawić sprawę jasno, Jennifer. Nie masz żadnych podstaw do wysuwania oskarżeń i pod żadnym pozorem nie dam się zastraszyć. Jeśli chcesz coś dodać od siebie, mów szybko, gdyż za dziesięć minut mam bardzo ważne spotkanie.

No tak, można się było tego spodziewać, pomyślała, wzruszając ramionami.

- Nie mam przy sobie mikrofonu z nadajnikiem, więc nie musisz się obawiać, że naszą rozmowę ktoś podsłucha.

Wstała i w ciągu paru sekund rozpięła bluzkę, a potem spodnie, które spuściła do kostek. Podciągnęła bluzkę do góry i odwróciła się do niego tyłem.

- Proszę bardzo. Sam zobacz.

Zdawała sobie sprawę, że pobyt w więzieniu tylko pozytywnie wpłynął na jej sylwetkę. Chciała więc pokazać tym dwu łobuzom coś, czego nigdy nie zdobędą. Nie oglądając się nawet, żeby sprawdzić ich reakcję, pochyliła się szybko, podciągnęła spodnie, zapięła je i wetknęła za pasek luźne poły bluzki. Po wspólnych kąpielach i wielu innych upokorzeniach w zakładzie Jenningsa to małe przedstawienie nie miało dla niej żadnego znaczenia, ale na nich wywarło ogromne wrażenie.

- Czyżbyś chciała mi zaproponować swoje ciało? - zapytał Donald.

Jennifer wybuchnęła śmiechem.

- Owszem, bo właśnie przeszłam na islam - odparła,

usiadła z powrotem, założyła nogę na nogę i ostentacyjnie pokręciła głową. - Don, nie tknęłabym cię nawet kutasem Toma - powiedziała, celowo używając znieprawdzonego zdrobnienia. - Lepiej przejdźmy do rzeczy. Nie wiem, czy nagrywasz tę rozmowę, ale możesz sobie darować wszelkie bzdury w rodzaju oskarżeń o próbę szantażu. Załatwmy sprawę krótko i w zgodzie. Zawarliśmy porozumienie. Obiecałeś mi sowite wynagrodzenie, jeśli zgodzę się wziąć na siebie twoje winy.

- Doskonale wiesz, że nie popełniłem żadnego przestępstwa, Jennifer.

- Jeśli powtórzysz to jeszcze raz, Don, narobię takiego rabanu, jakiego jeszcze nie widziałeś. Porwę na siebie ubranie i zacznę wrzeszczeć, że padłam ofiarą gwałtu. Więc lepiej daruj sobie wszelkie wykręty i przejdźmy do rzeczy. Jesteś mi winien półtoraroczną pensję wraz z okolicznościowymi nagrodami za dwa Boże Narodzenia i pieniądze na wynajem większego mieszkania. Co prawda, tego ostatniego mi nie obiecywałeś, ale ponieważ czynsze dość znacznie poszły w górę podczas mojego pobytu w więzieniu, więc muszę sobie policzyć za większy metraż w ramach rekompensaty inflacyjnej. Możesz to nazwać lichwiarskim procentem.

Zastanawiał się dobrą minutę.

- To wszystko? - zapytał.

- Chcę, żeby on się stąd wyniósł.

- Domagasz się, bym go wylał? - spytał zdziwiony Michaels, zerknąwszy na Toma.

- Zaraz! - zaprotestował Tom, ale Jennifer nawet nie spojrzała w jego kierunku.

- Nie, chociaż byłoby to bardzo interesujące. Chcę, żeby teraz wyszedł z gabinetu.

- Czy to konieczne? - spytał rzeczowo Michaels.

- Jestem twoim radcą prawnym, Donaldzie, dlatego...

- Zamknij się! - syknęła Jennifer, nie spuszczać wzroku z byłego szefa. - Ta sprawa nie podlega dyskusji.

- Thomas... Czy mógłbyś nas zostawić? - odezwał się Donald jak zawsze miękko, ale tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Kiedy Branston otworzył usta, by zaoponować, powstrzymał go jednoznacznym ruchem ręki. Tom wstał powoli, z ociąganiem, i spojrzał na Jennifer wzrokiem, o którego ujrzeniu ma-

rzyła od roku: pełnym strachu. Z trudem udało jej się zachować powagę. Tak samo z ociąganiem ruszył do wyjścia. Nie obejrziała się za nim, ale sądząc po gestykulacji Michaela, jeszcze raz chciał zaprotestować. Wreszcie rozległ się stuk zamykanych drzwi.

Jeszcze przez chwilę milczała, chcąc stworzyć odpowiednią atmosferę. Przed pobytem w więzieniu sama nie potrafiła znieść tego rodzaju napięcia, ale dziś wreszcie mogła rozmawiać z Donaldem, czy raczej z Donem, zupełnie na luzie. Dlatego cierpliwie czekała, aż w końcu to on odezwał się pierwszy.

- W porządku, Jennifer. Powiedz wreszcie, o co ci chodzi. Nie chcę, byś odniosła wrażenie, że cię o coś oskarżam, ale wolałbym jednak usłyszeć konkretne zarzuty.

- To nie są żadne zarzuty, Don - odparła spokojnie. - To tylko argumenty, które pozwolą ci dokonać wyboru, przed jakim stanąłeś.

Wyjęła z torebki plik dokumentów i specjalnie położyła je na samym brzegu biurka, żeby musiał spuścić nogi na ziemię, by po nie sięgnąć. Przerzucił je pospiesznie i chyba po raz pierwszy dostrzegła na jego osławionej twarzy pokerzysty wyraz troski. Odsunął od siebie papiery i z powrotem położył nogi na biurku.

- To wszystko, czym dysponujesz? - zapytał.

- Niepodobnego.

Pokrótko opowiedziała mu o informacjach zdobytych i zgromadzonych przez Cher, jak również gotowości Lenny'ego Bena do złożenia zaprzysiężonych zeznań.

- Nie tylko przekopaliśmy się przez wszystkie pliki Toma, ale włamaliśmy się też do twojego komputera. Poza tym nie zachowałeś należytej ostrożności w podejrzanych interesach, jakie w ciągu ostatniego półtora roku prowadziłeś z Peterem Grantem. - Podała mu następne dokumenty. - Wcześniej czy później giełdowa komisja bezpieczeństwa wezwie cię na przesłuchanie w tej sprawie.

Z zainteresowaniem popatrzył na długą listę.

- Nie miałem nic wspólnego z tymi transakcjami - rzekł.

- Podobnie jak ja z twoimi machlojkami, za które jednak musiałam swoje odsiedzieć. A w tym zestawieniu widnieje

przecież twoje nazwisko, twój numer ubezpieczenia społecznego i twoje hasło dostępu. Przy okazji, jak się miewa Grendel?

- Mój pies? - spytał zdziwiony i nagle w jego oczach pojawiły się błyski zrozumienia. - Ile masz tego na mnie?

- Dużo. Bardzo dużo - odparła śmiało, choć w rzeczywistości chodziło tylko o parę drobnych transakcji. Miała jednak nadzieję, że to wystarczy.

- Dobrze wiem, że pieniądze nie są dla ciebie najważniejsze. Więc o co ci naprawdę chodzi?

Podawała mu ostatnią kartkę.

- O podpis gubernatora na uniewinnieniach tych trzech skazanych. Masz tam ich numery i wszelkie niezbędne dane.

- Przecież jedna z nich odsiaduje wyrok za morderstwo, a ja nawet dla ciebie nie potrafiłem zdobyć uniewinnienia...

- Bo nawet nie próbowałeś - przerwała mu, a kiedy ponownie otworzył usta, powstrzymała go typowym dla niego gestem. - W ciągu minionego roku odbyły się wybory, a dobrze wiem, że został wybrany na drugą kadencję dzięki twojej forsie.

Milczał przez jakiś czas, wreszcie zapytał:

- To wszystko?

- Jeszcze jedno - odparła, pozwalając sobie w końcu na uśmiech. Donald spoglądał na nią z poważną miną. - Chodzi o Toma.

52

Movita Watson

- To mi się nie podoba, Theresa - powiedziałam, patrząc na wezwanie. - Nie podoba mi się jak cholera! Podejrzewam, że czekają nas bardzo złe wiadomości.

Theresa dostała takie samo wezwanie i spoglądała na nie równie podejrzliwym wzrokiem jak ja. Miałyśmy się obie stać w gabinecie naczelniczki. Oczywiście nie były to żadne oficjalne wezwania, takie jak do sądu. Stara po prostu kazała nam przyjść do biura. Ostatnio widziałyśmy się prawie codziennie, więc gdyby miała dla mnie jakieś dobre wieści, nawet mniej ważne, na pewno przekazałaby mi je osobiście albo wysłała kogoś, żeby mnie przyprowadził. Dlatego nie mogłam zrozumieć, czemu odręcznie napisała takie wezwania i jeszcze je podpisała.

- Lepiej niczego nie podejrzewać, bo możemy wyjść na kretyнки - odparła LaBianco.

Przysięgam, że miałam straszną ochotę powiedzieć jej, by te swoje życiowe mądrości wetknęła tam, gdzie słońce nie dochodzi.

- Co to może być, Movita? - zapytała Suki, która z małą na rękach stanęła w wejściu do celi.

W garści trzymała takie samo wezwanie, naszyły mnie więc najgorsze obawy. Cisnęłam swoją kartkę na pryczę.

- Ty też dostałaś? No, to prawie pewne, że chodzi o Christinę. Niedługo skończy dwanaście miesięcy, a to, zdaje się, granica, do której pozwalają matkom zatrzymać niemowlęta. Stara będzie musiała ją odesłać.

- Och, nie! - jęknęła Suki.
- Jesteś pewna? - spytała Theresa.

Ledwie mogłam powstrzymać się od płaczu, bo dobrze wiedziałam, jak bardzo obie są ze sobą szczęśliwe. W kilku słowach wyjaśniłam wszystko Suki. Słuchała z coraz bardziej zdziwioną miną, wreszcie zaczęła szlochać, tuląc Christinę do piersi.

- Mogłam się domyślić, że właśnie o to chodzi. Bałam się, że kiedyś musi nadejść ta chwila.

- Teraz już nieważne, czy się bałaś, czy nie - odparłam scenicznym szeptem.

- W takim razie dlaczego wzywa i nas? - wtrąciła LaBianco.

- Na pewno nie chce, żeby Suki w takim momencie została sama - burknęłam ostro, bo strasznie mnie złościło, gdy Theresa nie słuchała oczywistych wyjaśnień. - Ona traktuje nas prawie jak najbliższą rodzinę. Chce, żebyśmy pomogły dziewczynie przetrwać najgorsze. Mnie dlatego, że sama przed laty musiałam oddać córkę, a ciebie z powodu tych twoich cholernych mądrości.

- To straszne! Suki będzie załamana.

Popatrzyła na mnie wzrokiem bezradnego, osaczonego zwierzęcia. Jak na kogoś, kto wszystkim radzi, żeby się nigdy nie poddawać, sama skapitulowała zadziwiająco szybko.

- Możemy do tego nie dopuścić - zaproponowałam. - Trzeba wymyślić jakiś sposób, żeby pozwolili jej dłużej zostać z małą. Za kilkanaście miesięcy będzie już mogła się starać o zwolnienie warunkowe.

Podeszłam do zlewu, żeby umyć ręce. Kłuło mnie w sercu tak samo jak wtedy, gdy wspominałam swoje dziewczynki. Szlag by to trafił! - pomyślałam. Zawsze to samo. Dlaczego najbardziej pragnie się tego, czego nie można zdobyć?!

- Chyba powinniśmy zawiadomić naczelnickę, że Christina się rozchorowała - powiedziałam, odwracając się do nich. - I dlatego jeszcze przez jakiś czas będzie musiała zostać przy matce.

Theresa spojrzała z powątpiewaniem najpierw na mnie, potem na Christinę.

- Przecież to okaz zdrowia - mruknęła.

- Chore dzieci nie zawsze źle wyglądają. Poza tym wydaje

mi się, że naczelniczka lubi Suki i Christine, toteż jeśli tylko będzie miała wymówkę, żeby dłużej zatrzymać tu małą, na pewno z niej skorzysta. Trzeba jej tylko podsunąć myśl.

- A jak sprowadzą lekarza, żeby zbadał małą? Jego nie oszukamy - wystękała zapłakana Suki.

- To się jeszcze okaże - mruknęłam, wypychając bluzkę w spodnie. - Mała nie może mówić za siebie, więc ty musisz naopowiadać, że po nocach ma jakieś dziwne objawy, kurcze albo drgawki...

LaBianco pokręciła głową.

- No, nie wiem...

- Musimy spróbować, Thereso. Przecież to jeszcze niemowlę, które musi zostać przy matce. Barbarzyństwem byłoby je rozdzielać. I ty o tym wiesz, i naczelniczka. Chodźcie już.

Wezwałyśmy oficer Mowbry i powiedziałyśmy jej, że jesteśmy gotowe. Otworzyła kratę i poprowadziła nas do gabinetu Harding. Szłyśmy jednak bardzo powoli, jak skazańcy idący na krzesło elektryczne. I przez całą drogę zastanawiałam się, jakie jeszcze objawy choroby mogłaby mieć Christina. Przypominałam sobie kłopoty z moimi dziewczynkami, takie jak ząbkowanie czy anginy, ale wszystkie wydawały mi się za mało poważne.

Suki znów zaczęła płakać, a Christina marudzić. Nie było to wcale takie złe, bo nie pozwalało dziewczynie za dużo gadać.

- Przestań wreszcie ryczeć - fuknęłam na nią. - Zachowuj się tak, jakbyś była zaskoczona decyzją. I wymyśl jakąś poważną chorobę małej.

Ale Suki dalej chlipała. Po chwili Theresa również zaczęła ukradkiem ocierać łzy. Musiałyśmy wyglądać strasznie żałośnie, kiedy Harding otworzyła drzwi i zaprosiła nas do środka. Weszłyśmy noga za nogą, jak po schodach na szubienicę. Nagle zaskoczyło mnie, że Stara sprawia wrażenie jeszcze bardziej uszczęśliwionej niż tamtego dnia, kiedy udało nam się uchronić zakład przed tymi draniami z JRU. Zaczęła gaworzyć do Christiny, co byłoby cholernie nikczemne z jej strony, gdyby za chwilę miała przekazać małą pod opiekę kuratora.

- Jak się miewa moje ukochane maleństwo? - zapytała, pochylając się nad pucołowatą, wprost promienną ze szczęścia Christina.

O mało nie narobiłam wrzasku, gdy przyszło mi do głowy, że Harding może z ulgą pozbyć się małej ze swego zakładu.

Ale Stara oddała Christinę matce, usiadła za biurkiem, i popatrzyła na nas wszystkie, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Mam dla was nowiny - powiedziała. - Bardzo ważne i bardzo dobre.

Żadna z nas się nie odezwała, nawet nie drgnęła. Mogłabym przysiąc, że mała także na chwilę zamarła.

- Nasza wspólna znajoma, Jennifer Spencer, po raz kolejny dokonała cudu - oznajmiła Harding. - Zdobyła od gubernatora bezwarunkowe uniewinnienie dla całej waszej trójki.

Pomyślałam, że za chwilę oszaleję. Pewnie nie powinnam się przyznawać, ale ogarnął mnie przeraźliwy smutek. Bo przyszło mi do głowy, że ta trójka, to Theresa, Suki i Christina, i że tylko ja będę musiała tu zostać na zawsze. Ale naczelniczka uśmiechała się głównie do mnie, a chwilę później w jej oczach zabłyśły łzy. I nie były to łzy smutku.

- Ty także, Movito - dodała, jakby czytając w moich myślach. - Możesz wracać do domu.

Jeszcze nigdy nie czułam czegoś takiego jak w tamtej chwili, w gabinecie Harding, nawet wtedy gdy sędzia odczytywał mi wyrok dożywocia bez możliwości ubiegania się o zwolnienie warunkowe. Miałam wrażenie, że słowa Starej przeszły całe moje ciało na wylot niczym wstrząs elektryczny, zanim jeszcze dotarł do mnie ich sens. Najpierw zadygotały mi ramiona, potem drgawki przeniosły się w dół na ręce, jakbym dostała jakiegoś ataku. Później zmiękły mi nogi, tak że pewnie bym się przewróciła, gdybym stała, wreszcie ścisnęło mnie w żołądku, aż zgięłam się wpół, jakbym naprawdę miała się porzygać. Dopiero na końcu słowa do mnie dotarły i pojęłam ich sens. Ale nie mogłam uwierzyć. Miałam straszliwe przeczucie, że Harding mnie zwyczajnie okłamuje.

- To niemożliwe, naczelniczko - jęknęłam^ wciąż nie mogąc się wyprostować na krześle. - Niech pani nie mówi takich rzeczy, jeśli to nieprawda.

- Ależ to prawda. Niestety.

Szał mnie ogarnął, że przeprasza za coś takiego, lecz i tak nie mogłam się śmiać. Dopiero powoli, stopniowo zaczynało mnie rozpierać coś w rodzaju szczęścia, choć w głębi serca bałam się,

że to tylko jeszcze jeden sen i za chwilę się obudzę, mając przed oczami brudnoróżową betonową ścianę celi. Siedziałam jak sparaliżowana. I mózg też miałam sparaliżowany. Słyszałam, jak Theresa zaczyna gadać, a Suki znów wybucha płaczem, ale czułam się, jakbym była gdzieś daleko od nich. Ścisnęły się z radości i chyba nawet któraś mnie objęła, ale prawie tego nie zauważyłam.

- Och, mój Boże! - dotarł do mnie okrzyk Theresy. - Jak ona to zrobiła?! Mój Boże! Ta dziewczyna to święta! Musiałabym odsiedzieć jeszcze dwa lata, zanim bym wyszła na wolność! Chyba zaraz zemdleję!

Suki ryczała coraz głośniej, kołysała Christinę w ramionach i powtarzała:

- Pojedziemy do domu, maleńka. Pojedziemy do domu.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że i ja stąd wychodzę. Siedziałam na krześle i słuchałam obojętnie, jak Harding rozwodzi się na temat sukcesu Jennifer.

- Dostałyście wszystkie uniewinnienia bezwarunkowe, co oznacza, że od razu możecie wyjść na wolność. Nie musicie stać przed żadną komisją. To nie są zwolnienia warunkowe. Może to do was nie dociera, ale na Zewnątrz będziecie miały prawo swobodnie kontaktować się ze sobą. Nie będziecie się musiały meldować na policji ani spotykać z kuratorem.

Wreszcie się wyprostowałam i rozejrzałam po gabinecie. Theresa siedziała na samym brzeжку krzesła, gotowa poderwać się na nogi i zwiewać stąd natychmiast. A Suki miała strasznie poważną minę, jakby nagle stała się kimś bardzo ważnym.

Naczelniczka wstała i kazała nam wracać do cel, spakować rzeczy i zameldować się z powrotem w biurze. Dopiero wtedy obleciał mnie strach.

- To znaczy, że możemy wyjść już teraz? - zdziwiła się Suki. Harding zaśmiała się w głos.

- Prawdę mówiąc, macie na to dwadzieścia cztery godziny, potem będę musiała usunąć was siłą. Nie jesteście już więźniarkami zakładu Jenningsa.

Jeszcze nigdy w życiu nie zemdlałam, ale gdy naczelniczka to powiedziała i zapanowała ogólna radość, znów poczułam w kolanach taką miękkość, że nie byłam pewna, czy utrzymam się na nogach, chociaż ciągle siedziałam. Poza tym krew ude-

rzyła mi do twarzy i dłoni, jakbym je wsadziła w ogień. Poczulałam, że pot występuje mi na czoło, a po bokach ścieka już strużkami spod pach. Podniosłam wzrok na jasny prostokąt okna za plecami Harding - tenże prostokąt dziennego światła, na który gapiłam się tysiące razy - i ten nagle jeszcze pojaśniał, a blask słońca wdarł się do pokoju. Spojrzałam na Theresę i Suki, oczekując od nich pomocy, lecz stawały się coraz bledsze i bledsze, a jednocześnie oddalały się ode mnie. Patrzyły na mnie z zatroskanymi minami, ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, całkiem rozpląnęły się w tym blasku i poczułam, że zsuwam się z krzesła. Wszystko dokoła po prostu zniknęło.

Ocknęłam się na podłodze. Theresa i naczelniczka pochyłały się nade mną. Harding podtykała mi pod nos coś, co paskudnie cuchnęło, a LaBianco trzymała w ręku worek z lodem. Dźwignęłam się na kolana, ale nic nie powiedziałam, bo nadal nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.

- Weź się w garść, Movita - mruknęła Theresa. - Musimy wracać do celi. Pomogę ci.

Miała strasznie poważną minę. Chyba się domyślała, przez co przechodzę.

Naczelniczka objęła mnie ramieniem i dodała bardzo cicho:

- Wszystko będzie w porządku, Movito. Szczerze mówiąc, chyba nawet lepiej niż w porządku. Idź, spakuj rzeczy i wracaj tu. Nic więcej nie musisz robić.

Podniosłam się z podłogi i mruknęłam, że nic mi nie jest. Theresa uściskała mnie serdecznie, a po niej Suki i na końcu Harding, naprawdę uszczęśliwiona.

- Wracaj do siebie, pozbieraj się, a potem pakuj swoje rzeczy - powtórzyła.

Podziękowałam jej i ruszyłam do drzwi. Gdy tylko wyszłyśmy na korytarz, zaczęłam płakać. Suki poszła przodem, a Theresa wzięła mnie pod rękę. Szlochałam tak, jakbym miała beczeć już do końca życia. Chyba jeszcze nigdy nie było mi tak smutno, jak na tym więziennym korytarzu. Nie wiem dlaczego. Rozkleiłam się dobre, bo przyszło mi do głowy, że chyba nie jestem jednak podłym szczurem, którego należy trzymać pod kluczem w piwnicy. To znaczy, właściwie wcale tak nie pomyślałam, bo nie potrafiłam normalnie myśleć, ale pamiętam, że

ogarnęło mnie tego rodzaju uczucie. No i wypłakałam się za te wszystkie lata, kiedy siłą powstrzymywałam się od łez.

W celi Theresa zaczęła wygarniać swoje rzeczy. Uspokoiłam się wreszcie, ale nie mogłam nawet ruszyć palcem. Powiedziały mi, żebym brała, na co mam ochotę, a resztę zostawiła. Pomyślałam, że to jeszcze jeden z jej głupich sloganów, ale był przynajmniej na miejscu. Oderwałam od ściany zdjęcia moich dziewczynek, wyciągnęłam listy od nich, nie miałam jednak pojęcia, co jeszcze mogłabym wziąć.

- I gdzie my się teraz podziemy? - zapytała LaBianco.

Zdażyłam ochłonać na tyle, żeby zaczęło mi się przejaśniać w głowie. Przerwała robotę, wyprostowała się i popatrzyła na mnie.

- To rzeczywiście dobre pytanie - odparłam. - Nie wiem. I niby jak mamy stąd odejść? Na piechotę?

Theresa się uśmiechnęła.

- Na pewno naczelniczka nam jakoś pomoże. Mamy przecież swoje pieniądze, nie wykorzystane fundusze z bufetu, wynagrodzenie za pracę i po stówie zapomogi. A jeśli sprzedamy jeszcze swoje akcje, będziemy bogate. Nie zapominaj o tym.

- Ale nie da się tego załatwić od ręki. - Pewnie zabrzmiało to dziwnie, ale coraz bardziej się bałam.

- Harding wie, że nie możemy iść stąd na piechotę do miasta. - Rozłożyła szeroko ręce i z zamyśloną miną popatrzyła w sufit.

Chyba próbowała mnie rozweselić, bo jestem pewna, że zdawała sobie sprawę, co czuję. Miała siostry i liczną rodzinę, nie musiała kombinować, gdzie się podziać. Ja miałam tylko swoje dziewczynki, ale poza tym...

Stanęła nade mną i obrzuciła krytycznym wzrokiem moje rzeczy.

- Naprawdę nie chcesz zabrać nic więcej? Żadnych ubrań? Przecież będziesz musiała coś na siebie włożyć.

Zaczęłam więc wyciągać ciuchy z szafki, ale zaprojektowane przez mnie spodnie i bluzki wydały mi się nagle do niczego. Szybko zgarnęłam mydło, pastę i szczoteczkę do zębów. W ciągu minuty zawiązałam wszystko w tobołek i jak zawsze stanęłam przed kratą, gotowa do wyjścia. Zauważyłam jednak, że tym razem mogę ją sama odsunąć.

- Spójrz! Ryan nie zamknęła kraty!

Theresa pchnęła ją i otworzyła na oścież.

- Bo już nie jesteśmy więźniarkami, Movito! Wychodzimy stąd!

Ruszyłam za nią korytarzem, ściskając tobołek, ale jeszcze się obejrzałam. Popatrzyłam na swoją pryczę, zlew w kącie i puste miejsce na ścianie po zdjęciach dziewczynek. Była to najgorsza nora, jaką w życiu widziałam, ale gapiłam się na nią co najmniej przez minutę, bo przecież w niej właśnie spędziłam tyle lat.

W zamyśleniu dowlokłam się do celi Suki, która miała do zabrania dużo więcej rzeczy, wszystkie ubranka, sprzęt i pieluchy małej. Christina spała w nosidełkach. Uświadomiłam sobie, że nie mam ochoty się z nikim żegnać, bo byłoby to dla mnie cholernie bolesne. Na szczęście zaraz zjawiła się Ryan i poprowadziła nas z powrotem do biura naczelniczki. Przez cały czas diabelnie się bałam, że usłyszymy od niej coś w rodzaju: „Prima Aprilis!”. Ale tak się nie stało.

- Chodźcie ze mną - powiedziała, rozkładając szeroko ręce, jakby chciała nas wszystkie jednocześnie objąć. - Wyprowadzę was na Zewnątrz.

Poszłyśmy za nią niczym wizytatorki, jak jedna z tych delegacji JRU International, które od czasu do czasu przyjeżdżały na kontrolę zakładu Jenningsa. A wszyscy, których po drodze mijaliśmy, patrzyli na nas zupełnie innym wzrokiem niż do tej pory. Cóż, w kobiecym więzieniu nie da się niczego zachować w tajemnicy.

- Tylko dokąd pójdziemy, pani naczelnik? - odezwała się Suki. - Nie miałam nawet czasu, żeby zawiadomić Rogera... No i... - Popatrzyła na mnie.

Poczułam się głupio, choć dobrze wiedziałam, że to tylko przejaw jej troski o mnie.

- Ja chyba też nie mam się gdzie podziać - mruknęłam.

- Tym naprawdę nie musicie się przejmować - odparła Harding. - Ktoś się wami zaopiekuje na Zewnątrz. Na razie wszyscy razem pojedziemy na lunch. Potem będziemy się zastanawiać, gdzie znaleźć wam dach nad głową.

Cóż, może jestem szurnięta, ale przecież nie głupia. Od razu się domyśliłam, że przed bramą będzie czekała Jennifer Spen-

cer. I ogarnęło mnie najwspanialsze uczucie na świecie, kiedy wyszłyśmy na Zewnątrz i zobaczyłam ją. Dopiero wtedy do mnie dotarło, że wcale nie śnię.

Co więcej, Jennifer przyjechała po nas niezwykłą, zdumiewająco wielką limuzyną! Miała chyba po sześć okien z każdej strony. A gdy szofer otworzył drzwi, ze środka wyskoczyło chyba z pięćdziesiąt napełnionych helem balonów, które szybko uniosły się w powietrze.

- Niech żyje wolność! - zawołała Jennifer.

No i znowu zaczęłam ryczeć. Byłam jej tak wdzięczna, że nie mogłam wydusić z siebie ani słowa, więc tylko uściiskałam ją serdecznie. A tu nagle z samochodu wyskoczyła ta dzidra, Cher McInnery.

- Więc jednak lubisz ją bardziej niż mnie? - rzuciła.

Przysięgam, że mnie zamurowało, ale i ją wyściskałam bez słów. Powiedziała mi później, że po raz pierwszy widziała mnie tak milczącą.

Wraz z naczelniczką zapakowałyśmy się do auta i odjechałyśmy spod zakładu Jenningsa. Przez chwilę w wozie panowała cisza, kiedy toczyliśmy się alejką dojazdową. Bałam się, że Harding zacznie gadać na temat naruszenia przez Cher i Jennifer warunków zwolnienia, bo przecież nie wolno im było się spotykać. Ale Gwen milczała. Ja i Theresa wyglądałyśmy przez okna, Suki też by pewnie wyjrzała, gdyby nie musiała się zająć Christina. Dopiero później spojrzałam na Jennifer. W moich oczach była to najlepsza i najładniejsza dziewczyna na świecie. Wiedziałam już, że do końca życia będę o niej myśleć z taką wdzięcznością, jakiej nie da się wyrazić słowami. Nieważne, że była biała, bo kochałam ją jak rodzoną siostrę. Chyba nikt nie zrozumie w pełni, co się naprawdę czuje zaraz po wyjściu z więzienia. Nawet ja nie mogłam tego pojąć, choć przecież sama to odczuwałam.

Jennifer nie mogła się nadziwić, jak Christina urosła. Aż musiała ją obudzić, żeby się napatrzeć.

- Jakaś ty duża! Jak Boga kocham, Suki, to najwspanialsze dziecko, jakie dotąd widziałam! Śliczna, pucołowata laleczka! - Wyciągnęła z torby pięknie zapakowane pudełko. - Proszę, mam coś dla niej. Może byś od razu ją przebrała?

Popatrzyłam na ten prezent w ładnym wzorzystym papierze i od razu zwróciłam uwagę, że nie był rozpakowywany do kontroli.

Suki otworzyła pudełko i wyjęła dziecięcą sukienkę w kwiatki oraz identyczny sweterek. Szybko rozebrała Christinę z bawełnianych śpiochów. W nowym komplecikui miała wyglądała naprawdę cudownie. Aż zaczęłyśmy się wszystkie głośno śmiać, bo same uśmiechy ani żadne słowa nie mogły oddać naszej radości.

Jennifer przedstawiła nam swój plan. Najpierw miałyśmy wspólnie zjeść lunch, po którym naczelniczka musiała wracać do zakładu, my zaś ruszałyśmy w podróż do Nowego Jorku. Powiedziała, że pierwszą noc spędzimy razem w jej mieszkaniu, a nazajutrz możemy się rozjechać do swoich domów. Wydała dyspozycje szoferowi. Przez cały czas myślałam, że to sen, spuściłam więc głowę na piersi, żeby znowu nie zemdleć.

Zajechałyśmy na lunch do jakiejś fikuśnej restauracji, która wydawała mi się najpiękniejszym lokalem na świecie. Powiedziałam to głośno. Byłam jedyną czarną w tym gronie, choć nie brakło Afroamerykanów wśród kelnerów i personelu. Po prostu zapomniałam, że świat na Zewnątrz jest głównie biały. Ale byłam tak szczęśliwa, że nic nie mogło mi popsuć nastroju. Osłupiałam, gdy zajrzałam do karty dań. Dla mnie był za duży wybór. Mimowolnie zacisnęłam kurczowo palce na menu. Co miałam wybrać do jedzenia? A co do picia?

- Zacznijmy wszystkie od sałatki Cobba - zaproponowała Jennifer, zauważywszy najwyraźniej moje wahanie.

Nie miałam zielonego pojęcia, co to za sałatka, ale zgodziłam się z ochotą. I po dziś dzień smak niebieskiego sera pleśniowego kojarzy mi się ze smakiem wolności.

- Panienko, zabiorę cię w takie miejsca, przy których ta knajpa to nędzna spelunka - mruknęła do mnie Cher.

Szybko pokręciłam głową. Naprawdę uważałam, że w takiej chwili żadne miejsce nie może mi się wydać piękniejsze. McInnery także nie mogła się nacieszyć z naszego spotkania. Muszę przyznać, że wyglądała bombowo. I sprawiała wrażenie dużo młodszej niż wtedy, gdy siedziała z nami.

Ale najlepsze zdarzyło się na końcu. Kiedy wyszłyśmy z re-

stauracji, na parking zajechała druga taka sama limuzyna i zaczęły się z niej wysypywać siostry Theresy, później wysiadł Roger Camry ze swoją matką, a na końcu moje dziewczynki, najpierw Jamorah, potem Talitha i Kiama. Wszystkie były ślicznie ubrane.

- Mamo! - zawołała Jamorah i rzuciła się przez parking biegiem, szeroko rozkładając ręce, by mnie uściskać tak gorąco, jak nigdy dotąd.

53

Maggie Rafferty

Jedna po drugiej stary się bliskie memu sercu i jedna po drugiej odeszły. Najpierw Jennifer Spencer dostała zwolnienie warunkowe, a teraz panna Watson, panna LaBianco i Suki Conrad ze swą śliczną małą Christina zostały uniewinnione. Nie zazdrościłam im tego, że odzyskały wolność, ale strasznie za nimi tęskniłam. Co prawda, miałam bardzo dużo zajęć w mojej nowej roli starościny zakładu karnego. Dziesiątkom kobiet potrzebne było fachowe doradztwo i doraźna pomoc, potrzebny był rzecznik ich praw, jak też osoba, z którą mogły podzielić się troskami. Bez wahania przyjął tę funkcję. Poza tym przyjaciółki mnie nie porzuciły, tylko wyszły na wolność, a ponieważ mogły bez ograniczeń pisać do mnie i przyjeżdżać na widzenia, korzystały z tego i to dość często.

Znów zaczęłam jadać posiłki w samotności, ale jakość potraw w stołówce poprawiła się do tego stopnia, że często tam chodziłam i wracałam z porcją do swojej celi. Z przyjemnością korzystałam z każdej chwili wytchnienia po całodziennych rozmowach z ludźmi. Ale kiedy w dodatku usłyszałam plotkę, że Harding odchodzi ze stanowiska naczelnika - co gorsza, potwierdzoną także przez strażników - pomyślałam, że serce mi pęknie. Dwa albo trzy razy w tygodniu spotykałyśmy się przy herbacie w jej gabinecie, żeby porozmawiać nie tylko o problemach więźniarek. Dlatego pogrzyżyłam się w prawdziwej żałobie na myśl, że i tego mi zabraknie. Nie narzekałam na brak zajęć, wręcz przeciwnie, całe dni wypełniałam ciekawą i pozytywną działalnością. Było wiele młodych kobiet, które zdąży-

lam polubić, a po zamknięciu w odrębnym skrzydle znerwicowanych i upośledzonych po nocach nie przeszkadzały mi już krzyki czy przekleństwa, rzadko zdarzały się rozróby przeszkadzające w posiłkach, lekcjach czy też zwyczajnej rozmowie. Ponadto zaczęłam darzyć olbrzymim szacunkiem Wiosenkę, której każdego ranka pomagałam przy pracy w nowym ogródku. Niewiele się odzywała, ale jej obecność działała na mnie kojąco, a po pewnym czasie doszłam do przekonania, że w swym poplątanym umyśle znalazła także miejsce dla mnie. Skończyła wreszcie z daremnymi próbami ucieczki i mogła o każdej porze wychodzić z budynku, żeby pielęgnować rośliny, hodować kwiaty i urządzać śliczną cieplarnię pod folią.

Dziedziniec obsiano trawą i posadzono na nim młode brzoźki, gdyż „terenem rekreacyjnym” stała się ścieżka biegnąca dookoła budynku. Nie musiałam wreszcie dreptać w kółko, zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Cała brygada zajmowała się urządzeniem tego „leśnego szlaku” - nieco krętego, ale prowadzącego na zewnątrz ogrodzenia i na całej długości widocznego z wieżyczek strażniczych, żeby nikomu nie stała się na nim żadna krzywda - żebyśmy podczas spacerów miały złudzenie czegoś w rodzaju Arkadii. Mniej więcej jedna trzecia była już gotowa, obsadzona azaliami i rododendronami, jak też drobniejszymi kwiatkami i bylinami, co nadawało ścieżce atrakcyjny naturalny wygląd. Wiele kobiet zainteresowało się urządzeniem terenów zielonych i uprawą roślin w ogóle, toteż musiałam czuwać, aby Flora, która przejęła po mnie funkcję bibliotekarki, sprowadzała najlepsze książki z tej dziedziny. Możliwość spacerowania poza ogrodzeniem stała się jednym z nowych przywilejów w zakładzie Jenningsa, tak wysoko cennionym, że większość rozsądnie myślących kobiet wołała zachowywać się nienagannie, by nie utracić do niego prawa.

W każdym razie wieści o bliskim odejściu naczelniczki bardzo mnie zaniepokoiły, tym bardziej że nie byłam na to przygotowana. Oczywiście były to tylko plotki, ale natychmiast zadzwoniłam do biura i zapytałam, czy mogę przyjść na rozmowę. Opryskliwą pannę Ringling zastąpiła w końcu o wiele przyjemniejsza starsza kobieta, niejaka Ethel Schultz. Co rozumiałe, nikt jeszcze nie zajął miejsca po Mpvicie. Była jednak pewna młoda kobieta o imieniu Tulip, której za moją namową

naczelniczka postanowiła dać szansę. To ona właśnie odebrała telefon, poprosiła, żebym zaczekała, i po chwili przekazała, że mogę przyjść już teraz. Trochę mi ulżyło, ale w sekretariacie musiałam czekać jeszcze prawie dwadzieścia minut, bo natłok telefonów i faksów wyraźnie wskazywał, że plotka może okazać się prawdziwa. Rzecz jasna, mogłam zapytać Tulip, gdy była mi winna przysługę, ale nigdy nie lubiłam wykorzystywać takich okazji. Dlatego usiadłam w kąciaku, splótłam dłonie na udach i zapatrzyłam się na nie.

Miałam ręce staruszki. Ich wygląd świadczył wyraźnie, że w życiu sporo pracowałam fizycznie, a liczba żółtawych plam na skórze wskazywała, iż jestem już dawno po menopauzie. Ale tę ręce pielęgnowały dwóch synów, przewijały ich i pudrowały, czule dotykały ciała mężczyzny, gestami pomagały w nauce niezliczonej rzeszy dziewcząt, a potem zabiły człowieka. Gapiłam się na nie jak urzeczona, jakbym wpadła w dziwny trans. No cóż, pomyślałam, jeśli zajdzie taka konieczność, będą musiały się teraz obejść ciepłym kubka gorącej herbaty bez towarzystwa naczelnik Harding.

Wreszcie zabrzączał interkom i pani Schultz przekazała uprzejmym tonem, że mogę teraz wejść do gabinetu. Ruszyłam do drzwi na sztywnych nogach, szykując się na najgorsze.

- Czy to prawda, Gwendolyn? - zapytałam od progu.

Przez lata zwracaliśmy się do siebie oficjalnie, dopiero ostatnio zaczęliśmy mówić sobie po imieniu, chociaż bardzo uważałam, żeby robić to wyłącznie na osobności, w jej gabinecie.

- Tak, Margaret - odparła, uśmiechając się szeroko.

Chyba ani trochę nie żałowała rozstania z zakładem Jenningsa. No cóż, nawet trudno było jej się dziwić.

- Gratuluję - powiedziałam i uśmiechnęłam się do niej, za wszelką cenę próbując ukryć rozczarowanie.

- Wyglądasz na zmartwioną, Margaret. Coś się stało? - zapytała z troską w głosie.

- Nic wielkiego. Naprawdę - odparłam, siląc się na spokój. - Wiesz już, kto przyjdzie na twoje stanowisko?

- Na moje stanowisko? - zdziwiła się. - Uważasz, że powinienam z niego zrezygnować? Daj spokój, już to przerabialiśmy.

- Przecież zostałam mianowana dyrektorką wydziału do spraw więziennictwa, dlatego zakładałam...

- Że odchodzę? Nic podobnego. Zgodziłam się objąć to stanowisko tylko pod warunkiem, że nadal będę mogła urzędować tutaj. - Urwała na chwilę. - Rany. Jeśli nawet ty pomyślałaś, że odchodzę, tak samo muszą uważać wszyscy. - Pokręciła głową i odchyliła się na oparcie krzesła. - Wybacz, że przeze mnie niepotrzebnie się martwiłaś. Donikąd się nie wybieram. To prawda, że biorę na siebie dodatkowe obowiązki, lecz nadal będę pracowała tutaj, w zakładzie Jenningsa. Władze stanowe zamierzają wynająć niedaleko pomieszczenia biurowe. Zastanawiałam się, czy nie miałybyś ochoty włączyć się do tych działań.

Ledwie zdołałam się otrząsnąć. Łzy zakręciły mi się w oczach.

- Dzięki Bogu. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Ja... chyba nie zniosłabym kolejnych zmian w swoim otoczeniu.

- Niestety, będą zmiany, ale raczej na lepsze. A skoro już o tym mowa, dostałaś coś takiego?

Wyjęła z szuflady białą kopertę i podała mi ją. Trochę potrwało, zanim roztrzęsionymi rękoma wyjęłam kartkę ze środka. Okazało się, że to zaproszenie na ślub Jennifer Spencer.

- Nie, jeszcze go nie dostałam. Prawdę powiedziawszy, wcale mnie to nie dziwi. Lenny to przeuroczy człowiek.

- Szykuje się huczne wesele - oceniła Gwendolyn.

Chyba zanadto ciążył mi jeszcze smutek, jaki mnie wcześniej ogarnął, gdyż zdołałam jedynie wydukać:

- W każdym razie Jennifer zasługuje na pełnię szczęścia. A ja nie mam się co szykować na wesele, skoro nie przysługuje mi prawo opuszczania więzienia.

- Jesteś w błędzie. Będiesz mogła się bawić na weselu - odparła naczelniczka.

- Gwendolyn, nie rób mi złudnych nadziei. Przecież nie jesteśmy z Jennifer spokrewnione. Wiem, że niektóre przepisy się zmieniły, ale przecież nie wszystkie.

- Będzie ślub i będzie zabawa. - Harding zachichotała. - Przeczytaj uważnie treść zaproszenia, Margaret. Była skazana numer 71036 tutaj chce wyprawić wesele.

- Tutaj? - spytałam osłupiała. - To znaczy gdzie?

- Niedaleko, w szopie.

W więzieniach dla mężczyzn często organizuje się śluby. Nie powiem, że rozumiem to zjawisko, ale zdumiewająco

dużo kobiet najpierw koresponduje ze skazanymi, potem coraz bardziej angażuje się uczuciowo, w końcu wychodzi za mąż, nawet jeśli ich wybranek odsiaduje wieloletnią karę za poważne przestępstwo. Może nie bez znaczenia jest to, jak zasugerowała kiedyś Gwendolyn, że małżeństwo ze skazanym ma tę zaletę, iż zawsze wiadomo, gdzie mąż przebywa. Według mnie odzwierciedla to zamiłowanie kobiet do fantazji i romantyki - jeśli nie ma nikogo padającego do stóp, wybranego mężczyznę można widywać tylko z rzadka, do zbliżeń seksualnych dochodzi okazyjnie albo w ogóle przeżywa się je tylko w wyobraźni, kobieta jest zdolna w każdej chwili zobaczyć wyśnionego księcia z bajki. Za to śluby w więzieniach dla kobiet są niezwykle rzadkością. A przecież kobiety uwielbiają takie uroczystości. Możecie więc sobie wyobrazić, jakie poruszenie zapanowało w zakładzie.

Szopa w ogrodzie zamieniła się w kwiecistą altanę, zupełnie zniknęła wśród białych bzów, róż, eustomy, lili i bluszczu. Przed nią stanęły rzędy krzeseł ozdobionych białymi wstążkami. Więźniarki zgłosiły się na ochotnika do utkania ręcznie wyszywanego białego chodnika, który pokrył całą drogę od wejścia na dziedziniec do szopy. Ślub był naprawdę przepiękny. Jennifer wyglądała wspaniale. Miała na sobie prostą białą jedwabną suknię zaprojektowaną przez Movitę, ozdobioną tiulem, na którym fantastycznie załamywało się światło słoneczne. Miała też bardzo długi tiulowy welon doczepiony do skromnego stroika na włosach i śliczny bukiet przygotowany przez Wiosenkę. A Leonard (bo jestem chyba jedyną osobą, która uparcie odmawia posługiwania się tym brzydkim zdrobnieniem, pod którym jest powszechnie znany) wyglądał bardzo elegancko w jednorzędowym czarnym garniturze. Trochę żałowałam, że na ślubnym kobiercu nie stanął Bryce albo Tyler, bo wtedy Jennifer weszłaby do naszej rodziny. Zdawałam sobie jednak sprawę, iż żaden z moich chłopców nie jest dobrym kandydatem na męża, a Spencer i tak jest mi bliska niczym najbliższa rodzina. Nie miałam cienia wątpliwości, że do końca życia nie stracę z nią kontaktu.

Przed uroczystością wraz z innymi „druhnami”, to znaczy Movitą, Suki, Theresa i Cher, pomagałam pannie młodej się szykować. I Jen poprosiła, bym poprowadziła ją do ołtarza,

gdyż nie miała już rodziców. Zgodziłam się z przyjemnością. Przez lata odgrywałam rolę zastępczej matki, a teraz, na nowym stanowisku, byłam dla więźniarek nawet więcej niż przybraną matką.

Trochę się niepokoiłam, że niektóre skazane mogą się niewłaściwie zachować, ale przygotowywałam je przez ostatnie dwa tygodnie i odnotowałam z satysfakcją, iż nauki nie poszły w las. Nie potrafiłam ocenić, jak matka Bensona, a zwłaszcza jego postarzały ojciec zapatrują się na to niezwykle miejsce ślubu, nie uszło jednak mojej uwagi, że są bardzo dumni z synowej.

Nie uczestniczyłam w ślubie od czasu nieudanego związku Tylera, to znaczy od przeszło piętnastu lat, i od dłuższego czasu nie mogłam być obecna na żadnych uroczystościach moich synów, toteż byłam szalenie podekscytowana. Kiedy rozległy się pierwsze dźwięki marsza weselnego (z wypożyczonego przez naczelniczkę odtwarzacza kompaktów), ustawiliśmy się wszystkie w szyku, czekając nerwowo na tę chwilę, kiedy będziemy mogły wkroczyć na dziedziniec. Theresa i Cher jako główne drużny poszły przodem, za nimi drużna honorowa, czyli Movita, a dalej Suki z Christina pełniące funkcje dziewczynek rozsypujących kwiaty. Wszystkie wyglądały olśniewająco w lawendowych sukniach, ze starannym makijażem na twarzach i z wymanikiurowanymi dłońmi. Kiedy się oddaliły na dwadzieścia kroków (które skrzętnie odliczałam), lekko trąciłam Jennifer, na co odpowiedziała z za welonu szerokim uśmiechem.

- Chodźmy wreszcie i my - powiedziała, zlekceważyła nadstawione ramię i zwyczajnie wzięła mnie za rękę.

Kiedy wyszliśmy na skąpany w słońcu dziedziniec i owionęło nas świeże powietrze, odniosłam wrażenie, jakbym po raz pierwszy od lat wyszła na dwór. Wśród gości rozległ się stłumiony szmer, coś w rodzaju głośnego westchnienia połączonego z jękiem zachwytu. Poczułam się odmłodzona. Widok ubranych na lawendowo druzhen na tle białego chodnika biegnącego przez trawę między młodymi brzózkami zapierał dech w piersi. Gdy zbliżyliśmy się do pastora, lekko ścisnęłam dłoń panny młodej. Nie miałam ochoty wypuszczać z uścisku jej ręki na końcu chodnika, ale musiałam to zrobić, bo Gwendolyn zbliżyła się szybko i pociągnęła mnie w stronę mojego miejsca.

- Czyż nie jest porywająca? - zapytałam szeptem.
- Bez dwóch zdań - odparła.

Ceremonia była niezwykle wzruszająca. Nawet najbardziej wredne małpy ocierały łzy z policzków.

Kiedy pastor ogłosił młodą parę mężem i żoną, Leonard odwrócił się i ujął twarz Jennifer w obie dłonie. Siedziałam tuż obok i nie uszło mojej uwagi, że ma piękne, szczupłe, długie i silne palce. Pochylił się i pocałował swoją wybrankę tak gorąco, żarliwie i namiętnie, że można było tylko mieć nadzieję, iż tak samo będzie wyglądało całe ich małżeństwo. A Jennifer zaczerwieniła się tak samo, jak czerwieniły się wszystkie panny za mojej młodości, kiedy jeszcze panowała moda na twista. Uznałam, że jest bardzo mądrą i roztropną dziewczyną, skoro wybrała sobie Bensaona za męża, gdyż ta decyzja dla każdej kobiety może stać się początkiem życiowej katastrofy. Według mnie dokonała właściwego wyboru. Leonard bardzo ją kochał i coś mi podpowiadało, że to uczucie szybko nie wygaśnie.

Kiedy nadeszła pora, aby rzuciła gościom swój bukiet, zebrała się tak duża i tak energiczna grupa chętnych do łapania, jakiej jeszcze nigdy nie widziałam. Jennifer przy pomocy Len-ny'ego stanęła na krześle, zamknęła oczy i rzuciła kwiaty. Jednocześnie ku górze uniosły się dziesiątki rąk, jakby więźniarki oczekiwały, że z nieba pospadają paczki z prezentami. Niektóre zastosowały nawet typowe dla koszykarzy blokowanie przeciwniczek. Bukiet nagle zniknął w gąszczu rąk i utworzyło się coś w rodzaju młyna rugbystów. Kwiatów nigdzie nie było widać, nikt nie podnosił ich w triumfalnym geście ponad głowy tłumu. Naszły mi obawy, że kobiety rozszarpią bukiet na strzępy, pragnąc zdobyć choćby niewielką jego częśćkę.

Nagle ujrzałam wiązanek w powietrzu, a za nią wyłoniła się z tłumu spalona słońcem i poorana zmarszczkami twarz o silnie błyszczących oczach. Obejrzałam się na Jennifer, która wciąż stała na krześle. Wybuchnęła gromkim, nieopanowanym śmiechem, wskazując na tłum. Popatrzyłam z powrotem na gromadę więźniarek i dopiero po chwili uświadomiłam sobie przyczynę wesołości panny młodej. Dużą wiązanek kolorowych kwiatów kurczowo ścisnęła w rękach uśmiechnięta od ucha do ucha Wiosenka.

Epilog

Ani trochę nie użalałam się nad sobą mimo wszystkiego, przez co musiałam przejść. Tak samo nie było mi żal Toma Branstona, kiedy został usunięty z palestry i odkrył z osłupieniem, że dzięki przelotnej znajomości z Cher został bez grosza przy duszy. Nigdy więcej nie rozmawiałam już z Donaldem i nigdy nie poprosiłam o uniewinnienie dla siebie, ponieważ czułam się winna - może nie tak bardzo jak on, chociaż nigdy nie został ukarany, ale jedną z rzeczy, których nauczył mnie pobyt w zakładzie Jenningsa, była stara prawda, że istnieje wiele przepisów prawa i bardzo mało sprawiedliwości.

Poszczęściło mi się bardziej niż innym. Urodziłam się z pojemnym mózgiem, wychowywała mnie własna matka, nie tylko zrobiłam maturę, ale i skończyłam studia uniwersyteckie. Nie wybrałam najlepiej, bo potem zmarnowałam parę lat życia na Wall Street, nie był to jednak wielki błąd w porównaniu z błędnymi decyzjami innych ludzi. Za to dobrze poznałam mechanizmy funkcjonowania tego systemu, z którym później podjęłam walkę. Z pewnością czas spędzony w zakładzie Jenningsa nie poszedł na marne. Poznałam cenę wolności, którą wcześniej przyjmowałam jako coś naturalnego. Dowiedziałam się, co to niesprawiedliwość i jak bardzo może być przerażająca. Zyskałam okazję, żeby zmienić swoje poglądy na znaczenie pieniędzy. W naszym kraju i w obecnych czasach warunki finansowe w każdej sytuacji muszą wziąć górę nad czynnikami ludzkimi, ale więzienie przestawiło mnie na inną drogę

zyciową. Teraz głównym celem moich poczynań jest pomoc innym kobietom, które nie miały tyle szczęścia co ja.

Przede wszystkim zbieram fundusze. Movita Watson jest obecnie dyrektorką założonej przez nas fundacji, a mój mąż włożył wiele wysiłku, aby wywalczyć dla niej status niedochodowej organizacji dobroczynnej. Otworzył własną firmę, dzięki czemu ma nielimitowany czas pracy jak ja, i gdy trafia mi się nawał zajęć, może się zaopiekować bliźniakami. Kiedy indziej zabieram je ze sobą do biura i zostawiam pod nadzorem Suki, która prowadzi przedszkole. Roger zrezygnował ze służby w więzieniu i jest teraz ochroniarzem w firmie Brinks Security.

Cher nadal działa na Wall Street. Do tej pory nie aresztowano jej za defraudację, handel zastrzeżonymi informacjami czy choćby oszustwa matrymonialne. Według ostatnich szacunków ma za sobą co najmniej trzy przelotne związki z rekinami finansjery i jest jednym z najważniejszych sponsorów naszej fundacji.

- Mnie nikt niczego nie dawał - powtarza - ale skoro można te pieniądze odpisać od podatku, nie mam nic przeciwko zasilaniu waszego funduszu.

Theresa do spółki z którąś z siostr czy też dalszych kuzynek otworzyła na Brooklynie restaurację i regularnie raz w miesiącu spotykamy się tam, by nie zapomnieć o jej „spaghetti z sosem”, które suto pijamy czerwonym winem.

Harding kieruje stanowym wydziałem do spraw więziennictwa, ma narzeczonego i zamierza wyjść za mąż. I to za sędziego! Nie wierzyliśmy własnym uszom, gdy dotarły do nas te wieści. Zresztą Gwen twierdzi, że sama nie może w to uwierzyć. Na razie tylko Movita miała okazję go poznać, utrzymuje jednak, że to całkiem przystojny gość jak na prawnika. Mamy nadzieję, że zobaczymy go już niedługo podczas przyjęcia w Albany, które urządzają razem za miesiąc.

Została jeszcze Maggie Rafferty. Odwiedzam ją regularnie, sprawia wrażenie uszczęśliwionej i zapracowanej, gdyż sprawuje wiele funkcji w zakładzie Jenningsa. Aktywnie działa w ramach naszej fundacji i kieruje swoje podopieczne na różne kursy, jeśli tylko uzna, że się do tego nadają. Jeśli czegokolwiek żałuję, to właśnie tego, że nie potrafiłam i jej wyciągnąć z więzienia. Zbrodnia, której się dopuściła, została jednak zbyt na-

głośniona, a rodzina jej zabitego męża miała koneksje w kręgach wpływowych polityków i nie dało się załatwić uniewinnienia. No cóż, mężczyźni mogą zabijać swoje kochanki na przerażającą skalę, ale społeczeństwo nadal nie może wybaczyć kobiecie, która zastrzeliła własnego męża. Aż ciężko mi myśleć, że Maggie będzie musiała dożyć swych dni za kratami, mimo że ona już się z tym pogodziła, przynajmniej do pewnego stopnia.

Odsprzedanie kontraktów JRU z powrotem władzom stanowym przyniosło jej spore pieniądze, ale w zasadzie wszystkie już rozdysponowała, wspomagając najróżniejsze programy ochrony kobiet przed pułapkami systemu prawnego. Zresztą w ciągu tych dwóch lat Maggie bardzo się zmieniła. Można by odnieść wrażenie, że odzyskała młodzieńczy wigor i energię. Nie wiem, czy naprawdę poprawił się jej stan zdrowia, czy tylko mi się tak wydaje, ale na pewno osiągnęła stan tak niezwykłego spokoju ducha, że kojarzy mi się jedynie ze świętymi, których żywoty poznawałam w szkole zakonnej. Wydaje się w pełni usatysfakcjonowana, bo choć pobyt w więzieniu jest straszliwym rodzajem kary, to jednak po wielu latach, jak mi się zdaje, pozwolił Maggie odnaleźć powołanie i właściwy sens życia. Została matką chrzestną zarówno Christiny, jak i moich bliźniaków, a skądinąd wiadomo mi, że Suki chce ją znów o to poprosić, gdy tylko urodzi drugie dziecko.

Najstarsza córka Movity, Jamorah, jeszcze do niedawna chciała zostać projektantką mody, ale teraz, gdy zdała egzaminy wstępne i przy niewielkiej pomocy przyjaciół matki dostała się do renomowanego college'u, planuje karierę adwokacką. Talitha również uczy się doskonale, lecz u najmłodszej, Kiamy, stwierdzono opóźnienie w rozwoju umysłowym i trzy razy w tygodniu musi pobierać dodatkowe lekcje u specjalisty.

Jak już powiedziałam, niczego nie żałuję. Nie jestem taką optymistką jak Theresa, według której wszystko jest częścią boskiego planu, ale wiem na pewno, że dzięki pobytowi w zakładzie Jenningsa i ja znalazłam swoje powołanie, męża i najlepszych przyjaciół oraz doczekałam się dwóch wspaniałych urwisów, Tylera i Bryce'a. Nie muszę dodawać, że są oczkiem w głowie Maggie, która wzięła na siebie rolę babci, ponieważ moja matka nie żyje.

Myślę jednak, że byłaby teraz dumna z tego, kim jestem, bo choć nie da się uczynić wszystkiego, to trzeba zrobić przynajmniej trochę. W każdym razie mam całe dni wypełnione pracą. Oczywiście czasami przeżywam drobne załamania, popadam w depresję, czuję się wykończona czy poirytowana. Ale w takich właśnie chwilach Lenny często przypomina mi słowa Thomasa Jeffersona: „Ceną wolności jest ustawiczna czujność”.

Od autorki

Muszę przyznać, że ze wszystkich moich powieści najtrudniej było mi napisać właśnie *Kumpelki z paki*. Spróbujcie stworzyć uroczą, optymistyczną, zabawną i pobudzającą nadzieję opowieść o kobiecie, która niesłusznie znalazła się w więzieniu! Napisałam tę książkę, aby obnażyć zło i nierówność usankcjonowane przez nasz system więziennictwa, przez chwilę jednak nie wątpiłam, iż potrafię wyłowić elementy groteski bądź czarnego humoru towarzyszące działaniom kobiet podejmujących walkę ze złym prawem (jak czyniłam to poprzednio w *Zmowie pierwszych żon*, *Flavor of the Month* czy *Młodych żonach*). Ale w trakcie zbierania materiałów do *Kumpelek z paki* doszłam do wniosku, że w więzieniu nie ma nic uroczego, optymistycznego bądź pobudzającego nadzieję. To, czego dowiedziałam się za murami od adwokatów odwiedzających swoje klientki, zarządców zakładów karnych, samych skazanych oraz funkcjonariuszy służby więziennej, bardzo mi pomogło w napisaniu powieści, chociaż musiałam odfiltrować bardzo dużo bólu i smutku. Mam nadzieję, że stworzone przeze mnie postacie są pełne życia, zabawne oraz inspirujące, ale ich sytuacja (z wyjątkiem najbardziej dramatycznych momentów) jest nieporównanie lepsza od tego, czego naprawdę doświadczają więźniarki. Pragnę, aby czytelnicy tej książki (oraz wszystkie kobiety), przypominając sobie o istnieniu naszych uwięzionych siostr, zarazem pamiętali, że:

- Kobiety tworzą najszybciej rozrastającą się społeczność więzienną. Od 1980 roku liczba kobiet odbywających w naszym kraju wyrok więzienia wzrosła ponad pięciokrotnie.

- Opieka zdrowotna nad więźniarkami jest wyjątkowo słaba (prawie w ogóle nie prowadzi się badań cytologicznych, mammograficznych bądź corocznych kontroli ginekologicznych). Powszechną praktyką jest odmawianie skazanym prawa do wizyt lekarskich.

- Każda kara więzienia dla matki oznacza również karę dla jej niewinnego dziecka. Oddaje się je pod opiekę dalszej rodziny albo, co gorsza, do domów dziecka.

- Więźniarki każdego dnia przebywają średnio po siedemnaście godzin w celach i zaledwie godzinę na świeżym powietrzu (czyli znacznie mniej niż skazani mężczyźni).

- Mimo drastycznych cięć budżetowych roczny koszt utrzymania jednej więźniarki jest wyższy od kosztu studiów na Uniwersytecie Harvarda.

- Prywatyzacja zakładów karnych prowadzi do tworzenia kobiecej niewolniczej siły roboczej (a prawo zabrania pracującym skazanym do strajkowania i tworzenia związków zawodowych). Nie objęte ochroną przez jakiegokolwiek przepisy kodeksu pracy, kobiety nie mogą się skarżyć na pracodawcę, nie wolno im nawet odmówić pracy bez narażania się na bardzo poważne konsekwencje.

Trzeba mieć naprawdę wyjątkowy charakter, by podjąć się działalności wychowawczej w więzieniu, zakładzie karnym, poprawczym czy jakkolwiek nazwiemy mury odgradzające skazane kobiety od wolności. Potrzeba też niezwykłej odwagi, by dać się zamknąć w gmachu pełnym smutku, uzależnień, chorób i bólu, gdzie w zasadzie nie istnieje żadna prywatność i gdzie każdy, czy to funkcjonariusz, czy ochotnik, styka się bez przerwy z cierpieniem więźniarek. Udręka, jaką wywołuje powrót za kraty kobiety zwolnionej warunkowo, niepojawienie się rodziny bądź przyjaciół w dniu odwiedzin, utrata prawa do skrócenia kary z powodu jednego bezmyślnego czynu albo złe wieści z Zewnątrz, jest znacznie silniejsza, niż większość ludzi mogłaby sobie wyobrazić, a cóż dopiero znieść. Bez pomocy wymienionych niżej osób nie zyskałabym okazji do rozmów z więźniarkami, zwiedzenia paru zakładów karnych czy zdobycia pewnych danych statystycznych niezbędnych do napisania tej powieści. Tak więc szczególnie pragnę podziękować:

Randy'emy Credico z Fundacji Williama Mosesa Kunstlera na Rzecz Racjonalnego Wymiaru Sprawiedliwości, bohaterowi, który swoimi staraniami doprowadził do uwolnienia większej liczby niesłusznie skazanych kobiet niż jakakolwiek inna znana mi osoba.

Kathryn Watterson, autorce *Women in Prison*, za jej książkę będącą kompleksowym omówieniem tematu.

Andi Rierden, autorce *The Farm*, zawierającej ludzkie i humanitarne spojrzenie na los uwięzionych kobiet.

Robertowi Gangiemu, wicedyrektorowi Stowarzyszenia Zakładów Karnych Stanu Nowy Jork, za cenne uwagi oraz umożliwienie mi wstępu do więzień i aresztów w Nowym Jorku i okolicy.

Jennifer Wynn, kierownicze programu „Odwiedziny w więzieniach”, za pomoc i załatwienie najtrudniejszych formalności w celu umożliwienia mi rozmów z więźniarkami.

Mishi Faruquee, kierownicze projektu „Kobiety w więzieniu”. Tak trzymać!

Margaret Owens, wicedyrektorze Krajowego Centrum Więzionych Kobiet. Dzięki za wszystko, głównie za nadzwyczajną pracę.

Velmanette Montgomery, senatorowi stanu Nowy Jork z osiemnastego senackiego okręgu w Albany. Dziękuję również Sandy Stewart, czynnej administratorce pani senator.

Eleine Lord, nadzorcy zakładu w Bedford Hills. Jej zaradność, poświęcenie i mądrość nadzwyczaj mi zaimponowały (a mnie nie tak łatwo zaimponować).

Wayne'owi Strackowi, nadzorcy Zakładu Karnego w Fishkill, za oprowadzenie mnie po kobiecym więzieniu w Beacon w stanie Nowy Jork.

Susan Schultz, nadzorcy Zakładu Karnego dla Kobiet w Beacon, która nie tylko zorganizowała nam wycieczkę, lecz także zafundowała lunch i umożliwiła swobodne rozmowy z więźniarkami.

Pracownikom Centrum Wspomagania Więziennych Aktywistów z Berkeley w Kalifornii. Informacje o ich nadzwyczajnych działaniach na rzecz wszystkich skazanych w Stanach Zjednoczonych oraz zgromadzone dane statystyczne były dla mnie wprost bezcenne.

Nan Robinson, mojej zdolnej i oddanej (jak również ukochanej) redaktorze, która wraz ze mną zwiedzała wiele zakładów karnych (a Wydział Więziennictwa Okręgu Cheshire w Westmoreland, w stanie New Hampshire, nawet beze mnie).

Richardowi van Wicklerowi, kierownikowi Wydziału Więziennictwa Okręgu Cheshire, za oprowadzenie Nan Robinson po podległym mu ośrodku i znalezienie czasu na szczegółowe wyjaśnienia procedur prawnych, pokazanie sekcji obserwacyjnych i karcerów (które, jak donoszę z prawdziwą przyjemnością, zostały przekształcone w podręczne magazynki) oraz udzielenie wyczerpujących odpowiedzi na nasze liczne pytania. Dziękuję także jego podwładnym, Kerry, Penny i Julie, jak również licznyemu strażniczkom i pracownikom ambulatorium, które zechciały porozmawiać z Nan podczas jej wycieczki.

Poprosiła mnie, bym uwzględniła w specjalnych podziękowaniach grupę kobiet przebywających w trakcie jej wizyty w celach Wydziału Więziennictwa Okręgu Cheshire, ponieważ oprowadziły ją po swoim bloku, oglądały z nią telewizję w świetlicy i co najważniejsze, porozmawiały szczerze na stolówce podczas przerwy na lunch.

Moja powieść, niestety, nie dorasta do rangi zagadnienia. Dlatego uważam za najistotniejsze złożenie podziękowań wszystkim skazanym kobietom, które poświęciły swój czas i mimo cynizmu, przygnębienia bądź strachu zdobyły się na wysiłek rozmowy ze mną. Jak na ironię, nie mogę przekazać im do więzienia darmowych egzemplarzy książki, dopóki nie ukaże się w wydaniu kieszonkowym, gdyż pozycje w twardej oprawie są uważane za kontrabandę (ze względu na możliwość ukrycia czegoś wewnątrz okładki). Tymczasem kobietom przebywającym Wewnątrz bardzo potrzebne są odwiedziny kobiet z Zewnątrz. Zabierałam ze sobą drobne upominki dla więźniarek, z którymi się spotykałam, i zawsze otrzymywałam więcej, niż mogłam dać od siebie.

Specjalne podziękowania kieruję też do skazanych uczestniczących w kursach ogrodniczych w Beacon, od których dostałam przepiękne rośliny doniczkowe. Nadal rosną zdrowo, mimo moich nieudolnych zabiegów. Jedną z nich trzymam na parapecie w kuchni i ilekroć na nią spojrzę, kojarzy mi się

z symbolem kobiecej siły umożliwiającej kiełkowanie nasion i rozwój siewek.

Na koniec pragnę podziękować Tracy Fonville niesłusznie skazanej na dwadzieścia trzy lata więzienia i ostatnio uniewinnionej. Musiałam osobiście doświadczyć radości z naszego spotkania przed Centrum Rockefellera, nim mogłam wiarygodnie opisać szczęście, jakim jest odzyskanie wolności.